



Charlotte LINK

Poszukiwanie



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

*Bezlitosny. Perfidny. Nieuchwytny.
Czy uda się złapać mordercę z wrzosowisk?*

Charlotte **LINK** Poszukiwanie

Z języka niemieckiego przełożył
Dariusz Guzik



DIE SUCHE by Charlotte Link
© 2018 by Blanvalet Verlag,
a division of Verlagsgruppe Random House GmbH, München, Germany.

Copyright © 2019 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2019 for the Polish translation by Dariusz Guzik (under exclusive license to Wydawnictwo Sonia Draga)

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Marzena Kwietniewska-Talarczyk
Korekta: Marta Chmarzyńska, Izabela Sieranc, Aneta Iwan

ISBN: 978-83-8110-975-8

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórców i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!
Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.
ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28
[e-mail: info@soniadruga.pl](mailto:info@soniadruga.pl)
www.soniadruga.pl
www.facebook.com/WydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2019

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

Nakładem Wydawnictwa Sonia Draga
ukazały się następujące książki tej autorki:

Ciernista róża
Dom sióstr
Decyzja
Drugie dziecko
Echo winy
Gra cieni
Grzech aniołów
Lisia dolina
Nieproszony gość
Obserwator
Ostatni ślad
Oszukana
Przerwane milczenie
Sześć lat. Pożegnanie z siostrą
Wielbiciel
Złudzenie

Listopad 2013 roku

1

Zapadł zmrok. Powiało chłodem. A pociąg do Scarborough uciekł jej sprzed nosa. Hannah umówiła się z ojcem, że nim wróci. Przymknęła, że się nie spóźni.

– Po raz pierwszy byłabyś punktualna – oznajmił Ryan, jej ojciec. – Nie wiem, czy to dobry pomysł, by puścić cię samą do Hull.

– Ale babcia sobie tego życzy. To jej urodziny!

– Ty i babcia! Naprawdę nie rozumiem, co ty... – Ryan ugryzł się w język. Nigdy nie łączyły go z matką dobre stosunki. Hannah nie miała pojęcia, co było tego powodem, skoro jednak nikt na dobrą sprawę nie potrafił z nim wytrzymać, pomyślała, że to wina jego zachowania. Ryan miał zazwyczaj kiepski humor i traktował innych opryskliwie i oschle. Nawet żona nie zdołała z nim wytrwać – kiedy Hannah miała cztery lata, jej matka odeszła.

Ryan dał się przekonać i pozwolił czternastoletniej córce pojechać samej pociągiem do Kingston-upon-Hull. W sobotę, w dżdżysty dzień listopadowy, miała odwiedzić babcię z okazji jej urodzin. Wyraźnie dał jednak do zrozumienia, że całe to przedsięwzięcie nie jest po jego myśli.

– Nieustannie bujasz w obłokach. Ciągłe się spóźniasz. Z niczym nie dajesz sobie rady. Zastanawiam się, czy to się dobrze skończy.

Hannah wiedziała, że ojciec niewiele się po niej spodziewa, tym razem nie dała się jednak zastraszyć. Błagała i skamlała, aż w końcu dostała zgodę. Razem wyszukali połączenia ze Scarborough do Hull i z powrotem. Ryan zamierzał odebrać ją w Scarborough, po czym zawieźć samochodem do Staintondale, gdzie mieszkali; do tej niewielkiej miejsciny z rzadka docierał autobus.

Pociąg odjechał, nic nie mogła poradzić. Hannah stała na peronie i wstrzymywała napływające do oczu łzy. Jak mogła do tego dopuścić? Przymknęła sobie, że tym razem nie rozczaruje ojca, lecz mu udowodni, że jest samodzielna i na tyle dorosła, że można na niej polegać. Zamiast tego utwierdziła go tylko w jego uprzedzeniach.

Otarła łzy. Płacz na nic się teraz nie zda. Zagadnęła konduktora, dowiedziała się, że

na następny pociąg do Scarborough trzeba czekać niemal dwie godziny. Co począć. Wygrzebała z torby komórkę i zadzwoniła do ojca, który pracował w firmie sprzątającej i umyślnie wziął tej soboty dyżur. Jak można się było spodziewać, zareagował z nerwową irytacją.

– Miałem cię odebrać kwadrans po siódmej! Co mam teraz robić dwie godziny dłużej? Do siódmej uporamy się ze wszystkim! Na miły Bóg, Hannah, czemu z tobą zawsze to samo? Czy tak trudno *choć raz* wyjść z domu na czas?

Hannah przełknęła. Co miała powiedzieć? Babcia w ostatniej chwili poprosiła ją o wyjęcie rzeczy z pralki i włożenie ich do kosza, być może to przesądziło, że zabrakło jej tych dwóch minut. Co nie zmienia faktu, że źle oszacowała czas. Jak zwykle.

– Jak zwykle! – zakończył ojciec tyradę wyrzutów, których echo wciąż dźwięczało jej w uszach. – I wiesz co, ciekawe, jak teraz wrócisz do domu! Nie mam ochoty być na każde zawołanie, podczas gdy ty jak zwykle wszystko zawalasz! – Po tych słowach gniewnie się rozłączył.

Hannah zastanawiała się, co robić. Wolnym krokiem zeszła z peronu, przemierzyła budynek dworca, zawahała się, mijając kawiarnię Pumpkin. Miała przy sobie trochę pieniędzy, mogłaby usiąść przy stoliku, zamówić colę i muffina i po prostu zaczekać... Zachowałyby się nader dorośle. Przypomniała sobie jednak ostre słowa ojca, łyż ponownie napłynęły jej do oczu. Wróci do babci. Zapragnęła, by ją przytuliła i pocieszyła.

Hannah wyszła na plac przed dworcem. Na czteropasmowej Ferensway panował spory ruch – niewiele mniejszy w ten wczesny sobotni wieczór niż w normalny dzień roboczy. Zapadł już zmrok, w chłodnym powietrzu unosiła się drobna mżawka. Przeszedł ją dreszcz, skuliła ramiona.

Tragizm sytuacji polegał na tym, że ów nieszczęsny przypadek był tylko wodą na młyn jej ojca. To straszne, lecz Hannah po prostu nie potrafiła przekonać Ryana, że nie jest już małym, głupiutkim dziewczątkiem. Nieustannie zrędził, wciąż czynił jej wyrzuty. Hannah często się zastanawiała, jak wyglądałoby jej życie, gdyby nie odeszła od nich matka. Miała o niej jedynie mgliste wspomnienia, niemniej na fotografiach wyglądała ładnie i młodzieńczo, ślicznie się uśmiechała. Z czasem Hannah zaczynała rozumieć, dlaczego matka rzuciła takiego mężczyznę jak Ryan, nie mogła jednak pojąć, czemu wyjechała aż tak daleko.

– Chyba do Australii – warknął ojciec, gdy przed laty nieśmiało go o to zapytała. – Ma tam krewnych.

Nigdy więcej nie nawiązali z sobą kontaktu.

Hannah wetknęła do uszu słuchawki swojego smartfona. Dudniące basy zagłuszyły wszystko dokoła, ruch uliczny, ludzkie odgłosy. Nawet rozgniewany głos Ryana, wciąż huczący w jej głowie. Hannah stale nosiła w uszach słuchawki, choć ojciec oczywiście się temu sprzeciwiał. Muzyka pozwalała jej odpłynąć, zapomnieć o kłopotach i trudnościach życia. Przynajmniej na chwilę. Niestety, nie rozwiewały się one w powietrzu. Wciąż niezawodnie powracały.

Wzdrygnęła się gwałtownie, gdy ktoś zdecydowanym ruchem dotknął jej ramienia. Odwróciła się i wyjęła z uszu słuchawki.

Spojrzała w ciemne oczy młodego mężczyzny.

– Hannah? – zapytał. – Hannah Caswell?

– Tak? – Z powodu naciągniętej na głowę kapuzy oraz mokrych kosmyków zakrywających mu oczy nie od razu go rozpoznała.

– Przepraszam, nie chciałem cię wystraszyć – odparł. – Parę razy cię zagadnąłem, ale mnie nie słyszałaś.

Teraz go poznała. Kevin Bent. Mieszkał razem z matką i starszym bratem na starej farmie w Staintondale, oddalonej od jej domu ledwie kilka mil. Ojca z nimi nie było, nikt nie wiedział, co się z nim stało. O Bentach Ryan wyrażał się zawsze z najgłębszą pogardą i surowo zabronił córce kontaktów z oboma braćmi. Hannah nie potrafiła zrozumieć jego wrogiego nastawienia. Pani Bent była miłą kobietą, cierpiała na stwardnienie rozsiane, poruszała się wyłącznie na wózku i musiała zrezygnować z pracy na farmie. Bentowie korzystali z pomocy socjalnej, lecz o to nie można było obwiniać ani matki, ani obu chłopców.

– Cześć, Kevin – przywitała się. Miała nadzieję, że nie dostrzeże na jej policzkach śladów łez. Miał już dziewiętnaście lat. Nie chciała, by wziął ją za mazgaja.

– Jesteś tu sama? – zapytał.

Skinęła głową.

– Tak. I właśnie spóźniłam się na pociąg.

Pomachał kluczykami do samochodu.

– Możesz pojechać ze mną. Przynajmniej do Scarborough. Stamtąd muszę jeszcze skoczyć do przyjaciół do Cropton, ale może w Scarborough odbierze cię ojciec.

Hannah się zamyśliła. Jeśli pojedzie z Kevinem, do Scarborough dotrze o pierwotnie ustalonej porze. Ojcu oczywiście nie może wyjawić, że podwiózł ją akurat Kevin Bent, do tego jednak czasu postara się coś wymyślić. Być może Ryan będzie nawet pod wrażeniem, że mimo wszystko zdołała przyjechać niemal punktualnie.

– Musiałbyś nadłożyć sporo drogi – zauważyła. – Byłbyś w Cropton znacznie szybciej, gdybyś ominął Scarborough.

Wzruszył ramionami.

– Może kwadrans. Nie więcej.

Hannah domyślała się, że trochę więcej niż kwadrans, a jednak go nie poprawiła. Schlebiało jej, że oto przystojny Kevin Bent z jej powodu straci sporo czasu i wcale nie wydawał się tym zmartwiony. Czyżby zależało mu na jej towarzystwie? Nie potrafiła sobie tego wyobrazić. Bo kimże była? Małą szarą myszką, która jeszcze u żadnego chłopca nie wzbudziła zainteresowania.

– To jak, jedziesz czy nie? – zapytał.

Hannah się przemogła. Poczula się niepewnie, lecz jeśli teraz odrzuci jego propozycję, będzie potem zła na siebie, doskonale o tym wiedziała.

– Tak. To bardzo miło z twojej strony – odparła.

Przeszli na drugą stronę ulicy i znaleźli się na ogromnym parkingu pełnym samochodów. Kevin wygrzebał bilet i opłacił go w automacie, po czym przemierzili plac, aż przystanęli przed małym, nieco poobijanym, lecz lśniąącym czystością fiatem. Kevin otworzył drzwi, Hannah z ulgą wślizgnęła się na siedzenie pasażera. Miała świadomość, że ojciec za nic w świecie nie może się dowiedzieć, iż pozwoliła się podwieźć Kevinowi Bentowi. Z jakiegoś powodu żywił przekonanie, że wszyscy Bentowie to groźni przestępcy, nicponie i stroniący od pracy motłoch, do tego złodzieje i oszuści, a może i coś gorszego. Rzeczywiście, osiem lat wcześniej brat Kevina znalazł się na celowniku policji, gdy prowadzono śledztwo w sprawie gwałtu na piętnastolatce, która w drodze do szkoły była nagabywana przez kilku nastolatków, a następnie przez kilka godzin dręczona i wykorzystywana seksualnie w opuszczonej hali fabrycznej. Szesnastoletni wówczas brat Kevina stanowczo zaprzeczył, jakoby brał udział w tym zajściu, istotnie też niczego mu ostatecznie nie udowodniono. To jednak Ryana nie przekonało.

– Jasne, że tam był – powtarzał – przecież policja nie zajęłaby się nim bez powodu. Niestety, nie zdołali mu niczego udowodnić. Ich wszystkich należałoby wsadzić za kratki.

Kevin uruchomił silnik, wyjechał z parkingu i włączył się do wzmożonego ruchu na Ferensway.

– Mało brakowało, a byłbym cię nie poznał – przyznał Kevin. – Urosłaś.

Hannah aż się zarumieniła.

– No cóż, ja... – O Boże, jak można tak nieporadnie dukać! – W kwietniu skończę piętnaście lat.

– No proszę! – odparł Kevin. Zerknęła nań z ukosa. Uśmiechał się. No tak. Mówi jak durna uczennica, która tylko odlicza dni do swoich następnych urodzin.

„Hannah, przestań – napominała sama siebie – nie próbuj mu zaimponować. Po prostu jest miły, to dlatego zabrał cię z sobą. Ale nie widzi w tobie nic a nic – i to się nie zmieni, nie łudź się!”

Nie rozmawiali do chwili, aż dotarli na przedmieścia, gdzie skręcili na A165, prowadzącą z Hull do Scarborough, częściowo wzdłuż morskiego brzegu. W wielu miejscach przy drodze rosły niskie, targane przez wiatr zarośla, których po zmroku nie sposób było dostrzec. Nadal panował spory ruch, jechali w kolumnie samochodów, także na przeciwległym pasie ciągnął się sznur pojazdów. Podróż zajmie im pewnie półtorej godziny. We wnętrzu było ciepło i przyjemnie, lecz Hannah czuła ogromne napięcie, pomyślała nawet, że należało raczej poczekać na następny pociąg. Siedziała tuż obok jednego z najbardziej atrakcyjnych młodych mężczyzn w Scarborough – i doskonale wiedziała, że on nie tylko jej się podobał. O Kevinie sporo się mówiło, w szkole i w mediach społecznościowych, z których korzystały jej koleżanki. Każda oddałaby wszystko za możliwość umówienia się z nim na randkę. On zaś dość często zmieniał sympatie. Obecnie uchodził za singla, co wcale nie oznaczało, że nie wdał się w jakąś przygodną miłośćkę.

Hannah zdawała sobie sprawę, że wyjątkowa sytuacja, w jakiej się znalazła, wzbudziłaby zazdrość u każdej z koleżanek, a zarazem była przekonana, że i tak wszystko popsuje. Uważała się za mało atrakcyjną – nie tak atrakcyjną jak inne dziewczęta. Parę zbędnych kilogramów w biodrach, puciołowate policzki, dziwaczne ciuchy. To ojciec decydował, co córka ma na siebie włożyć, on także kupował jej ubrania. Caswellom nieustannie brakowało pieniędzy, toteż niska cena stawała się podczas zakupów jedynym kryterium. I takie też nosiła rzeczy – tanie, bezkształtne, wypłowiałe po kilku zaledwie praniach. A do tego co najmniej jeden numer za duże – na zapas, by przez jakiś czas niczego nowego nie kupować.

Westchnęła.

– Co robiłaś w Hull? – zapytał nagle Kevin. – Tak daleko od domu?

– Byłam w odwiedzinach u babci. Ona tam mieszka.

– Ojciec pozwolił ci jechać samej? – Wszyscy w Staintondale wiedzieli, że surowy z natury Ryan Caswell niemal nie spuszcza córki z oczu. Jakby się obawiał, że przy pierwszej okazji ucieknie do Australii, podobnie jak dziesięć lat wcześniej jej matka.

Biedna Hannah niemal nie mogła swobodnie oddychać.

– Łatwo nie było – przyznała Hannah. – Nie chciał, żebym jechała. Uważał, że jak zwykle sobie nie poradzę. Najgorsze, że...

– Że rzeczywiście spóźniłaś się na pociąg – dokończył Kevin.

Skinęła głową.

– Tak. Ojciec teraz wie, że miał rację.

– Wydaje mi się, że popełniasz błędy tylko dlatego, że dostatecznie długo pozwalasz sobie wmawiać, że tak się stanie – oznajmił Kevin. – Kiedy człowiekowi odbierze się wiarę w siebie, wtedy rzeczywiście nic mu nie wychodzi. Powinnaś uwierzyć w siebie, Hannah. A wtedy wszystko się ułoży.

Zamyśliła się.

– Trudno uwierzyć w siebie – wyznała po chwili – mając...

– Mając takiego ojca?

– Nie tylko o ojca tu chodzi. Także o... To znaczy, jestem...

Nie dokończyła, poczuła na sobie jego wzrok.

– Tak?

Może nie powinna o tym mówić, lecz właściwie nie miało to już żadnego znaczenia.

– Nie jestem taka jak inne dziewczyny. Nie jestem taka... *cool*. – Chciała powiedzieć *ładna*, lecz na szczęście w porę ugryzła się w język. Z pewnością sam potrafił to ocenić, nie musiała być aż tak bezpośrednia.

– Czemu wszyscy muszą być *cool*? – zauważył Kevin. – Masz w sobie coś szczególnego, Hannah. Nie jesteś taka jak inni. A to o wiele ciekawsze!

Przełknęła. Naprawdę tak sądził?

I co w takim razie odpowiedzieć?

„Inni pewnie by wiedzieli – pomyślała zrozpaczona – *na pewno by wiedzieli!*”

Znów umilkli. Mijali kolejne miejscowości, wiele samochodów skręciło z głównej drogi, która coraz bardziej pustoszała. Hannah miała wrażenie, że łąki za oknem ciągną się aż po horyzont. Gdzieś w oddali szumiało morze.

„Tak smakuje wolność – pomyślała. – Noc. Kevin. Ojciec, który nie wie, gdzie się podziewam”.

– Co robiłeś w Hull? – zapytała, by przerwać milczenie.

– Mój kumpel otwiera tam pub. Pomagałem mu przy składaniu i ustawianiu mebli. Jutro znów muszę tam jechać.

– Ach. To... miło w twojej strony!

– Znam go od wieków. Otwarcie pubu nastąpi na początku grudnia. Jeśli chcesz, przyślę ci zaproszenie.

Wielkie nieba!

– Ja... no cóż...

– Coli możesz się chyba napić.

– Jasne. Chętnie. Dzięki. – Ojciec nigdy w życiu na to nie pozwoli. Pub w Hull. Prowadzony przez znajomego Kevina Benta. Bez szans. Chyba że zdoła wymyślić jakąś wymówkę. Ma przyjaciółkę, Sheilę. Czasem, *czasem* ojciec pozwalał jej u niej przenocować. Jeśli mu powie, że zostanie u Sheili na noc, a sama tymczasem pojedzie do Hull...?

– Mógłbyś mnie z sobą zabrać? – zapytała. – Mam na myśli otwarcie.

– Oczywiście. Sądzisz, że ojciec ci pozwoli?

– Nie. Ale nie musi o tym wiedzieć. – Hannah uznała, że zabrzmiało to całkiem *cool*.

Kevin znów się uśmiechnął.

– Okay. Skoro tak mówisz.

Drogą poruszało się zaledwie kilka innych samochodów. Kevin włączył radio. Ariana Grande.

– Lubisz taką muzykę? – zapytał.

– Tak. Bardzo.

Umilkli. Głośne dźwięki wypełniły wnętrze. Za oknem przemykała ciemność.

„Być może – pomyślała Hannah – dziś zaczyna się dla mnie nowe życie”.

2

Do Scarborough dotarli tuż po siódmej. Kevin podwiózł ją na dworzec. Zapytał, czy nie chce zadzwonić do ojca i powiadomić go o wcześniejszym przybyciu. Hannah możliwie naturalnym głosem odparła jednak, że pójdzie do biura firmy, gdzie ojciec pewnie wciąż przebywa. Nie zatelefonuje przecież do niego, siedząc w samochodzie. Od razu chciałby wiedzieć, kto ją podwiózł. Nawet gdyby nie wymieniła nazwiska Kevina Benta, wpadłby w złość. Zakazał jej kiedykolwiek, *pod jakimkolwiek pozorem*, wsiadać do obcego samochodu, chyba że dobrze zna jego właściciela. Nazwiska kogoś ze znajomych także nie mogła podać, gdyż istniało ryzyko, że ojciec zechce to sprawdzić. Ryan

Caswell nikomu w świecie nie ufał.

Hannah łamała sobie głowę, jak miałaby się wytłumaczyć. Niespodziewanie los okazał się jednak łaskawy – na dworzec dotarła niemal w chwili przyjazdu pociągu, którym miała podróżować. Mogła powiedzieć, że zdążyła wsiąść w ostatniej chwili. Ojciec pewnie by gderał, że go nie powiadomiła, lecz ten wyrzut zdołałaby znieść. Łatwiej niż wszystkie inne.

– Gdzie się mieści ta firma? – zapytał Kevin. – Mógłbym cię tam podrzucić.

– Nie, lepiej będzie, jeśli wysiądę przy dworcu. Powiem ojcu, że przyjechałam pociągiem.

– Okay. – Zatrzymał się. – Naprawdę tam pójdziesz? – upewnił się. – Do ojca?

– Naturalnie. – Ojciec pewnie wrócił już do domu, lecz Kevin nie musi o tym wiedzieć. Zadzwońi do niego. Z pewnością rozzłości go wiadomość, że ponownie będzie musiał po nią wyjechać, będzie się zastanawiał, czy ona w ogóle korzysta czasem z rozsądku – lecz koniec końców przyjedzie.

Wysiadła, wzdrygnęła się. Po podróży w ciepłym wnętrzu samochodu chłodne, przesycone wilgocią powietrze wydało się tym mniej przyjemne. Kevin nachylił się nad siedzeniem.

– Pogadamy jeszcze o otwarciu, okay?

– Koniecznie!

– Nie jedź do Staintondale autostopem, obiecujesz? To niebezpieczne!

– Słowo!

– To na razie, Hannah. Miłego wieczoru.

Zamknęła drzwi, patrzyła, jak odjeżdża.

Dobry Boże, czy to się zdarzyło naprawdę? W pewnym sensie umówiła się na randkę z Kevinem Bentem. Niezupełnie romantyczną, tylko we dwoje, idą przecież na imprezę, ale zawsze. Pójdą tam razem. Po raz pierwszy w życiu jakiś chłopak zapytał ją, czy nie zechciałaby z nim gdzieś wyjść. I zrobił to sam Kevin! Podekscytowana wygrzebała z kieszeni dzinsów komórkę. Pęknie, jeśli zaraz nie opowie o tym Sheili.

Sheila, która nigdy nie rozstawała się z telefonem, odebrała natychmiast.

– Hej! Co jest?

– Jestem na dworcu w Scarborough. Wracam z Hull. Zgadnij, jak tu dotarłam.

– Pewnie pociągiem – odparła nieco znudzona Sheila.

– Nie. W Hull spotkałam kogoś, kto zabrał mnie samochodem.

– Niby kogo? – W głosie Sheili pojawiła się nerwowa nuta.

Hannah rozkoszowała się chwilą.

– Kevin.

Sheila aż zaniemówiła.

– Bent? Kevin Bent? – zapytała zdumiona.

– We własnej osobie.

– Niemożliwe. Kevin Bent cię podwiózł? Jak to zrobiłaś?

– Nic nie musiałam *robić*. Spotkaliśmy się, zapytał, czy chciałabym z nim jechać.

– Ależ masz szczęście! – Sheila nie potrafiła ukryć zazdrości. – I jaki był? A ty? Jak zwykle zbyt nieśmiała, żeby otworzyć buzię?

Hannah tego się właśnie obawiała.

– Cóż, ja...

– Chyba się z tobą nie nudził?

„Najlepsza przyjaciółka tak się nie zachowuje – uznała Hannah. – Pewnie pożera ją zazdrość”. Niestety Sheila dobrze znała jej czułe punkty – i trafiała celnie.

Hannah postanowiła odkryć następną kartę.

– Nie sądzę, by się ze mną nudził. Umówił się ze mną. Na początku grudnia.

– Co takiego?

– Na imprezę. – Hannah uznała, że *impreza* brzmi lepiej niż *otwarcie pubu*. – Zapytał, czy nie poszłabym razem z nim.

– Kevin Bent chce iść z tobą na imprezę? – Sheila powtórzyła nowinę z takim niedowierzaniem, że Hannah znów uznała to za przykrość.

– Tak.

– Nie wierzę. Serio?! Kevin i ty...

– Problemem jest mój ojciec – wyznała Hannah. – Nigdy mi na to nie pozwoli.

– Na bank – przyznała Sheila nieomal z ulgą.

– I dlatego pomyślałam, że mu powiem, że przenocuję u ciebie. Co ty na to? Zgadzasz się?

– Hm. – W głosie Sheili dało się wyczuć, jak bardzo nie spodobała jej się własna rola w tej grze. Oto Hannah pójdzie na imprezę z Kevinem Bentem, najprzystojniejszym młodzieńcem w okolicy, a ona, Sheila, zostanie w domu i posłuży wyłącznie za alibi. Uważała, że jest ładniejsza od Hannah, bardziej przebojowa i błyskotliwa, no i znacznie

lepiej się ubiera. Gdzie, do diabła, Kevin ma oczy?

– A pożyczysz mi coś do ubrania? Wiesz, te moje ciuchy... – zapytała Hannah, jakby potrafiła czytać w myślach.

– Nie możesz się w nich pokazać, są koszmarnie. Aż dziw bierze, że Kevinowi to dziś nie przeszkadzało. Uważam, że jego poprzednia dziewczyna wyglądała rewelacyjnie i świetnie się ubierała...

Każde pojedyncze słowo było dla Hannah jak wymierzony policzek, próbowała jednak pozostać niewzruszona.

– Pomożesz mi w końcu czy nie?

Sheila chyba zrozumiała, że nie ma wyboru, nie chciała się okazać złą przyjaciółką. Obiecując pomoc, zapewniła sobie zarazem informacje z pierwszej ręki.

– No dobrze – zgodziła się przeciągle.

– Dzięki. Jesteś skarbem!

– Czemu nie zawiózł cię prosto do Staintondale? Sam tam przecież mieszka.

– Musiał jeszcze pojechać do Cropton. Do znajomych. Poza tym... jak miałabym wyjaśnić to ojcu? A tak mogę mu powiedzieć, że wróciłam pociągiem.

Sheila przytaknęła. Rozmawiały jeszcze przez kilka minut, Sheila chciała poznać każdy szczegół spotkania z Kevinem. Kiedy się pożegnały, Hannah zadzwoniła do ojca. Najpierw wystukała numer jego komórki, a gdy nie odebrał, spróbowała z numerem stacjonarnym. To samo. Za każdym razem zgłaszała się poczta głosowa, Hannah nie nagrała jednak żadnej wiadomości.

Także przy drugiej, trzeciej, czwartej próbie nic nie wskórała. Ojciec nie odbierał.

Hannah zastanawiała się, co począć. Czy ojciec był aż tak wściekły, że rozmyślnie nie odbierał? Czy może znalazł się poza zasięgiem?

Stała przed ceglany budynek dworca, jego wysoką wieżę wieńczyły ogromny zegar oraz imponująca kopuła. Poczula, że coraz mocniej marznie w tej nieprzyjemnej mieszaninie mgły i drobnych kropelek mżawki. W sobotni wieczór kręciło się po dworcu niewielu ludzi, na placu przed wejściem nie było prawie nikogo. Kto tylko mógł, został w domu i grzał się przy kominku. Mimo radosnej ekscytacji ostatnich dwóch godzin Hannah poczuła, że ogarnia ją znużenie i niepokój. Ojciec spodziewał się jej przyjazdu znacznie później. Co, jeśli do tego czasu nie zdoła się z nim skontaktować?

Mogła zaczekać wewnątrz budynku, usiąść w Pumpkinie, schronić się w ten sposób przed chłodem i wilgocią. A jednak perspektywa czekania w samotności niemal do

dziewiątej nie wydała się kusząca.

Ponownie spróbowała zadzwonić do ojca – i znów bez powodzenia.

Niezdecydowana zrobiła kilka kroków. Wtem tuż obok zatrzymał się samochód. Opuuszczono szybę.

– Hannah!

Przystanęła.

3

Konduktor Dustin Walker obsługiwał pociąg z londyńskiego King's Cross do Scarborough i ucieszył się, że dotarli na miejsce punktualnie o pół do dziesiątej. Szybkim krokiem szedł po peronie. Chciał jak najprędzej wrócić do domu. Dzień niemilosiernie się dłużył, co drugi pasażer był przeziębiony. Dustin miał już dość towarzystwa kaszlu i ciekących nosów. Po powrocie do domu musi łyknąć parę witamin. Miał nadzieję, że się nie zaraził.

Jakiś mężczyzna zaszedł mu drogę. Chciał go ominąć, lecz obcy także zrobił krok w bok. Dustin przystanął zdenerwowany.

– Tak? – zapytał.

– Pociąg z Hull już dawno przyjechał – oznajmił mężczyzna. Był blady na twarzy. Miał wybaluszone oczy, wyglądał na roztrzęsionego. – Punktualnie. Przed trzema kwadransami.

– To możliwe. Wracam właśnie z Londynu – odparł Dustin.

– Moja córka powinna jechać tym pociągiem. Nie przyjechała!

– Nie potrafię panu pomóc. Jak wspomniałem, wracam właśnie z Londynu...

– Nikt nie potrafi mi pomóc! – krzyknął mężczyzna. Wydawało się, że lada chwila wpadnie w panikę. – W informacji nikogo już nie ma. Nacisnąłem guzik w help poincie, ale i tam nie uzyskałem pomocy. Nikt nic nie wie!

Dustin był bezradny, lecz zrobiło mu się żal tego człowieka.

– Pańska córka miała wrócić z Hull? – zapytał.

– Tak. Ma czternaście lat. Właściwie miała jechać wcześniejszym pociągiem, ale się spóźniła. Zadzwoniła do mnie, uzgodniliśmy, że pojedzie następnym. Ale nie przyjechała.

– Był pan na peronie o czasie? Może dokądś poszła...

– Byłem punktualnie! Nawet dziesięć minut wcześniej. Stałem przy właściwym torze. Nadjechał pociąg. Ale ona z niego nie wysiadła!

– Może nie zauważył jej pan w tłumie. To się zdarza.

– Ale gdzieś musiałaby się podziać. Przeszukałem cały dworzec. Nawet damskie toalety. Nigdzie jej nie ma. Byłem też na zewnątrz, przed budynkiem, szukałem wszędzie. I nic.

– Czy pańska córka ma komórkę?

– Tak. Wielokrotnie do niej dzwoniłem. Ale zgłasza się tylko poczta.

Dustin westchnął. Pomyślał, że ten ojciec niepotrzebnie się zamartwia. Dziewczynie pewnie nic się nie stało. Ci dzisiejsi nastolatkwie... Prawdopodobnie jest teraz z chłopakiem i zapomniała o bożym świecie.

– Co porabiała w Hull? – zapytał.

– Była w odwiedzinach u babci. Do niej też oczywiście dzwoniłem, ale tam jej nie ma. Podczas naszej ostatniej rozmowy powiedziała mi, że spóźniła się na pociąg.

– I potem już się nie odezwała?

– Wielokrotnie usiłowała się do mnie dodzwonić. Między siódmą dziesięć a siódmą dwadzieścia. Siedziałem w samochodzie, nad morzem, pod zamkiem. Widocznie nie było tam zasięgu, za późno się zorientowałem, że próbuje się ze mną skontaktować... Nie nagrała żadnej wiadomości. Nie mam pojęcia, skąd dzwoniła i dlaczego.

Dustin ponownie westchnął. I po co się było zatrzymywać! Ma teraz faceta na karku.

– Proszę posłuchać, panie...

– Caswell. Ryan Caswell. Mieszkam w Staintondale razem z Hannah, moją córką. Sam ją wychowuję. Zatrudniłem się w firmie sprzątającej. Pracowałem dziś prawie do siódmej, potem chciałem odebrać Hannah. Ale wtedy... musiałem poczekać. Na następny pociąg.

„Trochę dziwny ten gość – pomyślał Dustin. – Prawie dwie godziny czeka na tym chłodzie w aucie gdzieś nad morzem, zamiast usiąść w pubie i napić się przynajmniej gorącej herbaty. Pewnie oszczędny aż do skąpstwa... Wcale mnie to nie dziwi, że dziewczyna nie ma ochoty wracać do domu...”

– Poczuję złość, gdy powiedziała, że przyjedzie później – wyznał cichym głosem Ryan. – Zagroziłem, że jej nie odbiorę. Byłem wściekły, bo zawsze... Buja w obłokach. Wciąż o czymś zapomina, coś gubi... Było do przewidzenia, że przegapi pociąg. To dla niej typowe!

– Biedactwo – mruknął bezgłośnie Dustin.

– Ale nie uciekłyby z tak błahego powodu – ciągnął Caswell. – Ona... nadal jest dzieckiem. Wiem, jak wcześnie dojrzewają dzisiejsi nastolatki, ale moja Hannah jest całkiem inna. Rozbrykana, dziecinna...

„Rodzice czasem myślą się w swoich osądach” – pomyślał Dustin, na głos powiedział jednak:

– Czy Hannah ma znajomych? Najlepszą przyjaciółkę? Kogoś, u kogo mogłaby się schronić?

– Nie mogła nigdzie pójść – odparł Caswell – musiałyby przecież przyjechać tym pociągiem.

– Niezupełnie. Może powiedziała przyjaciółce, gdzie się podziewa. Nie mogąc się do pana dodzwonić.

W oczach Ryana rozbłysła iskierka nadziei.

– Sheila. Sheila Lewis. To jej najlepsza przyjaciółka w Scarborough. – Niezwłocznie wystukał jej numer. Dustin pomyślał, że na dobrą sprawę może już iść, coś jednak – pewnie ta jego idiotyczna dobroduszość – nie pozwalało mu zostawić odchodzącego od zmysłów człowieka. Uległ poczuciu odpowiedzialności.

– Sheila, tu Ryan. Ryan Caswell! – prawie krzyczał do słuchawki. – Wiesz, gdzie jest Hannah? Jestem na dworcu. Miała przyjechać pociągiem z Hull czterdzieści pięć minut temu, ale... Tak. Nie, nie ma jej tu. Dlaczego?

Nasłuchiwał.

– Nie rozumiem... Możesz przestać się jąkać? Wiesz, gdzie ona jest, czy nie? Posłuchaj, Sheila, jeśli Hannah cokolwiek się stało, a ty przez źle rozumianą przyjaźń nie chcesz nic powiedzieć, czekają cię kłopoty. Poważne kłopoty, mogę ci to obiecać!

„Facet rzeczywiście jest mało sympatyczny – pomyślał Dustin. – Widocznie ta Sheila coś wie i zaczyna kręcić, ale wywieranie presji nic tu nie pomoże. Ten Caswell nie potrafi jednak zachować się inaczej. Widać to nawet po jego rysach twarzy. Zgorzkniały. W chronicznie złym humorze. W niezgodzie z sobą i całym światem”.

Caswell wciąż słuchał. Wtem zaczął łapać powietrze.

– Co? Co powiedziałaś?

„Ojej, ojej” – pomyślał Dustin.

– Z *kim* pojechała?! – wykrzyknął Caswell. Nieliczni podróżni stojący na peronach odwrócili się w jego stronę.

– To niemożliwe. Nie wierzę...! A teraz zniknęła! Zaginęła! – Caswell przerwał nagle rozmowę i odwrócił się twarzą do Dustina. Wyglądał, jakby osobiście spotkał diabła.

– Pojechała z Kevinem Bentem! Samochodem!

Dustin nie wiedział, kim jest Kevin Bent, lecz najwyraźniej fakt, że dziewczyna wsiadła do samochodu tego człowieka, był dla Ryana Caswella czymś w rodzaju najcięższej zbrodni.

– To groźny przestępca. Jego brat został oskarżony o gwałt. – Caswell już wystukiwał numer na klawiaturze telefonu. – Natychmiast dzwonię na policję!

CZĘŚĆ PIERWSZA

Piątek, trzynasty października 2017 roku

I

– Potwory! – stwierdziła starsza kobieta, wykrzywiając z odrazą twarz. – Dobry Boże. Od samego początku uważałam pani lokatorów za dziwaków. Miałam złe przeczucia.

Kate Linville stała w pokoju dziennym rodzinnego domu w Scalby, na przedmieściu Scarborough, i z konsternacją rozglądała się dokoła. Była policjantką, niejedną potworność już w życiu widziała, a jednak to, co zobaczyła, przerosło wszelkie wyobrażenie: rozrzucone po kątach puste puszkę po konserwach, nadgryzione kawałki pizzy na papierowych talerzach, przewracane butelki alkoholu, który pozostawił na dywanie ogromne, brzydkie plamy. Kocia toaleta, której nikt nie sprzątał od miesięcy. Stosy ubrań. Porzucona na okiennym parapecie bielizna. Wymiociny na fotelu. A do tego obsceniczny tekst, nabazgrany na ścianie czymś, co z barwy przypominało zaschniętą krew, czytelny tylko częściowo, zawierający jednak co najmniej pięciokrotnie powtórzone słowo *fuck*.

– O Boże – westchnęła Kate. Czy widok ten istotnie był gorszy niż wszystko, co dotąd ujrzała? Czy może dotknął ją do żywego i dlatego wydawał się tak okropny? Pewnie by się rozplakała, gdyby nie stojąca obok sąsiadka. Kate rzadko uzewnętrzniała swoje uczucia w obecności innych osób.

– Kuchnia wygląda jeszcze gorzej – stwierdziła sąsiadka. Dysponowała zapasowym kluczem, przechowywała go jeszcze za życia ojca Kate – i tak już pozostało. To ona zatelefonowała do Kate do Londynu.

– Nie widziałam pani lokatorów od dwóch tygodni. Przed drzwiami piętrzą się butelki mleka. Skrzynka pocztowa jest przepelniona. Słyszałam miauczenie kota. Coś tu nie gra. Czy mam do nich zajrzeć?

Kate przytaknęła. Dwadzieścia minut później sąsiadka zadzwoniła ponownie.

– Powinna pani przyjechać. I to szybko!

Kate, sierżant śledcza ze Scotland Yardu, postanowiła wziąć kilka dni urlopu, czym wprawiała w osłupienie swojego szefa, ze względu na ogrom pracy w całym wydziale.

– Dom odziedziczyłam po ojcu. Wynajęłam go. Lokatorzy najwyraźniej się ulotnili,

pozostawiając po sobie totalne spustoszenie. Muszę się tym zająć, nic na to nie poradzę.

Szef był poirytowany.

– Myślałem, że dom już dawno pani sprzedała.

– Jeszcze nie – musiała przyznać Kate.

Urlop ostatecznie dostała. Gdy razem z sąsiadką weszła do kuchni, aż się wzdrygnęła z powodu bałaganu i odoru – zgoła gorszego niż na wysypisku śmieci. Zaczęła się zastanawiać, czy nie jest to przypadkiem rachunek wystawiony za jej słabość. Owszem, chciała sprzedać dom. Na to się jednak nie zdobyła. Postanowiła go wynająć, choć wiedziała, że same z tym kłopoty. Domy generują koszty, wymagają nieustannych napraw, a jeśli ma się pecha, trafiają się lokatorzy, którzy dzwonią z powodu kapiącego kranu czy skrzypiącej deski w podłodze, domagając się natychmiastowej interwencji. Mimo wszystko zaryzykowała. Nie przypuszczała jednak, że będzie świadkiem takiej katastrofy. Nie potrafiła się pozbyć domu rodziców, jeszcze nie teraz. W tym domu po długiej, ciężkiej chorobie zmarła jej matka. W tym domu w bestialski sposób zamordowano jej ojca. Trzy lata wcześniej Kate prowadziła śledztwo w sprawie tego zabójstwa. Dowiedziała się przy tym sporo o przeszłości ojca, co wywołało u niej wstrząs i wypaczyło jego wizerunek. A jednak... Nie zdołała się przemóc. Nie potrafiła się od tego uwolnić.

– Dziwnym trafem zawsze to ja odkrywam kłopoty – wyznała sąsiadka. Wyjęła chusteczkę i przyłożyła ją do nosa. – Co za okropny smród! Wtedy to ja znalazłam pani zamordowanego ojca. Również i tym razem zauważyłam, że coś jest nie w porządku. Zawsze ja! – Zabrzmiało to niemal jak wyrzut.

„No cóż, nieustannie zajmuje cię wszystko, co się wokół ciebie dzieje – pomyślała rozdrażniona Kate. – Nikt nie może nawet kiwnąć palcem bez twojej wiedzy!”

Usiłowała ukryć swoją złość. niesprawiedliwie ocenia starszą kobietę. Winna jej raczej wdzięczność.

– Mam nadzieję, że po raz ostatni musiała się pani zmierzyć z tak niemiłym odkryciem.

– Kto wie... – Sąsiadka wzruszyła ramionami. Kate domyślała się, że w rzeczywistości starsza pani lubi takie sytuacje. Nareszcie jakieś urozmaicenie w jej monotonnym, samotnym życiu.

Obie kobiety kontynuowały deprymujący obchód domu. Wszędzie to samo, nawet w sypialniach na piętrze. Przede wszystkim brudne ubrania i spleśniała żywność.

Wyrwane ze ścian kable elektryczne, odkręcone uchwyty w oknach, zepsute klamki. Drzwi do łazienki zostały wyważone i wisiały krzywo na jednym nienaruszonym zawiasie. W łazience od dawna nikt nie spłukał toalety, odór momentalnie podrażnił żołądek Kate. Dostrzegła własne odbicie w lustrze nad umywalką: poblądła twarz szklila się od potu. Włosy nad czołem były wilgotne.

– To... niepojęte – wyznała z trudem.

Sąsiadka, wciąż zakrywając nos chusteczką, skinęła głową.

– Wanna jest kompletnie zapaskudzona – mruknęła niewyraźnie.

W wannie woda stała po kostki. Na powierzchni unosiło się coś, co przypominało wymiociny.

– Co oni tu wyprawiali? – zastanawiała się przerażona Kate.

Poznała swoich lokatorów. Mężczyzna i kobieta, oboje około trzydziestki. Nieszczególnie sympatyczni, choć nie aż tak bardzo nieprzyjemni. Może trochę podejrzani. On oświadczył, że właśnie szuka jakiegoś zajęcia, ona przedłożyła umowę o pracę w firmie budowlanej i potrafiła wykazać stały dochód. Czynnosc, choć nie zawsze w terminie, opłacali. Kate była zadowolona, gdyż nigdy jej nie niepokoiili. Nie zgłaszali żadnych zastrzeżeń i zgodzili się wynająć dom wraz z umeblowaniem.

„Może fakt, że nie posiadali własnych mebli ani nigdy się nie skarżyli, powinien był wzbudzić moją podejrzliwość” – pomyślała Kate.

W dawnej sypialni rodziców znalazła kota, widocznie pozostawionego bez opieki. Mały, drobny, kruczoczarny. Przeżył, bo pewnie żywił się resztkami jedzenia. Wyglądał na zaniedbanego. Leżał na niezasałanym łóżku zagrzebany w pobrudzonej pościeli i cicho popiskiwał.

– Nie zatroszczyli się nawet o własnego kota – stwierdziła Kate.

– Przyniosłam mu wczoraj trochę mleka – odparła sąsiadka. – Ale nie mogę go zabrać do siebie. Jestem uczulona na sierść! – Jakby na potwierdzenie tych słów kichnęła.

Kate poczuła przemożne, niemal obezwładniające pragnienie, by przykucnąć w kącie, ukryć twarz w dłoniach i zaczekać, aż przyjdzie ktoś, kto jej powie, że wszystkim się zajmie, a ona niczym nie musi się martwić. Pragnęła cudu, który sprawi, że cały ten brud i spustoszenie rozpląną się w powietrzu, że ten niewielki, ładny dom, w którym dorastała, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki na powrót przemieni się w przytulną, bezpieczną przystań, którą zawsze dla niej był. Przez wszystkie te lata Kate hołubiła w sobie owo poczucie pewności i bezpieczeństwa, jakie ją napełniało, kiedy tu przyjeżdżała – uciekając od chłodu swego londyńskiego mieszkania,

samotnego życia oraz problemów zawodowych, by zanurzyć się w przeszłości, która wciąż potrafiła ogrzać. W tej właśnie chwili zrozumiała jednak, że nigdy już tak się nie stanie. Nawet jeśli naprawi wszelkie szkody, wszystko odnowi i uporządkuje, pozostanie głęboka rana. Już druga, po zamordowaniu jej ojca. Dawna atmosfera tego domu już nigdy nie powróci.

Nikt nie przyjdzie jej pomóc. Została sama ze swoimi problemami. Wzięła się w garść. Nie mogła się skulić w kącie pokoju. Musiała przemyśleć dalsze kroki.

Jedynym szczęściem w tym nieszczęściu było złożone przez lokatorów wypowiedzenie, leżące na stole w pokoju dziennym i zaadresowane do Kate. Chciała je jeszcze pokazać prawnikowi, lecz zakładała, że dzięki niemu znów będzie miała wyłączne prawo do rozporządzania domem. Wypowiedzenie umowy najmu lokatorom, których miejsce pobytu nie jest znane, pociągnęłoby za sobą wiele dotkliwych problemów.

– Gdzie się pani zatrzyma przez najbliższe dni? – zapytała sąsiadka. – Tutaj nie może pani mieszkać.

– Poszukam jakiegoś pensjonatu. O tej porze roku znajdzie się wiele wolnych pokoi. Potem wynajmę firmę sprzątającą. Pozbędę się wszystkiego. Nic innego nie ma chyba sensu.

– To będzie kosztować!

– Zgadza się. Ale nie mam wyboru.

– Pozwie pani lokatorów?

Kate skinęła głową.

– Oczywiście. Choć nie mam złudzeń, że się odnajdą. Pewnie wyjechali już z Anglii.

– Musieli oszaleć – przyznała sąsiadka, wzdrygając się.

Kate zeszła do pokoju dziennego, który, choć w okropnym nieładzie, wyglądał najbardziej znośnie ze wszystkich pomieszczeń. Usiadła na brzegu sofy, wyjęła laptop i wyguglowała oferty noclegów w najbliższej okolicy. Znalazła pensjonat położony niedaleko Scarborough North Cliff Golf Club. Rzut kamieniem od Scalby, a do tego blisko morza.

À propos kota: zwierzęta domowe były tam mile widziane. Kate nigdy kota nie miała, nie mogła go jednak zostawić w tym zdewastowanym domu, wzbraniała się też przed oddaniem go do schroniska. Zabierze zwierzę z sobą. Może później znajdzie się ktoś, kto je zatrzyma.

Zadzwoiła do pensjonatu. Powiedziano jej, że może zająć pokój w każdej chwili

i zostać, jak długo zechce.

– Jest pani obecnie naszym jedynym gościem – oznajmiła przez telefon sympatyczna kobieta. – Cieszymy się z pani przyjazdu.

Kate zostawiła walizkę w samochodzie. Poszukała czegoś, w czym mogłaby przewieźć kota. W kuchni znalazła nosidełko. Było zapaskudzone, jak wszystko wokół. Wyszorowała je gorącą wodą i resztką płynu do mycia naczyń. Miała nadzieję, że w pensjonacie znajdzie się jakiś koc, który posłuży za materac, bo tu, w domu, nie miała nic przydatnego.

Razem z sąsiadką wyszła przed dom, starannie zamknęła za sobą drzwi. Był pogodny jesienny dzień, październikowe słońce jaśniało na błękitnym niebie, poprządkanym tu i ówdzie strzępami białych obłoków. Liście drzew w przydomowych ogródkach wzdłuż ulicy mieniły się czerwienią i złotem.

„Mimo wszystko – pomyślała Kate – nadal panuje tu błogi spokój”.

Samochód dostała w spadku po ojcu. Przywiązała się do niego, jak do wszystkiego, co niegdyś do niego należało. Jak ten dom. Ranę, jaką mu zadano, odczuwała niemal jak ból własnego ciała.

– Będziemy w kontakcie – usłyszała od sąsiadki.

Nosidełko z kotem umieściła na tylnym siedzeniu, sama usiadła za kierownicą.

„Doprowadzę wszystko do ładu. A potem sprzedam dom. Jak najszybciej”.

2

Świadomość zbliżającego się terminu zadręczała Carol Jones przez cały dzień. W piątek w siedzibie opieki społecznej w Scarborough panowała nerwowa atmosfera, a mimo to nie potrafiła zagłuszyć w myślach sprawy Allardów. Cichy, dokuczliwy głos z tyłu głowy nieustannie podszeptował: *Musisz dziś pójść do Allardów! Musisz dziś pójść do Allardów! Musisz...*

Piątkowe popołudnie, prawie pół do piątej. Niemal wszyscy koledzy rozpoczęli już weekend, pozostali właśnie pakowali swoje rzeczy i czym prędzej wychodzili. Carol apatycznie wsunęła do torby laptopa.

W drzwiach pojawiła się Irene Karimian, jej szefowa. Miała na sobie płaszcz, a na ramieniu torebkę.

– Wychodzę. Pamiętaj pani o Allardach, Carol?

– Oczywiście. Zaraz tam pojedę. – Carol starała się, by w jej głosie zabrzmiały motywacja i zaangażowanie, nie chciała, by Irene zauważyła jej kiepski nastrój.

Obie kobiety razem opuściły szary, nieco posępny budynek w centrum miasta. Irene, żona bogatego męża, wsiadła do mercedesa, Carol zaś do małego, rozklekotanego renaulta. Zawsze wstrzymywała oddech, uruchamiając silnik. Dzięki Bogu dziś okazał się dla niej łaskawy. Piątek, trzynastego. Wcale by się nie zdziwiła, gdyby zastrajkował.

Allardowie mieszkali niedaleko siedziby opieki społecznej, przy Roscoe Street, długiej, ponurej ulicy, wzdłuż której ciągnął się sznur mizernych, wąskich szeregowców, pilnie wymagających remontu, na który właścicielom brakowało funduszy. Liche okna, przez które zimą uciekało ciepło, do wnętrza zaś wnikało wilgotne morskie powietrze. Wybetonowane podwórka wielkości kąpielowego ręcznika. Z drzwi wejściowych odpadał złuszczony lakier, w przeszklonych wykuszach wisiały brudne firanki – gdyby nie one, domownicy równie dobrze mogliby siedzieć wprost na ulicy, wystawieni na widok przechodniów. Na piętrze każdego domu widniało pojedyncze okno. Dachy miały niewielkie skosy, uniemożliwiające jakąkolwiek rozbudowę. Carol wiedziała, że na tyłach mieściły się kuchnie, ich drzwi wychodziły na podwórka, przylegające murem do podwórzy sąsiedniego szeregu domów. Niektórzy mieszkańcy założyli trawniki, kilkoro zasadziło nawet kwiaty i warzywa. Allardowie od razu wysmołowali swoje podwórko. Składowali tam wszystko, czego akurat nie potrzebowali. Rdzewiejącą pralkę, zniszczoną i butwiejącą starą sofę. Pomiedzy nimi suszyło się pranie, zazwyczaj wisiało tam nawet w czasie deszczu. Na piętrze mieściły się sypialnia rodziców, łazienka oraz pokój, który wspólnie zajmowały obie córki, Mandy i Lynn.

Czternastoletnia Mandy od początku tygodnia nie przychodziła do szkoły, mimo dwukrotnego wezwania rodzice nie usprawiedliwili jej nieobecności. Dyrektorka zwróciła się w tej sprawie do opieki społecznej, wiedziała bowiem, że rodzina znajduje się pod jej opieką. Problemów nie brakowało; dziewczęta często chodziły zaniebane, nie usprawiedliwiały swych nieobecności, a dwa lata wcześniej Mandy w trakcie kłótni z matką złamała sobie rękę – nigdy nie udało się wyjaśnić, czy był to nieszczęśliwy wypadek, czy może doszło do rękoczynów. Rozważano nawet możliwość oddzielenia siostr od rodziny, ale jednak zarzucono to rozwiązanie. Trudno było o miejsce w rodzinie zastępczej, pobyt zaś w placówce opiekuńczej zalecano wyłącznie w razie najwyższej konieczności. Irene poleciła Carol zająć się rodziną Allardów i bacznym okiem ją obserwować. Carol była zdeterminowana, by nikogo nie zawieść. Ani Irene, ani obu dziewcząt, ani też samej siebie.

Musiała zaparkować w pewnej odległości, tuż przed siłownią mieszczącą się w nad wyraz nędznym, podłużnym budynku. Duże plakaty zachwalały ofertę. *Personal Trainer* kuśił jaskrawoczerwonymi literami w witrynie z mlecznego szkła. Carol westchnęła. Narzekała na swoją sylwetkę, być może osobisty trener byłby akurat strzałem w dziesiątkę. Brakowało jej jednak zapалу, by wieczorem, po ciężkim dniu w pracy, wypełnić kolejny wyczerpujący punkt programu.

Carol ruszyła ulicą, przeszła na drugą stronę i przystanąła przed domem Allardów. Okno we wszechobecnym wykuszu firanka zasłaniała jedynie w połowie, gdyby się schylić, można by zajrzeć w głąb pokoju. Carol bez trudu rozpoznała migotliwe błękitne światło włączonego telewizora. Przynajmniej kogoś w domu zastała. O to zresztą wcale nie było trudno. Marlon Allard, głowa rodziny, pracował tylko dorywczo, gdy na budowie brakowało rąk do pomocy, Patsy Allard z kolei, ekspedientkę w drogerii, zwolniono za kradzież. Od tej pory była bezrobotna i tyranizowała rodzinę. To ona stanowiła źródło problemów. Marlon czasem wypijał za dużo, był jednak ospały i spokojny. Patsy natomiast była istną furiatką. Nie znosiła własnego życia, nienawidziła męża. Zaklinała się wprawdzie, że kocha swoje dzieci, często jednak to na nich wyładowywała własne frustracje.

Carol trochę się jej bała. A Patsy to wyczuwała. Mało komfortowa sytuacja.

Zadzwoniła do drzwi, ściągnęła ramiona. Była przygotowana na najgorsze. Niejeden już raz Patsy Allard powitała ją kanonadą okropnych wyzwisk.

Drzwi szybko otwarto. W progu stanęła Patsy. Niska, wychudła. Włosy farbowane na blond, szare odrosty. Przed laty musiała być atrakcyjną kobietą, jednak frustracja wypełniająca jej życie pozostawiła głębokie rysy. Wyglądała na strapioną. I znacznie starszą niż te trzydzieści dziewięć lat, jakie sobie liczyła. Niejedna pięćdziesięciolatka sprawiała wrażenie znacznie od niej młodszej. Miała na sobie obcisłe džinsy i o wiele za dużą niebieską sportową bluzę, która dodatkowo podkreślała jej wychudzoną sylwetkę.

– Tak? – odezwała się nieprzyjaźnie.

Carol się uśmiechnęła. Nie uniżenie, lecz sygnalizując gotowość do zgodnego rozwiązania problemów, jakie mogą się pojawić.

– Witaj, Patsy. Jak się pani miewa?

– Niby jak mam się czuć? Cholernie kiepsko, jak zawsze. Dziękuję uprzejmie.

– Czy Marlon ma pracę?

– Nie. Ja też nie. Lynn od ośmiu tygodni uczy się zawodu. Ale o tym pani wie.

Carol oczywiście wiedziała. To opieka społeczna wystarała się dla szesnastoletniej

Lynn o praktykę w stolarni.

Przynajmniej o jednego członka rodziny nie trzeba się obecnie martwić.

Carol wiedziała z doświadczenia, że Patsy nie zaprosi jej do środka. Sama musiała o to zapytać. Dopisze jej szczęście – albo spotka pech.

– Mogę wejść?

– Marlon ogląda właśnie w telewizji mecz futbolu. Nie możemy usiąść w pokoju dziennym.

– Chętnie usiądę w kuchni.

Patsy westchnęła, zrobiła jednak krok w tył.

Carol weszła do przedpokoju, wąskiego i ciemnego, dwoje ludzi mieściło się tam wyłącznie gęsiego. Wnętrze domu sprawiało wrażenie porządnie wysprzątanego. Allardowie wynosili stare graty na podwórko, wewnątrz starali się zachować jako taki porządek. Ze względu na małą przestrzeń nie mieli zresztą innego wyjścia.

Kuchnia była niewielka, w kącie zmieścił się jednak kwadratowy drewniany stół z czterema krzesłami. Carol usiadła bez pytania. Patsy ponownie westchnęła, ostentacyjnie oparła się o kuchenkę.

– Mam dziś jeszcze sporo do zrobienia – oświadczyła.

– Bez obaw, Patsy, sama marzę o weekendzie – wyjaśniła uprzejmie Carol. – Tylko że... Zadzwonili do nas ze szkoły. Od poniedziałku Mandy nie pojawia się w klasie. Bez usprawiedliwienia. Sekretariat szkoły dwukrotnie wezwał panią mailowo w tej sprawie, lecz pani nie zareagowała.

– I co?

– Wie pani, że nieobecność dziecka w szkole musi być usprawiedliwiona przez rodziców.

– Okay. Wyślę im maila. To wszystko?

– Co się dzieje z Mandy?

– Ma grypę. Typowe o tej porze roku.

Październik był jak dotąd nad wyraz łagodny, nie odnotowano też żadnej epidemii. Carol skinęła jednak głową.

– Biedactwo. Leży w łóżku?

– No pewnie.

– Mogę do niej zajrzeć?

Patsy aż zmrużyła oczy.

- Śpi. Nie będziemy jej budzić.
- Nie obudzi się, jeśli tylko rzucę na nią okiem.
- Obudzi ją skrzypienie podłogi na schodach. Te stopnie...
- Mimo to chciałabym ją zobaczyć.
- Przykro mi – oznajmiła Patsy.

Carol podniosła się z miejsca.

- Czy to oznacza: *nie*?
- Zgadza się.

Patsy znała swoje prawa. Wiedziała, że Carol nie może samowolnie wejść na górę. W ostateczności mogła to zrobić wyłącznie w obecności sił policyjnych, które z kolei musiały posiadać nakaz sądowy. Okoliczności nie uzasadniały podjęcia tak drastycznych środków.

– Patsy, wiemy o tym nieprzyjemnym zdarzeniu – powiedziała Carol. – Złamana ręka Mandy...

- Minęły już dwa lata.
- Ale to pani złamała jej rękę. To nie błahostka.
- Nieszczęśliwie upadła.
- Pchnęła ją pani na ścianę.
- Doszło do sprzeczki.
- Kłótnie rodziców z dziećmi nigdy nie powinny przybierać takich rozmiarów, nie mogą kończyć się dla dziecka złamaniami.
- To był wypadek.
- Martwię się o Mandy.
- Ma grypę. To wszystko.
- Wezwała pani lekarza?
- Aż tak źle nie jest. Parę dni w łóżku i znów stanie na nogi. – Patsy panowała nad sobą. Czy nie zanadto? Carol odniosła wrażenie, że nie jest całkiem szczerą.
- Proszę się skontaktować ze szkołą – powiedziała z rezygnacją.
- Postaram się – zapewniła Patsy. Obie kobiety podeszły do drzwi. Z pokoju dziennego dobiegał głos sprawozdawcy sportowego.

„Coś tu jednak nie gra” – pomyślała Carol. Znała Patsy, kobieta zazwyczaj nie przejmowała się snem swojej córki, aż tak troskliwą matką nie była. Nie wpuściła Carol

na górę z zupełnie innego powodu.

Pozostała jeszcze Lynn, starsza siostra. Carol postanowiła, że w najbliższy poniedziałek odwiedzi ją w warsztacie, w którym odbywała praktykę. Odkąd skończyła szkołę, Lynn usiłowała zdystansować się wewnątrz od własnej rodziny, siostry jednak nie pozostawi własnemu losowi. Jeśli Mandy przytrafiło się coś poważnego, Lynn nie zdoła utrzymać języka za zębami.

Carol wyszła na ulicę. Zmierzchało. Wiatr zmienił kierunek na wschodni, jego chłodniejszy podmuch niósł z sobą zapach morza.

– Proszę do mnie zadzwonić, kiedy tylko będzie pani chciała porozmawiać – przypomniała. – Proszę. Rozmowa to zawsze dobre rozwiązanie. A z pewnością lepsze niż tuszowanie spraw.

– Jasne. Zadzwonię – odparła Patsy. Jej oczy mówiły jednak coś zgoła innego: *Spadaj. Prędzej przeniesiemy się wszyscy na Marsa, niż do ciebie zadzwonię!*

Carol wróciła do samochodu, usiadła za kierownicą. Za wycieraczką tkwiła ulotka dostawcy pizzy. Wpatrywała się w tę ponurą ulicę.

Martwiła się o Mandy Allard.

Zastanawiam się, kiedy ją odnajdą. Przed oczami wciąż mam jej obraz. Z czasów, kiedy jeszcze żyła.

Nie była jakoś szczególnie ładna, miała jednak w sobie coś sympatycznie dziecięcego. Od dnia naszego spotkania minął już prawie rok.

Czysty przypadek, że tamtego wieczoru przejeżdżam akurat tą mroczną ulicą. Chcę ominąć korek na głównej szosie, spowodowany pracami budowlanymi. Zazwyczaj nie zapuszczam się w tę cichą dzielnicę. Choć tak naprawdę nie wierzę w ślepe przypadki. Wszystko, co nas w życiu spotyka, ma swoje uzasadnienie, to pewne. Tamtego wieczoru nasze spotkanie było po prostu nieuniknione.

Nie chce wsiąść, choć jest ciemno i siąpi deszcz, a ja proponuję, że odwiozę ją do domu.

– Jak masz na imię? – pytam.

– Saskia – odpowiada. Spogląda na mnie nieufnie. Wsiadam i staję tuż przed nią. Gdyby się odwróciła i próbowała uciec, jednym ruchem zdołam ją chwycić i przytrzymać.

Podczas rozmowy obserwuję ulicę, okoliczne domy, mroczne ogródki. Muszę mieć się na baczności, gdyby ktoś się pojawił. W taki wieczór, w taką pogodę nikt bez powodu nie wyścibia nosa z domu – prócz właścicieli psów, a jest ich całe mnóstwo. Wychodzą o najbardziej nietypowych porach i przy najgorszej nawet aurze.

Widocznie nawet psy nie mają dziś ochoty na spacer. Wszędzie panuje cisza. W oknach palą się światła. Nikogo jednak nie widać.

– Muszę już iść – mówi Saskia, łapiąc powietrze.

Ma stracha. Wyczuwam to. Lecz nie jest z tych, które zaczną wrzeszczeć albo kopnąć mnie w goleń. Na to jest zbyt nieśmiała. Zbyt grzeczna. Takie dziewczynki uczą się dobrych manier i poprawnych zachowań – i to działa, póki obracają się w swoich kręgach, to znaczy wśród podobnych sobie ludzi. Kiedy jednak przyjdzie im się zmierzyć z niebezpieczeństwami życia, z jego otchłaniami, dziewczęta te czują się zagubione. Po prostu nie dostały na drogę nic, co mogłoby im posłużyć za tarczę i broń. Są bezradne.

Saskię z pewnością uczono, by pod żadnym pozorem nie wsiadała z obcymi ludźmi do samochodu. Kiedy jednak jakiś obcy stoi tuż obok, najwyżej o stopę, gdy wyczuwa jego determinację, a niebezpieczeństwo czai się tuż-tuż... tego jej nie uczono. Może powiedziano jej, że powinna uciekać. Lecz ona instynktownie wyczuwa, że to bezcelowe.

W gruncie rzeczy już wie, że przegrała.

Chce mnie wyminąć, lecz od razu zastępuję jej drogę.

– Proszę... – szepcze.

– Wsiadaj – odpowiadam. Tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Zaczyna płakać.

Chwytam ją za ramię, nie broni się. Instykt mnie nie zawiódł, tę dziewczynkę nauczono robić to, co jej się powie. W domu zbiera za to pochwały, jest kochana i hołubiona, a rodzice wciąż okazują, jak bardzo są dumni, że mają taką grzeczną córkę. Ludzie pokroju rodziców Saskii nie biorą pod uwagę, że ich dziecko już zawsze pozostanie grzeczne. Zawsze.

Mój uścisk jest mocny, nie bolesny, lecz zdecydowany. Wygrana, wiem o tym. Nawet gdyby nagle zaczęła krzyczeć, zdołam ją wepchnąć do samochodu i odjechać, zanim ludzie z okolicznych domów zdążą się podnieść z foteli przed telewizorem, włożyć pantofle i podejść do okna.

Ona jednak nie krzyczy. Sadzam ją na fotelu pasażera i zapinam pas. Zauważam beżowe rajstopy, brązowe buty i jakiś kwiecisty materiał, widocznie sztruksowej sukienki.

Saskia nie jest jeszcze w wieku, w którym dziewczęta noszą podarte dżinsy, odłaniające brzuch topy i mocny makijaż. Nie uważam, że są nieatrakcyjne. W wieku Saskii są jednak bardziej posłuszne.

I uległe.

Drzwi od strony pasażera wyposażone są w zabezpieczenie przed dziećmi. Saskia nie zdoła wyskoczyć z samochodu na skrzyżowaniu i poprosić przechodnia o pomoc.

Wciąż płacze. Po cichu.

Wsiadam, uruchamiam silnik. Wycieraczki równomiernie przecierają przednią szybę.

Ruszamy przez miasto. Zauważam, że Saskia w napięciu spogląda przez okno. Zatrzymujemy się na światłach tuż przy innym samochodzie. Widzę, że szuka kontaktu wzrokowego z jego kierowcą. Za nic w świecie nie pozwolę, by potem, gdy jej zdjęcie ukaże się we wszystkich gazetach, przypomniał on sobie zapłakaną twarz dziecka, które przez mokrą od deszczu szybę rozpaczliwie się w niego wpatrywało.

– Patrz na mnie! – rozkazuję.

Natychmiast odwraca się w moją stronę. Dygocze ze strachu. Już dawno zrozumiała, że nie zawiozę jej do domu, odległość od jej dzielnicy jest już zbyt duża. Zresztą ona nie jest głupia. Czuje, że to będzie dłuższa historia. Znacznie dłuższa.

– Dokąd jedziemy? – pyta drżącym głosem.

Uśmiecham się do niej. Chcę wzbudzić jej zaufanie. W przeciwnym razie wszystko na nic.

– Do nowego domu – odpowiadam łagodnie.

Zwiesza głowę, zaczyna szlochać. Wyciągam rękę, kładę dłoń na jej ramieniu. Czuję, jak przestaje dygotać, zamiast tego drętwieje.

– Nie musisz się bać. Spodoba ci się, zobaczysz. Wszystko będzie dobrze.

Płacze.

Gdyby człowiek wiedział, że płakać nie przestanie, i to całymi miesiącami... Nie zadawałby sobie tyle trudu.

Nie zejść do piwnicy. Niełatwo mi to znieść. Ale tam nie pójdę. Tak będzie lepiej.

Sobota, czternasty października

I

Kiedy jej córka przestała być słodką małą dziewczynką, która zrywa kwiatki i maluje obrazki?

Deborah Goldsby zerknęła ukradkiem na córkę. Siedziała za kierownicą, czternastoletnia Amelie na siedzeniu pasażera. W uszach słuchawki, smartfon w kieszeni džinsów. Długie blond włosy zarzucone na twarz niemal zupełnie ją zakryły. Skrzyżowane ramiona, zwieszona głowa. Jej poza, całe jej ciało mówiło: *Zostaw. Mnie. W. Spokoju.*

Nie ma nic przyjemniejszego od robienia zakupów w sobotnie przedpołudnie w towarzystwie młodego człowieka, równie nimi zainteresowanego jak w tej chwili Amelie. Deborah próbowała zostawić ją w domu, wolałaby sama wybrać się do sklepu. W poniedziałek rozpoczyna się wycieczka klasowa. Miała długą listę sprawunków.

– Sama mogę się tym zająć – oznajmiła przy śniadaniu, jednakże Jason, jej mąż, kategorycznie się temu sprzeciwił.

– To *jej* wycieczka. To *ona* potrzebuje wszystkich tych rzeczy. I *ona* ma się tym, do cholery, zająć!

– Sama nie da rady...

– Dlatego ją zawieziesz. Pójdiesz razem z nią. I za wszystko zapłacisz. Lecz drażni mnie myśl, że ty godzinami biegasz po mieście, podczas gdy ona do popołudnia wyleguje się w łóżku. To jej sprawa i dlatego powinna wykazać choć odrobinę zaangażowania. Inaczej nigdy się nie nauczy brać za siebie odpowiedzialności.

Jason miał naturalnie rację. Ale to nie on musiał przez następne godziny znosić humory Amelie.

– Dobrze – zgodziła się Deborah. – Ale to ty ją obudzisz!

Ona tymczasem nakryła w jadalni do śniadania. Rodzina Goldsbych spożywała posiłki w kuchni; ładne, przestronne pomieszczenie z przeszklonym frontem i widokiem na morze było przeznaczone dla gości. Ściśle mówiąc, w oddali można było dostrzec zaledwie wąski pas wybrzeża, przed nim rozciągał się płaskowyż porośnięty

falującą na wietrze trawą i karłowatymi krzewami. Deborah była nim zachwycona, to dlatego piętnaście lat wcześniej uparła się, by kupić dom przy końcu ulicy – choć był za duży i zbyt drogi, przez co „będą go musieli spłacać do samej śmierci”, jak ponuro zauważył Jason. Deborah ostatecznie postawiła na swoim („jak zawsze”, stwierdził Jason tonem tylko po części wesołym). Potem urodziła się Amelie, wcześniak, dziecko słabe i chorowite, wymagające ustawicznej opieki. Deborah zrezygnowała z pracy nauczycielki w szkole średniej, by zająć się córką, Jason z kolei, lekarz pierwszego kontaktu w dużej przychodni, popadł w finansowe tarapaty z powodu odsetek hipotecznych. Ucierpiało na tym ich małżeństwo, Deborah doskonale to pamiętała. Jason wyrzucał jej, że namówiła go do zakupu zbyt drogiego domu, uważał też, że nadmiernie i zupełnie niepotrzebnie zamartwia się Amelie. Chcąc jakoś załagodzić sytuację, Deborah wpadła na pomysł urządzenia w domu pensjonatu *bed & breakfast*. Przygotowała dla gości trzy pokoje, a składzik na piętrze zamieniła we wspólną łazienkę. By sfinansować przebudowę, jeszcze bardziej się zadłużyli, Deborah argumentowała jednak, że nakłady te szybko się zwrócą.

– Nareszcie znów mam jakieś zajęcie. Mogę pracować w domu i jednocześnie zajmować się Amelie!

– Po domu i ogrodzie ciągle będą się szwendać obcy ludzie, a zamiast normalnej jadalni mamy... restaurację – szemrał Jason.

Dał jednak za wygraną. Pieniądze były im pilnie potrzebne.

Pomysł nie okazał się chybiony. W trakcie letnich miesięcy, od początku maja do końca września, nierzadko mieli komplet. Deborah zatrudniła pomoc do sprzątania pokoi, sama z zapałem robiła zakupy, troszczyła się o bufet śniadaniowy oraz kolację. Poznając nowych ludzi, wyzbyła się poczucia, że jako matka trudnego dziecka skazana jest na całkowite osamotnienie. Nie sposób jednak ukryć faktu, że Jason nadal nie był zadowolony z obecności w domu obcych ludzi. Jesienią i zimą, pocieszała się Deborah, zazwyczaj są sami – bo i któż o tej chłodnej i mokrej porze roku wyjeżdża na północno-wschodnie wybrzeże Anglii? W trakcie owych miesięcy byli rzecz jasna pozbawieni dochodu, co nie poprawiało ich sytuacji finansowej. Deborah pogrążała się w ponurym nastroju. Jej mąż przez cały dzień przebywał poza domem, córka przez jakieś trzy czwarte dnia – ona zaś zostawała sama i zastygała bez ruchu przed kuchennym oknem, gapiąc się na łąkę, która tak ją niegdyś zauroczyła, łąkę, po której, dudniąc o okiennice, przetaczały się burze nadciągające ze wschodu. Chodziła na długie spacery brzegiem morza, ciepło opatulona, w przeciwsłonecznych okularach, osłaniających łzawiące na wietrze oczy. Nieustannie powtarzała sobie, że wszystko się ułoży, że powróci wiosna,

że znów zjawią się goście, a chwile samotności stanowią element życia, *fazę rozładowania napięcia*, z której powinna się cieszyć. Całymi dniami niemal bez przerwy mówiła wówczas sama do siebie. W istocie wcale się nie relaksowała. Zażarcie broniła się przed ponurymi nastrojami. Pod koniec każdej zimy czuła się kompletnie wyczerpana.

Tymczasem, choć nastał już październik, niespodziewanie podejmowali gościa. Rzadki to traf, nastrój Deborah natychmiast się poprawił. Kobieta z kotem. Musiała się zająć swoim domem w Scalby, wynajmujący go lokatorzy ulotnili się, pozostawiając po sobie zatrwazające spustoszenie. Kobieta przyjechała poprzedniego dnia, sprawiała wrażenie zdeprymowanej i zatroskanej. Dom jej zmarłego ojca... Deborah domyślała się, jak trudne były dla niej te chwile.

Sporządzili długą listę rzeczy niezbędnych Amelie na wycieczkę: karimata, tenisówki, latarka, podkładka z zaciskiem oraz papier do notatek, nowy śpiwór. Amelie jeden już miała, lecz materiał pokrywały rysunki saren i wrózek, Deborah uznała, że córka zrobi tym z siebie pośmiewisko. Obuwie turystyczne, kurtka przeciwdeszczowa, dwa grube swetry... Tydzień w szkockim Highlands, nocleg w chacie, w spartańskich warunkach... Odsłaniające brzuch topy i krótkie spódniczki należało zostawić w domu. Amelie przemykała za plecami matki z miną, jakby prowadzono ją na szafot, przez tkwiące w uszach słuchawki i ogłuszającą muzykę ledwo dało się nawiązać z nią kontakt.

– Nie chcę tam jechać – powtórzyła kilka razy. – Nie chcę jechać na tę gównianą wycieczkę! Czemu muszę to robić?

Deborah westchnęła. Rozmawiały o tym już od wielu tygodni.

– Bo jest obowiązkowa. Tak samo jak lekcje.

– Ale to jakiś gówniany pomysł! Przez cały czas będzie lało, nic tam nie ma, absolutnie nic! W chacie nie ma nawet bieżącej wody, nie ma prądu! Możesz mi powiedzieć, gdzie włączę prostownicę do włosów?

Deborah się roześmiała.

– Nigdzie. Będziesz mieć kręcone włosy.

– To niemożliwe. Wyglądają wtedy jak jakieś gówno...

– Nie używaj ciągle tego słowa!

– Którego?

– Gówno.

– Gówno, gówno, gówno – powtórzyła Amelie, po czym znów zarzuciła gęstwę

włosów na twarz, pograżając się w dźwiękach muzyki i ponurym nastroju.

Deborah zastanawiała się przez chwilę, czy nie powinna odwiedzić jej do domu, a potem wrócić po artykuły spożywcze na weekend, to jednak oznaczałoby dodatkową stratę czasu. Amelie wpadnie w złość, lecz Deborah tłumaczyła sobie, że to nie powód do zmiany planów. Musi wreszcie przestać się bać humorów i reakcji własnej córki. Jason wciąż jej o tym przypominał. Łatwo powiedzieć. Nigdy go to nie spotkało.

– Nie powinnaś była rezygnować z zawodu – wypominał jej, gdy mu wyrzucała ciągłą nieobecność. – Wtedy rzadziej przebywałabyś w domu. A wówczas nie wchodziłybyście sobie nieustannie w drogę.

Może miał rację. Może popełniła błąd. Czasem miała już tego serdecznie dość. Tak zwane życie rodzinne. Myśl o nim ją przerażała.

– Wstąpimy jeszcze na chwilę do Tesco – oznajmiła, starając się, by w jej głosie zabrzmiała wesołość.

Amelie ostentacyjnie westchnęła.

– Nie chcę jechać na tę wycieczkę.

– Wiem. Wystarczająco często to powtarzasz. Ale to niemożliwe.

– Mogłabyś wypisać mi usprawiedliwienie, że jestem chora.

– Zażądałiby zaświadczenia od lekarza. A ty jesteś zdrowa jak rydz!

Amelie wydała z siebie pomruk.

Deborah włączyła radio. Straciła nadzieję na rzeczową rozmowę z Amelie.

– ...poinformowano, że zwłoki mogą należeć do Saskii Morris ze Scarborough, uznanej niespełna rok temu za zaginioną – podał właśnie spiker.

– O nie! – krzyknęła przerażona Deborah.

– Ósmego grudnia dwa tysiące szesnastego roku w godzinach wieczornych czternastoletnia wówczas Saskia nie wróciła do domu ze spotkania z przyjaciółką. Jeszcze tej samej nocy rodzice zgłosili policji jej zaginięcie. Mimo intensywnych poszukiwań oraz licznych wskazówek od mieszkańców, które okazały się jednak nieprzydatne, dziewczynki nie odnaleziono. Dziś turyści odkryli na wrzosowiskach zwłoki uczennicy. Jak twierdzi nadkomisarz Hale z wydziału kryminalnego policji w Scarborough...

Deborah wyłączyła radio. Nie mogła tego słuchać. Zaginiona dziewczynka. Rodzice, którzy całymi miesiącami nie mieli pewności, co się przytrafiło ich córce. Zawieszeni pomiędzy bezgraniczną rozpaczą a wciąż na nowo rozbłyskującą nadzieją. A teraz to: zwłoki odnalezione na wrzosowiskach... Ich córka Saskia.

– A widzisz – odezwała się Amelie. Przerazająca wiadomość oderwała ją na chwilę od własnych myśli i rozbudziła zainteresowanie światem wokół. – To spotyka ludzi podczas wędrówek. Znajdują zwłoki.

– No naprawdę, Amelie, to się bardzo rzadko zdarza. Na pewno nie przytrafi się tobie na wycieczce po Szkocji.

– Tej Saskii to dobrze. Już nigdy nie będzie musiała jeździć na klasowe wycieczki.

– Amelie!

Amelie znów wydała z siebie mrukliwy dźwięk, po czym skryła się za kaskadą włosów oraz dźwięków muzyki w słuchawkach.

„Ona wcale tak nie uważa – pomyślała Deborah – po prostu się boi”.

Amelie zawsze grała osobę dziarską i śmiałą, w rzeczywistości jednak niechętnie oddalała się od znanego sobie otoczenia. Myśl o tygodniu spędzonym w skromnych warunkach, w chacie na szkockim odludziu, w ciasnocie razem ze szkolnymi koleżankami, z których wielu zwyczajnie nie znosiła, wyraźnie ją zadręczała.

Nic jednak nie można było na to poradzić. W końcu okaże się, że było zabawniej, niż się tego spodziewała.

Deborah skręciła na parking przed Tesco, z trudem znalazła wolne miejsce. Sobotnie przedpołudnie, wszyscy robią zakupy na weekend. Westchnęła. W sklepie będą tłumy – i niekończąca się kolejka do kasy.

– Domyślam się, że nie chcesz ze mną pójść? – zwróciła się do Amelie.

Córka potrząsnęła głową.

– Dobrze. Mam ci coś jeszcze kupić na poniedziałkową podróż? Coś smacznego do jedzenia?

– Nie – odparła Amelie, drgnęła jednak i dodała: – Nie, dziękuję.

Dziękuję to było ostatnie słowo, jakie tego słonecznego październikowego przedpołudnia Deborah usłyszała od Amelie. Kiedy prawie pół godziny później wróciła do samochodu z wózkiem pełnym zakupów, jej córka zniknęła.

2

– Tylko spokojnie – zaklinał Jason – nie denerwuj się. Proszę. Prawdopodobnie nic jej się nie stało.

Deborah pognała do domu, gdy po kilku próbach nie udało jej się skontaktować

z Jasonem ani przez komórkę, ani przez telefon stacjonarny. Wracał właśnie ze spaceru, aż się wzdrygnął, kiedy nań naskoczyła:

– Po co ci, do cholery, komórka, skoro jej z sobą nie nosisz? Nigdy! Nigdy! Nigdy!

Nie mogła się opanować. Wydawało się, że nie potrafi przestać wykrzykiwać bez końca słowa *nigdy*.

Nie zastanawiając się długo, Jason chwycił ją za ramię, wciągnął do środka i zamknął za sobą drzwi. Deborah tak głośno się darła, że pewnie słysząc ją było w całym mieście. Poblądła na twarzy, szeroko wybałuszyła oczy.

– Zniknęła! Amelie zniknęła!

Jason obejrzał się za siebie, dopiero teraz zauważył, że Amelie nie wróciła razem z matką.

– Jak to: zniknęła?

– Byłyśmy w Tesco. Została w samochodzie, a ja poszłam zrobić zakupy. Kiedy wróciłam, już jej nie było!

– Może chciała się przejść. Może poszła do toalety. Może spotkała przyjaciółkę. Są setki możliwości. Nie wariuj, Deborah! Mamy środek dnia, pewnie na parkingu aż się roilo od ludzi. Co niby mogło się stać?

Deborah zalała się łzami.

– Szukałam wszędzie. Wszędzie! Na parkingu, w supermarkecie, na pobliskich ulicach. Wypytywałam wszystkich... Nikt jej nie widział. Nikt!

– Co się stało? – rozległ się jakiś głos ponad ich głowami. Deborah spojrzała w górę. Na schodach stała kobieta, która poprzedniego dnia zatrzymała się u nich. Oczywiście usłyszała ich głośną, wzburzoną rozmowę.

– Amelie zniknęła – powiedziała Deborah – nasza córka. – I powtórzyła swoją relację.

W supermarkecie spędziła jakieś pół godziny. Było tak tłoczno, że z trudem przeciskała się między regałami i sięgała po produkty. A potem jeszcze ciągnąca się bez końca kolejka do kasy. Spieszyła się, usiłowała wszystko załatwić w ciągu tego przedpołudnia, minęło jednak prawie dwadzieścia pięć minut, zanim się z tym uporała.

– Wróciłam do samochodu, był pusty. Drzwi oczywiście otwarte... to znaczy... niezamknięte, gdyż Amelie nie miała kluczyków. Nigdzie jej nie było.

– A wcześniej?

– Siedziała na fotelu pasażera. Słuchała muzyki ze smartfona. Nie miała ochoty pójść ze mną.

Deborah nie od razu wpadła w panikę. Przypuszczała, że Amelie chciała rozprostować kości, choć miała złe przeczucia: bo czy kiedykolwiek jej córka *chciała rozprostować kości*? Szczególnie wtedy, gdy była w takim jak dziś nastroju. Zazwyczaj zastygała w kompletnym bezruchu i pozwalała się ogłuszać muzyce, nie zwracając uwagi na to, co się wokół niej działo.

Deborah zaczęła wkładać do bagażnika torby z zakupami. Gdy skończyła, Amelie nadal nie wracała. Przemknęło jej przez myśl, że córka pewnie przypomniała sobie o czymś w związku z klasową wycieczką i może szuka jej w supermarkecie.

– Wróciłam więc do środka. Sprawdzałam wszędzie, we wszystkich przejściach. Zaczęłam za nią wołać, choć ludzie patrzyli na mnie tak, jakbym postradała zmysły. W końcu zagadnął mnie kierownik sklepu. Powiedziałam mu, że moja córka zniknęła, on się tym jednak nie przejął. Znów wybiegłam na parking...

– Kiedy znika czternastolatka, u ludzi nie od razu zapalają się wszystkie lampki alarmowe – stwierdziła kobieta, której imię Deborah musiała sobie przywołać z pamięci: Kate. Kate Linville. – Inaczej niż w wypadku małego dziecka.

Zeszła po schodach i krótkim gestem pocieszenia dotknęła jej ramienia.

– A to z tego powodu, że często rzeczywiście nie dzieje się nic złego. A już na pewno w tak typowej sytuacji, na zatłoczonym parkingu przed supermarketem.

Deborah wlepiła w nią wzrok.

– Znaleźli zwłoki Saskii Morris.

Kate i Jason spojrzeli na nią, nie rozumiejąc.

– Kto kogo znalazł? – zapytał Jason.

– Saskia Morris. Dziewczyna zaginęła w grudniu ubiegłego roku. Mówili o tym w radio. Turyści znaleźli ciało na wrzosowiskach.

– To nie ma nic, *absolutnie nic* wspólnego z pani córką – zapewniła Kate.

– Skąd pani wie?

– To najzwyczajniej w świecie kwestia prawdopodobieństwa.

– Zna pani prawdopodobieństwo przypadków zaginięcia? – zapytała Deborah. Zrozumiała, że w jej głosie czai się agresja. Omal nie zwariowała, chciała odzyskać spokój, odniosła jednak wrażenie, że pozostali nie traktują całej tej sytuacji poważnie – choć powinni.

Kate skinęła głową.

– Jestem sierżantem śledczym w Metropolitan Police.

– Dobry Boże, przecież to Scotland Yard! – zawołał zaskoczony Jason.

– Scotland Yard? – powtórzyła głośno Deborah. – Czy może pani natychmiast...

– Tutaj nic nie mogę – przerwała jej Kate – ale zaprowadzę panią na policję, jeśli pani chce. Przygotujemy zgłoszenie. Nie od razu jednak poruszą niebo i ziemię, gdyż istnieje zbyt wiele innych wyjaśnień, dlaczego pani córka wysiadła z samochodu i opuściła parking.

– Jakich wyjaśnień? – zapytała Deborah.

Kate się zamyśliła.

– Czy Amelie ma chłopaka?

– Nie.

– Przynajmniej nic państwo o tym nie wiedzą.

– Oczywiście wiedziałabym, gdyby...

– Nie, nie wiedziałabyś – wszedł jej w słowo Jason. – Nie łączy was obecnie zażyła więź. – Zauważył, że Deborah zamierza zaproponować, dodał więc spiesznie, by załagodzić sprawę: – To całkiem normalne w wieku Amelie.

– Jak zachowywała się Amelie dzisiejszego ranka? Była w dobrym nastroju? – zapytała Kate.

– Nie – zaprzeczyli jednocześnie Deborah i Jason.

– Z rana rzadko kiedy ma dobry humor – doprecyzował Jason. – A tym bardziej w weekendy, kiedy najchętniej spałaby do południa. Zamiast tego musiała wstać i jechać z matką na zakupy.

– To ty się uparłeś, bym ją z sobą zabrała! – krzyknęła Deborah. – Proponowałam, że pojedę sama, ale ty uznałeś, że...

– Przestań wreszcie czuć się nieustannie atakowana. Owszem, powiedziałem, że powinnaś ją z sobą zabrać, i nadal uważam to za słuszne. – Zwrócił się do Kate. – Amelie wyjeżdża w poniedziałek na tygodniową wycieczkę klasową w szkocki Highlands. Potrzebowała sporo rzeczy, uznałem, że Deborah nie powinna się tym sama zajmować, podczas gdy Amelie śpi sobie w najlepsze.

– Jakże bym chciała, by wciąż wylegiwała się w łóżku – wyznała Deborah. Nie potrafiła dłużej powstrzymać napływających do oczu łez. To idiotyczne podejście Jasona do wychowania, cała ta durna gadanina o odpowiedzialności za siebie i własnej inicjatywie... I co to dało? Okropnie męczące przedpołudnie w towarzystwie humorzastej córki... A teraz jeszcze Amelie zniknęła. Cała nadzieja w tym, że zrobiła to wyłącznie ze złości.

– Za żadne skarby nie chciała jechać na tę wycieczkę – powiedziała Deborah, ocierając łzy z twarzy. – Kiedy w radio poinformowali, że Saskię Morris znaleziono martwą, wyznała nawet...

– Tak? – dopytywała się Kate.

– Stwierdziła, że Saskia to ma dobrze, bo już nigdy nie będzie musiała jechać na klasową wycieczkę.

– To naprawdę dziecinada – stwierdził poirytowany Jason.

– To pokazuje, jak bardzo ten wyjazd ją dręczy – przyznała Kate. – A to dobry znak, Deborah. Ona po prostu chce jakoś wybrnąć z tej sytuacji i postanowiła zniknąć. Mają państwo numery telefonów jej koleżanek i kolegów? Powinni państwo ich wszystkich obdzwonić. Jestem gotowa się założyć, że przebywa u którejś z koleżanek. Może akurat spotkały się przypadkiem.

– Nie powinna przysparzać nam takich zmartwień! – wykrzyknął Jason.

– O tym pewnie nawet nie pomyślała. Widzi tylko koniec własnego nosa i nieuchronnie zbliżający się dzień wyjazdu. A że ucieczka nic jej ostatecznie nie da, że napędzi rodzicom stracha i w końcu zwróci ich przeciwko sobie, tym w ogóle nie zaprzęta sobie teraz głowy.

Deborah odetchnęła głęboko. Zauważyła, że spokojny głos Kate Linville oraz wewnętrzne przekonanie, z jakim wyrażała swoje opinie, podziały na nią kojąco. Cóż bowiem mogło się wydarzyć na tym zatłoczonym parkingu? Amelie nie chciała jechać do Szkocji, rozzłościło ją, że matka nie zgodziła się wypisać jej usprawiedliwienia.

Niestety, jakie to dla niej typowe. Pewnie siedzi teraz z koleżanką w jakiejś kawiarni i powtarza sobie, że dobrze nam tak, że zasłużyliśmy na nasze zmartwienia.

– Obdzwonię wszystkich znajomych – oznajmiła Deborah.

– Czy próbowała pani dzwonić do córki na komórkę? – zapytała Kate.

Deborah przytaknęła.

– Setki razy, jak sądzę. Poczta głosowa. Nie odbiera.

Przed nastaniem wieczoru rozbudzona tymczasem ufność Deborah ponownie przemieniła się w poczucie absolutnej beznadziei. Kate obserwowała, jak kobieta powoli się załamuje. Zadzwoniła do wszystkich koleżanek i znajomych Amelie,

rozmawiała z młodymi ludźmi albo z ich rodzicami. Nikt jednak Amelie nie widział ani nie miał z nią kontaktu, wszyscy sprawiali przy tym wrażenie wiarygodnych i szczerze zmartwionych. Najwięcej niepokoju wzbudziła rozmowa z najlepszą przyjaciółką Amelie, Leonie.

– Zdziwiło mnie – wyznała – że dziś o jedenastej wysłała mi ostatnią wiadomość na WhatsAppie. Że czeka na panią na parkingu, okropnie się nudzi i nie chce jechać na wycieczkę. Nie zareagowała na moją odpowiedź, od tej pory jest cały czas *offline*. To do niej zupełnie niepodobne, bo zazwyczaj czatuje praktycznie bez przerwy.

Wczesnym popołudniem Kate zaprowadziła Deborah i Jasona na posterunek policji, by zgłosić zaginięcie Amelie. Deborah poprosiła ją, by im towarzyszyła, gdyż miała nadzieję, że ranga i pozycja Kate w Scotland Yardzie skłoni funkcjonariuszy ze Scarborough do współpracy, że potraktują sprawę poważnie i niezwłocznie rozpoczną poszukiwania. Zajmujący się ich przypadkiem policjant nie okazywał wprawdzie obojętności, jednak i on za najbardziej prawdopodobne uznał to, że Amelie gdzieś się zaszła i pod wieczór znowu się ujawni. Desperacja, z jaką Amelie próbowała uniknąć wyjazdu na wycieczkę, nie pozwalała przekonać innych osób, w tym funkcjonariuszy policji, o powadze sytuacji. Deborah opowiedziała o tym zgodnie z prawdą, a wtedy na czole policjanta dało się wyczytać wyraźne *Ach, to tak!*

„I pewnie ma rację – pomyślała Kate. – Wiele wskazuje na to, że dziewczyna zwyczajnie gdzieś się ukryła”.

Oczywiście wiele też temu przeczyło. Przede wszystkim fakt, że Amelie z nikim nie nawiązała kontaktu. Od godziny jedenastej przed południem nie dała znaku życia, wszyscy jej znajomi zgodnie to przyznali. Zazwyczaj Amelie pozostawała *online* niemal przez całą dobę, informując wszystkich o każdym swoim kroku. Publikowała selfie, rozsyłała zabawne zdjęcia innych osób i zwierząt, opisywała potrawy na talerzu, nierzadko obwieszczała nawet, że udaje się do toalety. Kate wiedziała, że to typowe zachowanie wśród nastolatków, a jednak ciarki przechodziły ją na myśl o ich gotowości do wystawiania własnego życia na pokaz.

Poza tym o tej porze roku dość wcześnie zmierzchało. Gdzie się podziewała, że nawet nadciągająca noc jej nie wypłoszyła i nie skłoniła do powrotu do domu? Dzień był ciepły, teraz jednak nastał przenikliwy chłód.

– Jest zbyt lekko ubrana. – Deborah zanosila się płaczem. – Pewnie zmarznie. Czemu nie wraca do domu? Coś jej się przytrafiło, ja to wiem. Po prostu wiem!

Pod wieczór policja wszczęła poszukiwania, poczynając od parkingu przed Tesco, ostatniego miejsca, w którym Amelie z całą pewnością przebywała. Funkcjonariusze

przeczesali okoliczne ulice, wypytywali przechodniów, raz jeszcze skontaktowali się z jej przyjaciółmi i kolegami z klasy. Próbowano namierzyć jej komórkę. Jason i Deborah nie zdołali usiedzieć w domu, chcieli pomóc w poszukiwaniach, sprawdzić miejsca, które Amelie znała i lubiła.

– Zostanie pani tutaj? – zapytała Deborah ze łzami w oczach. – Na wypadek, gdyby wróciła do domu...

– Zostanę – zapewniła ją Kate. – I natychmiast do pani zadzwonię, jeśli się tu pojawi albo jeśli się czegoś dowiem.

– Odbierze pani telefon?

– Naturalnie. Bez obaw, będę na posterunku.

Również Jason sprawiał wrażenie mocno zatroskanego. Jak dotąd zachowywał względny spokój, był raczej lekko poirytowany, gdyż zakładał, że Amelie płała im wszystkim złośliwego figła. Teraz jednak i on coraz bardziej się niepokoił. Amelie rzeczywiście musiała marznąć. Była zmęczona i głodna. Najwyraźniej od nikogo nie zaznała pomocy. Jak miałyby to przetrwać?

Jason i Deborah ruszyli w drogę, spontanicznie przyłączyło się do nich kilkoro sąsiadów. Kate usiadła w pokoju dziennym, skąd mogła obserwować oświetloną, wyłożoną płytami dróżkę prowadzącą do drzwi wejściowych. Telefon miała pod ręką. Kot, który nie odstępował jej ani na krok, wskoczył na sofę i zwinął się w kłębek. Kate zamierzała wykorzystać ten dzień, by znaleźć firmę sprzątającą, sporządzić listę szkód powstałych w domu oraz przygotować ogłoszenie. Zamiast tego wplątano ją w sprawę zaginięcia nastolatki, nie znalazła czasu, by zająć się własnymi problemami. Nie mogła jednak zostawić zrozpaczonych Goldsbych bez pomocy. Przyznać trzeba, że ojciec z początku nie wydawał się jakoś szczególnie przejęty. Także Kate była przekonana, że Amelie zwyczajnie chciała dać rodzicom nauczkę. Z wolna ogarniał ją jednak niepokój. Trudno było wyjaśnić, dlaczego Amelie z nikim nie nawiązała kontaktu.

Otworzyła laptopa i wygooglowała nazwisko podane przez Deborah: *Saskia Morris*.

Nie podejrzewała, że coś te sprawy łączy... Pewnie nic... Nie zaszkodzi jednak tego sprawdzić.

Informacje o Saskii Morris zapełniły nagłówki internetowych wydań całej prasy regionalnej. Wspominał o niej również „Daily Mail”, „Observer” zamieścił krótką notatkę. Kate skupiła się na bardziej szczegółowych doniesieniach.

Saskia Morris pożegnała się z matką około godziny szóstej wieczorem ósmego grudnia dwa tysiące szesnastego roku, zamierzała wstąpić do swojej przyjaciółki

Melanie, mieszkającej ledwie kilka ulic dalej. Obie trochę się obawiały czekającej je nazajutrz klasówki z francuskiego i postanowiły powtórzyć razem słówka i gramatykę.

Saskia została u Melanie do dziewiątej. Dziewczęta uczyły się do sprawdzianu, rozmawiały i dużo się śmiały. Według zeznania Melanie Saskia w wesołym i beztroskim nastroju ruszyła w drogę powrotną.

Do domu jednak nie dotarła.

Po rozmowie z Melanie rodzice powiadomili policję, która niezwłocznie wszczęła poszukiwania. Na dworze panowały wówczas znacznie gorsze warunki: mrok, opustoszałe ulice. Nic nie wskazywało na to, by Saskia nie zamierzała wracać prosto do domu. Coś się wydarzyło na tym krótkim odcinku drogi. Pojawiło się przerażające podejrzenie, że kogoś tam spotkała.

Dwa dni później na skraju lokalnej drogi za Scarborough przechodnie znaleźli należącą do Saskii komórkę.

Od tego miejsca wszelki ślad się urywał. Wciąż pojawiały się doniesienia i wskazówki, szybko jednak okazało się, że zauważona osoba nie jest zaginioną czternastolatką. I właśnie teraz ją odnaleziono. Niespełna rok później.

Ciało było w stanie utrudniającym identyfikację. Oznaczało to, że zwłoki Saskii jakiś czas przeleżały wśród wrzosowisk. Pytanie, czy pełne dziesięć miesięcy. Czy to możliwe, by dopiero teraz je znaleziono? W jednej z gazet zamieszczono szkic sytuacyjny, z którego wynikało, że ciało dziewczyny porzucono w pobliżu ścieżki, w leśnym poszyciu, marnie przykryte gałęziami. Kate wydało się dość niewiarygodne, by przez tyle miesięcy nikt nie natknął się na zwłoki, nie wywęszył ich żaden pies wyprowadzony na spacer. Bez wątpienia przechodzili tamtędy ludzie z psami... I nikt nie zwrócił uwagi?

– Podrzucono ją tam znacznie później – mruknęła Kate – najwyżej przed kilkoma tygodniami.

Nie przeczył temu zaawansowany proces rozkładu. Łagodna aura zrobiła swoje.

– Wcześniej przetrzymywano ją gdzie indziej. Żywą albo martwą. Prawdopodobnie żywą...

Nie można wykluczyć związku ze sprawą zaginionej w listopadzie dwa tysiące trzynastego roku Hannah Caswell ze Staintondale – donosiła dalej prasa. – Jak dotąd brak jednak jakichkolwiek po temu przesłanek, twierdzi prowadzący śledztwo nadkomisarz Caleb Hale z wydziału kryminalnego w Scarborough.

Kate aż się wzdrygnęła. Caleb Hale. Akurat on. I wciąż na tak wysokim stanowisku.

To zastanawiające, Kate wiedziała o jego problemach z alkoholem. Znała ich znacznie więcej. Razem wyjaśnili sprawę morderstwa jej ojca. Ściśle mówiąc, to Kate ją wyjaśniła. Caleb Hale wysnuł całkiem fałszywą teorię, skutkiem czego podążał niewłaściwym tropem, by w końcu, odkrywszy, że popełnia jeden błąd za drugim, znów popaść w alkoholizm, z którego, jak mniemał, zdołał się właśnie otrząsnąć. Kate wiedziała, że jest w swoim fachu profesjonalistą, nawet jeśli wówczas wszystko wymknęło mu się spod kontroli. Pytanie, czy sam potrafił na nowo w siebie uwierzyć. Jak widać, przynajmniej zdołał zatrzymać posadę.

Dźwięk jego nazwiska nadal wywoływał lekkie ukłucie. Po upływie trzech lat. Była w nim zakochana, on jednak uczucia tego nie odwzajemnił ani przez sekundę. Kate wcale to nie zdziwiło: mężczyźni nigdy nie odwzajemniali jej uczuć. Przez całe życie. Zdołała do tego przywyknąć. A mimo to przeszywał ją ból.

Z trudem stłumiła w sobie myśli o Calebie Hale'u, by skupić się na właściwej informacji zawartej w tym zdaniu. Co prawda parę lat wcześniej, ale jednak nie aż tak dawno temu, zaginęła inna dziewczyna. Hannah Caswell.

Wygugłowała jej nazwisko. Z wolna zaczął ją ogarniać niepokój. Była przekonana, że Amelie, powodowana przekorą i złością, gdzieś się ukryła, fakt zaś, że tego samego dnia znaleziono ciało innej dziewczyny, był potwornym zbiegiem okoliczności, ponurym i przerażającym dla rodziców, lecz pozbawionym rzeczywistego związku. Teraz do jej myśli wkradła się niepewność. Nie zdołała jej wprowadzić zelektryzować, niemniej wyraźnie nie dawała spokoju.

Znalazła mnóstwo wpisów na temat Hannah Caswell. Cała okolica z zapartym tchem śledziła jej losy. Kate pamiętała jej sprawę jak przez mgłę, znała ją z doniesień prasowych, lecz także z rozmów w kręgach policyjnych. W przeciwieństwie do Saskii Morris Hannah nigdy nie odnaleziono, żywej ani martwej. Istniało dwóch podejrzanych: młodzieniec, który w tamten listopadowy wieczór zabrał samochodem czternastoletnią wówczas Hannah z Kingston-upon-Hull do Scarborough i zostawił ją, jak zeznał, przed tamtejszym dworcem. Oraz Ryan Caswell, ojciec samotnie wychowujący córkę. Matka Hannah przed laty porzuciła rodzinę i wyjechała do Australii.

To nic nadzwyczajnego, że wśród podejrzanych znalazł się także ojciec. W takich przypadkach rodzice *zawsze* są uznawani za podejrzanych.

Śledztwo w sprawie Ryana Caswella nie przyniosło rezultatów. W rozstrzygających godzinach, kiedy wszelki ślad po Hannah zaginął, nie miał on żadnego alibi. Według jego zeznań siedział wtedy w zaparkowanym samochodzie w pobliżu plaży. Bez

świadków. Podczas przesłuchania przyznał, że był wściekły na córkę. Spóźniła się na pociąg w Hull, do przyjazdu następnego musiał czekać prawie dwie godziny. Hannah się jednak nie pojawiła. Z Hull zabrał ją bowiem samochodem jej sąsiad ze Staintondale, dziewiętnastoletni Kevin Bent.

Kevin Bent został nawet zatrzymany i trafił do aresztu śledczego, ostatecznie jednak nie udało mu się niczego udowodnić. Podaną przez niego informację, że Hannah wysiadła przy dworcu w Scarborough, potwierdziła jej przyjaciółka Sheila Lewis. Hannah zadzwoniła wówczas do niej i opowiedziała o podróży z Kevinem, wyznała także, że zaprosił ją na przyjęcie. Następnie wielokrotnie usiłowała skontaktować się z ojcem. Potwierdzono próby nawiązania połączenia na komórkę Ryana oraz na domowy telefon stacjonarny. Caswell był w tym czasie poza zasięgiem. Nieodebrane połączenia były ostatnim znakiem życia Hannah Caswell.

Co się tyczy Kevina Benta, popełnił on ogromny błąd, okłamując z początku policję, i to w tak niezdarny sposób, że oszustwo z miejsca wykryto. Twierdził mianowicie, że pojechał dalej do swoich znajomych do Cropton i spędził z nimi resztę dnia. Znajomi, zatrzymani, by uniknąć kontaktu z podejrzanym, zeznali wszakże, że Kevin zadzwonił do nich z wiadomością, że jednak nie przyjedzie. Był zmęczony, chciał wrócić prosto do domu.

Podczas konfrontacji Kevin przyznał, że... zawrócił. Pojechał z powrotem na dworzec. Rozglądał się tam za Hannah, chcąc ją podwieźć do Staintondale.

– Miałem dziwne przeczucie – cytowano jego zeznanie. – Stała przed gmachem taka zagubiona... Nie wiedziałem, czy zadzwoniła się do ojca, czy rzeczywiście do niego pójdzie... Martwiłem się. A ponieważ naprawdę byłem zmęczony i zamierzałem wracać do domu, pomyślałem, że ją z sobą zabiorę.

Hannah jednak nie spotkał. Zatrzymał się na chwilę, rozejrzał wokoło, lecz jej nie znalazł. Potem pojechał do domu.

Swoje kłamstwo usprawiedliwiał chwilowym atakiem paniki.

– Siedziała w moim samochodzie. Byłem ostatnią osobą, która ją widziała. Wiedziałem, że i tak znajdę się na liście podejrzanych. Nie chciałem przyznać, że tam wróciłem, bo pomyślałem, że to jeszcze pogorszy sprawę. Oczywiście się wygłupiłem...

Kate westchnęła. Istotnie, piramidalna głupota z jego strony. Niektórzy mają niezwykle talent do pogarszania swojej sytuacji – i bez tego dostatecznie już zagmatwanej. Kevin Bent widocznie się do nich zaliczał.

Wstała, podeszła do okna, wyjrzała na zewnątrz. Po prawej i lewej stronie oświetlonej ścieżki prowadzącej do drzwi wejściowych kołysało się kilka konarów,

wciąż jeszcze gęsto obwieszonych jesiennym listowiem. W sztucznym świetle mieniły się szaro-żółtymi barwami, Kate jednak wiedziała, że w rzeczywistości była to płomienna czerwień i złocista żółć. Rodzina Goldsbych mieszkała w ładnym domu, cudownie położonym na skraju płaskowyżu. Deborah opowiadała jej, że skrycie marzyli o jego zakupie. Kate wcale to nie dziwiło.

– A potem wpadłam na pomysł urządzenia tu pensjonatu *bed & breakfast*, odnalazłam wówczas to, czego zawsze pragnęłam – dodała rozpromieniona.

Kate, nawykła do tego, by opowieści ludzi *nie* brać za dobrą monetę, lecz przeciwnie, raczej podawać w wątpliwość, rzadko słyszała, by ktoś mówił w sposób tak wymuszony i sztuczny.

Deborah Goldsby była kobietą nieszczęśliwą, Kate to wyczuwała. Nie potrafiła powiedzieć, skąd się owo nieszczęście brało – nie dysponowała po temu wystarczającą ilością informacji. Podjęta przez Deborah praca w żadnym razie nie była powołaniem, raczej rozwiązaniem awaryjnym. Duży dom w takiej lokalizacji... Kate umiała liczyć: poszłaby o zakład, że małżeństwo Goldsbych przeliczyło się z możliwościami finansowymi. Dochód Jasona nie wystarczał na spłatę kredytu i odsetek oraz pokrycie kosztów utrzymania. To dlatego Deborah wpadła na pomysł, by wynajmować trzy pokoje letnikom. A Jason nie był tym wcale zachwycony. Kate domyśliła się wszystkiego tuż po przyjeździe. Jason zapytał, czy pomóc jej z wniesieniem bagażu, był uprzejmy, lecz nienaturalnie zacisnął przy tym usta. Nie sprawiał wrażenia zadowolonego z pojawienia się po sezonie niespodziewanego gościa. Prawdopodobnie od maja do września panował u nich spory ruch. Wracając wieczorem do domu, Goldsby nie znajdował w nim spokoju, którego pragnął zakosztować po wyczerpującym dniu. Nieustannie otaczali go obcy ludzie, z całą pewnością nie wszyscy przypadli mu do gustu. A mimo to wciąż ich spotykał – w kuchni, w pokoju dziennym, na schodach. Deborah uznała, że goście rozpraszają jej samotność, Jason natomiast przypuszczalnie traktował ich jak zwykłych natrętów.

Doktor Jason Goldsby. Ojciec zaginionej dziewczyny. Kate niemal odruchowo przeanalizowała w myślach ewentualność, że rodzice mają coś wspólnego ze zniknięciem córki. Przywołała w pamięci jednocześnie dwie kwestie: po pierwsze – przypuszczalnie Amelie nic się nie przytrafiło. Zaszyła się gdzieś, chcąc zmusić rodziców, by nie wysyłali jej na klasową wycieczkę.

Po drugie – to nie jej sprawa. W żadnym razie. Musiała się zająć czym innym. Uprzątnąć dom, a następnie zdecydować, co dalej. Miała niewiele czasu.

Mimo to zamyśliła się na chwilę. Deborah wybrała się razem z córką na zakupy,

wróciwszy do samochodu, już jej tam nie zastała. Jedynym źródłem tej informacji było jej własne zeznanie, wsparte jednak przez fakt, że Amelie, czekając na parkingu, wysłała wiadomość do swojej przyjaciółki. W Tesco znajdują się też świadkowie – choćby kierownik sklepu – którzy potwierdzą rozpaczliwe poszukiwania Deborah. Jason natomiast w rozstrzygającym momencie przebywał poza domem. Kate nie słyszała, by dokądś wychodził, on sam natomiast oświadczył, że spacerował po plaży i wrócił dokładnie w chwili przyjazdu Deborah. Prawdopodobnie nie miał świadków. Równie dobrze mógł się udać w przeciwnym kierunku.

Ryzykując, że zauważą to sąsiedzi?

A potem? Naturalnie Amelie poszłaby z nim, gdyby nagle pojawił się przy samochodzie. Czy jednak mógł wiedzieć, że jego żona i córka będą o tej porze przebywać akurat w tamtym miejscu? Amelie mogła wysłać mu wiadomość. Po co jednak miałby ją porywać? Dokąd zdołałby ją zabrać – w tak krótkim czasie? Przede wszystkim zaś: dlaczego?

Mnóstwo niedorzeczności. W ciągu długich lat pracy w policji, a szczególnie tropiąc morderców, Kate przekonała się jednak, że nie ma rzeczy niemożliwych. Najbardziej obłąkańcze motywy, najrzadsze konstelacje, najbardziej niewiarygodne przypadki. Ludzie, o których można by sądzić, że nie skrzywdzą muchy, nagle popełniali bestialskie zbrodnie. Na pozór w sobie zakochani, w rzeczywistości serdecznie się nienawidzili. Przedstawiali niepodważalne alibi, lecz w końcu okazywało się, że nie zgadzał się w nich jakiś najdrobniejszy szczegół, niwecząc całą układankę. Kate doświadczyła rzeczy najbanalniejszych i najbardziej przerażających. Nigdy nie wykluczyłaby z góry najbardziej nawet absurdalnej wersji wydarzeń.

Miała jednak nadzieję, że wszelkie rozważania o rodzinie Goldsbych tak czy owak są zupełnie bezpodstawne. Bo nic złego się nie stało. Amelie zaś lada chwila wróci do domu.

W głębi za ogrodem od frontu panował głęboki mrok. Kruczoczarny. Gdzie Amelie się zatrzymała – i jak to *wytrzymuje*? Mając czternaście lat, Kate bałaby się śmiertelnie przebywać sama w takich ciemnościach w jakiejś kryjówce, z dala od domu. Ktoś musiał Amelie pomóc. Ale przepytano wszystkich jej znajomych. Mogli rzecz jasna zataić prawdę. Mieszkali jednak z rodzicami, nie byłoby w stanie ukryć kogoś u siebie bez ich wiedzy. Ci zaś nie zgodziliby się tego zatuszować.

Kate odwróciła się od okna, zaczęła chodzić niespokojnie po pokoju.

Z każdą minutą sprawa się komplikowała.

Niedziela, piętnasty października

1

Dzień był słoneczny, powietrze szybko się ogrzewało po pierwszych chłodnych godzinach poranka. Należało go dobrze wykorzystać. W nadchodzącym tygodniu meteorolodzy zapowiadali opady deszczu, mgły oraz odczuwalny spadek temperatury.

Megan Turner ucieszyła się, że aura wciąż zwleka, nim niezwykle długie lato ostatecznie przeobrazi się w jesień. Weekend zapowiadał się pogodnie. Już w przeddzień zadreślała swego męża Edwarda pytaniem o plany na niedzielę.

– Będzie słonecznie. I ciepło. Szkoda by było zostać w domu. Wybierzmy się gdzieś!

Edward nie podzielał entuzjazmu żony.

– Ciągłe musisz coś robić. Nie możemy po prostu zostać w domu, dłużej pospać, obejrzeć telewizję, coś zjeść, zrelaksować się?

– W następny weekend. Ma być wtedy zimno i deszczowo, a wówczas nikt nie będzie miał ochoty wyściubić nosa za drzwi. No dalej. Zbieraj się!

Koniec końców Edward zgodził się pojechać z żoną. Dokąd? Tego nie ustalili. To by go przerosło, jak wyjaśnił Edward. Wyjadą ze Scarborough i pokręcą się po okolicy. Obfitowała w idylliczne dolinki, skąpane w słońcu płaskowyże i rzadkie lasy mieniące się wspaniałym jesiennym listowiem. Pospacerują, a potem urządzą sobie piknik. Megan wstała skoro świt i spakowała przenośną lodówkę. Jajka gotowane na twardo, kanapki, paszteciki w cieście francuskim, ciasto czekoladowe, wodę mineralną. Kilka butelek piwa dla Edwarda, to mu poprawi humor. W drodze powrotnej prowadzić będzie Megan.

Jechali już jakieś trzy kwadransy, gdy dotarli do opustoszałego parkingu. Wydał im się świetnym miejscem na piknik, mogli też stąd wyruszyć na spacer po okolicy. Poza tym Megan miała już dość siedzenia w samochodzie. Zjechali z lokalnej drogi, przez ostatni kwadrans nie wyminął ich żaden inny pojazd. Znaleźli się w samym sercu krainy wrzosowisk. Choć były ulubionym celem wycieczek, pokrywały tak rozległy obszar, że wędrowcy i inni miłośnicy przyrody łatwo mogli się zgubić. Bywało, że podczas długich wypraw nie spotykało się żywego ducha.

I dlatego Edwardowi się nudziło. Wolałby zostać w domu i obejrzeć telewizję. No dobrze, świeciło słońce – i co z tego? Łąki, łąki, nic tylko łąki. W oddali zagajnik.

No cóż, przynajmniej Megan wykorzysta tę pogodną niedzielę. Związki wymagają poświęceń. Dobrze, że choć spakowała mnóstwo smakołyków.

Parking był tak naprawdę niewielką zatoką przy szosie, oddzieloną od niej wąskim szpalerem mizernych krzewów. Mieścił najwyżej trzy samochody jednocześnie. Na obrzeżu ułożono kilka pni, ich powierzchnię zeszlifowano tak, by można było na nich usiąść. Tuż obok stała tablica informująca o okolicznej florze i faunie. Nic więcej. Kompletne odludzie.

– Pospacerujemy chwilę, a potem wrócimy i zjemy wszystkie pyszności, jakie spakowałam – zaproponowała Megan.

Edward westchnął. Wolałby robić co innego. Ściśle mówiąc, zrezygnowałby ze spaceru, od razu by usiadł i zabrał się do jedzenia. Kilka kroków dobrze mu jednak robi, mimo młodego wieku miał wyraźnie zaokrąglony brzuch.

Ruszyli zatem przed siebie. Megan szła żwawo przodem, za nią nieco ociężałe włókł się zdyszany Edward. Dzień był wspaniały, musiał to przyznać. Ciepły, słoneczny i suchy. Okolicę porastała dość skąpa roślinność, lecz tu i ówdzie mieniły się rozżarzone słońcem barwy, ognista czerwień niewielkich krzewów, ciepłe złoto liści nielicznych drzew. Jaskrawoczerwone jeżyny w ciernistych zaroślach.

– Ładnie tu – przyznał po chwili pojednawczo.

Megan przystanęła i odwróciła się do niego rozpromieniona.

– Prawda? Lepiej niż w domu, czyż nie?

– Tak. Ale... – Edward otarł pot z czoła. Rzeczywiście był w kiepskiej formie. – Ale czy możemy już wracać? Jestem wykończony. I zgłodniałem.

Ona mogłaby spacerować jeszcze godzinami, mimo to się zgodziła. Bądź co bądź przystał na jej pomysł zorganizowania wycieczki. W zgodnym milczeniu ruszyli w drogę powrotną. Kiedy dotarli na parking, Megan zabrała się do przygotowania posiłku, podczas gdy Edward poszukał ustronnego miejsca. Wszedł w zarośla i od razu dostrzegł w wysokiej trawie coś połyskującego. Nachylił się. Kosmetyczka. Podniósł ją.

– Dziwne. Kto gubi tu coś takiego?

– Co jest? – zapytała Megan.

– W trawie leżała mała torebka – oznajmił Edward, wychodząc z zarośli. Otworzył ją i zajrzał do środka. – Szminka, tusz do rzęs, jak sądzę...

Megan zerknęła na jaskrawy róż taniej torebki.

- Zapewne należy do młodej dziewczyny.
- Niby jak młoda dziewczyna miałaby dotrzeć w tę okolicę?

Megan wzruszyła ramionami.

- Wycieczka. Pewnie z rodzicami.
- I zgubiłaby w zaroślach całą kosmetyczkę?

– Pewnie chciała tam zrobić to samo co ty. A wtedy wypadła jej z plecaka. Zabierzemy ze sobą i oddamy do biura rzeczy znalezionych.

- Hm – mruknął Edward – rozejrzę się, może jeszcze coś znajdę.

Drobnym krokiem, wyęzając wzrok, lustrował porośnięty trawą teren wokół zarośli. Nie spodziewał się znaleźć nic więcej, gdyż było mało prawdopodobne, by ktoś zgubił naraz kilka rzeczy i nawet tego nie zauważył. W pewnej odległości dostrzegł wszakże coś, co na pierwszy rzut oka przypominało kamień, rzadko kiedy jednak kamienie przybierają kolor różowy. Podeszedł bliżej. Kolejna torebka. Różowa. Otworzył ją. Portfel z paroma banknotami. Chusteczki higieniczne. Bilet okresowy na autobus. I szkolna legitymacja.

– Amelie Goldsby – przeczytał. Dalej data urodzenia, drugi lipca dwa tysiące trzeciego roku, oraz nazwa szkoły w Scarborough. A więc czternastoletnia uczennica. Zdjęcie przedstawiało młodą dziewczynę o dużych niebieskich oczach i włosach jasnoblonde. Choć miała dość ponure spojrzenie, niewątpliwie była jednak bardzo atrakcyjna.

- To naprawdę dziwne – przyznał Edward. – Megan, chodź tu!

Podeszła.

- Co jest?

Pokazał jej torebkę.

– Legitymacja należy do czternastoletniej uczennicy. Leżała w trawie. Przed nią kosmetyczka. Jak można zgubić dwie rzeczy w odstępnie dwóch metrów?

Również Megan nie kryła zaskoczenia.

- Rzeczywiście dziwne.

– Wydaje mi się, że te rzeczy tu porzucono. Świadomie. Jedną tu, drugą tam. By się ich pozbyć.

- Niby kto wyrzuca własną kosmetyczkę? I torebkę?

– Z pieniędzmi i ważnym biletom okresowym. To... – Edward szukał odpowiedniego słowa. – To dość podejrzane.

Megan przeszedł nagle dreszcz.

– Owszem. Jakie nazwisko widnieje na legitymacji?

– Amelie Goldsby.

– Nic mi nie mówi.

– Mnie też nie. Stan jej rzeczy wskazuje, że nie leżą tu długo, co najwyżej od wczoraj. A jeśli coś się tej Amelie przytrafiło, pewnie nie przebiło się jeszcze do mediów.

– Czemu zaraz miałyby jej się coś przytrafić? – zapytała Megan.

– Nie wiem. Ale wcale by mnie to nie zdziwiło.

– Rzeczy zabierzemy ze sobą. I musimy zapamiętać położenie tego parkingu.

– Oczywiście – odparł Edward. – Ale nie pójdziemy z nimi do biura rzeczy znalezionych, tylko od razu na policję.

2

Po południu nadkomisarz Caleb Hale zjawił się u państwa Goldsbych. Sprawiał wrażenie spiętego, choć starał się zachować spokój i nie okazywać zdenerwowania. Rodzice zostali właśnie poinformowani, że pewna młoda para podczas pikniku na opustoszałym parkingu na terenie parku narodowego znalazła przedmioty należące do ich córki. Sprawa nabrała całkiem nowego wymiaru. O ile dotąd mówiono o poirytowanej, rozzłoszczonej nastolatce, która usiłowała uniknąć nieprzyjemnej sytuacji, nie biorąc pod uwagę konsekwencji swojego postępowania, o tyle teraz należało się liczyć z innym scenariuszem. I to znacznie gorszym.

Do miejsca, w którym znaleziono jej rzeczy, Amelie Goldsby nie mogła dotrzeć sama. Ktoś musiał zabrać ją tam samochodem. Na kompletnym pustkowiu ktoś pozbył się jej kosmetyków i torebki. Caleb drętwiał na myśl o telefonie komórkowym Saskii Morris, który znaleziono niedługo po jej zaginięciu na skraju lokalnej drogi.

Siły policyjne przeczesywały okolice parkingu na terenie parku narodowego. W głowie Caleba kołatała się kolejna myśl, nie pozwalając mu zasnąć: rzeczy Amelie porzucono w niewielkiej odległości od miejsca, w którym znaleziono zwłoki Saskii. Co prawda dobre piętnaście mil dalej, żaden to jednak dystans, zważywszy na ogromne przestrzenie tamtejszych wrzosowisk.

Nie wyglądało to najlepiej.

W domu państwa Goldsbych, pięknie położonym przy końcu ulicy, z widokiem na

morze, zapanował grobowy nastrój. Doktor Jason Goldsby siedział w pokoju dziennym z laptopem na kolanach i surfował w internecie, prawdopodobnie w poszukiwaniu informacji na temat Saskii Morris. On także potrafił kojarzyć fakty i dostrzegał związki. Deborah usadowiła się na sofie. Pobladła na twarzy, miała zmierzwiłone włosy, oddychała nierówno. Sprawiała wrażenie, jakby przeszywał ją paniczny strach, ręce jej drżały, a czoło perliło się od potu. Funkcjonariuszka policji opiekująca się ofiarami zbrodni przysiadła obok, przytrzymała jej dłoń i starała się ją uspokoić. W pokoju przebywały również dwie inne kobiety, przedstawione Calebowi jako sąsiadki, które w nocy przyłączyły się do poszukiwań, a teraz oferowały dalszą pomoc. Były wyczerpane i wstrząśnięte, nie wyglądały na osoby złażnione sensacji.

– Chciałbym przez chwilę porozmawiać z rodzicami na osobności – poprosił Caleb.

Funkcjonariuszka i obie sąsiadki wyszły z pokoju. Przywitał się z nimi współpracownik Caleba, sierżant Robert Stewart, który postanowił wykorzystać okazję i wypytać je o rodzinę Goldsbych. Jakie wrażenie wywierali na innych? Jakie stosunki łączyły oboje rodziców? Jakie łączyły ich z córką? Czy wczorajszego przedpołudnia, w chwili zniknięcia Amelie, ktoś zauważył coś niezwykłego?

Caleb zamknął drzwi. Jason odłożył laptopa, wstał i podszedł do niego.

– Saskia Morris – powiedział bez ogródek. – Wie pan, co mam na myśli?

– A co ma pan na myśli? – odparł pytaniem Caleb, choć doskonale znał odpowiedź.

– No cóż... – Jason niepewnym wzrokiem zerknął na żonę. Deborah również podniosła się z miejsca i stanęła obok męża. Caleb miał wrażenie, że nigdy dotąd nie widział nikogo o tak poblądłej twarzy.

– Możesz to śmiało powiedzieć – wyznała. – Obawiamy się, że Amelie wpadła w ręce tego samego człowieka co Saskia Morris.

– Komórkę Saskii znaleziono wkrótce po jej zniknięciu – stwierdził Jason. – Sama zaś Saskia... Sprawdziłem na mapach Google'a. Miejsce odkrycia jej... Znaleziono ją niedaleko od miejsca, w którym porzucono rzeczy naszej córki.

– Zgadza się – potwierdził Caleb. – Mimo to wyciąganie stąd daleko idących wniosków uważam za przedwczesne.

– Jakies wnioski musimy jednak wyciągnąć – oznajmił Jason. – Jakie są pańskie?

– Czy możemy usiąść? – zapytał Caleb. – Chciałbym raz jeszcze omówić wszystko na spokojnie.

Usiedli na sofie w kącie pokoju. Caleb został poinformowany o szczegółach wczorajszego zgłoszenia. Parking przed Tesco. Kiepski humor Amelie. Jej niechęć do

wyjazdu na wycieczkę. *Tej Saskii to dobrze. Już nigdy nie będzie musiała jeździć na klasowe wycieczki.*

To zdanie dawało nadzieję. Nadzieję na to, że po prostu uciekła. Zniknęła. Jak Saskia. Tyle że Saskia nie zniknęła dobrowolnie, w odróżnieniu od Amelie. Być może. Istniał cień nadziei. Choć bardzo nikły.

– Brakuje jakiegokolwiek niewinnego wyjaśnienia, w jaki sposób torebka mojej córki znalazła się na wrzosowiskach – oznajmił Jason. – Amelie nie mogła sama jej tam zabrać.

– Z pewnością. Istnieje jednak możliwość, że została jej skradziona. Następnie sprawca pozbył się torebki, bo do niczego mu się nie przydała.

– Uważa pan to za prawdopodobne? – zapytała Deborah.

Caleb westchnął. Rodzice różnie reagują w takich sytuacjach. Niektórzy pragną pocieszenia, chwytają się kurczowo najbardziej absurdalnych teorii, a od śledczych chcą usłyszeć, że co prawda uczynią wszystko, co w ich mocy, by odnaleźć zaginioną osobę, zarazem jednak nie dostrzegają żadnego niebezpieczeństwa. Inni z kolei chcą poznać prawdę w całym jej okrucieństwie, gdyż i tak nic nie zdoła ich uspokoić. Rodzice Amelie zaliczali się do tej drugiej grupy. Nawet Deborah, zdjęta paniką, z drżącymi dłońmi i bladym obliczem. Chciała wiedzieć, co naprawdę sądzi Caleb Hale.

Spośród wszystkich nieprzyjemnych cech swojego zawodu Caleb tej nie cierpiał najbardziej. Rozmowy z rodzicami zaginionych dzieci. Kiedy musiał im powiedzieć, że należy się przygotować na najgorsze.

– Przyznam, że to mało prawdopodobne – odparł Caleb. – I niestety muszę państwu powiedzieć, że sytuacja nie wygląda dobrze. Z początku wiele wskazywało na to, że państwa córka po prostu uciekła. A jednak fakt, że jej rzeczy znaleziono na pustkowiu, czterdzieści pięć minut jazdy samochodem od Scarborough, każe w to powątpiewać.

– Ktoś zabrał tam Amelie samochodem – powiedziała Deborah.

Caleb spojrzał na nią zachęcającym wzrokiem.

– Możliwe, to bardzo obiecujące założenie. Mieliśmy pogodny dzień. Parking, a także ulice wokół supermarketu były zatłoczone. Wiele przemawia za tym, że Amelie nie została napadnięta, lecz dobrowolnie wsiadła do samochodu. Co mogłoby świadczyć o tym, że знаła osobę siedzącą za kierownicą.

– Mogła też pojechać autostopem – zauważyła Deborah.

– Często to robiła?

Rodzice spojrzeli po sobie, oboje potrząsnęli głowami.

– Właściwie to nigdy – przyznał Jason. – Napominaliśmy, by wystrzegą się niebezpieczeństw, była raczej bojaźliwa. Oczywiście nie wykluczyłbym tego całkowicie, ale... – Nie dokończył zdania. Niczego nie dało się w tej sytuacji wykluczyć. I to właśnie było najgorsze.

– Weźmiemy pod uwagę także i tę możliwość – oznajmił Caleb. – Powinniśmy jednak zacząć od wersji bardziej prawdopodobnej: znajomi. Kto z jej znajomych posiada prawo jazdy?

– Wszyscy jej najbliżsi znajomi mają po czternaście lat – wyjaśniła Deborah. – Najwyżej piętnaście. Nikt z nich nie prowadzi samochodu.

– Czy utrzymuje bliższy kontakt ze starszymi uczniami ze swojej szkoły? Może w grupie teatralnej? Jakimś kółku? Drużynie sportowej? Może też poza szkołą?

– Dwa razy w tygodniu chodziła na basen. Z całą grupą. Oni wszyscy byli jednak w tym samym wieku. Z wyjątkiem trenera, ale on też ma dopiero szesnaście lat.

– Mimo to porozmawiamy z nim. Czy ktoś jeszcze przychodzi państwu do głowy?

– Raczej nikt – odparł Jason. – Były naturalnie szkolne uroczystości. Okolicznościowe imprezy. Brały w nich udział także starsze roczniki. Oczywiście nawiązywały się wtedy kontakty.

– Jakieś nazwiska? Czy o kimś często wspominała?

– Nie. Niestety... nierzadko zamykała się przed nami.

– Pomówimy z wszystkimi jej znajomymi – oświadczył Caleb. – Czasem wiedzą dużo więcej niż rodzice. To całkiem normalne w tym wieku. Czy przekażą nam państwo komputer Amelie? Istnieje niestety także możliwość, że...

– Poznała kogoś na czacie – wszedł mu w słowo Jason. – Ja także się nad tym zastanawiałem. Oczywiście może pan zabrać komputer.

– Domyślam się, że jest w jej pokoju. Czy mogę tam zajrzeć?

– Ależ naturalnie. – Deborah zerwała się z miejsca. Sprawiała wrażenie nieco bardziej opanowanej niż jeszcze kilka minut wcześniej. Coś się wreszcie działo. Zdano sobie sprawę z powagi sytuacji. Ktoś zadawał pytania, mówił o sprawdzeniu komputera. Okropna historia, ale *policja nareszcie coś robi*.

– Również Kate uznała dziś z rana, że powinniśmy zajrzeć do jej komputera. Ale jest zabezpieczony hasłem. Nie zdołaliśmy się do niego dostać.

– Zajmą się tym nasi eksperci – zapewnił Caleb. Podniósł się z miejsca. – Kim jest Kate? Mają państwo tylko jedną córkę, prawda?

– Kate jest u nas w gościnie. Od piątku. Kate Linville z Londynu. Proszę sobie

wyobrazić, że pracuje w Scotland Yardzie. Na pewno nam pomoże!

– Kate Linville – powtórzył osłupiały Caleb. – Nie do wiary!

– Zna ją pan? – zapytał Jason.

– I to jak – przyznał Caleb. – I to jak!

3

Stali w pokoju Amelie. Caleb miał wrażenie, że przez te trzy lata, jakie upłynęły od ich ostatniego spotkania, wcale się nie zmieniła. Jak zawsze wyglądała zupełnie niepozornie, można by rzec, że w ogóle się nie postarzała, lecz nie w sposób, jakiego pragnęłaby każda kobieta. Miało to raczej związek z jej skromną aparycją: tak naprawdę nikt nie zwracał na nią uwagi, a zatem nie zauważał również oznak postępującego starzenia. Ani zmian w rysach twarzy. Była tak bardzo zamknięta w sobie, że się nie zmieniała, nawet w najgorszych okolicznościach i najbardziej dramatycznych sytuacjach. Cokolwiek działo się w jej wnętrzu – a Caleb wiedział, że nie była nieczuła, oziębła, pozbawiona empatii – nie uzewnętrzniało się, nie odmalowywało w rysach twarzy, nie przeorywało ich, nie zmieniało wyrazu. Oto człowiek, który nauczył się wszystko w sobie tłumić. Gdyż za każde uzewnętrznienie uczuć spodziewa się krytyki. Kate Linville przepelniała nieufność. Zasklepiła się w sobie, by nikt nie skorzystał z okazji i jej nie zranił. Tym samym jednak nikomu nie dawała choćby nikłej szansy, by ją pokochał. A to z kolei budziło w niej przekonanie, że wszyscy są jej nieprzychylni.

Złapana we własne sidła. Zdaniem Caleba określenie to doskonale pasowało do Kate Linville.

– Spodziewałbym się tu każdego... – powiedział Caleb.

Wzruszyła ramionami.

– To wcale nie jest aż takie dziwne. Mam tu dom. Przyjechałam, bo dopadł mnie okropny pech z lokatorami.

– Niewypłacalni?

– Zniknęli. Bez śladu. A w domu zostawili istne pobojuwisko. Wszystko zapaskudzone i poniszczone. Musieli być niezrównoważeni. Przynajmniej złożyli wypowiedzenie. Nie pozostało mi nic innego, jak posprzątać i wszystko uporządkować.

– Do licha – odparł Caleb. Wiedział, ile dla Kate znaczył dom, rodzice, a przede

wszystkim ojciec. – Meble pani rodziców... Nic nie nadaje się do użytku?

Potrząsnęła głową.

– Ostatecznie można je naprawić i odnowić, sporym nakładem pracy, owszem. Ale... już na zawsze pozostaną w jakimś sensie zniszczone. Już nigdy nic nie będzie takie samo. Skorzystam z okazji, by się ostatecznie pożegnać. Doprowadzę dom do porządku, a potem go sprzedam.

Przed trzema laty podjęła taką samą decyzję. A jednak nie zdołała się przemóc. Był ciekaw, czy tym razem jej się uda.

– A jak znalazła się pani tutaj? – zapytał. – U Goldsbych, których córka zaginęła?

– Czysty przypadek. No cóż, nie tylko. Ten pensjonat mieści się najbliżej domu moich rodziców. W piątek pilnie potrzebowałam noclegu, skąd miałabym niedaleko do Church Close. Wpisałam w wyszukiwarce i... strzał w dziesiątkę, można by powiedzieć. Wcale nie chciałam się znaleźć w samym środku dochodzenia.

– To także... – zaczął Caleb, lecz weszła mu w słowo:

– To oczywiście nie moja sprawa. Nie mam zamiaru wchodzić panu w paradę. To zupełnie inne okoliczności niż wówczas.

Nawiązała do ostrych sporów, jakie wtedy toczyli. Kate na własną rękę prowadziła śledztwo w sprawie zabójstwa swojego ojca, gdyż była przekonana, że Caleb podąża fałszywym tropem. Działała bez właściwych uprawnień i wciąż wchodzili sobie w drogę – ostatecznie jednak to ona rozwikłała sprawę. Mimo wszystko rozstali się w zgodzie, Caleb miał klasę i potrafił przyznać, że to Kate okazała się lepsza. Przeżył jednak nawrót choroby alkoholowej, i to poważny, mając za sobą pobyt w klinice odwykowej i wielomiesięczną abstynencję. Domyślał się, że Kate właśnie się zastanawia, czy zdołał już nad tym zapanować. Czy tej niedzieli już coś wypił, czy może jest całkiem trzeźwy.

– Kiepsko – stwierdził Caleb. – Ta sprawa wygląda kiepsko.

Gdy Jason poinformował o obecności Kate w jego domu, poprosił ją o rozmowę. Udało mu się zostać z nią sam na sam w pokoju Amelie, podczas gdy państwo Goldsby przebywali na dole razem z sierżantem Stewartem. Opinia Kate była dlań istotna, bo choć nie znała bliżej rodziny, spotkała w piątek całą trójkę. Była policjantką, mógł z nią rozmawiać otwarcie. Cenił jej znajomość ludzkich charakterów oraz umiejętność prowadzenia dochodzenia. W przeciwieństwie do niej samej. Ona swoich zdolności nie doceniała.

– Co pani sądzi o tej sytuacji? – zapytał.

Westchnęła.

– Odkąd znaleziono jej rzeczy, wygląda to coraz gorzej. Z początku byłam niemal pewna, że po prostu uciekła, ale teraz... Nadal istnieje oczywiście możliwość, że ma chłopaka, o którym jej rodzice nic nie wiedzą. Mógł ją gdzieś zabrać. Ale dlaczego mieliby się pozbywać torebki Amelie, jej kosmetyków? To niezrozumiałe i zagmatwane.

– Jak pani sądzi, co się stało? Wczoraj przed południem, na parkingu?

– Myślę, że do samochodu podszedł ktoś, kogo Amelie znała i kto zdołał ją namówić, by z nim poszła. W najlepszym razie miał dobre zamiary.

– A w najgorszym dobrych zamiarów wcale nie miał.

– Nie. Ale mimo to z nim poszła, bo go znała i koniecznie chciała uniknąć wyjazdu na wycieczkę.

– Inne możliwości?

– Zastanawiałam się, czy po prostu nie wysiadła i sobie nie poszła – odparła Kate. – Nie domyślając się, jak bardzo przerazi tym matkę. Albo zrobiła to celowo, by matkę wystraszyć. Była wściekła, gdyż Deborah nie chciała wystarać się dla niej o zwolnienie lekarskie. Być może ruszyła nawet w drogę powrotną do domu, nie mając wcale zamiaru uciekać. Potrzebowała tylko rozładować swoją frustrację.

– I myśli pani, że w drodze do domu mogła...

– Mogła zostać porwana, tak. Dobrze znam tę okolicę. Mogła wybrać dwie drogi powrotne do domu, zakładając, że naprawdę tego chciała.

– Wzdłuż Burniston Road.

– Zgadza się. Po lewej i prawej biegnie chodnik i ścieżka rowerowa. Spory odcinek drogi prowadzi przez teren niezabudowany, wśród łąk i pól uprawnych, nim dotrze się do pierwszych ulic osiedla, na którym mieszka Amelie. Ktoś mógł się tam przyczaić i zaciągnąć ją do samochodu.

– Bardzo ryzykowne – przyznał Caleb. – Na ulicy panuje spory ruch.

– Ale czasem jest tam całkiem pusto. W tym scenariuszu sprawca nie działał według żadnego planu. Przejeżdża ulicą, widzi młodą blondynkę idącą chodnikiem. Stwierdza, że wokół nikogo nie ma. Zatrzymuje się i ją porywa. Nie trwa to dłużej niż pół minuty. I nikt niczego nie zauważa.

– Dziewczyna gwałtownie by się broniła.

– Gdyby chodziło o motyw seksualny, mielibyśmy najprawdopodobniej do czynienia z mężczyzną. Z całą pewnością znacznie większym i silniejszym niż drobna, szczupła Amelie. Poza tym mógłby wykorzystać moment zaskoczenia. Możemy założyć, że miała

w uszach słuchawki z głośną muzyką. Nie słyszała, jak się zbliża ani zatrzymuje. Zauważyła go dopiero wtedy, gdy ją pochwycił.

– Inna droga...

– Wzdłuż North Cliff Avenue, w kierunku morza. Ładniejsza trasa, jeśli to miało dla niej jakieś znaczenie, zważywszy na jej ówczesny nastrój.

– Tam jednak domy stoją jeden przy drugim – zauważył Caleb. – Wydaje mi się, że nikt nie zaryzykowałby napadu w tym miejscu.

– Przy końcu ulicy jest duży parking. Tam mogła go spotkać. I znów należałoby przyjąć, że sprawca zwyczajnie miał szczęście: prócz niego i Amelie wokół nie było akurat nikogo. Albo też nic się tam jeszcze nie wydarzyło, dziewczyna poszła dalej. Ścieżką wśród wzniesień. Albo wzdłuż Cleveland Way, samym brzegiem morza.

– W obu przypadkach nikt nie mógłby jej minąć samochodem.

– Ale ktoś mógł ją zagadnąć. Pójść razem z nią aż do Sea Life. Tam jest kolejny parking.

Scarborough Sea Life Sanctuary, duży kompleks budynków położony na skraju Zatoki Północnej. Ulubiony cel wycieczek, gdyż w ogromnych akwariach można obserwować najbardziej egzotyczne gatunki wodnych zwierząt. Chętnie urządzano tam przyjęcia urodzinowe dla dzieci, organizowano też akcje, w których wszyscy mogli wziąć udział, na przykład wspólne sprzątnięcie plaży.

– Na parkingu z pewnością panował spory ruch – zauważył Caleb.

– W sobotnie przedpołudnie raczej niewielki. Ludzie robią wtedy głównie zakupy. Wciąż zakładamy pewien element przypadku. Dla przestępcy zawsze, wszędzie może nadarzyć się nieoczekiwane okazja do ataku. Czasem wystarczy naprawdę krótka chwila. Musi on jedynie działać w sposób zdecydowany.

– Cleveland Way – powtórzył Caleb w zamyśleniu. – Przy samej plaży. Doktor Goldsby, jak sam zeznał, przebywał w owym czasie w okolicy. Mógł spotkać tam córkę.

– A potem?

– Co pani sądzi o tej rodzinie? O rodzicach?

– Cóż, przyjechałam dopiero w piątkowe popołudnie. Goldsbych dobrze nie znam. Na pierwszy rzut oka to całkiem zwyczajna rodzina. Córka w wieku buntu i przekory, w ustawicznej konfrontacji z matką, co nie jest niczym niezwykłym. Stosunki z ojcem są znacznie łagodniejsze, to także typowe. Jason pracuje jako lekarz w dużej przychodni. Sprawia wrażenie zestresowanego, przemęczonego. Deborah prowadzi pensjonat i czasem zmagają się chyba z odwrotnym problemem: często jest sama, przede

wszystkim jesienią i zimą. Bardzo się ucieszyła z mojego przyjazdu.

– A na... drugi rzut oka? – zapytał Caleb. – Coś pani zauważyła?

Kate się zawahała.

– Z zastrzeżeniem, że nie miałam dość czasu na wyrobienie sobie opinii... Deborah jest nieszczęśliwa. Samotna. Nie żyje w harmonii ze swoją rodziną. Jason dużo pracuje, uwierają ich długi. To jedynie obserwacja, nie musi być trafna. Dom drogo ich kosztował. Prawdopodobnie muszą spłacać wysoki kredyt. Pomysł Deborah, by urządzić tu pensjonat, Jasonowi wcale się nie podoba. Chociażby dlatego, że latem pozbawia go spokoju i samotności. Powiedziałabym, że to małżeństwo żyje pod presją, daleko tu jednak do eskalacji konfliktu.

– Eskalacji, która skłania córkę do współczucia? Tonący w długach ojcowie rodzin nieraz dopuszczali się strasznych rzeczy.

– Ale w inny sposób. Dokonują rzezi. W afekcie masakrują żonę i dzieci. A potem siedzą zszokowani swoim czynem, którego sami nie potrafią pojąć. To nie ten przypadek.

– Mimo to dokładnie sprawdzę doktora Goldsby'ego – oznajmił Caleb. – Nie ma alibi.

– Dostrzega pan jakiś związek ze sprawą Saskii Morris? I Hannah Caswell?

Spojrzał na nią zaskoczony.

– Hannah Caswell? Ależ to było cztery lata temu. Trzy lata przed zniknięciem Saskii.

– Była w wieku Saskii Morris i Amelie Goldsby.

– Zna pani ten przypadek?

– Z internetu.

– To pewnie pani wie, że nigdy nie odnaleziono żadnego jej śladu. Ani komórki, ani torebki, nic. Nie mówiąc już o zwłokach. Prowadziłem to dochodzenie. Staliśmy w obliczu kompletnej pustki.

– To jeszcze niczego nie tłumaczy. Na rzeczy należące do Saskii i Amelie natrafiono przez przypadek.

– To prawda. Trudniej jednak ukryć zwłoki. Tak by całymi latami nikt ich nie znalazł. Wrzosowiska to dzika i odludna kraina, owszem, a jednak szczególnie latem przemierzają je turyści i wędrowcy. Ludzie z psami... Uważam, że jeśli Hannah Caswell nie żyje, morderca zadał sobie wiele trudu, by ukryć ciało w sposób uniemożliwiający jego odnalezienie. Saskię Morris natomiast dość łatwo można było znaleźć, zwłoki porzucono tuż przy ścieżce i przykryto ledwie kilkoma gałęziami. To zasadnicza różnica.

– Ale też nic nadzwyczajnego. Akurat seryjni mordercy stają się nierzadko coraz bardziej lekkomyślni. Skoro powiodło im się jedno zabójstwo, wszelkie niebezpieczeństwo uznają za znikome. To dlatego ostatecznie wpadają, dziwiąc się, jak mogli postępować tak nieostrożnie.

Caleb pokiwał głową.

– Hannah Caswell znika cztery lata temu. Saskia Morris przed niemal rokiem. Trzy lata po Caswell. Amelie Goldsby znika tuż po odnalezieniu zwłok Saskii... Odstęp dzielący przypadki Caswell i Morris wydaje mi się bardzo duży.

– Odstęp, jaki znamy – odparła Kate. – W ciągu tych trzech lat mogły pojawić się ofiary, o których nic nie wiemy. Z innych okolic, które nie są brane pod uwagę w związku z tym przypadkiem. Albo dziewczyny z ulicy, z narkotykowego półświatka. Uchodźcy, których zaginięcia nikt nie zgłasza.

– Nasz sprawca, jeśli istnieje, ma klarowny schemat działania, którego, jak mi nie mam, nie zmienia. Poluje na niedoświadczone, naiwne dziewczęta, hołubione, ze środowisk mieszczańskich. Nie sądzę, by nagle zainteresował się jakąś ćpunką z ulicy.

– Zgoda. Ale mógł być zszokowany swoim pierwszym zabójstwem. Przemawia za tym fakt, że nadzwyczaj starannie zatuszował wszelkie ślady. Po latach, kiedy zrozumiał, że wyszedł z tego bez szwanku, że nikt niczego nie zauważył, nikt go nie podejrzewa, ponownie zaryzykował. I postąpił bardziej lekkomyślnie. Nic w tym nadzwyczajnego.

Caleb wiedział, że Kate ma rację. Westchnął głęboko. Możliwe, że to rzeczywiście seryjny morderca. I coraz częściej będzie się dopuszczał kolejnych zbrodni.

Rozejrzał się po pokoju. Urocze pomieszczenie, na poddaszu, o skośnych ścianach; z okna lukarny rozpościerał się widok na morze. Pokój bezsprzecznie należał do młodej nastolatki. Różowe kwieciste tapety na ścianach, różowy włochaty dywan na podłodze, różowa szafa, której klamki miały kształt kwiatów. Marzenia małej dziewczynki... Na tapecie powieszono jednak plakaty nieznanych Calebowi zespołów popowych, których członkowie byli bez wyjątku ubrani na czarno, a na ich uszminkowanych na biało twarzach widniały wokół oczu demonicznie czarne obwódki. Na stoliku leżało mnóstwo przyborów do makijażu, flakoników z lakierem do paznokci, rozmaitych szminek i sprayów. Na łóżku zaś para dzinsów *destroyed look* oraz czarny sweter z dzianiny. Amelie najwyraźniej zamierzała się pożegnać z różowym światem swojego dzieciństwa. Rodzice byli przekonani, że nie ma chłopaka. Caleb pewny był tylko jednego: rodzice nie wiedzieli wszystkiego o własnej córce.

Miał nadzieję, że zawartość komputera podsunie im jakąś wskazówkę. Zaraz go

zabiorą, sierżant Stewart oraz dwaj koledzy dokładnie przetrząsną pokój. Caleb otworzył jedynie drzwi szafy, następnie kilka szuflad. Na pierwszy rzut oka nic, co mogłoby mu pomóc. Ot, zwyczajny pokój zwyczajnej nastolatki.

Odwrócił się do Kate, która zastygła w oczekiwaniu.

– I co zamierza pani teraz robić?

– Doprowadzę mój dom do porządku. Albo przynajmniej postaram się zorganizować sprzątanie. Potem przekażę go pośrednikowi. Sama muszę rychło wracać do Londynu, zgodę na te kilka dni urlopu dostałam bardzo niechętnie. – Uśmiechnęła się. – Tym razem naprawdę nie będę się mieszać. To pańskie dochodzenie. Żadnych osobistych powiązań.

– Jest pani bardzo dobrą śledczą, Kate. Już wówczas mówiłem pani, że ucieszyłoby mnie, gdyby się pani ubiegała u nas o posadę. Może powinna to pani ponownie przemyśleć? – Wiedział, jak niechętnie ona pracuje w Scotland Yardzie. Jak bardzo czuje się niedoceniana. Odrzucona przez kolegów. Nie umiał powiedzieć, na ile jej uczucia były uzasadnione, na ile wydumane. Potrafiła sama sobie szkodzić. Czasem wietrzyła nieistniejące ataki. Miało to związek z jej niską samooceną. Postrzegала siebie przez okulary przyprószone wątpliwościami, nie potrafiła sobie wyobrazić, że ktokolwiek mógłby oceniać ją w zupełnie inny sposób. To czyniło ją nieufną, kazało czasem przybierać niemal wrogą pozę.

Potrząsnęła głową.

– Zostanę w Londynie. Tak będzie lepiej. – Nie wytłumaczyła dlaczego, on nie zapytał. Nie byli sobie na tyle bliscy, by odważyć się poruszyć kwestie osobiste, tym bardziej że najwyraźniej nie chciała podawać bliższych wyjaśnień.

– Pozwolę panu zająć się pracą – oznajmiła Kate. – Będę w moim pokoju, jeśliby miał pan jeszcze jakieś pytania.

– W porządku, dziękuję. – Powiódł za nią wzrokiem, gdy wychodziła z pokoju, po czym znów rozejrzał się po kwiecistych ścianach w nadziei, że z któregoś kąta wyłoni się odpowiedź. Wskazówka. Punkt zaczepienia. Cokolwiek.

„Pozwól mi znaleźć jakiś ślad” – pomyślał, nie wiedząc, do kogo właściwie kieruje tę prośbę. Ślad, który doprowadzi do dziewczyny. Zwróci dziecko rodzicom. I zakończy koszmar tej rodziny!

Pokój pozostał milczący.

Poniedziałek, szesnasty października

1

Stolarnia, w której Lynn Allard uczyła się zawodu, mieściła się przy Westwood Road, w pobliżu Tesco Superstore, ogromnego centrum handlowego. Z domu rodzinnego Lynn mogła tam dotrzeć piechotą. Był to niewielki warsztat ukryty na tyłach podwórza. Trzeba było pchnąć bramę między dwoma domami, by wejść na dziedziniec. Wokół unosiła się intensywna woń drewna i świeżej żywicy. Z szopy dobiegał szum elektrycznej piły.

Poranek był zimny i mglisty, długie lato odeszło w przeciągu jednej nocy. Carol marzła, mocniej naciągnęła płaszcz na ramiona. Zatrzymała się tu w drodze do biura. Może zastanie Lynn.

Rzeczywiście, od razu dostrzegła dziewczynę. Lynn stała oparta o bieloną drewnianą ścianę szopy i paliła papierosa. Chude stworzenie w obcisłych dżinsach, czarnym swetrze i skórzanej kurtce. Na każdym palcu prawej dłoni nosiła srebrną obrączkę, lekko poźółkłe opuszki palców zdradzały, że paliła często i od długiego czasu. Miała cienie pod oczami, sprawiała wrażenie zmarzniętej, niewyspanej i głodnej.

„Za dużo pali, za mało je i śpi” – pomyślała Carol.

Podeszła do dziewczyny.

– Cześć, Lynn.

Lynn nie spostrzegła jej wcześniej, wzdrygnęła się.

– Och, Carol. Nie zauważyłam pani. – Dłoń, w której trzymała papierosa, lekko jej drżała. – Wypalę tylko przed pracą. Szef się zgodził. Zaraz wejdę do środka.

– Nie musisz się tłumaczyć, Lynn. – Carol z żalem zauważyła, jak bardzo dziewczyna czuje się kontrolowana. – Przychodzę, bo mam pytanie.

– Tak?

Carol wolałaby nie rozmawiać na tym spowitym mgłą i wilgocią podwórzu, w warsztacie przebywali jednak mistrz stolarski oraz jego uczniowie, ona zaś nie potrzebowała świadków.

– Dostałam zgłoszenie ze szkoły w sprawie Mandy. Od ośmiu dni jest nieobecna, bez

usprawiedliwienia. Mam nadzieję, że nie jest z nią aż tak źle.

Powieki Lynn zaczęły nerwowo drgać.

– Była pani u rodziców?

– Tak, w piątek. Twoja matka mówi coś o grypie.

Lynn milczała. Łapczywie zaciągała się papierosem.

– Niestety twoja matka nie chciała mnie wpuścić do Mandy – oznajmiła Carol. – Dlatego... Cóż, pomyślałam, że zapytam ciebie. Jak poważna to grypa?

Lynn nie odpowiedziała.

– Lynn?

Dziewczyna cisnęła wypalonego papierosa na ziemię, rozgniotła go obcasem.

– To sprawa moich rodziców.

– Wiesz przecież, że twoja matka nie chce z nami współpracować – oznajmiła Carol.

Lynn wzruszyła ramionami.

– Muszę już zacząć pracę.

– Na pewno znajdziesz dla mnie minutę.

Już w piątek podczas wizyty w domu Allardów Carol odniosła wrażenie, że coś jest nie w porządku, teraz tylko utwierdziła się w tym przekonaniu. Dlaczego Lynn nie powiedziała czegoś w rodzaju: *Tak, Mandy coś złapała, kaszel, ból gardła, gorączka, czuje się fatalnie?* Skąd te uniki, wymijające odpowiedzi, kluczenie?

– Co się dzieje, Lynn? – zapytała łagodnie Carol.

Oczy Lynn nagle wypełniły się łzami.

– Czy może pani przestać grzebać w naszym życiu? – prychnęła. – Pierwszy raz dobrze mi się układa. Po raz pierwszy w życiu! Czuję, że odnalazłam swoją drogę. I nawet mi się wiedzie. Nie chcę... Do cholery, nie chcę znowu tego zaprzepaścić!

Carol ją rozumiała, lecz musiała pozostać nieugięta.

– Nikt nie chce ci odebrać tej szansy, Lynn. A na pewno nie ja. Obie znalazłyśmy przecież dla ciebie to rozwiązanie. Bardzo mi zależy, byś je wykorzystywała.

Czarny tusz do rzęs spływał po bladych policzkach Lynn.

– To proszę zostawić moją rodzinę w spokoju!

– Co z Mandy? Lynn, proszę. To twoja siostra. Jej los nie może ci być obojętny.

– Nie jest mi obojętny. Ale ona zawsze wszystko tylko niszczy. Ciągłe wyklóca się z matką. Nie rozumie, że czasem lepiej trzymać gębę na kłódkę. Prowokuje, wszczyną

kłótnie... Sama jest sobie winna...

– Winna czego?

Lynn gwałtownym ruchem otarła z twarzy łzy.

– Że matka ciągle się wkurza!

Carol dostała gęsiej skórki.

– Czy między Mandy i waszą matką doszło do kłótni?

– *Czy doszło do kłótni?* – Lynn małpowala ją przeciągłym tonem. – Do kłótni dochodzi między nimi codziennie. Każdego dnia! I to jest wina Mandy!

Carol wiedziała, że Mandy potrafi prowokować i zachowywać się agresywnie. Dokładnie tak samo jak jej matka. Oto dwa regularnie nacierające na siebie walce.

– Okay, kłótnia. Zostawmy kwestię, kto ją zaczął. Ale dlaczego Mandy od ośmiu dni nie chodzi do szkoły? Co się stało?

Lynn odwróciła wzrok.

– Nie ma jej.

– Nie ma jej? Co to znaczy?

– To znaczy, że jej nie ma. Pokłóciły się, a wtedy spakowała swoje rzeczy i oświadczyła, że ma dość, odchodzi.

– A więc twoja matka i Mandy się pokłóciły?

– Tak.

– Kiedy?

– Tydzień temu, w niedzielę.

– Dokąd Mandy zamierzała pójść?

– Nie mam pojęcia. Chyba do którejś z koleżanek.

– Czy twoi rodzice próbowali ustalić, gdzie przebywa?

– Nie sądzę.

– A ty?

– Nie.

– Dobry Boże, Lynn, twoja siostra zniknęła osiem dni temu, a nikogo z was nie interesuje, gdzie się podziewa?

– Zna kilka osób. Pewnie jest u kogoś.

– Ona musi chodzić do szkoły!

– Nie jestem za nią odpowiedzialna.

– O co się posprzeczały? – zapytała Carol. – Było gorzej niż zwykle, prawda? W przeciwnym razie Mandy by nie uciekła.

Mistrz stolarski wytknął głowę przez uchylone drzwi.

– Zaczyniesz dzisiaj, Lynn? – Zauważywszy Carol, skinął do niej głową. – Ach, witam, pani Jones. – Znał Carol, to ona go wówczas prosiła, by przyjął Lynn na naukę.

– Widzi pani – powiedziała Lynn. – Muszę do pracy!

– Jeszcze tylko parę minut – odparła Carol.

– Jasne! – przytaknął szef i zniknął.

Rozgniewana Lynn wlepiła wzrok w Carol.

– Wszystko zepsujecie. Pani i Mandy. Wszystko! Kiedy w moim życiu nareszcie się układa...

– Niczego ci nie zepsuję. I Mandy również. – Głos Carol nabrał ostrości. Chciała poruszyć sumienie Lynn. – Do diabła, Lynn, jesteś dla mnie ważna, ale odpowiadam także za twoją siostrę. Albo mi powiesz, co się stało, albo będziemy tu stać do wieczora. Nie odejdę, póki nie dowiem się prawdy!

Lynn spojrzała na nią gniewnie, lecz dostrzegła w jej hardym wzroku żelazną determinację. Zrozumiała wówczas, że Carol nie rzuca słów na wiatr. Nie odejdzie. Nie pozwoli się tak łatwo spławić.

– Nie wiem dokładnie, o co tym razem poszło. Siedzieliśmy przy kuchennym stole, Mandy robiła docinki z powodu tego czy tamtego, w końcu zaczęła marudzić na temat jedzenia. Mama nie znosi gotować. Włożyła jakieś gotowe burgery do mikrofalówki, do tego rozmemłana w wodzie ziemniaczana breja z torebki. Niezupełnie to zdrowe, ale... cóż, przynajmniej coś do jedzenia. Mandy nie przestawała jednak zrzedzić, uznała, że od takich rzeczy tylko się tyje, co w przypadku naszej rodziny nie ma uzasadnienia, wszyscy jesteśmy tacy chudzi...

– I wtedy twoja matka się wściekła? – poddała Carol.

– Tak, naprawdę się zezłościła. W końcu zaczęły na siebie wrzeszczeć. Tato jak zwykle nie odezwał się słowem, tylko gapił się w talerz. A ja pomyślałam... – Oczywiście Lynn ponownie wypełniły się łzami. – Pomyślałam, dlaczego ona znowu to robi? Dlaczego? Czy nie moglibyśmy spędzić jednego wieczoru w spokoju? To znaczy... kiedy mama tak się nakręca, czy Mandy nie mogłaby odpuścić?

Carol westchnęła. Patsy była nad wyraz trudną matką. Podobnie jak Mandy córką. Carol nie chciałyby zamieszkać z żadną z nich pod jednym dachem.

– W końcu mama zerwała się z miejsca i powiedziała, że zaparzy sobie herbaty

i wypije ją sama, a jej cholerna rodzina ma ją wreszcie zostawić w spokoju... Nastawiła wodę, tato i ja wyszliśmy z kuchni. Syknęłam jeszcze do Mandy, że powinna pójść z nami i przestać ciągle docinać mamie, lecz ona nie posłuchała. Chciała awantury. Prawdziwej awantury. Taka już jest.

– Wiem – przyznała Carol.

– Potem usłyszałam dochodzący z kuchni wrzask i łoskot... Zbiegłam po schodach. Tato wyszedł z pokoju dziennego. Mandy i mama stały w kuchni naprzeciw siebie i wrzeszczały na siebie. Wszędzie widać było rozlaną wodę. Mandy trzymała się za lewe ramię. Płakała i wyła...

– Co takiego?

– Mandy krzyczała, że mama rzuciła w nią czajnikiem. Pełnym wrzątku. Trafiła ją w ramię. Ręka wyglądała kiepsko.

– Dobry Boże – przeraziła się Carol.

Lynn coraz gwałtowniej zalewała się łzami. Nawet nie próbowała ich powstrzymywać.

– Ona naprawdę mamę sprowokowała. Serio. Nie chciałabym... Nie chcę, żeby coś się stało, rozumie pani? Jeśli mama trafi teraz za kratki... Tato całkiem się załamie, ja stracę rodzinę, i to akurat teraz, kiedy być może zdołam poukładać sobie życie...

Carol położyła dłoń na jej ramieniu. Rozumiała tę dziewczynę, rozumiała, dlaczego milczała.

– Twoja mama postąpiła źle, ale nie musi za to trafić do więzienia.

W rzeczywistości wcale nie była tego pewna, lecz zależało jej na uspokojeniu Lynn. Rzucenie w kogoś czajnikiem z wrzątkiem to nie bagatela. Mogła przecież trafić Mandy w twarz. Wystarczyło, że trafiła w ramię.

– I wtedy Mandy wyszła z domu?

– Tak. Spakowała plecak. Ramię owinęła mokrym ręcznikiem. Płakała, była wściekła. Ja zresztą także. To było zupełnie niepotrzebne. Całkiem zbyteczne. Mogła przecież w którymś momencie przestać.

– Czy powiedziała, dokąd pójdzie?

– Nie.

Carol się zamyśliła.

– Może potrzebuje pomocy medycznej. Z takimi oparzeniami nie ma żartów.

Lynn otarła łzy i głośno pociągała nosem.

- Na pierwszy rzut oka nie wyglądało to dobrze, potem ramię było cały czas owinięte... Nie wiem, w jakim naprawdę jest stanie...
- Muszę porozmawiać z twoimi rodzicami – oznajmiła Carol przezornie.
- Tak. Super. Mama strasznie się ucieszy, że ją wydałam.
- Nie miałaś wyboru. Ona to zrozumie. – Nawet w tej sprawie Carol nie miała pewności. Patsy Allard nie grzeszyła wyrozumiałością.
- Mogę już iść do pracy? – zapytała Lynn. Nie czekając na odpowiedź, zniknęła w warsztacie.

Carol stała we mgle, zamyślona. A niech to! Czternastoletnia Mandy zniknęła przed ponad tygodniem. Była ranna. W najlepszym razie przebywała u znajomych. W najgorszym gdzieś się włóczyła.

Należało niezwłocznie działać.

2

- Dobry Boże – szepnął mężczyzna. Rozglądał się dokoła, z odrazą wykrzywiając twarz. – Co oni tu, na litość boską, wyprawiali?
- Po prostu mieszkali – odparła Kate.
- Dość ekscentryczny styl życia, można by powiedzieć.

Kate stała w swoim rodzinnym domu razem z właścicielem firmy wywożącej graty. Obeszła z nim wszystkie pomieszczenia, obserwując na jego twarzy odbicie własnego obrzydzenia. Widok wywarł na niej jeszcze gorsze wrażenie niż w piątek. Efekt przyzwyczajenia tym razem nie zadziałał: wzrok nie zubożał, lecz stał się bardziej wyczulony. Być może dlatego, że za drugim razem dostrzegał więcej szczegółów. Komoda w sypialni rodziców miała odcięte rogi i zniszczoną szufladę. Szklane drzwi witryny w jadalni, którą matka dostała w spadku i tak lubiła, były uszkodzone, półki zniknęły.

„Co oni z nimi zrobili? – zastanawiała się Kate. – Potraktowali jak drewno do kominka? Przecież kominek w tym domu jest elektryczny. Może to tylko czysty wandalizm”.

Pielegnowane od dziesięcioleci przedmioty, z którymi dotąd delikatnie się obchodzono, zostały w krótkim czasie zniszczone. Niepojęte. To naprawdę niepojęte.

- I chce pani to wszystko wywieźć? – zapytał mężczyzna. Nazywa się Bolton,

przypomniała sobie Kate. Pan Bolton. Jego nazwisko widniało wypisane wielkimi niebieskimi literami na białej ciężarówce, którą przyjechał. – Niektóre rzeczy dałoby się naprawić.

– Nie. Należy je wyrzucić. – I cóż miałyby z nimi począć? Nie pasowały do jej niewielkiego mieszkania w Bexley we wschodnim Londynie. Sprzedać? Przechować? Po co?

Porzuć wreszcie swoje dawne życie. Zerwij z przeszłością! Już czas!

Zastanawiała się jednak, czy rzeczywiście coś w jej życiu może się zmienić. Czy otrząśnie się z poczucia samotności, niewiary we własne możliwości? Być może podejmie teraz dramatyczną decyzję i... na nic się to zda. Pisma dla kobiet oraz poradniki psychologiczne zapewniały, że odważne kroki mają w sobie moc przeobrażającą życie. Kroki mające przede wszystkim na celu zerwanie i rozstanie. Kate powątpiewała w nieuchronność takich działań. Być może ów dzielny krok nie przyniesie jej żadnej nagrody. Może będzie go nawet żałować.

Usiłowała stłumić w sobie te destrukcyjne rozważania, trzymać się swojego postanowienia i skupić na jego realizacji. Mgła za oknem była wprost deprymująca. Przez noc wypełzła z morza, teraz zalegała w całym mieście, pochłaniając wszelkie odgłosy. Błyskawiczne, przerażające nadejście jesieni po dniach rozleniwiającego ciepła i złocistego październikowego światła.

– Dobrze – odezwał się Bolton. – Jak pani chce. Uprzątnę dla pani cały dom. To moja praca.

– Zgoda.

– Następnym lokatorom musi się pani jednak dokładnie przyjrzeć. Chyba pani nie chce, żeby coś takiego się powtórzyło.

– Zamierzam sprzedać dom – oznajmiła Kate.

Bolton skinął głową.

– Na pani miejscu też bym tak zrobił.

Jeszcze tego samego dnia Kate postanowiła zlecić prace remontowe oraz prosić sąsiadkę, by wpuściła do domu robotników, kiedy tylko pan Bolton go uprzątnie. Nie musiała być przy tym obecna. Szef ucieszy się z jej szybkiego powrotu, sama też chciała jak najrychlej wyjechać. Ta okropna atmosfera w domu państwa Goldsbych... Kate szczerze im współczuła, lecz nie mogła im pomóc. Wyczuwała, że przede wszystkim Deborah łaknęła jej wsparcia, była dla niej ucieleśnieniem Scotland Yardu, znanej na całym świecie jednostki policji. A tym samym osobą, która może odnaleźć ich ukochaną

córkę. Pokładała w niej więcej nadziei niż w nadkomisarzu Calebie Hale’u, właściwym śledczym. Stopnie służbowe nie miały dla Deborah żadnego znaczenia.

„W przeciwnym razie – pomyślała Kate – zauważyłaby, że będąc zaledwie sierżantem, nie zrobiłam oszałamiającej kariery. Zważywszy na mój wiek”.

Miała czterdzieści dwa lata. Mogła odnieść znacznie większe sukcesy. Może nawet powinna była. Lecz nawet na stopień sierżanta awansowała z niemałym trudem i stosunkowo późno. Tak naprawdę tylko jeden człowiek widział w niej świetną policjantkę, nazywał się Caleb Hale. Niestety, na co dzień nie mieli z sobą wiele wspólnego. A w sprawach awansu to nie on podejmował decyzje.

„Może rzeczywiście powinnam się przenieść do wydziału śledczego w Scarborough” – przemknęło jej przez myśl.

Nie. Przecież właśnie definitywnie zrywała ze swą północnoangielską przeszłością.

– Tanie to nie będzie – stwierdził pan Bolton w swoim budującym stylu.

– Z pewnością – przyznała mu rację Kate. Prawdopodobnie będzie musiała zaciągnąć w banku kredyt. Spłaci go bez problemu po sprzedaży domu, nie jest zadłużony. Po raz pierwszy w życiu Kate będzie posiadać na koncie znaczną sumę pieniędzy. Mogłaby z tej okazji sprawić sobie jakiś miły prezent. Na przykład wycieczkę. Być może pozna wreszcie mężczyznę swojego życia.

Cicho westchnęła. Czy przynajmniej *ta* nadzieja spełni się wraz z postępującym wiekiem? Czy może pragnienie to będzie jej towarzyszyć do samej śmierci? Być może przyjdzie jej na to daremnie czekać kolejne czterdzieści lat. Uroczy wątek całego jej życia.

Wzięła się w garść. Istnieją gorsze rzeczy. Trudno sobie wyobrazić, przez co przechodzą teraz rodzice zamordowanej Saskii Morris. Dziesięć długich miesięcy żywili się nadzieją. Nie wspominając o Deborah i Jasonie Goldsbych. Gazety donosiły tego ranka o zaginięciu Amelie, niektóre w nad wyraz krzykliwym tonie. Oczywiście, że nawiązały do sprawy Saskii Morris. Sprawca zyskał już nawet przydomek: *morderca z wrzosowisk*.

Porywał młode dziewczęta z ulicy. Wywoził je, więził, torturował i gwałcił. W końcu w bestialski sposób zabijał.

Same niepotwierdzone dywagacje.

Kate kupiła gazety po drodze, doniesienia czytała z odrazą, wyrzuciła je do najbliższego śmietnika. Nie zmieniało to faktu, że również Deborah i Jason je przeczytają. Dlaczego nikt nie zważał na to, jak owe drastyczne opisy podziałają na

krewnych ofiar zabójcy?

Pan Bolton obiecał, że uprzątnie dom przed końcem tygodnia. Kate zamknęła za sobą drzwi. Patrzyła, jak odjeżdża.

Pierwszy krok zrobiony. Teraz należało znaleźć firmę, która dom wyremontuje.

Kiedy w południe Kate wróciła do domu Goldsbych, przed drzwiami koczowali już dziennikarze. Zaparkował nawet wóz transmisyjny jednej ze stacji telewizyjnych. Zaginięcia nastolatków zazwyczaj nie wywołują aż takiego zainteresowania mediów. Odkąd jednak hasło *morderca z wrzosowisk* obiegiło wszystkie redakcje, zwietrzono sensację. Seryjni zabójcy mają w sobie moc przykuwania uwagi. Zawsze świetnie się nadają na pierwszą stronę.

Kate przecisnęła się do drzwi, zamknęła je za sobą i z westchnieniem ulgi oparła się plecami o ścianę w przedpokoju. Jeszcze i to. Najwyższy czas, by stąd zniknąć. Nie chciała spędzić razem z państwem Goldsbych tygodni oblężenia. Tragiczna historia, ale to przecież nie jej sprawa. Nie zamierzała jeszcze bardziej się w nią wikłać tylko dlatego, że przez przypadek zatrzymała się w tym domu.

W pokoju dziennym spotkała Caleba Hale'a, rozmawiającego właśnie przez telefon. Kiedy weszła, rozłączył się i odłożył komórkę. Wyglądał na zmęczonego i zestresowanego.

– Ach, Kate. – Przetarł twarz dłonią. Miał lekko zaczerwienione oczy. – Okropna historia.

– Gdzie Jason i Deborah?

– Na górze. Deborah kiepsko się czuje. Jason jest przy niej.

– Przeczytała dzisiejsze gazety – domyśliła się Kate.

– Nie, ale zadzwoniła do niej jakaś przemiła znajoma i odczytała jej fragmenty. – Caleb potrząsnął głową. – Można zrozumieć, dlaczego po takich zdarzeniach kręgi znajomych ofiar nierzadko na nowo się kształtują.

– Jakieś nowe ustalenia? – Ledwie Kate zadała to pytanie, przypomniała sobie, że postanowiła pod żadnym pozorem nie mieszać się do tej sprawy. – Przepraszam. Ja wcale nie...

– Jest pani moją koleżanką – przerwał jej Caleb. – Owszem, w pewnym sensie pojawiły się informacje, które... tylko wzmagają presję czasu.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Mamy ustalenia patologa – wyjaśnił Caleb. – Saskia Morris nie żyje od jakichś

sześciu tygodni. Przypuszczałem, że nie leżała zbyt długo porzucona na wrzosowiskach, gdyż bez wątpienia znaleziono by ją znacznie wcześniej. Dlaczego morderca miałby ją tam pogrzebać tak późno? Nasuwa się potworny wniosek...

– ...żyła jeszcze przez jakieś dziewięć miesięcy od porwania – dokończyła za niego Kate. – Tak, mnie także przyszło to do głowy.

– Prawdopodobnie była więziona. Dręczona.

– Jak zginęła?

– Wydaje się, że zmarła z głodu i pragnienia.

– O Boże – westchnęła przerażona Kate. – Oznacza to, że porywacz przez długi czas utrzymywał ją przy życiu, zapewniał jedzenie i picie, by nagle przestać się o nią troszczyć?

– Tak pewnie było.

– Albo coś mu się przytrafiło i nie mógł już dłużej się nią opiekować?

– Wtedy jednak nie zdołałby porzucić ciała w tamtym miejscu – zauważył Caleb. – A zatem chyba niezupełnie się wycofał. Oczywiście mogło też być wielu sprawców.

Oboje umilkli na chwilę.

– To znaczy – podjęła wątek Kate – że jeśli mamy do czynienia z tym samym sprawcą co w przypadku Saskii, Amelie być może nadal żyje?

– Tak. Nie wiemy jednak, czy to ten sam sprawca. Nie znamy motywu. Saskia Morris nie była wykorzystywana seksualnie, w każdym razie nie w sposób, który dałoby się stwierdzić podczas oględzin zwłok. Mógł ją oczywiście wykorzystać do zdjęć albo filmów. To wszystko jest jak na razie dosyć niejasne. Co się tyczy Amelie, nie zdołano zlokalizować jej komórki. Porywacz prawdopodobnie ją wyłączył. Nie możemy rzecz jasna wykluczyć, że Amelie po prostu uciekła, by uniknąć kłopotów. Wiemy w tej chwili cholernie mało. Jeśli jednak morderca Saskii jest zarazem porywaczem Amelie, istnieje spora szansa, że dziewczyna wciąż żyje, w odróżnieniu od dziewięćdziesięciu procent podobnych przypadków, w których ofiara nie przeżywa pierwszych dwudziestu czterech godzin po uprowadzeniu. Chyba że motywem jest szantaż. Okup. Tego jednak raczej bym nie oczekiwał.

– Musicie ją znaleźć – powiedziała Kate. – Ona przeżywa prawdziwe piekło.

Caleb westchnął. Wiedziała, o czym myśli: brakuje punktu zaczepienia. Upłynęło zbyt wiele czasu. Możliwe, że dziewczyna nadal żyje, ale Bóg jeden wie, gdzie przebywa. Daleko stąd. Na jakimś pustkowiu. Ktoś całymi miesiącami więził Saskię Morris i nikt niczego nie zauważył.

A wszystko to spoczęło na barkach Caleba. Kate dostrzegła, jak bardzo ten ciężar go przytłoczył.

– Mówią o tym we wszystkich mediach – oznajmiła. – Zdziwiłabym się, gdyby wkrótce nie zgłosili się jacyś świadkowie, którzy coś zauważyli. Saskię Morris porwano późnym wieczorem, po zmroku, w cichej dzielnicy. W przypadku Amelie był to środek dnia w ruchliwej okolicy, wielu ludzi wybrało się na sobotnie zakupy. Ktoś z *pewnością* coś zauważył, nie mam żadnych wątpliwości.

– Niestety, mnóstwo ludzi będzie dzwonić i zgrywać ważniaków. Albo błagować. Znajdą się też tacy, którzy widzieli coś, co w ostateczności okaże się jednak nieistotne – mruknął pośpiesznie Caleb.

Wiedziała, jaka to żmudna praca. I jaka frustrująca. Co to znaczy mieć prasę na karku. Pojawią się artykuły pełne słów oburzenia. *Czym właściwie zajmuje się nasza policja? Oraz: Jak długo jeszcze morderca z wrzosowisk będzie bez przeszkód zabijał?*

Do tego jeszcze zrozpaczeni rodzice, dla których każda upływająca sekunda oznacza nieopisane cierpienie.

Nie mogła pomóc Calebowi. To nie jej zadanie. Miała inne sprawy na głowie.

– Co pani zamierza teraz zrobić, Kate? – zapytał, jakby czytał jej w myślach. – Czy natrafiła pani na ślad lokatorów?

Potrząsnęła głową.

– Nie. Złożę doniesienie. Bez wielkich nadziei, że to pomoże, ale nie chciałabym oczywiście puścić im tego płazem. To wszystko rodzi tylko ogromny stres i kosztuje sporo pieniędzy.

– Bardzo mi przykro – odparł Caleb. – Wiem, ile znaczył dla pani ten dom.

– Z drugiej strony to tylko dom. Państwo Goldsby drżą o swoją jedyną córkę. To naturalnie całkiem inny wymiar.

– Mimo to ma pani prawo być poirytowana i smutna, Kate. Nawet jeśli sprawa dotyczy *tylko* domu.

– Zleciłam jego uprzątnięcie. Znalazłam też kogoś, kto zajmie się remontem. Moja sąsiadka posiada klucz i ma na wszystko oko. Jutro mogę wracać do Londynu.

– A co słyhać w pracy?

– Wszystko dobrze. – Przesadziła, ale nie chciała drażnić tego tematu. Nadal czuła się niedoceniana i cierpiała z powodu wykluczenia ze strony kolegów. Nie mogła mówić o mobbingu. Nikt jej nie skrytykował, nie zwymyślał ani nie potraktował w sposób sprośny lub dyskredytujący. Nikt jednak się do niej nie zbliżył. Zachowywano wobec

niej dystans. Nikt się nie palił do ścisłej współpracy, nikomu też nie przysłoby do głowy, by umówić się z nią po służbie, pójść wieczorem na drinka lub choćby zapytać, czy ma jakieś plany na weekend. Kate zastanawiała się często, czy to wina kolegów, czy może sama stwarzała ów dystans – i czym to wszystko się skończy. Starła się nawiązać kontakt z innymi, ale to się nie udawało. Być może zabierała się do tego od niewłaściwej strony. Może sprawy zaszły już zbyt daleko. Może przydałaby jej się radykalna zmiana: nowe miejsce zamieszkania. Nowa praca. Nowi ludzie.

Niektórzy twierdzą, że nowy początek potrafi czynić cuda.

Inni z kolei uważają, że osobiste problemy wlecze się za sobą. Że zawsze i wszędzie jest tak samo.

Kate obawiała się, że tak właśnie będzie w jej przypadku.

– W listopadzie biorę urlop – dodała. – Wtedy przyjadę i zajmę się sprzedażą domu.

– Najwyraźniej nie zdołam pani przekonać, by zatrzymała pani dom i przeszła do wydziału śledczego w Scarborough – stwierdził Caleb.

Zadziwiająco, jak często mówił o sprawach zajmujących jej najskrytsze myśli, uznała Kate. Dopiero co roiała o nowym początku, a już złożył jej swego rodzaju propozycję pracy.

Nic dziwnego, że tak często zdawał się zagłębiać w głąb jej duszy. Trzy lata wcześniej była w tym mężczyźnie śmiertelnie zakochana. Istniał naturalnie po temu powód – pomijając fakt, że wydał jej się bardzo atrakcyjny. Odkryła w nim cechy, których nie znalazła u nikogo innego. Coś ich z sobą łączyło. Wiązało się to z porażkami, jakich każde zaznało w swoim życiu. Z bólem. Rozczarowaniem. Strachem, że nie sprostają oczekiwaniom.

Z tą okropną niewiarą w siebie.

Nikt nie posądzałby o nią Caleba Hale'a, wystarczyło nań spojrzeć. Kate wszakże patrzyła głębiej, posiadała po temu odpowiednie zdolności. Caleb niemal rozsypał się psychicznie pod presją swojego zawodu. W obliczu faktu, że tak często dotykał kwestii życia i śmierci. Że błędy, jakie popełniał, mogły okazać się katastrofalne w skutkach. Nie podołał temu, zaczął więc nadużywać alkoholu. A kiedy nie pił, nie szło mu najlepiej. I wtedy popełniał błędy. *Poważne.*

Miała nadzieję, że obdarzy ją równie głębokim uczuciem. Rzeczywiście był jedynym człowiekiem, który uważał ją za doskonałą śledczą. A to oznaczało, że dostrzega w niej więcej, zagłębia głębiej niż wszyscy inni dokoła.

Nie dostrzegał w niej jednak... kobiety. O ile Kate uświadamiała sobie, że powinna

cieszyć się z faktu, że przynajmniej jeden człowiek docenia jej osiągnięcia zawodowe, o tyle tym mocniej pragnęła, by widział w niej kobietę. Do diabła z policjantką.

Złudne pragnienie. Caleb Hale mógł mieć zupełnie inne kobiety niż niepozorna Kate Linville. I prawdopodobnie miał. Wiedziała, że od wielu lat był rozwiedziony i że oficjalnie nie miał nowej partnerki, nie spodziewała się jednak, że żyje jak mnich. Pewnie miał liczne przelotne romanse.

– Dobrze jest tak, jak jest – odparła, odnosząc się do pytania o zmianę posady. Odpowiedź ta nie była oczywiście prawdą. Pracować razem z nim? Spotykać go codziennie i pragnąć, by połączyło ich coś więcej niż tylko koleżeńskie stosunki? Kate z pewnością nie zawsze była dla siebie wyrozumiała, ale nie była też masochistką.

Pozegnali się. Caleb musiał wyjść na zewnątrz, przeciskając się przez tłum dziennikarzy. Kate wiedziała, że nie znosił takich sytuacji. Sama udała się do swojego pokoju. Przystanąła na chwilę przed drzwiami, za którymi, jak sądziła, zaszyli się Deborah i Jason, poszła jednak dalej. Cóż miałyby im powiedzieć?

W tej chwili nie potrafiła im pomóc.

3

Jeszcze tego samego dnia po południu Carol w towarzystwie swojej szefowej Irene Karimian odwiedziła rodzinę Allardów. Porozmawiają z rodzicami, po czym niezwłocznie powiadomią policję. Mandy zniknęła przed ponad tygodniem. Gdyby się okazało, że Patsy Allard nie ma pojęcia, gdzie podziewa się jej córka, byłaby to bezsprzecznie sprawa dla policji.

Siedzieli w kuchni. Patsy, wymachując rękoma, wygłosiła rozwlekłą mowę, z której wynikało, że sama nie ma sobie nic do zarzucenia. Marlon nie odezwał się słowem. Ze zwieszonymi ramionami siedział za stołem, od czasu do czasu tarł zaczerwienione oczy albo ocierał pot z czoła. W kuchni panował nieznośny upał, termostat ogrzewania musiał być podkręcony na maksimum. Carol najchętniej zdjęłaby swój ciepły wełniany sweter. Zastanawiała się, jak Patsy może wytrzymać w tak przegrzonym domu. Być może powodem była jej waga. Człowiek szybko marznie, kiedy składa się z samej skóry i kości.

– Tak, cisnęłam czajnikiem. Ale oczywiście nie mogłabym trafić nim w Mandy. Dobry Boże! Nie rzucam w moje dziecko wrzątkiem, choć wy z opieki społecznej właśnie to chcielibyście usłyszeć. Cieszy was, gdy znajdziecie coś, co możecie

wykorzystać przeciwko mnie!

– O ile nam wiadomo, Mandy ma sporą ranę na ramieniu – oznajmiła Carol. Usiłowała zignorować nieprzyjemne uczucie, że oto wykopuje głęboki rów między Patsy i jej córką Lynn. Podobnie próbowała zignorować stróżki potu spływające jej po plecach między łopatkami.

Patsy spojrzała na nią gniewnie.

– Lynn nieźle was podburzyła przeciwko mnie, co?

– Wcale nie. Odwiedziłam ją w warsztacie i tak długo naciskałam, aż nie pozostało jej nic innego, jak tylko ze mną porozmawiać. Na Boga, Patsy, dobrze się stało, Mandy zniknęła ponad tydzień temu i nikt nie wie, gdzie się podziewa! Tego nie możemy zignorować!

– Mandy ma wielu znajomych. Pewnie jest u któregoś z nich.

– Możemy dostać ich listę? – włączyła się do rozmowy Irene. Jak zawsze sprawiała wrażenie chłodnej i opanowanej. Carol zastanawiała się, czy ona w ogóle się poci. Nic na to nie wskazywało.

– Nie znam wszystkich jej znajomych – oznajmiła Patsy.

– Ale na pewno niektórych.

– Musi pani zapytać o to Lynn. Ona pani pomoże.

Carol opiekowała się rodziną Allardów od kilku lat. Wiedziała, że Mandy ma niewielu przyjaciół, w większości były to raczej koleżanki z klasy, które bały się jej niewyparzonego języka oraz zjadliwości i dlatego wolały z nią trzymać. Mandy nie była lubiana. Carol czasem rozmawiała z nią na ten temat.

– Powinnaś być trochę miłsza dla innych. Wtedy oni także będą wobec ciebie uprzejmi. To działa. Serio.

– Nikt nie jest dla mnie miły.

– Nigdy nie próbowałaś.

– Niby co?

– Pokazać światu swoje sympatyczniejsze oblicze.

Mandy obrzuciła ją pogardliwym wzrokiem.

– Mam to gdzieś.

– Jak pani przypuszcza, gdzie zatrzymała się pani córka? – zapytała Irene. – Z pewnością przez ostatni tydzień nasunęły się pani jakieś podejrzenia.

Patsy wzruszyła ramionami.

– Gdzieś na pewno jest.

Irene spojrzała na Marlona.

– Panie Allard, może pan nam pomoże. Domyśla się pan, gdzie przebywa Mandy?

Marlon zerknął na żonę błagalnym wzrokiem. Ona jednak odwróciła oczy.

– Nie wiem – mruknął pod nosem.

– I nie interesuje to pana? – zapytała Irene wyraźnie ostrzejszym tonem.

Carol wiedziała, że potrafi być stanowcza i zdecydowana. I że nie ma ochoty dać się Allardom wodzić za nos. Siedzieć w tej dusznej kuchni i wciąż słuchać tylko jednej odpowiedzi: *Nie wiem*.

– Muszę państwu oświadczyć, że w tej sytuacji nie zaniechamy stosownych działań – stwierdziła. – Powiadomimy policję. Trzeba odnaleźć Mandy. Zaginęła, wiemy, że jest poważnie ranna. Na dworze jest chłodno, pewnie ma przy sobie niewiele pieniędzy albo nie ma ich wcale. Grozi jej niebezpieczeństwo.

– Wcale nie – zaproponowała Patsy. – Mandy umie sobie radzić.

Irene wstała.

– Nadal twierdzi pani, że nie wie, gdzie podziewa się pani córka?

Patsy wytrzymała jej lodowate spojrzenie. Nie należała do kobiet, które łatwo zastraszyć.

– Twierdę, że na pewno nic złego jej się nie przytrafiło. Takiej dziewczynie jak Mandy nic nie grozi.

Carol również podniosła się z miejsca.

– Nie byłabym taka pewna – oznajmiła. – Akurat w Scarborough i okolicy dzieją się teraz straszne rzeczy i na pani miejscu, Patsy, zaczęłabym się martwić.

Patsy spojrzała na nią szyderczo.

– Morderca z wrzosowisk?

– To krzykliwa nazwa, którą pewnie uważa pani za przesadną. Ale niestety, odnalezienie zwłok Saskii Morris jest faktem. Podobnie jak zniknięcie bez śladu czternastoletniej Amelie Goldsby.

– To zupełnie inne okoliczności – odparła Patsy. – Moja córka uciekła, bo doszło między nami do kłótni. Sama ją zresztą wywołała. Jest obrażona i chce mi dać nauczkę, dlatego nie wraca. Tego nie da się porównać!

– Co nie zmienia faktu, że włóczy się gdzieś poza domem. Bez opieki. A tam prawdopodobnie grasuje jakiś perwersyjny typ. Musimy ją odnaleźć i sprowadzić do

domu.

Nagle do rozmowy wmieszał się Marlon. Patrzył dotąd nieruchomo przed siebie, teraz jednak spojrzął na Irene.

– Niech ją pani znajdzie. Proszę. Boję się. Jej ramię kiepsko wyglądało... – Nie odważył się zerknąć na Patsy. Ona zaś obrzuciła go wzrokiem, w którym zmieszały się nienawiść i pogarda.

– Potrzebujemy nazwiska jej lekarza rodzinnego – oznajmiła Irene. – Może zwróciła się do niego o pomoc.

Było to wątpliwe. Przy tego rodzaju obrażeniach lekarz z pewnością niezwłocznie powiadomiłby pomoc społeczną.

– Proszę bardzo – prychnęła wściekle Patsy.

– A teraz pójdziemy na policję – powiedziała Carol.

Czym prędzej wyjść z tej kuchni. Byle daleko od tych ludzi.

Niekiedy nienawidziła swojej pracy.

To nieprawda, że dręczy mnie poczucie winy, wiem jednak, że Saskia umarła straszną śmiercią.

Miała niejedną okazję, by się ze mną pogodzić, wciąż mnie jednak odrzucała, z każdym upływającym tygodniem i miesiącem było coraz gorzej. Z początku wydawało mi się to normalne, że tęskni za domem, za rodzicami, że płacze i nie chce przyjąć tego, co jej proponuję. W końcu jednak powinno być lepiej. Wiedziała, że nie wróci do domu, dostała jasny i wyraźny komunikat. Od samego początku, podczas każdych moich odwiedzin w naszej kryjówce, nieustannie powtarzała to pytanie. Kiedy wrócę do domu, kiedy wrócę do domu, kiedy wrócę do domu...? Z upływem czasu coraz trudniej mi było zapanować nad sobą, korciło mnie, by jej powiedzieć, że jest niewdzięczną małpą. Przepęłniało mnie jednak pragnienie, by mnie pokochała, stąd decyzja, by nie rezygnować z uprzejmości i unikać odpowiedzi.

– Zobaczymy.

Albo:

– Jak będziesz grzeczna, to może odwiedzimy twoją mamę.

W którymś momencie, po ośmiu, dziesięciu tygodniach, mam jednak dość:

– Twój dom jest tutaj. Ze mną. Nigdy nie zobaczysz swojej dawnej rodziny, więc lepiej przywyknij.

Potem niczego nie należało już oczekiwać. Dotąd łkała przez cały niemal czas, lecz teraz nie potrafiła przestać. Szlochała i jęczała, kiedy tylko mnie zobaczyła, i błagała, by pozwolić jej odejść.

Proszę, proszę, proszę, proszę... Bywały dni, kiedy wyrzucała z siebie tylko to jedno słowo, całymi godzinami, a wtedy nie pozostawało mi nic innego, jak tylko zamknąć drzwi i odejść, gdyż było to po prostu nie do zniesienia. Powoli docierało do mnie, że nic z tego nie będzie – znowu nic. Nie chciała mnie.

Nie chciała mnie pokochać.

Odwiedziny stają się coraz rzadsze. To zrozumiałe, prawda? Bo i czemu miałyby służyć? Żaden człowiek nie zniesie nieustannego odrzucenia. Przebywanie z nią nie sprawia już przyjemności – w zasadzie nigdy nie sprawiało. Z początku tliła się przynajmniej jakaś nadzieja. I tak już zostało.

Kiedy od czasu do czasu z rzadka do niej zaglądam, zauważam zmianę, ale nie na lepsze.

Już tak mocno nie płacze ani nie biadoli. Prawie nic już nie mówi. Jej oczy wypełnia pustka. Schudła. Bywa, że całymi dniami nic nie je. Bo nie ma co jeść. Wówczas ogarnia mnie poczucie... wstydu. Uwięzić kogoś i pozwolić mu szczeznąć z głodu i pragnienia... Nie po raz pierwszy to robię, lecz wewnętrzny głos podszeptuje mi, że to nie w porządku. Czemu jednak, do diabła, nie współpracuje? Nie chcąc mnie pokochać, sprawia mi tak dotkliwy ból, że czasem nie potrafię znieść myśli, by do niej pójść i spojrzeć w te jej puste oczy. I daję za wygraną.

Pójdę jutro, wmawiam sobie, a nazajutrz dodaję: co tam, wystarczy, że pójdę jutro. Albo pojutrze. Albo popojutrze...

Nie chcę patrzeć, jak chudnie, jak gaśnie, jak się rozsypuje.

Aż w końcu przestaję do niej zachodzić...

Dziś wiem, że piła wodę z muszli i ze spłuczki, że z głodu zeszkrobywała ze ścian kawałki tapety. Nie chcę o tym za wiele rozmyślać. Framuga drzwi jest całkiem odrapana, widać też ślady krwi. Wbijają paznokcie w drewno, aż krwawiły.

Była zdesperowana.

Ale ja także.

Ja także!

Targało mną pragnienie innego zakończenia tej historii. Tak wiele ryzykuję. Ryzykuję życie, wolność. Spokój mojej duszy. Wszystko.

Ryzykuję wszystko. Za każdym razem...

Wciąż jednak tli się we mnie nadzieja.

Nie bywam w piwnicy. Czasem dopada mnie myśl, by tam zejść i sprawdzić. Ale tego nie robię.

Może już po wszystkim.

Sobota, dwudziesty pierwszy października

Siedzieli w piwnicznej knajpie w Camden. Kate uznała tę sytuację za nużącą i frustrującą. Nie przepadała za Camden, gdyż na ulicach, a zwłaszcza wokół Camden Market, toczyło się tak kolorowe, rozedrgane, głośne i wesołe życie. Nie odmawiała innym prawa do rozrywki i zabawy, nie potrafiła ich jednak w tym naśladować, a w obliczu radości życia innych ludzi jej poczucie wykluczenia i wyobcowania tylko się wzmagало. Colin Blair zaproponował, by spotkali się w knajpce przy Camden High Street, jej zaś żaden inny lokal nie przyszedł akurat do głowy. I cóż miałyby powiedzieć? „Ach, wiesz, nie czuję się tam dobrze, jestem małą szarą myszką, zupełnie nienawykłą do zabawy, i dlatego najchętniej trzymam się mrocznych miejsc, bo tam nie widać nazbyt ostro kontrastu dzielącego mnie od życia”.

Colin najprawdopodobniej odwołałby wówczas spotkanie. Albo po prostu w ogóle by się nie odezwał i zablokował Kate na liście swoich znajomych.

Ruszyła więc w tę uciążliwą podróż z Bexley. Wieczór był dżdżysty, dlatego ruch na ulicach prawie zamarł. Ludzie tłumnie wypełnili za to lokale, przesiadując wśród śmiechów, rozmów, brzęku szkła. Kate zeszła około dwudziestu stopni w dół do piwnicznej sali z murowanym sklepieniem, usiadła tuż przy barze na krześle obłożonym czerwonym aksamitem i mimo wszechobecnego gwaru usiłowała zrozumieć słowa siedzącego naprzeciw niej mężczyzny. Tuż przy jej prawym uchu barman mieszał drinki, głośno tłukąc kostki lodu. Nad jego głową wisiał telewizor, właśnie nadawano muzyczny show.

„Czemu właściwie to robię?” – zastanawiała się Kate.

Colin Blair, siedzący naprzeciw niej mężczyzna, sprawiał wrażenie, że świetnie się czuje w tym hałaśliwym miejscu, Kate domyślała się jednak, że on wszędzie czuje się doskonale – we własnym towarzystwie. Podobał się sam sobie, był zadowolony z siebie i z życia. Brakowało mu tylko jednego – perfekcyjnej, jak się wyraził, partnerki.

Kate poznała go na uk.parship.com. Zarejestrowała się tam pół roku wcześniej, wypełniła obszerną ankietę i otrzymała analizę swojej osobowości, z której niewiele nowego się dowiedziała. Boi się bliskości, jest introwertyczką, ma zanizone poczucie własnej wartości. *Zanizone poczucie własnej wartości* – komunikat na ekranie komputera brzmiał co prawda nieco bardziej pochlebnie, ale właśnie do tego się sprowadzał.

Wstawiła zdjęcie, na którym jako tako się sobie podobała – fotografia była trochę nieostra, a jej twarz skryta w cieniu. Właściwie trudno ją było rozpoznać. Kate zastanawiała się, czy to zdjęcie w ogóle kogoś zainteresuje. Zamieszczenie tak niewyraźnej podobizny wiele rzecz jasna mówi o kobiecie. Sama nie uważa się za atrakcyjną – i pewnie taka jest w rzeczywistości.

Od pół roku algorytm portalu dobierał jej mężczyzn według tak zwanych *matching points*, pod względem zgodności cech łączących ją z tysiącami innych poszukujących dusz. Kate miała już kilka randek, za każdym razem zjadały ją nerwy. Spotkania te uważała za okropność, skoro oboje partnerzy już na wstępie doskonale wiedzą, czego od siebie oczekują. Z drugiej jednak strony była to dla niej bodaj jedyna droga wiodąca do sukcesu. Przewornie nie podała na swoim profilu profesji, obawiała się bowiem, że mogłoby to odstraszyć potencjalnych zalotników. Wpisała po prostu *zatrudniona*. Równie przekonujące jak jej fotografia. Gdyby Kate była mężczyzną, nigdy nie nawiązałaby kontaktu z taką kobietą. Kimś, kto bez przekonania wychyla nos ze swojej kryjówki. To nie mogło się udać.

Choć pojawili się kandydaci, nie zaiskrzyło. Ani u mężczyzn, ani u Kate. Wymiana sporej liczby e-maili, potem spotkanie; na widok Kate, kobiety, z którą przyszło im spędzić cały wieczór, faceci zazwyczaj nawet nie kryli rozczarowania. Niektórzy żegnali się już po aperitifie. *Okropnie mi przykro, ale właśnie przypomniałem sobie, że jutro muszę poprowadzić tę trudną prezentację, a jeszcze jej nie skończyłem. Miło było cię poznać!*

Jeden wyszedł do toalety – i już nie wrócił, pewnie skorzystał z tylnego wyjścia, zostawiając Kate z niezapłaconym rachunkiem. Inny znów w ogóle się nie pojawił. Kate czekała przez godzinę we włoskiej knajpce w Kensington, wciąż odpierając pytania kelnera. *Chciałaby pani coś zamówić? Nie, dziękuję, czekam na partnera.*

Partner ostatecznie nie przyszedł, a Kate posłużyła za cel pełnych współczucia spojrzeń całego personelu. By się zupełnie nie skompromitować, zamówiła w końcu spaghetti, które z trudem przełknęła. To było straszne. Próby znalezienia na portalu randkowym kogoś bliskiego tylko pogorszyły sytuację, jeszcze wyraźniej pokazując jej kiepską „wartość rynkową”. Mocniej uwidoczniły jej deficyty. Nie będzie tego robić. Nigdy więcej.

A jednak zrobiła. Bo tęsknota okazała się zbyt potężna. I dlatego, że przestała wierzyć w zrządzenie losu. O którym zawsze mówił jej ojciec, gdy chciał ją pocieszyć. *Kiedys go spotkasz. Człowieka, który jest ci przeznaczony. Od razu to poczujesz. A wtedy będziesz miała u boku kogoś, kto do Ciebie należy.*

Przez lata trzymała się tych słów. W którymś momencie pomyślała jednak: „To

nieprawda. Uroczą to myśl, że gdzieś na tym wielkim świecie istnieje człowiek mi przeznaczony. Ale życie takie nie jest. To czysty przypadek decyduje o tym, czy dwoje pasujących do siebie ludzi się odnajdzie – a nawet potem nie wiadomo, jak długo potrwa ich związek”.

Postanowiła przypadkowi dopomóc. Stąd właśnie Parship. Cóż za wariacki pomysł.

– Czym się zajmujesz? – zapytał Colin. Przez dobre pół godziny mówił wyłącznie o sobie, gadał jak nakręcony. Pracował nad oprogramowaniem, przytaczał pojęcia, których Kate nigdy przedtem nie słyszała, potęgował wrażenie, że zatrudniająca go firma bez niego by nie przetrwała.

Ja. Jestem. Ważny. Oto kwintesencja jego długiego monologu.

Wzięła głęboki oddech. Wyzna, że pracuje w policji. Zanim jednak zdążyła cokolwiek powiedzieć, on skinął na kelnera.

– Jeszcze jedno piwo dla mnie! – Potem zauważył, że szklanka Kate stoi pusta. – Dla ciebie też?

– Tak, ja także poproszę piwo.

– Podzielimy się potem rachunkiem, dobrze? – Colin postawił sprawę jasno. – Mają tu świetne piwo. Bardzo lubię ten lokal. Odbynam tu wszystkie spotkania.

Pytanie o jej zawód już dawno puścił w niepamięć. Może to i lepiej. Kate nie wiedziała, czemu boi się wyznać, że pracuje dla Metropolitan Police. Może ze strachu przed reakcją, z jaką zazwyczaj się spotykała z każdej niemal strony. *Pani? Dobry Boże. Serio, inaczej wyobrażałem sobie policjantkę!*

Za każdym razem odbierała to jak kopniak w żołądek.

– Ile spotkań już miałeś? – zapytała.

Colin machnął ręką.

– Nie liczyłem. Dużo. Uważam, że to ciągłe pisanie do siebie niewiele wnosi. Czy coś z tego będzie, można ocenić dopiero podczas spotkania w prawdziwym życiu.

Ma rację, przyznała Kate. Ale to frustrujące. Dopóki wymieniała z mężczyznami e-maile, szło jej całkiem dobrze. Kiedy jednak dochodziło do pierwszego spotkania, przegrywała. Także Colin pewnie się z nią ponownie nie umówi. Przynajmniej jeszcze nie uciekł.

– Mam spore wzięcie – dodał zarozumiale.

Wygląda nieźle, przyznała Kate. I nie podał fałszywych danych – przypominał człowieka ze zdjęć, które opublikował. Waga (osiemdziesiąt dwa kilogramy) oraz wiek (czterdzieści pięć lat) także odpowiadały prawdzie. Był zresztą zbyt pewny siebie, by

kogokolwiek okłamywać. Ktoś taki jak on nie musi tego robić.

– Czemu zamieściłaś w sieci takie niewyraźne zdjęcie? – zapytał. – Zupełnie nie mogłem sobie ciebie wyobrazić. Prócz tego, że...

Teraz z pewnością zabolę. Była gotowa.

– Masz całkiem niezłą figurę – stwierdził. – Podobają mi się szczupłe kobiety. Jesteś bardzo chuda. Z powodzeniem mogłabyś wkładać bardziej obcisłe stroje.

Kate spostrzegła, że się rumieni. Zastanawiała się przez chwilę, kiedy ostatnio usłyszała z ust mężczyzny komplement. Właściwie to nigdy, jeśli dobrze pomyśleć, nie licząc ojca, ale to co innego. On zawsze oceniał ją wzrokiem pełnym ojcowskiej miłości. Podobała mu się nawet w najgorszych chwilach.

Naraz ten zarozumiały Colin nie wydawał jej się już taki niesympatyczny. Był głośny i arogancki, to prawda, ale z pewnością miał też swoje dobre strony.

– Naprawdę tak sądzisz? – zapytała.

– Jasne. Masz...?

– Czterdzieści dwa. – Wiek i tak przecież podała na swoim profilu.

– Tak, racja, czterdzieści dwa. Wiele kobiet w tym wieku zaczyna tyć.

– Wielu mężczyzn również.

– Trzeba temu przeciwdziałać. Przynajmniej cztery razy w tygodniu chodzę do siłowni. Uprawiasz sport?

– Sporo biegam.

– Super! Ja lubię porządnie zjeść, no wiesz, ale za to muszę...

I wtedy popłynął dłuższy potok słów, w których Colin opisał swoją aktywność sportową, dając oczywiście do zrozumienia, że również w siłowni wyróżnia się szczególną muskulaturą, niespożytą energią i wytrzymałością. Chwilowa euforia Kate na powrót przygasła. Okay, ten facet nie wydał jej się przeokropny, nie sprawiał też wrażeń, jakby chciał przedwcześnie zakończyć wieczór. A jednak fakt, że te liche kryteria wystarczały, by zakwalifikować go do następnego etapu, był widowym znakiem jej desperacji w poszukiwaniu partnera. Żalotne.

Powinna z tym definitywnie skończyć i pogodzić się z życiem singielki. Ma to przecież swoje dobre strony. Lepiej przez kolejne czterdzieści lat jeść śniadanie w samotności, niż każdego ranka wysłuchiwać paplaniny człowieka pokroju Colina Blaira.

– À propos jedzenia – oznajmił naraz Colin – zgłodniałem. – Gestem poprosił o kartę. – Podają tu świetne steki!

Jeszcze i to.

– Wolałabym sałatkę – odparła Kate.

– Ciągłe myślisz o figurze, co? Masz rację. – Zajrzał do menu, po czym skinął na kelnera. Zamówił stek i sałatkę dla Kate.

– Podzielimy się rachunkiem? – upewnił się raz jeszcze.

Coraz mocniej działał jej na nerwy.

– Skoro tak cię to martwi, mogę zapłacić za wszystko – rzuciła opryskliwie.

Colin nie byłby sobą, gdyby nie skorzystał z takiej okazji. Sarkazmu w jej głosie celowo nie dosłyszał.

– Super. Dzięki. To całkiem normalne w epoce emancypacji. Nie można zlizywać wyłącznie śmietanki.

– Jasne. W zamian za przyznane nam prawo wyborcze musimy się wykazać zaangażowaniem.

Roześmiał się, jakby opowiedziała jakiś niesamowity dowcip.

– Widzę, że masz właściwe nastawienie. Podobasz mi się, Kate. Świetnie się z tobą rozmawia.

Mianem *rozmowy* Kate by tego nie określiła. Jak dotąd terkotał głównie Colin. Ona słuchała. Mężczyźni pokroju Colina uznają to za ożywioną konwersację.

Podano posiłek. Kate daremnie usiłowała nabić na widelec ogromny liść sałaty, gdy przypadkiem dosłyszała nazwisko. Dźwięk dobiegał z telewizora.

Nadkomisarz Caleb Hale.

Uniosła wzrok. Audycja muzyczna dobiegła końca, nadawano wiadomości. Kate rozpoznała zdjęcia ze Scarborough.

Colin zaczynał właśnie kolejny monolog, gdy ostro mu przerwała:

– Cicho bądź!

Był tak osłupiały, że aż zamknął usta. Kate wstała i podeszła do kontuaru. Stała tuż pod telewizorem. Mimo panującego w sali gwaru rozumiała słowa dobiegające zza kadru.

– ...nie można było liczyć na tak szybkie i szczęśliwe zakończenie sprawy. Nadkomisarz Hale podkreślił, że obecnie brak jeszcze wyjaśnienia, co dokładnie się wydarzyło. Amelie Goldsby wciąż nie została przesłuchana, od wczorajszej nocy przebywa w szpitalu.

Wyświetlono fotografię uśmiechniętej Amelie. Tę samą, którą się posłużono podczas

poszukiwań.

– Nie do wiary! – zawołała Kate. – Wróciła!

Barman przytaknął:

– Nieprawdopodobna historia. Ktoś wyłowił ją z wody. – Widocznie usłyszał początek relacji.

– Wyłowił z wody? – powtórzyła z niedowierzaniem Kate.

– ...mimo to nie można jednak wykluczyć związku ze sprawą zamordowanej Saskii Morris, odnalezionej w ubiegłym tygodniu – podała spikerka. Znow pojawiły się zdjęcia lotnicze dwóch charakterystycznych zatok, nad którymi położone jest Scarborough. – Czy seryjny zabójca ochrzczony przez prasę mianem *mordercy z wrzosowisk* istnieje naprawdę i czy miał coś wspólnego ze zniknięciem Amelie Goldsby, pozostaje kwestią do wyjaśnienia.

– Podobno wpadła do wody z nadbrzeżnego muru – oznajmił barman. – Podczas przyływu.

Kate skinęła głową. W trakcie przyływu uroczą, szeroką plażę pochłaniało morze, groźnie uderzając nierzadko wysokimi falami o brzeg. Część nabrzeża chroniły wysokie kamienne mury.

– Akurat zerwała się nawałnica – wyjaśnił barman. – Pojawiło się groźne falowanie. Omal nie utonęła, ale uratował ją jakiś facet.

– Jak mogła wpaść do wody? – zapytała Kate. To wcale nie było takie łatwe, chyba że weszło się na skraj muru, którego kamienie zamieniały się podczas deszczu w prawdziwą ślizgawkę. Było to jak igranie ze śmiercią. Amelie dorastała w Scarborough, czegoś takiego by nie zrobiła.

Z drugiej jednak strony nie wiadomo, co akurat przeżywała. Może była roztrzęsiona i zdezorientowana.

– Nie mam pojęcia, jak to się mogło stać – przyznał barman, wzruszając ramionami.

Kate ujrzała na ekranie telewizora Caleba Hale'a stojącego na schodach komisariatu policji w otoczeniu tłumu dziennikarzy. Mówił do mikrofonów podsuwanych mu pod nos, lecz nie sposób było dosłyszeć jego słów – prawdopodobnie wyjaśniał, że na razie nie może niczego wyjawić. Zza kadru nadal dobiegał komentarz spikerki.

– Wiele będzie zależało od wyniku przesłuchania Amelie Goldsby, do którego dojdzie w ciągu najbliższych dni.

„Sprytny komentarz” – pomyślała Kate. Ukłuło ją, kiedy ujrzała Caleba. Akurat teraz, w towarzystwie tego okropnego Colina Blaira...

– Wrócisz jeszcze do stołu? – rozległ się głos urażonego Colina. Podeszedł do niej, zadarł głowę, gapił się w ekran telewizora. – Co cię tak zaciekawiło w tej historii?

„Gdybyś mi pozwolił mówić o sobie, pewnie dowiedziałbyś się, że pochodzę ze Scarborough – przemknęło jej przez myśl. – Być może opowiedziałabym ci nawet o rodzinie Goldsbych i o tym, co tam przeżyłam”.

Naraz poczuła się zmęczona towarzystwem Colina, jego monologami i nieznośnym zarozumiałstwem – a zarazem zelektryzowana i w pełni przytomna. Amelie wróciła. Niemal równo tydzień po zniknięciu.

– Dzięki Bogu! – wyznała żarliwie.

– Że co? – zapytał Colin.

Kate skinęła na kelnera.

– Proszę o rachunek.

– Chwila! – zawołał Colin. – Dopiero zaczęliśmy jeść.

– Straciłam apetyt. Ale oczywiście zapłacę, jak obiecałam. – Położyła na stole kilka banknotów.

Colin był tak oburzony, że aż łapał powietrze.

– To niesłychane! Kate, tak się nie robi, to...

– Dostałeś darmowy posiłek i kilka drinków, możesz ten wieczór odfajkować jako sukces – wyjaśniła Kate. Narzuciła płaszcz, torebkę przewiesiła przez ramię. Chciała wracać do domu. Może zadzwoni do Caleba. Do Deborah Goldsby. Obejrzy wiadomości i pomyszkuje w internecie. Chciała znaleźć więcej informacji. Nie miała zamiaru spędzić reszty wieczoru wśród samozachwyków Colina.

– Nie wierzę – odparł Colin, chwytając się za głowę. – Nie wierzę!

Kate zaczęła się przeciskać między ciasno ustawionymi stolikami ku prowadzącym na górę schodom. Kiedy znalazła się na zewnątrz, głęboko odetchnęła. Wilgoć. Chłód. Spostrzegła, że oblewa ją pot. To przez to duszne powietrze w piwnicy. Ale także z powodu wzburzenia.

Może Amelie rzeczywiście tylko się ukrywała.

Może jednak stało się coś gorszego, a wówczas jej powrót należy określić mianem cudu.

„Całkiem szalona historia” – pomyślała Kate.

Niedziela, dwudziesty drugi października

1

Życie Amelie Goldsby uratował Alex Barnes, mężczyzna, którego lokalna prasa czciła jak bohatera. Wyłowił ją ze wzburzonego morza przy Cleveland Way, gdzie fale uderzały o wysoki mur nabrzeża. Chronił go dodatkowo metalowy parkan.

Deborah przez cały czas zastanawiała się z niepokojem, jak jej córka mogła w tym miejscu wpaść do wody.

W istocie nie było to możliwe. Co tylko nasunęło podejrzenie, że wcale do niej nie wpadła.

Ktoś ją pchnął. Albo sama skoczyła.

Tę ostatnią możliwość Deborah uznała za najokropniejszą.

Zrobiło się bardzo późno, wieczór był chłodny, deszczowy i wietrzny, niewielu ludzi przebywało wtedy na dworze, a już na pewno nie na Cleveland Way, która, choć oświetlona blaskiem latarni, przy takiej aurze nie stanowiła żadnej atrakcji. Można było przemoknąć do suchej nitki od deszczu i rozbryzgującej się piany wzburzonych fal. Po jednej stronie miało się czarne, złowrogie morze, po drugiej zaś wzniesienie, na którym rozłożyło się miasto. Kolejka linowa wwożąca ludzi na górę była o tej porze nieczynna. Według wszelkiego prawdopodobieństwa nie przechodził tamtędy nikt, kto mógłby zauważyć Amelie albo dosłyszeć wśród grzmiącej kipieli jej wołanie o pomoc. A jednak pojawili się tam ludzie, nawet dwoje. Amelie miała więcej szczęścia, niż można było przypuszczać.

Alex Barnes był zdecydowanie najważniejszy.

– Usłyszałem wołanie – relacjonował funkcjonariuszom policji, kiedy przemoczony i zziębnięty siedział okryty kocem w karetkce, popijając gorącą herbatę ze sporą ilością cukru. – Wołanie o pomoc. Prawie niezrozumiałe, morze było takie głośnie. Ale raz czy dwa wydało mi się, że to krzyk człowieka... Z początku myślałem, że dobiega gdzieś z przodu, ale nikogo tam nie dojrzałem, także za moimi plecami nie było nikogo. Podszedłem więc do muru. I wtedy zobaczyłem dłonie. Zawisała na murze. Trzymała się go. Ale mało brakowało, by się ześlizgnęła.

Młoda dziewczyna. Nie miał pojęcia, że chodzi o poszukiwaną Amelie Goldsby. Chwył jej mokre, lodowate dłonie, którymi z nadludzkim wysiłkiem wczepił się w śliskie kamienie. Nad jej głową nieustannie rozbryzgiwały się fale, grożąc, że zaraz ją pochłoną. Alex położył się na brzuchu, wsunął ramiona pod metalowy parkan. Ogrodzenie uniemożliwiało podciągnięcie dziewczyny w górę, zresztą była tak ciężka, że pewnie nie dałby rady. Choć niska i szczupła, miała na sobie nasiąknięte morską wodą ubranie, przez co – tak się przynajmniej Alexowi wydawało – ważyła trzy razy więcej niż normalnie. Zastanawiał się, jak długo starczy mu sił. Postanowił uwolnić jedną dłoń – wrzasnęła wtedy z przerażeniem – i wyjął z kieszeni dzinsów komórkę, nie mógł jej jednak utrzymać w wilgotnych palcach. Telefon wyslizgnął mu się z ręki i wpadł do morza.

– Musimy wytrzymać jeszcze trochę! – zawołał do niej, przekrzykując łoskot kipieli. – Na pewno ktoś nam pomoże!

Wcale nie miał pewności, słyszał jednak płacz i chciał ją uspokoić. W rzeczywistości, jak relacjonował, pojawiły się u niego pierwsze objawy paniki. Kto miałby tędy przechodzić w ten okropny wieczór? Jak długo zdoła ją utrzymać? Był mokry od nieustającego deszczu i przelewających się przez mur morskich bałwanów. Potwornie zmarł. Zdrętwiałe, lodowato zimne dłonie sprawiały ból, mięśnie ramion były jak napięte do granic sprężyny.

Wewnętrzny głos podszeptował mu, że na pewno nie zdoła przetrzymać nocy. A jeśli się podda, dziewczyna będzie stracona.

Cud zdarzył się niespełna pół godziny później: oto nadszedł inny mężczyzna. Wracał do domu z portu, gdzie z powodu nawałnicy sprawdzał cumowanie swoich żaglówek. Pił wcześniej alkohol, dlatego samochód zostawił w domu. Zrozumiał powagę sytuacji, podbiegł i przytrzymał Amelie, pozwalając, by Alex rozluźnił zeszywniałe, na wół odmrożone palce. Następnie znów się zmienili, obcy mężczyzna wezwał przez komórkę policję i karetkę pogotowia. Zanim pomoc dotarła na miejsce, zdołali wciągnąć na brzeg prawie nieprzytomną z zimna Amelie, a nawet przenieść ją przez ogrodzenie.

Alex Barnes stał teraz w pokoju dziennym w domu Goldsbych, Deborah mogłaby całować mu stopy. Również Jason był pełen wzruszenia i wdzięczności. Zawdzięczali temu człowiekowi życie swojej jedynaczki.

– Nie, nie – wzbraniał się Alex. – Uratował nas ten drugi, kiedy się zjawił.

– Ale to pan zdołał tak długo wytrwać – wyznała Deborah ze łzami w oczach. – Dokonał pan rzeczy nadludzkiej. Tak bardzo jesteśmy panu wdzięczni!

– Nigdy panu tego nie zapomnimy – dodał Jason. – Do końca życia.

Alex miał trzydzieści jeden lat, był bez pracy. Deborah odniosła wrażenie, że jest rozsądnym młodzieńcem, który zwyczajnie nie radzi sobie w życiu. Podejmował różne kierunki studiów, żadnego jednak nie ukończył. Mieszkał w Scarborough w niewielkim mieszkaniu, w okolicy – Deborah o tym wiedziała – pełnej podupadłych domostw. Najwyraźniej nie miał pieniędzy, widać to było po ubraniu i obuwiu. Jego długie włosy od wieków nie widziały nożyczek. Policja chciała wiedzieć, czego szukał o tej porze w tamtym miejscu, i to w taką niepogodę. Deborah nie była oczywiście obecna podczas przesłuchania, lecz nadkomisarz Hale oznajmił, że trzeba tę kwestię wyjaśnić. Ton jego głosu zdradzał, że policja co prawda traktuje Alexa Barnesę z należytą uprzejmością i uznaniem dla jego bohaterskiego czynu, niemniej chce wyciągnąć od niego bliższe informacje na temat jego roli w całym zdarzeniu. Mogło być dokładnie tak, jak powiedział. Lecz równie dobrze całkiem inaczej.

– Co oni insynuują? – zapytała wzburzona męża, on jednak wykazywał zrozumienie dla działań policjantów.

– Muszą wszystko sprawdzić. W przeciwnym razie byłoby to rażące niedbalstwo. Póki Amelie nie złożą wyjaśnień, mają tylko jego zeznanie. Ona zaś *nie mogła* w tamtym miejscu wpaść do wody. Jest tam ogrodzenie. To po prostu niemożliwe.

Póki Amelie nie złożą wyjaśnień... Otóż to! Amelie nic jak dotąd nie powiedziała. Leżała w szpitalu w stanie szoku, poważnie wychłodzona, i milczała. Odwracała głowę, kiedy próbowano ją zagadnąć. Gdy zawisała nad wodą, wołała o pomoc. Teraz milczała. Nie reagowała nawet na widok własnej matki. Deborah całymi godzinami przesiadywała przy jej łóżku, a córka nawet na nią nie spojrzała. Wróciła teraz do domu, by wziąć prysznic, przebrać się, a przede wszystkim poznać Alexa Barnesę i mu podziękować.

Lekarze orzekli, że Amelie jest w dobrym stanie ogólnym. Nie mogła włóczyć się po ulicach, nie była też wygłodzona. Ujawnili też wstrząsającą dla Deborah informację, że Amelie odbyła stosunek płciowy, nie potrafili jednak dokładnie ustalić kiedy.

– To niemożliwe – zarzekała się Deborah. – Amelie nigdy jeszcze nie współżyła. Nie ma chłopaka. Wiedziałabym o tym.

Z twarzy lekarza oraz obecnego podczas rozmowy policjanta można było wyczytać ich opinię: *Rodzice czasem dowiadują się o tym ostatni...*

– Może kogoś jednak ma – powiedział Jason błagalnym tonem, kiedy znów zostali sami. Chciał się ucześcić tej możliwości. Każda inna byłaby nie do zniesienia. – I to pewnie było powodem jej zniknięcia. Żaden tam morderca z wrzosowisk ani nic podobnego. Uciekła do chłopaka, żeby nie jechać do Szkocji.

– A w końcu skoczyła do morza?

– Złamane serce? Może doszło między nimi do sprzeczki. W tym wieku świat się zawala, kiedy kończy się miłość.

„Tak byłoby najlepiej” – pomyślała Deborah. Ale jakoś nie mogła w to uwierzyć.

W każdym razie nie potrafiła sobie wyobrazić, by Alex Barnes był sprawcą – nieważne, jakiego czynu by się dopuścił. Wydał jej się nieco podejrzany, lecz na pewno nie był kryminalistą. Jąkając się trochę, przyznał w końcu, że wracał tego dnia z pizzerii, w której pracował jako kelner. Problem w tym, że pracował na czarno, pobierając jednocześnie zasiłek dla bezrobotnych. W pizzerii potwierdzono jego słowa, choć oczywiście niechętnie, z powodu nielegalnego zatrudnienia.

Dlaczego wybrał drogę tak blisko morza, przy takiej pogodzie? Bo chętnie tamtędy chodził. Właściwie zawsze.

Można mu było wierzyć albo nie. Nadkładał przecież drogi. To zrozumiałe w słoneczny dzień albo w pogodny, chłodny wieczór. Ale nocą, przy tak fatalnej aurze...

Lecz bądź co bądź ów drugi przechodzący tamtędy mężczyzna potwierdził opisaną przezeń sytuację. Alex leżał na skraju muru, przytrzymując Amelie. Był u kresu sił, co przyznali znów sanitariusze.

– Dlaczego miałby ją ratować, gdyby wcześniej ją skrzywdził? – pytała Deborah. Żywiła dla niego głęboką wdzięczność i nie zamierzała pozwolić, by nią zachwiano.

Także Jason co chwila ścisnął dłoń Alexa.

– Dziękuję. Z całego serca. Nie potrafimy wyrazić, jak wiele pan dla nas zrobił, ale jeśli mimo to moglibyśmy...

– Nie. Naprawdę – zaoponował Alex. – I wcale nie muszą mi być państwo wdzięczni. To znaczy... Każdy by tak postąpił. Słyszac wołanie dziewczyny o pomoc i widząc, w jakiej znalazła się sytuacji... Nikt nie zachowałby się inaczej.

– Przerwał pan ten nasz koszmar – wyznała Deborah ze łzami w oczach.

I tak też się czuła: oto przeżywali potworną tragedię, która nagle się zakończyła, przerażenie cudem przemieniło się w dobro. Wciąż była niby ogłuszona, nadal nie potrafiła pojąć, że to już koniec. W jakimś ukrytym zakamarku swego umysłu przeczuwała, że być może nie jest to jednak koniec ostateczny, gdyż ten jeden tydzień odmienił życie ich wszystkich i już nigdy nie będzie jak dawniej. Przeżycie to okazało się zbyt drastyczne, zbyt traumatyczne. Zniweczyło poczucie bezpieczeństwa, jakie dotąd im w życiu towarzyszyło. Spróbują je odbudować, lecz Deborah podświadomie rozumiała, że będzie już ono zupełnie inne. Zostało poważnie nadszarpnięte

i nadszarpnięte pozostanie.

– Nasz dom należy do pana – oznajmił Jason. – Zawsze będzie pan tu mile widziany. Zawsze może się pan do nas zwrócić w potrzebie, w jakiegokolwiek sprawie. To dla nas ważne, by dowieść naszej wdzięczności.

Alex sprawiał wrażenie nieco zakłopotanego.

– Zrobiłem, co należało. To oczywiste. Mam nadzieję...

– Tak? – zapytała Deborah.

– Mam nadzieję, że się państwo dowiedzą, co naprawdę się wydarzyło – powiedział Alex. – By się od tego uwolnić, trzeba poznać prawdę.

2

– Co pan sądzi o Alexie Barnesie? – zapytał Caleb Hale. Stał w swoim biurze przy oknie, sierżant Robert Stewart właśnie wszedł do środka. Caleb był znużony wydarzeniami ostatnich dni, zarazem jednak czuł ogromną ulgę: nie było kolejnych zwłok. Cokolwiek spotkało Amelie Goldsby, wróciła do rodziców. Caleb zdawał sobie jednak sprawę, że tego punktu nie może dopisać do listy swoich sukcesów. Nie mógł powiedzieć: *Oddałem to dziecko rodzicom*. Amelie albo nie została porwana, albo ją uwolniono, albo też zdołała uciec. Albo wydarzyło się coś całkiem innego. Dowie się tego, gdy dziewczyna złoży zeznania. Tymczasem nie powiedziała ani słowa. Była w kiepskiej formie, przywieziono ją do szpitala w stanie zupełnego wyczerpania i poważnego wychłodzenia. Ale wróci do pełni sił. W każdym razie fizycznych. Czas pokaże, czy przetrzyma to również psychicznie.

Cały weekend spędził w pracy, przesłuchując obydwu mężczyzn zaangażowanych w ratowanie Amelie na nabrzeżu przy Cleveland Way. Przede wszystkim Alexa Barnesa, którego internetowe wydania lokalnej prasy fetowały entuzjastycznie jako nieustraszonego bohatera, ale także drugiego mężczyznę, który owego burzowego wieczoru niespodziewanie przechodził tamtędy późną porą. Powody, dla których obaj przypadkiem znaleźli się we właściwym momencie we właściwym miejscu, potwierdziły pierwsze ustalenia. Choćby okoliczność, że w tym czasie przebywali poza domem. Dlaczego jednak wybrali tę akurat drogę, w ocenie Caleba pozostawało dość niezrozumiałe.

Sierżant Stewart, który także musiał zapomnieć o spokojnej niedzieli i zameldować się w biurze, zamknął za sobą drzwi.

– O Barnesie? Naszym bohaterze? Co ma pan na myśli, pytając mnie, co o nim sądzę?

– Uważa pan za zrozumiałe, że wracając z pizzerii, wybrał tę właśnie drogę? Przez miasto byłoby znacznie krócej. A nie była to przecież przyjemna letnia noc.

Robert się zamyślił.

– Zeznał, że zawsze tamtędy chodzi. Po to, by przebiec kawałek drogi. Dla treningu. Brzmi rozsądnie, prawda?

– W taką pogodę?

– Ja też biegam przy każdej pogodzie. Jeśli mam czas.

– Hm. A ten drugi, David Chapland, znalazł go leżącego na brzuchu. Trzymał Amelie za rękę. Chciał ją ratować? Czy może akurat usiłował się jej pozbyć? I mu w tym przeszkodziło?

– Chapland? – zapytał Robert. – On także przechodził tamtędy o tej dziwnej porze.

– Tak, to też mnie zastanawia. – Caleb zakreślił ołówkiem kółko wokół nazwiska, które zanotował na skrawku papieru. – David Chapland. Prowadzi agencję organizującą w całej Europie wycieczki pod żaglami. Według jego słów zjawił się wtedy w porcie, bo chciał się upewnić, że jego łódki są dobrze zacumowane. Był podenerwowany z powodu nawałnicy. Sprawdziliśmy: łodzie faktycznie stoją na cumach. Nikt go tam nie widział, co jednak nie dziwi, zważywszy na okoliczności. Do portu poszedł piechotą. Z Sea Cliff Road, gdzie mieszka. Samochodem to parę minut, ale...

– Nie spodziewał się, że będzie musiał wyjść z domu, i napił się alkoholu. Dlatego zostawił samochód.

– Bardzo przykładowie – przyznał Caleb. – Może aż za bardzo?

– Co ma pan na myśli?

– No cóż, kompletnie pijany to on nie był, tak zeznali jego koledzy, którzy z nim rozmawiali. Powiedział, że wypił dwa piwa, i tak chyba rzeczywiście było... Większość ludzi nie zawahałaby się usiąść za kierownicą. Tak krótki odcinek przez miasto, w ulewnym deszczu...

– Dwa piwa to także alkohol. I zawsze trzeba się liczyć z kontrolą drogową. Nie chciał ryzykować.

– A dlaczego wybrał drogę blisko brzegu? Zamiast iść w górę obok parkingów?

– Aż takiej różnicy w odległości nie ma. A droga dołem, jak zeznał, bardziej mu się podoba. Niektórzy lubią morze przy takiej pogodzie – mroczne, wzburzone, wysokie fale. Jest żeglarzem. Wcale mnie to nie dziwi.

Caleb się zamyślił. Może Robert ma rację. Może on niepotrzebnie wyolbrzymia niewinne nawyki innych ludzi do rozmiarów podejrzanych zachowań, tylko dlatego, że nie potrafi postawić się w ich sytuacji. I oczywiście dlatego, że przypadek ten wydaje się tak nieprzenikniony. Jeśli to w ogóle był przypadek.

– Została zepchnięta albo sama skoczyła – oznajmił. – Nie mogła w tym miejscu wpaść do morza. Chyba że wspięła się na balustradę i niebezpiecznie na niej balansowała. Tego jednak nikt nie robi.

Robert Stewart wysnuł tymczasem własną teorię, zgodnie z którą w grę wchodziła nieszczęśliwa miłość.

– Przez cały tydzień z pewnością nie włóczyła się po ulicach. A to oznacza, że u kogoś się zatrzymała. Założę się, że u jakiegoś typka. Rodzice oczywiście nie mają o nim pojęcia, jakże to typowe, prawda? W końcu dochodzi między nimi do kłótni, może zauważyła, że on wcale nie jest w niej tak mocno zakochany jak ona, albo coś w tym stylu... Ucieka zrozpaczona i postanawia z sobą skończyć. Skacze do morza...

– ...i zaraz potem chwyta się desperacko muru nabrzeża?

– To nic niezwykłego przy próbach samobójczych – odparł Robert. – Trzeba mieć w sobie cholernie dużo desperacji, by pokonać instynkt samozachowawczy. Woda była lodowata, mroczna i groźna. Utonięcie nie jest prostą sprawą. To naturalne, że chciała się ratować.

– Być może – przyznał Caleb. Wiele przemawiało za tym, że Robert ma rację. To zaś oznaczało, że nic nie łączy przypadku Amelie Goldsby z morderstwem Saskii Morris, co ogromnie upraszczałoby sprawę. Żadnego seryjnego zabójcy grasującego po okolicy. Mimo to... Alex Barnes mu się nie spodobał. Jako człowiek. Biło zeń jakieś... wyrachowanie.

Wszystko zależało od tego, kiedy Amelie wreszcie zacznie mówić.

Poniedziałek, dwudziesty trzeci października

1

Wilgotny, nieprzyjemny poranek. Czemu październik stał się naraz taki mroczny, mokry, jesienny? Mógłby już nadejść listopad. Kiedy Mandy uciekła z domu, październik przypominał późne lato. Słoneczne, suche, ciepłe. Dlaczego to się nagle zmieniło? I na domiar złego w sposób tak radykalny?

Z początku zamieszkała u Cata. Nawet nie wiedziała, jak się naprawdę nazywa, wszyscy mówili o nim Cat, bo... miał mnóstwo kotów. Mieszkał w piwnicy nadającego się do rozbiórki domu w centrum miasta. Nie miała pojęcia, z czego się utrzymuje, z pewnością nie z pracy własnych rąk. Kiedy pewnego razu go o to zapytała, zaśmiał się i odparł, że nie powinna zadawać tylu pytań. Może kradł. Prawdopodobnie sprzedawał też haszysz. W każdym razie na pewno go palił, eksperymentował też z twardszymi narkotykami.

Mandy poznała go dzięki znajomym na jakimś ulicznym festynie i utrzymywała z nim bliski kontakt na WhatsAppie. Niekiedy umawiali się na plaży. Cat nie był akurat człowiekiem zanadto odpowiedzialnym. Czasem zjawiał się na spotkaniu, czasem nie.

Mandy żaliła mu się często, że jej rodzina jest nie do zniesienia. Nad wyraz agresywna matka, istna tykająca bomba atomowa, siostra zaś całkowicie jej podporządkowana, ustępująca we wszystkim, byleby tylko jej nie prowokować. Lynn usilnie pragnęła harmonii, czym wzbudzała czasem u Mandy wyłącznie pogardę.

A ojciec... Co miałyby o nim powiedzieć? *Mięczak* byłoby zbyt łagodnym określeniem. Nie potrafił ani trochę postawić na swoim, nie odzywał się, głowę trzymał zazwyczaj zwieszoną. Kiedy żona besztła go i wyzywała od nieudaczników i niedorajdów, milczał. Mandy jeszcze nigdy nie widziała, by się bronił. Zwyczajnie nie potrafił. Spuszczał tylko wzrok, kulił ramiona i czekał, aż burza rozpetana nad jego głową ucichnie.

Sprawa z czajnikiem przedstawiała się kiepsko. Mandy wiedziała, że prowokuje matkę. Taka już była. Siedział w niej czasem jakiś diabeł... A wtedy musiała się z kimś zewrzeć, matka świetnie się do tego nadawała. Wybuchiała niczym dynamit, a Mandy zawsze miała jakiś pretekst do sprzeczki. Z Lynn czy ojcem nie sposób się było pokłócić,

schodzili jej z drogi. Za to z mamą można się było szarpać aż do krwi. Mandy uważała ją za nieznośną, zarazem jednak żywiła dla niej największy respekt.

Tym razem posunęła się za daleko. Mandy nigdy nie była przesadnie wrażliwa, już jako dziecko nosiła liczne sińce i ślady uderzeń. Matka wyrywała jej kosmyki włosów, złamała nawet ramię. Ale wrzątek... to zupełnie inna kategoria. To mogło oślepić, dosłownie. Mandy pomyślała, co stałoby się z jej twarzą, gdyby chlusnęła na nią woda... Wystarczy, że ramię kiepsko wygląda. Zacerwieniona, otwarta, ropiejąca rana. Z pewnością pozostanie głęboka blizna. Na ramieniu to jeszcze nie problem. Na twarzy oznaczałoby prawdziwą katastrofę.

Dlatego uciekła. Była przerażona. I wściekła. Chciała, by matka się o nią martwiła. By zrozumiała, że tym razem przesadziła. Powinna gruntownie przemyśleć swoje postępowanie. I popaść w tarapaty. W szkole oczywiście zauważą nieobecność Mandy i niezwłocznie powiadomią opiekę społeczną, Allardowie to przecież trudna rodzina. Carol Jones rozpocznie poszukiwania. Pocziwa Carol! Taka zaangażowana i pełna idealizmu. Mandy czasem odnosiła się do niej podle, lecz Carol nigdy nie przestała być miłą. Mandy nie rozumiała ludzi, z których twarzy nie znikał uśmiech, nieważne, jak ordynarnie ich potraktowano. No dobrze, w przypadku Carol był to zapewne efekt profesjonalizmu. Pewnie ją tego nauczono. Nie dać się sprowokować i bez względu na wszystko pozostać cierpliwym.

Mandy przeszła pół miasta, prowizorycznie owinąwszy ramię ręcznikiem. Okropnie bolało, co tylko potęgowało jej wściekłość. Dość późno zaczęła się zastanawiać, dokąd najlepiej się udać. Właściwie nie miała przyjaciół, nikt jej nie lubił.

– Bądź miła dla ludzi, a wtedy oni będą mili dla ciebie – powtarzała wciąż Carol. Lubiła tego rodzaju puste frazesy, które co prawda zgrabnie brzmią, lecz nijak się mają do rzeczywistości. I niełatwo je zrealizować. Bądź miła dla ludzi! Gdzie krył się początek tej spirali? Dla Mandy nikt nigdy nie był miły, więc i ona nie była miłą, a zatem inni też nie byli mili... W pewnym momencie nie dało się już tego powstrzymać. Ani zawrócić. I tak właśnie płynęło jej życie.

Z Catem wymienili tamtego ranka kilka wiadomości na WhatsAppie, nic wielkiego, ot, przesłali sobie parę serduszek. Nic ich nie łączyło, dlatego mogli się wymieniać serduszkami, różami i buźkami. To była zabawa, bez obaw, że któreś w końcu poczuje się dotknięte.

Cat siedział na materacu w piwnicy, palił skręta i przyjaźnie spoglądał na Mandy. Wokół niego zebrało się ze dwadzieścia kotów. Każdy włóczęga do niego przychodził, znajdował ciepły kąt i coś do jedzenia. Sam Cat ze swoimi długimi, czarnymi,

sięgającymi za ramiona włosami i zielonymi oczami wyglądał jak kocur. Mandy zapytała go bez ogródek, czy może u niego zostać na jakiś czas. „Jasne” – usłyszała w odpowiedzi.

Mieszkała tam osiem dni, kilka razy paliła haszysz, nic szczególnego jednak nie czując, nocami przytulała się do kotów i dbała o swoje ramię. W kilku miejscach widać było zaczerwienioną żywą tkankę.

– Musisz uważać, żeby nie wdała się infekcja – stwierdził Cat. Udało mu się zdobyć żel do smarowania pęcherzy po oparzeniach. Domyślała się, że przydałoby się coś mocniejszego, poczuła jednak ulgę, że ma cokolwiek. Żel uśmierzył ból oraz strach, że może się z tego rozwinąć coś gorszego. Codziennie owijała ramię na nowo, by utrzymać je w czystości. Rana nieładnie pachniała, co tylko napawało ją niepokojem.

– Potrzebny ci lekarz – przyznał Cat.

– Mam czternaście lat – odparła. – Chyba nie sądzisz, że nie będzie zadawał pytań! Albo chciał rozmawiać z rodzicami.

– I co z tego? Twoja matka dostanie nauczkę, jeśli wpadnie w tarapaty.

– A co ze mną? Ci z opieki społecznej dojdą w końcu do wniosku, że nie mogą mnie tam zostawić. Trafię do poprawczaka albo do jakiejś kretyńskiej rodziny zastępczej.

Mieszkanie u Cata spodobało jej się, choć nie wiedziała, dokąd to wszystko zmierza. Całymi dniami leżeli tylko na materacach w piwnicy. Czasem wychodzili też na plażę, lecz Mandy nie sprawiało to żadnej przyjemności, gdyż obawiała się, że ktoś ją zauważy. Nie wiedziała, czy wszczęto już poszukiwania i w jakim ewentualnie zakresie. Nie spodziewała się, że spotka na plaży rodziców czy Lynn, żadne z nich nigdy się tam nie zapuszczało, mogła jednak wpaść na Carol albo na jednego ze swoich nauczycieli czy klasowych kolegów. W piwnicy czuła się bezpiecznie. Choć czasem było tam deprimująco i nudno.

Ósmego dnia Cat oświadczył, że spodziewa się odwiedzin znajomej, która zostanie u niego przez tydzień, dwa lub trzy. Lepiej więc będzie, jeśli Mandy poszuka sobie innego schronienia.

– Jest trochę zazdrosna – dodał, szczerząc zęby.

– Coś cię z nią łączy? – zapytała zmartwiona Mandy. Cat nie był jej chłopakiem, lecz nie lubiła, gdy w pobliżu pojawiała się inna kobieta.

Okazało się, że istotnie chodzi o swego rodzaju bliski związek, z tym że ta kobieta wędrowała po świecie i tylko od czasu do czasu wracała do Scarborough. I akurat teraz zapowiedziała swój przyjazd. Cat nie potrafił powiedzieć, jak długo u niego zostanie.

– Dwa tygodnie. Cztery. Może dłużej. Nie mam pojęcia.

Na domiar złego zdarzyło się to w czasie, gdy aura uległa gwałtownej zmianie i nastąpiła prawdziwa jesień. Mandy zabrała z sobą żel na oparzenia oraz pięć opatrunków, Cat wręczył jej także sto funtów. Wiedziała, że to wspaniałomyślny gest, gdyż sam był prawie bez grosza.

Kiedy znalazła się na ulicy, aż chciało jej się płakać. Wiedziała, że powinna wracać do domu. Dość już wystraszyła rodziców, koniecznie potrzebowała pomocy medycznej. Miała jednak wrażenie, że wówczas dałaby za wygraną. Nie chciała uchodzić za mięczaka.

Drugi tydzień spędziła więc w ogrodowej szopie na obrzeżach miasta. Stała na skraju sporej wielkości ogrodu okalającego duży dom, którego właściciele widocznie wyjechali. W każdym razie wszystkie okiennice pozostawały zamknięte, nigdzie też nie zauważyła śladów czyjejś obecności. Szopa nie była jednak zamknięta. Wewnątrz znajdowało się sporo narzędzi ogrodowych, lecz także kilka złożonych leżaków, na których mogła się przespać. Panował tam chłód, ale znalazła kilka wełnianych koców. I kuchenkę spirytusową. Kupiła spirytus, zapalki i parę konserw, dzięki temu mogła zjeść ciepły posiłek. Opatrzyła ramię. Ból aż promieniował. Wiedziała, że długo tak nie wytrzyma.

Pod wieczór zjawili się właściciele domu. Mandy drzemała na leżaku skulona pod warstwą koców, gdy usłyszała nadjeżdżający samochód. Głosy. Otwierano i zamykano drzwi. Zerwała się na równe nogi i zaczęła obserwować dom. Otwarto kilka okiennic, blask lamp rozświetlił noc. Nie miała wątpliwości – właściciele, kimkolwiek byli, wrócili.

Mandy nie przypuszczała, by nocą zajrzeli do ogrodowej szopy, dlatego została, rezygnując jednak z podgrzania posiłku. Kuchenka spirytusowa mogłaby zdradzić jej obecność. Przełknęła na zimno zawartość puszk. Czuła, że znalazła się w punkcie krytycznym.

W ten chłodny poniedziałkowy poranek, kiedy mgła znów wypełzła z morza i spowiła wszystkie domy i ulice, a ona straciła dach nad głową, uzmysłowiła sobie, że poprzedni wieczór wcale nie był punktem zwrotnym jej życia.

Nastał dopiero teraz. Choć nie mogła wykluczyć, że będzie jeszcze gorzej.

Spakowała kuchenkę spirytusową i zapalki, zabrała też z sobą wełniany koc, który zwinięty w rulon zarzuciła na plecy. Bolało ją ramię. Miała jeszcze dwie puszki ravioli oraz sześćdziesiąt funtów. Człapała poboczem drogi, nie mając bladego pojęcia, dokąd miałyby się udać. Ulica nie była zbyt ruchliwa, Mandy wiedziała jednak, że wkrótce

musi z niej zboczyć. Jeśli pojawi się policyjny patrol, natychmiast ją zabiorą. Była niepełnoletnia, powinna chodzić do szkoły, tymczasem z plecakiem, kocem, kołtunami na głowie i w brudnym ubraniu wyglądała jak kloszard. Zwracała na siebie uwagę.

Może to i dobrze – szeptał jej wewnętrzny głos – potrzebna ci pomoc. I tak długo już nie wytrzymasz.

Poddaj się!

To jednak nie było w jej stylu. Mandy nigdy się tego nie nauczyła. Któregoś razu podczas sportowego festynu biegła do utraty tchu. Doskonale zdawała sobie sprawę, że brakuje jej sił, że lepiej będzie się zatrzymać, a mimo to nie potrafiła tego zrobić. Zrezygnować? Wykluczone. W końcu pociemniało jej w oczach, upadła zemdlna. Kiedy odzyskała przytomność, spojrzała w zmartwioną twarz pochylającej się nad nią nauczycielki wuefu.

– Czemu biegłaś dalej? – zapytała. – Widziałam, że słabniesz. Wołałam do ciebie, żebyś się zatrzymała. Ale tego nie zrobiłaś!

– Nie potrafię – odpowiedziała.

Tak było i tym razem. Nie potrafiła. Wytrwała dwa ciężkie tygodnie, cały ten przecierpiany czas poszedłby na marne, gdyby teraz zawróciła do domu. Szyderczy śmiech matki... Patsy pławiłaby się w poczuciu własnego tryumfu. I Mandy miałyby na karku Carol, pytano by ją, czy nie wolałyby jednak zamieszkać z inną rodziną... Nie chciała tego za żadne skarby. Rodzinę miała okropną, lecz przynajmniej nikt nie narzucał jej ograniczeń. Mogła wychodzić, kiedy tylko chciała, nikogo nie interesowało, co porabia. Mandy wyobrażała sobie, że w rodzinie zastępczej byłoby inaczej. Panowały tam porządek, ściśle wyznaczone pory posiłków, których trzeba by przestrzegać. Tylko dryl i dyscyplina... Pojęcia, których dźwięk budził w niej dreszcze. Nie miała na to najmniejszej ochoty.

Oczywiście, nieustanne odwlekanie momentu powrotu nie poprawiało jej położenia. Interwencja opieki społecznej stawała się tym bardziej prawdopodobna, im dłużej przebywała poza domem. Albo i nie, jeśliby później – kiedyś, znacznie później, gdyby sytuacja *jakimś sposobem* się wyjaśniła – wyznała, że właśnie strach przed pracownikami urzędu nie pozwalał jej wrócić do rodziny. Może Carol zostawiłaby ją wówczas w spokoju.

Była tak głęboko pogrążona w myślach, że nie zauważyła nadjeżdżającego za jej plecami samochodu. Później uznała, że to pewnie mgła stłumiła wszelkie odgłosy. Wzdrygnęła się, gdy tuż obok zahamował granatowy pojazd. Ktoś opuścił szybę. Mandy spojrzała w twarz mężczyzny. Około trzydziestki, oceniła. Miał włosy

ciemnoblond, wyglądał sympatycznie. W każdym razie nie przypominał kogoś, kto ma złe zamiary.

– Jakiś problem? – zapytał.

– Niby czemu miałabym mieć jakiś problem? – odparła zuchwale. Nie był to wprawdzie policyjny radiowóz, niektórzy policjanci jeździli jednak w nieoznakowanych pojazdach. Zachowała czujność.

– No cóż, wyglądasz mi na kogoś, kto w poniedziałkowy poranek powinien siedzieć w szkole. A nie włóczyć się podmiejską drogą. Jesteś dość... zaniedbana.

– Nie pańska sprawa.

Zaśmiał się.

– Przekorna jesteś. Nie będę się narzucał. Pomyślałem tylko, że może potrzebna ci pomoc.

Mandy już miała na końcu języka kolejną hardą odpowiedź, a jednak się zawahała. W jednym miał rację: potrzebowała pomocy. Pieniędzy nie na długo jej starczy, musiała zdobyć jedzenie i opatrunki.

Nie miała dachu nad głową ani żadnego planu.

– A jeśli nawet? – odparła.

Ponownie się zaśmiał. Mandy zaczęła się zastanawiać, co go tak ciągle śmieszy.

– Mógłbym cię podwieźć – oznajmił. – Napijemy się razem kawy, a ty mi opowiesz, co się stało.

Kawa... To słowo zabrzmiało przyjemnie. W jej położeniu *kawa* oznaczała raj.

Mimo to pozostała nieufna. Wiedziała, że wsiadanie do samochodu nieznanego może się źle skończyć. Mężczyzna naprawdę wyglądał sympatycznie i niegroźnie, ale czy nie tak właśnie wyglądają najgorsi z ludzi?

– Gdzie chcesz się napić kawy?

Wzruszył ramionami.

– A gdzie byś chciała?

– Nie wiem... – Wizyta w kawiarni mogła okazać się pułapką. Pewnie wszczęto już poszukiwania.

– Sądzę, że uciekłaś z domu – stwierdził mężczyzna. – I dlatego włóczysz się tu po najdalszych obrzeżach miasta. Kawiarnia nie jest odpowiednim miejscem, prawda?

Nie odpowiedziała.

– Coś ci zaproponuję. Możesz na to przystać, choć wcale nie musisz. Pojedziemy do

mnie. Dostaniesz coś do jedzenia. Weźmiesz prysznic. Ogrzejesz się. Porozmawiamy. O tym, co się stało i co dalej. Co ty na to?

– Czy jest pan z opieki społecznej?

– Nie. Po prostu lubię pomagać.

„Tacy ludzie w ogóle istnieją?” – zastanawiała się Mandy.

– Mam na imię Brendan. – Patrzył na nią wyczekująco.

– Aha.

Westchnął.

– To jak będzie?

Obeszła samochód dookoła, otworzyła tylne drzwi i włożyła do środka plecak. Brendan tymczasem uchylił drzwi pasażera. Mandy z wdzięcznością wślizgnęła się na siedzenie. Otuliło ją cudowne ciepło. Suche powietrze. Jak dobrze było odpocząć. Pomarzyć o kubku kawy.

Ruszyli.

2

Kiedy w poniedziałkowy wieczór Kate wróciła z pracy do mieszkania w Bexley, ku swojemu zaskoczeniu stwierdziła, że na automatycznej sekretarce pozostawiono jej trzy wiadomości. Tak rzadko dzwoniło do niej prywatnie, że migającą czerwoną diodę z początku uznała za oznakę awarii aparatu. Kiedy nieufnie nacisnęła klawisz odtwarzania, głos oznajmił jej, że ma nagrane trzy nowe wiadomości.

– To niemożliwe – powiedziała głośno Kate.

Pierwsza wiadomość nadeszła od jej sąsiadki ze Scalby. Wywożenie gratów przebiegło bez przeszkód, dom stoi pusty, w poniedziałek firma remontowa przystąpiła do pracy.

– Proszę się nie martwić. Czuwam nad wszystkim – zakończyła sąsiadka.

A więc stało się. Meble rodziców zniknęły, dom, który znała z lat dzieciństwa i młodości, już nie istnieje. Kate zaczęła nasłuchiwać, zastanawiała się, jakie doznania wzbudzi w niej ta wiadomość. Poczowała wzbierający w jej sercu lodowaty smutek. Czym prędzej ponownie nacisnęła klawisz odtwarzania.

Nie czas na rozmyślanie.

Kolejną wiadomość nagrał Colin Blair, nieszczęsny randkowiec z sobotniego

wieczoru. Kate osłupiała. Po raz pierwszy w życiu zdarzyło się, że mężczyzna zadzwonił do niej po spotkaniu.

– Cześć, Kate, to ja, Colin. Pomyślałem, że zadzwonię. Dziwne, że przedwczoraj tak nagle zniknęłaś. – Zrobił przerwę. – Zastanawiałem się, czy coś ci we mnie przeszkadza.

Niezwykła to myśl jak na Colina. Z pewnością nieczęsto kwestionował swoje zachowanie.

Chwilę później pokazał jednak dawne oblicze.

– Ale to przecież niemożliwe.

Kate mimowolnie się uśmiechnęła.

– Ma to chyba związek z tamtą relacją w telewizji. Na temat zaginionej dziewczynki, którą odnaleziono. Nie mam pojęcia dlaczego, ale niezwykle mocno zareagowałaś. – Znowu zrobił pauzę. – Szkoda, że nie mam numeru twojej komórki. Mógłbym złapać cię za dnia i od razu to wyjaśnić.

Kate niemal w ogóle nie udostępniała numeru swojej komórki osobom niezwiązanym z jej pracą. Odbieranie telefonów podczas służby wydawało jej się problematyczne. Ściśle mówiąc, *byłoby problematyczne*. Nikt nigdy nie zadzwonił.

Do dzisiaj.

– No więc – ciągnął Colin – oddzwoń do mnie. Myślę, że powinniśmy się spotkać i porozmawiać. Okay? Dobra. To na razie.

Rozłączył się.

„To zadziwiające” – pomyślała Kate.

Trzecią wiadomość nagrała Deborah Goldsby. Płakała. Usilnie prosiła o telefon.

Amelie zaczęła mówić.

Kate naląła sobie kieliszek wina i podkurczywszy nogi, usiadła na sofie. U jej boku skulił się kot jej zbiegłych lokatorów, który nadal z nią mieszkał. Cicho mruczał. To całkiem miłe, kiedy coś żywego wita cię w domu, uznała Kate.

Zamyśliła się. Przez dobre pół godziny rozmawiała przez telefon z Deborah, a teraz usiłowała uporządkować zasłyszane informacje.

Amelie nie zwierzyła się matce, lecz funkcjonariuszce wydziału kryminalnego przeszkolonej z zakresu psychologii, która po wypisaniu dziewczyny ze szpitala wczesnym rankiem w poniedziałek odwiedziła ją w domu rodziców i zaczęła ostrożnie wypytywać. Amelie przez dłuższą chwilę milczała, po czym nagle wybuchnęła płaczem.

A potem opowiedziała o mężczyźnie.

Opowiedziała niewiele, na pewno nie całą historię, nie w sposób, który pozwoliłby na wyciągnięcie przełomowych wniosków. Był tam mężczyzna. Na Burniston Road. Porwał ją. Więził. Zdołała uciec. Skoczyła do morza, gdyż sądziła, że on ją ściga, miała nadzieję, że w ten sposób zdoła się ukryć za murem nabrzeża albo odpłynąć.

O mały włos nie utonąła. Była bliska śmierci.

Wciąż przywoływała to zdarzenie: wysokie fale. Lodowata woda. Silny prąd. Śliski kamienny mur, do którego usiłowała przywrzeć. Przemarznięte dłonie, które w pewnej chwili omdlały bezsilne.

– Myślałam, że umrę – wyznała. Wybałuszyła szeroko oczy. – Myślałam, że umrę. Myślałam, że umrę.

Pamiętała, że zjawił się jakiś mężczyzna i ją przytrzymał, nie zdołał jednak podciągnąć jej w górę. Razem zawisli w tym nieszczęsnym położeniu, w strugach deszczu i przelewających się fal. Ale przynajmniej tam był. Potem pojawił się ten drugi. Amelie została uratowana w chwili, gdy straciła już wszelką nadzieję. Wciąż jednak nie mogła w to uwierzyć.

– Powinnam już nie żyć – powtarzała raz za razem.

Funkcjonariusze daremnie starali się zdobyć bliższe informacje. Amelie mówiła nieustannie, lecz wyłącznie o zdarzeniu nad morzem. Bez końca opisywała skłębione fale uderzające o nadbrzeżny mur i wlewające się jej do ust, nosa i oczu. Często na całe minuty znikwała pod wodą. A potem znów powracało zdanie:

– Myślałam, że umrę.

– Policyjna psycholożka uważa, że inne przeżycia były dla niej jeszcze okropniejsze – wyznała Deborah ze łzami w oczach. – Dlatego nie chce o tym mówić i wciąż przywołuje zdarzenie z wodą. Kręci się w kółko. Wciąż opowiada to samo.

Ponownie pokazano jej zdjęcie Alexa Barnes, oświadczyła jednak, że nigdy wcześniej nie widziała tego człowieka. Z pewnością to nie on ją porwał. Podobnie opisała Davida Chaplanda. Nigdy przedtem go nie spotkała.

Kate wcale nie była tym zaskoczona. Nie spodziewała się, że okaże się to aż tak proste.

Po wielogodzinnych ostrożnych namowach Amelie wreszcie opisała sprawcę. Policja sporządziła portret pamięciowy, nie było jednak wiadomo, jak bardzo odpowiada on rzeczywistości. Podczas swojej opowieści Amelie wciąż zbaczała z tematu. Kate doskonale wiedziała, co sobie pomyślał Caleb Hale: W jakim stopniu informacje te są

prawdziwe i czy pogrążona w traumie dziewczyna nie plotła przypadkiem bzdur, byleby tylko się z niej otrząsnąć?

Jeśli uznać jej opis za wiarygodny – policji nie pozostało na razie nic innego – porywacz miał około pięćdziesiątki, był wysokim, szczupłym mężczyzną o dość rozmytych, łagodnych rysach twarzy.

– Twarz niemal dziecinna – zapewniła Deborah. Portret pokazano jej i Jasonowi, nigdy jednak nie widzieli nikogo podobnego, nie przypominał go również żaden z ich znajomych.

– Może ktoś z sąsiedztwa? – indagował nadkomisarz Hale. – Albo z kręgu pańskich współpracowników, doktorze Goldsby? Dawny pacjent? Niegdysiejszy gość? Ktoś, kto zwrócił w ostatnim czasie państwa uwagę? Gdziekolwiek? Na parkingu przed Tesco?

Nie, nie, nie. Mimo wysiłku nie potrafili sobie przypomnieć, by znali lub kiedykolwiek spotkali kogoś podobnego.

Na pytanie, czy zdołałaby go rozpoznać, gdyby nagle stanęła z nim twarzą w twarz, Amelie z początku zareagowała wymijająco, w końcu jednak przytaknęła. Tak. Rozpoznałaby go.

– Przed domem mam teraz policjantów – oznajmiła Deborah. – Dwóch funkcjonariuszy siedzi w samochodzie. Obserwują. Na wypadek gdyby...

Kate wiedziała dlaczego. Oczywiście. Amelie wyrwała się z rąk sprawcy. Widziała jego twarz. Potrafiła go opisać. Mężczyzna ten być może mieszka w Scarborough albo w najbliższej okolicy. Dla niego to prawdziwy koszmar. Na ulicy, w supermarkecie, w autobusie, na plaży, w każdej chwili mógł ją napotkać. Wszędzie. Nie można było wykluczyć, że ponownie spróbuje ją porwać i zmusić do milczenia. Jeśli nie może opuścić okolicy – Kate z doświadczenia wiedziała, że pewnie chodzi tu o zwyczajnego człowieka, mającego stałą pracę, żyjącego w stałym związku i spłacającego hipotekę za mieszkanie – znalazł się w prawdziwych tarapatach. Każdego dnia groziło mu, że zostanie rozpoznany i aresztowany.

– Najgorsze jest to, że nic więcej nie potrafimy z niej wydobyć – wyznała drżącym głosem Deborah. – Nic konkretnego o tym, jak zdołała uciec, ani o miejscu, w którym ją więziono. Albo o... o jej porywaczu. Bez względu na zadawane pytania wciąż opowiada tylko o tym, jak wspięła się na ogrodzenie i wskoczyła do morza. I jak okropna była następna godzina. Jakby całe jej życie błyskawicznie zredukowało się do tej właśnie godziny spędzonej w wodzie. Jakby nie potrafiła przestać o tym opowiadać.

„Obie rzeczy naraz – pomyślała Kate. – Przewyciężenie autentycznego strachu przed śmiercią. Oraz stłumienie w sobie całej reszty. Myśl o tych przeżyciach

prawdopodobnie jest nie do zniesienia”.

Deborah w końcu rozplakała się rzewnymi łzami.

– To istny koszmar. Z początku poczułam ogromną ulgę i szczęście, że się odnalazła. Żywa. Przynajmniej fizycznie bez szwanku. Myślałam... Miałam nadzieję, że ma to związek z jakimś młodym człowiekiem, w którym się zakochała i który ją nakłonił do ucieczki. Że w zasadzie chodziło jej wyłącznie o to, żeby nie jechać na tę klasową wycieczkę. Albo że chciała pobyc z swoim chłopakiem. Że w końcu się pokłócili i dlatego uciekła... Rozumie pani, miałam potworną nadzieję, że istnieje niewinne wyjaśnienie tego dramatu. Jak to w przypadku młodych ludzi bywa. Sprawy szybko się rozwijają, bo za wszystko w pewnym sensie odpowiadają hormony. Ale coś takiego... To straszne. Niewiarygodne.

Kate przez cały czas starała się zachować spokój i obiektywizm. Tego ją nauczono. Zwłaszcza w rozmowach ze zdesperowanymi krewnymi, którzy sądzą, że ziemia usuwa im się spod stóp.

– Co robią teraz śledczy? – zapytała. – Wie pani?

– Przez cały dzień znów przeczesywali teren wokół miejsca, w którym Alex Barnes i ten drugi mężczyzna wyciągnęli Amelie z wody. Mają nadzieję, że znajdą wskazówki dotyczące jej ucieczki – skąd przybyła, jak długo biegła. Usiłują wyznaczyć odległość, jaką mogła pokonać piechotą, choć nikt nie wie, jak długo uciekała, jaki przebyła dystans. Zagadką pozostaje też fakt, że jej rzeczy, torbę znaleziono tak daleko stąd, aż na wrzosowiskach. Musiała jednak przebywać bliżej miasta, skoro zdołała dotrzeć do Cleveland Way pieszo. Komisarz Hale ponownie był u nas dziś po południu i próbował z nią porozmawiać, po raz enty usłyszał jednak opis zdarzenia w wodzie. Jutro z rana ma znów przyjść policyjna psycholożka. Komisarz Hale twierdzi, że każdy szczegół, jaki zdołamy z niej wyciągnąć, jest niezmiernie istotny.

Racja, pomyślała Kate skulona na sofie. Wkrótce złapią faceta, który prawdopodobnie prędzej czy później zamordowałby Amelie – nie mógł jej przecież puścić wolno, skoro widziała jego twarz. Faceta, który być może ma na sumieniu Saskię Morris. Może także Hannah Caswell. Może nawet więcej dziewcząt, choć ich historii jak dotąd z sobą nie wiązano. Milczenie Amelie musi doprowadzać Caleba do furii.

Przynajmniej mają portret pamięciowy. Opis sprawcy. Mężczyzna około pięćdziesiątki. Gdzieś się ukrywa. Być może sam wychyli głowę z kryjówki. Bo czternastoletnia Amelie Goldsby stanowi dlań poważne zagrożenie.

„Ale również on dla niej” – pomyślała Kate.

Rozumiała irytację Caleba. Dwóch funkcjonariuszy przez całą dobę czatuje przed

domem państwa Goldsbych. Niebezpieczeństwo ocenił jako ogromne. Pewnie nie bez racji.

– Czy mogłaby pani tu przyjechać? – zapytała w końcu Deborah. – Proszę! Ma pani... całkiem inne możliwości niż komisarz Hale!

„Caleb byłby zachwycony, gdyby usłyszał te słowa” – pomyślała Kate. Spróbowała ostrożnie dać Deborah do zrozumienia, że to niemożliwe.

– To dochodzenie nie leży w mojej gestii. Nie mogę ot tak, po prostu się nim zająć. Działam na terenie Londynu. Naturalnie czasami jesteśmy kierowani w inne okolice. Jednakże jak dotąd taki wniosek nie wpłynął. I proszę mi wierzyć, nadkomisarz Hale to niezwykle zdolny funkcjonariusz z ogromnym doświadczeniem zawodowym. Nie potrafiłabym poprowadzić śledztwa lepiej od niego.

Obiecała Deborah, że znów się odezwie, wiedziała jednak, że w zasadzie nie może zrobić nic, czego Caleb nie uznałby za arogancję z jej strony oraz ingerowanie w jego kompetencje. W trakcie dochodzenia prowadzonego w sprawie morderstwa jej ojca nieustanne wtrącanie się Kate do śledztwa ogromnie go irytowało, Caleb mimo gniewu rozumiał jednak, że córka nie potrafiła usiedzieć bezczynnie. Tym razem nie miała żadnego usprawiedliwienia. Bez znaczenia pozostawał fakt, że przypadkiem przez kilka dni mieszkała u Goldsbych. Nie mogła ich określić mianem przyjaciół czy choćby bliższych znajomych.

W tym przypadku nie miała czego szukać. Mogła jednak z czystej ciekawości rozeznać się co nieco w sytuacji.

Otworzyła laptop i ponownie poszukała informacji na temat Hannah Caswell. Raz jeszcze przeczytała stare doniesienia prasowe, tym razem znacznie dokładniej niż tamtego wieczoru, kiedy zaginęła Amelie. Wszędzie przewijało się nazwisko Kevina Benta. Biedak, jeśli jest niewinny, nie będzie miał łatwego życia. Czy nadal mieszka w Staintondale albo w okolicach Scarborough? Kate nie znalazła takiej informacji, dziennikarze najwyraźniej stracili zainteresowanie chłopakiem, gdy policja zostawiła go w spokoju. Natknęła się za to na coś innego: Kevin Bent miał brata. Pięć lat starszego. Ma teraz dwadzieścia osiem lat.

Jako nastolatek był uwikłany w zbrodnię na tle seksualnym.

Media nie roztrząsały tego przypadku, prawdopodobnie z uwagi na *political correctness*, zgodnie z którą gwoli potwierdzenia zarzutów wobec podejrzanego nie wykorzystywano postawy jego krewnych, co byłoby równoznaczne z zasadą zbiorowej odpowiedzialności rodzinnej. Ktoś jednak nie omieszkał o tym wspomnieć. Brat Kevina Benta, Marvin, należał do grupy młodocianych, którzy na terenie zamkniętej

fabryki więzili i przez wiele godzin wykorzystywali seksualnie piętnastoletnią dziewczynę. Marvin Bent przysięgał, że tamtego dnia nie przyłączył się do pozostałych; faktycznie, dwóch kolegów potwierdziło jego słowa: rzeczywiście nie było go wtedy z nami. Marvin Bent akurat w tym czasie rzucił szkołę i podjął dorywczą pracę jako kelner w kawiarni w pobliżu portu. Przebywał tam również owego feralnego dnia, choć tylko przed południem. W chwili popełnienia czynu, po południu, już nie. Sprawa pozostała niewyjaśniona. Ofiara nie rozpoznała go jako sprawcy, choć nie zidentyfikowała także pozostałych, którzy przyznali się do współudziału. Dziewczyna przeżyła tak silną traumę, że jej zagmatwane zeznania należało traktować z dużą dozą ostrożności. Marvinowi Bentowi nie zdołano niczego udowodnić, dochodzenie w jego sprawie zostało umorzone. Mimo to ciążyło na nim podejrzenie, od którego nie potrafił się uwolnić: odrażająca zbrodnia, której sprawcami byli jego najlepsi przyjaciele. Nie miał alibi. Uratowały go zeznania dwóch kolegów oraz fakt, że ofiara go nie rozpoznała.

Jego niewinność opierała się na chwiejnych podstawach.

„Dziwne – pomyślała Kate. – Obaj bracia zostali powiązani z przestępstwami. W obu przypadkach podejrzenia nie udało się potwierdzić, choć nie zostało też całkowicie zarzucone. Uniewinniony z braku dowodów... Stara, mało zadowolająca śpiewka. Niezadowolająca przede wszystkim dla śledczych. Lecz także dla podejrzanego”.

Biorąc pod uwagę przypadek Amelie Goldsby, wiek sprawcy oczywiście się nie zgadzał. Kate nie mogła jednak pozbyć się wrażenia, że nie zaszkodzi uwzględnić w dochodzeniu także sprawy Hannah Caswell. Nie potrafiła wyjaśnić, dlaczego wydało jej się to aż tak istotne. Może bez powodu. Może chodziło wyłącznie o to, by zwyczajnie nie zignorować sprawy Hannah Caswell tylko ze względu na duży odstęp dzielący ją od pozostałych przypadków. Gdyby się okazało, że Hannah jest początkiem całej historii, byłby to fatalny błąd.

Aż ją ręce świerzbiły, by zadzwonić do Caleba i podzielić się z nim swoimi przemyśleniami. Nie odważyła się jednak. Byłby to dowód arogancji. Nie miała tam czego szukać. Sama by się zezłościła, gdyby ktoś tak wobec niej postępował. Być może Caleb już dawno wpadł na ten sam pomysł. Był przecież dobry w swoim fachu. Wiedziała, że błędem byłoby go nie doceniać.

Z westchnieniem zamknęła laptopa. Było jej przykro, ale nie mogła pomóc pani Goldsby. Tak czy owak, Deborah znalazła się w dobrych rękach. Kate nie miała powodu się martwić.

Zastanawiała się, czy powinna zadzwonić do Colina Blaira. Bądź co bądź chciał się

ponownie z nią spotkać. Ale czy ona tego chciała? Był chwalipiętą, uznała go za mało sympatycznego. Z drugiej jednak strony nigdy nie mogła przebierać wśród mężczyzn. Może powinna dać Blairowi – i sobie – jeszcze jedną szansę. Byłoby błędem nie spotkać się z kimś tylko dlatego, że za pierwszym razem między nimi nie zaiskrzyło. Kate zastanawiała się czasem, w jaki sposób inni ludzie łączą się w pary i trwają w związkach przez dłuższy czas. Jej się to nigdy nie udało, uznała więc, że to arcyskomplikowany proces, sama zaś widocznie zawsze robiła wszystko niewłaściwie. Wiedziała, że nie jest atrakcyjna i u niewielu mężczyzn wzbudza gwałtowne instynkty, spotykała jednak kobiety, które wyglądały znacznie gorzej i działały bardziej nieporadnie, a mimo to miały u swego boku oddanego męża, a do tego czwórkę dzieci. Ostatecznie nie chodzi przecież o to, aby stać się czymś trofeum. Chodzi o to, by aktywnie przekonać innych ludzi do swoich zalet. Istotne też, by nie dawać od razu za wygraną. Colin Blair paplał wyłącznie o sobie i paskudnie się przechwalał, lecz być może skrywał za tym ogromną porcję niepewności. Może będzie miłszy, jeśli poczuje się pewniej.

A może ona tylko to sobie wmawia.

Nieważne. Nie dowie się tego, póki się z nim nie spotka.

Sięgnęła po komórkę – miała włączone ukrywanie numeru, nie musiał go jeszcze znać. Zadzwoiła. Odebrał po trzecim sygnale.

– Cześć – zagadnęła. – To ja. Kate. Chciałeś ze mną rozmawiać?

Poniedziałek, trzydziesty października

1

Od tygodnia mieszkała u Brendana. Pozostawało pytanie, co dalej.

Poznał już jej imię. Mandy. Wyjawiała mu je drugiego dnia pod wieczór. Śmiesznie byłoby je ukrywać, a zarazem we wszystkim mu ufać. Zatroszczył się o to, by nie była głodna, ofiarował jej dach nad głową, bawił rozmową. Z zawodu, jak powiedział, jest pisarzem, to dlatego większość czasu spędza w domu.

– Czy nie powinien pan zatem pisać? – zapytała.

Brendan machnął ręką i się uśmiechnął.

– Nie teraz. Właśnie zrobiłem sobie twórczą przerwę.

Mieszkał w niewielkim lokum na poddaszu w samym centrum Scarborough, w nędznym budynku przypominającym dom rodzinny Mandy. Mieszkanie było malutkie. Kuchnia, łazienka, dwa pokoje. Okna wychodziły na północ. Przy szaroburej jesiennej aurze przez cały dzień trzeba było palić światło. Mandy domyśliła się, że nawet w pogodne, słoneczne dni nigdy nie było tu naprawdę jasno.

Jedyne, co jej się spodobało, to kwiaty. Brendan wszędzie rozstawił rośliny doniczkowe, które troskliwie pielęgnował. Poza tym: sama lichota.

Widocznie pisarze marnie zarabiają.

Nawet duży samochód okazał się złudzeniem. Należał do znajomego Brendana, odebrał go za niego z warsztatu. Nie posiadał własnego. Musiał go sprzedać, kiedy dwa lata wcześniej stracił pracę redaktora gazety codziennej. Od tej pory nie najlepiej radził sobie w życiu jako pisarz, utrzymując się ze spadku po babce. Mandy od razu zauważyła, że czuje się samotny i znudzony, to dlatego zabrał ją do siebie. Tęsknił za towarzystwem. Zwyczajnie nie wiedział, co całymi dniami miałyby robić sam w tym miniaturowym, deprymującym mieszkaniu.

Przez pierwsze dni Mandy korzystała z komfortu, mogąc przebywać w ciepłym i suchym pokoju, wziąć prysznic i najeść się do syta. Brendan zatroszczył się także o jej ramię, kupił nową uśmierzającą ból maść i dwa razy dziennie zmieniał opatrunek. Nadal nie wyglądało ono najlepiej, choć nie tak paskudnie jak podczas pobytu

w ogrodowej szopie, kiedy Mandy zaczęła się obawiać, że dojdzie do zakażenia krwi. Wydawało się, że wreszcie zaczyna się powolny proces gojenia. Jak dobrze było wracać do zdrowia.

Po kilku dniach poczuła, że odzyskuje siły. Zaczynała się nudzić, a jej gospodarz coraz bardziej działał jej na nerwy. Brendan wyraźnie potrzebował rozmowy. Paplał od rana do wieczora, przerywając jedynie podczas parzenia herbaty albo przygotowywania obiadu. Dwukrotnie udał się na zakupy. Mandy skorzystała wówczas z okazji, by rozejrzeć się dokładnie po mieszkaniu, nic ciekawego jednak nie znalazła. W szufladzie zauważyła banknot dziesięciofuntowy, zabrała go. Kto wie, kiedy się przyda?

W mieszkaniu piętrzyły się stosy książek, lecz Mandy nigdy się nimi nie interesowała. Brendan posiadał głównie kompendia wiedzy psychologicznej. Wyjaśnił, że zawsze chciał studiować psychologię, ale to „nie zadziało”. Mandy taktownie nie wypytywała, dlaczego tak się stało. Prawdopodobnie miał za słabe oceny albo nie posiadał odpowiedniego świadectwa szkolnego.

Swoją psychologiczną misję, którą, jak się wyraził, „czuje w sobie mniej więcej od czasu, gdy miał lat siedemnaście”, realizował obecnie, roztrząsając jej przypadek. Całymi godzinami siedział naprzeciw niej, chcąc się wszystkiego dowiedzieć – jak dotąd żyła, jakie relacje łączy ją z rodzicami, z siostrą, nauczycielami i szkolnymi kolegami. Dlaczego nie ma przyjaciół, dlaczego nieustannie szuka zwady z matką, dlaczego tak bardzo pogardza ojcem. Mandy musiała przyznać, że nie jest niezręczny. Ledwie o czymś napomknęła, jego następne pytanie świadczyło o dokładnym zrozumieniu problemu, dzięki czemu bezbłędnie trafiał w czuły punkt. Wystarczy, że powiedziała mimochodem o tym, iż ojciec jeszcze nigdy nie sprzeciwił się matce, a już Brendan zapytał o pogardę, jaką ona odczuwa wobec taty. O *pogardzie* w ogóle nie wspomniała, lecz kiedy on wypowiedział to słowo na głos, od razu wiedziała, że dokładnie opisuje jej odczucia. Głęboka pogarda. To dlatego ma tak negatywny stosunek do mężczyzn. *Nieudacznik*, przychodziło jej odruchowo na myśl na widok każdego napotkanego mężczyzny. Inne dziewczęta w jej wieku miały już chłopaków, nią jednak nikt się nie zainteresował. Nawet znacznie starsi od niej chłopcy obawiali się jej ciętego języka i druzgocących ripost. Nikt przez dłuższy czas nie chciał być wystawiony na ich ostrze.

Jeszcze nigdy nikt nie okazał takiego zainteresowania jej życiem wewnętrznym, to dlatego przez pierwsze dni imponowały jej dociekliwe pytania Brendana, cieszyło ją, kiedy uważnie jej słuchał. W którymś jednak momencie zaczęło ją to nużyć. Poczula

monotonię i zmęczenie. A do tego zauważyła, że posługuje się stereotypami. „Co czujesz, kiedy to mówisz?” „Czy w tej chwili zbliżasz się do źródeł twojej agresji?” „Co wzbudza w tobie moje pytanie?”

W gruncie rzeczy ciągle to samo. Śmiertelnie nużące.

W poniedziałek nie wytrzymała. Siedzieli naprzeciw siebie w pokoju dziennym, przed nimi stał duży dzbanek herbaty imbirowej. Mandy wciąż miała mokre włosy po prysznicu, była w arcykniepskim humorze.

– Wyczuwam mnóstwo bijącej od ciebie agresji... – zaczął Brendan; tym razem nie był to żaden wymysł, zważywszy na jej niezadowoloną, rozdrażnioną minę.

– Że co? – prychnęła Mandy.

Brendan skinął głową zmartwiony.

– Tak. Chciałabyś...?

– Do diabła, Brendan, niczego nie chcę. Oprócz tego, żeby się wreszcie dowiedzieć, co dalej. To znaczy, nie mogę bez końca siedzieć w tym paskudnym mieszkaniu i odpowiadać na twoje głupiaste pytania!

Brendan aż drgnął.

– Zauważam, że we mnie... – zaczął, lecz znów mu przerwała:

– Możesz mówić normalnie? To znaczy, jak zwyczajny człowiek?

– Czy przynosi ci ulgę atakowanie mnie w sposób, w jaki właśnie to robisz?

– Nie boisz się, że do reszty zgłupiejesz, jeśli będziesz bez przerwy gadał takie farmazony? – warknęła.

– Mandy...

– Nie mogę do końca życia tu siedzieć i z tobą rozmawiać! A ty powinieneś zacząć wreszcie myśleć o pracy!

– Rozmowy z tobą traktuję jako pewien rodzaj pracy – odparł Brendan. – Usiłuję...

– Mam na myśli *płatną* pracę! Jemy, pijemy, opłacasz czynsz. Dokąd to zmierza?

– Mam oszczędności.

– Ale kiedyś się skończą.

– To już mój problem.

– Muszę ruszać dalej – powiedziała Mandy i wyczerpana załapała się łzami.

Brendan poważnie skinął głową.

– Dokąd?

Oto pytanie. Minęły trzy tygodnie, odkąd w pośpiechu opuściła rodzinny dom. Wkrótce minie miesiąc. A zima nadciąga wielkimi krokami.

Czas wracać do domu?

– Nie mogę wrócić do domu – wyznała, szlochając. – Moja matka będzie miała ubaw. Cholerny ubaw. Powie, że jestem takim samym mięczakiem jak ojciec.

– Co czujesz na samą myśl, że powie coś takiego?

Rzadko kiedy miała taką ochotę kogoś spoliczkować, jak w tej chwili Brendana.

– Ból! – wrzasnęła. – Czuję ból, do cholery!

Zerwała się na równe nogi, przewracając przy tym dzbanek. Rozpadł się na tysiące kawałków. Herbata rozlała się po blacie, zaczęła skapywać na dywan.

Także Brendan zerwał się z miejsca.

– Mandy...

– Zostaw mnie w spokoju! Zostaw mnie wreszcie w spokoju! Właśnie ty, z tą swoją durną gadaniną! Jak mogłam być taka głupia, by wsiąść z tobą do samochodu?

Naraz jego twarz stężała.

– Nie miałaś wyboru – odparł. – Byłaś w żalonym stanie. I nie wiedziałaś, dokąd pójść.

– Tak jak ty. Ty też jesteś w żalonym stanie. Nawet pies z kulawą nogą się tobą nie interesuje. I to doprowadza cię do szału. Pisarz... twórcza przerwa... aż śmiech bierze! – Obrzuciła go gniewnym spojrzeniem. – Nikt nie chce czytać tego szajsu, który piszesz, i dobrze o tym wiesz... I dlatego tu siedzisz, i nic nie robisz. Potrzebujesz mnie, bo pomaga ci świadomość, że komuś wiedzie się jeszcze gorzej niż tobie, bo możesz wtedy poczuć swoją wyższość, bo sądzisz, że przez to odrobinę urosłeś. Ale wiesz, to kompletna pomyłka. Tkwię w tym gównie, ale nie czuję się tak paskudnie jak ty, co to, to nie. Mam jeszcze przed sobą całe życie i lepiej je rozegram od ciebie, nie będę siedzieć w takiej ruderze i naprzykrzać się innym.

Brendan wzdrygał się przy każdym jej słowie.

– Lepiej je rozegrasz? – powtórzył. – Chciałbym to zobaczyć. Rozegrasz tak, jak teraz to robisz? Uciekasz z domu, nie mając bladego pojęcia co dalej. Bez pieniędzy, z niczym. Bez znajomych, u których mogłabyś się schronić – poza tym ćpunem, do którego zwałaś się na tydzień, ale i tak cię wyrzucił, kiedy tylko pojawiła się inna. Zabawne, że nie ma nikogo, kto by cię przyjął z otwartymi ramionami. Żał mi cię, Mandy. Naprawdę.

– Dupek! Cholerny drań!

– No dalej. Najwyraźniej niewiele ci przychodzi do głowy, skoro potrafisz tylko rzucać dosadnymi przekleństwami.

– Odchodzę. Nie zostanę tu ani minuty dłużej.

– Proszę bardzo.

Przyglądała mu się przez chwilę, po czym pobiegła do łazienki, zatrzasnęła za sobą drzwi, przekręciła klucz w zamku.

Sama. Choć przez kilka minut.

W lustrze ujrzała pobladłą twarz z zaczerwienionymi oczami. Na wpół wysuszone włosy sterczały we wszystkie strony. Jej poranione ramię pulsowało.

Co teraz?

Nie chciała tu zostać, bo nie mogła dłużej znieść tego człowieka. Dopiero teraz zrozumiała, jak zaborczo zachowywał się przez cały czas. Pod płaszczkiem zainteresowania i troski zakradł się do najtajniejszych zakamarków jej duszy i pomocnymi z pozoru pytaniami utwierdził w niej tylko poczucie niedoskonałości i bezradności. Coraz bardziej je pogłębiał, zamiast je zredukować do tego, czym w istocie było: oto dziewczyna w trudnym wieku, z trudnej rodziny znalazła się w trudnej sytuacji.

W niezwykle trudnej sytuacji.

– Powinnam odejść dopiero wtedy, gdy się zastanowię dokąd – powiedziała do swego odbicia w lustrze, usiłując się uśmiechnąć. Uśmiech kompletnie się nie udał.

Ostrożnie otworzyła drzwi. Skoro nie mogła zniknąć natychmiast, należało pójść na pewne ustępstwa. Nieważne, jak bardzo będzie musiała zacisnąć zęby. Z pewnością zdoła go przekonać. Bał się samotności równie mocno, jak ona niepewności, co ją czeka tam, na zewnątrz, w przenikliwym chłodzie.

Usłyszała jego głos. Wciąż siedział w pokoju dziennym. Mówił szeptem.

– Tak, przecież mówię. Jest tutaj. Tak. Teraz? Dobrze.

Zamarła.

Z kim on rozmawia?

Mówił przez telefon. Nie słyszała dzwonka, więc to on musiał do kogoś zadzwonić.

Policja. Nie sposób inaczej zinterpretować jego słów *Jest tutaj* oraz upewniającego pytania *Teraz?* Ten przekłety typ zadzwonił na policję i zgłosił, że w jego mieszkaniu przebywa nieletnia uciekinierka. Tylko dlatego, że był na nią wściekły. Że nie chciała uczestniczyć w jego głupawych psychologicznych gierkach. I że mu to powiedziała... no cóż, w dość dosadny sposób.

Mandy stała przez chwilę w milczącym bezruchu, zastanawiając się, co począć. Musiała uciekać, czym prędzej, policja zaraz się tu zjawi. Znacznie gorsza od dobrowolnego powrotu do domu była myśl, że mogłaby ją tam odprowadzić policja. W eskorcie Carol, opieki społecznej, całego tego teatru...

Jej plecak znajdował się w sypialni Brendana, gdyż na czas pobytu w jego mieszkaniu wspaniałomyślnie oddał jej do dyspozycji własne łóżko. By się tam dostać, musiałaby przejść obok pokoju dziennego. Wykluczone, przebywał tam Brendan. Nie miała wątpliwości, że spróbuje zatrzymać ją siłą, chciał się popisać przed policją i gotów był zrobić wszystko.

Oblał ją pot. W plecaku trzymała cały swój skromny dobytek. Kuchenkę spirytusową i ostatnią konserwę. Zabraną z domu bieliznę, sweter na zmianę. Rajstopy. Pieniądze i legitymację. Przynajmniej te dziesięć funtów skradzione Brendanowi miała w kieszeni dzinsów. I zapalki. Kurtka wisiała w garderobie tuż przy drzwiach wejściowych do mieszkania. Komórka właśnie się ładowała, podłączona do gniazdka w sypialni. Będzie musiała uciekać niemal z pustymi rękami – gorzej wyposażona niż dotychczas.

Trudno. Nie miała wyboru.

Na palcach przemknęła przez mały przedpokój. Na szczęście mieszkanie było nieduże. Nasłuchiwała odgłosów z pokoju dziennego, zapadła tam cisza. Brendan skończył rozmawiać. Prawdopodobnie stał przy oknie i wypatrywał policyjnego radiowozu. Pewnie dostrzeże ją na ulicy, lecz zanim zbiegnie po klatce schodowej, ona zniknie już za najbliższym rogiem. Mandy wiedziała, że jest szybka. Mała i zwinna. Potrafiła się ukrywać i przemykać w miejscach, które dla innych stanowiły przeszkodę nie do pokonania.

Zdjęła z wieszaka kurtkę, włożyła stojące pod ścianą tenisówki. Wstrzymując oddech, uchyliła drzwi. Bezgłośnie zamknęła je za sobą. Zamek zaskoczył z ledwie słyszalnym kliknięciem. Znalazła się na zewnątrz. Zbiegła po schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz. Zauważyła, że drzwi mieszkania piętro niżej uchyliły się, wcale się tym jednak nie przejęła. Wybiegła na ulicę. Wzdrygnęła się z powodu przenikliwej wilgoci.

Nawet nie obejrzała się za siebie. Pognała dalej, znikając za rogiem w gąszczu pobliskich uliczek. Policja zapewne przeszuka okolicę.

Pilnie potrzebowała schronienia.

Od tamtego *zdarzenia* Deborah płakała niemal bez przerwy. Zniknięcie córki świadomie określała tym mianem, podczas gdy Jason mówił o *uprowadzeniu* lub *porwaniu*. Nie potrafiła wymówić tych słów, bo natychmiast zalewała się łzami. A przecież musiała jakoś się bronić przed ustawicznymi atakami szloch. Miała nabrzmiałe oczy i zaczerwienioną od soli twarz.

Amelie nie chodziła do szkoły, całe dni spędzała w swoim pokoju. Mówiła tylko to, co niezbędne. Codziennie odwiedzała ją policyjna psycholożka, miała jej pomóc w przezwyciężeniu traumy, a zarazem pozyskać dalsze informacje. W jej obecności Amelie zazwyczaj jednak milczała. Wyjawiała jedynie parę dodatkowych szczegółów dotyczących porwania: na Burniston Road zatrzymał się obok niej samochód, kierowca zapytał ją o drogę do miejsca przy jakiejś ulicy, nie mogła mu pomóc, gdyż nie знаła tego adresu. Następnie poprosił ją, by obejrzała na ekranie nawigacji niejasny dla niego obraz, może zdoła się zorientować, w którym kierunku powinien się udać. Nachyliła się nad siedzeniem pasażera. Chwilę potem poczuła ostrą woń i... straciła przytomność.

– Chloroform – powiedział nadkomisarz Hale do Deborah i Jasona. – Prawdopodobnie przyłożył jej do twarzy chusteczkę nasączoną chloroformem, po czym błyskawicznie wciągnął do wnętrza pojazdu. Z niemal całkowitą pewnością możemy założyć, że Amelie była przypadkową ofiarą. Jeździł po okolicy, rozglądał się. Za dziewczyną, za dogodną okazją. Chloroformu nie wozi się stale z sobą, bez wątplenia wyruszył na łowy. Zobaczył Amelie idącą ulicą, w pobliżu nie było akurat żadnych innych pojazdów. Nikogo przed nim, nikogo za plecami. Wykorzystał nadarzającą się okazję. To był zwyczajny... pech. W niewłaściwym czasie znalazła się w niewłaściwym miejscu.

Słyszając te słowa, Deborah ponownie się rozplakała.

Ulica, o którą wypytywał nieznajomy, nie istniała. Ani w Scarborough, ani w bliższej czy dalszej okolicy. Zapytana o samochód, Amelie potrafiła określić jedynie jego kolor: ciemny. Czarny albo bardzo ciemny granat. Z kolei na pytanie, co stało się później – „Gdzie byłaś, kiedy się ocknęłaś, Amelie? I co nastąpiło potem?” – odwróciła tylko głowę i zacisnęła usta.

Jason wrócił tymczasem do pracy w przychodni. Deborah została z Amelie sama. Wciąż zachodziła do niej na piętro, wciąż napotykała szorstki opór. Pytała córkę, czy nie chciałyby wyjść na spacer. Albo napić się herbaty. Co chciałyby zjeść na obiad. Czy nie obejrzałyby razem jakiegoś filmu. Za każdym razem padała ta sama odpowiedź:

Nie. Zostaw mnie w spokoju.

Deborah wracała wtedy na dół i zalewała się łzami.

Już przed *zdarzeniem* stosunki łączące ją z Amelie były kiepskie. Ba, znacznie gorsze. Naznaczone przez agresję, małomówność, niezrozumienie. Po stronie Amelie. Deborah nie czuła wobec córki gniewu, starała się też okazywać wyrozumiałość. I nieustannie próbowała nawiązać rozmowę. Daremnie. Wielokrotnie dopytywała się:

– Ale dlaczego, Amelie? Co ci się nie podoba? Co ci zrobiłam?

– Nie mam pojęcia – słyszała zawsze w odpowiedzi.

Tylko nie dzisiaj.

Deborah wyjrzała przez okno w pokoju dziennym. Przed podjazdem stał zaparkowany samochód z dwójką policjantów. Jakże monotonne i beznadziejne musiało być to wyczekiwanie godzina za godziną, obserwowanie domu, w którym nic się nie dzieje. Deborah wcale nie pragnęła, by coś się wydarzyło. Na litość boską, nie. Czuła wdzięczność za obecność tych dwojga funkcjonariuszy, mężczyzny i kobiety. A jednak było jej ich żal. W samochodzie pewnie jest zimno. Mieli na sobie ciepłe kurtki, a mimo to zdawali się marznąć. Deborah wielokrotnie ponawiała zaproszenie, by schronili się w domu, za każdym razem odmawiali. Prawdopodobnie nie wolno im było tego robić.

Odwróciła się od okna, rękawem swetra przetarła wilgotną od łez twarz.

Amelie dała jej dziś inną odpowiedź. Nie tę zwyczajową: *Nie mam pojęcia*.

Dziś niespodziewanie spojrzała na matkę z wyrazem lodowatej pogardy i powiedziała:

– Pytasz czemu? Bo niczego tak się nie boję jak tego, że kiedyś mogłabym stać się taka jak ty. Że moje życie mogłoby przypominać twoje. Oto dlaczego. Muszę się pilnować.

– Pilnować? – powtórzyła odruchowo Deborah, ogłuszona przez strach.

– Tak, muszę się pilnować. Żeby nie stać się taka jak ty.

– Ale dlaczego? Co we mnie...?

Amelie odwróciła się na bok.

– Zostaw mnie. Daj mi spokój.

Deborah zdołała wyjść z pokoju, nim znów zalała się łzami. W poradnikach wyczytała, że najbardziej boli krytyka, którą ofiara nieświadomie bądź zupełnie świadomie podziela. Ataku można natomiast uniknąć, uznając go za całkowicie absurdalny.

– Bzdura – odparł Jason, gdy Deborah poruszyła ów temat w rozmowie. – To właśnie całkowicie nieuzasadniona, naciągana krytyka irytuje najbardziej. Bo jest bezpodstawna, a mimo to ktoś jest na tyle bezmyślny albo ograniczony, by ją wypowiadać. Mnie to szczególnie złości. Z kolei jeśli w tym, co mi się zarzuca, tkwi ziarno prawdy, wówczas myślę sobie: No cóż, może jest w tym trochę racji.

W tej akurat kwestii najwyraźniej się różnili. Słowa Amelie zabolowały ją dlatego, że dotknęły ropiejącej rany. Sama nieustannie, każdego dnia podawała w wątpliwość własne życie oraz to, co z niego uczyniła. Jakże często towarzyszyła jej myśl: Zmarnowałam je. W którymś momencie obrałam niewłaściwy kierunek. Zrobiłam coś, czego nie powinnam była robić. Albo nie zrobiłam tego, co powinnam. Powzięłam złą decyzję. Z czystego wygodnictwa. Ze strachu. Przez tchórzostwo. Przez niezdecydowanie. Ludzie mojego pokroju nie wykorzystują nadarzających się okazji. Trzymają się raz obranego kursu, nawet kiedy woda jest zimna i mętna. I dryfują tam, dokąd wcale nie chcą.

Stała przed lustrem wiszącym obok zwieńczonego łukiem przejścia z pokoju dziennego do jadalni. Spojrzała na swoje odbicie, na zapłakaną twarz, posklejane kosmyki włosów. Dawno już powinna pójść do fryzjera. Nie może aż tak zaniedbywać swojego wyglądu.

Ktoś zadzwonił do drzwi.

Pewnie policjantka. Czasem prosiła, czy może skorzystać z toalety. Jej kolega chyba załatwiał się na łące za domem.

Deborah przetarła oczy, czym pogorszyła tylko sprawę. No cóż, nieważne, policjantka i tak zawsze widywała ją zapłakaną.

Podeszła do drzwi, otworzyła je. W progu zobaczyła Alexa Barnesę. W ręce trzymał torbę podróżną.

– Dzień dobry – przywitał się.

Podszedł do nich czatujący dotąd w samochodzie policjant.

– Panie Barnes. Chciał pan odwiedzić panią Goldsby?

Alex sprawiał wrażenie zdezorientowanego.

– Ja... no więc, to znaczy...

– W porządku – powiedziała spiesznie Deborah. Chwyliła Alexa za rękę i wciągnęła go do domu. – Alex Barnes może nas odwiedzać o każdej porze.

– Mam jednak polecenie... – zaczął policjant.

Uśmiechnęła się do niego nieznacznie, po czym zamknęła drzwi. On nie wie, jak to

jest. Nie wie, jak bardzo jest samotna. Wreszcie zjawił się człowiek, z którym może porozmawiać. Nie pozwoli, by jakieś *polecenie* jej w tym przeszkodziło.

– Jak to: zamieszka u nas? – zapytał Jason stłumionym głosem.

Deborah podniosła się z miejsca, zamknęła drzwi do pokoju dziennego. Czekwała na Jasona, gdy tymczasem Alex ukrył się w jednym z pokoi gościnnych.

– Na pewien czas. Wymówiono mu mieszkanie.

– Nie można ot tak wyrzucić kogoś z mieszkania!

– Chyba od dawna nie płacił czynszu, wypowiedzenie dostał już jakiś czas temu. Teraz go eksmitowano.

Jason westchnął.

– Nie mogłam odprawić go z kwitkiem – powiedziała Deborah. – Uratował naszemu dziecku życie.

Jason ponownie westchnął. Był zmęczony, pracował przez cały dzień, a wieczorem musiał jeszcze wziąć udział w przyjęciu pożegnalnym odchodzącego kolegi. Miał nadzieję, że w domu nie czekają na niego żadne problemy – a przynajmniej żadne nowe, prócz tych już istniejących: pogrążona w traumie córka, nieustannie zapłakana żona, czatująca przed drzwiami policja. Tymczasem dowiaduje się, że do ich domu wprowadził się Alex Barnes, a policjantka pilnuje drzwi pokoju Amelie, gdyż Barnes nie powinien tu przebywać.

– Czemu komisarz Hale ostatecznie na to przystał?

– Bo się uparłam – wyjaśniła Deborah. – To znaczy... niby co miał począć? Zawdzięczamy temu człowiekowi życie Amelie. Teraz to on znalazł się w potrzebie. Miałam mu powiedzieć, że nie ma tu dla niego miejsca?

– Policja nadal nie skreśliła go z listy podejrzanych.

– Jason, proszę cię! Amelie jasno powiedziała, że nigdy wcześniej nie widziała go na oczy. W ogóle nie przypomina człowieka z portretu pamięciowego. Nawet komisarz Hale uznał, że prawdopodobieństwo jest znikome, w przeciwnym razie nie pozwoliłby mu tu przenocować.

– Dla bezpieczeństwa przydzielili nam jednak policjantkę.

– I co z tego? I tak nie zwracamy na nią uwagi. Bądź co bądź prowadzimy pensjonat, mamy dość pokoi.

– Niestety – przyznał Jason.

Wciąż ta sama śpiewka. Patrzyli na siebie bezsilni, zdecydowani nie wszczynać

klótni, a jednak świadomi, że stąpają po kruchym lodzie.

– Co masz mu do zarzucenia?

– Nic. Jestem mu bardzo wdzięczny. Nie uważam jednak, że powinien tu mieszkać.

– Nazajutrz po uratowaniu Amelie sam mu powiedziałeś, że zawsze będzie tu mile widziany.

– Tak, zgadza się. Tak właśnie myślałem. Ale oczywiście sądziłem, że nas... odwiedzi. Zaprosimy go kiedyś na obiad... latem na grilla albo na kieliszek wina na Boże Narodzenie. Tego typu okazje. Nie przypuszczałem, że się do nas wprowadzi.

– Jutro i tak musimy znaleźć inne rozwiązanie – oznajmiła Deborah. – Hale nie chce, żeby został tu na dłużej.

– Też tak uważam...

– Musimy mu pomóc. Nie możemy zostawić go na lodzie.

– W jaki sposób chcesz mu pomóc?

– Trzeba dać mu pieniądze. Żeby mógł wynająć jakieś mieszkanie.

– Dobry Boże! – Jason wstał, wyjął z szafki szklanek oraz opróżnioną do połowy butelkę whisky. Potrzebował wzmocnienia. – Pieniądze? Deborah, sami ledwie dajemy radę!

– Uważam, że nie jest aż tak źle.

– Owszem, ale raty kredytu są już wystarczającym obciążeniem. Jak na jedną pensję...

– Jak to: jedną pensję? W końcu ja także zarabiam.

Jason wychylił szklaneczkę.

– Ty? Przepraszam bardzo, ale tych twoich znikomych dochodów, jakie osiągasz w trakcie letnich miesięcy, nie sposób nazwać *pensją*!

– W takim razie jak?

– Jeszcze nie spłaciliśmy przebudowy, której musieliśmy dokonać, żebyś przynajmniej miała to swoje hobby! – Zachowywał się okropnie, wiedział o tym. Ale czuł się taki zmęczony. I miał wszystkiego dość.

Jej wargi znów zaczęły drżeć. Zastanawiał się, czy w najbliższej przyszłości doczeka wreszcie dnia, w którym nie będzie płakała.

– Hobby? *Hobby*?

– Wybacz, ale niewiele z tego mamy. Nie sprawia ci to pełnej satysfakcji, oznacza natomiast, że każdego lata po naszym domu wałęsają się zupełnie obcy ludzie,

ograbiając nas zupełnie z wszelkiej prywatności. A dochody...

– Zdołałam co nieco odłożyć.

– Tak, ale musimy spłacać kredyt, który wzięliśmy na przebudowę. To żaden zysk!

– Ach tak. Według ciebie zawód służy wyłącznie do maksymalizacji zysku? A jeśli coś sprawia człowiekowi radość i...

– Przykro mi – przerwał jej chłodnym tonem – jeśli niszcę twoje romantyczne wyobrażenia, ale w naszej sytuacji, z mnóstwem długów na karku, pieniądze zarabiane wykonywaniem pracy odgrywają jednak pewną rolę. Niezależnie od tego nie wydaje mi się też, by ten twój tak zwany zawód dawał ci szczególną satysfakcję. Ja w każdym razie nie odnoszę wrażenia, byś była szczęśliwa!

– A niby jaka jestem?

– Spójrz na siebie! Wyglądasz na niezadowoloną, a teraz nawet na rozgoryczoną. Bierzesz antydepresanty; nie dam głowy, że nie widziałem w szafce łazienkowej pudełka po lekach. Już nie wiesz, co to znaczy się uśmiechać. Śmiać się. Nieustannie zalewasz się łzami.

– To chyba nic dziwnego po tym wszystkim, co...

– Przed uprowadzeniem było tak samo. Dobrze o tym wiesz. Historia z Amelie z pewnością wszystko wyostrzyła, ale przedtem wcale nie było lepiej.

Deborah poczuła narastający ból głowy. Kłujący, pulsujący ból.

– Tylko dlatego, że Alex Barnes spędzi tu jedną noc, ty musisz...

– To nie ma nic do rzeczy.

– Ale od tego się zaczęło.

Tak. Od tego się zaczęło. Jason zastanawiał się, czy jego durny osąd w tej kwestii był rzeczywiście uzasadniony. Może to zwyczajna irytacja – z powodu podejmowania gości, poczucia braku prawdziwego domu, który należałby wyłącznie do niego. To oczywiste, że musieli okazywać Barnesowi wdzięczność. Temu bezrobotnemu mężczyźnie nie pierwszej młodości, który pracując dorywczo, oszukiwał opiekę społeczną. A może to czysta hipokryzja? Może dziś wszyscy tak postępują, on zaś przypadek Barnes'a niepotrzebnie tylko wyolbrzymia?

– Powinniśmy po prostu być nieco bardziej ostrożni. – Starał się mówić wyważonym, spokojniejszym tonem. – Naturalnie, że zawsze będziemy Alexowi Barnesowi wdzięczni. Ale... znalazł się w sytuacji życiowej, która może stać się problemem.

– Bo potrzebuje naszej pomocy?

– Bo nie wiemy, ile pomocy ostatecznie będzie potrzebował i czy kiedykolwiek stanie

na własnych nogach. – Jason zniżył głos. Nigdy nie wiadomo, czy Barnes akurat nie przemyka gdzieś po schodach. – Deborah, nie chcę go oczerniać, ale...

– Ale robisz to przez cały czas.

– Przytaczam tylko fakty. Nie ma stałej posady. Pracę w pizzerii także stracił.

– Przez to, że uratował naszą córkę i policja zażądała od niego złożenia wyjaśnień.

– Owszem. Tak bywa. A teraz wymówiono mu także mieszkanie. Jeśli dobrze zrozumiałem te jego nieco pogmatwane tłumaczenia, nie posiada żadnego wykształcenia zawodowego. Zaczynał to i owo, niczego jednak nie skończył. Jest po trzydziestce i niczym nie może się wykazać, a to oznacza, że niełatwo mu będzie dostać jakąkolwiek pracę. Znalazł się w niewesołym położeniu. Została mu tylko jedna szansa.

– Jaka?

– My – odparł Jason. – To my jesteśmy jego jedyną szansą. Niczym prawdziwa wygrana na loterii.

– Jak to?

– Pomyśl tylko. Nie ma pracy, żyje z mizernej pomocy społecznej. Od dawna nie płacił czynszu, teraz znalazł się na ulicy. Wyobrażam sobie jego desperację, kiedy myśli o swojej przyszłości. I wtedy na scenie pojawia się my. Nie należymy do krezusów, ale w jego oczach jesteśmy nadzwyczaj dobrze sytuowani i zamożni. Uratował naszej córce życie, winni mu jesteśmy wdzięczność po wsze czasy. Z pewnością bierze nas za ludzi, którzy nigdy czegoś takiego nie zapomną, zawsze świadomi swojego zobowiązania – całkiem słusznie. No i proszę... już znalazł nowe lokum.

– Wcale nie. Tylko dzisiaj...

– Sama przecież mówiłaś, że trzeba go wspierać. Pomóc mu znaleźć nowe mieszkanie. Dać mu pieniądze. Deborah, kieruje tobą życzliwość, ale jak długo chcesz mu pomagać? Przez najbliższe miesiące? Lata? Dziesięciolecia?

– On nas nie wykorzysta.

– Znasz go na tyle dobrze, by stwierdzić to z całą pewnością? – zapytał Jason.

Deborah umilkła.

– Po wszystkim, co dla nas zrobił – odezwała się w końcu – nie możemy powiedzieć, że jego przyszłość nic a nic nas nie obchodzi. Gdybyśmy byli bogaci, otrzymaliby sowitą nagrodę. Ale nawet teraz... Nie możemy się do niego odwrócić plecami i zostawić go własnemu losowi.

– Ja także jestem mu wdzięczny. Wyciągnął Amelie z wody. Dokonał wspaniałego czynu. Ale, szczerze mówiąc, potrafisz sobie wyobrazić kogokolwiek, kto w tej sytuacji

nie udzieliłby jej pomocy? Kto przyglądałby się jej desperackiej walce o życie i poszedłby dalej, myśląc sobie, a co tam, to nie moja sprawa? Nie zamierzam umniejszać zasług Alexa Barnes, ale z drugiej strony to, co zrobił, jest chyba oczywiste.

– Mówiąc tak, właśnie je deprecjonujesz.

– Nie. Po prostu nie widzę w nim świętego.

Odwróciła się.

– Mimo to mu pomogę. Z własnych pieniędzy.

– Aha. A mnie łaskawie pozwolisz przejąć spłatę kredytu za przebudowę?

Wzruszyła ramionami.

– Idziesz na łatwiznę – powiedział Jason.

– Ty także – odparła.

Grzmotnął szklanką i butelką o blat stołu, po czym wyszedł z pokoju.

Na dziś miał dość.

Środa, pierwszy listopada

1

Funkcjonariuszka nazywała się Helen Bennett, była psycholożką. Amelie uznała, że jest miła. Helen zaproponowała, by mówiły sobie po imieniu, i wcale nie chwaliła się swoim stopniem służbowym, wręcz przeciwnie, nawet o nim nie wspomniała. Zjawiała się codziennie, siadała w pokoju Amelie, popijała zaparzoną przez Deborah herbatę i paplała niby sympatyczna koleżanka, wypytując o zwyczajne zdarzenia dnia powszedniego. W końcu jednak zawsze kierowała rozmowę na sprawę uprowadzenia.

Za każdym razem był to moment, w którym Amelie zamykała się w sobie.

Dziś Helen nie piła herbaty. Deborah jej nie podała. O dziwo, w ogóle jej nie było. Od powrotu Amelie nie ruszała się z domu ani na krok, pilnowała go jak cerber i wciąż zachodziła na piętro. Ustawicznymi pytaniami tylko irytowała Amelie. Czy nie chce herbaty? Może kakao? Kawalek ciasta? Czy chciałaby wyjść na spacer? Albo zagrać w karty? Czy, czy, czy... Amelie reagowała z coraz bardziej szorstką obojętnością. Zdawała sobie sprawę, że jej oschłe odpowiedzi sprawiają matce przykrość, lecz nie potrafiła jej znieść.

A teraz nagle zniknęła. Dziwne. Nieco podejrzane. Przynajmniej dla Helen. Zawsze cieszyła się z podanej herbaty, dosypując do kubka sporo cukru.

– Bardzo lubię pić słodką – powtarzała wtedy zawsze.

Było to zresztą po niej widać.

„Dziesięć kilogramów mniej dobrze by jej zrobiło – pomyślała Amelie. – Byłaby wówczas całkiem atrakcyjna”.

– Twoja matka właśnie wychodziła – oznajmiła Helen. – Dokąd poszła?

Amelie wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia. Może na zakupy?

Helen skinęła głową. Przysunęła sobie stojące przy biurku krzesło, usiadła. Amelie przykucnęła na ławie pod oknem w ścianie szczytowej. Podkurczyła nogi i oplotła je ramionami. W takiej pozycji trwała przez większość czasu. Na ławie pod oknem. Całymi godzinami, niemal bez ruchu. Podnosząc głowę, mogła wyjrzeć na zewnątrz,

widziała jednak tylko skrawek nieba. Morze gęsto skłębionych, ciemnoszarych obłoków. I ani jednego słonecznego promienia, od wielu już dni.

Helen przez jakiś czas marudziła o okropnej aurze, o tym, z jakim trudem przychodzi jej wstać rano z łóżka. Czasem bawiła się pierścionkami na swoich palcach. Zazwyczaj trzymała w dłoniach kubek z herbatą, co wyraźnie ją uspokajało. Po raz pierwszy Amelie zauważyła, że Helen jest kłębkim nerwów.

Jak wiele mógł zmienić brakujący kubek herbaty. Drobnny szczegół może mieć ogromne znaczenie.

– Każdy szczegół może mieć znaczenie – oznajmiła właśnie Helen. – Wszystko, co tylko pamiętasz. Nawet to, co wydaje ci się nieistotne.

Amelie jak zwykle nie odpowiedziała. Uznała to zresztą za całkiem przyjemne. Przeżywała traumę, a to oznaczało, że zwyczajne reguły jej nie obowiązują. Mogła być nieuprzejma, całymi godzinami nie odpowiadając na pytania, i nikt nie brał jej tego za złe. Wszyscy byli zatroskani i mili.

Nawet ta biedna Helen wiercąca się na krześle, nie wiedząc, co począć z rękami.

Dziwne, że matki nie było w domu.

– To dziwne, że matka wyszła – przyznała.

Zdanie to ucieszyło Helen. Amelie przynajmniej coś powiedziała, jeśli nawet nic istotnego dla sprawy.

– Z pewnością niedługo wróci.

– Czy Alex nadal tu jest?

– Alex? – zapytała Helen.

– Alex Barnes. Człowiek, który mnie uratował. Wprowadził się do nas w poniedziałek.

– Ach tak? – Helen sprawiała wrażenie zaskoczonej. – Czy nadkomisarz Hale o tym wie?

– Tak. Nie był tym zachwycony. To dlatego pan Barnes miał tu spędzić tylko jedną noc. Tymczasem minęły już dwie.

– Rozmawiałaś z nim?

– Nie.

– Co czujesz, kiedy o nim myślisz?

– Niby co miałabym czuć?

– Uratował ci życie.

– Nie chcę o tym myśleć. – Przelewające się fale. Uczucie zbliżającego się końca. Obolałe dłonie...

Cicho jęknęła.

– Amelie? – zapytała zaniepokojona Helen.

– Po prostu nie chcę o tym myśleć. Nie chcę. To było straszne. Tamten wieczór był straszny. Ta okropna woda. Była taka zimna. I tak potwornie bolały mnie ręce. Okropnie się bałam. Myślałam, że umrę.

– Wiem, Amelie. Wiem.

– Skoczyłam – ciągnęła Amelie. – Sama skoczyłam. Nie wiedziałam, co robić. Myślałam, że mnie złapie. Myślałam, że depcze mi po piętach. Nie miałam już siły biec dalej, wiedziałam, że zaraz mnie dopadnie. Lada chwila.

– Kto, Amelie? Kto cię ścigał?

– Mężczyzna z samochodu.

– Ten sam, który wciągnął cię do auta?

Amelie potrząsnęła głową.

– Ten drugi.

Helen się pochyliła. Przestała zaciskać palce.

– Był tam drugi mężczyzna?

Amelie się rozplakała.

– W samochodzie.

– Drugi mężczyzna także miał samochód?

– Samochód, którym uciekłam. Schowałam się w nim. Tak uciekłam. – Ukryła twarz w dłoniach. Zalała się rzęśnistymi łzami. – Schowałam się w tym samochodzie. Uciekłam, gdy się zatrzymał. A potem biegłam i biegłam... ratując życie. Moje cholerne życie.

Właściciel mieszkania nie był zachwycony na widok Alexa Barnes'a, Deborah od razu to zauważyła. Alex wyglądał niechlujnie – znoszone dzinsy, niezbyt czysty sweter, rozczłapane tenisówki. Zbyt długie włosy. I oczywiście fakt, że nie posiadał umowy o pracę ani wyciągu z konta bankowego, który poświadczałby regularne dochody. Nie

był najemcą, jakiego właściciel by sobie życzył. Nawet w przypadku tak nędznego lokum. Było małe i ciemne.

– Nie – oświadczył. – Nie, nie. To nie wchodzi w rachubę. Pewnie nigdy nie zobaczę ani grosza. Przykro mi. Na to nie mogę przystać.

Znów znaleźli się na ulicy. Właściciel spieszenie się oddalił, mrużąc coś pod nosem. Był wyraźnie wzburzony.

Deborah i Alex poszukali najbliższej kawiarni, zamówili kawę. Deborah, widząc w oczach Alexa niepewność, oznajmiła, że zapłaci rachunek.

– Nie mogę się na to zgodzić – powiedział żalonym głosem.

– Ależ oczywiście, że pan może – zaproponowała Deborah. – Filiżanka kawy to naprawdę drobiazg, jaki możemy...

– Z powodu Amelie? Proszę! Zrobiłem to, co zrobiłby każdy, gdyby akurat tamtędy przechodził.

Dokładnie to samo powiedział Jason. W oczach Deborah słowa te wcale nie umniejszały wagi czynu Alexa, lecz rozumiała, co Jason miał na myśli.

– Mimo wszystko. Uratował pan Amelie. Bez pańskiej odwagi nasze życie ległoby w gruzach. Alex, nigdy panu tego nie zapomnimy.

– Dla policji nadal nie jestem całkiem czysty.

– Policja zawsze podejrzewa każdego, kto w jakikolwiek sposób miał kontakt z ofiarą – wyjaśniła Deborah. Bądź co bądź tak właśnie powiedziała Kate, a ona z pewnością zna się na rzeczy. – Z początku podejrzewali nawet mnie i Jasona. Jasona w szczególności, bo nie miał alibi. To mi dopiero zasady: oto ojciec musi przedstawić alibi, ponieważ zaginęła jego własna córka!

– Nierzadko się zdarza, że rodzice krzywdzą swoje dzieci – odparł Alex. Zamieszał w filiżance z kawą, podniósł do ust łyżeczkę pełną mlecznej pianki. – To jednak w państwa przypadku zostało wyjaśnione. Amelie rozpoznałaby własnego ojca, zupełnie inaczej opisała wygląd sprawcy.

– Rozpoznałaby również pana. Uważam, że nieufność komisarza Hale'a jest trochę niestosowna – uznała Deborah.

Alex wzruszył ramionami.

– Nieważne. Wiem, że nie mam z tym nic wspólnego, i dlatego zachowuję względny spokój. Przynajmniej w tej sprawie – dodał.

Wiedziała, co ma na myśli.

– Musi pan znaleźć sobie nowe mieszkanie.

Skinął ponuro głową.

– To moja wina. Wypowiedzenie nadeszło kilka miesięcy temu. Już dawno powinienem był się tym zająć. A teraz wylądowałem na ulicy.

– Wciąż ma pan nas.

– Hale po raz kolejny przymknął na to oko. Na następną noc muszę znaleźć coś innego.

– W razie konieczności wynajmiemy pokój w hotelu.

– My?

Deborah zrozumiała, że jej uwaga zabrzmiała nieco dziwnie.

– To znaczy, pan się tam wprowadzi, a ja zapłacę.

– Na to nie mogę...

– Ależ może pan, Alex. Chciałabym to dla pana zrobić. Proszę pozwolić mi okazać wdzięczność.

– Wyglądam na jakiegoś darmozjada.

– Nie. To nieprawda. Oczywiście, że nie.

Deborah miała świadomość, że Jason widzi to całkiem inaczej. Wyobrażała sobie, jak zareaguje, kiedy się dowie, że Alex spędzi kolejne dni w hotelu – na ich koszt. Nieważne. To jej decyzja, a także jej pieniądze.

Mimo to czym prędzej muszą znaleźć jakieś lokum.

– Sprawę mieszkania rozwiążemy inaczej – oznajmiła. – To ja podam się za lokatora. Podpiszę umowę najmu. Nikt nie będzie mi robił trudności.

Odstawił filiżankę i się uśmiechnął.

– Ponieważ jest pani wiarygodna! W odróżnieniu ode mnie.

Słowo *wiarygodna* zabrzmiało w jego ustach niczym gorzka drwina, zaogniło jątrzącą się ranę.

– Może sprawiaam wrażenie wiarygodnej – odparła Deborah – lecz w głębi serca... – Nie potrafiła dokończyć. Wyciągnął rękę, położył na chwilę na jej dłoni.

– Nie chciałem pani urazić. Powiedziałem to ironicznie, lecz ironia nie miała się odnosić do pani. Raczej do otoczenia, które w ocenie danej osoby zawsze ogranicza się do zewnętrznej powłoki. Wiarygodna wydaje się pani sytuacja życiowa. Zameżna. Córka. Ładny dom. Dość pieniędzy. Oto, co widać z zewnątrz. I większość tym się zadowala.

– Pan nie?

– Uważam, że to ciekawe poznawać, jacy naprawdę są ludzie. Co kryje się za fasadą, którą pokazują światu. Nie żebym zawsze docierał do prawdy. Nie żebym nigdy się nie mylił w mojej ocenie. Oczywiście, że nie. Ale przynajmniej staram się zajrzeć za tę fasadę.

Musiała o to zapytać.

– A co dostrzega pan za moją?

Zmierzył ją wzrokiem, jakby dosłownie usiłował przeniknąć przez jej skórę i liczne warstwy tkanki, by zajrzeć do wnętrza.

– Nie jest pani zbyt szczęśliwa, prawda? Zadowolona ze swojego życia?

Łzy natychmiast napłynęły jej do oczu. Do diabła. Z całych sił próbowała je powstrzymać. Wystarczyło, że ktoś wspomniał o jej nieszczęśliwym życiu, do tego tonem współczucia, a już zaczyna beczeć, i to w kawiarni w samym środku miasta.

– No cóż... – przyznała niejasno.

– Szczerze mówiąc, dotyczy to większości ludzi – stwierdził Alex. – Wszyscy jesteśmy nieszczęśliwi i niezadowoleni z naszego życia.

– To prawda. – Nie pomogło, musiała przetrzeć twarz. Kilka łez spłynęło jej po policzkach. – Na litość boską, to nie powód do płaczu. Aż tak nieszczęśliwa nie jestem. To tylko...

– Co?

– Amelie mnie nienawidzi... i nie wiem dlaczego. Jason wciąż się z mojego powodu irytuje. A ten mój *pensjonat* to idiotyczny pomysł, który nie daje mi satysfakcji. To tak w skrócie.

– Męża i córki nie zmieni pani z dnia na dzień. Ale może zawód?

Poczuła narastający ból głowy.

Będziesz biadolić, ale rady nie postuchasz, często powtarzał jej Jason.

Ponieważ ludzie udzielający rad nierzadko są natarczywi. Upierają się przy zmianach. Wywierają presję. *Co takiego? Nic jeszcze nie zrobiłaś ze sobą i własnym życiem? Przecież dokładnie ci mówiliśmy, jak powinnaś postąpić. Zrób to wreszcie!*

– Nie chcę... Tak naprawdę nie chcę zarzucać tego projektu. Wyszłabym wówczas na... – Nie potrafiła mówić dalej.

– Nieudacznika – dokończył Alex.

– Ja... – Ukłucia wewnątrz głowy się nasiliły.

Zauważył to.

– Przepraszam. To panią stresuje. Wiem...

– Tak?

– Wiem, jak okropni są ludzie, którzy mówią innym, jak powinni postępować. Przecież z zewnątrz nie dostrzegają wszystkiego.

Jak na mężczyznę dysponuje nieprzeciętnie wysokim poziomem empatii i autorefleksji, uznała Deborah. Mimo to nie czuła się dobrze w jego obecności. Coś w nim wydało jej się... podejrzanym. Miała wrażenie, że choć odrzuca propozycje pomocy, tłumacząc, że to, co uczynił tamtej nocy, było ze wszech miar naturalne, to jednak bardzo liczy na jej wdzięczność. Nie był zupełnie szczery i to ją niepokoiło.

– Powinniśmy poszukać dla pana hotelu – zaproponowała. Jej głos znów zabrzmiał pewnie. – A jutro ponownie rozejrzemy się za mieszkaniem.

– Pani mąż nie będzie zachwycony, jeśli pokryje pani koszty mieszkania i hotelu. Choćby w części.

– Mój mąż również chciałby okazać panu wdzięczność.

Alex potrząsnął głową.

– Nie. Zauważyłem, że jego zdaniem posunąłem się za daleko, nocując u państwa w domu.

Miał rację, nawet nie próbowała zaprzeczyć. Położyła na stole kilka banknotów, wstała i sięgnęła po płaszcz.

– Chodźmy. I proszę się nie martwić. Na pewno nie spędzi pan tej nocy pod mostem.

Alex się uśmiechnął.

3

Wiadomość o drugim mężczyźnie stała się sensacją. Podobnie jak fakt, że nareszcie zyskali nowy punkt zaczepienia w sprawie ucieczki Amelie. Caleb Hale zauważył, że znów poczuł ekscytację. Wciąż mu tego brakowało. Dochodzenie nie posuwało się naprzód, w trakcie poszukiwań usiłowali wykorzystać ową garstkę posiadanych informacji, mając jednak świadomość, że pojedyncze drobne fragmenty z łatwością mogą poprowadzić ich w niewłaściwym kierunku. Ponieważ brakowało istotnych fragmentów. Tymczasem pojawił się nowy element układanki. I dwóch potencjalnych sprawców.

– Drugi mężczyzna oraz ucieczka samochodem – oznajmił Caleb. – To wiele zmienia.

Siedzieli w jego biurze. On, sierżant Robert Stewart oraz policyjna psycholożka, sierżant Helen Bennett. Helen była bohaterką dnia. Dzięki anielskiej cierpliwości, wytrwałości i uporowi wyciągnęła od Amelie nowe informacje. A to dawało nadzieję, że pozyska dalsze. Amelie, choć bardzo powoli, otwierała się przed nią.

Powoli, ale jednak.

– Oznacza to oczywiście, że możemy zapomnieć o poszukiwaniu domostwa sprawcy w niewielkiej odległości od miejsca, w którym uratowano Amelie – oznajmił Robert. – Amelie dotarła znacznie dalej. Prawdopodobnie w ogóle nie przebywała w Scarborough.

– To wyjaśnia, dlaczego jej rzeczy znaleziono tak daleko na wrzosowiskach – dodała Helen. – Zawsze nas to dziwiło.

– Przypuszczam jednak, że kryjówka sprawcy wcale nie znajduje się w pobliżu tamtego miejsca – zaznaczył Caleb. – Aż taki głupi niestety nie jest, żeby pozbywać się osobistych rzeczy ofiary w pobliżu miejsca zamieszkania.

– Ale tamtędy przejeżdżali – stwierdził Robert. – A to wskazuje nam kierunek.

– Niestety, bardzo ogólnie – zauważył Caleb. – Mógł udać się stamtąd razem z nią w każdym możliwym kierunku.

– Nie potrafiła precyzyjnie określić, jak długo jechała samochodem – dodała Helen. Poznawszy najważniejszą informację, próbowała rzecz jasna wyciągnąć od Amelie dalsze szczegóły, żaden nie dawał jednak nadziei na istotny przełom. – Tuż po wprowadzeniu była ogluszona. Niczego nie pamięta. A w trakcie ucieczki... Uważa, że mogły upłynąć jakieś trzy kwadranse. Szczerze powiedziawszy, podając te szacunki, sprawiała wrażenie bardzo niepewnej. Nic dziwnego, zważywszy na okoliczności.

– Mimo to musimy na razie zadowolić się tymi danymi – oznajmił Caleb. – I mieć nadzieję, że zbyt nie pomyliła. – Nerwowo bawił się długopisem. – No więc, co mamy? Helen, czy może pani raz jeszcze podsumować uzyskane dotąd informacje?

Helen skinęła głową, rzuciła okiem na notatki.

– Samochód. Amelie nie wie, jakiej był marki. Skuliła się w miejscu na nogi przed tylną kanapą. Jak sądzę, możemy założyć, że nie był to mały samochód. Prowadził go człowiek, który być może już wcześniej odwiedził sprawcę. Amelie nie ma pewności, nie widziała go, ale uważa, że rozpoznała jego głos, choć i w tej kwestii wydaje się wahać. Nie widziała go także za drugim razem, nie dostaniemy zatem jego opisu. Tamtego piątku, przed półtora tygodnia, usłyszała rozmowę obydwu mężczyzn i zwiertzyła okazję do ucieczki. Ukryła się w samochodzie i czekała.

– Brakuje nam informacji – przyznał Robert. – Czy ten mężczyzna był wtajemniczony? Prawdopodobnie chodzi tu o znajomego sprawcy, choć niekoniecznie o współsprawcę. Amelie zauważyła, że już wcześniej tam przebywał, a przynajmniej uważa to za możliwe. A więc nie widziała jego twarzy? Ale czy on ją widział? Wiedział o jej obecności? Co się w ogóle działo w tej kryjówce? Gdzie i jak przetrzymywano Amelie? Widocznie nie zamknięto jej w jakiejś piwnicy, prawdopodobnie jej nie związano. W końcu dowiedziała się, że ktoś przyszedł w odwiedziny, i zdołała się ukryć w samochodzie. Pojazd stał pewnie na zewnątrz, mogła opuścić dom, szopę czy co tam jeszcze. Nie wykorzystwała tego jednak do ucieczki piechotą, podjęła większe ryzyko i schowała się w samochodzie nieznajomego. Mogła przecież zostać nakryta.

– A to może oznaczać, że kryjówka znajduje się na pustkowiu – zauważył Caleb. – To bardzo prawdopodobne w tamtej okolicy, wśród wrzosowisk. Wiedziała, że pieszo nie miałyby żadnych szans, że może się zgubić i błądzić bez końca.

– Hm – mruknął Robert. – A jak to możliwe, że sprawca nie zauważył jej zniknięcia, zanim ów podejrzany drugi mężczyzna odjechał?

Helen z zalem potrząsnęła głową.

– Nic na ten temat nie powiedziała. Ani słowa. Za każdym razem, gdy zagaduję ją o sprawcę, kryjówkę, o bliższe szczegóły jej uwięzienia, o tego drugiego mężczyznę, natychmiast milknie. Po prostu nie chce do tego wracać.

– Może to się jeszcze zmieni – odparł Caleb. – To musi się zmienić, potrzebujemy mnóstwa informacji. Pani ma z nią chyba dobry kontakt, Helen.

Helen aż się zarumieniła z zadowolenia.

– Powiedziała, że jazda samochodem trwała jakieś czterdzieści pięć minut. O dziwo, w tym czasie kierowca nie odebrał żadnego telefonu od sprawcy z informacją o ucieczce Amelie. Gdyby sprawca odkrył, że dziewczyna uciekła, z pewnością domyśliłby się prawdy i zadzwonił do znajomego. Czyżby więc porywacz Amelie przez niemal godzinę w ogóle nie zauważył jej zniknięcia? By to wyjaśnić, potrzebowalibyśmy relacji z wydarzeń, które miały miejsce w kryjówce. I musielibyśmy wiedzieć, jak owa kryjówka wyglądała. Może Amelie była przez długi czas pozostawiona samej sobie, stąd nikt nie zauważył jej zniknięcia. W każdym razie w końcu się zatrzymali. Kierowca wysiadł, nie zamknął jednak pojazdu. Amelie domyśliła się, że pewnie niedługo wróci. Otworzyła drzwi, wyskoczyła z samochodu i pognęła przed siebie. W zupełną ciemność. Nie miała pojęcia, gdzie się znajduje, nie miała też czasu się rozglądać. Kątem oka dostrzegła blask ulicznych latarni. Krótkie, strome, łąkowe zbocze tuż za samochodem, dalej szutrowa droga prowadząca ostro

pod górę. Mogła dosłyszeć szum morza. Do samego końca, czyli do chwili, gdy wskoczyła do wody, nie wiedziała, gdzie się znajduje, choć dobrze zna tę okolicę. Wpadła w popłoch. Działała bez namysłu, niemal instynktownie.

– Mamy pewne przypuszczenie – stwierdził Robert. – Znając miejsce, w którym odnalazł ją Alex Barnes, oraz dzięki informacji, że biegła po szutrowej drodze, możemy założyć, że samochód zatrzymał się na parkingu między Sea Cliff Road i Wheatcroft Avenue. Okolica odpowiada opisowi dziewczyny: łąka, szuter, prosta droga wiodąca w dół do plaży. Może on dotyczyć tylko tego miejsca.

Caleb skinął głową. Nie miał żadnych wątpliwości, przecież mieszkał przy Wheatcroft Avenue.

– Posłałem tam ekipę od zabezpieczania śladów. Przeczesują cały teren. Dość późno wprawdzie, niewykluczone jednak, że coś znajdą. Sprawdzaliśmy już tę okolicę, lecz teraz możemy zawęzić obszar poszukiwań. I wiemy, że chodzi o samochód. Mamy pewniejsze punkty zaczepienia.

Jego słowa zabrzmiały po trosze arogancko, sam to zauważył. Wszystko to bowiem nie posunęło ich naprzód ani o krok.

Helen kontynuowała swoją relację:

– Dziewczyna dociera do Cleveland Way, wijącej się w dole tuż nad samym morzem. Gna przed siebie. W pobliżu Spa Complex ma wrażenie, że słyszy za plecami głos prześladowcy. Albo, ściślej mówiąc, jest przekonana, że niemal depta jej po piętach. Zalecałabym tu jednak ostrożność. Nawałnica, deszcz, huk morskiej kipieli... Czy rzeczywiście mogła cokolwiek dosłyszeć? Nie mamy pewności, czy kierowca zauważył jej ucieczkę i ruszył za nią w pogoń. W każdym razie zmieniła kierunek, przeskoczyła przez mur po prawej stronie i znalazła się na swego rodzaju tarasie poniżej drogi.

Caleb i Robert przytaknęli. Od dziesięcioleci mieszkali w Scarborough. Wiedzieli, o jakim miejscu mówi Helen.

– Przez chwilę stała pod murem, skuliła się, przywarła do kamieni. Twierdzi, że jej prześladowca pobiegł dalej drogą, potem jednak usłyszała, że zawrócił. Wspięła się na ogrodzenie i wskoczyła do wody. Jak wspomniałam, musimy ostrożnie podejść do informacji o pościgu. Jestem przekonana, że ona wierzy w to, co mówi. Mimo to paniczny strach mógł spleść jej figła.

– To bardzo możliwe – przyznał Caleb. Wiedział, jak głośnie potrafi być morze, zagłusza wszelkie inne odgłosy. Kiedy sztorm miota falami o kamienne nabrzeże, nie sposób zrozumieć własnych słów. Niewykluczone jednak, że Amelie usłyszała swego prześladowcę. Może nie tyle akustycznie, ile raczej intuicyjnie. Możliwe też, że

wszystko to sobie jedynie ubzduriała.

Przetarł oczy, chcąc uporządkować kołaczące się w głowie myśli.

– Rodzi się kilka pytań. – Przesadził. Pojawiła się cała armada pytań, lecz musiał się skupić na najważniejszych. – Dlaczego kierowca zatrzymał się na tym opustoszałym parkingu? Wysiadł, nie zamknął auta? Fakt ten przemawiałby za tym, że istotnie zamierzał niedługo wrócić. Czyżby nie mieszkał w pobliżu?

– Może jednak tam mieszka, po prostu zapomniał zamknąć samochód – poddał pod rozwagę Robert.

– Ten plac nie jest jednak miejscem, gdzie parkują okoliczni mieszkańcy – zauważył Caleb. – Dalej ciągną się dwie ulice z mnóstwem miejsc do parkowania na poboczu, nie mówiąc już o tym, że większość domów posiada garaże. Nikt nie zostawia samochodu na tym parkingu. W założeniu miał on służyć turystom i niemal wyłącznie oni tam parkują. Naprawdę.

– *Niemal* wyłącznie – powtórzył Robert. – Nie ma przepisów regulujących te kwestie.

– Jest jeszcze kwestia prawdopodobieństwa – odparł Caleb.

– A co, jeśli zaparkował przy jednej z pobliskich ulic? – zapytał Robert. – Amelie nie jest w stu procentach pewna czegokolwiek, nawet opisu tamtego parkingu.

Helen potrząsnęła głową.

– Mówiła o porośniętym trawą zboczku, dotarła też do szutrowej drogi. Wspomniała o mroku oraz o kilku zaledwie latarniach w oddali. To dość precyzyjny opis.

– Mimo to nie możemy wykluczyć, że kierowca mieszka w pobliżu – upierał się Robert. – Albo przyjechał do kogoś w odwiedziny. I przez pośpiech zapomniał zamknąć samochód. Nie wiedział, że wiezie pasażera na gapę.

– Wypytały oczywiście okolicznych mieszkańców – oznajmił Caleb. – I sprawdzimy ich samochody. David Chapland, ów drugi mężczyzna, który pomógł wyciągnąć Amelie z wody, mieszka przy Sea Cliff Road. Być może to czysty przypadek. Mimo to należy ponownie bardzo dokładnie mu się przyjrzeć.

– Kierowca mógł też wysiąść za potrzebą – dodał Robert. – W takim przypadku nie zamyka się auta.

Caleb zmarszczył czoło.

– Dziwne miejsce, żeby to robić. Przy końcu dwóch ulic mieszkalnych. Tamtędy nie przejeżdża się przypadkiem, jedzie się tam celowo.

– Zabłądził, krążył po okolicy, musiał się załatwić, dostrzegł parking – wyliczał Robert.

– Hm. – Caleb nie był do końca przekonany, na razie jednak zostawił tę kwestię.

– W tym przypadku – wtrąciła się Helen – szybko wrócił do samochodu i zastał otwarte tylne drzwi. Być może też stał na tyle blisko pojazdu, że od razu zauważył ucieczkę Amelie. To potwierdzałoby słowa dziewczyny, że słyszała za plecami kroki swego prześladowcy.

– Zadziwiające, że w ogóle udało jej się uciec – stwierdził Caleb.

– Wykorzystała moment zaskoczenia, była też szybsza i zwinniejsza, jak sądzę – dodała Helen. – I nie miała nic do stracenia. Rzuciła się do ucieczki. On mógł się zawahać, bojąc się pognać za nią w ciemności, w deszczu, podczas sztormu, stromą drogą w dół zbocza. Nawet jeśli wiedział, że jego przyjaciel czy też znajomy porwał dziewczynę, pewnie potrzebował chwili, zanim zrozumiał, że może być nią osoba, która właśnie wyskoczyła z jego samochodu. Możliwe też, że w ogóle nie miał pojęcia o jej obecności. Pewnie bardzo się przeraził, widząc, jak ktoś niespodziewanie ucieka z pojazdu. Może pomyślał wtedy, że został okradziony, i dlatego rzucił się w pogoń. Mimo wszystko w takim miejscu, o tej porze, przy takiej pogodzie pojawia się bariera psychiczna, którą trzeba w sobie przewyciężyć. Ta droga w dół zbocza jest naprawdę niebezpieczna.

– Nadal jednak nie potrafię powiedzieć, jak mamy sklasyfikować naszego bohatera wybaczonego – oznajmił Caleb. – Alex Barnes. Niedługo potem wraca z miasta wzdłuż Cleveland Way. To bardzo, ale to bardzo dziwne. Jest późna pora, siąpi deszcz, rozpętała się prawdziwa nawałnica. A on wraca do domu okrężną drogą. Dlaczego to robi?

– Już to przerabialiśmy – odparł znudzony Robert. Czasem nużył go fakt, że jego szef niestrudzenie roztrząsał wciąż te same kwestie, choć pojawiły się właśnie nowe, istotne dla śledztwa okoliczności. Z drugiej jednak strony to prawda, to *było* dosyć dziwne. Alex Barnes był dziwny. Dziwne było jego zachowanie. Lecz samo to jeszcze nie czyniło z niego przestępcy. Ludzie czasem po prostu dziwnie się zachowują.

– Barnes musiał napotkać prześladowcę Amelie – oznajmił Caleb. – Nie wiedział jednak, że ten człowiek ściga dziewczynę. Lecz zważywszy na porę i miejsce, o takim zdarzeniu niełatwo zapomnieć.

– Przy założeniu, że Amelie rzeczywiście ktoś ścigał, a nie tylko to sobie wmówiła – zaznaczyła Helen. – A jeśli prześladowca błyskawicznie zawrócił, Barnes niekoniecznie musiał go spotkać.

– Albo też Alex Barnes zjawiał się tam znacznie później. Kiedy tamten dawno już zniknął – dodał Robert.

– Amelie nie mogła długo przebywać w wodzie – odparł Caleb. – Mówi wprawdzie o całej *wieczności*, lecz w takich warunkach każde pięć minut ciągnie się w nieskończoność. Sądzę, że wszystkie te zdarzenia następowały zaraz po sobie: Amelie zbiega w dół zbocza, ma wrażenie, że ściga ją prześladowca, ukrywa się pod murem. Słyszy, że mężczyzna ją mija, chwilę potem wydaje jej się, że zawrócił. Zgodnie z jej zeznaniem wspina się wtedy na ogrodzenie i skacze do wody. Następnie przytrzymuje się śliskich kamieni. Fale zalewają ją jedna po drugiej. Alex Barnes *musiał* błyskawicznie pojawić się na miejscu.

– Znalazła na kamieniach karb, którego mogła się jako tako przytrzymać – dorzucił Robert. – A napór kipieli, jakkolwiek potężny, wciąż przyciskał ją do muru. Uważam, że dzięki temu mogła przez pewien czas utrzymać się na powierzchni.

– Należałoby to sprawdzić w podobnych warunkach – zaproponował Caleb, nie dostrzegł jednak entuzjazmu na twarzach współpracowników. Mało prawdopodobne, by znalazł wśród nich ochotnika. – Chciałbym ponownie bardzo dokładnie przesłuchać Barnes'a – kontynuował. – Najlepiej, gdybyśmy mieli nakaz rewizji jego mieszkania, lecz w obecnej chwili to tylko pobożne życzenie. Chcę go jednak prześwietlić, na ile to tylko możliwe. I przetrzymać tak długo, aż poda mi rozsądny powód, dla którego o tej porze przebywał w tamtym miejscu.

– Co pan podejrzewa? – zapytała zaniepokojona Helen.

– Załóżmy, że to Alex Barnes jest kierowcą samochodu. I prześladowcą. Amelie zeznała, że nigdy nie widziała tego człowieka na oczy, nie potrafiła go zidentyfikować. Słyszała tylko jego głos, lecz nawet tego nie jest pewna. Przyjmijmy, że wszystko, co mówi, jest prawdą i nie sposób wytłumaczyć jej słów urojeniami, paniką czy nadszarpniętymi nerwami. Kierowca *rzeczywiście* depta jej po piętach. *Rzeczywiście* ją mija, gdy ukryła się pod murem. I *rzeczywiście* zawraca. A wtedy ona wskakuje do wody.

– Zaczęła wołać o pomoc – przypomniał Robert.

– Nie ma w tym żadnej sprzeczności – wtrąciła Helen. – Kiedy znalazła się w wodzie, ogarnął ją śmiertelny strach. Krzyczała instynktownie, mimo lęku, że prześladowca ją usłyszy. W takich okolicznościach reakcje nie są racjonalne.

– I on ją znajduje. Chwyta za rękę.

– I przytrzymuje? – zapytał z niedowierzaniem Robert.

– A jeśli to, co uznała za przytrzymanie, było w istocie próbą oderwania jej dłoni od muru i zrzucenia jej do wody?

– No nie wiem, to brzmi...

– Zrzucenie jej do wody byłoby zbyt ryzykowne – odparła Helen. Ton jej głosu świadczył o tym, że zaczynała się przychylić do opinii Caleba. – Nie jest powiedziane, że na pewno by utonąła. Mogła się uratować, dopływając do brzegu. Zrozumiała jednak, że to Barnes jest człowiekiem, w którego samochodzie się ukryła. Była w stanie zidentyfikować obydwu: porywacza oraz jego przyjaciela. Nie wiemy jednak, czy ten był współsprawcą. Z pewnym prawdopodobieństwem możemy przyjąć takie założenie, skoro tak zaciekle ścigał Amelie. Tak postępuje tylko ktoś, kto wie, że jeśli dziewczyna zdoła uciec, stanie się dlań niebezpieczna.

Caleb spojrział na nią z wdzięcznością.

– Dlaczego nie założymy, że rzeczywiście wyciągnął ją z wody? – kontynuowała Helen. – By nie podejmować ryzyka. By zabrać ją z powrotem do kryjówki swego współnika. Nawet jeśli dotąd nie znamy motywu porwania Amelie Goldsby, dla obydwu mężczyzn dziewczyna stała się łupem, którego nie chcieli dać sobie tak łatwo odebrać. Jej istnienie tymczasem okazało się dla nich groźne. Barnes nie chciał ryzykować. Musiał ją wyciągnąć na brzeg. Niespodziewanie napotyka trudności. Walczy. Amelie uznaje go za bohatera. Nie wie, co zamierza z nią potem uczynić. Miała ogromne szczęście. Barnes zaś potwornego pecha. Oto pojawia się drugi mężczyzna. David Chapland. Pospieszył z pomocą, powiadomił policję, wezwał karetkę. Sytuacja wymknęła się spod kontroli. Barnes może teraz jedynie udawać, że przypadkiem tamtędy przechodził i chciał uratować Amelie.

– W tej wersji kryje się podwójne ale – zauważył Robert.

– Jakie?

– Po pierwsze, w chwili, kiedy Amelie uciekła, Alex Barnes rzeczywiście pracował w pizzerii. A po drugie, on nie posiada samochodu.

Zapadło milczenie.

– Racja – przyznała Helen.

– Do diabła – dodał Caleb.

– I jeszcze jedno – podjął Robert. – Musiał opuścić mieszkanie. To dlatego pojawił się u Goldsbych. A to oznacza, że jeśli mamy zdobyć nakaz rewizji...

– Ale ze mnie idiota! – Caleb zerwał się na równe nogi. – No jasne, wymówienie. Jeśli złączą remont mieszkania, wszelkie ślady ulegną zniszczeniu. Nie mamy jeszcze nakazu, ale musimy powstrzymać właściciela. Może na to przystanie. Może nawet wpuści nas do mieszkania bez nakazu.

– Sir, musimy pamiętać o tym, by wszystko, co być może znajdziemy, miało wartość

dowodową – ostrzegł Robert. – Żadnych błędów proceduralnych.

– Bez obaw. Ale racja, musimy zachować ostrożność. A jeśli Alex Barnes ma z całą sprawą coś wspólnego, doprowadzi nas nie tylko do człowieka, który porwał Amelie Goldsby, lecz może również do mordercy Saskii Morris.

– Uważa pan, że przypadek Amelie i sprawa Saskii są ze sobą powiązane? – zapytała Helen.

Caleb wzruszył ramionami.

– Niewykluczone.

Robert Stewart cicho westchnął. Caleb Hale, mimo swoich genialnych uzdolnień, czasem za bardzo się skupiał. Na jednym ewentualnym sprawcy. Na pojedynczym motywie. Dzięki temu działał sprawnie i łatwo podejmował decyzje, w stosownym momencie robił to, co należało, i docierał do sedna sprawy, w chwili gdy Robert, niepoprawny niedowiarek, wciąż roztrząsał swoje liczne teorie. Czasem jednak był zbyt zawzięty, nie dostrzegał innych możliwych rozwiązań i tracił z oczu fakt, że może się mylić.

Tym razem wziął sobie na cel Alexa Barnesę. Robert uważał, że mnóstwo szczegółów przeczyło tej teorii, przede wszystkim fakt, że Alex istotnie przez cały tamten wieczór pracował jako kelner, o czym mogli zaświadczyć zarówno jego pracodawca, jak i cała masa obsłużonych gości. Robert wiedział, że mimo wszystko warto było wziąć pod rozwagę każdą inną możliwość, choćby tylko po to, by ją ostatecznie odrzucić. Nie w tym rzecz. Problem w tym, że Caleb czasem wzbraniał się odrzucić to, co jawnie odrzucić należało. Tak długo naginał fakty, aż zaczynały pasować. Do jego teorii. W rzeczywistości wcale do siebie nie pasowały.

– Proszę odnaleźć właściciela mieszkania Alexa Barnesę – oznajmił Caleb – i poprosić go o pozostawienie wszystkiego w stanie nienaruszonym. Trzeba też będzie przepytac sąsiadów. Czy ktoś widział Barnesę w samochodzie? Skąd mógłby go mieć? Nieważne, czy tamtego wieczoru pracował w pizzerii, chcę to wiedzieć. A potem zamierzam raz jeszcze osobiście go przesłuchać. Czy ktoś wie, gdzie przebywa?

Robert i Helen jednocześnie potrząsnęli głowami.

– Proszę go znaleźć – polecił Caleb.

– Tak jest – odparł Robert.

Piątek, trzeci listopada

1

Carol wcale nie czuła się zobowiązana, by wyręczać w pracy policję, do szafu doprowadzał ją jednak fakt, że właściwie nic się nie działo. Dawno już zgłoszono zaginięcie Mandy, opisano jego okoliczności – i nie zrobiono nic. A przynajmniej o niczym nie informowano opinii publicznej. Gdy pomyślała, jakie zamieszanie wywołało zniknięcie Amelie Goldsby niemal trzy tygodnie wcześniej... Prasa prześcigała się w doniesieniach, wszędzie widywało się policję, na poszukiwania wyruszyły specjalne oddziały... Tymczasem nic podobnego się nie działo. Oczywiście dlatego, że wszystko wskazywało na to, iż Mandy uciekła z domu. W przypadku Amelie przyjęto założenie, że chodzi o przestępstwo, a przynajmniej rozważano taki scenariusz. Mandy natomiast zaliczała się do masy młodocianych uciekinierów, którzy w Wielkiej Brytanii każdego roku z jakiegoś powodu opuszczają rodzinny dom i znikają – by powrócić czasem po krótszej, czasem po dłuższej nieobecności. Nierzadko też ginie po nich wszelki ślad. Okropna to wiadomość dla ich rodzin, lecz policja potrzebowałaby tysiąckrotnie większych środków, by w każdym poszczególnym przypadku wszcząć intensywne poszukiwania. Carol o tym wiedziała, a jednak... Czy ten przypadek nie różnił się od pozostałych? W okolicy grasował przestępca, porywając i mordując nastolatki. Młode dziewczęta w tym samym co Mandy wieku. Saskia Morris została w brutalny sposób zamordowana. Amelie Goldsby zdołała uciec. Carol domyślała się, że sprawca rozgląda się właśnie za nową ofiarą. Bezbronna Mandy była łatwym łupem dla złych ludzi.

W to piątkowe popołudnie ponownie odwiedziła rodzinę Allardów w płonnej nadziei, że może dowie się czegoś nowego. Carol doskonale wiedziała, że Patsy Allard nie zgłosi się na policję z własnej woli, nawet gdyby się domyślała, gdzie może przebywać jej córka, albo gdyby Mandy dała jakiś znak życia. Ciężył na niej zarzut spowodowania obrażeń cielesnych. Jak dotąd nikogo nie ukarano, gdyż nie sposób było zweryfikować zeznania. Siostra Mandy, Lynn, mówiła o poważnych oparzeniach, Patsy Allard natomiast twierdziła, że na Mandy prysnęła tylko woda. Dopiero po powrocie Mandy można będzie ustalić faktyczny przebieg zdarzeń, co prawdopodobnie

pociągnie za sobą poważne konsekwencje dla jej matki. To wystarczyło, by osoba pokroju Patsy zostawiła raczej sprawy własnemu losowi, zamiast włączyć się aktywnie w poszukiwania córki.

Tego dnia od strony morza wiał lodowaty północno-wschodni wiatr, nawet ogrzewanie w domu Allardów zdawało się z nim przegrywać. Prawdopodobnie była to wina lichych, niedomykających się okien. Albo w ogóle zostało wyłączone. W każdym razie w kuchni panował potworny ziąb. Patsy jak zwykle niczego Carol nie zaproponowała, przewracając na jej widok nerwowo oczami. Marlon zastygł przy stole i gapił się przed siebie.

– Nic nie wiemy – oznajmiła Patsy. Stała oparta o piec. Jak zawsze. Nie usiadła. W ten sposób dawała do zrozumienia, że Carol nie powinna zabawić zbyt długo.

– Znam kilkoro znajomych Mandy – odparła Carol. Słowo *przyjaciele*, niestety, rzeczywiście było nie na miejscu. – Z rozmów, jakie prowadzyliśmy. Odwiedziłam wszystkich. Nikt nic nie wie. Nikt o niczym nie słyszał.

– Cóż...

– Patsy, ona musiała się u kogoś zatrzymać. Nie może od tygodni sama włóczyć się po ulicach. Jest zimno. Nie ma pieniędzy. Jest ranna. Ma...

– Tego śladu na ramieniu nie można nazwać raną – wtrąciła natychmiast Patsy. Carol westchnęła.

– Nieważne. Czy pani nie martwi się o własną córkę?

– Mandy jest bystra. I niby co miałabym zrobić? To ona postanowiła nas opuścić. Drzwi naszego domu zawsze stoją przed nią otworem. W każdej chwili może do nas wrócić – zapewniła Patsy.

Carol wiedziała, że Mandy prędzej odgryzie sobie język, niż zdecyduje się na powrót.

– Zamordowano dziewczynę – przypomniała. – Saskię Morris. Inną porwano, zdołała uciec. Sprawca nadal przebywa na wolności. Grasuje po okolicy.

– Mandy jest bystra – powtórzyła Patsy. – Nie pójdzie z byle jakim facetem. Jest na to za sprytna.

– Może znaleźć się w sytuacji, w której pójdzie z każdym, ponieważ będzie głodna albo przemarznięta. Wiem, że Mandy nie jest naiwna ani głupia, ale nie dorosła jeszcze do życia na ulicy o tej porze roku. Absolutnie nie.

– Nie wiem, gdzie się podziewa – upierała się Patsy. – Ale jestem pewna, że znalazła sobie jakieś schronienie. W przeciwnym razie już dawno by do nas wróciła.

– A co, jeśli nie czuje się dobrze? Jeśli grozi jej niebezpieczeństwo?

– Nic jej nie będzie. Czuję to – zapewniła Patsy. – Matka zawsze to czuje.

– No cóż, sama nie wiem, czy można to nazwać... – zaczęła Carol, jednak Patsy przerwała jej ostrym tonem:

– Nie interesuje mnie, czy jest pani pewna, czy nie. W ogóle nie może być pani pewna czegokolwiek, bo nie ma pani zielonego pojęcia. Najmniejszego. Przecież nie ma pani dzieci, więc skąd miałyby pani znać matczyne uczucia czy instynkty? Może w końcu wyjdzie pani za mąż i zajdzie w ciążę.

Carol nie zamierzała zmieniać tematu.

– Nie o mnie teraz chodzi – odparła najchłodniej, jak potrafiła. – Lecz o pani córkę. Powinna się pani nieco bardziej zaangażować. Mandy w końcu się zjawi, a wtedy powróci sprawa waszej kłótni, z powodu której uciekła z domu. Może się wówczas okazać, że będzie się pani musiała tłumaczyć, dlaczego całymi tygodniami nie zainteresowała się pani losem swej niepełnoletniej córki.

Patsy zmrużyła oczy.

– Pani mi grozi?

– Podaję tylko fakty. Nic więcej.

– Powinna pani już iść. Nie mam nic więcej do powiedzenia. Nieważne, jak długo jeszcze będzie mnie pani nagabywać!

Carol wstała.

– Gdyby jednak coś się pani przypomniało, wie pani, gdzie i jak mnie znaleźć.

Patsy nie odpowiedziała. Nawet nie drgnęła. Carol sama ruszyła w kierunku drzwi. Przez ostatnie minuty oblewały ją fale gorąca, mimo panującego w kuchni chłodu. Martwiła się losem Mandy, czując zarazem, że cały świat zostawił ją na lodzie. Policja, rodzina Mandy. Nawet Irene, jej szefowa.

– W tej chwili nic nie możemy zrobić – usłyszała od niej. – Tak to już bywa. Proszę nie tracić energii, zmagając się z czymś, na co nie ma pani żadnego wpływu.

Zamknęła za sobą drzwi, znalazła się na ulicy wśród rzędów ubogich domostw po lewej i prawej, poczuła napływające do oczu łzy. Za bardzo się angażuje, oto problem. Nie nauczyła się zachowywać dystansu wobec osób i spraw, którymi zajmowała się zawodowo. Podnieść czasem zwodzony most, odgrodzić się od całego świata i pozostać Carol, osobą prywatną.

Tego dnia z trudem znalazła miejsce do parkowania, musiała przejść spory kawałek drogi. Kiedy zbliżała się do samochodu, usłyszała za plecami odgłos szybkich kroków. Odwróciła się i ku swemu zaskoczeniu zobaczyła spieszącego za nią Marlona Allarda.

Wyglądał na roztrzęsionego i wystraszonego.

– Psst – syknął na powitanie. Sapał. Był w nie najlepszej kondycji. – Psst!

Ostrożnie rozejrzył się dokoła, prawdopodobnie by sprawdzić, czy nie idzie za nim Patsy. Carol pewnie by się z tego uśmieła, gdyby sytuacja Mandy nie wydawała się tak groźna. Strach Marlona przed własną żoną był wprost komiczny.

– Patsy sądzi, że jestem w domu na piętrze, że poszedłem się na chwilę położyć – szepnął. – Nie może się dowiedzieć o naszej rozmowie.

– Wie pan coś na temat Mandy? – zapytała natychmiast Carol.

Marlon potrząsnął głową.

– Niestety nic nie wiem. Ale przypomniałem sobie, że kiedyś o kimś wspomniała... o mężczyźnie... Może być jej przyjacielem.

– Kim on jest?

– Nie znam jego prawdziwego imienia. Nazywają go po prostu „Cat”. Bo ma mnóstwo kotów. Mieszka chyba w przeznaczonym do rozbiórki domu przy Elm Road. Mandy kiedyś mi o nim opowiadała. Nie sądzę, żeby był jej bliskim przyjacielem w sensie... to znaczy jej chłopakiem. O nie. Ale często rozmawiają na czacie, ona mu ufa.

Carol położyła mu dłoń na ramieniu.

– Dziękuję, Marlon. Natychmiast tam pojedę.

– Martwię się – mruknął Marlon. Spojrzał na nią mrocznymi i smutnymi oczami. Krył się w nich cały ciężar nieudanego życia, a także lęk o córkę. – I to bardzo. Mandy wcale nie jest taka bystra, jak uważa Patsy. Czasem zachowuje się jak mała dziewczynka. Z pewnością nie potrafi właściwie ocenić czyhających wokół niebezpieczeństw i myślę, że z dnia na dzień czuje się coraz bardziej bezradna.

– Uważam dokładnie tak samo – odparła łagodnie Carol. – Dobrze, że dał mi pan tę wskazówkę.

Westchnął ciężko. Następnie odwrócił się na pięcie i ruszył z powrotem do domu. Powoli, ciężkim, powłóczystym krokiem. I ze spuszczoną głową.

Bez trudu odnalazła rozpadający się budynek. W tym zakątku miasta stało kilka niezamieszkałych i podniszczonych domów, lecz tylko przed murem jednego przemknął właśnie kot, po czym zniknął w jego czeluściach. To tutaj z pewnością mieszka ów podejrzany Cat. Carol przeszedł dreszcz. Budynek od dawna był zamknięty i opatrzony tabliczkami ostrzegawczymi. Rzeczywiście wyglądał tak, jakby w każdej

chwili mógł się zawalić.

Drzwi wejściowe wisiały krzywo na zawiasach, nie były zamknięte, od razu się uchyliły, gdy Carol je pchnęła. Wewnątrz unosił się intensywny odór kocich odchodów, cały dom zdawał się nim przesiąknięty. Ponieważ na zewnątrz zapadał już zmrok, a budynek posiadał jedynie niewielkie, częściowo zabite deskami okna, Carol z trudem mogła cokolwiek dostrzec. Zauważyła, że prowadzące na piętro schody są całkiem zniszczone i nie sposób po nich wejść. Obok ujrzała za to kamienne stopnie wiodące do piwnicy, rozjaśnionej bladym światłem. Zebrała się na odwagę – w tej ruderze naprawdę obleciał ją strach – i zeszła na dół.

Znalazła się w pozbawionym okien pomieszczeniu o kamiennych ścianach, wypełnionym chłodnym i wilgotnym powietrzem. Ponury nastrój łagodził migotliwy blask licznych świec ustawionych na wystęпах muru, w niszach i narożach oraz na wszystkich regałach. Wszędzie też widać było koty: dziesięć, piętnaście, może nawet dwadzieścia, Carol nie potrafiła ich błyskawicznie zliczyć. Na poplamionym materacu leżał młody mężczyzna o długich włosach, w dość zapaskudżonym ubraniu. Oczy miał zamknięte, palił papierosa – albo raczej jointa, domyśliła się Carol. Oprócz odoru kotów wyczuła też zapach haszyszu. Odurzająca mieszanka.

Obok mężczyzny siedziała kobieta, wystarczyło krótkie spojrzenie, by Carol zrozumiała, że to nie Mandy. Miała co najmniej dwadzieścia lat, pociągłe rysy, była potwornie wychudzona. Jej długie, skołtunione włosy, podobnie jak ubranie, pilnie potrzebowały mydła. Od czasu do czasu sięgała po jointa, głęboko się zaciągała, po czym oddawała go mężczyźnie. Ona także miała zamknięte powieki. Pogrążeni w rozmyślaniach sprawiali wrażenie zupełnie oderwanych od rzeczywistości.

– Cześć – powiedziała Carol.

Kobieta otworzyła oczy. Miała nieco zamglony wzrok.

– Cześć – odparła.

– Szukam Mandy – wyjaśniła Carol. – Mandy Allard. Czy jest tutaj?

Nie wiedziała, z jaką reakcją może się spotkać, nie przypuszczała jednak, że kobieta zerwie się na równe nogi i odzyskawszy nagle świadomość, wrzaśnie na całe gardło:

– Poszła sobie! I już tu nie wróci! A ty się chrzań, jeśli masz coś wspólnego z tą zdzirą!

Mężczyzna – Cat, jak domyśliła się Carol – wyprostował się i znużony zamrugał powiekami.

– Co jest?

Kobieta wskazała kościstym palcem na Carol.

– Szuka Mandy! Ona naprawdę szuka *tu* Mandy! Czy wszyscy już o tym wiedzą? Że Cat zadaje się z tą pieprzoną suką?

– Nic mnie z nią nie łączy – wymamrotał Cat. Sprawiał wrażenie, jakby nie potrafił się skupić na otaczającej go rzeczywistości.

– Wyrzuciłam ją – wyjaśniła kobieta. – Na zbity pysk. Mieszkałam tu z nią przez kilka dni i zauważyłam, że ostro dobiera się do Cata. To mój chłopak. Zrozumiano?

– A więc tu była? – zapytała Carol.

– Próbowала się tu umościć. Liczyła na to, że wkrótce wyjadę. – Kobieta zaśmiała się szyderczo. – Ale nie ze mną takie numery. Potrafię się bronić. Cat, niestety, wszystkim mówi tylko tak i amen, ale ja to zupełnie inny kaliber!

Cat, zamroczony haszyszem obiekt sprzeczki dwóch kobiet, opadł z powrotem na materac i znów zamknął oczy. Carol domyśliła się, że w tej chwili było mu wszystko jedno, która kobieta z nim przebywa, byleby tylko zostawiła go w spokoju.

– Jeśli ma w głowie resztki rozumu, więcej się tu nie pojawi – oznajmiła kobieta groźnym tonem. – Z łatwością uporządkuję jej śliczną buźkę tak, że w tym życiu już żaden facet nawet na nią nie spojrzy!

Carol nie chciała mieć jej za przeciwnika. Nic dziwnego, że Mandy, choć harda w obejściu, wzięła nogi za pas.

– Kiedy to się działo? – zapytała. – Do kiedy Mandy tu przebywała?

– Dopiero co tu była – szepnął Cat. – Odeszła jakieś dziesięć minut temu.

Carol wlepiała w niego wzrok.

– Dopiero co? – To niemożliwe, prawda? Cat stracił poczucie upływającego czasu.

– Jakies dziesięć minut temu – potwierdziła jego towarzyszka.

Carol odwróciła się na pięcie i pognęła po schodach.

– Żeby mi się tu więcej nie pokazywała! – wrzasnęła za nią przyjaciółka Cata głosem wpadającym w falset.

Rozminęły się o włos, to nieprawdopodobne! Mandy tu była. Jeszcze kilka minut temu. Mogła ją spotkać. Mogła ją z sobą zabrać i uratować.

Wychodząc na ciemną ulicę, Carol potknęła się o wykrzywione drzwi.

– Niech to szlag! – ryknęła.

Rozejrzała się dookoła. Nikogo nie dostrzegła. Ani Mandy, ani żadnego przechodnia, którego mogłaby zapytać. Przy tak przeszywającym wietrze nikt nie wyściubiał nosa

z domu.

Carol sprawdziła sąsiednie ulice, zajrzała na niektóre podwórza, nikogo jednak nie zauważyła. Chłód palił ją w policzki, oczy zaczęły łzawić. Dokąd poszła Mandy? W taki ziąb? Nie mogła nocować pod gołym niebem, musiała poszukać sobie dachu nad głową. Carol szarpnęła za klamki kilku niezamieszkanym budynków, lecz do żadnego się nie dostała. Wszystkie były szczelnie zamknięte.

Pognała do samochodu. Objedzie okolicę, może Mandy wciąż błądzi gdzieś po uliczkach. Dziesięć minut, powiedział Cat. Zważywszy na jego stan, Carol pewnie by mu nie uwierzyła. A jednak potwierdziła to jego dziewczyna, która wydawała się dość przytomna, choć aż kipiała z wściekłości i zazdrości. Mogło zatem upłynąć piętnaście albo dwadzieścia minut, łatwo się pomylić.

Mimo to Mandy nie mogła odejść daleko.

Dobre trzy kwadranse później Carol wciąż krążyła po okolicy, włączała reflektory, kiedy zauważyła coś podejrzanego, lecz za każdym razem musiała stwierdzić rozczarowana, że to nie jest poszukiwana Mandy. Czasem był to ktoś inny, czasem tylko jakiś cień. Rzucany przez coś poruszające się na wietrze.

Zatrzymała się, walnęła zaciśniętą pięścią w kierownicę.

Rozminęły się. O włos.

Mandy zniknęła.

2

Włóczyła się po ulicach. Wiał tak przenikliwy i mroźny wiatr, że łzy spływały jej po policzkach. A może płakała z rozpaczy? Bo wiedziała, że musi dać za wygraną. Wrócić do domu, do rodziny, gdzie czekają ją uszczypliwe drwiny i kąśliwe uwagi matki. Gdzie każdego dnia będzie musiała patrzeć na cierpiącego, zamkniętego w sobie ojca, na jego zniechęcenie, strach, tchórzostwo wobec życia. Na siostrę, która w sposób tak niezachwiany i zdyscyplinowany podążała własną ścieżką. I znów zawita u nich opieka społeczna. Carol ze swoim smutnym spojrzeniem i natarczywymi napomnieniami. Nie koniec na tym – pojawią się również konsekwencje, całe to gównno serwowane przez dorosłych, kiedy się zeszło na złą drogę.

Konsekwencje to ulubione słowo ludzi pokroju Carol. Musisz ponosić konsekwencje własnego postępowania. Zawsze. Takie po prostu jest życie.

Cholerne życie.

Kiedy uciekła z mieszkania Brendana i wymknęła się policji, wróciła do Cata. Zwyczajnie nie wiedziała, dokąd miałyby pójść, i dlatego ponownie spróbowała z nim zamieszkać, choć zdawała sobie sprawę, że przebywa u niego dziewczyna, on zaś stanowczo nakazał jej odejść.

Dziewczyna miała na imię Ella, wyglądała, w ocenie Mandy, niczym wynędzniała wiedźma i wyraźnie nie była zachwycona jej powrotem.

– Tylko na jedną noc – błagała Mandy. – Proszę. Nie mam dokąd pójść!

– Do domu, do mamusi i tatusia – odparła Ella – tam, gdzie twoje miejsce.

Cat, wyjątkowo niezamroczone haszyszem, wziął ją w obronę.

– Kiepsko u niej w domu, Ella. Nie może tam wrócić. Popatrz, co jej zrobili w ramię.

Nie wyglądało najlepiej, widok poruszył nawet mało empatyczną Ellę.

– Wielkie nieba! Przykra historia. To sprawka twoich rodziców?

– Matki.

– Powinnaś pójść na policję.

– W żadnym wypadku. Nie. Bo wyląduję w poprawczaku.

– Tam bez wątplenia najlepiej by się tobą zajęli – stwierdziła chłodno Ella.

Mandy spojrzała jej prosto w oczy.

– Nie – powtórzyła.

Cat, zrozumiałwszy, że wzajemne stosunki obu kobiet przebywających w jego piwnicy nie ułożą się harmonijnie, musiał interweniować.

– Możesz zostać dziś na noc, Mandy. To oczywiste. Ale...

– Niby czemu to takie oczywiste? – zaproponowała Ella.

– Bo na dworze jest cholernie zimno i nie mogę w taką pogodę wyrzucić jej za drzwi – odparł Cat. – Ale musisz znaleźć rozwiązanie, Mandy. Za ciasno tu dla nas trojga. I... no cóż... musisz też jakoś ułożyć sobie dalsze życie...

Akurat Cat musiał to powiedzieć. O konieczności ułożenia sobie życia. Sam od lat igrał z całkiem bezładnym życiem. Nikt nie wiedział, jakim sposobem udawało mu się wiązać koniec z końcem. Mandy oczywiście nie odważyła się tego skomentować. Potrzebowała go. To nie był odpowiedni moment na zadawanie podszytych krytyką pytań.

Ostatecznie spędziła tam cztery dni i noce, w coraz bardziej napiętej atmosferze. Począwszy od drugiego dnia, Ella nawet nie starała się skrywać niechęci i wrogości. Cat

ćpał coraz więcej, byleby tylko nie słyszeć kobiecych kłótni, Mandy zaś przez cały czas zalewała się łzami, gdyż nie widziała żadnego rozwiązania. Aż w końcu owego piątkowego popołudnia doszło do scysji. Ella poszła na zakupy i wróciła z ogromną torbą artykułów spożywczych, za które zapłaciła z własnej kieszeni, jak wielokrotnie podkreślała. Cat nawet nie zareagował, także Mandy nie wiedziała, co powiedzieć. W końcu Ella zwróciła się bezpośrednio do niej.

– Czy sądzisz, że to w porządku, Mandy, byśmy cię tu żywili? Czy mogłabyś się choć raz dorzucić?

Mandy miała jeszcze te dziesięć funtów, zostawione na czarną godzinę. Wyjęła je teraz, mówiąc:

– Proszę. Więcej nie mam.

Elli puścili nerwy. Mandy przypuszczała, że zwyczajnie szuka pretekstu, by wszcząć ostrą kłótnię, musiała przecież wiedzieć, że ona została praktycznie bez grosza. Irytować się z tego powodu było po prostu śmieszne.

– Dziesięć funtów? Masz czelność proponować mi *dziesięć funtów*? Niesłychane! Całymi dniami pętasz się tu bez celu, mieszkasz za darmo, jesz i pijesz na nasz koszt, grasz nam na nerwach, a teraz wciskasz mi wspaniałomyślnie dychę i myślisz, że to załatwi sprawę?

Mandy znów się rozplakała.

– Nie mam więcej pieniędzy. Niby skąd miałabym je wziąć? Przecież bym ci dała. Ja...

– No cóż, nie możesz uciekać z domu w nadziei, że zaczniesz nowe życie, nie mając bladego pojęcia, jak to zrobić! A potem obżerać tylko innych i...

Cat wtrącił się do rozmowy, pogarszając tylko sprawę.

– Mandy prawie nic nie je, nie możesz zaprzeczyć, Ella. Ona...

Ella odwróciła się do niego, wpadła w furję.

– Jeszcze jej bronisz? *Jeszcze jej bronisz*? Czemu od razu nie dodasz, że coś was łączy? Już dawno to zauważyłam! Sądzisz, że jestem taka głupia? – Zaczęła krzyczeć piskliwym głosem. – *Oboje sądzicie, że jestem taka głupia?*

Cat chciał ją uspokoić, kładąc jej dłoń na ramieniu, ona jednak ją odtrąciła. Mandy sądziła przez chwilę, że rzuci się na niego z pięściami, lecz Ella stanęła na środku i zaczęła wrzeszczeć jak szalona.

– Lepiej już idź – szepnął Cat.

Mandy zrozumiała, że ma rację. Włożyła kurtkę i buty, po czym ruszyła po stromych schodach. Łzy spływały jej po policzkach. A więc wszystko stracone. Musi dać za

wygraną. To nie miało sensu. Nic nie miało już sensu.

Z powrotem do domu. Opieka społeczna. Zacznie się wielkie przedstawienie. Bo uciekła. Bo jej ramię nie wyglądało najlepiej. Bo wszyscy pewnie pomyślą, że nie może dłużej mieszkać z rodziną.

Instynktownie omijała centrum miasta. W ruchliwej dzielnicy będzie się rzucać w oczy. W piwnicy Cata nie było lustra, domyślała się jednak, że wygląda na okropnie zaniedbaną. Nie myła się od wielu dni, z pewnością cuchnęła jak włóczęga. Włosy miała przetłuszczone i skołtunionie, ubranie zapaskudzone i pomięte. A do tego... była młoda. Jeśli napotka policyjny patrol, z miejsca zostanie ujęta.

A nawet jeśli? I tak musiała się poddać.

Wezbrała w niej ostatnia resztką oporu. Nadzieja, że jakimś sposobem znajdzie wyjście z sytuacji. Nawet jeśli według wszelkiego prawdopodobieństwa takowe nie istniało.

Usłyszała nadjeżdżający samochód. Komórka, z której słuchała muzyki, została w mieszkaniu Brendana. Odgłos silnika. Samochód zdawał się zwalniać. W końcu się zatrzymał.

Duży, ciemny pojazd, więcej szczegółów nie dostrzegła. Przypominał nieco samochód Brendana albo jego znajomego, lecz nie miała pewności, czy to ten sam.

Opuszczono szybę w oknie od strony pasażera.

„Uciekaj – szepnął jej wewnętrzny głos – uciekaj, ile sił w nogach!”

Tamtego dnia – jakże odległy jej się teraz wydał – gdy wsiadła do samochodu Brendana, głosu tego nie słyszała. Tym razem zadźwięczał, wewnętrzny opór, przecucie zagrożenia, jakby skądś dobiegał do niej krzyk przestrogi.

Uciekaj, uciekaj, uciekaj!

Znalazła się jednak w nazbyt beznadziejnym położeniu, by mogła sobie pozwolić na ucieczkę.

Podeszła do samochodu.

CZĘŚĆ DRUGA

Poniedziałek, szósty listopada

1

Dziwne to uczucie wprowadzać się do zupełnie pustego domu. W istocie nie było aż tak strasznie, jak to sobie wyobrażała. Dom rodziców, z którego usunięto wszystko, absolutnie wszystko. I który sprawiał zupełnie inne wrażenie. Świeżo pomalowane ściany. Nowe, jasne wykładziny na piętrze. W pokoju dziennym błyszczał odnowiony parkiet. Poszarzałe płytki w korytarzu i kuchni wypiaszkowano. Jedynie w kuchni pozostawiono minimum wyposażenia: zlew, piekarnik i lodówka zabudowane w jednym szeregu, do tego kilka wiszących szafek. To wszystko.

Kate przywiozła karimatę i śpiwór, zaniosiła je na piętro, do swojego dawnego pokoju z lat dzieciństwa i młodości. W łazience powiesiła jedyny ręcznik. W pokoju dziennym przed wmurowanym w ścianę elektrycznym kominkiem rozłożyła dwa składane krzesła kempingowe. Naczynia do gotowania oraz kubki, talerze i plastikowe sztucce umieściła w kuchennych szafkach. Kuwetę dla kota ze świeżym żwirkiem postawiła w korytarzu. Messy, ochrzczona tak przez Kate w nawiązaniu do sposobu życia jej dawnych właścicieli, wałęsała się po całym domu i poirytowana obwąchiwała wszystkie kąty. Przywykła do londyńskiego mieszkania i chyba nie była zadowolona z kolejnej przeprowadzki.

– Tylko na jakiś czas – tłumaczyła jej Kate. – Kiedy znajdziemy kupca, wrócimy do domu.

Messy cicho miauknęła. Nie była pewna, czy wierzyć w te deklaracje.

Kate westchnęła. Sama nie do końca rozumiała, czemu tu przyjechała.

– Proszę zdać się na pośrednika – radziła jej przez telefon sąsiadka. – Kiedy znajdzie się kupiec, przyjedzie pani podpisać umowę. Co będzie pani robić w Scalby? Już ja dopilnuję, by wszystko przebiegło, jak należy.

Sąsiadka oczywiście miała rację. Dwa cenne tygodnie urlopu spędzi w pustym domu w oczekiwaniu na kupców. Z pośrednikiem skontaktowała się jeszcze w Londynie, miał przyjechać we wtorek, zrobić zdjęcia i przygotować ofertę. Do tego wcale jej nie potrzebował.

Jakież to dla ciebie typowe, powtarzała sobie Kate. Przesiedzisz teraz całe dwa

tygodnie razem z kotem w pustym domu. W Scalby koło Scarborough. W listopadzie. W taką paskudną pogodę. Zupełnie sama. Czasem być może zjawi się pośrednik z jakimś potencjalnym nabywcą. *Być może*. Poza tym pewnie nikogo na oczy nie zobaczysz, nie licząc kasjerki w supermarkecie raz na parę dni. Świetnie! Rewelacja! Doskonały sposób, by wypełnić swoje życie ekscytacją.

Podjeżdżała, że prawdziwym powodem przyjazdu był fakt, iż nadal nie potrafiła pozbyć się ostatecznie rodzinnego domu. Decyzja o jego sprzedaży zapadła – *nieodwołalnie*, o czym wielokrotnie w ciągu dnia surowo sobie przypominała – nie zniosłaby jednak, gdyby raz jeszcze go nie zobaczyła. Wciąż jako jego właścicielka. Mając prawo przebywać w swoich pokojach. Wejść przez ogrodową bramkę. Grabić opadłe liście w ogrodzie – uznała, że pilnie należy to zrobić. I ogrzać się w ciepłe bijącym z obciachowego elektrycznego kominka w salonie, wpatrując się w atrapę płomieni, jak to robiła podczas niekończących się zim w latach dzieciństwa i młodości, a także później, w trakcie bożonarodzeniowych i noworocznych odwiedzin u ojca. Nic jej tak wewnątrz nie rozgrzewało jak ów pokój z imitacją ognia. Wciąż zdawał się emanować miłością, jaką otaczali ją rodzice. Po sprzedaży domu nigdy więcej nie będzie mogła tu wejść i sycić się owym ciepłem, by potem, wśród chłodu i mroku, choćby przez chwilę znieść jego brak.

Potrzebowała nowego źródła.

Przeczytała mnóstwo poradników na temat miłości, ciepła oraz poczucia bezpieczeństwa – i wszystkie unisono kończyło stwierdzenie, iż rzeczy te koniecznie trzeba odnaleźć w sobie, a więc samemu stać się ich źródłem. Dopiero wówczas w cudowny sposób zostaniemy nimi obdarowani. Ostatni tego rodzaju poradnik Kate ze złością cisnęła w kąt. Być może psychologowie mają rację, ale cóż ma począć człowiek, który nie jest w stanie zadowolić sam siebie i samodzielnie zaspokoić własnych podstawowych potrzeb? Nadal będzie cierpieł, targany poczuciem samotności i opuszczenia, a do tego zmagał się z przekonaniem, że jest żalonym nieudacznikiem, gdyż nie potrafi sprostać podstawowym zasadom szczęśliwego życia.

Spróbuje przez te dwa tygodnie wchłonąć możliwie dużo ciepła. Następnie sprzeda dom, jeśli znajdą się chętni. A potem będzie musiała radzić sobie sama.

Wyszła do samochodu po artykuły spożywcze zakupione w supermarkecie Tesco na rogu Burniston Road. Dopadły ją tam wspomnienia o Amelie Goldsby i jej rodzicach. Jak się im wiedzie? Czy Amelie zdołała choć trochę otrząsnąć się z traumy?

Włożyła artykuły do lodówki, napełniła miskę Messy karmą dla kotów, zagotowała wodę. Zaparzy sobie herbatę i wypije ją przed kominkiem. Za oknem siąpił deszcz, było

zimno, wcześniej zapadł jesienny zmrok. Podkreśliła ogrzewanie. Wciąż czuła przenikliwą woń świeżej farby – cóż, zdoła do niej przywyknąć.

Kiedy napełniała kubek wrzątkiem, rozległ się dzwonek do drzwi. Kate zmarszczyła czoło. Kto mógł wiedzieć, że się tu zatrzymała? Jej koledzy z Londynu, ale żaden z nich by tutaj za nią nie przyjechał. Wiedział też zarozumialec Colin. Lecz również on nie pałał aż taką namiętnością, by wybrać się tak daleko na północ.

Otworzyła drzwi. W świetle przydomowej latarni ujrzała doktora Jasona Goldsby'ego.

Pierwsza myśl, jaka jej przyszła do głowy: wygląda na bardzo przygnębionego. Jakby w ogóle nie sypiał nocami.

– Czy mogę wejść? – zapytał.

Siedzieli przed elektrycznym płomieniem na kempingowych krzesłach, każde trzymało w dłoni kubek z herbatą. Jason potknął się, wchodząc, zdawał się roztrzęsiony i nieszczęśliwy. Z początku nawet chyba nie zauważył, że znalazł się w zupełnie pustym domu. Dopiero kiedy usiadł przed kominkiem i z wdzięcznością upił pierwszy łyk herbaty, rozejrzał się wokół.

– Och – powiedział.

Kate skinęła głową.

– Wszystko uprzątnięte i wyremontowane. Jutro zjawi się pośrednik nieruchomości. Sprzedaję dom.

– Rozumiem – zapewnił Jason. Ostrożnie łyknął gorącego napoju. – Rozumiem – powtórzył.

– Skąd pan wiedział, że mnie tu zastanie? – zapytała Kate.

Sprawał wrażenie, jakby poczuwał się do winy.

– Byłem wcześniej w Tesco. Dziś nieco wcześniej wyszedłem z przychodni i pomyślałem, że po drodze zrobię zakupy. Wtedy panią zobaczyłem, zapłaciła pani przy kasie i wyszła. Nie chciałem krzyknąć na cały sklep... Pojechałem więc do domu, wypakowałem rzeczy, po czym sprawdziłem w naszej księdze gości pani adres w Scalby, który kiedyś pani wpisała. I przyjechałem tutaj. – Umilkł i spojrzał na nią niepewnie. – Mam nadzieję, że nie przeszkodziłem?

– Nie, nie – zapewniła Kate. Wolałaby zostać sama, ale Jason sprawiał wrażenie, jakby coś ważnego leżało mu na sercu. Postąpiłaby okrutnie, gdyby go odprawiła.

Jason dmuchał do kubka z herbatą. Chyba nie wiedział, od czego zacząć.

Kate wyczekiwała.

Aż nagle coś w nim pękło.

– Siedem dni! Wystarczy siedem dni, by całkowicie zmienić życie rodziny. Potrafi pani to sobie wyobrazić? Jak to możliwe?

– Mówi pan o siedmiu dniach, kiedy nie było państwa córki?

– Tak. Co za okropny czas. Najgorszy okres naszego życia. Ale to już minęło. Skończyło się, i do tego szczęśliwie. To się przecież mogło ciągnąć bez końca. Mogło się zmienić w koszmar, który z wolna blaknie. A pewnego dnia staje się ledwie cieniem w naszych wspomnieniach. Bez jakiegokolwiek znaczenia. Ale... – Zamilkł.

– To nie działa – dokończyła łagodnie Kate.

– Tak. Zgadza się. To nie działa. Teraz jest... inaczej.

– Jak się miewa Amelie?

Wzruszył ramionami.

– Nadal nie chodzi do szkoły. I nie mówi o... rozstrzygających chwilach. Gdzie była? Jak to wyglądało? Co porywacz... z nią robił?

Kate dostrzegła na jego twarzy udrękę i doskonale go rozumiała. To musiało być potworne, wyobrażać sobie własne bezbronne dziecko w rękach psychopaty, który porywa je na ulicy i może z nim robić, co tylko chce. A jednak... odzyskali Amelie.

– Widocznie potrafi sobie z tym poradzić, jedynie rugując to z pamięci – stwierdziła. – Czy nadal istnieje wyłącznie portret pamięciowy sporządzony na podstawie jej opisu? Mężczyzna około pięćdziesiątki?

– Tak. Mamy też opis porwania.

– Ach tak? – O tym Kate jeszcze nie wiedziała. Jason streścił jej przebieg wydarzeń: drugi mężczyzna, w którego samochodzie Amelie zdołała zbiec. Ucieczka na łeb na szyję, w ciemnościach, ku morzu. Amelie była przekonana, że ściga ją kierowca samochodu. I że jedynym wyjściem jest ześlizgnięcie się do morza tuż przy portowym murze.

– Tak, a potem, o czym już pani wie, pojawia się bohaterski wybawca Alex Barnes – dodał Jason. Po sposobie, w jaki to powiedział, Kate zrozumiała, że nazwisko Alexa Barnes, przynajmniej w oczach Jasona Goldsby'ego, nie mieni się już złotym blaskiem wiecznej wdzięczności. Wręcz przeciwnie. Głos męczyzny przepełniała gorycz.

Kate się nachyliła.

– Co z tym Alexem Barnesem?

– To pasożyt – wybuchnął Jason. – Wielki, tłusty, natrętny pasożyt. Przyssał się do naszej rodziny. I nie zamierza odpuścić!

– Jak to?

– Któregoś dnia stanął przed drzwiami naszego domu. Z torbą podrózną w rękę. Wyrzucili go z mieszkania, bo od miesiący nie płacił czynszu. Deborah oczywiście przyjęła go pod nasz dach. Co miała zrobić?

– Uratował życie Amelie.

– Komisarz Hale nie był tym zachwycony. Przez te dwie noce, gdy Barnes był u nas, w domu spała też policjantka, która razem z kolegą pilnuje nas w zaparkowanym na ulicy radiowozie. Po dwóch dobach Barnes musiał się wyprowadzić. Hale uznał to za zbyt ryzykowne.

– Podejrzewa, że Barnes być może pojawia się w tej historii nie tylko w roli wybawcy – stwierdziła Kate. Z początku sama uznała, że to nic niezwykłego. Barnes był uczestnikiem wydarzeń. To oczywiste, że znalazł się na cenzurowanym.

Jason skinął głową.

– Widocznie. W każdym razie Barnes przeniósł się do hotelu. Crown Spa. Pokój z widokiem na morze. Nietani.

Kate zmarszczyła czoło.

– Na pięć nocy – ciągnął Jason – na nasz koszt. W tym czasie Deborah udało się znaleźć dla niego niewielkie mieszkanie na poddaszu, do którego dziś się wprowadził. Przy Nicholas Cliff. Oficjalnie to my jesteśmy najemcami, bo jemu nikt niczego by nie wynajął. Za to też płacimy. Poza tym Deborah już dwukrotnie pożyczyła mu swój samochód, by mógł dojechać na rozmowy kwalifikacyjne. To przecież leży w naszym interesie, żeby wreszcie znalazł jakąś pracę. Jak dotąd nic z tego nie wyszło. Moim zdaniem wcale mu na tym nie zależy.

– Państwo robią to wszystko z wdzięczności?

– Czujemy, że jesteśmy mu to winni. Deborah wydaje własne pieniądze, zarobione latem na wynajmie pokoi. Ale potrzebujemy ich na spłatę kredytu, który wzięliśmy na przebudowę. Teraz to ja muszę spłacać raty. Do tego dochodzą jeszcze domowe wydatki. To wszystko jest... Nie sypiam całymi nocami... Wie pani, całkiem nieźle zarabiam, ale ten dom...

Kate zrozumiała, że potwierdziły się jej wcześniejsze przypuszczenia. Od razu to wyczuła: kupując dom, państwo Goldsby przeliczyli się z siłami. Radzili sobie, ale z ogromnym poświęceniem oraz pod warunkiem, że nie zdarzy się nic nieprzewidzianego.

– Od lat nie wyjechaliśmy na urlop – wyznał Jason. – Bo nie stać nas na pobyt

w hotelu. Tymczasem temu życiowemu niedorajdzie fundujemy prawie tydzień w Crown Spa.

– Doktorze Goldsby...

– Jason, proszę.

– Jasonie, bardzo mi przykro. To naprawdę niezwykle trudna sytuacja. Uważam, że tej formy pomocy pan Barnes nie powinien przyjąć, tym bardziej że doskonale wie, iż państwo czują się zobowiązani. Najwyraźniej jednak nie ma żadnych skrupułów. Być może pan i Deborah powinniście to definitywnie zakończyć, choćby przyszło wam to z wielkim trudem.

– Omawialiśmy to całymi nocami – przyznał wyczerpany Jason. – Dla Deborah to ogromny problem. Życia naszego dziecka nie sposób oczywiście przeliczyć na pieniądze, nieważne, ile Alex Barnes wyciągnie od nas przez te wszystkie lata. Dla Deborah byłoby to jednak niemal jak wyzwanie losu, gdybyśmy teraz wyznaczyli Barnesowi pewne granice. W zupełnie irracjonalny sposób obawia się, że Amelie ponownie mogłoby się wtedy przytrafić coś strasznego. Ponieważ nie okazaliśmy się godni daru, jakim było jej ocalenie. To absurd... potrafię sobie jednak wyobrazić dręczące ją obawy. Gdyby chodziło wyłącznie o mnie... już dawno wyrzuciłbym Barnes'a z mojego życia.

Kate westchnęła. Rozumiała rozpacz i bezradność Jasona. Owe siedem dni w istocie wystarczyło, by całkowicie odmienić życie całej rodziny. Trauma dosięgła każdego jej członka.

– Chciałabym bardzo państwu pomóc, Jasonie, ale...

– Próbuję codziennie rozmawiać telefonicznie z komisarzem Hale'em – oznajmił Jason – lecz nie zawsze udaje mi się go złapać.

„Biedny Caleb” – pomyślała Kate. Znała go na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie potrafił odmawiać ludziom pokroju Jasona, którego z pewnością uważał za niewinną ofiarę tragedii. Ale codzienne telefony... Dobry Boże! To zabierało mnóstwo czasu i energii, których zawsze brakowało w trakcie tak wyczerpującego dochodzenia.

– Wiem, on podejrzewa, że Alex Barnes ma z tą sprawą coś wspólnego – ciągnął Jason. – W przeciwnym razie pozwoliłby mu u nas zamieszkać. Nie powiem, że byłbym z tego zadowolony, ale przynajmniej wyszłoby taniej. Hale niestety nie informuje mnie o wynikach dochodzenia, niemniej... potrafię przecież kojarzyć fakty.

– Jason...

– Moja córka ucieka z kryjówki, w której ją przetrzymywano. Chowa się w miejscu na

nogi przed tylną kanapą samochodu. Na Sea Cliff Road wyskakuje z auta. Biegnie w dół w kierunku plaży.

Kate знаła tę drogę. Podczas burzy, w ciemnościach i strugach deszczu... Przeszedł ją dreszcz.

– Ktoś ją ściga. Prawdopodobnie kierowca samochodu. Skacze do wody. Krótco potem zjawia się Barnes i usiłuje wyciągnąć ją na brzeg. Jak pani by to oceniła?

– Wziąłabym pod uwagę wiele kwestii, między innymi i tę możliwość, że Barnes w jakiś sposób jest w to zamieszany – oznajmiła Kate. – I z całą pewnością, Jasonie, rozważał ją również Caleb Hale ze swoimi ludźmi. Gruntownie zbadali tę sprawę, ręczę za to głową. Jeśli Barnes mimo to nie został aresztowany i nadal żyje na wasz koszt, może to świadczyć o tym, że niczego nie znaleziono. Niczego, co wsparłoby podejrzenie albo wręcz je potwierdziło. Przykro mi bardzo, ale nic na niego nie mają.

– Co wcale nie oznacza, że jest niewinny!

– Oznacza jednak, że to bardzo prawdopodobne. Prześwietlili go na wylot, całe jego życie, może mi pan wierzyć.

Odstawił kubek z gorącą herbatą na podłogę i spojrzął na Kate.

– Czy mogłaby pani...?

– Co takiego?

– Pracuje pani w Scotland Yardzie. Czy mogłaby pani raz jeszcze sprawdzić Alexa Barnes'a?

Kate dobrze znała tę śpiewkę: *Scotland Yard* brzmiało jak magiczne zaklęcie. Na jego dźwięk ludzie wierzyli, że rozwiązany zostanie każdy problem. Kiedy Scotland Yard podjął się jakiejś sprawy, sukces był gwarantowany. Kate doskonale wiedziała, że to nieprawda.

– Jason, to niemożliwe. Nie wolno nam się mieszać w dochodzenie prowadzone przez inną jednostkę policji, jeśli nie dostaniemy stosownego wezwania. Po prostu... nie mogę tego zrobić!

– Ale jest pani na urlopie. Może pani zbadać tę sprawę jako osoba prywatna.

– Tego mi nie wolno. Poza tym komisarz Hale i jego ludzie wykonują świetną policyjną robotę. Ustalą, co naprawdę się wydarzyło. Jestem tego pewna.

Jason był na skraju wyczerpania nerwowego, Kate wyraźnie to dostrzegła. Uprawdzenie córki przerosło jego siły. Choć wszystko miało się ułożyć, sprawy przybierały coraz gorszy obrót. Amelie wciąż nic nie mówiła, pogrążona w głębokiej traumie. Deborah usiłowała sprostać zobowiązaniom wobec człowieka, który uratował

jej córkę, choć tym samym rodzina popadała w coraz większe finansowe tarapaty. Jason bezradnie się temu przyglądał. Był zrozpaczony, gdyż nie potrafił rozwiązać tego dylematu.

– Załóżmy, że Barnes rzeczywiście nie ma nic wspólnego ani z porwaniem, ani z porywaczem. Przechodził tamtędy zupełnie przypadkiem. Mimo to jego obecne zachowanie nie jest w porządku, prawda? – Spojrzał na Kate błagalnym wzrokiem. – On nas doszczętnie oskubie. Tak się... tak się po prostu nie robi!

– Ale to nie jest karalne. Jasonie, może ten człowiek ma naprawdę nikczemny charakter i bez skrupulów wykorzystuje fakt, że pańska rodzina jest mu winna wdzięczność. Współczuję, ale za coś takiego nie wsadza się do więzienia. Musi pan przekonać Deborah, że Barnes w bezwzględny sposób ją wykorzystuje. To jedyna droga.

– Albo też w życiorysie Barnes'a znajdzie się coś, co zaszokuje Deborah. Co stłumi w niej to nieustanne poczucie wdzięczności. Coś, co potwierdzi, jak zimny to człowiek, jak pazerny i pozbawiony skrupulów.

– Być może tak jest, ale... – Kate przerwała zdjęta litością. Jason uczeplił się wyobrażeń, dla których brakowało jakichkolwiek poszlak.

– Czy nie mogłaby pani tego sprawdzić? Jako osoba prywatna? Jako... znajoma Deborah? Zmartwiona jej stanem?

– Jak miałabym to zrobić?

– Porozmawiać z nim.

– Jason...

– Proszę.

– Znalazłabym się wówczas cholernie blisko dochodzenia prowadzonego przez komisarza Hale'a. Narobiłabym sobie ogromnych kłopotów.

– Nie dojdzie do tego, jeśli nie będzie pani występować jako funkcjonariuszka policji. Kate zrozumiała, że Jason nie odpuści.

– Niczego nie mogę obiecać – oznajmiła. – Zastanowię się, jak mogę pomóc pańskiej rodzinie, a w szczególności Deborah, ale nie mogę zagwarantować, że znajdę jakieś rozwiązanie. I że w ogóle da się cokolwiek zrobić. Przykro mi.

Jason skinął głową. Sięgnął po kubek, małymi łykami dopił resztę herbaty. Następnie wstał.

– Przepraszam – powiedział. – Byłem chyba zbyt natrętny. I nachalny. Przykro mi. Wyszedł z pokoju. Kate podążyła za nim.

Przystanął w drzwiach i odwrócił się do niej.

– W razie konieczności – oznajmił – sam rozpocznę poszukiwania. Nie zostawię tej sprawy. Nie pozwolę zniszczyć sobie życia.

Zniknął w ciemnościach.

Kate patrzyła za nim pełna niepokoju i smutku. Zrobiło jej się żal. Żal całej rodziny.

„Mimo to nie mogę się do tego mieszać” – pomyślała.

Zamknęła za sobą drzwi.

2

Caleb wcześniej wrócił do domu. Robił tak czasem, gdy musiał coś gruntownie przemyśleć. W ulu, który nierzadko przypominały pomieszczenia wydziału śledczego w Scarborough, nie potrafił uporządkować myśli. Nikogo z kolegów to nie dziwiło, wszyscy bowiem wiedzieli, że szef niejednokrotnie wracał następnego dnia z błyskotliwym pomysłem, jak należy dalej poprowadzić śledztwo. Tym jednak razem sam w to nie wierzył, był nawet pewny, że kiedy nazajutrz otworzy oczy, wciąż będzie się zmagał z tą samą kwestią, nad którą głowił się poprzedniego wieczoru przed zaśnięciem. Jeśli w ogóle zdoła zasnąć. Ta sprawa wyczerpywała jego siły. Istny gąszcz. Nieprzenikniony. A on nie znalazł nic, co mogłoby posłużyć za punkt zaczepienia.

Miał wielką ochotę wstąpić do pubu. Nie znalazłby tam ciszy i spokoju, nie ciszy jednak szukał. Lubił otaczać się ludźmi i powszechnym gwarem, najważniejsze zaś, że w takim publicznym miejscu jak pub nikt go nie zaczepiał, dzięki czemu mógł się całkowicie pogрузić we własnych myślach. Nie miał wówczas poczucia samotności, a zarazem mógł snuć swe rozmyślania. W domu szybko zaczynał czuć się jak w więzieniu. Duży, pusty dom, w którym mieszkał sam od wielu lat, od dnia rozwodu... Za duży, czasem deprymujący. Z pokoi na piętrze można było podziwiać morze. To dla jego widoku tam został. Gdyby nie on, już dawno poszukałby sobie jakiegoś małego mieszkania.

Zdecydował, jak zwykle, że nie wstąpi jednak do pubu, gdyż czyhało tam zbyt wiele niebezpieczeństw. Ściśle mówiąc, tylko jedno: podawano tam alkohol i wszędzie unosił się jego zapach. Caleb nigdy nie przypuszczał, że były alkoholik – no dobra, na wpół były alkoholik – może tak intensywnie chłonać jego woń. Natychmiast wszędzie ją wyczuwał, w oddechu przechodzącego w oddali człowieka, w pomieszczeniu, w którym poprzedniego wieczoru odkorkowano szampana, w pudełku czekoladek, którymi

częstowano w biurze, z których tylko jedna zawierała śladową ilość wiśniowego likieru. Przypominał psa wyszkolonego do szukania narkotyków. I za każdym razem na czole perlił mu się pot, czasem też lekko drżały mu dłonie. Nie mógł nic na to zaradzić, jego organizm reagował wszystkimi kłębkami nerwów, włókien, sensorów. Brak kontroli nad swoim ciałem uznawał w takich chwilach za upokarzający i ponizający. Zarazem traktował jak niedorzeczność: zamroczony alkoholem zazwyczaj traci *wszelką kontrolę* nad sobą. W weekendy, kiedy nie narzucał sobie żadnych ograniczeń, budził się często we własnych wymiocinach, nie mając pojęcia, jakich przykrości napłócił albo narobił, zanim padł zamroczony. Wszystko to jednak nie przeszkadzało mu w takim stopniu, jak ledwie zauważalne drżenie rąk oraz pokrywające czoło drobne krople potu. Być może dlatego, że zawsze sobie powtarzał, iż pewnego dnia zdoła nad tym zapanować – i owa uroczą fatamorgana chroniła go przed utratą pewności siebie. Miał jednak świadomość, że tak naprawdę nigdy nie uda mu się tego dokonać. Na pewno nie w sposób ostateczny.

Już na zawsze pozostanie alkoholikiem. Wciąż mu to powtarzano w trakcie terapii, lecz słowa te pozostawały dlań czystą abstrakcją. Dopiero później zrozumiał, jakie to w rzeczywistości uczucie.

Wiedział, że w pubie długo nie wytrzyma i w końcu zamówi piwo, co gorsza, na jednym się nie skończy. To się po prostu nie udawało, ot, przypadek beznadziejny. A jeśli będzie miał pecha, spotka jednego z kolegów, i to akurat w chwili, gdy poprosi o dolewkę. To zaś oznaczało ostateczną katastrofę.

W domu także zdarzało mu się wypić. W kuchni zgromadził odpowiednie zapasy. Wyraźnie wbrew zaleceniom terapeuty. Żadnego alkoholu w zasięgu ręki – to żelazna zasada. Caleb od dawna ją ignorował.

Tutaj przynajmniej nie miał świadków.

Siedział przy stole w dużym, otwartym pokoju dziennym, z którego wydzielono część kuchenną. Postawił przed sobą szklankę wody, choć wiedział, że w szafce za swoimi plecami znajdzie niejedną butelkę whisky. A także kilka butelek francuskiego wina. W lodówce chłodziło się piwo.

Usiłował stłumić w sobie te myśli. Miał poważniejsze sprawy na głowie.

Alex Barnes. Do jego mieszkania dotarli za późno, by zabezpieczyć ewentualne ślady. Alex wyprowadził się kilka dni wcześniej; zanim zjawił się w domu Goldsbych, parę nocy spędził u znajomego. Właściciel, który już dawno chciał się go pozbyć z powodu niezapłaconego czynszu, bezzwłocznie przystąpił do prac remontowych. Zerwał podłogi, pomalował ściany. Zamówił nowe meble kuchenne, które jeszcze nie

dotarli na miejsce.

– Jaka kuchnia stała tu uprzednio? – wypytywał Caleb. – I co pan zrobił z meblami?

– To była niesamowita składanka, prastara kuchenka, zepsuta lodówka, stół z rozchwianymi nogami. Innych mebli nie miał. Spał w śpiworze na podłodze, ciuchy rozwieszał gdzie popadnie i upychał do wielkiej torby. Miał jeszcze krzesło... Wszystko zostawił, wezwałem firmę od wywozu gratów. Dużo tego nie było.

Caleb zaklął. Nie pozostało nic, co mogłoby dać im jakieś wskazówki.

Sierżant Stewart próbował go uspokajać.

– I co niby mielibyśmy tu znaleźć? Ślady pobytu Amelie Goldsby? W tym mieszkaniu na pewno jej nie przetrzymywano.

Lokum znajdowało się w centrum miasta, wciśnięte między podwórza. Trudno sobie wyobrazić, by ukrywano tu ofiarę porwania.

– Samochód – rzucił Caleb. – Musimy odnaleźć auto, którym uciekła.

Alex Barnes nie posiadał samochodu, z całą pewnością. Sprawdzili każdą wypożyczalnię w bliższej i dalszej okolicy, rozpytywali w jego dawnym sąsiedztwie, lecz ani nie figurował w rejestrze którejkolwiek wypożyczalni, ani też nikt nie widział go za kierownicą.

– I tak nie było go na to stać – podsumowała lekceważąco jedna z sąsiadek.

Niewiele przyniosło również wypytywanie mieszkańców w okolicy parkingu przy Sea Cliff Road. Nikt niczego tamtego wieczoru nie zauważył. Nikt nie rozpoznał Alexa Barnes na pokazywanym przez funkcjonariuszy zdjęciu.

– Żadnego postępu – mruknął Caleb. Upił łyk wody. – *Nie* myśl teraz o whisky – nakazał sobie. Wyjrzał przez okno. Wybiła dopiero piąta po południu, lecz na dworze zaległa już ciemność. W mokrej od deszczu okiennej szybie odbijało się wnętrze pokoju. Ujrzał w nim samotnego mężczyznę siedzącego przy ogromnym stole. Wybrany przez żonę, w nadziei, że zasiądzie przy nim wielu gości. Uwielbiała otaczać się ludźmi, podejmować ich, rozmawiać do późna w nocy, śmiać się... Miło było z nią mieszkać. Przegnał ją, któregoś dnia po prostu odeszła. Nie potrafiła dłużej znieść tego alkoholowego dramatu, Caleb doskonale to rozumiał. Od tej pory mieszkał sam, nie przyjmował żadnych gości. Nawet nie wiedziałby, jak się wobec nich zachować.

I znów odbiegał od tematu. Przymuszał się, by zająć się tym zawiłym przypadkiem. Rozłożył przed sobą kartkę papieru, w dłoni trzymał flamaster.

Widniało na niej imię i nazwisko: *Alex Barnes*.

Dopisał na końcu duży znak zapytania. Musiał zostawić Barnes w spokoju. Nie lubił

go, za paskudny uznał sposób, w jaki nadużywał wdzięczności Deborah – doktor Goldsby niemal codziennie dzwonił do niego w tej sprawie. Nie znaleźli jednak niczego, co wsparłoby podejrzenie, że popełnił czyn karalny. Może rzeczywiście zupełnie przypadkiem tamtędy przechodził. Może wracając z pizzerii, w której pracował, rzeczywiście wybrał tę absurdalną okrężną drogę przez Cleveland Way, mimo okropnej aury, gdyż biegła tamtędy trasa jego codziennego treningu. Może wszystkie jego zeznania były prawdziwe.

„W takim razie czemu mam dziwne przeczucia?” – zapytywał Caleb sam siebie.

Prawdopodobnie dlatego, że prócz Alexa Barnesa nie miał nikogo innego. Wraz z nim tracił resztkę nadziei na to, że w rozsądnym czasie wyjaśni tę historię. Nie miał żadnych innych wskazówek, które doprowadziłyby go do porywacza albo do drugiego podejrzanego, kierowcy samochodu, w którym Amelie Goldsby zdołała uciec. Beznadziejna sprawa.

Na kartce zapisał trzy nazwiska. *Hannah Caswell, Saskia Morris, Amelie Goldsby.*

Kate Linville uważa, że Hannah Caswell może mieć coś wspólnego z pozostałą dwójką dziewcząt. Ją także porwano na ulicy, była w podobnym wieku. Caleb miał jednak wątpliwości. Swego czasu prowadził dochodzenie w jej sprawie, które utknęło wówczas w martwym punkcie. Nie znaleziono żadnych śladów, porzuconego telefonu albo torebki, jak w przypadku Morris czy Goldsby. Nie było też zwłok. Dosłownie nic. To jeszcze nie wykluczało ewentualnych związków, lecz mimo wszystko Caleb powątpiewał w ich istnienie. Czas dzielący tę sprawę od obu pozostałych wydawał mu się po prostu za długi.

Zostają więc Saskia Morris i Amelie Goldsby. Jedną znaleziono martwą, druga zaginęła dzień później. Czyżby sprawca nie zadowolił się jedną ofiarą?

Nałogowiec, stwierdził Caleb, i znów butelka whisky rozproszyła jego myśli.

Dlaczego pozwolił, by Saskia Morris umarła z głodu i pragnienia? Bardzo pasywny sposób mordowania. Bezkrwawy, pozbawiony wszelkiej bezpośredniej cielesnej przemocy. Martwą porzucił daleko stąd, pośród wrzosowisk. Całymi miesiącami mieszkała u niego. Z nim? Gdzie można przez tak długi czas ukrywać człowieka, by nikt niczego nie zauważył?

Ach, te historie. Psychopaci budujący podziemne lochy. Priklopil, Fritzl. Wielokrotnie skazany przestępca seksualny Phillip Garrido, który Amerykankę Jaycee Lee Dugard więził osiemnaście długich lat.

Czy mieli do czynienia z tego rodzaju perwersją?

Saskia nie została zgwałcona, co wcale nie oznacza, że porywacz nie dopuścił się wobec niej przemocy seksualnej. Dlaczego pozwolił jej umrzeć? Czyżby stała się nazbyt krnąbrna? Albo za stara? W chwili porwania miała czternaście lat, piętnaście, gdy umarła. Czyżby pożądanie trwało tak krótko? Czy dziewczęta, których pragnął, musiały znajdować się w owym krótkim stadium przejściowym pomiędzy niedojrzałością dziecka a dorosłością młodej kobiety?

I co właściwie z nimi robił?

Caleb dość często miał do czynienia z pedofilami. Wiedział, jak potrafią być wybredni. Jak bardzo wyrafinowani w swych upodobaniach i praktykach.

Pedofile dopuszczali się oczywiście przemocy, lecz niekoniecznie byli zdolni do morderstwa.

Zagłodzenie na śmierć pasowało do tego profilu. Sprawca miał już dość Saskii. Nigdy jednak nie uśmierciłby jej własnymi rękoma. Po prostu przestał ją odwiedzać. Zignorował jej istnienie, wyrugował ze swych myśli.

„Z pewnością próbowała wrzeszczeć, krzyczeć, zwrócić na siebie uwagę” – pomyślał Caleb. A to wskazywałoby, że przetrzymywano ją w miejscu, gdzie nikt nie mógł jej usłyszeć. Nawet sam porywacz, który pewnie by tego nie zniósł.

Zwłoki Saskii znaleziono na wrzosowiskach. Podobnie jak torebkę Amelie.

Wrzosowiska. Bezkresna kraina. Pełna pagórków, dolin, płaskowyżów. Samotnych zagród.

„Szukanie igły w stogu siana” – pomyślał Caleb. Amelie mówiła o dłuższej podróży samochodem, to by się zgadzało. Sprawca porywał ofiary w mieście, to oczywiste, na opustoszałych lokalnych drogach i polnych ścieżkach rzadko można spotkać młode dziewczęta. Potem jednak wywoził je daleko. Na kompletne odludzie. Tam, gdzie miały tylko jego. Wydane na pastwę jego zachcianek.

Przeszedł go dreszcz, gdy pomyślał, co mogło spotkać Amelie.

W gruncie rzeczy Amelie była jedyną kartą, jaką trzymał w dłoni. Widziała sprawcę. Mogła przynajmniej opisać wnętrze budynku, w którym ją przetrzymywano. Jakimś cudem udało jej się stamtąd uciec. Dzięki temu wiedzieli o istnieniu współsprawcy. Amelie była marzeniem każdego śledczego. Teoretycznie. Niestety wciąż milkła, gdy rozmowa dotyczyła rozstrzygających wydarzeń. Sierżant Helen Bennett nadal codziennie ją odwiedzała.

– Wciąż mówi wyłącznie o wodzie – relacjonowała Helen. – W kółko to samo. O śmiertelnym strachu, gdy znalazła się w wodzie.

„Wpadła w pułapkę tej jednej sekwencji – pomyślał Caleb. – Dla nas to fatalna wiadomość”.

Mieli opis sprawcy i jego portret pamięciowy. Pokazali go zupełnie załamany rodzicom Saskii Morris, którzy jednak nie rozpoznali tego mężczyzny. Nic też im nie mówiło zdjęcie Alexa Barnes’a.

– Nigdy nie widzieliśmy go na oczy. Przykro nam. Nikogo takiego nie ma w kręgu naszych znajomych.

To było do przewidzenia. Wiele wskazywało na to, że swoje ofiary wybierał na zasadzie przypadku. Krążył po ulicach. Wypatrywał ofiary. Wyczekiwał dogodnej okazji. I wtedy uderzał.

To zaś oznaczało, że w każdej chwili może ponownie zaatakować. Nawet jeśli prawdopodobnie jest teraz zszokowany ucieczką Amelie. Nie mógł wiedzieć, że Amelie nic nie powiedziała. Pewnie nawet nie wiedział, ile widziała na własne oczy. A to kazało mu się na pewien czas wycofać.

Portret pamięciowy sporządzony na podstawie opisu Amelie przedrukowano w większości lokalnych gazet, wciąż też widniał w internecie. Mieszkańcy dostarczyli pewnych wskazówek, lecz żaden ze śladów sprawdzonych przez policję nie okazał się przydatny. Do jakiego stopnia mogli w ogóle zaufać zeznaniom pogrążonej w traumie Amelie? Caleb miał wrażenie, że mimo najlepszych chęci dziewczyna zachowywała równowagę psychiczną jedynie dzięki stłumieniu w sobie ogromnych fragmentów swojej historii. Nikt nie miał pojęcia, czy opisała porywacza w sposób realistyczny.

„Mam tak niewiele – pomyślał Caleb – cholernie mało”.

Kiedy morderca z wrzosowisk ponownie zaatakuje, on i jego koledzy znajdą się pod presją. Następnym razem nie będą mieć tyle szczęścia. Porwana zdołała uciec, bo widocznie nie dość uważał, zbyt lekkomyślnie podszedł do sprawy. Każda następna ofiara nie będzie już miała ani cienia szansy.

Caleba przeszło znajome uczucie... Atak paniki. Myśli zaczęły się kotłować w jego głowie. Ogromny kłębek wełny, w którym on nie potrafił znaleźć początku. Gdzieś krył się przed nim szczegół, który mógł go zaprowadzić dalej, nie miał wątpliwości, zawsze tak bywało. Nie potrafił go jednak dostrzec, coraz bardziej wikłając się w swoich poszukiwaniach.

Myśl o butelce whisky w szafce za jego plecami stawała się coraz bardziej natarczywa.

Pewien określony stopień zamroczenia alkoholowego pozwalał mu snuć genialne

myśli, dzięki którym prowadzone przez niego dochodzenia rzeczywiście posuwały się naprzód. Dawniej doskonale nad tym panował. Potrzebował co prawda mnóstwo alkoholu – inni po takiej dawce dawno by już leżeli półprzytomni pod stołem – lecz Caleb zyskiwał wtedy pewność siebie, wewnętrzną siłę, przenikliwość umysłu. Świat przed jego oczami, jak również świat myśli w jego głowie nabierał wówczas jasnych, ostrych konturów, pozbawiony zniekształceń stawał się wyrazistszy. Dostrzegał rzeczy uprzednio przed nim zakryte. Czasem potrafił zadziwić swój zespół, ukazując badany przypadek z perspektywy, która zmieniała wszystko.

Szef i jego genialne chwile – mawiano wówczas. Za jego plecami dopowiadano też jednak: *Szef i jego pijackie chwile*. Nie zawsze wykazywał się aż taką przenikliwością – naprawdę sądził, że nikt z otoczenia nie wie o jego problemach alkoholowych. W rzeczywistości wiedzieli o tym wszyscy. Odkrycie tej prawdy stało się jednym z najbardziej szokujących doświadczeń jego życia.

Odkąd przebrnął przez terapię odwykową i całymi tygodniami zachowywał abstynencję, stracił kontrolę nad dawkowaniem. Na niewielkie ilości whisky reagował wówczas w sposób, jaki uprzednio przydarzał mu się dopiero po całej nocy pijaństwa. To wszystko komplikowało. Z drugiej strony nie potrafił powrócić do dawnego rytmu i przywyknąć do uprzedniej odporności na alkohol. Terapii odwykowej poddał się dlatego, że lekarz przystawił mu pistolet do piersi: Albo przestanie pan pić, albo pańską wątrobę diabli wezmą. Dwa lata, jeśli dopisze panu szczęście. A wtedy pański organizm odmówi posłuszeństwa.

Wstał, poszedł do kuchni. Szklanka. Problemem była powściągliwość. Ale może się uda. Przestać. Po jednej szklaneczce.

Jeszcze nigdy ci się to nie udało. Ani razu.

Celowo nie dosłyszał nieprzyjemnego głosu grzmiącego w jego głowie, otworzył drzwi szafki. Whisky błyszczała w butelce niczym kremowe złoto. Albo płynny bursztyn.

Wyczuwał jej woń. O Boże, nie wiedział, do czego byłby zdolny, gdyby teraz ktoś chciał mu przeszkodzić w sięgnięciu po butelkę.

Zabrzęczała leżąca na stole komórka.

Caleb zaklął, zdołał się jednak odwrócić i podejść do stołu. Musiał czuwać pod telefonem, nie mógł zignorować żadnej wiadomości. Dłonie tak bardzo mu drżały, że dopiero za drugim razem udało mu się odebrać.

Dzwonił sierżant Stewart.

– Nowiny, sir.

– Dobrze? – zapytał skrzekliwym głosem. Odchrząknął. – Dobre wieści? – powtórzył.

– Zależy, jak na to spojrzeć – odparł Robert. – Sprawdziłem wszystkie wypożyczalnie samochodów w okolicy Scarborough. Nigdzie ani śladu Alexa Barnes'a. Dziesięć minut temu zgłosił się do mnie ISY Rent. Odnaleźli Barnes'a w swoich dokumentach. Niejaki William Brown, przypuszczalnie znajomy Barnes'a, wynajął u nich samochód. Zarejestrowano także prawo jazdy Barnes'a, a to oznacza, że również Barnes mógł prowadzić pojazd. A teraz najlepsze: rezerwacji dokonano czternastego października.

Caleb zrozumiał w lot.

– W dniu uprowadzenia Amelie Goldsby! To znaczy...

– Problem w tym – przerwał mu Robert – że auto odebrano dopiero wieczorem. William Brown wynajął je *online* wczesnym popołudniem, wieczorem odebrał je tutaj, w Scarborough. Kilka godzin po porwaniu Amelie.

– Ten Brown może być sprawcą. A Barnes jego pomagierem.

– Ale nie zgadza się pora.

Caleb poczuł pulsowanie w skroniach.

– Mimo wszystko. To nie może być przypadek. Do kiedy korzystali z samochodu?

– Do wieczora następnego dnia. Niedziela, piętnasty października.

– Co to za auto?

– Furgonetka.

– Nadaje się do...

– Biała furgonetka. Amelie mówiła o dużym, ciemnym pojeździe. Jest zdezorientowana i roztrzęsiona, ale aż tak bardzo nie mogła się pomylić.

– A co z dniem ucieczki Amelie? Piątek, dwudziestego października. Jakaś rezerwacja dokonana przez Browna i Barnes'a?

– Nie. Żadnej także w poprzednie dni.

– Przynajmniej nie w tej samej wypożyczalni.

– Sprawdziłem wszystkie. Nie ma żadnej innej.

– Mogli pożyczyć prywatny samochód. Należy niezwłocznie odnaleźć tego Williama Browna i go przepyttać. Cholera jasna, straciliśmy tyle czasu. Przy odrobinie zaangażowania ze strony wypożyczalni...

– Bądź co bądź zadzwonili.

Caleb się zamyślił.

– To nie jest przypadek – stwierdził po chwili. – Za dużo przypadków. Przypadkiem Barnes przechodzi tamtego wieczoru w miejscu, gdzie Amelie, uczepiona nadbrzeżnego muru, woła o pomoc. Przypadkiem w dniu jej porwania wynajmuje razem z innym mężczyzną samochód. Jeśli w coś nie wierzę, to właśnie w przypadki. A przynajmniej wtedy, gdy się mnożą.

Sierżant Stewart postrzegał to nieco inaczej. Uważał, że w życiu zbiega się czasem zadziwiająco wiele przypadków. Mimo to również i nim wstrząsnęła wiadomość przekazana przez ISY Rent.

– Samochód sprawdzą technicy od badania śladów – wyjaśnił. – Chociaż, jak zawsze po oddaniu do wypożyczalni, pojazd został wyczyszczony. Od tego czasu wielokrotnie go wypożyczano i *za każdym razem* sprzątno. Dlatego nie mam złudzeń, że znajdziemy coś przydatnego, choć oczywiście spróbujemy.

Caleb westchnął. Wyremontowane mieszkanie. Wyczyszczony samochód. Barnes miał więcej szczęścia niż rozumu.

– Wezwałem Barnes'a na przesłuchanie na jutro rano – ciągnął Robert. – Ochoczo się zgodził.

– Chytra z niego sztuka – ocenił Caleb. – Co z tym Brownem?

– Mam jego adres. Dwóch ludzi już do niego jedzie.

– Dobrze.

– Jest jeszcze coś – dodał Robert.

– Tak?

– Nie wiem, czy to ma jakiś związek... ale zaginęła kolejna dziewczyna. Mandy Allard. Jakiś czas temu.

W normalnych warunkach zgłoszenie zaginięcia w ogóle nie dotarłoby do ich wydziału, jednakże z uwagi na obecną sytuację pojawił się u nich stosowny meldunek. Caleb przypomniał sobie o nim.

– Tak. Ale to był przypadek przemocy domowej, prawda? Matka zaatakowała dziewczynę i dlatego ta uciekła z domu. To nie nasza działka.

– Dlatego byłbym w tej sprawie ostrożny. Niemniej opiekunka dziewczyny z ramienia opieki społecznej pojawiła się w sobotę rano w komisariacie i oznajmiła, że zna ostatnie miejsce pobytu dziewczyny. Jakaś rudera zamieszкана przez bezdomnego. Był tam nasz patrol, ale po dziewczynie ani śladu.

– Nie sądzę, by nasz zakres kompetencji...

– Poza tym – wszedł mu w słowo Robert – dzisiaj w południe zgłosiła się na

posterunek starsza kobieta. Trzydziestego października przed południem widziała dziewczynę wybiegającą w popłochu z domu, w którym mieszka. Uciekała z mieszkania na najwyższym piętrze, zajmowanym, według zeznania starszej pani, przez ekscentrycznego dziwaka. Nazywa się Brendan Saunders. Opis dziewczyny pasuje do Mandy Allard.

– Czemu ta kobieta dopiero teraz z tym przychodzi? Po upływie tygodnia?

– Przez cały czas chyba nie była pewna, czy ta informacja ma jakieś znaczenie. Poza tym nie chciała mieć kłopotów. Mieszka z Saundersem w tym samym budynku... Ale nie dawało jej to spokoju.

– Hm – mruknął Caleb. Nie uznał tego za najciekawszy ślad w historii.

– Powinniśmy sprawdzić tego Saundersa – oznajmił Robert. – Figuruje w naszym rejestrze.

– Z jakiego powodu?

– Należał do grupy młodocianych, którzy w dwa tysiące piątym roku na terenie zamkniętej fabryki przez wiele godzin wykorzystywali pewną dziewczynę. Był jednym z tych, którzy tamtego dnia podobno nie brali w tym udziału, a jednak należał do tej kliki. Był jej częścią. Dziwne, prawda?

Wtorek, siódmy listopada

– Gdybym tylko miał własny samochód – narzekał Alex. – Nie musiałbym wtedy za każdym razem prosić panią o pomoc. To takie niezręczne!

Siedzieli w kawiarni w Hull, usiłując nieco się rozgrzać przy gorącej herbacie. Przez ostatnią godzinę krążyli po wietrznej ulicy handlowej i całkowicie wymienili garderobę Alexa. Deborah za wszystko zapłaciła z własnej kieszeni. Miała wyrzuty sumienia, gdyż wieczorem Jason znów straci nerwy i będzie jej to wytykał. Próbowwała sobie jednak tłumaczyć, że nieco bardziej zadbany wygląd Alexa zwiększy jego szanse na zdobycie zatrudnienia – a znalezienie przez niego pracy leżało w ich najpilniejszym interesie. Musiał stanąć na własnych nogach, w przeciwnym bowiem razie będą go mieli na karku aż po samą wieczność.

Zadzwoił do niej w południe i powiadomił o rozmowie kwalifikacyjnej, na którą miał się stawić późnym popołudniem w Hull. Jakaś praca przy biurku w firmie budowlanej, wcale nie miał na to ochoty, lecz jak się wyraził, nie mógł sobie pozwolić na wybrzydzenie.

– A do tego Hull leży spory kawałek drogi od Scarborough – dodał.

Zdanie to okazało się dla Deborah decydujące. Jeśli dostanie tę pracę, w końcu przeprowadzi się do Hull. Codzienne dojazdy byłyby rzeczywiście absurdem, nawet gdyby jakimś cudem stać go było na własny samochód. Pragnęła, by wreszcie zniknął, najlepiej na końcu świata. Hull stanowiło przynajmniej jakiś początek.

Zdecydowała więc, że go tam zawiezie. Po drodze zaciągnęła Alexa do fryzjera, zabrała go też do kilku sklepów z modą męską. Nieustannie zapewniał, że nie może się na to zgodzić, w końcu dał oczywiście za wygraną. Deborah kierowała się wyższym celem. On zaś... no cóż, odniosła wrażenie, że przez cały czas się uśmiecha. Nie w sposób widoczny, wręcz przeciwnie, minę wciąż miał skruszoną. A jednak w głębi serca się śmiał. Rozkoszował sytuacją. Spodobało mu się, że dostanie nowe, eleganckie ubranie, nie płacąc za nie ani pensa. Jason miał rację: Alex był zadowolony, że rodzina Goldsbych jest mu winna wdzięczność. I był zdecydowany sytuację tę ze wszech miar wykorzystać.

„Dopóki będziemy mu na to pozwalać” – pomyślała Deborah.

Przyglądała mu się ponad blatem stołu, czując z zadowoleniem, jak jej palce

oplatając filiżankę z herbatą powoli się rozgrzewają i budzą do nowego życia. Co za głupota, żeby zapomnieć zabrać rękawiczek.

W nowej fryzurze i nowym ubraniu wyglądał znacznie poważniej, a przynajmniej na tyle poważnie, na ile wyglądać może człowiek jego pokroju. Deborah uznała, że kryje się w nim jakaś wrodzona przebiegłość. Być może było to tylko wrażenie albo zwyczajnie to sobie wmawiała. W oczach innych ludzi być może jest po prostu miłym, normalnym mężczyzną, który nie potrafi wprawdzie zapanować nad własnym życiem, ma jednak poczciwą i pomocną naturę. Z początku sama tak właśnie go oceniła. Wówczas, gdy z wdzięczności złożyłaby mu do stóp cały świat.

– Musiałem dziś z samego rana zgłosić się na policję – oznajmił Alex. Westchnął cicho. – To się nigdy nie skończy. Ten komisarz Hale najwyraźniej się na mnie uwziął.

– Co tym razem? – zapytała Deborah. Nie mogła ścierpieć Alexa, lecz nie podzielała też podejrzeń Hale'a. Nie potrafiłaby tego uzasadnić, niemniej w jej oczach po prostu nie wyglądał na kryminalistę. Ot, naciągacz. Dbający wyłącznie o własną korzyść. Ale nie kryminalista.

– Czternastego października mój kumpel wynajął samochód – wyjaśnił Alex. – W ISY Rent. Furgonetkę. Mnie też wpisano jako kierowcę.

– Czternasty października to dzień, w którym...

– Tak. Hale'a totalnie to zelektryzowało. Ten facet tak strasznie błądzi we mgle, że chwyta się wszystkiego, a ja stałem się teraz jego ulubieńcem. Może nawet jedynym. – Zrobił krótką pauzę. – Zauważyła pani, że on pije?

– Nie – odparła zszokowana Deborah. Hale pije? Nic podobnego. Może Alex chce go tylko oczernić.

– Od razu wiem, kiedy człowiek ma problemy z nałogiem, szczególnie alkoholowym – wyjaśnił Alex. – Widać to po źrenicach. I barwie skóry. A także po sposobie zachowania. Nie pozwala sobie na to, gdy jest na służbie, i oczywiście nie bełkocze. Ale ledwo wytrzymuje przez cały dzień. Przypuszczam, że przynajmniej co drugi wieczór sięga po butelkę whisky.

Deborah lubiła nadkomisarza Hale'a.

– Powinien pan zachować ostrożność w rozpowszechnianiu takich plotek – odparła rozgniewana. – Zapewne to nieprawda, a może zniszczyć człowiekowi życie.

– Zobaczy pani, że mam rację – zapewnił Alex.

– A co z tym samochodem?

– Wypożyczył go mój znajomy, bo w następnym poniedziałek miał się przeprowadzić.

Przez całą niedzielę przewoziliśmy razem niektóre rzeczy do nowego mieszkania. William, mój kumpel, był przesłuchiwany przez wiele godzin. Nadal jest w szoku. Na szczęście musieli go wypuścić. Jego sąsiedzi potwierdzili, że widzieli, jak dźwigaliśmy skrzynie. Hale jest totalnie sfrustrowany. – Alex cicho się roześmiał. – A już myślał, że będzie mógł się pochwalić jakimś sukcesem.

– Furgonetka...

– Biała furgonetka. Amelie opowiadała o dużym, ciemnym samochodzie, do którego ją zaciągnięto. Opis sprawcy zupełnie do mnie nie pasuje. Poza tym pewnie nie tak łatwo pozwoliłaby się ratować komuś, kto wcześniej ją porwał i więził.

– Mógł pan być owym drugim mężczyzną – oznajmiła Deborah. – Kierowcą samochodu, w którym uciekła. – Po czym spiesznie dodała: – Nie żebym w to wierzyła, ale...

– Pani mąż z pewnością ma nadzieję, że to ja – odparł Alex – ale na szczęście w chwili ucieczki Amelie pracowałem w pizzerii. Nie da się temu zaprzeczyć. – Dopił herbatę i rozejrzał się za kelnerem. – Potrzebuję czegoś mocniejszego. Pani także?

– Nie, dziękuję. A pan nie powinien pić przed rozmową kwalifikacyjną.

– Kieliszkiem wódki się nie upiję, za to nieco się rozluźnię. – Zamówił grappę. Kiedy mu ją podano, kontynuował: – Pani mąż ma nadzieję, że to ja, bo chce się mnie pozbyć.

– Ależ skąd. Oboje jesteśmy panu wdzięczni. Jason tak samo jak ja.

Alex się roześmiał.

– To jasne, że są mi państwo wdzięczni. Ale chętnie skorzystaliby państwo z okazji, by się od tej wdzięczności uwolnić. Nikt nie lubi czuć się zobowiązany. Niestety, Hale mimo najlepszych chęci nic mi nie może zrobić. Pomijając fakt, że byłem wtedy w pracy, w dniu, w którym uciekła Amelie, nie wypożyczyłem żadnego samochodu. Nigdzie.

„Oficjalnie może i nie” – pomyślała Deborah.

– Jak się miewa Amelie? – zapytał Alex.

Deborah niemal poczuła, jak posępnieje na twarzy.

– Nie za dobrze. Praktycznie przez cały dzień przesiaduje w swoim pokoju i gapi się przez okno. Nawet nie chodzi po domu, nie je z nami posiłków.

Nie inaczej było przed porwaniem. Od jakichś dziewięciu miesięcy Amelie coraz bardziej się od nich odwracała. Jakby przebywanie z rodzicami, a szczególnie z matką, stało się dla niej najgorszą rzeczą pod słońcem. Wówczas nie zaakceptowali tego zachowania. Jason upierał się przy wspólnym spożywaniu kolacji. Amelie zazwyczaj nie

odzywała się wtedy słowem.

Teraz zostawiali ją w spokoju. Sprawiała wrażenie, jakby mogła się rozsypać, gdyby zmusić ją do czegokolwiek wbrew jej woli.

– Jest taka... zamknięta w sobie. Zupełnie nieobecna.

– Byłoby lepiej, gdyby znów chodziła do szkoły – oznajmił Alex. – Wygląda na to, że za dużo rozmyśla.

– Tak, ale ona wzbrania się przed pójściem do szkoły. Psycholożce powiedziała, że nie może zachowywać się tak, jakby nic się nie stało. Mam wrażenie, że ona zwyczajnie nie potrafi powrócić do normalności. Nie może tej normalności *zaakceptować*.

– Doskonale to rozumiem – zapewnił zamyślony Alex.

– Ja też – dodała Deborah. – Tylko że... tym sposobem pozostanie zupełnie zaplątana w tę sytuację. Nic nie mówi o rozstrzygających chwilach porwania. Zamiast tego wciąż wraca do sceny na nabrzeżu. Na okrągło. Sądziła, że umrze. Że utonie. To przypomina karuzelę, która raz puszczona w ruch całymi godzinami kręci się w kółko. Aż chciałoby się nią potrząsnąć...

– Kiedyś zaczniesz wreszcie mówić o wszystkim – stwierdził Alex.

– Czasem nie mam odwagi w to wierzyć.

– Czy ma znajomych, z którymi rozmawia?

– To także jest dziwne. Zawsze miała przyjaciół. Głównie przyjaciółki. Dawniej praktycznie przez cały czas była *online*. Mawiałam, że komórka do niej przyrosła.

– Jej smartfon nie zaginął?

– Kupiliśmy jej nowy. Żeby ponownie nawiązała kontakt ze światem zewnętrznym. Ale ona tego nie robi. Prawie w ogóle go nie dotyka. Dobry Boże – na twarzy Deborah pojawił się wymuszony uśmiech – nigdy nie sądziłam, że któregoś dnia będę się modlić o to, by na okrągło wysyłała wiadomości na WhatsAppie. Dawniej wciąż powtarzałam, że powinna przestać. A teraz błagam, żeby znów to robiła. Byłby to pierwszy krok ku normalności. Ale to na nic.

– Kiedyś znów dojdzie do siebie – zapewnił Alex, lecz jego słowa nie zabrzmiały przekonująco.

„Niby czemu miałoby mu na tym zależeć?” – zapytała w myślach Deborah. Na głos zaś powiedziała:

– Musi pan już iść. Zaczekam tu na pana.

– Świetnie. Dziękuję. Niech pani trzyma za mnie kciuki! – Wstał od stolika.

„Dałby Bóg, żeby dostał tę pracę – pomyślała Deborah. – Dałby Bóg, żeby i *on* powrócił do normalności”.

Miała złe przeczucia.

Ma na imię Mandy. Już wiem. Kiedy na nią patrzę, w miniony piątek, wiem, że to musi być ona. Widzę, jak idzie ciemną ulicą. Sposób, w jaki ściąga ramiona, jak opasuje rękoma wychudłe ciało... Potwornie marznie. Wieczór jest naprawdę chłodny, lecz ona wydaje się marznąć ponad miarę, jakby w głębi swojej duszy. Wygląda żałośnie. Jest zrozpaczona. Samotna. Opuszczona. Pozbawiona wszelkiej nadziei. Młode dziewczęta w jej wieku chodzą po ulicach, nie tracąc pewności siebie, nawet przy naprawdę kiepskiej pogodzie. Wiedzą, jak dobrze wyglądają i jakie budzą pożądanie. Zachowują się w sposób swobodny, niewymuszony, bo po prostu to wiedzą. Mają w sobie tyle siły, tyle młodości i piękna, że czasem obchodzą się z nimi niedbale. Tak jakby ten okres ich życia miał trwać wiecznie. Lecz to właśnie dodaje im uroku. Że nie myślą o końcu. I sądzą, że na zawsze pozostaną młode.

Ta dziewczyna nie emanuje ani swobodą, ani pewnością siebie. Podobnie jak Saskia. Może nie była aż tak żałosna i przygnębiona... Lecz z pewnością nie była też promienna. Nieśmiała Saskia ledwie otwierała buzię. Okropnie trudno było z nią rozmawiać. Z początku wydawało mi się, że to normalne, że musi najpierw do mnie przywyknąć. Ale potem... no cóż, była już o tym mowa. Coraz gorzej, a nie lepiej. Potworne rozczarowanie.

Ledwie usiadła obok mnie w samochodzie, zauważam, że Mandy w rzeczywistości nie jest osobą melancholijną. Ot, po prostu kiepsko jej się wiedzie – marznie i od wielu dni, jak opowiada, nic porządnego nie jadła. Ma donośny głos i dziarski sposób mówienia. Nie pochodzi z dobrej rodziny, wyraźnie to słysząc. Jest inna.

Siedząc w samochodzie, zastanawiam się, czy to odpowiednia dla mnie osoba. Mówi, że od dłuższego czasu mieszka na ulicy. Wiem o tym, każdy od razu by to zauważył. Jest okropnie brudna. Cuchnie. Potem, niepranym ubraniem, przetłuszczonymi włosami. Od razu wiem, że trzeba będzie najpierw przynieść całe wiadra wody, zagrzać ją, a dziewczynę namydlić i umyć. Potrzebuję też dla niej czystych ubrań. Ciuchy tej drugiej nie będą pasować, jest wyższa – i bardzo chuda. Może zdołam ją nieco utuczyć, ta jej chudość rzeczywiście jest niemal chorobliwa. Choć w dzisiejszych czasach wiele młodych dziewcząt tak właśnie wygląda. Głodzą się, by się wcisnąć w dzinsy w rozmiarze zero, prowadzą dzienniczki wagi i takie tam rzeczy. Szaleńczo przestrzegają diety. Wiem o tym z telewizji.

Mam w samochodzie paczkę herbatników, Mandy pochłania je z wielkim apetytem. Opowiada przy tym, że uciekła z domu już na początku października i od tego czasu włóczy się po okolicy. Ostatnio mieszkała u znajomego, ale doszło do kłótni z jego dziewczyną i musiała się wynieść.

– Myślałam, że będę musiała dać za wygraną – mówi. – W taki ziąb...

Pokazuje mi lewe ramię, rzeczywiście kiepsko wygląda, jestem w szoku. Matka rzuciła w nią czajnikiem z wrzątkiem. Czerwona, otwarta rana... Miała wielkie szczęście, że nie wdała się infekcja.

– Mam w domu dobrą maść na oparzenia – mówię. – I opatrunki. Zajmiemy się tym.

– Nie chcę wracać do domu – odpowiada. – Nie potrafię dogadać się z matką. A ojciec mi nie pomoże. Siostra nie dba o mnie. Boję się, że opieka społeczna umieści mnie w poprawczaku.

– Nie masz się czego bać – pocieszam ją. – Zatrzymasz się najpierw u mnie. Jeśli chcesz.

Serce aż mi skacze z radości. Co prawda nie podoba mi się ten typ ludzi, lecz z własnej woli ona do domu nie wróci. Nie będzie ustawicznie płakać i biadolić, chcąc powrotu do dawnego życia. Ona mnie potrzebuje. Będzie szczęśliwa, że znalazła dla siebie miejsce. Gdzie nikt nie będzie oblewał jej wrzątkiem. I straszył opieką społeczną.

Może to miała być ona. Może tak chciał los. Może dlatego z tamtą się nie udało.

– Gdzie mieszkasz? – pyta, gdy wyjeżdżamy ze Scarborough w kierunku północnym.

To zawsze był, przynajmniej z tamtymi, drażliwy moment – albo raczej: od tej chwili pojawiały się już tylko drażliwe momenty. Kiedy zauważały, jak daleko jedziemy. Było im obojętne, gdzie ze mną zamieszkają, lecz duża odległość od tego, co określały mianem „rodzinnych stron” i „znajomego życia”, zdawała się budzić w nich panikę, która już nigdy ich nie opuszczała.

Nic na to nie poradzę.

Dlatego spodziewam się, że nawet w przypadku Mandy jej nastrój się odmieni.

– Mieszkam kawałek za miastem – odpowiadam wymijająco.

Przez sekundę sprawia wrażenie zaniepokojonej. Ale nie wpada w popłoch. Panika pojawia się na myśl o powrocie na ulicę, czuje wtedy strach. Byleby tylko nie zostawać na dworze. Wydana na pastwę zimna. I głodu.

Mandy nie ma nic do stracenia.

A potem zasypia. Jest zupełnie wyczerpana. Głowa opada jej na bok, opiera się o szybę, słyszę jej głęboki i równomierny oddech. Cudownie, to prawdziwy dar niebios. Jedziemy bez końca... okolica coraz bardziej pustoszeje... nie wymija nas żaden samochód. A ona niczego nie zauważa.

Mogę z nią jechać na kraj świata.

Nadal nie schodzę do piwnicy. Myślę, że już po wszystkim.

Środa, ósmy listopada

1

W chwili przyjazdu Kate czuła się dobrze. Minęło jednak zaledwie kilka dni, gdy zrozumiała, że w tym pustym domu nie zniesie odosobnienia, na które sama się skazała.

Cisza ją dobijała. Ciężyły wspomnienia, mimo wszystko wciąż całkiem żywe.

Pustka niemal wpędziła ją w depresję.

Gdyby nie Messy, która nocami przytulała się do niej w śpiworze, a za dnia nie odstępowała ani na krok, Kate chyba by zwariowała.

We wtorek odwiedził ją pośrednik nieruchomości, pełen optymizmu zapewnił, że wkrótce znajdzie kupca.

– Właśnie takiego domu szukają młode rodziny – mówił z entuzjazmem. – Idealny rozkład. Na dole kuchnia, pokój dzienny i jadalnia. Na górze trzy sypialnie i łazienka. A do tego piękny, niezbyt duży ogród. Doskonale!

„Tak – pomyślała Kate – w istocie. Tak właśnie uważała cała nasza rodzina”.

W środę przed południem pośrednik zjawił się w towarzystwie zainteresowanego domem małżeństwa. Kobieta była w ciąży i miała kiepski humor, jej mąż psioczył na wszystko i zachowywał się tak, jakby oprowadzano go po jakiejś ruderze. Kate liczyła się z taką reakcją, gdyż klienci, usiłując zbić cenę, nie mogą okazywać zbytniego entuzjazmu. Nie sądziła jednak, że tak trudno przyjdzie jej to znosić.

– Może da się coś z tym zrobić – oznajmiła kobieta, gdy wszyscy zebrali się w pokoju dziennym – ale trzeba będzie zainwestować mnóstwo czasu i pieniędzy.

– Jak na dzisiejsze standardy... nie jest idealnie – dodał mężczyzna.

– W takim razie proszę poszukać sobie czegoś innego – odparła opryskliwie Kate.

Małżeństwo spojrzało na nią z konsternacją.

– Oczywiście każdy ma swoje własne wyobrażenia – pospieszył z wyjaśnieniem pośrednik. – Takie opinie to nic osobistego i...

– Ja traktuję je bardzo osobiście – odparła Kate. – Nie sprzedam państwu domu. Proszę poszukać sobie czegoś innego.

Kiedy małżonkowie wyszli, kiwając głowami – „dziwna stara panna”, szepnął mężczyzna do żony, czym ukłął boleśnie Kate – a pośrednik ze sto razy przeprosił wszystkich obecnych, choć nie bardzo wiadomo za co, Kate włożyła płaszcz, szal i buty i wybrała się na długi spacer nad morze.

Plaża opustoszała, dzień nie zachęcał do spacerów. Kate pomyślała, jak bardzo roi się tu od ludzi w trakcie letnich miesięcy. Sama często przychodziła się kąpać. Jedyne, czego latem nie znosiła, to widok osłów. Te zmęczone, apatyczne zwierzęta, prowadzone tam i z powrotem, nierzadko w pełnym słońcu, dźwigały na grzbiecie wrzeszczące, piszczące, wydzierające się dzieci. Osły uchodziły za symbol Scarborough. Dzieci ich dosiadały, a rodzice maszerowali obok z głupawym uśmiechem na twarzy, kręcili filmiki – i nie zwracali uwagi na wyczerpane zwierzęta. Na ich widok Kate zawsze myślała sobie, że zwierzaki należy oddawać w ręce dzieci jedynie w wyjątkowych wypadkach. A niektórzy rodzice kompletnie tracą rozum, gdy rzecz dotyczy ich własnego potomstwa.

Po powrocie ze spaceru, nieco wyczerpana i bardziej bezradna niż kiedykolwiek, znalazła w telefonie wiadomość na WhatsAppie. Od Colina. Okazał się zadziwiająco przywiązany. Przed wyjazdem Kate do Scarborough spotkali się jeszcze dwukrotnie, czym Colin pobił wszelkie rekordy w staraniach o względy Kate. W sumie mieli do tej pory trzy randki. Kate w końcu dała mu swój numer telefonu i wyjawiała, gdzie pracuje. Na dźwięk słów *Metropolitan Police* Colin zareagował z tak czołobitną fascynacją, że Kate zyskała niemal pewność, co tak naprawdę go do niej ciągnęło: jej zawód, nie zaś kobiecy urok. Colin sprawiał wrażenie zauroczzonego – był to bez wątpienia absolutny wyjątek w jego zachowaniu. Kate domyślała się, że skoro w podobny sposób chełpi się przed każdym, wykorzysta teraz znajomość z funkcjonariuszką Scotland Yardu do podbudowania własnego wizerunku nadzwyczajnej osobowości. Inni prawdopodobnie pomyślą nawet, że sam tam pracuje. Dla Kate nie miało to większego znaczenia. Colin uwalniał ją czasem ze szponów samotności, przysyłając wiadomości, zapraszając na spotkanie i okazując najwyższe zainteresowanie jej pracą. Poza tym jednak nie zaiskrzyło, na pewno nie u Kate, przypuszczała, że w jego przypadku jest podobnie. Nie był mężczyzną, do którego mogłaby żywić jakieś uczucia. Pech chciał, że oprócz niego nie było żadnego innego.

Cześć Kate – napisał – jak się masz, co słyhać w Scarborough? Zdołasz tam wytrzymać? Czy zżera cię tęsknota za Londynem? Czy pojawili się już jacyś zainteresowani domem? Pamiętaj, by nie ustępować zbyt w kwestii ceny. Jeśli potrzebujesz pomocy, w każdej chwili mogę przyjechać! Odezwij się! Colin XX

Dołączył selfie. Colin je uwielbiał, robił je w niemal każdej sytuacji, publikował na Facebooku i Instagramie, rozsyłał Bogu i całemu światu. Tym razem stał na ruchliwej ulicy w Londynie, wśród samochodów, autobusów i spieszących przechodniów. W dłoni trzymał niewielką torebkę z Sainsbury's. Szyję owinał grubym szalem, policzki i nos miał zaczerwienione od chłodu. Uśmiechał się dość tępawo, z pewnością jednak uważał się za niesłychanie atrakcyjnego. Kate mimowolnie się uśmiechnęła. Z początku ją to irytowało, lecz teraz traktowała go z niemal matczyną wyrozumiałością. Ot, duży chłopiec. Nieznośny, lecz nie złośliwy. Utknął gdzieś po drodze prowadzącej ku dorosłości i wszystko wskazywało na to, że już tam pozostanie.

Cześć Colin, właśnie wracam z plaży. Szczerze mówiąc, niezbyt tęsknię za Londynem. Tutaj jest tak pięknie. Pojawili się pierwsi zainteresowani domem, ale byli tak strasznie aroganccy, że ich wyrzuciłam. Mam nadzieję, że pośrednik we mnie nie zwątpi. Pozdrowienia, Kate.

Colin odczytał wiadomość w ciągu kilku sekund i niezwłocznie odpisał.

Skoro nie tęsknisz już za Londynem, to może przynajmniej za mną? Choć trochę?

Wiadomość zakończył zapłakaną emotką.

Czy on z nią flirtuje? Kate nie miała pewności. Nigdy jeszcze nie flirtowała z żadnym mężczyzną. To przykre, że jest taka niedoświadczona.

Jasne, że za tobą tęsknię – odpisała. – Troszkę.

Tym razem Colin nie odczytał wiadomości od razu ani też nie odpisał. Kate odczekała chwilę, po czym wzruszyła ramionami i odłożyła smartfona. Nie jadła jeszcze obiadu, a tymczasem nastąpiło popołudnie, zapadał zmierzch. Ten mroczny czas... Włączyła elektryczny kominek, rozpakowała kilka przywiezionych świec, umocowała je na pustych, odwróconych do góry dnem puszkach po konserwach, po czym ustawiła w oknie wykuszu. Z zewnątrz z pewnością ładnie to wygląda. Nikt nie pomyśli, że tu, w zupełnie pustym domu, mieszka samotna kobieta z kotem, nie wiedząc, jak ułożyć sobie dalsze życie.

Weszła do kuchni, otworzyła kolejną puszkę – makaron z klopsikami – i podgrzała na kuchence. Od wielu dni wyłącznie konserwy... Powinna pójść na zakupy. Przydałyby się owoce i warzywa. Powinna wreszcie przyrzadzić sobie coś świeżego do jedzenia. W kuchni nie miała jednak dość wyposażenia potrzebnego do gotowania, prawdziwych noży, desek do krojenia, patelni, półmisek. Z Londynu przywiozła tylko to, co niezbędne. Tak naprawdę mogła jedynie podgrzewać gotowe potrawy.

„Błyskawiczna decyzja – przemknęło jej przez myśl – wszystko nagli do podejmowania błyskawicznych decyzji”.

Usiadła w pokoju dziennym na krześle kempingowym przed kominkiem i zabrała się do jedzenia, napełniwszy uprzednio miski Messy karmą i świeżą wodą.

Następnie umyła naczynia i zaparzyła herbatę. Świece w oknie wciąż się paliły. Miała przed sobą całe popołudnie. Colin dotąd nie odpisał.

Powróciła myślą do Jasona i jego odwiedzin. Aż ją korciło, by zająć się tą sprawą, wiedziała jednak, że to wielce ryzykowne, gdyż w sposób nieunikniony wkroczy wówczas na zakazany teren, to znaczy wmiesza się do śledztwa prowadzonego przez Caleba Hale'a. Nie miała z tą historią absolutnie nic wspólnego. To wyłącznie jej wina, że tu siedziała, niemal dusiła się ciszą pustego domu, przepędzała potencjalnych nabywców, nie wiedząc, czy na pewno chce go sprzedać, kręciła się w kółko, ganiała nad morze, flirtowała na WhatsAppie z przebywającym w Londynie mężczyzną, od którego właściwie niczego nie chciała, czuła się zdeprimowana, zamknięta w czterech ścianach, ustawiła w oknie świece, sprawiające niemal upiorne wrażenie w tym ogołocym wnętrzu, niezdrowo się odżywiła, nie potrafiła się przemóc, by kupić choćby torebkę jabłek, oprócz kota nie miała wokół siebie żadnej żywej istoty... Wszystko to, każde z osobna i wszystko razem, nie wzbudzi u nadkomisarza Caleba Hale'a ani krzty wyrozumiałości, jeśli przyłapie ją na grzebaniu w sprawach, której jej nie dotyczą.

Z drugiej strony... Grzebanie nie zawsze oznacza to samo. Istnieje jeszcze ostrożne wypytywanie. Nie miała co prawda upoważnienia do prowadzenia śledztwa, mimo to nie była w całej tej historii zwyczajną przygodną obserwatorką. Mieszkała u Goldsbych, kiedy doszło do nieszczęścia. Była w to zaangażowana, gdy Caleb Hale nic jeszcze nie wiedział o tych wydarzeniach. Doktor Jason Goldsby odwiedził ją i wyznał, że martwi się z powodu Alexa Barnesa. Opowiedział jej o szczegółach ucieczki Amelie i zdradził, że policja podejrzewa Alexa o to, że w jakiś sposób jest uwikłany w sprawę uprowadzenia – niezależnie od faktu, że to on wyciągnął Amelie z wody.

Chciałbym, żeby pani coś znalazła. Cokolwiek, co potwierdziłoby, że nie jest on szlachetnym wybawcą. Chciałbym móc wreszcie skończyć z tą wdzięcznością. On nie zostawi nas w spokoju. Czy nie może pani czegoś zrobić? Przecież pracuje pani w Scotland Yardzie!

Kate była przekonana, że w sprawie Alexa Barnesa nie znajdzie nic, czego nie odkryłby już przed nią Caleb Hale. Znała go i wiedziała, że Alex stał się dla niego nie tylko *jednym* z podejrzanych, lecz *właśnie tym* podejrzany. Caleb lubił wgryzać się w akta, a kiedy już to robił, w życiorysie danej osoby nie pozostawało nic, o czym by nie wiedział i czego nie prześwietliłby z każdej możliwej strony. Jeśliby Alex Barnes nie był jedynie niewinnym przechodniem i wybawcą, za którego się podawał, Caleb Hale

dowiedziałaby się o tym. Nic by nie wskórała, gdyby podążyła tym tropem, wzrosłoby jedynie ryzyko, że ona i Caleb weszliby sobie w paradę.

Otworzyła laptopa i zanotowała w pustym dokumencie dwa nazwiska: *Ryan Caswell* oraz *David Chapland*.

Nie znała aktualnego stanu dochodzenia, lecz gdyby miała obstawiać, powiedziałaaby, że w sprawie tej dwójki brakowało informacji. Kiedy kilka tygodni wcześniej, tuż po uprowadzeniu Amelie, rozmawiała z Calebem, postawiła Hannah Caswell w jednym szeregu razem z Saskią Morris i Amelie Goldsby, zwracając uwagę, że również ona może być ofiarą tego samego przestępcy. Chyba nie przekonała o tym Caleba. Odstęp czasu dzielący tę sprawę od obydwu pozostałych przypadków uznał on za zbyt duży. Może miał rację, a jednak... Przeczucie podszeptowało jej coś zgoła innego. Choćby to, że nie można wykluczyć takiej możliwości. A jeśli tak, jeśli należy uwzględnić przypadek Hannah, stawał się on początkiem, przynajmniej tym znanym. W swoich własnych poszukiwaniach Kate zawsze chętnie wracała do początku. Nierzadko oznaczało to po prostu nadanie własnym działaniom pewnej struktury. Czasem jednak ów początek skrywał jedyną możliwość poznania motywu leżącego u podstaw wszelkich zdarzeń.

Dopisała dwa kolejne nazwiska: *Kevin* i *Marvin Bent*. Przede wszystkim Kevin Bent z pewnością został dokładnie sprawdzony. Był ostatnią osobą, która widziała Hannah Caswell. Podróżowała z nim samochodem, choć przysięgał, że wysadził ją przed dworcem w Scarborough. Potwierdziła to jej przyjaciółka Sheila, z którą Hannah rozmawiała na dworcu przez telefon. Kevin pojechał dalej, potem jednak zawrócił i ponownie rozglądał się za Hannah. Z początku okłamał w tej kwestii policję. Zeznał, że Hannah więcej już nie widział, że pojechał do domu. Widocznie niczego mu nie udowodniono. Kate zastanawiała się, czy Kevin Bent i jego starszy brat, który swego czasu był objęty dochodzeniem w sprawie przestępstwa na tle seksualnym, zostali ponownie przesłuchani w związku ze sprawą Saskii Morris i Amelie Goldsby. Przy ich nazwisku postawiła znak zapytania. Przypuszczalnie tak. Prawdopodobnie jednak nie dość gruntownie.

David Chapland.

Człowiek, który tamtego burzowego wieczoru szedł Cleveland Way. Pomógł wyciągnąć Amelie na brzeg, wezwał policję i karetkę pogotowia. Teoretycznie Chapland mógł być ścigającym Amelie kierowcą samochodu, w którym dziewczyna uciekła. Nie mógł jednak wyrządzić jej krzywdy ze względu na obecność Alexa Barnes. Pojawiwszy się na miejscu, musiał mu pomóc, gdyż każde inne zachowanie wydałoby

się podejrzane.

Chapland z pewnością został sprawdzony. Choć może nie aż z taką pieczołowitością, z jaką Caleb podążał za Barnesem.

Powrócić do początku... Kate wstała, zgasła świece płonące na oknie. Spojrzała na zegarek: minęła czwarta. Nie za późno na wizytę u Ryana Caswella, ojca Hannah. Włożyła płaszcz i buty. Caswell nie miał zdaniem Caleba nic wspólnego z pozostałymi sprawami, o ile nie mieszał się do bieżącego śledztwa. W przypadku Chaplanda wyglądało to zgoła inaczej, kwestię tę rozważy jednak później.

Jeśli istnieje jakieś później. Będzie musiała o tym zdecydować.

Wyszła z domu.

2

Kate nie знаła adresu Ryana Caswella w Staintondale, nie znalazła go też w książce telefonicznej Google. Znała jednak tę miejscowość i bez wahania założyła, że tamtejsi mieszkańcy wiedzą o sobie wszystko. Zatrzyma się gdzieś i zapyta o Caswella. Pochodziła stamtąd, mówiła jak miejscowi. Na pewno udzielią jej wskazówek.

Całe Staintondale to niewielki sklep wielobranżowy z okienkiem pocztowym, przydrożny przystanek autobusowy oraz kilka domów i zagród rozrzuconych wśród łąk i pól. Z płaskowyzu roztaczał się wspaniały widok na wybrzeże, upstrzone małymi, skalistymi zatoczkami, do których można było zejść i popływać. W latach dzieciństwa i młodości Kate często to robiła. Nie było tam piaszczystej plaży, trzeba było stąpać po ostrych kamieniach, od których bolały stopy. Wówczas jednak nie zwracała na to uwagi, nadwrażliwość przychodziła dopiero później.

Tymczasem zapadł już zmierzch, obecności morza można się było jedynie domyślać. Reflektory samochodu oświetlały żywopłoty i murki okalające z obu stron wąską lokalną drogę. Dotarła do przystanku autobusowego i ujrzała czekającą tam kobietę. Ostro przyhamowała, opuściła szybę.

– Szukam Ryana Caswella – oznajmiła. – Może mi pani powiedzieć, gdzie mieszka?

Kobieta podeszła do okna. Sprawiała wrażenie zmarzniętej.

– Już tu nie mieszka – wyjaśniła. – Trzy lata temu przeniósł się do Scarborough.

– Och... Zna pani może jego adres?

Kobieta podała długie i zawiłe wyjaśnienie, bo choć wiedziała, jak dojechać do domu

Caswella, zapomniała nazwę ulicy.

Kate przerwała ten potok słów.

– Jeśli pani chce, proszę pojechać ze mną. Pokaże mi pani drogę, a ja podwiozę panią do Scarborough. Złapie tam pani lepsze połączenie.

Kobieta ochoczo się zgodziła. Przejazdźki samochodem z inną kobietą z pewnością nie uznała za ryzykowną, Kate pomyślała jednak, że ów spokój opustoszałego Staintondale, rzadko odwiedzanego przez turystów mimo połączenia autobusowego, przyzwyczyił ludzi do podejmowania nierozważnych kroków. Stojąc w mroczne jesienne popołudnie na przystanku, człowiek tracił czujność, gdy nagle nadarzała się okazja zabrania się z kimś samochodem.

Szczególnie narażeni byli pod tym względem nastolatki. Zawsze im się spieszy, gdyż wciąż coś się dzieje, a oni koniecznie, bezwzględnie muszą brać w tym udział. Hannah tamtego deszczowego listopadowego wieczoru wysiadła w Scarborough z pociągu, nie mając pojęcia, jak dotrze do domu. Nie mogąc dodzwonić się do ojca, z pewnością poczuła się bezradna. Pewnie ze sto razy surowo jej nakazywano, by pod żadnym pozorem nie wsiadała do obcego samochodu, a mimo to znalazła się w sytuacji, w której napomnienia puściła mimo uszu i zdecydowała się zaryzykować.

W jej przypadku decyzja ta okazała się katastrofalna w skutkach. Tamtego dnia zniknęła, z pewnością nie z własnej woli.

Pasażerka okazała się bardzo rozmowna.

– Ryan nie mógł dłużej wytrzymać w swoim domu, po tym jak... po tej historii z Hannah. Jego córką. Zna pani tę sprawę?

– Znam. Jestem dziennikarką – oznajmiła Kate.

Kobieta była przejęta.

– Dziennikarka... Czy opiszecie pani tę historię?

– Wciąż znikają tu dziewczęta. Dziwna powtarzalność. Owszem, chcę o tym napisać.

– Zgadza się. Straszna historia z tą Saskią Morris. Hannah nigdy nie odnaleziono. Co oczywiście nie oznacza, że nadal żyje. Choć wszyscy mamy taką nadzieję. Ale... im więcej czasu upływa...

– Ryan Caswell nigdy nie podejrzewał, co mogło się wydarzyć?

– Miał i nadal ma swoją teorię. Jest przekonany, że Kevin Bent zawrócił i zabrał Hannah. To ten młodzieniec, który...

– Wiem. Podwioził Hannah z Hull do Scarborough.

Kobieta westchnęła.

– Kevin nie jest złym chłopakiem. Jestem pewna, że nie zrobił dziewczynie nic złego i że mówi prawdę, twierdząc, że nie spotkał już Hannah przed dworcem. Ryan potrzebuje jednak winnego, w przeciwnym razie udusi się własnym gniewem, własnym bólem. I oto pojawia się Kevin. Choćby z powodu tamtej sprawy ze swoim bratem.

– Wiem. Co pani sądzi o jego bracie?

– Marvin? Spokojny chłopak. Miał wówczas niewłaściwych znajomych, wpadł w złe towarzystwo, ale nie brał udziału w tym potwornym gwałcie, od początku mu uwierzyłam. Nie byłby do tego zdolny. Żaden z braci.

– Co dziś porabiają? Jak żyją?

– Nadal mieszkają w domu swojej matki w Staintondale. Matka zmarła przed dwoma laty. Chłopcy całkiem ładnie urządzili tę podupadłą posiadłość. Przejęli też pub. Przy porcie w Scarborough. Całkiem miła atmosfera. Proste jedzenie. Żyją głównie z wyszynku. Ale muszą walczyć. Czasy nie są najlepsze. Wszyscy się tu obawiają, że po brexicie znikną turyści i będzie jeszcze trudniej. No cóż, Ryan oczywiście nie przepuści żadnej okazji...

– Do czego?

– Wszędzie, gdzie tylko może, oczernia Kevina. Nazywa go mordercą swojej córki. Zgoda, większość ludzi zna Ryana i nie traktuje tego poważnie. Mimo to do Kevina przylepiła się tamta historia, a Ryan już zadba o to, by nikt jej nie zapomniał. Kevin twierdzi, że mieliby więcej klientów, gdyby Ryan przestał w końcu podjudzać ludzi. Czy rzeczywiście? Trudno powiedzieć.

– Jak pani sądzi, co się wówczas stało?

– Z Hannah? Myślę, że nie wiedziała, jak wrócić do domu. Nie mogła skontaktować się z ojcem. Prawdopodobnie stała zagubiona przed dworcem. Ten... seryjny morderca, jeśli takowy istnieje... zgarnia dziewczyny z ulicy, prawda? Tak właśnie zrobił z Saskią Morris. I z tą małą Goldsby. Jakiś chory facet, zawzięty na młode dziewczuchy. Wykorzystuje okazje. Porywa je, Bóg raczy wiedzieć, co z nimi robi. I zabija. – Kobieta potrząsnęła głową. – Świat to straszne miejsce, nie sądzi pani?

– Myśli pani, że to ten sam sprawca? We wszystkich trzech przypadkach?

– Policja tak nie uważa?

Kate pozostawiła to pytanie bez odpowiedzi.

– Jaka była Hannah? – zagadnęła. – Wciąż dziecinna? Czy już raczej dorosła?

– Dziecinna. Rozmarzona. Niepozorna dziewczyna. Zupełnie inna niż jej

przyjaciółka Sheila, ta już się malowała, nosiła wyzywające ciuchy i próbowała zawrócić w głowie chłopakom. Ryan nigdy by na to nie pozwolił. Pilnował Hannah. Trzymał ją krótko – bardzo krótko.

– Jaki on jest?

– Ach, co tu dużo mówić... – Kobieta westchnęła. – To nie jest z gruntu zły człowiek. Ale niełatwo z nim wytrzymać. Jest zgorzkniały, odkąd odeszła od niego żona. Praktycznie z dnia na dzień. Zostawiła go z czteroletnią wówczas Hannah. Okropnie go to przybiło.

– Wie pani, dlaczego żona odeszła?

– No cóż, chyba zwyczajnie do siebie nie pasowali. Linda była bardzo młoda, kiedy za niego wyszła. Miała dopiero osiemnaście lat. On miał już czterdziestkę na karku, a do tego, jak się wkrótce okazało, był strasznym ponurakiem. Wcześniej mieszkał w okolicach Newcastle, kupił tu, prawdopodobnie za spory kredyt, niewielką zagrodę i znalazł pracę w firmie sprzątającej w Scarborough. Z nikim nigdy nie rozmawiał dłużej, niż to było konieczne. To uczynny sąsiad, można na nim polegać. Ale był małomówny i nigdy się nie śmiał. Szanuję Ryana. Ale żeby z nim żyć... broń Boże! – Kobieta niemal teatralnym gestem przyłożyła dłoń do piersi. – Broń Boże! – powtórzyła.

Kate zrozumiała, co miała na myśli, kiedy w końcu usiadła naprzeciw Ryana Caswella. Kobieta wskazała jej drogę aż do Queen's Parade, ulicy ciągnącej się wzdłuż wybrzeża Zatoki Północnej w Scarborough, otoczonej, wbrew dumnie brzmiącej nazwie, przez nędzne, podupadłe domy wielorodzinne, w których większość mieszkań, jak się wydawało, stała pusta.

Ryan bez wahania zaprosił ją do środka, gdy Kate mruknęła coś o pracy *dziennikarki*, która chce napisać o *licznych przypadkach zaginionych dziewcząt*.

– W takim razie powinna pani napisać przede wszystkim o Kevinie Bencie – odparł niezwłocznie.

Usiedli w niewielkim pokoju dziennym, drzwi prowadziły do miniaturowej kuchni. Sofa, stół, telewizor, meblościanka. Żadnych obrazów na ścianach, żadnych kwiatów w oknach. Żadnego dywanu na podłodze pokrytej linoleum. Kate uznała, że nawet jej pusty dom z krzesłami kempingowymi ustawionymi przed elektrycznym kominkiem robi bardziej przytulne wrażenie niż to ponure wnętrze, w którym mieszkał Ryan Caswell. Rozejrzawszy się ukradkiem, zauważyła, że brakuje również fotografii. Ani jednego zdjęcia Hannah. Żadnej fotografii żony. Jakby Ryan zerwał z własną

przeszłością.

Lecz nie z nienawiścią do Kevina Benta.

– Oczywiście, że to on. Zastanawiam się, jak policja może być taka ślepa. A teraz mają za swoje. Zamordował kolejną dziewczynę, drugą uprowadził. Miała więcej szczęścia niż rozumu, że zdołała uciec. On jednak nie przestanie. Te bestie nigdy nie mają dość.

– Amelie Goldsby, dziewczyna, której udało się uciec, opisała porywacza – zauważyła ostrożnie Kate. – Portret ten nie pasuje do Kevina Benta. Pokazano jej też zdjęcia Kevina, stwierdziła, że to nie on. Porywacz był znacznie starszy.

– To przecież czternastoletnie dziecko – natychmiast odparł ten zarzut Ryan. – W ciężkiej traumie. Nie sądzę, by można było przykładać wagę do jej zeznań.

– Ale nie można ich też zupełnie ignorować.

Wlepił w nią wzrok.

– Czy pani także należy do frakcji tych, którzy uważają, że Kevin Bent jest biednym, niewinnym młodzieńcem, a ja go prześladuję?

– Frakcji? Chce pan powiedzieć, że w pańskim otoczeniu większość osób uważa, że to jednak *nie* on?

Ryan parsknął pogardliwie.

– To przystojny młody mężczyzna. Wszystkie kobiety go ubóstwiają. Bez wyjątku. Młode, stare, w średnim wieku. Jest bardzo szarmancki. Miły. Uprzejmy. Nawet mężczyźni w większości go lubią, choć...

– Co takiego?

– Nie cieszy się szczególną sławą. Te jego liczne związki z kobietami. Wśród nich znalazłaby się niejedna mężatka. Dla niego to bez znaczenia. I dlatego można by się spodziewać, że inni mężczyźni raczej nie będą mieć o nim dobrego zdania. To znaczy, na pewno ci, z których żonami coś go łączyło... Ale także pozostali pozwalają mu się omotać. Bo ma taką ujmującą naturę.

– Pan jednak nigdy mu nie wierzył? Nawet przed tą... sprawą?

– Nigdy go nie lubiłem. Za ładny i... no cóż, zbyt pewny siebie. On doskonale wie, jaki wpływ wywiera na innych, i wykorzystuje to, by ich przeciągnąć na swoją stronę. Oni zaś, niestety, wcale mu tego nie utrudniają.

„Jest więc jaskrawym przeciwieństwem ciebie” – pomyślała Kate, choć nie powiedziała tego na głos. Zastanawiała się, czy Ryan potrafi, czy kiedykolwiek potrafił... się uśmiechać. Nawiązać kontakt z ludźmi. Otworzyć się przed nimi.

Współczuć.

Uczynny sąsiad, na którym można polegać, powiedziała o nim kobieta ze Staintondale. Kate zdawała sobie sprawę, że mogła mieć rację. Na swój prostoduszny sposób Ryan z pewnością był kimś, kto nie zostawi w potrzebie nikogo, kto go poprosi o pomoc. Serdeczności i ciepła próżno by jednak u niego szukać.

– Co pańskim zdaniem wydarzyło się tamtego listopadowego wieczoru? – zapytała Kate.

– Wyjaśniałem to policji już ze sto tysięcy razy. A także każdemu człowiekowi, czy chciał tego słuchać, czy nie – odparł Ryan.

„Rzeczywiście, niełatwo komuś takiemu jak Kevin Bent prowadzić w tym niewielkim mieście pub – pomyślała Kate. – Ratuje go wyłącznie jego własna popularność. Każdy inny byłby skończony, mając na swoim koncie taką sprawę, a za wroga Ryana Caswella”.

– Bent zgarnął ją w Hull, kiedy spóźniła się na pociąg. Uzgodniliśmy, że wróci następnym, a ja po nią przyjadę. Rozzłościło mnie to. Cały dzień pracowałem w Scarborough. Mieszkaliśmy wtedy w Staintondale, nie chciałem jeździć tam i z powrotem, musiałem więc jakoś zabić ten czas. Zaparkowałem przy plaży, czekałem w samochodzie. Było strasznie zimno. Mogłem pójść do ciepłego pubu... Ale musiałbym coś zamówić, a to dla mnie za drogo. Nigdy nie jadam poza domem.

– Czy Hannah wiedziała, że się pan zirytował?

– Wyraźnie jej to powiedziałem. Tak.

– A potem spotkała Kevina Benta, który zabrał ją do Scarborough?

– Tak. Znała moją opinię o Bentach. Wiedziała, że nigdy bym nie pozwolił, by wsiadła razem z tym facetem do samochodu.

– Co dokładnie się panu nie podoba w Kevinie Bencie? Poza jego nieco chaotycznymi związkami uczuciowymi?

– Co mi się nie podoba? – zaśmiał się Ryan. W jego głosie pobrzmiwało szyderstwo, a zarazem wibrował cały jego ból. – Bentowie to hołota. Ostatnia hołota. Ojciec gdzieś zniknął, matka miała stwardnienie rozsiane, nie mogła prowadzić farmy i żyła z zasiłku.

„To jeszcze nie przestępstwo” – pomyślała Kate.

– Starszy brat jako nastolatek włóczył się z tą wredną bandą. Brał udział w gwałcie na piętnastolatce.

– Chwileczkę – przerwała mu Kate – czytałam o tym. Według moich informacji

Marvin Bent nie brał w tym udziału. Tamtego popołudnia nie spędził razem z kolegami.

– Nie ma żadnego alibi, które by potwierdzało, że tamtego popołudnia robił co innego.

– Dziewczyna go nie rozpoznała.

– Dziewczyna nie rozpoznała też dwóch innych kolesiów, którzy niedługo potem sami przyznali się do współudziału. To samo mówiłem już wcześniej. – Zniecierpliwiony Caswell wymachiwał rękami. – Kiedy coś takiego spotka młodą dziewczynę, a nawet dorosłą kobietę, kiedy ją porywają, dręczą, gwałcą, to nie trzeba być cholernym psychologiem, żeby wiedzieć, że przez resztę życia będzie przeżywać traumę. Zawsze. A najmocniej przez pierwsze tygodnie i miesiące po zdarzeniu, jeśli w ogóle je przetrwa. Podobnie jest u tej... jak ona się nazywa? Amelie Goldsby. Dokładnie to samo. Przez tydzień była w łapach groźnego przestępcy seksualnego. I wy naprawdę wierzycie, że potrafi dobrze opisać sprawcę? Właściwie skąd mielibyście wiedzieć, że nadal nie odczuwa zbyt wielkiego strachu, by złożyć prawdziwe zeznania? Może dał jej jasno do zrozumienia, co się stanie, jeśli ucieknie i go wyda. Że będzie ją ścigał aż na koniec świata, że ją dopadnie, a wtedy... niech ją łaska boska broni! Skąd możecie wiedzieć, że Amelie Goldsby mówi prawdę?

Istotnie, to była nowa myśl, przynajmniej dla Kate. Nie wiedziała, czy Caleb Hale ją rozważył. Amelie nie potrafiła mówić o wielu – i to rozstrzygających – momentach swojej historii i wszyscy uznali za zrozumiałe, że jakaś wewnętrzna blokada nie pozwalała jej zmierzyć się ponownie, choćby w słowach, z przerażeniem, jakiego doznała. A jeśli sprawa była bardziej skomplikowana albo, gdyby spojrzeć na to inaczej – prostsza? Jeśli Amelie nie czuła żadnej blokady, lecz ogromny lęk przed wyjawieniem wszystkiego, co wie? Bo sprawca jej groził? Czy posunęłaby się do tego, by złożyć fałszywe zeznania? Jeśliby się postarała, by jej porywacz został schwytany i stanął przed sądem, znalazłby się co prawda w więzieniu, ona zaś zaznałaby wreszcie spokoju. Któregoś jednak dnia wyszedłby na wolność. Pewnie wcześniej niż powinien, wymiar sprawiedliwości jest czasem nader zatroskany dobrem sprawcy, nie bacząc wcale na los ofiary. Poza tym mógł dać jej do zrozumienia, że ma przyjaciół. A ci przebywają na wolności.

Gdyby była członkiem zespołu, chętnie przedyskutowałyby z Calebem ten aspekt sprawy. Zważywszy jednak na okoliczności, mogłoby to zostać odebrane jako bezprawna ingerencja.

– No dobrze. – Kate powróciła do punktu wyjścia. – A więc brat. I ta historia. Co ma

pan do zarzucenia samemu Kevinowi?

– Nieprzyjemny typ – odparł Ryan.

– Nieprzyjemny typ czy domniemany porywacz i gwałcieciel? Te dwa określenia dzieli znaczna różnica. Ogromna.

Ryan zmrużył oczy.

– Dla której gazety pani właściwie pracuje? Dla jakiegoś lewicowego pisemka broniącego praw biednych, niewinnych przestępców?

– Jestem dziennikarką niezależną – oznajmiła Kate. – Nie wiem, komu zaproponuję ten artykuł. Z pewnością nie będzie to opowieść biorąca czyjąkolwiek stronę. Chcę po prostu opisać, co się naprawdę wydarzyło i jak tutejsi ludzie z tym żyją.

Nie przemyślała dobrze kłamstewka z *dziennikarką*. Wpadła na ten pomysł zupełnie spontanicznie, gdy kobiecie, którą zabrała samochodem, musiała wyjaśnić, dlaczego zadaje tyle pytań na temat Ryana Caswella i jego córki. Dopiero teraz uświadomiła sobie z niepokojem, że nie rozważyła kwestii, w jakim właściwie charakterze powinna wystąpić. Nie mogła powiedzieć „Metropolitan Police”, choć na dźwięk tych słów zazwyczaj otwierały się wszystkie drzwi. Nie sposób było jednak wykluczyć, że niedługo potem Caleb Hale zechce rozmawiać z tymi samymi ludźmi, a kiedy zeznają, że dopiero co odwiedziła ich funkcjonariuszka z Londynu, Caleb natychmiast domyśli się prawdy. Na samo wspomnienie o tym Kate mimowolnie skuliła głowę.

Została więc niezależną dziennikarką, nie mając zielonego pojęcia o tym zawodzie. Pytanie, jak daleko zaprowadzi ją to oszustwo. Przynajmniej Ryan Caswell nie wydawał się powątpiewać w jej tożsamość, martwił się jedynie tym, że artykuł nie wypadnie po jego myśli.

– Krótko mówiąc – odezwał się – chciała pani wiedzieć, co moim zdaniem naprawdę się wtedy wydarzyło. Kevin Bent spotyka Hannah przy dworcu w Hull. Proponuje, że ją podwiezie. Wysadza ją w Scarborough, bo zamierza jechać dalej do Cropton. Po drodze uświadamia sobie jednak, jaka to śliczna młoda dziewczyna z tej Hannah Caswell i że byłby głupcem, gdyby nie skorzystał z okazji. Zawraca więc i spotyka ją przed dworcem. Mówi, że podwiezie ją do Staintondale. Hannah mu wierzy, wsiada do samochodu. Wywozi ją gdzieś na pustkowie. Zaczyna ją obmacywać. Hannah się broni. Bent ją gwałci. Potem musi oczywiście zadbać o to, by go nie wydała, więc ją zabija. Porzuca w jakimś bajorze na wrzosowiskach, gdzie nikt jej nie znajdzie. To wszystko. – Wstał. – Może pani już iść, wie pani wszystko. Ach tak, chciała pani też opisać, jak tutejsi ludzie z tym żyją. Mogę mówić wyłącznie za siebie.

Na jego twarzy pojawił się grymas. Kate, która także wstała, pomyślała, że rzadko

kiedy na ludzkiej twarzy odmalowuje się tyle bólu.

– Odebrano mi wszystko. Wszystko, co nadawało sens mojemu życiu. Nie mogłem dłużej mieszkać w domu, w którym Hannah dorastała. Siedzę teraz w tej dziurze i czekam, aż moje życie przeminie. Nic innego nie robię. Czekam, aż to się wreszcie skończy. Jestem wrakiem. Może to pani napisać!

Zniecierpliwionym gestem wskazał jej drogę do drzwi.

Ryan Caswell powiedział wszystko.

3

Posterunkowa Kitty Wentworth inaczej sobie wyobrażała swój zawód. Miała zostać nadkomisarzem – co najmniej! Może nawet nadinspektorem. Wspinając się na te wyżyny, nie przemyślała jednak porządnie sprawy. Ścieżka będzie mozolna, to jasne, w końcu doskonale wiedziała, że w życiu nic nie jest za darmo, mimo to nie rozważyła szczegółowo skali czekających ją trudności. Może to właśnie było błędem. Z drugiej strony nawet w najbardziej deprymujących chwilach nie wyobrażała sobie aż tak upiornej nudy oraz naznaczonej chłodem i znużeniem monotonii, jakie obecnie cechowały jej pracę. Nikt by tego nie potrafił. Niektóre sprawy po prostu przechodzą wszelkie wyobrażenia.

Od jakichś dwóch i pół tygodnia siedziała obok posterunkowego Jacka O'Donella w policyjnym radiowozie zaparkowanym w cichej i spokojnej dzielnicy Scarborough i obserwowała dom rodziny Goldsbych. Oczywiście że byli zmieniani, niemniej godziny, kiedy wracała do domu, brała prysznic, kładła się spać, gdy znów mogła się cieszyć własnym mieszkaniem, rozpływały jej się w myślach i przed oczami. Miała wrażenie, jakby trwała tu już od miesięcy, od lat, stale, bez przerwy, przez całą dobę. Jakby jej życie składało się wyłącznie z tej ulicy i z tych domów. I z samochodu. A do tego jeszcze ten siedzący obok kolega Jack, którego uznała za nad wyraz niesympatycznego; wiedziała, że on także nie może jej ścierpieć. Nie poróżnił ich żaden incydent, który uzasadniałby ową antypatię, po prostu nie było między nimi chemii.

„Prawdopodobnie – pomyślała Kitty – nawet George'a Clooneya miałabym już powyżej uszu. Ta sytuacja złamałaby nawet parę zakochanych”.

Obserwację zaczęli jeszcze w październiku, kiedy drzewa w ogrodzie pokrywało gęste listowie, mieniające się odcieniami brązu, czerwieni i złota. Przyglądali się, jak

liście coraz liczniej opadają na zadbane chodniki, czasem kołysane i roztańczone na wietrze, czasem zrywane z gałęzi przez deszcz i nawałnice. Patrzyli na mieszkańców wychodzących na dwór i grabiących ogródki, aż wszystko wokół znów wyglądało jak należy. Minał październik, nastał listopad, ogołocił drzewa z resztek liści, w oknach zapłonęły świece, a niektóre szyby pokryły wycięte z papieru złote gwiazdy. Sąsiad Goldsbych, fanatyk Bożego Narodzenia, już teraz ustawił w ogrodzie iluminowane renifery, a pomiędzy nimi mikołajów i aniołki. Na wszystkich drzewach i krzewach zawisły łańcuchy światełek. Kitty z narastającą fascynacją obserwowała, jak każdego dnia pojawia się coś nowego. Co wieczór punktualnie o siódmej automatycznie włączało się oświetlenie. Kitty i Jack aż się wzdrygali, gdy nagle wszystko wokół zalewało jaskrawe światło.

– Do kurwy nędzy! – klął wtedy za każdym razem Jack. Dzisiaj zaś, kiedy zauważyli, że w ogrodzie pojawiły się kolejne renifery, dodał: – Kiedyś się tam zakradnę i przetnę mu ten cholerny kabel. Temu gościowi chyba naprawdę odbiło!

– Jesteś policjantem – odparła Kitty – nie wolno ci tego robić.

– To, co on wyprawia, grozi poważnym uszczerbkiem na zdrowiu – odparł Jack. – Dziwi mnie, że sąsiedzi nie reagują. Im też to chyba przeszkadza.

– Może im się akurat podoba?

– Porębana okolica – mruknął Jack. Ziewnął. – Oddałbym życie za łyk kawy. Zostało ci coś jeszcze w termosie?

Kitty z żalem wzruszyła ramionami.

– Pusty.

Uczestniczyli już w podobnych akcjach w ruchliwszych dzielnicach, a to, jak mogli się teraz przekonać, zdecydowanie upraszczało życie. Wokół pełno było sklepów i budek z jedzeniem, można było wyskoczyć po kawę albo przekąskę. Tymczasem w tej jałowej okolicy niczego podobnego nie znaleźli. Najbliższy sklep Tesco Express mieścił się przy Burniston Road. Za daleko. Nawet w najlepszym razie – zakładając bezproblemowe parkowanie i brak kolejki przy kasie – oddaliliby się od domu Goldsbych na co najmniej dziesięć minut. A to oznaczałoby poważne naruszenie przepisów.

– Jeśli nie dostanę kawy, zasnę – oznajmił Jack. – Kiedy nas zmienią?

– Dopiero o dwudziestej drugiej – odparła Kitty. Ona także czuła zmęczenie. Najgorsza okazała się nuda, ta potworna monotonia. W tej okolicy po prostu nic się nie działo. Rankiem nieliczni wychodzili do pracy, wracali wieczorem. Po południu

schodzili się czasem uczniowie. Być może latem bawili się na ulicy, grali w klasy, ćwiczyli na skakance albo kopali piłkę, teraz jednak, w listopadzie, zbyt wcześnie zapadał mrok. I było zimno. Bardzo zimno. Jeszcze i to. Nie tylko trzeba było siedzieć beczynn timer i gapić się w tę okropną pustkę, lecz do tego marznąć. Mimo grubej kurtki, szalika, ocieplanych butów. Kitty zateśniła za wanną i gorącą kąpielą.

Amelie i jej matka przez cały dzień nie opuszczały domu. Ojciec rodziny, doktor Goldsby, wyszedł skoro świt do pracy, o czym poinformowała poprzednia zmiana. W południe zjawiała się Helen Bennett, policyjna psycholożka. Usiadła na chwilę w samochodzie i rozmawiała z Kitty i Jackiem. Od niej dowiedzieli się, że Amelie nie podała żadnych nowych informacji, a Alex Barnes po długim przesłuchaniu dziarsko pomaszerował do domu.

– Nadkomisarz Hale jest w strasznie ponurym nastroju – oznajmiła Helen. – Był pewien, że dorwie Barnes a za wynajem samochodu. Nic jednak nie wskórał. Ten facet jest albo bardziej cwany od nas wszystkich, albo rzeczywiście niewinny.

Po tych słowach udała się do Amelie na codzienną rozmowę.

Jack zastanawiał się właśnie nad przebiegiem dnia oraz efektami pracy Helen Bennett, gdyż mruknął niespodziewanie:

– Cholerne psychobrednie. Nic to nie da. Helen od tygodni zagaduje dziewczynę i co? I nic. Kompletnie nic!

– Znasz lepsze rozwiązanie?

– Wiem tylko, że nigdy gościa nie złapią, jeśli ta Amelie nie zacznie w końcu mówić. A póki nie przemówi, będziemy tu siedzieć. Zastanawiam się, ki diabeł mnie opętał, że postanowiłem zostać policjantem!

Również Kitty rozmyślała o tym w ostatnim czasie.

– I co? – chciała się dowiedzieć. – Co to za diabeł?

Jack wyszczerzył zęby.

– Za dużo amerykańskich kryminałów obejrzało się w telewizji. O silnych facetach, którzy w pojedynkę stawiają się groźnym bandzirom. I nawet z najbardziej beznadziejnych sytuacji wychodzą bez szwanku! A w końcu dostają też najładniejszą dziewczynę.

– No proszę, a ty siedzisz tu tylko ze mną! – zauważyła Kitty.

Jack nie słynał z osobistego uroku, w przeciwnym bowiem razie uprzejmie zareagowałby na tę uwagę.

– Tak, do diabła – mruknął tylko. – Siedzę tu z tobą w tym przeklętym samochodzie

i gapię się na tę cholerną ulicę, i mam wrażenie, że zaraz zamarznie mi mózg. – Zdecydowanym ruchem otworzył drzwi. Wewnątrz natychmiast zrobiło się jeszcze chłodniej. – Idę do Tesco po kawę. Co ci przynieść?

Nawet jeśli ona tu zostanie, Jack, oddalając się, wyraźnie naruszy przepisy. Minie sporo czasu, nim wróci piechotą. Z drugiej strony myśl o kawie była po prostu zbyt kusząca. W Tesco znajdował się automat z różnymi rodzajami kawy i gorącej czekolady. Całkiem smacznej, oceniła Kitty.

– Przynieś mi *white americano* – poprosiła – i coś do jedzenia.

– Niby co?

– Poproszę kanapkę z jajkiem.

Także sandwicze były tam całkiem znośne. Jack skinął głową i poczłapał przed siebie. Kitty powiodła za nim wzrokiem, miała złe przeczucia. Wiedziała, że na ścieżce prowadzącej do stopnia nadinspektora nie powinno się zbyt często wchodzić w kolizję z prawem, istotnie, jeszcze nigdy jej się to nie przydarzyło. I któż miałby to zauważyć? Wszędzie wokół, jak zawsze, panował spokój. Jason Goldsby przed pół godziną wrócił do domu. Maszerując w kierunku drzwi wejściowych, uprzejmie skinął im obojgu głową. Kitty go lubiła. Zawsze był miły, a ich służby nie traktował jako rzecz oczywistą. Często im dziękował, ubolewał nawet nad tym, że tak wiele zabiera im czasu. Zdaniem Kitty wyglądał mizernie. Od października wyraźnie schudł, pobladł też na twarzy. Sprawiał wrażenie zmęczonego. Cała ta sytuacja go przybiła.

Kitty rozparła się na siedzeniu, na chwilę przymknęła oczy. Rozmarzyła się o kawie i sandwiczu, już sama myśl o tym ją ożywiła. O dziesiątej skończą – i niech się dzieje co chce, weźmie w domu kąpiel, napije się wina, zapali kilka świec.

Otworzyła oczy i ujrzała Alexa Barnesę zmierzającego do domu Goldsbych.

Wyprostowała się natychmiast i oprzytomniała.

Barnes widocznie nie szedł ulicą, lecz pojawił się od strony ogrodu, co oznaczało, że wybrał drogę przez klify i wzniesienie między domami i morzem. Dziwne, lecz nie zakazane. A teraz stanął przed drzwiami. Nacisnął dzwonek, jeśli dobrze oceniła ruch jego ręki.

Kitty zaklęła. Akurat teraz została sama.

Wiedziała, że komisarz Hale z chęcią wydałby dyspozycję zakazującą Barnesowi zbliżać się do domu Goldsbych. Brakowało jednak wystarczających powodów, które skłoniłyby sędziego do podpisania takiego nakazu. W tej sytuacji Alex Barnes mógł robić to, co właśnie robił: wejść do domu państwa Goldsbych. Ochrona osobista

otrzymała instrukcje, by w tym wypadku reagować ze wzmożoną czujnością. Komisarz Hale nakazał, by najpóźniej po upływie dziesięciu minut zadzwonić do drzwi i sprawdzić, czy wszystko w porządku. Kitty wiedziała, że prosił Goldsbych, by w miarę możliwości w ogóle nie wpuszczali Barnesa do środka. On tymczasem nie pojawiał się od wielu tygodni, stąd nie mieli powodu do interwencji.

Drzwi się uchyliły. Wszedł do środka. Drzwi za nim zamknięto.

Kitty zdesperowana rozglądała się po ulicy. Gdzie się podziewa Jack? Oczywiście, że nie mógł już wrócić. Pewnie nawet nie dotarł jeszcze do sklepu.

Wyjęła komórkę i wybrała numer. Czekala. Jack nie odebrał. Albo nie miał zasięgu, albo z jakiegoś powodu nie słyszał dzwonka. Kitty zaklęła. Mogła mieć tylko nadzieję, że nic się nie wydarzy, że Barnes wyjdzie przed upływem dziesięciu minut, że zastanie Goldsbych całych i zdrowych. Jasna cholera, jeśli będą mieli pecha, wyjdzie na jaw, że Jack wbrew przepisom poszedł do Tesco, a to dla obojga musi oznaczać naganę.

– Niech to szlag! Szlag! Szlag! – zaklęła na głos. Spojrzała w stronę domu. Cisza.

A może od razu powinna zadzwonić?

– Napije się pan czegoś? – zapytał uprzejmie Jason. Razem z Deborah mieli właśnie zamiar nakryć kuchenny stół do kolacji. Porozumieli się wzrokiem: Alexowi Barnesowi nie zaproponują posiłku. W piekarniku trzymali lasagne, zewnętrzna warstwa sera pękała pod wpływem gorąca. Deborah przekręciła termostat. Miała nadzieję, że szybko pozbędą się niespodziewanego gościa.

Alex Barnes usadowił się wygodnie na sofie w kącie pokoju i z przyjemnością sącył podaną mu sherry. W nowej fryzurze wygląda młodziej i dość atrakcyjnie, uznała Deborah, wchodząc do pokoju. Tego wieczoru miał jednak na sobie stare ubranie, poplamione dzinsy i sweter z wytartymi na łokciach rękawami. Wydawał się pełen optymizmu, choć za oknem, jak donosił, panował straszny ziąb.

– Po drodze prawie odmroziłem sobie nos. Ale tutaj jest tak przyjemnie ciepło. Powinni państwo rozpalić jeszcze w kominku. À propos, wspaniały kominek. I naprawdę piękny dom.

– Dziękujemy – mruknęła Deborah. Dlaczego nawet komplementy brzmią w jego ustach bezczelnie? Niczym żądania. Jakby w głębi serca był przekonany, że właściwie wszystko, co mu się spodoba, jemu też się należy.

„Zbyt wiele mu przypisuję – pomyślała – gdyż boję się, że mógłby uczepić się nas na wieki jak jakiś kleszcz. A może tak właśnie jest? Może naprawdę jest jak kleszcz? Czemu nie potrafię obdarzyć sympatią człowieka, który uratował życie Amelie?”

– Czy rozmowa kwalifikacyjna zakończyła się pomyślnie? – zapytała. Bądź co bądź poświęciła na to całe popołudnie. Nie wspominając o pieniądzach wydanych na nowe ciuchy.

Alex z żalem pokiwał głową, nie wyglądał jednak na zmartwionego.

– Niestety nie. Zadzwonili dziś rano, wybrali kogoś innego. Na rynku pracy panuje obecnie trudna sytuacja.

„Szczególnie dla tych, którzy nie wyuczyli się żadnego zawodu” – pomyślała gniewnie Deborah.

– Cóż – podsumował Jason. Ani on, ani Deborah nie usiedli. Nie popijali też sherry.

– Jak się miewa Amelie? – zapytał Alex.

– Niezbyt dobrze – odparła Deborah. Czemu miałyby kłamać? – Niepokoi nas jej letarg. Tkwi w nim na dobre. Siedzi w pokoju, gapi się przez okno. Rozmowy z psycholożką nie przynoszą żadnych rezultatów. W każdym razie żadnych zauważalnych. Może podświadomie robi jakieś postępy.

– Powinna wrócić do szkoły – oznajmił Jason. – Takie bezczynne przesiadywanie w domu dobiłoby najzdrowszego człowieka.

– Ale ona nie chce tam wracać. W tej chwili nie możemy jej do niczego zmuszać. I nie powinniśmy. – Jej słowa zabrzmiały mocniej, niż myślała. Kwestia ta zresztą stanowiła punkt zapalny w ich stosunkach. Jason uważał, że Amelie musi powrócić do normalnego życia, tylko wtedy zdoła zapomnieć, przezwyciężyć to, co się wydarzyło. Deborah z kolei uznała tę metodę za niewłaściwą. Amelie nie mogła ot tak, zwyczajnie zacząć w miejscu, w którym czternastego października przerwała. Tak czy owak, jej życie już nigdy nie będzie takie samo. Czemu Jason tego nie rozumie? Przezwyciężenia traumy nie sposób po prostu nakazać. To wymaga czasu. Cierpliwości i siły. Jason najchętniej postępowałby tak, jakby to nigdy nie miało miejsca. To się nie mogło udać.

– Przypomniała sobie coś jeszcze? – zapytał Alex. – Na temat sprawcy? Albo tego, co wówczas przeżyła?

– Nie – odparł Jason. – Nic. Niestety.

Nie potrafił ścierpieć tego faceta. Czasem targała nim myśl, że człowieka, któremu winni są wdzięczność, traktuje z nieufnością i dezaprobatą być może zupełnie niesłusznie. Mógł go uznać za niesympatycznego, jednakże Amelie pewnie nie siedziałaby teraz w swoim pokoju na piętrze, w ciepłym, bezpiecznym domu, gdyby Alex Barnes nie zareagował. Byłaby utonęła. Na samą myśl o tym, że mógłby pojawić się u nich pełen współczucia policjant, by ostrożnie i taktownie przekazać wiadomość, że

gdzieś między klifami Zatoki Południowej morze wyrzuciło na brzeg ciało martwej dziewczyny, przechodziły go ciarki i oblewały fale gorąca.

– To dziwne – uznał Alex. – Ten całkowity blackout...

– W takich przypadkach to nic nadzwyczajnego – odparła Deborah. – Człowiek wyrzuca z myśli to, czego nie potrafi znieść. Kto wie, co Amelie tam... – Nie dokończyła. Wcale nie czuła się lepiej od córki. Nawet ona nie potrafiła o tym mówić. Jak miałyby się to udać Amelie?

Jason zastanawiał się, czy Alex przypadkiem nie sonduje sytuacji. A może jego pytania płyną ze zwykłego zainteresowania przebiegiem zdarzeń, w których sam uczestniczył? Czy jest znajomym albo nawet przyjacielem sprawcy? Czy usiłuje się dowiedzieć, co mu grozi ze strony młodej dziewczyny? Dla porywacza Amelie była niczym tykająca bomba. Kiedy sobie przypomni, gdy zacznie mówić, może dojść do prawdziwej katastrofy.

Alex dopił jednym haustem sherry, po czym zerwał się na równe nogi.

– Właściwie to przyszedłem...

– Tak?

Zdawał się szukać odpowiednich słów. Nawet teraz wypadł nienaturalnie. Jakby doskonale wiedział, co chce powiedzieć, a jednak usiłował wywołać wrażenie, że się waha.

– Chcę, byśmy byli wobec siebie szczerzy. Wydaje mi się, że mają mnie państwo dość.

– Cóż, Alex, ja... – zaczął Jason, lecz Barnes machnął ręką.

– Ależ tak. Uratowałem życie państwa córki, dlatego czują się państwo zobowiązani, a jednak mną zmęczeni. Nigdy nie zdołałem stanąć na własnych nogach...

– Na pewno pan zdoła... – wtrąciła Deborah, lecz ponownie im przerwał.

– Spojrzałem na panią, Deborah. Kiedy powiedziałem, że nie dostałem pracy. Do cholery, pomyślała pani wtedy, że już zawsze tak będzie! Kosztowało to panią tak wiele wysiłku, zawiozła mnie pani do Hull, poszła ze mną na zakupy, podarowała mi ciuchy, jakich nigdy wcześniej nie miałem...

Jason obrzucił żonę surowym wzrokiem. O zakupach mu nie powiedziała. Przekornie wytrzymała jego spojrzenie.

– I jeszcze ta super fryzura! – Alex wyszczerzył zęby w uśmiechu i przeczesał dłonią gęste włosy. Wyglądał jak duży dzieciak, całkiem wyluzowany, pogodzony z życiem i samym sobą. – Serio, przeglądałam się w każdej mijanej witrynie i uważam, że świetnie

wyglądam!

– Cieszy nas to – zapewnił Jason.

Alex zgasił swój uśmiech. Jego młodzieńcza twarz nagle spoważniała. Linie wokół ust się pogłębiły.

– Państwo mnie nie lubią i chyba powinniśmy zakończyć ten spektakl. Powiem państwu, czego mi trzeba. Potrzebuję cholernych trzydziestu tysięcy funtów. Pomyślałem, że nagroda finansowa to minimum, które mogliby zaproponować rodzice za życie swojej córki, lecz państwo widzą to chyba inaczej. Zamiast tego wizyta u fryzjera, to znów podwózka na rozmowę kwalifikacyjną... A poza tym dystans. Możliwie jak największy dystans.

– Proszę posłuchać – zaprotestował Jason, zszokowany faktem, jak niespodziewanie odmienił się nastrój rozmowy – opłacamy przecież pańskie mieszkanie.

– To nie mieszkanie, to jakiś obskurny lokal. I nie mam ochoty żyć z miesiąca na miesiąc, nie wiedząc, czy opłacą państwo kolejną ratę czynszu. Przecież wiem, że ostro z sobą dyskutujecie. *Jak długo jeszcze musimy to robić, dokąd on będzie do nas przychodził, kiedy wreszcie odzyskamy spokój, czy w ogóle go odzyskamy, w końcu uratował nasze złotko, ale jest taki natrętny, ten nieudacznik...* Tak państwo myślą i tak mówią. I sądzili państwo, że się nie domyśle?!

Deborah poczuła falę gorąca oblewającą jej twarz. Przede wszystkim dlatego, że miał rację. *Tak właśnie* myśleli i mówili. I rzeczywiście sądzili, że on tego nie zauważy.

– Trzydzieści tysięcy funtów – powtórzył Alex Barnes – za uratowanie państwa córki. I nigdy więcej mnie państwo nie zobaczą.

– To mnóstwo pieniędzy – odparł Jason.

W tej właśnie chwili zgasło światło. Deborah krzyknęła przerażona. Zrobiło się ciemno, przeraźliwie ciemno. Zgasły nie tylko wszystkie lampy w pokoju, także w korytarzu i kuchni nie widać było żadnej poświaty. Na ulicy nie paliły się latarnie, okoliczne domy, które mogli dostrzec przez okno, stały niczym czarne, puste zabudowania. Chmury przesłoniły tarczę księżyca. Deborah rzadko kiedy widziała taki mrok.

– Co, do diabła? – zapytał Jason, stojący obok niej szary cień.

Z góry dobiegł wrzask.

– Tato! Tato! – To był głos Amelie.

Jednocześnie usłyszeli gwałtowne łomotanie do drzwi.

– Otwierać! Policja! Otwierać natychmiast!

„Czemu nie dzwonią?” – zastanawiała się przez sekundę Deborah. Domyśliła się, że przecież nie działa także elektryczny dzwonek. Jason po omacku pognął po schodach do pokoju córki, podczas gdy Deborah ruszyła do drzwi wejściowych, nieopatrznie zawadzając o coś stopą. Z trudem tłumiąc okrzyk bólu, otworzyła drzwi. Posterunkowa Kitty Wentworth, miła funkcjonariuszka czuwająca nad ich bezpieczeństwem, natychmiast wtargnęła do środka.

– Wszystko w porządku?

– Tak. W porządku. – Deborah usiłowała przeniknąć wzrokiem mrok. – Gdzie pani kolega?

– Zaraz tu będzie – odparła niejasno Kitty. Poświeciła latarką w korytarzu. – Gdzie pan Barnes?

Alex wyszedł z pokoju dziennego, przystanął w poświacie latarki, po czym w teatralnym geście uniósł w górę obie ręce.

– Jestem tutaj. Nieuzbrojony. Bez złych zamiarów.

– Gdzie Amelie? – zapytała Kitty, nie wdając się z nim w rozmowę.

– Jest ze mną na górze! – rozległ się na schodach głos Jasona.

– Co się stało? – zapytała roztrzęsiona Deborah. – Nigdzie nie ma światła!

– No, ja nie mam z tym nic wspólnego – oświadczył Alex. – Deborah i Jason mogą to potwierdzić. Siedziałem spokojnie na sofie. Rozmawialiśmy o interesach.

– O interesach? – podchwyciła poirytowana Kitty.

„Można to tak nazwać – pomyślała Deborah. – Przy braku odrobiny życzliwości można by wręcz mówić o szantażu”.

Kitty nadal kierowała światło latarki na Alexa.

– Przypuszczam, że doszło do zwarcia w całej dzielnicy – oznajmiła. – Pewnie z powodu tego megaprądożernego oświetlenia w sąsiednim ogrodzie. Dziś dostawili kolejne renifery. To chyba jednak za wiele, jak na tutejszą sieć energetyczną.

Alex gwałtownie zamrugął powiekami.

– Czy mogłaby pani trochę zniżyć ten instrument przesłuchania? Nic właściwie nie widzę.

– Myślę, że i tak zamierza pan już wracać do domu, prawda, panie Barnes? – odparła Kitty.

– Jeśli trafię przez te ciemności... Gdzie się podziewa pani miły kolega?

– Do widzenia, panie Barnes – pożegnała się chłodno Kitty.

Alex wyszczerzył zęby.

– No cóż, w każdym razie pozdrowienia dla niego ode mnie! – Spojrzał na pogrążone w mroku schody. – Do widzenia, Jason! Przemyśli pan moją propozycję, dobrze?

– Do widzenia – usłyszał ceremonialną odpowiedź.

Alex minął posterunkową Wentworth i podszedł do drzwi.

– To na razie, Deborah! – Po czym zniknął w ciemnościach.

Kitty zdecydowanym ruchem zamknęła drzwi.

– O czym on mówił?

– To... długo by wyjaśniać – mruknęła Deborah. Nie była pewna, czy chce kogoś wtajemniczać w zaproponowany przez Alexa układ. Wydawało jej się, że nie będzie mieć wtedy aż takiej swobody działania jak w przypadku zachowania go w tajemnicy. W gruncie rzeczy była to przykra sytuacja. Oto wybawcę swojej córki zbywali pieniędzmi, by zostawił ich w spokoju. Deborah uznała, że jeśli zdecydują się na ten krok, nikt nie musi o tym wiedzieć. Obcym ludziom prawdopodobnie nie potrafiłaby wyjaśnić motywów swego postępowania.

Z pomocą Kitty, a zwłaszcza jej latarki, Deborah odszukała świecę, zapaliła je, rozstawiła wszędzie na parterze. Roznieciła też ogień w kominku, by również jego płomienie rozjaśniły wnętrze. Jason oznajmił, że zostanie z Amelie. Deborah dosłyszała jej szloch. Nagły brak prądu oraz spowijające wszystko ciemności musiały obudzić w niej przerażające wspomnienia i potworne lęki.

„Ile jeszcze minie czasu, zanim powróci do nas jako taka normalność?” – zastanawiała się z niepokojem Deborah.

Kitty ruszyła ku wyjściu.

– Poradzą sobie państwo? Będę w samochodzie. I jeszcze moja rada, Deborah: proszę nigdy więcej nie wpuszczać go do domu. Być może niesłusznie go osądzamy, ale ten człowiek mi się nie podoba. Jest... nieszczerzy.

– Ma pani rację – przyznała Deborah.

Kiedy otworzyła drzwi, ujrzała stojącego w progu posterunkowego Jacka O'Donella. Spoglądał przerażony.

– Co się tu dzieje?

– Czemu nie odbierasz telefonu? – zapytała jednocześnie Kitty.

– Nie słyszałem dzwonka – odparł Jack. Kitty obrzuciła go gniewnym wzrokiem.

Deborah zauważyła dwa duże kubki z kawą na wynos stojące na ogrodowym murku,

obok nich paczkę z sandwiczami. Domyśliła się, co się stało: O'Donnell opuścił posterunek, to dlatego Kitty wtargnęła do domu sama. Kawę i sandwicze mógł kupić jedynie w Tesco Express przy Burniston Road, a to oznaczało, że nie było go w pobliżu przez dłuższy czas. Wtedy właśnie zjawił się Alex, potem doszło do zwarcia i przerwy w dostawie prądu. Ot, niefortunny zbieg okoliczności, niemniej ta napięta sytuacja mogła mieć nieprzyjemne, ba, niezwykle groźne następstwa, jeśli Alex rzeczywiście stanowił dla nich zagrożenie. Skruszone miny obojga funkcjonariuszy świadczyły o tym, że doskonale zdają sobie z tego sprawę i prawdopodobnie martwią się także o własną przyszłość. Czekają ich zapewne nieprzyjemności ze strony przełożonego. Chociaż Deborah postanowiła nie pisać ani słowa, oboje z pewnością będą musieli zdać relację z przebiegu wieczornych zdarzeń, mając przy tym świadomość, że lepiej trzymać się prawdy. Deborah miała nadzieję, że nie wynikną z tego dla nich żadne poważne konsekwencje.

Dobitnie zrozumiała też co innego: znaleźli się w naprawdę krytycznym położeniu, mimo policyjnej ochrony w jednej chwili wszystko mogło wymknąć się spod kontroli.

„Dajmy mu te pieniądze – pomyślała znużona. – Dajmy mu te cholerne pieniądze i miejmy nadzieję, że wreszcie zniknie nam z oczu. Skończy się wreszcie ta ciągła troska, ta nieustanna rozterka”. Zapragnęła wyrzucić go precz z domu, a jednak poczuła, że nie może tak postąpić.

Wiedziała, że niełatwo będzie przekonać Jasona. Stan ich finansów nieustannie przysparzał mu zmartwień. Musiał jednak przyznać, że to jedyny sposób na pozbycie się Alexa Barnes'a – i zachowanie jako tako czystego sumienia. Oczywiście Barnes mógł w każdej chwili znów się pojawić i prosić o dalszą pomoc. Wtedy jednak – niwecząc porównanie do *szantażysty*, jakie nasunęło się Deborah – nie mogłby ich zmusić do czegokolwiek, a jedynie odwołać się do ich poczucia przyzwoitości. To zaś pewnie zdążyłoby się zrelatywizować po wypłacie trzydziestu tysięcy funtów.

Aż kiedyś da wreszcie za wygraną, wiedząc, że nic więcej od nich nie dostanie.

„I będzie po wszystkim, nareszcie po wszystkim” – pomyślała Deborah.

O dziwo, sama w to do końca nie wierzyła.

Czwartek, dziewiąty listopada

1

Brendan Saunders wyglądał jak siedem nieszczęść, kiedy dwóch funkcjonariuszy prowadziło go do pokoju przesłuchań. Po pięciu minutach rozmowy z Calebem Hale'em i Robertem Stewartem był bliski płaczu. Nie stawiając oporu, usłuchał wezwania policjantów, by udał się z nimi na posterunek. Nie zażądał adwokata ani też nie powoływał się na jakiegokolwiek przysługujące mu prawa. Sprawiał wrażenie roztrzęsionego, wystraszonego – i gotowego do podjęcia współpracy.

Dopiero tego ranka zdołali do niego dotrzeć, gdyż wyjechał z miasta i nikt nie wiedział dokąd. O świcie wrócił pociągiem z Edynburga, gdzie, jak twierdził, spędził kilka dni urlopu.

– W listopadzie? – zapytał Caleb, unosząc brwi. – W Edynburgu? Mało tam przyjemnie.

Saunders od razu zaczął się jąkać.

– Byłem... potrzebowałem zmiany otoczenia. Moja matka pochodzi z Edynburga, stąd... A ja... Wie pan, jako pisarz... zawsze pojawia się problem z inspiracją...

– A więc jest pan pisarzem?

– Tak.

– Co pan opublikował?

Saunders nic jeszcze nie opublikował, pracował jednak nad powieścią, w której zamierzał przedstawić angielskie społeczeństwo i jego ambiwalentny stosunek do Unii Europejskiej. „Na przykładzie dużego rodzinnego przedsiębiorstwa, które na skutek brexitu podupada”.

– A zanim ta książka się ukáže, z czego pan żyje? – dopytywał się Caleb.

Jak się okazało, trzy lata wcześniej Brendan odziedziczył w spadku po zmarłej babce po kądzieli dom w Edynburgu. Sprzedał go, a pieniądze ulokował, dzięki czemu mógł się utrzymać przez pewien czas, „aż uda mu się z książkami”, jak się wyraził. Obecnie miał „pisarskiego doła”, stąd wyprawa do Szkocji, „aby przewietrzyć głowę”. Zatrzymywał się w różnych pensjonatach w okolicach Edynburga.

– Możemy zobaczyć stosowne pokwitowania? – zapytał Caleb.

Brendan znów zaczął się jąkać.

– Nie wiem, gdzie je... Muszę poszukać...

– Pamięta pan ich nazwy i adresy? Byśmy mogli zweryfikować pańskie zeznanie. Dokonał pan rezerwacji?

Potrząsnął głową.

– Nie. Wyszedłem z założenia, że w listopadzie... no więc... że nie wszystko będzie zajęte. Szukałem tam, gdzie się akurat znalazłem. Ja... z pewnością przypomnę sobie ich nazwy... jeśli tylko chwilę pomyślę...

– Dobrze, proszę spróbować sobie przypomnieć i postarać się o poświadczenia – odparł niewzruszony Caleb. Nachylił się i podsunął Brendanowi zdjęcie Mandy Allard. Otrzymał je od funkcjonariusza, który pełniąc wówczas dyżur, przyjął zgłoszenie o zaginięciu.

– Zna pan tę dziewczynę?

Brendan Saunders nie musiał nic mówić, jego reakcja go zdradziła. Widać było, że ją zna. Poblądł na twarzy, wybałuszył oczy. Patrzył wstrząśnięty.

– Eee... to jest... tak, znam ją.

– Dobrze, że przynajmniej pan nie zaprzecza. Ktoś widział, jak ta dziewczyna, Mandy Allard, trzydziestego października tego roku wybiegła z pańskiego mieszkania. Niemal w popłochu.

– To na pewno ta stara Vine – warknął nienawistnie Brendan. – Mam rację? Mieszka pode mną i wszystkich pilnuje, wszystkich. Nie potrafi się zająć własnymi sprawami!

Caleb tego nie skomentował.

– Mandy Allard zaginęła na początku października. Pomoc społeczna zgłosiła to policji. Wyszła z domu rodzinnego, więcej jej nie widziano.

– Nie uciekła z domu. Znęcano się nad nią. Matka rzuciła w nią czajnikiem z wrzątkiem. Jej ramię kiepsko wyglądało. Naprawdę groźnie. Zająłem się nim. Kupiłem maść na oparzenia i opatrunki. Zadbalem o to, by nie wdała się infekcja.

– To godne pochwały, lecz czy może pan wyjaśnić, dlaczego zabrał pan z ulicy czternastoletnią dziewczynę i pozwolił jej mieszkać u siebie przez tyle dni? Nie przyszło panu do głowy, że to absolutnie nie w porządku?

Pytaniem tym Caleb próbował wysondować sytuację. Nie wiedział, gdzie i w jakich okolicznościach Brendan Saunders natknął się na Mandy, nie miał nawet pojęcia, czy znali się już wcześniej. Nie wiedział też, jak długo Mandy przebywała w mieszkaniu

Saundersa; informatorka – istotnie niejaka pani Vine – nie mogła służyć w tej kwestii pomocą, czego wyraźnie żałowała.

Saunders połknął haczyk.

– Tak, zagadnąłem ją. Włóczyła się po ulicy...

– Której?

– Cross Lane.

Caleb zanotował nazwę.

– Co dalej?

– Sprawiała wrażenie... zagubionej. Zmizerowanej. Drażliwej. Tak, taka właśnie mi się wydała. Rozdrażniona.

– Rozumiem. Jechał pan samochodem?

– Nie mam własnego auta, ale odebrałem wtedy z warsztatu samochód znajomego. Nim właśnie jechałem.

– Jak się nazywa ten znajomy? I warsztat?

– Joseph Maidows. To... daleki znajomy, ale miał wtedy grypę i dlatego... Warsztat mieści się przy Burniston Road... Scalby Mills Service Station.

– Chodzi tylko o potwierdzenie pańskich zeznań. – Caleb wszystko zanotował. Nachylił się. – A więc Mandy Allard niezwłocznie wsiada do pańskiego samochodu? Dobrowolnie?

Na twarzy Brendana odmalowało się oburzenie.

– Oczywiście, że dobrowolnie. Przecież jej nie *porwałem*. Zaproponowałem, że wypocznie u mnie, posili się. Od razu się zgodziła.

Caleb pokiwał głową. Z pewnością rodzice Mandy surowo jej nakazywali, by *pod żadnym pozorem tego nie robiła*. Z drugiej strony Mandy pochodziła z rodziny dysfunkcyjnej. Uciekła z domu, włóczyła się po ulicy. Prawdopodobnie była zbyt zdesperowana i wszelkie przestrogi puszczała mimo uszu.

– Mieszkała u pana... przez dziesięć dni? – spróbował Caleb.

Brendan Saunders ułatwiał mu zadanie. Gdyby nie był tak wystraszony, już dawno zorientowałby się, jak niewiele policja wiedziała, nie potrafiła nawet zweryfikować zeznań jego sąsiadki. Niczego nie musiałby wyjaśniać, a oni połamaliby sobie na nim zęby.

– Tydzień. Mieszkała u mnie przez tydzień. Opowiedziała mi, co się stało z jej ramieniem, że nie mogła dłużej wytrzymać w domu. Musi mieć straszną matkę. Nie

mogłem jej po prostu odesłać.

– Wiedział pan, że jest poszukiwana. Że jest nieletnia. Bezwzględnie powinien pan być powiadomić policję albo pracowników opieki społecznej. Mam nadzieję, że zdaje pan sobie z tego sprawę?

– Zaufała mi. Prowadziliśmy długie rozmowy. Usiłowałem jej pomóc. Rozbudzić w niej pozytywne myśli.

– Hm. Wie pan, panie Saunders, to wszystko brzmi bardzo pięknie, ta pańska opiekuńczość i troskliwość. Muszę jednak przyznać, że myśl o tym, iż niemal trzydziestoletni samotny mężczyzna całymi dniami przebywa w mieszkaniu sam na sam z czternastoletnią uczennicą, nieszczerze mi się podoba. Tym bardziej – Caleb zerknął do leżących obok akt – że w roku dwa tysiące piątym popadł pan w niezłe tarapaty. Mam rację?

Brendan pobladł jeszcze bardziej. Caleb zastanawiał się, czy ten facet może sądził, że historia z przeszłości przypadnie gdzieś w zapomnianym archiwum i nigdy więcej nie ujrzy światła dziennego.

– Miał pan wówczas siedemnaście lat, rzucił właśnie szkołę i rozpoczął wolontariat w „Yorkshire Post”.

– Tak – szepnął ochryple Brendan. Odchrząknął. – Tak – powtórzył nieco głośniej.

– Mieszkał pan u matki, tutaj, w Scarborough?

– Tak.

– Należał pan do bandy niesfornych młodzieniaszków. Jej członkowie byli karani za kradzież samochodu. Wciąż dochodziło też do chamskich wybryków na ulicach. Jedna lub dwie kradzieże sklepowe. Takie występki traktowano jako próby dzielności.

– Ja nigdy czegoś takiego się nie dopuściłem – oświadczył Brendan.

Caleb był niemal skłonny mu uwierzyć. Brendan sprawiał wrażenie człowieka, który boi się własnego cienia. Aż dziw, że należał do tego gangu. Prawdopodobnie chował się za bez troską i brakiem skrupułów pozostałych kolegów, przez co sam czuł się nieco silniejszy.

– Dwudziestego drugiego września roku dwa tysiące piątego – ciągnął Caleb – piętnastoletnia wówczas Sarah Fischer została w drodze ze szkoły do domu zaczepiona przez członków bandy. Zapytali ją, czy nie chce z nimi pójść, by zapalić jointa, spróbować alkoholu. Sarah Fischer była dziewczyną rezolutną. Zgodziła się. Opuszczona hala fabryczna na obrzeżach Scarborough...

– Wiem – szepnął Brendan. – Ale mnie tam nie było.

– Według zeznania Sarah Fischer po jakiejś półtorej godziny sytuacja wymknęła się spod kontroli. Alkohol i narkotyki odegrały w tym pewną rolę. Sarah była seksualnie napastowana przez chłopców w coraz bardziej obscenicznym słownictwie, a kiedy w końcu chciała odejść, została wbrew swojej woli uwięziona. Była gwałcona, jak pan pewnie wie, panie Saunders. Przez wszystkich obecnych tam wówczas młodzieńców. Całymi godzinami. Nieustannie.

– Mnie tam nie było. Przysięgam.

Caleb skinął głową. Dokładnie przestudiował akta tej sprawy.

– Wedle pańskiego zeznania wyszedł pan tamtego dnia z redakcji gazety już w południe, ponieważ źle się pan poczuł. Podobno wirus jelitowy. Pański ówczesny szef to potwierdził. Poszedł pan do domu i resztę dnia spędził w łóżku.

– Tak. Potwierdziła to również moja matka.

– Wiem. Zastanawiam się tylko, jak daleko posunęłaby się matka, by uchronić własnego syna przed takim oskarżeniem.

– Dziewczyna też mnie nie rozpoznała. Jednoznacznie przyznała, że mnie tam nie było.

– Wiem. Na nieszczęście powiedziała to także o kilku sprawcach, którzy potem sami przyznali się do współudziału. Sarah Fischer była pogrążona w głębokiej traumie. Jej zeznania były po części zagmatwane i sprzeczne, niektóre zgoła fałszywe.

– Ale ja naprawdę...

– Nie wszczęto wówczas przeciw panu postępowania – wszedł mu w słowo Caleb – ponieważ brakowało dowodów. Zeznań pańskiej matki oraz Sarah Fischer nie sposób było podważyć. Mimo to całe zdarzenie musiało być dla pana przykrym doświadczeniem. Sama świadomość, jakich to ludzi zalicza się do grona swoich kolegów... Do tego uzasadnione podejrzenie, że brało się udział w tak potwornej zbrodni. Nawet jeśli był pan niewinny... Wyobrażam sobie, jak bardzo to panem wstrząsnęło.

– Tak, to prawda. Po tym zdarzeniu nigdy więcej nie spotkałem się z członkami grupy. Nawet z tymi, którzy nie brali w tym udziału. Za żadne skarby nie chciałem mieć z nimi do czynienia. To, co się wówczas stało, uważam za odrażające, po prostu potworne.

– Dlaczego zatem zabrał pan Mandy Allard do siebie? – zapytał Caleb. – Czemu zrobił pan coś tak idiotycznego, skoro wówczas ledwo się panu upiekło?

Brendan coraz niżej opuszczał głowę.

– Czułem się taki samotny. Przed dwoma laty straciłem posadę w „Yorkshire Post”. To było dla mnie straszne. Pomyślałem wtedy, że zacznę od początku, napiszę powieść, którą zawsze chciałem napisać... Ale czy to zadziałało... Sam nie wiem. – Brendan zmagął się z napływającymi do oczu łzami. – Jestem taki samotny. Tak potwornie samotny. Potrafi pan sobie wyobrazić, jak to jest? Sam w mieszkaniu, dzień i noc. Nic tylko praca, o której nawet nie wiadomo, czy kiedykolwiek w ogóle kogoś zainteresuje. Tamtego ranka zobaczyłem ją na drodze... Sprawiała wrażenie równie samotnej jak ja. Zagubionej. Potrzebującej pomocy. Pomyślałem... Jeśli zostanie ze mną przez jakiś czas, nie będzie już tak pusto. Będę miał kogoś na długie wieczory. Kogoś do rozmowy. Do wspólnych posiłków, oglądania telewizji. To wszystko. Nawet jej nie dotknąłem, ani razu, przysięgam. W każdej chwili mogła odejść. Nie próbowałbym jej zatrzymać. Drzwi nie były zamknięte. Mandy przez cały czas była u mnie z *własnej woli!*

– Doniesiono nam, że opuściła pańskie mieszkanie w popłochu.

Brendan uniósł ramiona.

– Nie potrafię tego inaczej wyjaśnić, jak tylko... – Urwał.

– No, dalej – zachęcał Caleb.

– Tamtego ranka rozmawiałem przez telefon. Z matką. Nie mam nikogo innego... – Głos znów mu się załamał.

Caleb westchnął. To nieustanne rozczulanie się nad sobą stawało się nieznośne.

– Rozmawiał pan z matką...

– Tak. Wyjawilem jej co nieco... opowiedziałem o Mandy... oczywiście nie zdradziłem, że jest taka młoda. Po prostu udałem... no cóż...

– Że poznał pan kobietę, której się pan spodobał – pospieszył z pomocą Caleb.

– Tak. Moja matka zawsze się zamartwiała, gdyż nigdy nie miałem szczęścia do dziewczyn. Jeszcze nigdy... nie byłem w poważnym związku. No więc, po prostu trochę podkoloryzowałem. Mandy była wtedy w łazience. Przypuszczam jednak, że usłyszała moją rozmowę i pewnie pomyślała, że komuś o niej opowiadam. Policji albo jej opiekunce z opieki społecznej. Panicznie się jej bała. Że umieści ją w poprawczaku czy czymś podobnym.

– Uważa pan, że Mandy z kilku zasłyszanych strzępów zdań wyciągnęła fałszywe wnioski i dlatego uciekła?

– Tak właśnie musiało być. Bo uciekła jeszcze w trakcie mojej rozmowy. Zostawiła niemal wszystkie swoje rzeczy. Ukradła mi trochę pieniędzy, ale poza tym wybiegła praktycznie z niczym.

Istotnie tak mogło być. Równie dobrze jednak Mandy mogła uciec przed natarczywością swojego gospodarza. Komisarz nie dostrzegł w Brendanie cech groźnego przestępcy, a już na pewno nie seryjnego mordercy dziewcząt, lecz z doświadczenia wiedział, że pozory czasem mylą. Ten człowiek bez wątpienia miał problemy z kobietami.

Caleb pomachał kartką papieru. Czterdzieści osiem godzin trwało przekonywanie sędziego.

– Mam tu sądowy nakaz przeszukania pańskiego mieszkania. Zaraz uda się tam kilku funkcjonariuszy. Myślę, że najlepiej będzie, jeśli do tego czasu zostanie pan tutaj.

Brendan zamrugał powiekami.

– Jestem aresztowany?

„Czy on naprawdę jest aż tak bojaźliwy? – zastanawiał się Caleb. – Czy może ma uzasadniony powód do strachu?”

– Nie, nie jest pan aresztowany. Uważam tylko, że na czas przeszukania pańskiego mieszkania powinien pan tu zostać. – Niechętnie, lecz z obowiązku dodał: – W każdej chwili może pan zatelefonować do krewnych lub do adwokata.

Brendan opuścił ramiona.

– Tak. Zadzwońię do matki. Dziękuję.

Sprawiał wrażenie tak zastraszonego i zrozpaczonego, że rzeczywiście trudno było go sobie wyobrazić w roli seryjnego zabójcy. Mimo to Caleb nie zdecydował się skreślić go z listy podejrzanych. Wszystko zależało teraz od wyniku rewizji w jego mieszkaniu. Należało się oczywiście spodziewać znalezienia śladów pobytu Mandy Allard. Jeśli jednak znajdą także DNA Saskii Morris i Amelie Goldsby, Saunders wpadnie po uszy. Będą go mieli.

Caleb miał jednak mroczne przeczucie, że tak łatwo im nie pójdzie.

2

Wczesnym rankiem Kate wyjechała do Staintondale, by złożyć wizytę Kevinowi i Marvinowi Bentom. Dzień był pogodny i bardzo zimny. Na okolicznych łąkach połyskiwał szron. Niebo mieniło się krystalicznym błękitem. Ani jednej chmury.

Kobieta zabrana przez Kate z przystanku autobusowego powiedziała, że po śmierci matki Kevin i Marvin doprowadzili podupadłą farmę do porządku, mimo to Kate była

miło zaskoczona faktem, jak dobrze o wszystko zadbali. Dom oraz opuszczone stajnie znajdowały się w świetnym stanie. Wzdłuż drogi wjazdowej na podwórze, prowadzącej między okalającym pastwiska ogrodzeniem, żywopłot był równo przycięty, pod koniec lata skoszono też trawnik. Na farmie już od dawna nie prowadzono żadnej działalności, nigdzie jednak nie było widać przerdzewiałego, popsutego sprzętu ani uszkodzonych płotów czy murów. Wszystko utrzymywano w dobrym stanie, choć chyba niewielkim nakładem środków finansowych. Dom nie był remontowany zapewne od lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku, lecz ściany zewnętrzne świeżo otynkowano, a ramy okienne pomalowano niebieską farbą. Drzwi wejściowe mieniły się ciemnym granatem.

Aż tak aspołeczni, jak twierdził Caswell, obaj bracia być nie mogli.

Niestety, Kate nie zastała ich w domu. Pukała do drzwi, nikt jednak nie odpowiedział, wewnątrz panowały cisza i mrok. Obeszła budynek dookoła, od tyłu zauważyła niewielką murowaną werandę z meblami ogrodowymi przykrytymi plandeką. Spojrzała na łąki i pola ciągnące się aż po brzeg morza, które tego dnia dorównywało barwą błękitowi nieba. Miejsca Bentowie mieli pod dostatkiem, lecz czy mieli też kryjówkę, w której mogliby całymi tygodniami więzić dziewczynę?

Odwróciła się i spojrzała na dom. Ależ tak, oczywiście wewnątrz budynku. Albo w jednej ze stodół czy stajni. Lecz jeśli pojawił się jakiś obcy? Albo dziewczyna zaczynała krzyczeć?

Czy przebywała tu Amelie Goldsby? Czy to tutaj dzięki przytomności umysłu i odwadze ukryła się w samochodzie obcego człowieka?

Kate wróciła przed dom, próbowała zajrzeć do stodoły oraz dwóch stajni, lecz ich wrota były zamknięte. Zerknęła przez okienne szyby, nie dostrzegła jednak nic istotnego. Puste boksy. Nieco słomy na ziemi. Nic, co świadczyłoby o tym, że pomieszkiwali tu ludzie.

Wsiadła do samochodu i wróciła do Scarborough. Wstąpiła do prowadzonego przez Kevina i Marvina pubu w porcie. The Sailor's Inn mieścił się w niewielkim bielonym budynku, na parterze działał sklep ze sprzętem rybackim. Po drewnianych zewnętrznych schodach wchodziło się na piętro, do sali mieszczącej około dwudziestu stolików i duży kontuar. Drzwi za ladą prowadziły do kuchni.

Kate zastała starszą kobietę wycierającą właśnie podłogę. Dowiedziała się, że obaj bracia pojechali na zakupy.

– Ale wieczorem obaj tu będą. Na pewno ich pani spotka!

Kate wyszła na ulicę i przystanęła niezdecydowana. Nie chciała jeszcze wracać do

domu – do pustego domu. Na spacer nad morzem było jednak za zimno, musiałyby włożyć cieplejsze rzeczy i porządne buty. Z torebki wygrzebała karteluszek z wyszukany w internecie adresem Davida Chaplanda. Stwierdziła, że mieszka wyżej, na klifie, przy Sea Cliff Road. Nieco ruchu dobrze jej zrobi. Lepsze to niż beczynne siedzenie w domu.

Szła wzdłuż plaży poniżej Grand Hotelu, po czym na skraju Esplanade Gardens ruszyła w górę schodami. Po drodze pomyślała, że to rzeczywiście nieco dziwne. David Chapland zeznał, że tamtego wieczoru poszedł sprawdzić stan zacumowanych w porcie łodzi, w drodze powrotnej natknął się na Amelie i trzymającego ją resztkami sił Alexa Barnes. Najkrótsza droga do domu bez wątpienia prowadziła schodami, którymi Kate właśnie się wspinała.

Dlaczego Chapland wybrał dłuższą trasę przez Cleveland Way nad brzegiem morza? Podczas deszczu i sztormu?

Dotarłszy pod dom przy Sea Cliff Road, dostała zadyszki i przystanęła, by zaczerpnąć tchu. Koniecznie musi więcej ćwiczyć, kondycję ma kiepską. Popatrzyła na budynek stojący w szeregu ładnych domów jednorodzinnych wzdłuż cichej, zadbanej ulicy. Domy z niewielkimi ogródkami od frontu, kolorowymi drzwiami, z zadziwiająco dużymi wykuszami od strony drogi oraz lukarnami na poddaszu. Przy końcu ulicy, wysoko nad morzem, znajdował się parking, z którego tamtej nocy wedle wszelkiego prawdopodobieństwa uciekła Amelie Goldsby.

Kate stwierdziła, że dom Davida Chaplanda został przebudowany na bliźniak, gdyż zauważyła dwa dzwonki do drzwi z dwiema różnymi wywieszkami. Zadzwoiła. Nad jej głową krążyły skrzeczące w chłodnym powietrzu mewy. Białe listopadowe słońce zawisło nisko na horyzontem.

„Ładna okolica – pomyślała – miło się tu mieszka”.

David Chapland otworzył drzwi, kiedy już miała dać za wygraną i zawrócić. Był boso, dzinsy podwinął wysoko nad kostki. Dłonie miał umorusane jakąś czarną substancją. Spojrzał pytająco:

– Tak?

Widocznie mu przeszkodziła.

– Przepraszam... ja... jeśli przychodzę nie w porę...

– O co chodzi?

Wyciągnęła do niego rękę, lecz ją cofnęła, zrozumiałwszy, że on w tej chwili nikomu swojej nie poda. Jak można się tak głupio zachować?

– Kate Linville. Wiem, że to uciążliwe, jeśli się przychodzi bez zapowiedzi... – Taki mam zawód, przemknęło jej przez myśl, to on stawia mnie w tak niezręcznej sytuacji. Funkcjonariusze policji często zjawiają się niespodziewanie. A jednak wówczas nie dukają, tylko wyciągają legitymacje i proszą o rozmowę. Uprzejmie, acz nieustępliwie. Kate wolałaby sięgnąć po legitymację i podsunąć ją Chaplandowi pod nos. Z miejsca poczułaby się o wiele pewniej.

– Żaden problem – zapewnił. – Miałem tu właśnie montera od ogrzewania i sprzątam teraz cały bajzel, jaki po sobie zostawił. Nigdy więcej nie wynajmę tej firmy. Od przedwczoraj nie działa u mnie ogrzewanie, dlatego koniecznie musiałem się tym zająć. Normalnie o tej porze dawno byłbym w biurze.

– Jestem dziennikarką – oznajmiła Kate. – Z Londynu. – Tym razem kłamstwo gładko przeszło jej przez gardło. – Pracuję nad artykułem. Na temat tej potwornej serii zbrodni, która miała tu miejsce. Zaginione dziewczęta. Jedną z nich znaleziono martwą. A druga wróciła żywa.

– Rozumiem. Chodzi o mnie, prawda? Bo pomogłem wyciągnąć Amelie Goldsby z wody.

– Tak. Chciałabym zadać panu kilka pytań, ale mogę oczywiście przyjść innym razem, jeśli teraz...

– W porządku. Proszę, niech pani wejdzie. Tylko że okropnie u mnie zimno, ogrzewanie dopiero się rozkręca. Ma pani ochotę na gorącą herbatę?

Usiedli w kuchni z widokiem na ogród na tyłach domu. Do mieszkania Chaplanda prowadziły strome schody. Środek kuchni zajmował duży, ładny, drewniany stół, wokół panoszył się przytulny bałagan. Chapland poprosił Kate, by usiadła. Umył ręce, po czym zaparzył herbatę, na stole postawił dwa kubki, podał cukier i mleko. Kate mocno zacisnęła dłonie na swoim kubku. Rzeczywiście, w domu panował okropny ziąb. Przezornie nie zdjęła płaszcza.

– Cóż – odezwał się Chapland – nie potrafię pani powiedzieć nic nowego. O wszystkim można przeczytać w gazetach. Tamtego wieczoru szedłem Cleveland Way, zobaczyłem tego mężczyznę... jak on się nazywa?

– Alex Barnes.

– Zgadza się. Zobaczyłem pana Barnes'a leżącego na ziemi tuż przy murku nabrzeża. Kiedy podszedłem bliżej, zauważyłem, że przytrzymuje dziewczynę. Zwisła wycieńczona w wodzie, widać było, że Barnes nie zdoła jej wyciągnąć na brzeg. Chwyciłem ją więc za ramię. Krzyknąłem, żeby natychmiast wezwał pomoc, ale jego

telefon wpadł do morza. Sam trzymałem Amelie, aż zdołał nieco rozluźnić mięśnie palców, wtedy ponownie ją uchwycił, ja zaś wezwałem policję i karetkę.

– Czy Alex Barnes... był w jakiś sposób zaskoczony albo zaniepokojony pańskim pojawieniem się?

Chapland pokiwał głową.

– Policja też mnie o to pytała. Nie. Poczuł raczej ulgę.

– Policja z pewnością chciała także wiedzieć... Jak to się stało, że pan się tam zjawił? – ostrożnie drążyła Kate. – Wracał pan z portu. To nie była najkrótsza droga do pańskiego domu.

Chapland się roześmiał.

– Rzeczywiście pyta pani dokładnie o to samo co policja. Czy na pewno jest pani dziennikarką?

– Te pytania z pewnością nasuwają się każdemu – odpowiedziała wymijająco Kate – nieważne, czy jest się policjantem, czy nie.

– Racja. W normalnych okolicznościach pojechałbym samochodem. Niepokoilem się o stan moich łodzi. Chciałem sprawdzić, czy są dostatecznie zabezpieczone. Jak głupi wypilem jednak wcześniej dwa piwa. Dlatego nie chciałem ryzykować, siadając za kierownicą.

– Bardzo rozsądnie. Aż za bardzo. Kto postępuje tak wzorowo?

– Ktoś, kto przez pewien czas musiał się obejść bez samochodu. Bo przyłapano go na jeździe po alkoholu.

– Och...

– Nie jestem nałogowym pijakiem, który po kieliszku siada za kierownicą – wyznał Chapland. – To był wieczór sylwestrowy. Wracalem z przyjęcia. Zachowałem się jak idiota. Od tej pory się pilnuję.

Kate to rozumiała. Większość ludzi pokornieje, gdy musi oddać prawo jazdy.

– Okay. Bez samochodu. Ale czemu akurat tą drogą? Brzegiem rozszalałego, spienionego morza... W deszczu, tak późno wieczorem?

Uśmiechnął się.

– Ależ ja kocham morze. Właśnie takie, jak tamtego wieczoru. Świadomie wybrałem tę trasę.

– Rozumiem.

– Ani pani nie notuje, ani nie nagrywa naszej rozmowy.

– Co proszę?

– No cóż, przecież chce pani to wszystko opisać. Dziwi mnie, że nie robi pani notatek.

Kate poczuła, jak rumienią jej się policzki. Rzeczywiście była nieprzygotowana.

– Ja... jak dotąd rozmawiamy o znanych mi kwestiach. Może później... zacznę nagrywać... – Musiał ją uznać za prawdziwą dyletantkę.

Skinął głową.

– Jeśli mnie pani dosłownie zacytuje, chcę to autoryzować.

– Oczywiście.

– Dla jakiej gazety pani pracuje? – W jego głosie zabrzmiał ton nieufności.

– Jestem dziennikarką niezależną. Mieszkam w Londynie. Nie wiem jeszcze, komu zaproponuję tę historię. Chcę opisać, jak te wydarzenia wpłynęły na życie miasta. I jego mieszkańców.

Obrzucił ją zamyślonym spojrzeniem.

– Brzmi ciekawie. Obawiam się tylko, że to wszystko ma niewielki wpływ na miasto i ludzi. Wie pani, przez pewien czas piszą o tym wszystkie gazety, każdy o tym rozmawia... Tak, i pewnie też wszyscy rodzice surowo napominają dzieci, by nikomu obcemu nie ufać. Ale ludzie szybko przechodzą nad tym do porządku. Jakby nic się nie stało. Proszę pomyśleć o zamachu w Manchesterze. W Londynie. O pożarze w Grenfell Tower. Mnóstwo ekscytacji. A chwilę potem – zeszłoroczny śnieg. U ludzi znów dochodzą do głosu ich własne troski i zmartwienia, dotyczące bezpośrednio dnia codziennego. Praca. Pieniądze. Szkolne problemy dzieci. I co tam jeszcze.

– Z tym właśnie trzeba się zmagać każdego dnia – odparła Kate. – Nic na to nie poradzimy.

Zauważyła, że mężczyzna bacznie jej się przygląda. Jakby naprawdę zaciekała go ich rozmowa.

– Tak – powtórzył powoli – nic na to nie poradzimy.

Chwilę potem jakby przebudził się z nurtujących go myśli.

– Mam jeszcze zaparzyć herbaty?

– Nie chciałabym pana zatrzymywać. Już dawno miał pan wyjść do biura.

– Zgadza się, muszę... – Zamyślił się. – Mam pomysł: czy zje pani dziś ze mną kolację? Moglibyśmy wtedy dokończyć naszą rozmowę.

Kate była tak oszołomiona, że omal nie zadławiła się ostatnim łykiem zimnej już

herbaty. Czy ten mężczyzna aby nie chce się z nią umówić? Pełna nieufności rozważała w myślach, czy jego słowa można by zinterpretować inaczej. Nie chciała się ośmieszyć... Jeszcze nigdy jej się to nie przytrafiło. Okay, Colin spotkał się z nią kilkakrotnie, ale najpierw to komputer złączył ich ze sobą, tak doszło do ich pierwszej randki. Podobnie jak i pozostałych jej *randkowych* znajomości. Raz nawet, trzy lata wcześniej, komisarz Hale zapytał, czy nie poszłaby z nim do pubu. Wtedy odmówiła. To nie powinno się powtórzyć. A jednak nie wolno jej niczego opacznie sobie tłumaczyć.

Z drugiej strony: *zjeść ze mną kolację* znaczy *zjeść ze mną kolację*. Nic ponadto.

– Kolację? – zapytała i z miejsca pomyślała, że bez wątplenia uzna ją za okaz błyskotliwej inteligencji. Umilkła skonsternowana na kilka sekund, po czym powtórzyła to słowo, jakby usłyszała je po raz pierwszy w życiu.

– Tak, pomyślałem, że moglibyśmy pójść do pubu. Oczywiście pod warunkiem, że ma pani ochotę – dodał.

Zebrała się w sobie. Miała wrodzony talent do psucia wszystkiego, szczególnie gdy rzecz dotyczyła mężczyzn.

– Zamierzałam dziś wieczorem wstąpić do Sailor’s Inn – wyjaśniła – by porozmawiać z Kevinem i Marvinem Bentami. Z powodu mojego artykułu. Może tam się spotkamy?

– Zawsze w pełnej gotowości – odparł rozbawiony – ale okay, czemu nie. Mają tam całkiem dobrą kuchnię. Odpowiada pani o pół do ósmej? Mam po panią przyjechać?

No masz. Jeszcze nikt jej tego nie proponował. Nawet Colin. Na te kilka z nim spotkań Kate zawsze docierała sama – tłocząc się w metrze albo przedzierając samochodem przez londyńskie korki.

– Nie, dziękuję, sama przyjadę – odparła spiesznie. Zamierzała zjawić się tam wcześniej, by porozmawiać z obydwoma braćmi. Poza tym nie chciała, by David Chapland zauważył, że mieszka w domu zupełnie pozbawionym mebli. Fakt, że postanowiła wyremontować dom zdewastowany przez okropnych lokatorów, można było jeszcze zrozumieć – lecz nie to, że wegetowała w nim przez całe dwa tygodnie. Każdy normalny człowiek poszukałby hotelu lub pensjonatu – albo w ogóle by nie przyjeżdżał, lecz zlecił sprawę pośrednikowi. Obawiała się, że David od razu zauważy, iż nie potrafi przeciąć pępowiny i wciąż czuje się związana ze swoim zmarłym ojcem. Nie sądziła, by mógł to uznać za coś ekscytującego.

– W porządku. A zatem o pół do ósmej – potwierdził.

Odprowadził Kate do drzwi. Na pożegnanie wyciągnął do niej czystą tym razem dłoń. Jej uścisk wydał się przyjemny. „I ładnie się uśmiecha” – uznała Kate.

Stała na ulicy, ciesząc się wiatrem smagającym jej policzki.

„No dobrze – powiedziała do siebie – tylko tego nie przeceniaj. Przyszedł do niego jako dziennikarka i poprosiłaś o rozmowę, on zaś nie miał teraz dość czasu i dlatego zaproponował wieczorne spotkanie. To wcale nie musi mieć żadnego związku z *twoją osobą*”.

Z drugiej jednak strony: nie każdy idzie od razu na kolację z dziennikarką tylko dlatego, że ona ma do niego parę pytań.

„Zachowaj spokój – napominała sama siebie. – I nie rób sobie żadnych nadziei!”

W drodze powrotnej zastanawiała się wyłącznie nad tym, co na siebie włożyć.

3

– Nic – stwierdził Caleb. – Nic przydatnego. – Stał w biurze sierżanta Stewarta. Nie uszło jego uwagi, że kiedy się zjawił, Stewart błyskawicznie zamknął uruchomiony na komputerze program. Pewnie znów myszkował po portalu randkowym. Robert Stewart od lat szukał w sieci kobiety swojego życia, a jednak żaden z jego związków nie przetrwał dłużej niż dwa tygodnie. Koledzy ze zdumieniem, lecz i respektem przyglądali się jego niestrudzonym poszukiwaniom.

– Nic? – powtórzył jak echo.

Caleb osunął się na krzesło, rozprostował nogi. Czuł zmęczenie i frustrację.

– Gruntownie przeczesali mieszkanie Brendana Saundersa. Jeszcze nie mamy pełnych wyników, ale wygląda na to, że nie znaleziono żadnych śladów Amelie Goldsby ani Saskii Morris. Według pierwszych ustaleń żadna z dziewcząt nigdy nie przebywała w tym mieszkaniu.

– Ale są ślady Mandy Allard?

– Jasne, całe mnóstwo. Nawet widoczne gołym okiem: jej plecak, jej komórka. Sam Saunders nie zaprzecza, że u niego mieszkała.

– Jego matka...?

– Przypomina sobie rozmowę telefoniczną z trzydziestego października, kiedy Brendan opowiadał jej o swojej nowej dziewczynie. Moim zdaniem pamięta też o wszystkim, co uchroniłoby jej syna od wszelkich możliwych zagrożeń. Dwóch funkcjonariuszy usiłowało porozmawiać z Josephem Maidowsem, właścicielem samochodu, ale wygląda na to, że wyjechał. Ludzie z warsztatu Scalby Mills Service

Station potwierdzają jednak, że zostawił u nich pojazd z powodu problemów z hamulcami i że Brendan Saunders go odebrał. W zasadzie zeznania Saundersa się potwierdzają. Aaa, tak, z pierwszych rozmów z pracownikami pensjonatów wokół Edynburga, w których Saunders zatrzymał się jakoby podczas urlopu, wynika, że rzeczywiście tam przebywał. Zwracał na siebie uwagę jedynie tym, że pół dnia przesypiał w łóżku, a potem wyruszał na wędrówki. W okolicy brak zgłoszeń o zaginięciach osób, które wykazywałyby podobieństwa z naszymi przypadkami. Wygląda na to, że naprawdę pojechał tam wypocząć.

– Od sąsiadki wiemy, że Mandy Allard od niego uciekła. A zatem nie mógł jej nigdzie wywieźć – wywnioskował Stewart.

– Później mógł ją ponownie złapać – zauważył Caleb. – Z początku zaszyła się u tego znajomego. Cata czy jak mu tam.

Już w poniedziałek kilku funkcjonariuszy ponownie odwiedziło Cata. Leżący na materacu, odurzony haszyszem młody człowiek powitał ich uśmiechem. Wokół roilo się od kotów. Zapytany o Mandy Allard odparł, że istotnie, była u niego, lecz odeszła. Kiedy to się stało, nie wiedział.

– Przez dziewięć na dziesięć godzin – wyjaśnił Calebowi jeden z funkcjonariuszy – jest pod wpływem narkotyków. Uważam, że nie jest w stanie seryjnie porywać i mordować dziewcząt.

Ponieważ Mandy, uznana od tygodni za zaginioną, według relacji pracowniczki opieki społecznej zatrzymała się u Cata, wydano nakaz przeszukania jego piwnicznego lokum. Przyniosło ono równie wiele co rewizja w domu Brendana Saundersa, czyli zupełnie nic. Tymczasem zjawiała się na miejscu również znajoma Cata. Młoda kobieta ordynarnie zbesztala policjantów, a słysząc nazwisko Mandy Allard, dostała napadu furii. Tak, osobiście wyrzuciła tę młodą flądę za drzwi. Jej noga nigdy więcej tu nie postanie, przynajmniej dopóki ona ma coś do powiedzenia. Kim jest? Przypadkową znajomą Cata. W zasadzie znają się jedynie z WhatsAppa. Uciekła z domu i dwukrotnie – *dwukrotnie* – pomieszkiwała przez kilka dni u Cata, bo on był na tyle dobroduszny, by zaoferować jej dach nad głową i coś do jedzenia. To była prowokacja z jego strony, czegoś takiego nie będzie tolerować, jednoznacznie dała to obojgu, Mandy i Catowi, do zrozumienia. Dlatego Mandy, jeśli jej życie miłe, z pewnością więcej się tu nie pojawi.

Ponowny atak szału nastąpił wówczas, gdy usłyszała, że z powodu groźby zawalenia się całego budynku policja zlikwiduje ich piwniczne schronienie, przez co razem z Catem zostaną bez dachu nad głową.

– To niemożliwe! Wszystko przez tą młodą zdzirę. Przez tą przeklętą małą zdzirę! Ledwo się pojawia, a już dobiera się do mojego chłopaka, a potem jeszcze ściąga nam na kark gliny. Nie wierzę. Po prostu nie wierzę!

Trzeba ją było wynieść na zewnątrz, tak wierzgała, kąsała i pluła. Cat z kolei dobrowolnie wyszedł z piwnicy, boso, mimo panującego chłodu, z rozpromienionym spojrzeniem. Funkcjonariusze wezwali opiekę społeczną oraz towarzystwo opieki nad zwierzętami, by zajęło się czeredą kotów. Dom zabarykadowano. Co wcale nie oznaczało – nikt nie miał złudzeń – że niedługo potem ktoś znów nie umości się w tamtejszej piwnicy. Może nawet sam Cat.

– A więc tego Cata skreślamy? – zapytał Stewart.

Caleb przytaknął.

– Mam dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewności, że jest niegroźny. Próbowałem z nim pomówić, ale niewiele dało się z niego wyciągnąć. Beznadziejny przypadek, myli ludzi i upływ czasu. Słyszac imiona Saskii Morris i Amelie Goldsby, w ogóle nie zareagował, wydaje mi się, że wcale nie udawał. Przez te prochy wypaliło mu sporą część mózgu. Jak twierdzą koledzy: facet wydaje się niezdolny do przeprowadzenia pod względem logistycznym kilku porwań oraz do przetrzymywania uprowadzonych osób. Praktycznie niemożliwe.

– Kilku porwań – powtórzył Stewart. – Szefie, nie wolno nam zapominać, że jak dotąd nie mamy żadnych dowodów na to, że we wszystkich przypadkach chodzi o tego samego porywacza. To nasze przypuszczenie, lecz teoretycznie mogą one nie mieć z sobą nic wspólnego.

– Ta dziwna powtarzalność to przypadek?

– Jaka powtarzalność? – zapytał Stewart. – Mamy Saskię Morris, zaginioną dziewczynę, która kilka miesięcy później została znaleziona martwa. Mamy Amelie Goldsby, dziewczynę, którą wciągnięto do samochodu i wywieziono, a jednak zdołała uciec. Mamy wreszcie Mandy Allard, dziewczynę, która uciekła z domu od toksycznej rodziny i od tygodni włóczy się po ulicach, pomieszkuje tu i tam, ale najwyraźniej jest na wolności. Jeśli chce pan znać moje zdanie, Mandy możemy skreślić z listy ofiar tak zwanego *mordercy z wrzosowisk*. Kiedy na dworze zrobi się chłodno i nieznośnie, wróci skruszona do domu. Albo też, jakkolwiek kiepsko to zabrzmie, stanie się pozycją w tabelce statystycznej: znajdzie się wśród wielu młodych ludzi, którzy rokrocznie uciekają w Wielkiej Brytanii z domu, bo mają dość rodziny, nie dają sobie rady w szkole, gna ich pragnienie przygody albo co tam jeszcze. Nie znaczy to, że nie należy ich szukać, choć doskonale pan wie, że nie mamy nawet dość ludzi, by ruszyć w ślad za

wszystkimi uciekinierami. W każdym razie nie powinniśmy łączyć tej historii z innymi.

– Hm – mruknął Caleb.

– Uwzględniliśmy ją w naszym dochodzeniu tylko dlatego, że doniesiono nam, iż dziewczyna uciekła z mieszkania notowanego w przeszłości mężczyzny – dodał Stewart. – A on najprawdopodobniej jest niewinny.

– Na to wygląda – przyznał Caleb.

– On chyba rzeczywiście nie zrobił nic złego w sprawie tej Sarah Fischer, jeśli pytamnie pan o zdanie, sir. To typ ofiary, nie sprawcy. I nie należy do najbystrzejszych pod słońcem. W młodości zadawał się z niewłaściwymi kolegami, nic więcej. A teraz był na tyle głupi, by udzielić schronienia nieletniej uciekinierce, bo czuł się samotny. Przy takim założeniu znów znajdziemy się w punkcie wyjścia. Brakuje nam najdrobniejszej przesłanki, by sądzić, że Mandy Allard została porwana i uwięziona.

Caleb podparł głowę rękoma.

– Znów w punkcie wyjścia. Oto nasz motyw przewodni w całym dochodzeniu, sierżancie. Jestem od tego chory. Cokolwiek się dzieje, nie posuwamy się naprzód. Wciąż kręcimy się w kółko. A jeśli nam się wydaje, że właśnie znaleźliśmy punkt zaczepienia, z pewnością zaprowadzi nas donikąd. Mam wrażenie, że powoli staję się kimś, kto całkiem bez celu macha rękami we mgle, w nadziei, że przez przypadek natrafi na coś istotnego – bez pomysłu, bez planu, bez *czegokolwiek*.

Sierżant Stewart milczał. Nie potrafił zaprzeczyć. Caleb Hale dość realistycznie nakreślił sytuację.

– Cała nasza nadzieja w tym – stwierdził Caleb – że Amelie Goldsby przezwycięży uraz na tyle, by zeznawać. Że uzupełni swoją relację o istotne szczegóły. Od tego zależy wszystko. Jesteśmy zdani na łaskę pogrążonej w traumie nastolatki, nie mając pojęcia, czy ona w ogóle się z niej otrząśnie.

– Sierżant Helen Bennett nadal regularnie ją odwiedza? – zapytał Robert.

– Niemal codziennie. Nie składa broni. Bądź co bądź już raz niespodziewanie dokonała przełomu. Kiedy Amelie wyjawiała szczegóły swojej ucieczki.

– Co, niestety, daleko nas nie zaprowadziło – mruknął ponuro Robert.

Rozpytywanie wśród okolicznych mieszkańców nie przyniosło żadnych rezultatów. Nikt nie zauważył zaparkowanego samochodu. Nikt niczego nie widział ani nie słyszał. Nikt się nie przyznawał, że jest właścicielem samochodu, w którym uciekła Amelie. Mówiąc inaczej – i jeszcze bardziej deprymująco: teoretycznie mógł nim być każdy. Nic

kategorycznie nie wykluczało konkretnych osób – i nic też na konkretne osoby nie wskazywało.

Nie mieli zupełnie nic.

– Mimo wszystko zakładamy jednak, że w przypadku Saskii Morris i Amelie Goldsby chodzi o tego samego sprawcę? – dopytywał się Robert Stewart.

Caleb zamyślił się na chwilę, po czym skinął głową.

– Tak, trzymamy się tego. W obu przypadkach mamy przynajmniej do czynienia z faktem, że przedmioty należące do dziewcząt – komórka, torebka – krótko po uprowadzeniu zostały odnalezione w odosobnionych miejscach. Przynajmniej tyle.

– Przynajmniej tyle – powtórzył znużony Robert Stewart.

– I jeszcze coś – dodał Caleb.

– Tak?

– Wiemy, że Saskię Morris przez kilka miesięcy więziono, zanim pozwolono jej umrzeć z głodu i pragnienia. Amelie przetrzymywano przez tydzień, nim zdołała uciec. To bardzo nietypowe. Gdy młode dziewczęta porywa się z ulicy i wciąga do samochodu, zazwyczaj chodzi o przestępstwo na tle seksualnym i niestety następuje to bardzo szybko, zwykle w ciągu jednej, dwóch godzin po porwaniu. W naszym przypadku metoda postępowania wygląda zupełnie inaczej. Ktoś czegoś od tych dziewcząt chce, i to przez dłuższy czas, jeśli można tak cynicznie powiedzieć. Saskia Morris nie została zgwałcona, w przypadku Amelie Goldsby nie wiemy, czy przed porwaniem miała chłopaka, o którego istnieniu rodzice nie mieli pojęcia. Szybki seks nie jest zasadniczym motywem tych porwań. Sprawca najwyraźniej chce czegoś więcej. Co prawda działa spontanicznie, korzystając z nadarzających się niespodziewanie okazji, niemniej jest doskonale zorganizowany. Ma przygotowane miejsce, w którym może ukrywać swoje ofiary. Przez całe miesiące, jak w przypadku Morris, przez tydzień, jak w przypadku Goldsby. Niełatwo coś takiego znaleźć, urządzić i utrzymać. Nie sądzę, byśmy mieli do czynienia z dwoma zupełnie przypadkowymi sprawcami. Nie chodzi im o szybkie zaspokojenie żądzy, lecz o znacznie większą – a tym samym bardziej ryzykowną – historię.

– Racja – przyznał Robert.

Caleb przejawiał odrobinę więcej optymizmu niż na początku rozmowy. Nie dlatego, że uczynili krok naprzód na drodze ku właściwemu rozwiązaniu. Odzyskał jednak bardziej klarowny ogląd spraw. Przynajmniej w kwestii osób uczestniczących w wydarzeniach.

– A zatem ustalone – oznajmił. – Skreśliśmy Mandy Allard z listy porwanych. To osobna historia. Pozostają Saskia i Amelie.

– A Hannah Caswell? – zapytał Robert.

Caleb potrząsnął głową.

– Zbyt duży odstęp czasu. Ona tu nie pasuje.

– Musimy się spieszyć, sir – stwierdził Robert. – Skoro przykłada pan tak wielką wagę do upływu czasu... Faktem jest, że po śmierci Saskii sprawca dość szybko zdecydował się porwać kolejną dziewczynę. Amelie. Uciekła od niego jakieś trzy tygodnie temu. On znów może wyruszyć na łowy – szukać kolejnej ofiary.

– Tak – przyznał Caleb – myśl o tym nie daje mi spokoju. Dzień i noc. – Jakby na potwierdzenie słów o nieprzespanych nocach przetarł dłonią oczy. Były zaczerwienione. – W każdej chwili musimy się liczyć z kolejną ofiarą.

4

W Sailor's Inn panował spory ruch. Wszystkie stoliki były zajęte – oprócz jednego, zarezerwowanego przez Davida Chaplanda, jak z zadowoleniem stwierdziła Kate, zerkając do grubego notatnika wyłożonego na kontuarze. Rezerwacja sprawiła, że spotkanie nabrało powagi. Przypominało randkę. Nie mogła w to uwierzyć.

Siedziała przy barze i popijała piwo. Tak jak przypuszczała, Kevin Bent aż się palił do zwierzeń, gdy usłyszał zachęcające słowa *dziennikarka* oraz *zainteresowana jego wersją wydarzeń*. A do tego absolutnie drażliwe hasło *Ryan Caswell*. Choć lokal pełen był gości, Kevin Bent niezwłocznie przekazał obowiązki barmana młodemu pracownikowi, by całą uwagę skupić na Kate. Jego brat jest w kuchni, poinformował, lecz i tak nie ma z tą sprawą nic wspólnego.

– No tak – przyznała Kate – ale jako szesnastolatek...

Oczy Kevina rozbłysły.

– Tylko proszę nie wracać do tych bredni! Marvin nie brał w tym udziału. Nawet policja w końcu to przyznała!

Istnieje różnica między tym, co policja rzeczywiście *sądziła*, a tym, czego po prostu nie potrafiła *udowodnić*. Kate nie chciała jednak roztrząsać tej kwestii. Miała świadomość, że mogłaby przez to stłumić gotowość Kevina do rozmowy. Był wściekły z powodu podejrzenia, które na niego padło, lecz irytował się jeszcze bardziej, gdy

rzecz dotyczyła jego brata.

– Okay. Ale prawdą jest, że tamtego wieczoru zabrał pan Hannah samochodem z Hull do Scarborough?

– Tak. Stała w deszczu przed dworcem w Hull, nieszczęśliwa, że pociąg uciekł jej sprzed nosa. Mieszkaliśmy po sąsiedzku. Co pani by zrobiła? Zostawiłaby ją tak?

– Naturalnie, że nie. Problem w tym... że od tamtej pory jest zaginiona.

– Wysadziłem ją w Scarborough. Chciałem jechać do znajomych.

– Fakt, że ją pan tam wysadził, potwierdziła jej przyjaciółka – przyznała Kate. – Hannah zadzwoniła do niej z dworca w Scarborough. Sheila, tak ma na imię, prawda?

– Nie mam pojęcia – odparł Kevin. Był poruszony tematem, nic dziwnego, pomyślała Kate. Padło na niego ciężkie podejrzenie, a jeśli sprawa Hannah Caswell nie zostanie wkrótce wyjaśniona – co wraz z upływem czasu stawało się coraz mniej prawdopodobne – przylgnie ono doń na zawsze. Ów cień. To wieczne *może*.

Przyglądała mu się z ukosa. Podczas rozmowy zaczął się pocić, na jego twarzy dostrzegła drobne kropelki. Nalał sobie wody mineralnej, łączywie wypił łyk. Kate doskonale rozumiała, że w latach szkolnych uchodził za idola dziewcząt i z pewnością nadal był uwielbiany przez kobiety. Po prostu dobrze wyglądał. Gęste ciemne włosy, bardzo ciemne oczy. Nawet w listopadzie nosił lekką opaleniznę, latem pewnie brano go za Hiszpana albo Włocha. Kate widziała fotografię Hannah. Nie potrafiła sobie wyobrazić, by ta niepozorna dziewczyna sprawiająca dziecinne wrażenie mogła wzbudzić w Kevinie jakiegokolwiek rodzaj pożądania. Chyba że miał słabość do dzieci... Jeśli jednak wierzyć ówczesnym doniesieniom prasowym, nie stwierdzono w jego życiorysie najmniejszej po temu poszlaki.

– Jestem po pańskiej stronie – zapewniła Kate – lecz jeśli mam o panu napisać obiektywnie, muszę wyjaśnić kwestie, które... cóż, które przynajmniej na pierwszy rzut oka świadczą *przeciwko* panu.

Rysy twarzy Kevina nieco się rozluźniły.

– Jasne. Rozumiem. To było niesłychanie głupie z mojej strony...

Umilkł.

– Co takiego? – zapytała Kate.

Westchnął.

– Zrobiłem dwie głupie rzeczy. Po pierwsze, zaproponowałem jej, że zabiorę ją na otwarcie pubu mojego kolegi. Jej ojciec uznał potem, że próbowałem ją poderwać. Co nie jest prawdą. Zrobiło mi się jej żal. To wszystko.

– A drugi błąd...

– Skłamałem w sprawie Cropton. Zeznałem, że pojechałem tam do znajomych. W rzeczywistości zawróciłem pod dworzec w Scarborough.

– Istotnie, to było durne – potwierdziła Kate, lecz się uśmiechnęła, chwilę później uśmiechnął się także Kevin.

– To był odruch – wyznał. – Z powodu brata. Doświadczyłem tego wówczas... jak to jest być podejrzanym. Mojego brata wciąż przesłuchiowano. Przesłuchiowano każdego z jego otoczenia. Odwrócono wtedy kota ogonem. Wszyscy tylko o nim szeptali, o naszej rodzinie. Za każdym razem, gdy wychodziliśmy z domu, byliśmy wystawieni na nieprzychylnie spojrzenia... Nie chciałem ponownie przez to przechodzić, za żadne skarby. Kiedy usłyszałem, że zginęła, i uzmysłowiłem sobie, że prawdopodobnie to ja widziałem ją jako ostatni, wiedziałem już, co mnie czeka. Pomyślałem więc, że w żadnym wypadku nie mogę przyznać, że zawróciłem. – Wzruszył ramionami. – Ale to się oczywiście wydało, a wtedy stałem się podwójnie podejrzany. To było... straszne. Okropny czas.

– A dlaczego pan zawrócił?

– I tak nikt mi nie wierzy – mruknął Kevin.

– Może ja uwierzę.

– Policja okazała wówczas nadmierny sceptycyzm. A stary Caswell... no cóż, dla niego i tak jestem najgorszym przestępcą pod słońcem. – Westchnął. – To było *przeczenie*. Zwyczajne *durne przeczenie*. Odjeżdżając, zobaczyłem Hannah we wstecznym lusterku... Stała na ulicy w deszczu... sprawiała wrażenie... zupełnie bezbronnej. I nagle nie byłem pewien, czy... – Przerwał.

– Czy?

– Czy naprawdę zadzwoni do ojca albo pójdzie do firmy, w której pracował. Wiedziałem, że się bała. To dało się wyczuć. W trakcie całej podróży samochodem.

– Bała się ojca?

– Zna pani Ryana Caswella?

– Raz z nim rozmawiałam. Czy znam? To za wiele powiedziane.

– I jakie wywarł na pani wrażenie?

Kate się zamyśliła.

– Rozgoryczony. Samotny. Porzucił nadzieję, że coś go jeszcze w życiu spotka. Utrata córki zupełnie tego człowieka przybiła.

– Mnie też zawsze było go żal – przyznał Kevin. – Jeszcze przed zniknięciem

Hannah. Jego żona uciekła ukradkiem, zupełnie go to zszokowało. Już wcześniej nie był uosobieniem radości życia, co moim zdaniem stało się powodem jej odejścia. Potem wcale nie było lepiej, to oczywiste. Uczepił się córki. Tylko ona mu została. Wszystkim nam było jej żal.

– Jakim *nam*?

– Nam, dzieciom. Wszyscy byliśmy jeszcze wtedy dziećmi. W Staintondale. Hannah miała cztery lata, gdy odeszła jej matka. Ja miałem dziewięć. Na każdej farmie mieszkali dzieci. Zawsze chodziliśmy razem, bez względu na wiek. W zatoczkach budowaliśmy tamy, a w lesie domki na drzewach. Razem pływaliliśmy, latem spędzaliśmy więcej czasu w wodzie niż poza nią. Pewnego razu zbudowaliśmy tratwę z pni drzew. Staintondale to zadupie, ale dla dzieci jest prawdziwym rajem. Tylko Hannah prawie nigdy nie mogła być z nami. Jej ojciec niemal wszystko uznawał za zbyt niebezpieczne. Nie mogła kąpać się w morzu, nie mogła chodzić z nami po klifach, nie mogła...

– No cóż, miała cztery lata...

– Później także nie mogła. Nigdy. Pamiętam, że czasem chcieliśmy iść po nią do domu, ale jej ojciec nie wpuszczał nas na teren swojej farmy. „Hannah nie chce się z wami bawić” – powtarzał zawsze, co nie było prawdą. Niekiedy spotykaliśmy Hannah samą, a wtedy było jej naprawdę smutno, mówiła, że niestety nie może, bo ojciec zabronił. Nie miała zwyczajnie odwagi sprzeciwić się jego zakazom. Zostawała więc w domu. Pamiętam, że patrzyła za nami wielkimi, smutnymi oczami. Była bardzo samotna.

Kate powoli skinęła głową. Poznała Ryana Caswella. Potrafiła sobie wyobrazić, że tak w istocie było.

– Wspomniał pan, że tamtego wieczoru przed czterema laty zawrócił, bo się pan o nią martwił – powtórzyła. – Uznał pan, że Hannah być może nie pójdzie do ojca ani do niego nie zadzwoni. Bo się go boi.

– Tak, zgadza się. I pomyślałem, że jeśliby miała iść do Staintondale piechotą albo jechać autostopem, już lepiej ją podwiozę. Miałem... jak już mówiłem, złe przeczucia.

– Czy Hannah miała powód, by bać się ojca? To znaczy, czy był wobec niej brutalny?

Kevin się zawahał.

– Chyba nie. Nie, nie sędzę, by był brutalny. Ale sterował nią od rana do wieczora. I nieustannie usiłował jej udowodnić, że jest niezdarną małą dziewczynką, którą trzeba na każdym kroku pilnować. Tamtego dnia była w odwiedzinach u swojej ukochanej

babci i spóźniła się na powrotny pociąg. Wiedziała, że przez długi czas nie będzie jej mogła ponownie odwiedzić. To ją przygnębiało. Bała się tyrad, które ojciec wygłaszał jedynie po to, by dowieść, jaką to jest okropną niezdara. I bała się, że znów wszystko zostanie jej zakazane: nie tylko odwiedziny w Hull, lecz także spotkania z przyjaciółką, udział w szkolnych imprezach, wyjścia do miasta i co tam jeszcze.

– Zaprosił ją pan na otwarcie pubu.

– Tak, ale nie dlatego, że czegoś od niej chciałem. Była jeszcze dzieckiem, na litość boską! Po prostu zrobiło mi się jej żal. Szczerze mówiąc, od samego początku zakładałem, że i tak nic z tego nie wyjdzie. Że nie przyjdzie na to otwarcie. Do dziś nie mam pojęcia, jak miałyby tego dokonać, nie zwracając uwagi ojca.

Chłopak, któremu Kevin powierzył dyżur przy barze, rzucił ku niemu błagalne spojrzenie.

– Hej, Kevin, muszę pilnie pomóc przy obsłudze. Mógłbyś...?

Tłum w lokalu gęstniał. Przy barze tłoczyli się ludzie, wielu wyglądało na pracowników biur, którzy przed pójściem do domu chcieli jeszcze wypić z kolegami piwo.

– Zaraz – odparł Kevin. Spojrzał na Kate przepraszająco. – Muszę...

– Jasne. Spory dziś ruch. Podobno skarżył się pan, że Ryan Caswell psuje panu interes swymi insynuacjami. Widzę jednak, że przynajmniej dziś wieczorem nie może pan narzekać.

– Jakoś się kręci. Tak. Ale było ciężko. Razem z Marvinem przejęliśmy knajpę w roku, w którym zaginęła Hannah, a całe Scarborough strzępiło sobie na mnie języki. Wie pani, co Caswell robił z początku? Co wieczór stawał przy drewnianych schodach z ulotkami w dłoni i rozdawał je gościom. Widniało na nich zdjęcie Hannah, pod nim szczegółowy opis ówczesnych wydarzeń. Opis wyłącznie z punktu widzenia Ryana Caswella. Czyli że to ja porwałem i zabiłem jego córkę. Niektórzy z tego powodu nie wchodzili do środka.

– Ostro – przyznała Kate.

– Uzyskałem wówczas tymczasowy nakaz sądowy, by tego nie robił. Do tego czasu zdołał jednak wyrządzić sporo szkód.

Otwarły się drzwi. Do sali wszedł David Chapland. Uśmiechnął się, kiedy dostrzegł siedzącą przy barze Kate. Serce mocniej jej zabiło.

„Zachowaj spokój i nie rób sobie nadziei” – napominała siebie.

– Ostatnia sprawa – powiedziała spieszenie do Kevina. – Kiedy wrócił pan wówczas

pod dworzec, Hannah już nie było? Już jej pan tam nie zobaczył?

– Tak, zgadza się – potwierdził Kevin.

– Jak pan ocenia, ile czasu upłynęło? Od chwili, gdy po raz ostatni ujrzał ją pan w lusterku?

– Policja też o to pytała. Myślę, że jakieś piętnaście minut. Nie więcej.

– Piętnaście minut. I zniknęła bez śladu. Uważa pan, że to możliwe, by uciekła? Bo nie chciała wracać do domu?

Kevin potrząsnął głową.

– Nie. To nie w jej stylu. Była zbyt dziecinna i bojaźliwa. Poza tym w jakiś sposób czuła się związana z ojcem. Choć był takim okropnym despotą. Innego życia nie знаła. To był jej dom. Nie, nigdy w życiu by nie uciekła. Jestem o tym przekonany.

Ten wieczór różnił się od pozostałych, jakie Kate spędziła z mężczyznami. Pamiętała, że zazwyczaj były dla niej męczące. Czuła, że zanudza facetów, nie wzbudzając w nich ani krzty zaciekawienia. Usilnie starała się powiedzieć coś wesołego, dowcipnego – i zauważała, że jej to zupełnie nie wychodzi. No, może tylko w obecności Colina Blaira, lecz wyłącznie dlatego, że Colin wcale nie szukał w rozmowie partnera, lecz słuchacza i admiratora. W zupełności wystarczało rzucić od czasu do czasu *Co ty powiesz!* albo *Nie, no naprawdę, wspaniale!*

W przypadku Davida było jakoś prościej. Opowiadał o sobie, zadawał czasem pytania, słuchał z uwagą. Prowadził biuro w porcie, ledwie kilka kroków od The Sailor's Inn, skąd pośredniczył w wynajmie jachtów i żaglówek zarówno turystom, jak i profesjonalnym żeglarzom, na regaty i urlopowe rejsy. Sam posiadał trzy łodzie do wynajęcia, współpracował też z wieloma armatorami na kontynencie, głównie z obszaru Morza Śródziemnego. Hiszpania, Francja, Włochy, Grecja i Turcja. Właśnie nawiązał też kontakty ze Szwecją i miał nadzieję, że coś z tego wyjdzie.

– Jeśli więc będzie pani chciała kiedyś urządzić sobie urlop pod żaglami, proszę zwrócić się do mnie – powiedział. – Zorganizuję pani całą wycieczkę i wyszukam najbardziej odpowiednią łódź.

Kate się roześmiała.

– Niestety nie umiem żeglować.

– Można wynająć łódkę ze skipperem. Kurs żeglowania w cenie. Indywidualnie, we dwoje albo w grupie. Co tylko pani sobie zażyczy.

– Zastanowię się.

Z doniesień prasowych wiedziała, że ma trzydzieści osiem lat, czyli jest cztery lata od niej młodszy, to jednak właściwie wszystko. Czy w jego życiu była jakaś kobieta? Czy jest żonaty? W takim wypadku pewnie nie siedziałby z nią dziś wieczorem, prawda? Bzdura, dlaczego nie?

„Trochę to jednak skomplikowane” – pomyślała Kate.

David zdołał rozbudzić w niej jakieś uczucia, lecz ona broniła się niemal panicznie przed... wszechogarniającą nadzieją. Przystojny trzydziestoosmiolatek z ciekawym zawodem... „Zapomnij” – przywołała się do porządku. By zanedo nie podsycać własnych oczekiwań, po niekończących się dywagacjach postanowiła ubrać się całkiem zwyczajnie. I tak nie miała wielkiego wyboru, gdyby zaś kupiła coś specjalnie na tę okazję, wyglądałaby nienaturalnie – a z doświadczenia wiedziała, że nienaturalność w tej materii zawsze przynosi rozczarowanie. Teraz tego pożałowała. Miała na sobie wytarte dzinsy, o jeden rozmiar za duże i tak już rozbite, że wyglądały jeszcze bardziej bezkształtnie. Do tego szarą bluzę z nadrukiem „Keep cool”. Sama uznała, że wygląda w niej śmiesznie i mało atrakcyjnie. Całe szczęście, że David zdawał się w ogóle tego nie dostrzegać. Uśmiechał się do niej, jakby szczerze mu się podobała.

„Uważa mnie za miłą i sympatyczną – pomyślała. – Osobę, nie kobietę”.

Odprężyła się. Zniknęło gdzieś napięcie przeszywające ją dziś przez kilka chwil, przed południem i pod wieczór, kiedy pojawił się w drzwiach.

Nie masz nic do stracenia, Kate. Bo od samego początku nie było nic do wygrania. Jak zawsze.

Uznała tę myśl za kojącą.

David nieco się nachylił.

– A więc pracuje pani jako dziennikarka w Londynie. To z pewnością twarda walka z konkurencją, prawda?

– Owszem. Ale mam dość dobre stosunki – odparła Kate. Zrozumiała, że to ostatni moment, by porzucić tę fałszywą tożsamość bez obaw, że David poczuje się, jakby go wodzono za nos.

Wie pan, tak naprawdę jestem sierżantem Metropolitan Police. Scotland Yard. Sprawę zaginionych dziewcząt interesuję się z racji mojego zawodu. Pan także widnieje na mojej liście podejrzanych, to dlatego pojawiłam się dziś rano u pana.

Już miała to powiedzieć, a jednak w ostatniej chwili poniechała tego zamiaru. Z pewnością zniweczyłoby to miły nastrój całego wieczoru. Po prostu zostanie przy swojej historii. Prawdopodobnie i tak nigdy więcej się nie zobaczą, wydawało się bez znaczenia, czy jest dziennikarką, czy policjantką. Czy może ekspedientką u Harrodsa.

Aby nie kłamać za wiele i nazbyt bezczelnie – a także dlatego, że nie miała wielkiego pojęcia o pracy dziennikarskiej – poruszyła w rozmowie temat odziedziczonego przez siebie domu. Oraz okropnych lokatorów, którzy go spustoszyli. Wyznała, że dom uprzątnęła i czeka teraz na kupca.

David okazał zainteresowanie.

– To straszne. Czasem można przeczytać o takich przypadkach, lecz nigdy jeszcze nie spotkałem nikogo, komu rzeczywiście przytrafiłoby się coś podobnego. I nie wie pani, dokąd się ulotnili?

Kate potrząsnęła głową.

– Kompletnie. Policja radzi mi nie robić sobie nadziei, że ta parka kiedykolwiek się odnajdzie. Wygląda na to, że sama będę musiała pokryć koszty.

– Koszty to jedno – odparł David – lecz trudno mi też sobie wyobrazić, jak można żyć z taką... raną. Bo przecież to bolesna rana, prawda? Dom, w którym pani dorastała, który traktuje pani jak swoje miejsce na ziemi... Kiedy zostaje zdewastowany, nie pozostaje to bez wpływu na panią.

Spojrzała na niego zafascynowana. Rzadko kiedy – właściwie nigdy – ktoś obcy rozumiał, ile dla niej znaczył ojcowski dom. Sam ojciec. I matka. Dzieciństwo. Poczucie bezpieczeństwa i pewności, jakich nigdzie indziej nie zaznała. Zazwyczaj usiłowała za wszelką cenę ukryć ową tęsknotę, gdyż u obcych ludzi wywoływała... zdziwienie. Była po czterdziestce. Nie powinna już żywić takich uczuć wobec rodzinnego domu. Unaoczniła tym jedynie pustkę własnego życia: samotność, brak przyjaciół, brak trwałego związku, brak uznania w oczach kolegów. Pokazywała tym samym, że jej życie jest jednym wielkim brakiem. Wszystkiego. Jej życie przypominało system gospodarczy kraju komunistycznego. Funkcjonowało wyłącznie tak, by się kompletnie nie załamać. Nie było w nim jednak jakiegokolwiek nadmiaru. Niczego, co mogłoby zajaśnić. Co wykraczałoby poza to, co absolutnie nieodzowne, i od czasu do czasu napępniało uczuciem niespodziewanego, cudownego szczęścia.

– Tak – odparła. – Naturalnie. Musiałam też oddać do utylizacji wszystkie meble. Większość z nich była tak zniszczona... tak zapaskudzona... Dom stoi teraz zupełnie pusty.

– A mimo to pani w nim mieszka?

– Tylko do czasu aż... zbiorę materiały do artykułu.

Rankiem martwiła się, że może ją uznać za dziwaczkę, lecz teraz wydawał się nią zafascynowany.

– W pustym domu... ze śpiworem i kuchenką kempingową?

Roześmiała się.

– Została mi kuchnia. Mam piekarnik. Ale poza tym, tak... śpiwór, trochę naczyń. Dwa składane krzesła. I kota.

– Kota?

– Lokatorzy go porzucili. Teraz mieszka ze mną.

– Koniecznie muszę to zobaczyć – oznajmił. – Pusty dom z kobietą i kotem. Musi tam panować niezwykła atmosfera. Smutna, owszem. Ale zarazem pełna nowych możliwości, prawda?

„Czyżby chciał, bym go do siebie zaprosiła?” – zastanawiała się Kate.

– Czułam podobnie, kiedy tu przyjechałam – odparła. – Że ten pusty dom nie jest jedynie zakończeniem. Lecz także nowym początkiem.

– Są jacyś zainteresowani?

– Tak. Ale pierwszych odesłałam. Byli niemili i arogancy. Nigdy nie potrafiłabym oddać im tego domu.

– Doskonale rozumiem – zapewnił David. – Może jeszcze pani do tego nie dojrzała. Wewnętrznie. Mam na myśli sprzedaż.

– Uznałby pan to za dziwactwo?

– Skądże. Jest pani do tego domu przywiązana, to da się wyczuć. To normalne, że z trudem przychodzi się pani z nim rozstać.

„Jest taki miły. I mnie rozumie. Naprawdę mnie rozumie”.

– Może go pan obejrzeć – oznajmiła. Spiesznie, zanim opuści ją odwaga.

– Chętnie. Jutro wieczorem?

– Czy pańska żona nie będzie miała nic przeciwko? Że dwa wieczory z rzędu spędza pan poza domem? – Kate poczuła, jak płomienny żar wstępuje jej do głowy. O Boże, jakże to było prostackie. Czy można było zapytać w jeszcze głupszy i mniej elegancki sposób?

Uśmiechnął się.

– Nie jestem żonaty. A mój ostatni związek zakończył się przed rokiem. W tej chwili nie mam nikogo. A pani?

– Podobnie. – Przemilczała swój ostatni związek. Bo żadnego nie było.

– Wspaniale, zatem zobaczymy się jutro – odparł David. Zerknął w stronę kuchni. – Zamówimy deser? Mają tu dość dobrą szarlotkę z kruszonką.

Odwróciła się i zrozumiała, co podsunęło Davidowi ten pomysł: Marvin Bent wyszedł z kuchni z dwoma talerzami szarlotki ze sporą ilością bitej śmietany. Sam Marvin Bent był nieco starszą kopią swojego brata, Kate od razu się domyśliła, kogo ma przed sobą. Także do tego mężczyzny, mimo widocznego zmęczenia skupionego na swojej pracy, przyłgnęło potworne podejrzenie. Ludzi wokoło najwyraźniej już ono nie zajmowało, lecz podobnie jak w przypadku Kevina, dało się je wyczuć. Nigdy do końca nierozwiane. Już na zawsze w głowach mieszkańców będzie kołatać się myśl: *A co, jeśli to prawda?*

Przez kilka chwil Kate rozważała, czy to przypadek, że dwóch braci w odstępie ośmiu lat spowił cień podobnego podejrzenia. Postąpiła jednak zupełnie nie w swoim stylu: postanowiła, że dziś wieczorem nie będzie się nad tym zastanawiać. Nie była teraz ani policjantką Kate, ani Kate dziennikarką.

Była po prostu zwyczajną Kate.

Dziś skoro świt jadę pod dom Allardów, parkuję po drugiej stronie ulicy i obserwuję drzwi wejściowe. Jest jeszcze ciemno, ale uliczne latarnie rzucają jasny blask. W niektórych nędznych domostwach światło już się zresztą pali. Okropna, smutna okolica. Adres mam z książki telefonicznej. Nazwisko Allard pojawia się w całym Scarborough tylko raz. Nazwa ulicy jak dotąd nie była mi znana, lecz teraz, gdy widzę, skąd pochodzi Mandy, nic mnie nie dziwi. Ani to, że uciekła z domu, ani to, że jest taka ordynarna.

O siódmej otwierają się drzwi, z domu wychodzi dziewczyna, nieco starsza od Mandy. Prawdopodobnie jej siostra. Nie wspominała o siostrze, lecz już od dawna z sobą nie rozmawiamy. Teraz napętniają ją już tylko złość i wrogość, a kiedy obrzuca mnie wyzwiskami, jest tak wulgarna, że mam przemożne uczucie, iż zabranie jej było błędem. Z początku wydawała się idealna, była otwarta, ufna i bardzo wdzięczna, że ją ratuję od chłodu i beznadziei życia na ulicy. Tymczasem chce już tylko odejść, fakt zaś, że ją zatrzymuję, sprawia, że wpada we wściekłość i wrzeszczy. I czasem płacze.

Siostra (?) wygląda na miłą, spokojną. Aparycja nie w moim stylu. Znoszone dżinsy, martensy, czarna skórzana kurtka. Krótko przystrzyżone włosy. Czemu niektóre dziewczyny tak się tną? Mogłyby mieć śliczne, długie włosy. Zamiast tego coraz więcej z nich próbuje upodobnić się do młodych mężczyzn. Papieros w kąciку ust, przekłuty nos, niezgrabne buty. Nie potrafię tego zrozumieć.

Siostra odchodzi, potem przez długi czas nic się nie dzieje. Kilka osób wychodzi z pozostałych domów, niektórzy wsiadają do samochodów, inni maszerują pieszo. A u Allardów cisza. Widocznie jedynie siostra codziennie pracuje. W zasadzie nie gardzę ludźmi, którzy nie mają pracy, niektórzy nie z własnej winy popadają w tarapaty, lecz przypadek Allardów pasuje do całej reszty. Do poziomu, który reprezentuje Mandy.

Marznę coraz mocniej, w którymś momencie mówię sobie, że nic to nie da, że tego dnia nie poznam nikogo z rodziny Allardów. Jednak około pół do dziewiątej drzwi znów się otwierają, pojawia się kobieta. Pewnie matka. Mój Boże! Zrobiło się już widno, widzę wszystko wyraźnie. Niska, znacznie niższa niż Mandy. Chuda jak szczapa. Włosy jak słoma, kiepsko ufarbowane, bardzo dziwny brzydki blond w pomarańczowym odcieniu. Dżinsy, sweter, tenisówki. Przystaje przed drzwiami, zapala papierosa. Głęboko się zaciąga. Przynajmniej nie pali w domu. Niestraszny jej jak widać ziąb, stoi i rozkoszuje się nikotyną. Wygląda jak jedna z tych kobiet, które pożywienie zastąpiły papierosami i nie muszą się martwić o figurę. Powinny za to o płuca, ich jednak nie widzą co rano w lustrze, a gdy

zauważą, że coś z nimi nie tak, jest już zazwyczaj za późno.

Faktem, że Mandy zaginęła na początku października, matka niespecjalnie się przejęła, nie wygląda na zmartwioną ani zrozpaczoną. Nie jest też radosna, lecz przypuszczam, że nigdy taka nie jest. Strapiona, rozgoryczona, niezadowolona z życia, które prawdopodobnie postrzega jako jedną wielką niesprawiedliwość, nie zastanawiając się nad tym, czy sama mogłaby zmienić przytłaczające ją okoliczności. Mimowolnie wracam myślami do widzianej parę razy matki Saskii. Ból zdawał się ją przeszywać, jej dusza powoli obumierała, dzień za dniem, na oczach otaczających ją ludzi. Ta tutaj, pani Allard, wcale się tym nie przejęła. Pewnie nie wierzy, że Mandy mogło się coś przytrafić, myśli sobie, że uciekła z jakimś facetem i któregoś dnia wyląduje na londyńskiej ulicy jako drobna kryminalistka. Nie jest to kariera, jakiej większość rodziców pragnęłaby dla swoich córek, lecz pani Allard z pewnością całkiem sprawnie potrafi stłumić w sobie takie myśli.

Nie wie, że ma szczęście. Że Mandy jest ze mną, bezpieczna.

W końcu rzuca niedopałek na ziemię i rozgniata go, po czym wraca do domu i zamyka za sobą drzwi. Uruchamiam silnik i włączam ogrzewanie.

Jadę do Mandy.

To daleka droga, przez okolice coraz bardziej puste i jałowe. Zdaję sobie sprawę, że w tym prowizorycznym miejscu niespecjalnie jej się podoba, ale póki będzie się tak zachowywać, nie mogę nawet myśleć o umieszczeniu jej wśród cywilizowanych ludzi. Dzisiaj także przywitała mnie jak wściekły, nieobliczalny, drapieżny kot. Wygląda okropnie, nieuczesana, nieumyta, z zaczerwienionymi oczami i bladą, plamistą cerą.

– Co z tobą? – naskakuje na mnie. – Zupełnie cię porębało!

– Radzę ci zmienić ton – mówię chłodno. – Na tej płaszczyźnie na pewno nie dojdziemy do porozumienia.

Pluje w moją stronę, jednak we mnie nie trafia. Ślina ląduje gdzieś za mną na ścianie. Szarpie za łańcuch, który krępuje jej prawy nadgarstek.

– Chcę jeść. I pić!

Uśmiecham się.

– Sądzisz, że umiesz się tak zachowywać, by dostać coś do jedzenia i picia? Jak duża dziewczynka?

Jej oczy zwężają się z wściekłości.

– Pierdol się! – wrzeszczy.

Wzruszam ramionami.

– Mam wszystko. Sandwicze z indykiem i majonezem. Scones z masłem i dżemem

brzoskwiowym. Cytrynową lemoniadę.

Jeszcze bardziej blednie na twarzy. Naprawdę jest głodna. Pewnie bardziej dokucza jej pragnienie.

– Chcę się umyć – żąda. – I muszę zmienić opatrunek na ramieniu.

– Mam też wodę do mycia. I opatrunki. – To męczące, przede wszystkim dla mnie, że wszystko tu jest wyłączone. Prąd i woda. Są krany, ale nie leci z nich woda. Są gniazdka, ale nie działają. Ostatnia odstana woda znajdowała się w spłuczce toalety. Saskia ją wypła. I jeszcze ta poźółkła brudna ciecz w misce. Gdyby to był eksperyment mający unaocznic, do czego zdolny jest człowiek, ile barier psychicznych jest w stanie przełamać w walce o przeżycie, można by poczynic ciekawe spostrzeżenia. Ale nie o to tu chodzi. Absolutnie nie o to.

– Masz mnie uwolnic. Chcę jeść i pic. Chcę się umyć. Chcę zmienic opatrunek – domaga się Mandy.

– Jest takie drobne słowo – przypominam.

Obrzuca mnie nienawistnym wzrokiem. Widzę, że jej duma walczy z wszystkimi rozpaczliwymi potrzebami, z głodem, pragnieniem czystości, troską o obolałe ramię.

– Proszę – mówi w końcu szeptem.

Z samochodu przynoszę jej wiadro napełnione uprzednio podgrzaną, choć wystygłą już wodą, nalaną z dwóch kanistrów. Mandy natychmiast wpada w furie.

– Chyba żartujesz! Chcę wziąć prysznic! Do jasnej cholery! Nie będę się myć w wiadrze!

I pomysleć, że całymi tygodniami, żyjąc na ulicy, w ogóle się nie myła... A teraz chciałaby apartament z łazienką i barkiem.

– Tutaj nie ma prysznic.

– Oczywiście, że jest!

– Ale nie działa. Nie ma wody.

– Co to za syfiaste miejsce, do cholery!

Jest po prostu ordynarna. Widzę to coraz wyraźniej. Zły wybór. Inne można było puszczać wolno, były przerażone i zastraszone, ale Mandy... Nie można wykluczyć, że mnie zaatakuje. Jest osłabiona, boli ją oparzone ramię, lecz mimo to lepiej nie ryzykować. Może przeszywa ją strach, ale tego nie okazuje.

Bo przewyższa go wściekłość.

– Chcę do toalety.

Od wielu dni korzysta z wiadra, które wciąż opróżniam i czyszczę. Oczywiście odbiera to

jako rzecz poniżającą, ale nie ma na to rady.

– Potem opróżnię wiadro.

Mandy wpada w taką furję, że przez moment boję się, czy nie wyrwie łańcucha ze ściany.

– Chyba nie sądzisz, że nadal będę używać tego wiadra? Chyba nie wierzysz, że dam ci spokój? Kompletnie cię pojebało!

Szarpie za łańcuch, zaczyna wrzeszczeć.

– Powinnaś spróbować współpracować – mówię, gdy wreszcie przestaje wariować i cichnie wyczerpana. – Ponieważ musimy jakoś z sobą wytrzymać.

Wpatruje się we mnie, mrugając oczami.

– Gównu musimy – wyrzuca z siebie, lecz po raz pierwszy słyszę w jej głosie cień strachu. Zaczyna pojmować, że mówię poważnie. Dlaczego od razu tego nie skapowała, pozostaje zagadką, widocznie przez cały czas sądziła, że to tylko jakiś żart, który da się w sensowny sposób zakończyć.

– Wrócę jutro – oznajmiam. W normalnych okolicznościach można by z nią spędzić więcej czasu, w końcu o to przecież chodzi, lecz przebywanie z Mandy wzbudza we mnie frustrację i złość, jeszcze większą niż towarzystwo poprzednich. Być może to się zmieni, może ona się zmieni, ale szczerze mówiąc, nie robię sobie wielkich nadziei. To była błędna decyzja. Tragizm polega jednak na tym, że z każdą poprzednią było podobnie. Może nie aż tak wyraźnie, może nie od samego początku. Mandy zwyczajnie do mnie nie pasuje, bo jest taka prymitywna i prostacka. I niewykształcona. Nawet gdyby przestała mnie wyzywać i atakować, wątpię, by kiedykolwiek można było z nią odbyć choć jedną poważną rozmowę. Koniec końców jakimś sposobem wszystkie one zwracają się przeciwko mnie. Nie udaje mi się im wytłumaczyć, że chcę dla nich jak najlepiej i że możemy razem zaznać szczęścia.

Podsuwam Mandy siatkę ze świeżym opatrunkiem i dużą tubką chłodzącego żelu na oparzenia.

– Masz. Możesz się tym podleczyć.

– Wsadź to sobie w dupę! – wrzeszczy. Wzruszam ramionami. I tak z tego skorzysta. Podobnie jak z wiadra do mycia, a drugiego jako toalety. I będzie jeść i pić. Wola przeżycia zawsze zwycięża. Zawsze.

Bez słowa wychodzę na zewnątrz, upewniwszy się, że mały, zasilany propanem grzejnik w kącie jest sprawny i będzie działał co najmniej przez kolejne dwadzieścia cztery godziny. W pomieszczeniu nie jest gorąco, ale znośnie. Gdyby ogrzewanie nawaliło, zrobiłoby się tu mało przyjemnie. Nocą temperatura spada niemal do zera, niezwykle jak na tę nadmorską okolicę, widocznie nadciąga sroga zima. Złości mnie, że Mandy zupełnie tego nie docenia. Że

się o nią troszczyć. Że się staram, by było jej ciepło. Że codziennie pokonuję długą drogę, by przywieźć jej pożywienie i sprawdzić, jak się miewa. Może należałoby jej powiedzieć, że to nie jest takie oczywiste. Gdy zaczynało mi się nudzić z poprzednimi – bo wciąż tylko szlochały i biadoliły, chciały do domu i wzbraniały się mnie pokochać – odwiedziny się kończyły. Koniec z długą jazdą, koniec z wydawaniem pieniędzy na jedzenie i picie. Nie sposób było znieść tej ciągłej niewdzięczności.

Zaczynam rozumieć, że w przypadku Mandy już niedługo dojdę do tego samego wniosku.

Ryk wściekłości odprowadza mnie do samochodu.

W drodze powrotnej zastanawiam się, czy zejść potem do piwnicy. Zajrzeć tam. Może tak zrobię. Ale tylko: może.

Piątek, dziesiąty listopada

1

Amelie Goldsby miewała lepsze i gorsze dni. Dzisiejszy należał do tych gorszych.

Helen Bennett uważała się za ostoję cierpliwości. Lubiała Amelie i wiedziała, że dziewczyna doświadczyła prawdziwych okropności. Mimo to zastanawiała się, czy w jakimś zakątku swojej duszy nie postanowiła po prostu się nie wysilać. Poczyniły ogromny postęp, gdy Amelie opowiedziała o swojej ucieczce samochodem, lecz od tej pory nie posunęły się naprzód ani o krok. A czasu wcale nie miały pod dostatkiem. Helen codziennie kontaktowała się z nadkomisarzem Hale'em i wiedziała, jak bardzo szef oraz pozostali funkcjonariusze obawiają się kolejnego porwania.

– Ona musi zacząć mówić – napominał ją Hale poprzedniego dnia przez telefon. – Do jasnej cholery, ona musi wreszcie zacząć mówić!

Rozpaczliwe życzenie, które przekonało Helen o jednym: Hale nie miał w ręku żadnych atutów, absolutnie nic. Beznadziejnie dreptał w miejscu.

Siedziały w pokoju Amelie na poddaszu, siedziały jak zawsze – i bez końca siedzieć będą, westchnęła Helen. Amelie na okiennym parapecie. Helen w fotelu. Z filiżanką herbaty w dłoni.

Amelie wyglądała kiepsko. Nienaturalnie blada. Nic dziwnego, od trzech tygodni nie wychodziła na świeże powietrze. Helen wielokrotnie proponowała, że pójdzie z nią na spacer nad morze.

– Nie mam ochoty! – odmawiała Amelie niemal szorstkim tonem.

Tego ranka miała zapłakane oczy, lecz kiedy Helen zapytała, co się stało, wzbraniała się mówić.

– Nic. Niby co? Straciłam moje dawne życie. Oto, co się stało.

– Może łatwiej byłoby ci powrócić do dawnego życia, gdybyś wiedziała, że ten... ten mężczyzna, który ci to zrobił, siedzi w areszcie – podjęła próbę Helen. – Amelie, cała armia policjantów czeka w gotowości, by złapać tego faceta, postawić go przed sądem i zamknąć w więzieniu. Jeśli tylko powiesz o nim coś więcej. O miejscu, w którym przebywałaś. O rzeczach, które ci zrobił. Wszystko to mogłoby nam pomóc.

Amelie wlepiła w nią wzrok.

– Nie pamiętam.

– Ty nie chcesz pamiętać. To rozumiałe. Ale... drepczemy w miejscu.

– Nie prosiłam, żeby pani tu codziennie przychodziła i się nudziła.

– Nie nudzę się. Chcę ci pomóc.

– Przecież opisałam tego mężczyznę.

– Tak, i to wspaniale. Ale to za mało. Obraz jest... niewyraźny. Pasuje do zbyt wielu osób. W wielu punktach nie byłaś pewna.

– Jak pani sądzi: czy byłaby pani czegoś pewna, gdyby przeszła przez to co ja?

– To żaden wyrzut, Amelie. Jedynie stwierdzenie. Potrzebujemy konkretnych danych, jak znaleźć tego człowieka.

– Powiedziałam już wszystko.

– Jak wyglądało miejsce, w którym przebywałaś?

– Nie pamiętam.

Helen westchnęła.

– Ależ pamiętasz. To twój mózg wypiera tę myśl.

Amelie wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia, co wyprawia mój mózg. To puste miejsce. Wsiadłam do samochodu na Burniston Road. A potem... nic. Pustka.

– Ale pamiętasz późniejsze zdarzenie. Drugi samochód. Ten, w którym uciekłaś. Jak tego dokonałaś, Amelie? Jak udało ci się ukryć w tym aucie? To czyn niewiarygodny, odważny, brawurowy, zdecydowany. Wszyscy cię za to podziwiają. Nie pamiętasz, jak to się udało? Gdzie stał samochód, do którego niepostrzeżenie wsiadłaś? W garażu? Na dworze? Mogłaś się swobodnie poruszać. Czy stale tak było? Czy twój porywacz był zwyczajnie nieostrożny, może tylko przez kilka chwil?

– Nie wiem.

– Spróbuj. Spróbuj sobie przypomnieć!

Amelie gapiła się przez okno, potem nagle krzyknęła:

– Nie chcę! Po prostu nie chcę!

– Dobrze, ja...

Dziewczyna odwróciła się do Helen.

– Chcę stąd wyjść. Nie zniosę dłużej tego pokoju. Tego domu!

– Rozumiem. Myślę, że powinniśmy przejść się na plażę. Będą nam towarzyszyć obaj posterunkowi, nic ci nie grozi. Co ty na to?

– Nie chcę iść na spacer. Moja matka ciągle to robi. Zawsze tylko chodzi po plaży. W każdą pogodę. Jak otępiała. Jak jakieś zwierzę na targu, dreczące ciągle w kółko. Nie jestem taka jak ona.

– Dokąd chciałabyś pójść?

– W ogóle nie chcę iść na żaden spacer. Chcę stąd wyjechać. Dokądkolwiek. Pojeździć po okolicy. Chcę do miasta. Na zakupy.

– To na pewno da się zrobić. Porozmawiam z komisarzem Hale'em, a potem...

Amelie spojrzała na nią ponuro.

– Sama. Chcę to zrobić sama.

– Sama? To niemożliwe. Ja i posterunkowi...

– Posterunkowi... zgoda. Ale bez pani.

Helen wiedziała, że nie może się poczuć zraniona. Pograżona w traumie nastolatka, którą od tygodni nakłaniała, by przypomnieć sobie zdarzenia, o jakich wolałaby zapomnieć. Nic dziwnego, że Amelie miała jej dość. Mimo to...

– Postaram się wszystko zorganizować – obiecała.

Może był to krok naprzód. Krok ku normalności. Może uda się pokonać ową wewnętrzną blokadę, która ją zniewoliła.

2

Deborah uznała tę sytuację za przykrą, pragnęła mieć to już za sobą. Możliwie jak najszybciej. Jason chciał pójść sam.

– Nie musimy iść razem, żeby temu typkowi wręczyć pieniądze – oznajmił, po czym spojrzał na siedzącą przy śniadaniu Deborah zaczerwienionymi po nieprzespanej nocy oczami. – Wystarczy, że ja pójdę. Dam mu czek i mam nadzieję nigdy więcej go nie zobaczyć.

Trzydzieści tysięcy funtów bardzo mu ciążyło. Takich pieniędzy właściwie nie mieli. Jason musiał zwiększyć limit kredytu, który zaciągnęli w banku na sfinansowanie zakupu domu. Jedyne plus, jak stwierdził cynicznie, krył się w tym, że wobec tylu długów trzydzieści tysięcy funtów więcej nie robi różnicy. Żadnej.

Leżąc tamtego wieczoru w łóżku w zupełnej ciemności – powodem braku prądu

rzeczywiście było świąteczne oświetlenie w ogrodzie sąsiada – zaklinał się:

– Trzydzieści tysięcy funtów! Ten facet chyba oszalał! Nigdy w życiu!

– Niektórzy ludzie oferują znacznie wyższą nagrodę, gdy bez śladu znika ich dziecko – odparła Deborah.

– Ale my nie obiecywaliśmy żadnej nagrody. To... nie nasz przypadek.

– Co nie oznacza, że postępujemy niewłaściwie, płacąc człowiekowi takiemu jak Alex Barnes. On ją uratował. W pewnym sensie nam ją zwrócił.

Jason westchnął.

– To trudne... zrobić to po fakcie. Ustalić wysokość sumy. Ile warte jest dla nas życie Amelie? Piętnaście tysięcy funtów? Dwadzieścia? Sto? Nie sposób tego oszacować. Na milion funtów czy więcej.

– Przecież nie chcemy przez to powiedzieć, że życie Amelie warte jest trzydzieści tysięcy funtów. Chcemy po prostu okazać wdzięczność. Za to, że nie puścił jej dłoni.

Jason się wyprostował. Jego czoło pokrywały głębokie bruzdy.

– Damy mu te pieniądze, żeby zostawił nas w spokoju. Bo nie da się ukryć, że go nie lubimy. A mimo to musimy być mu wdzięczni. Lepiej, jeśli nigdy więcej go nie zobaczymy.

Deborah także przysiadła na łóżku.

– A więc mu je damy?

– Tak.

Następnego dnia Jason poszedł do banku. Przyznano mu, choć z oporami, dodatkowy kredyt, był przecież lekarzem, miał stałe zatrudnienie, bankowcy przymknęli oko. Dano mu jednak do zrozumienia, że jego zdolność kredytowa została tym samym wyczerpana. Kolejnej nocy nie mógł zasnąć, przewracał się z boku na bok. Deborah wciąż się budziła. Rankiem oznajmiła, że pójdzie razem z nim. Nie chciał się zgodzić, lecz ona nie pozwoliła się odwieść od swojej decyzji.

– To dla mnie ważne. Ja także chcę to zakończyć.

Zastali Alexa Barnesa w jego nędznym lokum. Podupadły dom, małe, wąskie mieszkania z widokiem na ogromny parking przy Nicholas Cliff. Alex nie posiadał prawie żadnych mebli – i tak niewiele by się tam zmieściło. Pod oknem wychodzącym na ponure podwórze na tyłach domu stały dwa stare fotele, albo znalezione na wysypisku, albo odziedziczone po dawno zmarłych przodkach. Składana leżanka w kącie pewnie służyła w nocy za posłanie. Na ladzie oddzielającej wąską kuchenną niszę stały brudne filiżanki po kawie oraz talerz z resztkami posiłku. Wokół unosiła się

zateęhła woń pożywienia i potu, jakby od dawna nie otwierano okna. Deborah była przerażona widocznymi oznakami biedy. Alex był młody, zdrowy i silny. Jak mógł tak żyć? Dlaczego nie potrafił wyuczyć się zawodu i podjąć pracy?

Jeśli miał z tego powodu jakieś kompleksy, wcale ich nie okazywał. Przybrał za to charakterystyczną dla siebie arogancką pozę.

– Jak miło widzieć was oboje. Proszę wejść. Zechcecie się rozebrać?

– Dziękujemy, zaraz wychodzimy – odparł sztywno Jason.

– Może jednak kawy?

Deborah pomyślała, że nie chciałyby pić z filiżanek z jego kuchni.

– Nie, dziękuję.

Jason podał Alexowi kopertę.

– Proszę. Czeka na trzydzieści tysięcy funtów.

Alex wziął kopertę, lecz jej nie otworzył.

– Wielkie dzięki, Jason.

– Proszę bardzo – odparł Jason z niemalże namacalną wrogością. Żałował tych pieniędzy. Pogłębiały tylko troski, z którymi musiał się zmagać. Pozostawało jeszcze pytanie: komu właśnie zapłacili? Bo chyba nie porywaczowi ich córki, gdyż według słów Amelie był nim ktoś inny.

A może jego znajomemu? Wspólnikowi?

– Upatrzyłem już sobie używany samochód – oznajmił Alex. – Niedrogi. Kupię go. Cudownie. Znacznie łatwiej będzie się jeździło na rozmowy w sprawie pracy.

– Życzymy oczywiście, by szybko ją pan znalazł – odparł uprzejmie Jason. – A przy okazji: z końcem miesiąca wypowiemy najem tego mieszkania. Z tych pieniędzy będzie pan mógł sam opłacać czynsz. Może nawet przejmie pan umowę.

– Na pewno poszukam czegoś ładniejszego – zapewnił Alex. – Tu się nie da mieszkać. Ani słowa podziękowania za to, że Jason i Deborah do tej pory opłacali czynsz.

„Czego się spodziewałeś?” – zastanawiał się Jason.

– Cóż, nie będziemy pana dłużej zatrzymywać – powiedział spieszenie. Chciał jak najprędzej stąd wyjść, dało się to wyczuć. Ten okropny dom. To potworne mieszkanie, ten bałagan, ten zapach. I ten człowiek. Człowiek był najstraszniejszy.

Deborah przemogła się i podała mu rękę.

– Pewnie już się nie spotkamy, panie Barnes – oznajmiła. – Życzę panu powodzenia na przyszłość.

Alex uściskała jej dłoń, potrząsała nią energicznie, uśmiechnęła się.

– Dla pani również. Wszystkiego dobrego! Także dla Amelie. Miejmy nadzieję, że wróci do normalnego życia.

– A policja schwyta sprawcę – dodał Jason.

Alex ani drgnęła.

– Tak, miejmy nadzieję. Naprawdę nie mogę niczego państwu zaproponować...?

– Nie, dziękujemy – powiedzieli równocześnie Jason i Deborah.

Dwie minuty później stali na ulicy.

– Sądzisz, że pozbyliśmy się go na zawsze? – zapytał Jason.

– Jeśli się pojawi, możemy go posłać do diabła – odparła Deborah. – Nie ma w zanadru niczego przeciwko nam. Żadnych roszczeń, poza moralnym. A nawet i to uregulowaliśmy. Od tej pory nie ma wstępu do naszego życia.

– Hm – mruknął Jason. Nie wyglądał na kogoś, kto wierzy, że ta historia się zakończyła. – Problem w tym, że Alex Barnes szybko nie znajdzie żadnej stałej pracy. Bo moim zdaniem wcale jej nie szuka. Obawiam się, że znów się u nas pojawi, kiedy skończą mu się pieniądze, a to wkrótce nastąpi. Najpierw kupi sobie samochód. A następnie poszuka drogiego mieszkania.

– To nie nasza sprawa. Jeśli znów się zjawi, w ogóle nie zareagujemy.

– Mam złe przeczucia – wyznał Jason.

Deborah nie odpowiedziała. Ona także miała złe przeczucia. Jakby prawdziwe kłopoty dopiero ich czekały.

Wzięła Jasona za rękę.

– Chodź. Napijemy się kawy. Bez pośpiechu. Potem pójdziesz do przychodni, a ja wrócę do domu. I zapomnimy o tym, co było. Jesteśmy rodziną. Mamy jeszcze siebie. Nieważne, co się wydarzyło. Znów odzyskamy nasze życie.

Jason mruknął coś pod nosem.

Nie zabrzmiało to jak aprobata.

David miał przyjść o pół do ósmej, a tu akurat dzwoni Colin. Kate, usiłując w kuchni przygotować ciasto na pizzę, i to bez odpowiedniego wyposażenia, zareagowała

nerwowo.

– Co jest? – zapytała zamiast powitania.

– Widzę, że mój telefon strasznie cię ucieszył! – odparł urażony Colin.

– Przykro mi. Jestem pod presją.

– Jak to pod presją? Przecież nie pracujesz.

– A mimo to można być pod presją. – Z komórką przy uchu Kate poszła do toalety dla gości, w której wisiało wmurowane w ścianę niewielkie lustro. Spojrzała na siebie krytycznym okiem. Popołudnie spędziła w mieście, gdzie upatrzyła sobie sukienkę – w kolorze błękitnym, bardzo obcisłą. I dość krótką. Mając w pamięci słowa Colina na temat swojej figury, przemogła się i kupiła coś naprawdę seksownego. Teraz jednak uznała ją za czyste szaleństwo. Zupełnie do niej nie pasowała, wywoływała wrażenie niestosownej próby przykucia uwagi mężczyzny. Próby sztucznej i nieporadnej. David z pewnością będzie miał niezły ubaw.

Nerwowo starła z ust szminkę. To już zdecydowanie za wiele. Za to teraz jej twarz wyglądała jak rozmazana.

Niech to szlag.

– Co ty na to? – zapytał właśnie Colin.

Nie słuchała go, była skupiona wyłącznie na swoim wyglądzie.

– Niby na co?

– Żebym jutro przyjechał. Wyjadę z Londynu z samego rana i najpóźniej w południe będę w Scarborough. Moglibyśmy spędzić razem weekend.

Kate gapiała się we własne odbicie w lustrze. Usilnie starała się nie wiązać z Davidem Chaplandem żadnych oczekiwań, a jednak jakiś wewnętrzny głos nierozsądku z równą siłą poszeptywał jej, że może zaproponować kolejne spotkanie. Oczywiście, że nic z tego nie będzie, niemniej w zwariowanych marzeniach Kate czasem widziała siebie i Davida... razem... Bądź co bądź te właśnie obrazy skłoniły ją do zakupu ekstrawaganckiej sukienki.

– Chcesz tu przyjechać? – zapytała.

– Powiedziałem to już ze dwa razy – odparł Colin lekko poirytowany.

Jeszcze tylko tego brakowało. Dziś wieczorem David mógł zaproponować, by wspólnie spędzili sobotę. Co za absurdalna sytuacja: oto przez całe lata, przez całe dziesięciolecia nie zainteresował się nią żaden mężczyzna, ona zaś próbowała samotnie przetrwać niezliczone ciągnące się bez końca głuche weekendy. Oddałaby wszystko za spotkanie, choćby z najnudniejszym człowiekiem na świecie. A teraz

niespodziewanie czekał ją weekend i dwóch konkurentów – taką przynajmniej miała nadzieję. I jednemu z nich będzie musiała odmówić.

„Pewnie gorzko tego pożałuję” – przemknęło jej przez myśl.

– Przykro mi, Colin. Nic z tego.

– Jak to? Siedzisz przecież w pustym domu i czekasz na kupca. Moglibyśmy pójść do kina, na zakupy, razem coś ugotować... I chętnie poznam tę rodzinę, wiesz, tych ludzi, których córka zaginęła i się odnalazła.

Państwo Goldsby. Na pewno się ucieszą.

– Potrzebuję czasu dla siebie – oznajmiła Kate.

– Że co? – zapytał Colin.

Zerknęła na zegarek. Pizzy wciąż nie włożyła do piekarnika, a do tego jeszcze postanowiła się przebrać. Ta sukienka jest po prostu śmieszna. I nazbyt... jednoznaczna.

– Colin, nie bardzo mogę teraz rozmawiać – powiedziała spieszenie.

W tej samej chwili zadzwonił dzwonek do drzwi.

– Och – odparł Colin – masz gościa. Trzeba było od razu powiedzieć. Nie będę przeszkadzał.

Rozłączył się. Urażony.

Nieważne. Gorzej, że nie zdążyła się przebrać. Nerwowo starła resztki szminki z kącików ust, wyprostowała ramiona, po czym podeszła do drzwi. Czowała się tak niepewnie, tak niekomfortowo, że najchętniej zaszyłaby się w jakiejś mysiej norze. Na to było jednak za późno. Musi przetrwać to spotkanie.

„Jak mogłam do tego dopuścić?” – zastanawiała się, otwierając drzwi.

„David Chapland rzeczywiście ma miły, nieskomplikowany charakter” – stwierdziła Kate. Pomógł jej przygotować pizzę, a kiedy wreszcie włożyli ją do piekarnika, poszedł obejrzeć dom – i był pod wrażeniem.

– Bardzo ładny – przyznał – i dziwnym trafem wciąż czuć we wnętrzu pozytywną atmosferę. Choć jest zupełnie pusty i wszędzie unosi się zapach świeżej farby. Mógłby sprawiać wrażenie opuszczonego. Ale emanuje ciepłem.

Połąskotał Messy, która od tej pory nie odstępowała go na krok. Otworzył przyniesioną butelkę czerwonego wina. Usiedli w pokoju dziennym przed elektrycznym kominkiem. Z kuchni dochodziła woń pieczonego ciasta i przypraw. Kate zapaliła w oknie świecę.

„Czy tak czuje się człowiek u progu nowego początku?” – zastanawiała się.

Wciąż jednak strach przewyższał wszystko inne. Strach przed zaangażowaniem się i doznaniem rozczarowania. Odrzucenie i zniewaga, dwoje najwierniejszych towarzyszy jej życia. Musi uważać. Mieć się na baczności. Być może spodobała się Davidowi. A może po prostu nie miał innych planów na wieczór i uznał, że lepiej spotkać się choćby z mało atrakcyjną *dziennikarką* z Londynu niż siedzieć w domu.

Postanowiła przyjąć wariant najgorszy. Albo się potwierdzi. Albo... będzie pozytywnie zaskoczona.

– Pisze pani wyłącznie o sprawach kryminalnych? – wypytywał. – Czy jest to, że tak powiem, pani specjalność?

– Zazwyczaj tak – odparła Kate. O sprawach kryminalnych przynajmniej potrafiła rozmawiać, rzeczywiście były dla niej codziennością. Choć w całkiem inny sposób, niż sądził David.

– A ta sprawa interesuje panią dlatego, że zdarzyła się w pani rodzinnym mieście?

– Zgadza się. A także dlatego, że przypadkiem znalazłam się całkiem blisko wydarzeń. Na samym początku. – Opowiedziała o noclegu u Goldsbych, o tym, że następnego dnia zaginęła Amelie. – Przeżyłam początek tej historii. A potem, gdy wróciłam do Londynu, dowiedziałam się, że Amelie się odnalazła. Pomyślałam, że to naprawdę ciekawa historia.

– Tak, niezwykła. To mogło się źle skończyć. W dniu jej zniknięcia odnaleziono ciało tej drugiej dziewczyny. W gazecie napisano, że według policji to ten sam sprawca.

– Tak zwany *morderca z wrzosowisk*. Tak, wiele za tym przemawia.

– Dzięki Bogu Amelie zdołała uciec. Ale skok do morza rzeczywiście był ryzykowny.

– Tak. Ale wtedy zjawił się pan...

Spojrzał na nią zamyślony.

– Policja musi podejrzewać nas obu. Alexa Barnes a i mnie. W każdym razie to bardzo dziwny zbieg okoliczności, że w tym samym czasie i przy takiej pogodzie obaj znaleźliśmy się w tym miejscu.

Skinęła głową.

– Owszem. Przy czym szczególnie Barnes znalazł się na celowniku.

– Wczoraj wieczorem nie poruszyliśmy tego tematu... Czy pani sądziła podobnie, kiedy mnie odwiedziła? Że mogę mieć z tą sprawą coś wspólnego?

Zapytał o to beztroskim tonem, lecz Kate mimo wszystko postanowiła zachować ostrożność.

– Staram się podchodzić do tematu bez żadnych uprzedzeń. Chciałam z panem porozmawiać, ponieważ stał się pan częścią tej historii.

– Zgoda, ale zawsze ma się jakieś zdanie. A przynajmniej bierze się pod uwagę różne możliwości.

– Prawdopodobieństwo, że miał pan jakikolwiek udział w porwaniu Amelie, uznałam za znikome.

– A teraz? Kiedy mnie pani poznała?

– Praktycznie wykluczam taką możliwość.

– *Praktycznie wykluczam taką możliwość* to jednak nie to samo co *uwazam to za całkiem wykluczone*.

– Przywykłam do tego, by bez niezbitych dowodów niczego całkiem nie wykluczać. Ani też nie przyjmować bezkrytycznie.

Roześmiał się.

– To bardzo dobra postawa, jak na dziennikarkę. Niektórzy pani koledzy dość beztrosko rozgłaszają własne poglądy.

– Staram się postępować inaczej.

– A rozmawiała pani z Alexem Barnesem?

Potrząsnęła głową.

– Jeszcze nie. Ale zamierzam to zrobić. Jakie wywarł na panu wrażenie?

– Na mnie? No cóż, kiedy człowiek przy szalejącym sztormie, w deszczu, zalewany falami lodowatej wody leży na brzuchu na nabrzeżu i usiłuje wyciągnąć z morza dziewczynę... nie ma miejsca na wzajemną ocenę. W pewnym sensie walczy się ramię w ramię. Ale nie sposób poznać dobrze swego towarzysza.

– A później... Siedzieliście razem w karetce... przykryci kocami... z kubkami gorącej herbaty w dłoni... Coś się przecież myśli o tym drugim człowieku. Coś się do niego mówi. Prawda?

David się zamyślił.

– Wszystko się zgadza. Karetka, koce, herbata... Ale czy rozmawialiśmy? Barnes był kompletnie wyczerpany. Zupełnie bez sił. Policjantowi, który do nas podszedł, zdał krótką relację z przebiegu wydarzeń. Usłyszał wołanie, znalazł Amelie, ale nie mógł jej wyciągnąć na brzeg. Miał niemal odmrożone dłonie... Z pewnością to prawda. Nawet moje dłonie były jak bryły lodu, a przecież musiałem wytrzymać znacznie krócej. Pamiętam, że z początku nie mogłem nawet utrzymać kubka. A potem, gdy wreszcie przysunął go do ust, ręce tak bardzo mu się trzęsły, że bałem się, że wszystko rozleje.

– Hm. I nic do pana nie mówił?

Widać było, że David w napięciu usiłuje coś sobie przypomnieć.

– Nie. Po rozmowie z policjantem nic więcej nie powiedział.

– Czy próbował nawiązać jakiś kontakt z Amelie?

– To było niewykonalne. Przyjechały dwie karetki, jedna z nich od razu zabrała Amelie. Nie było żadnej możliwości kontaktu.

– A pan? Co pan sobie pomyślał?

– O czym?

– O Barnesie. O całej tej sytuacji.

– O Barnesie w ogóle nie rozmyślałem. Myślałem o dziewczynie. W tamtym czasie jeszcze nie wiedziałem, że chodzi o Amelie Goldsby, o której pisały wszystkie gazety. Nie rozpoznałem jej, przemoczona, wycieńczona, u kresu sił wyglądała zupełnie inaczej niż na fotografiach zamieszczonych w prasie. Wydaje mi się, że nie wiedzieli o tym nawet policjanci, którzy zjawili się na miejscu. Zastanawiałem się, jak znalazła się w wodzie. Miałem nadzieję, że to nieszczęśliwy wypadek, a nie próba samobójcza. Byłaby to prawdziwa tragedia, gdyby ktoś w tak młodym wieku chciał się targnąć na własne życie, bo nie widzi innego wyjścia.

– I na ten temat także panowie nie rozmawiali? O tym, co się stało z tą młodą dziewczyną?

– Nie. Był wykończony, nie miał siły mówić. – David potrząsnął głową. – Przykro mi. Nie dostarczę wiele materiału do pani opowieści. Ale zapewniam, siedzieliśmy w milczeniu i popijaliśmy herbatę.

– W tej sytuacji to zupełnie normalne. – Zastanawiała się nad kolejnymi pytaniami, lecz nic nie przychodziło jej do głowy. Nie miała też pojęcia, o czym mogłaby jeszcze porozmawiać.

– Może sprawdzimy, jak tam nasza pizza – zaproponował na szczęście David.

Siedząc przed kominkiem, jedli palcami z papierowych talerzy – a przynajmniej próbowali. Kate musiała się pomylić, przygotowując ciasto, gdyż było twarde jak kamień i nawet piłą nie sposób byłoby go przeciąć. Po drugim kęsie David spojrzał nieszczęśliwy.

– Nie gniewaj się, proszę, ale jeśli nie przestanę, stracę kilka zębów. Jakim sposobem, u licha, ciasto może być tak twarde?

Kate, równie zatroskana o stan swoich zębów, z rezygnacją wzruszyła ramionami.

– W ogóle nie umiem gotować. Wszystko psuję.

– Żaden problem. Mamy jeszcze wino.

Wrzucili pizzę do worka na śmieci. Kate znalazła w kuchennej szafce napoczętą paczkę krakersów, lepszy rydz niż nic. Wstali z niewygodnych krzeseł kempingowych, usiedli na podłodze. Kate zastanawiała się z niepokojem, jak się zakończy ten wieczór. Od śniadania nic nie jadła, nie licząc dwóch kęsów suchej jak wiór pizzy, wkrótce poczuła, jak ciężkie czerwone wino uderza jej do głowy. Alkohol miał na nią przemożny wpływ. Robiła się wtedy gadatliwa i spragniona miłości.

– A więc w tym domu spędziła pani całe dzieciństwo i młodość? – zapytał David.

Skinęła głową.

– Zgadza się. I wciąż tu wracałam. Moja matka zmarła wiele lat temu. Ojciec... przed trzema laty... – Przełknęła.

– Tak?

– Został w tym domu zamordowany. – Tak naprawdę wcale nie chciała o tym mówić. To wszystko przez wino.

David spojrzał na nią wstrząśnięty.

– *Zamordowany?*

– Tak. Z powodu wcześniejszej sprawy. Za długo by opowiadać... Ojciec był wysokim funkcjonariuszem śledczym i uwikłał się w coś, co... no cóż, zapłacił za to życiem.

– Dobry Boże – odparł David. – To straszne.

Kate pożałowała swoich słów. Pewnie pomyśli teraz, że przeszłość jej rodziny splamiło morderstwo, i nie zechce mieć z nią nic wspólnego.

– Tak. Dowiedziałam się o nim wielu rzeczy, o których wcześniej nie miałam pojęcia. Był to dla mnie szok.

– Aż tak?

– Ojciec zawsze był dla mnie bohaterem. Najwspanialszym człowiekiem, jakiego znałam. Ponad wszelką wątpliwość. Była... To było... Nie potrafiłam tego pojąć... – Na domiar złego poczuła, że łzy napływają jej do oczu.

Tylko. Nie. Płacz.

– Kto go zamordował? – zapytał rzeczowo David.

– Ktoś, kto... ach, nieważne. W każdym razie pewnej lutowej nocy został w tym domu zaatakowany. – Przed oczami miała obraz miejsca zbrodni, które знаła jedynie z relacji. Ojciec w pizamie, przywiązany w kuchni do krzesła, z plastikową torebką na głowie. Udusił się w męczarniach.

– To straszne – szepnął David.

– Owszem.

Poczuła jego dłoń na swoim ramieniu i usłyszała jego słowa:

– Nie płacz. O Boże, to takie potworne, wiem. To boli.

Nie zauważyła, że po policzkach spływają jej łzy. Jego ciepła dłoń i współczujące słowa tylko pogarszały sprawę. Nie potrafiła się powstrzymać.

– Tak – szlochała. – To boli. Tak strasznie boli.

I wcale nie przestaje. To zadziwiające. Nie przestawało boleć, choć mijały lata. Nie potrafiła pogodzić się ani z potworną śmiercią ojca, ani z faktem, że nie był człowiekiem, za którego go uważała.

Spostrzegła, że znalazła się w objęciach Davida i wypłakuje łzy w jego sweter. Mocno trzymał ją w ramionach.

– Popłacz sobie – szepnął – może po prostu nie dość płakałaś z tego powodu.

Rzeczywiście. Płakała, ale zbyt rzadko, biorąc pod uwagę rozmiar wstrząsu i bólu, jakiego doznała. Usiłowała stłumić w sobie wszelkie uczucia rozpacz i bezmiernego rozczarowania, zepchnąć je w jakiś mroczny zakątek swej duszy, gdzie pozostałyby w zamknięciu, nie burząc nieustannie jej życia. Nie chciała pozwolić, aby ból wciąż ją dopadał, gdyż bała się, że już nigdy nie wyrwie się z jego szponów. Odpychała go, gdy tylko zmierzał w jej stronę. I wierzyła, że za każdym razem będzie mała i słaba, aż pewnego dnia zwyczajnie zaniknie.

Myliła się. Nadal był niczym drapieżnik z wyszczerzonymi kłami. Wciąż wyczekiwał okazji, by znów zaatakować.

Płakała bez końca, a David mocno ją trzymał. W którymś momencie pomyślała, że powinna była posłuchać prośby Colina o spotkanie, gdyż David z pewnością ponownie tego nie zrobi. Najpierw nieudany posiłek, potem wiadomość, że w domu doszło do morderstwa, a teraz niekończący się szloch. Musiała się wreszcie roześmiać, nie wesołym, lecz nieco histerycznym śmiechem, mając świadomość, w jak spektakularny sposób, z jaką przewidywalną pewnością dusiła w zarodku wszelkie związki z mężczyznami. Śmiech ten, choć prawie nie przypominał *prawdziwego śmiechu*, przynajmniej sprawił, że powstrzymała potok łez. Wyprostowała się i niezdarłym ruchem przetarła oba policzki rękawami nowej sukienki.

– Tak mi przykro – odezwała się. – Ojej, to... Nie chciałam. Dobry Boże... – Lepiej nie myśleć, jak wygląda jej zaczerwieniona, poplamiona twarz, którą pewnie zdobiją teraz malownicze czarne smugi rozmazanego tuszu do rzęs. Nie dość że niezbyt urodziwa,

to jeszcze potrafi się tak spaskudzić.

– Muszę wyglądać okropnie – wyznała z rezygnacją.

– Wcale nie – odparł David, nachylił się i ucałował jej usta.

Zamarła.

To niemożliwe. Akurat teraz jej się to przydarzyło.

Odsunął się.

– Jeśli nie chcesz...

Mimo oszołomienia przytomnie dostrzegła nadarzącą się okazję – a instynkt podszeptował, że może się już nigdy nie powtórzyć. Jeśli teraz szorstko zareaguje – a zazwyczaj mimowolnie tak właśnie reagowała, znacznie bardziej szorstko, niżby tego chciała – wówczas David się wycofa, a wtedy to ona będzie musiała go ponownie ośmielić, choć nie miała pojęcia, jak to zrobić.

– Ależ tak – powiedziała cicho – chcę.

Znów ją pocałował. Jego wargi miały lekki posmak czerwonego wina. Były ciepłe.

Kate odwzajemniła pocałunek, choć nie była pewna, czy robi to we właściwy sposób. W książce przeczytała, że każdy człowiek instynktownie potrafi całować, lecz w jej przypadku instynkt zawsze był tłumiony przez myśli. Trudności sprawiały jej rzeczy, które u innych działały bez zarzutu, gdyż tak długo je roztrząsała, że niknęły gdzieś naturalność i spontaniczność.

Nie rozmyślaj teraz. Po prostu mu się oddaj.

Choć nie był to głos kobiety wyemancypowanej, Kate rozumiała, że to jedyna szansa, zważywszy na jej kompletny brak doświadczenia. Pamiętała kilka momentów spiesznego obściskiwania się po mrocznych kątach na szkolnych imprezach, o późnej porze, gdy wszyscy byli tak pijani, że nie zwracali uwagi, z kim się całują. Z pomocą podobnych ingrediencji – przyjęcie, ciemność, alkohol – w wieku lat siedemnastu w końcu udało jej się przespać z chłopakiem, choć wyłącznie dlatego, że młodzieniec tak naprawdę zalecał się do jej przyjaciółki, nie zdołał jej jednak zdobyć, gdyż tamtego wieczoru odeszła z innym. Kate doskonale o tym wiedziała, lecz potraktowała z obojętnością, chcąc mieć to wreszcie za sobą. Spieszny, mało romantyczny numerek na tylnym siedzeniu samochodu, który chłopak pożyczył od ojca. To wszystko.

Swój drugi raz przeżyła na przyjęciu bożonarodzeniowym wiele lat później. W rzeczywistości nie znosiła tych przyjęć, wszyscy się wtedy z sobą bratają, a wraz z upływem czasu słychać coraz płytsze dowcipy i coraz bardziej obsceniczne docinki. Obecność nie była obowiązkowa, lecz nie przychodząc na imprezę, Kate jeszcze

bardziej odsunęłaby się w cień. Piła jakieś zmieszane z colą drinki, miała na głowie głupawy papierowy kapelusik i żywiła rozpaczliwą nadzieję, że zdoła się poddać gromkiemu, przesadnie wesołemu nastrojowi kolegów. Nie udało się, lecz o późnej porze jeden z nich zaczął się do niej ostro przystawiać, choć w normalny dzień pracy nie zwróciłby na nią uwagi. Widocznie był na tyle pijany, że nie potrafił rozpoznać, iż ma przed sobą kobietę, którą w mniej zakrapianych okolicznościach uznałby za absolutnie nie w swoim typie. Rzeczywiście, poszła z nim do domu, a następnego ranka obudziła się w obcym łóżku obok chrapiącego mężczyzny cuchnącego alkoholem. Błada poświata zimowego słońca wpadała przez okno do pokoju, ukazując nieposprzątaną sypialnię, w której leżały porzrzucone w nieładzie buty, swetry, rajstopy i bielizna. Kate wstała bezszelestnie, wzięła swoje rzeczy, ubrała się w łazience i na palcach wymknęła się do drzwi. Z kolegą spotkali się dopiero w następnym poniedziałek na korytarzu Scotland Yardu, celowo unikając swojego wzroku, mruknąwszy ledwo zrozumiałe powitanie. Żadne z nich nigdy więcej nie wspomniało o tym, co zaszło.

Tak oto przedstawiały się doświadczenia Kate z mężczyznami. Dwa w ciągu czterdziestu dwóch lat.

David pod żadnym pozorem nie może się o tym dowiedzieć.

Jego pocałunki były coraz mocniejsze i gwałtowniejsze, palce zaś błędziły wokół zamka błyskawicznego jej sukienki. Rozsunął go, Kate oswobodziła się z wąskiej sukni, obawiając się, że zrobiła to mało powabnie. David tymczasem zdjął przez głowę sweter. Za chwilę oboje zostaną bez ubrań.

Kate głęboko westchnęła. David zamarł.

– Wszystko w porządku? – szepnął.

Kate znała żelazne reguły wpajane czytelniczkom przez wszystkie poradniki: Nigdy, przenigdy nie wolno pozwolić na intymny stosunek już na pierwszej randce. Ani na drugiej. Najwcześniej na trzeciej. Zbyt szybka uległość zrujnuje związek, zanim jeszcze zdoła on rozkwitnąć. Kate słyszała o tym, czytała – uznała jednak, że jest wyjątkiem i dlatego musi przyjąć odmienną strategię. Mężczyźni nie umawiali się z nią po raz drugi, stąd też wyczekiwanie aż do trzeciej randki nie miało wiele sensu. Lepiej od razu brać to, co można zdobyć – albo, gdyby facet okazał się durniem, najlepiej nie brać nic. Ów poranek po bożonarodzeniowej imprezie udowodnił, że żywot dziewczyny podpierającej ścianę jest wprawdzie pełen smutku i frustracji, lecz poranna pobudka u boku mężczyzny, do którego nie czuje się nic prócz niechęci, może, co jeszcze gorsze, wywołać obrzydzenie.

David był inny. Uznała, że jest atrakcyjny. Miły. Wrażliwy. Wyrozumiały. Umówił się z nią w pubie. Umówił się z nią na dzisiejszy wieczór. Bezsprzecznie wykazał się inicjatywą. A jeśli doliczyć pierwszą rozmowę w jego mieszkaniu, była to ich trzecia randka, dzięki czemu nie zostanie złamana żadna idiotyczna reguła.

Zamiast odpowiedzieć, zsunęła rajstopy, została w samych majtkach i staniku. David zdjął dzinsy. Uklękli naprzeciw siebie. Oboje poczuli ciepło emanujące z ich ciał. Poczuli też napięcie. Kate zauważyła, że także Davida zjadały nerwy. Nie tylko ją. Chciał zrobić wszystko, jak należy.

– Nie możemy nic zepsuć – szepnęła do niego – to chyba niemożliwe.

Objął ją ramionami, zatoneła w jego uścisku. Zatoneła w ogromnej fali ciepła, pewności, siły. I namiętności. Po raz pierwszy w życiu poczuła, co to znaczy pożądać mężczyzny. Zastanawiała się, jak to będzie. Po raz pierwszy w życiu kocha się z mężczyzną, który nie jest pijany.

I wie, co robić.

Weekend. Zimno. Rzadko zdarza się taka jesień. Listopad jest tu zazwyczaj łagodny, choć wilgotny. Czasem, bardzo rzadko, zima nadciąga w lutym, mamy wtedy trochę śniegu. Jedynie cienką jego warstwę, raczej coś w rodzaju szronu... Jednak w tym roku już teraz zrobiło się tak zimno, że powietrze pachnie śniegiem. Może będziemy mieć białe Boże Narodzenie. Wszyscy za tym szaleją. Mnie jest wszystko jedno. Chłód przenika moje myśli tylko wtedy, gdy w piątek i sobotni wieczór zastanawiam się, czy Mandy wystarczy propanu do ogrzewania. Pomieszczenie jest dość duże i w większości wyłożone płytkami. A one niezbyt dobrze zatrzymują ciepło, prawda? Dzisiaj, w niedzielę, śpię dłużej, dochodzi południe, kiedy się budzę. Nieważne, że samotnie. Śniadanie chętnie jem w ciszy i spokoju, nie muszę z nikim rozmawiać.

Aż do popołudnia zastanawiam się, czy warto jechać do Mandy. Nie mam na to ochoty. Ostatnim razem tak bardzo się wściekła, nie mam już najmniejszych wątpliwości, że zabranie jej było błędem. To prawdziwy rekord, w przypadku pozostałych nadzieja, że wszystko się ułoży, trwała znacznie dłużej. Były to jednak dziewczęta z porządnymi domów, nie pałały aż taką wrogością. Za to nieustannie beczały, mało to było zachęcające. Ale ta złość Mandy... jej nienawiść... jej napady szału... Jak miałyby się nam udać?

W końcu, około pół do czwartej, postanawiam wyruszyć. Aura za oknem wcale nie zachęca do wyjścia z ciepłego domu. Już lepiej rozpalić ogień w kominku i napić się gorącej herbaty.

Myśl o ciepłej herbacie skłania mnie jednak do włożenia butów, płaszcza i szalika. Muszę sprawdzić, czy propanowe ogrzewanie nadal działa. W czwartek dostała coś do jedzenia i picia, z pewnością jest głodna i spragniona. Ogarnia mnie poczucie winy, że każę jej tak długo czekać – niech czeka jeszcze dłużej. Już teraz mam zamiar z niej zrezygnować. Ów punkt krytyczny osiągam niestety za każdym razem, nigdy jednak tak wcześnie. Zaczyna się od tego, że tracę ochotę na odwiedziny. Są coraz rzadsze, przychodzą z coraz większym trudem. Aż w końcu nie potrafię się zmobilizować. Wówczas, gdy już nic, dosłownie nic do tych dziewcząt nie czuję.

Pakuję butelkę wody mineralnej, z zamrażarki w kuchni wydaję zafoliowany sandwicz z cheddarem i pomidorami, jeden z wielu tam przechowywanych. Zanim dotrę na miejsce, rozmrozi się, podkręcę w samochodzie ogrzewanie.

Wyruszam w drogę.

Nastrój mi się poprawia. Siedzenie przez cały dzień w domu nie jest dobre, człowiek

gnuśniej i miewa złe myśli. Szarzyzna dnia ma w sobie specyficzny urok. Im dalej na północ, tym krajobraz staje się bardziej jałowy i pusty. Po prawej wciąż widać morze, jest kamiennoszare jak niebo. Szarość miesza się nawet z wyblakłą żółcią kołysanych wiatrem wysokich traw. Chmury przypominają wieże piętrzące się nad linią horyzontu. Jedynie z rzadka mijam inny samochód. Czasem miewam uczucie, że prócz mnie na świecie nie ma nikogo innego. Uczucie to już mnie nie przeraża. Jakże często toczyliśmy na ten temat rozmowy z terapeutami. Że nie można żyć samemu. Bo w samotności wciąż kiełkuje myśl, że stanie się coś złego.

– Co się wówczas stanie? – pytał mnie każdy z terapeutów.

– Nie wiem. – Choć nie było to prawdą.

Nalegali.

– Proszę spróbować. Proszę spróbować sobie wyobrazić, co się wówczas stanie.

– Umrę – wyznaję w końcu.

Oto moje uczucie. Samotność i śmierć są jednym.

Nie wiem, kiedy to w końcu ustąpiło, kiedy te myśli przestały mnie wreszcie prześladować. Czyżby przy dziewczętach?

To jednak nie działa. Nie chcą mnie. Okropnie się boję, że ono powróci. To uczucie. Że dopadnie mnie samotność i umrę. I dlatego muszę ją znaleźć. Tę jedną, mi przeznaczoną.

Mijam Newcastle, trzymam się odtąd blisko plaży. Docieram do Northumberland. Jestem w drodze od dwóch i pół godziny. Wreszcie zatrzymuję się na niewielkim, całkiem zapuszczonym parkingu. Nawet nie można go określić tym mianem, wszędzie rozplenili się osty, ciernie, a nawet nadbrzeżna trawa. Na szczęście nie zarosła droga, a to dlatego, że wciąż tu wracam, zachował się nawet wysmołowany fragment, choć asfalt w wielu miejscach popękał. Pewnie przez mróz albo korzenie torujące sobie własną drogę.

Wysiadam, chłód wiatru znad Morza Północnego momentalnie odbiera mi dech. Tu, na samej północy Anglii, jest jeszcze zimniej niż w Scarborough, a przecież i tam panuje obecnie niecodzienny ziąb. Naciągam mocniej szal, zabieram koszyk z wodą mineralną i rozmrożonym sandwiczem, po czym ruszam wydeptaną ścieżką prowadzącą do budynku. Krzewy głogu wciąż usiłują zagrozić wejście. Latem uparcie je przycinam. Zimą nic tu się nie dzieje, zauważam jednak, że jeśli pozwolę im jeszcze trochę urosnąć, wkrótce całkiem zasłonią dom od strony drogi. A wtedy będzie widoczny wyłącznie od strony morza. Kogo to jednak będzie obchodzić?

Kiedy otwieram drzwi, od razu zauważam, że wewnątrz wcale nie jest cieplej niż na dworze, choć nie wnika tam wiatr, od którego podmuchów łzawią oczy. Zastygam na chwilę

w bezruchu. Gdyby Mandy zdołała się uwolnić – mało prawdopodobne, lecz nie ma rzeczy niemożliwych – niewykluczone, że gdzieś się na mnie zaciąła. Zrobiwszy krok naprzód, zaglądam do niewielkiego pomieszczenia, widzę jednak, że nie zerwała się z łańcucha. Zagrzebała się pod rozłożonym kocem. Pomieszczenie cuchnie ekskrementami, panuje w nim lodowaty ziąb. Ogrzewanie zgasło. Ze wszystkich kątów i szpar wypełza przenikająca mury wilgoć, słonawy posmak pobliskiego morza. Tu zawsze panuje wilgoć, choć latem nie aż tak dojmująca, a zimą można wewnątrz ogrzać. Zima bez ogrzewania... rzeczywiście trudno tu wytrzymać.

Tracę zbyt wiele czasu.

Wełniany koc się porusza, wyłania się głowa Mandy. Ma posklejane, przetłuszczone włosy, widocznie nadal się nie myje. Napuchnięte oczy, popękane, spierzchnięte wargi. Nie wygląda ani na jotę bardziej atrakcyjnie.

– Potrzebuję wody – szepcze. – I strasznie mi zimno.

Koc widocznie nie chroni jej dostatecznie przed chłodem, wodę zaś pewnie wypła, najpóźniej w piątek. Zerkam do wiadra z wodą przeznaczoną do mycia, jest puste. Ją także wypła. Niegłupio z jej strony.

– Mam coś do jedzenia i picia – oznajmiam.

Patrzy na mnie dzikimi, wygłodniałymi oczami.

Podsuwam jej nogą butelkę oraz sandwicz, staram się zachować odległość. To typ wojowniczkki. Dorastała w trudnych warunkach, bez opieki, od małego zdana wyłącznie na siebie. Nawykła do walki. W tej chwili kiepsko jej się wiedzie, co nie oznacza, że nie skorzysta z okazji, jeśli takowa się nadarzy.

Natychmiast otwiera butelkę i pije, pije bez końca... łapczywymi haustami.

– Czemu to robisz? – pyta w końcu. Wciąż cichym głosem. Jest wyraźnie bardziej uległa niż poprzednim razem. Głód, pragnienie i zimno, w sumie niewiele trzeba, by złamać człowieka. Choć wcale tego nie chcę. Ona ma mnie kochać. Nie jestem bliżej celu ani o krok.

Nie odpowiadam na jej pytanie, bo i tak nie zrozumie złożoności moich myśli, wyobrażeń i działań. Zamiast tego chwytam wiadro, którego używa jako toalety, i wynoszę szybko na zewnątrz, opróżniam w zaroślach krzewiących się kawałek od domu na skraju klifu. Daleko w dole morze uderza o skały, słyszę huczący plusk fal. Mewy skrzeczące nad moją głową pozwalają się nieść podmuchom wiatru, zataczając szerokie, wygięte łuki. Jak tu ładnie. Mając pieniądze, można by odnowić ten dom, a potem przychodzić tu każdego dnia i patrzeć w morze.

Wiadro nadal cuchnie, nie myję go. Trzeba by zejść w dół do zatoki, a na to jest teraz za

zimno i skały są zbyt śliskie. Zauważam, ile obrzydzenia budzi we mnie to wiadro, usiłuję sobie tłumaczyć, że Mandy po prostu musi go używać. W tej sytuacji. To nie jej wina. Pozostałe korzystały z toalety, spłuczka co prawda nie działała, ale wystarczyło przynieść duże dwulitrowe butelki z wodą i wszystko udawało się zmyć. Odstana woda to prawdziwy problem. Mandy musi jednak korzystać z wiadra, nie mogę ryzykować, pozwalając jej na swobodne poruszanie się. To jej wina, że wszystko tylko komplikuje. Mimo przeszywającego chłodu czuję, jak złość wypala ogromną, piekącą dziurę w moim brzuchu. Ta złość mnie przeraża, znam ją. Kiedy osiągnie pewną intensywność, mój stosunek do innego człowieka staje się nieodwracalny. A wtedy... już po wszystkim. Tak właśnie się stało w przypadku pozostałych – bo mnie od siebie odpychały, bo szlochały, bo nieustannie błagały, by je puścić do domu, nie dostrzegając, że najpiękniejsze chwile życia mogą spędzić ze mną. Czując ten palący ból w żołądku, wiem już, że to koniec. Mogłyby robić wszystko, mogłyby błagać mnie na kolanach, by je pokochać – na próżno.

Mogę już tylko zatrzaskać za sobą drzwi. Dosłownie.

W przypadku Mandy do tego właśnie doszło.

To bez wątpienia wina jej zachowania, sposobu, w jaki mnie zwymyślała, jej ordynarnego słownictwa, mojego rozczarowania, że od początku okazała się błędną decyzją i tak naprawdę nigdy nie dano nam jakiegokolwiek szansy.

Być może wizyty stają się coraz rzadsze, bo ja się zmieniam. Ogarnia mnie coraz większe zniecierpliwienie, że tracę czas. Bo nie chcę trwonić ogromnej części mojego życia na daremne, jak widać, zmagania.

Wracam do domu. Mandy zjadła już kanapkę. Butelka z wodą jest pusta.

– Dostanę jeszcze? – pyta.

Z zalem wzruszam ramionami.

– Przykro mi. Więcej nie mam przy sobie. Przynajmniej wodę powinnaś oszczędzać.

Gapi się na mnie osłupiała.

– Co takiego? To wszystko?

– To była duża butelka wody i kanapka z grubą warstwą sera!

Jej wzrok błądzi nerwowo po wnętrzu, jakby nie wierzyła własnym uszom i miała nadzieję znaleźć gdzieś odpowiedzi na swoje pytania.

– Kiedy wrócisz? – pyta.

Spoglądam na nią. Jest okropna. Prymitywna.

– Nie wiem – odpowiadam wymijająco.

Na jej twarzy pojawia się wyraz paniki.

– Co ze mną będzie? Ja tu zamierzam. Chcę jeść i pić. Nie mogę się poruszać. Nikogo tu nie ma, prawda? – Patrzy w stronę okna, z tej perspektywy pewnie widzi tylko skrawek nieba, lecz nawet gdyby mogła dostrzec coś więcej, utwierdziłaby się tylko w swych przypuszczeniach: owszem, nikogo tu nie ma. Jak okiem sięgnąć tylko samotność. Płaskowyż. Klify. Morze. Wiatr. Mewy.

Nic więcej.

Nagle zaczyna wrzeszczeć. Chleb i woda tylko ją wzmocniły. Szarpie za łańcuch jak jakaś wariatka. Widzę, jak stal wpija się w jej skórę, zdiera ją do krwi. Zdaje się tym nie przejmować.

– Wypuść mnie stąd! Natychmiast mnie stąd wypuść! Naprawdę cię popierdoliło, ty...

Usiłuję dłużej nie słuchać. A więc znowu to samo. To niesłychanie ordynarne zachowanie. Wiem, z jakiego domu pochodzi, z jakiej okolicy. Znam jej matkę. Nic mnie już nie zdziwi.

Biorę mój kosz.

– Nie możesz odejść i tak mnie zostawić! – ryczy. – To morderstwo! Wypuść mnie. Natychmiast zdejmij ten cholerny łańcuch!

Ruszam ku drzwiom.

Płacze. Zmienia ton i zaczyna błagać.

– Proszę. Nie zostawiaj mnie samej. Proszę. Nic ci nie zrobiłam. Nie znam cię. Proszę, pozwól mi odejść. Nawet nie wiem, jak się nazywasz, nikomu nic nie powiem. Nie mam pojęcia, kim jesteś ani gdzie mieszkasz, dlatego nie musisz się martwić. Proszę!

Otwieram drzwi. Już jej nie widzę.

Wrzeszczy niczym uwięzione w klatce zwierzę.

– Proszę! Proszę! Proszę!

Wychodzę.

– Zostań! – ryczy. – Nie odchodź! Nie zostawiaj mnie samej!

Aż się uśmiecham. Kazała mi się pierdolić i dorzuciła jeszcze kilka innych uprzejmości. Tak, trzeba by się najpierw zastanowić, czy na pewno chce się tak walić innego człowieka obuchem. A teraz mnie błaga, by z nią zostać, by się nią zaopiekować. Chociaż, no cóż, najchętniej wolałaby, żeby ją uwolnić. Chce uciec. Wszystkie chciały uciec. Żadna nie skapowała...

Kiedyś któraś wreszcie zrozumie.

Nie zrezygnuję.

Nawet siedząc w samochodzie, nadal słyszę krzyki Mandy. Wpadła w szal, paniczny,

histeryczny.

Uruchamiam silnik i zawracam.

Byle jak najdalej stąd. Jak najdalej.

Potrzebuję innej. I to szybko.

Nadal nie schodzę do piwnicy.

Poniedziałek, trzynasty listopada

I

Posterunkowa Kitty Wentworth rzadko czuła taką wdzięczność, jak wówczas, gdy Amelie Goldsby wyraziła życzenie, by wybrać się na wycieczkę w towarzystwie obojga strzegących jej policjantów. Nareszcie mogli się gdzieś ruszyć, przejechać, przejść, zobaczyć coś innego niż wciąż tę samą ulicę, te same domy, te same zdarzenia. Po historii z awarią prądu i nieregularnym opuszczeniem przez Jacka O'Donella miejsca obserwacji oboje zostali upomniani. Kitty miała nawet nadzieję, że zmienią im przydział, lecz wściekły nadkomisarz Hale niezwłocznie rozwiął tę kuszącą myśl.

– Jak zwykle mamy poważne braki kadrowe! – warknął, jakby Kitty była temu winna. – A dobrze wyszkolonych ludzi potrzebuję do wymagających zadań!

Ostro. Kitty musiała wziąć się w garść, by się nie rozplakać.

– Dlatego pani i O'Donell na razie kontynuujecie zadanie. Jeśli jeszcze raz coś takiego – lub coś *podobnego* – się zdarzy, przez resztę zawodowej kariery będziecie wypisywać mandaty za złe parkowanie, bez jakiegokolwiek perspektywy na awans. Czy to jasne?

– Tak jest, sir.

Kitty popłakała się dopiero wieczorem po powrocie do domu. Także dlatego, że spotkała ją niesprawiedliwość. To Jack popełnił błąd, jednak Hale nie wziął tego pod uwagę i jednakowo ich zbeształ. Dotąd sądziła, że szef postępuje fair, lecz ostatnio zmienił się nie do poznania. Wszyscy to przyznawali. Wciąż był w kiepskim humorze, ochrzaniał każdego, kto akurat miał pecha i wszedł mu w drogę. Za błędy karał surowo i drobiazgowo. Prawdopodobnie nie miał ochoty czytać co rano w gazecie, że w sprawie *mordercy z wrzosowisk* policja drepcze w miejscu, a porwanie kolejnej ofiary jest tylko kwestią czasu.

Określenia *morderca z wrzosowisk* nikt zresztą, komu życie miłe, w komisariacie nie używał. Wszyscy wiedzieli, że Caleb Hale niemal poćwiartował praktykantkę, która ośmieliła się wypowiedzieć te słowa. „Jeszcze raz usłyszę to kompletnie idiotyczne sformułowanie – ryknął – a wtedy wszyscy możecie szukać sobie nowej pracy”. Praktykantka nazajutrz nie pojawiła się w biurze, inni stąpali na paluszkach. Każdy

modlił się w głębi ducha, by Caleb Hale, jeśli nie zdoła wkrótce pochwycić sprawcy, osiągnął przynajmniej jakiś sukces, choćby niewielki. Praca z nim nie sprawiała już przyjemności. Nikomu.

Tego dnia pojawiła się przynajmniej jakaś odmiana. Amelie chciała wyruszyć późnym przedpołudniem, Caleb wyraził zgodę na powrót przed nastaniem wieczoru. On także doskonale rozumiał, że nie można wiecznie trzymać Amelie w zamknięciu, dziewczyna musi wrócić do normalności, choćby w ograniczonym stopniu. Powrót do szkoły nadal uważał za zbyt niebezpieczny, obawy okazały się jednak bezpodstawne, gdyż Amelie i tak ostro się temu sprzeciwiała. Być może dzięki wycieczce zdoła poniekąd odzyskać wewnętrzną równowagę. Kitty domyślała się, czego szef w głębi serca oczekiwał: że Amelie zacznie mówić. Że coś wreszcie skłoni ją do mówienia.

Amelie nie zmieniła zdania, nie chciała, by towarzyszyła jej Helen ani też Deborah, zamierzała wybrać się wyłącznie z dwójką funkcjonariuszy. Jack usiadł za kierownicą, Kitty obok Amelie na tylnej kanapie. Amelie kazała się najpierw zawieźć do centrum miasta, chciała pomyszkować po sklepach. Kitty zauważyła, jak ostrożnie stawia kroki, z wahaniem, bardzo uważnie. Przez długi czas nie opuszczała własnego pokoju, przystrojony świątecznie deptak oraz spacerujący po nim ludzie musieli działać na nią deprymująco. W zwyczajne poniedziałkowe przedpołudnie niewiele się działo, lecz ktoś tak nienawykły jak Amelie musiał poczuć zmęczenie. Postanowiła kupić dzinsy, wstąpili do Marksa & Spencera. Z ośmioma parami spodni w ręce Amelie zniknęła w przymierzalni. Jack z westchnieniem osunął się na fotel.

– Nie znoszę, gdy kobiety kupują ciuchy – mruknął. – Trwa to bez końca i nigdy nie mogą się zdecydować. Nie wiem, czy ta wyprawa była dobrym pomysłem!

Kitty krążąca między stojakami z ubraniami się roześmiała.

– Musisz wytrzymać. Lepsze to niż wieczne siedzenie w samochodzie przed domem, nie sądzisz?

– Szczerze mówiąc, sam już nie wiem. Boże, jak długo to potrwa?

Minęła cała wieczność, nim Amelie wyszła z kabiny z dzinsami przewieszonymi przez ramię i wyrazem zmieszania, wręcz zgrozy na twarzy.

– No, nie wiem – oznajmiła.

– A widzisz – mruknął Jack w stronę Kitty. Wiedział, że dziewczyna nie będzie się mogła zdecydować.

Amelie usiadła w drugim fotelu całkiem wyczerpana.

– Nie potrafię nic kupić – wyznała. – To dla mnie zbyt wiele.

– Nie musisz nic kupować – odparła Kitty. – Tak długo nie wychodziłaś z domu. I dlatego wszystko cię przytłacza. To zupełnie zrozumiałe.

Amelie była bliska płaczu.

– Wierzy pani, że kiedyś znów będzie normalnie? W moim życiu?

– Oczywiście, że tak – zapewniła Kitty. – Jesteś młoda. Zdołasz wszystko przetrzymać. A to, co się wydarzyło, stanie się jedynie ciemną plamą przeszłości. Czymś, o czym będziesz pamiętać, lecz nie będzie już miało wpływu na twoje życie.

Amelie potrząsnęła głową.

– Nie potrafię sobie tego wyobrazić. Nawet teraz nie mogę sobie przypomnieć dawnego życia. Że chodziłam zwyczajnie do szkoły, czatowałam z koleżankami... To wszystko wydaje mi się takie odległe. Jakbym wtedy była dzieckiem, którym już nie jestem.

Pobladła na twarzy. Drobna i szczupła siedziała w szerokim fotelu, smutna i zagubiona. Kitty, kierując się instynktem, najchętniej wzięłaby ją w ramiona, nie wiedziała jednak, czy dziewczyna tego pragnie.

„Kiepsko z nią” – pomyślała. Po raz pierwszy wyraźnie to sobie uświadomiła: Amelie głęboko cierpi. Prawdopodobnie dniami i nocami. Żałując straconego życia. Nie mogąc odnaleźć nowego, nie widząc go, nie czując.

„Owe siedem dni – pomyślała Kitty – te siedem dni uprowadzenia w rzeczywistości stanowiły zaledwie początek. Tygodnie, które nastąpiły. Miesiące, które nadejdą. Długi proces, zanim odnajdzie samą siebie. Nim dostrzeże sposób, by poradzić sobie z tym, co się wydarzyło. Została brutalnie wyrwana ze swojego świata, a teraz nie wie, gdzie jest jej miejsce”.

Łagodnie dotknęła jej ramienia.

– Może to nie jest dobry pomysł na początek. Ta cała świąteczna dekoracja, ta muzyka, światełka... Może pojedziemy gdzie indziej? Bliżej przyrody?

Amelie przytaknęła, wstała. W drodze do samochodu trzymała Kitty za rękę. Jack człapał za nimi, czując ulgę, że wyszli z domu towarowego, kompletnie przytłoczony całą tą sytuacją. Patrzył pragmatycznie: Amelie przeżyła coś strasznego, to jasne. Ale miała ogromne szczęście – dowiodła przy tym odwagi i determinacji. Teraz wszystko się ułoży. Musi tylko patrzeć w przyszłość. Zmierzyć się z faktami – nie może się zamykać na własne wspomnienia, musi dokładnie opowiedzieć, co się wydarzyło, a najlepiej doprowadzić policję do sprawcy i jego domu. Wtedy faceta aresztują i nikt już nie będzie musiał się go obawiać. Amelie nie będzie dłużej siedzieć zamknięta

w swoim pokoju, pilnowana przez policję, lecz jak wszystkie dziewczęta w jej wieku uczęszczać normalnie do szkoły, spotykać się z przyjaciółmi, wychodzić w sobotnie wieczory na tańce. Dla Jacka było to całkiem jasne. Jego zdaniem Amelie sama siebie z tego życia wykluczała.

– Dokąd jedziemy? – zapytał, kiedy znów znaleźli się w samochodzie.

– Może na wrzosowiska? – zaproponowała Amelie.

Tak też zrobili. Dzień był szary i ponury, bez jednego choćby promienia słońca na nieboskłonie, okolica wyglądała na posępną, dziką i opustoszałą. Kitty zastanawiała się z niepokojem, czy powzięli właściwą decyzję, zważywszy na stan Amelie, tym bardziej że mogli znaleźć się w miejscu, w którym ją niegdyś przetrzymywano. Bądź co bądź to właśnie na wrzosowiskach znaleziono jej torebkę. Dziewczyna nie okazywała jednak zdenerwowania. Wciąż siedziała obok Kitty na tylnej kanapie, choć nie była skłonna do rozmowy. Miała w dłoni nowego smartfona, w uszach zaś słuchawki, patrzyła przez okno i słuchała muzyki.

W południe zatrzymali się przy dość podupadłym pubie pośród monotonnych dolin. Lokal był otwarty, nikt jednak nie spodziewał się gości w poniedziałkowe południe w środku listopada. Nie zostali radośnie powitani. Połowa dań z karty była niedostępna. W końcu zamówili pieczone ziemniaki z dziwnym w smaku sosem oraz mdłą sałatką. Jack był w coraz gorszym humorze. Amelie sprawiała wrażenie zupełnie nieobecnej. Nie odzywała się słowem, prawie nic nie zjadła. I choć gapiła się przez okno, zdawała się niczego nie dostrzegać.

Po okropnym posiłku przez jakiś czas krążyli bez celu po okolicy, aż w końcu Jack ruszył w drogę powrotną. Zaczynało zmierzchać.

– Co za potworna pora roku – mruknął.

– Mi się podoba – odezwała się Amelie. Po raz pierwszy od wielu godzin.

Jack spojrzał bacznie w lusterko wsteczne. Jej głos zabrzmiał nader smutno, niemal depresyjnie, również Kitty zwróciła na to uwagę. Postanowiła porozmawiać z Helen. Być może Amelie potrzebuje więcej profesjonalnej pomocy, niż jej obecnie zapewniano.

Dotarli do Scarborough, lecz Jack minął ulicę, w którą powinni skręcić, by trafić do domu Amelie.

– Muszę jeszcze zatankować – oznajmił. – Zgoda?

Kitty ocknęła się z drzemki.

– Jasne – odparła, ziewając.

Nieco dalej, po lewej stronie ulicy znajdowała się stacja benzynowa Gulf.

Dojechawszy, stwierdzili, że chyba mnóstwo ludzi przypomniało sobie o tankowaniu, gdyż na niewielkim placu roilo się od samochodów. Musieli ustawić się w kolejce i czekać, aż zwolni się któryś z dystrybutorów paliwa.

– A niech to! Co się tu dzieje? – warknął poirytowany Jack. – Mam was najpierw odwieźć do domu?

– Nie, żaden problem. To tylko parę minut – uznała Kitty. Rozbudzona, rozejrzała się uważnie. Zapadający mrok, uliczne latarnie, mnóstwo ludzi i samochodów, tłok... W takiej właśnie sytuacji należało wyteńczyć wszystkie zmysły. No dobrze, prawdopodobieństwo, że gdzieś tu czai się zagrażający Amelie człowiek, było pewnie bliskie zera. Musiałyby wiedzieć, że akurat tutaj będą tankować, o czym sam Jack zdecydował ledwie parę minut wcześniej. Albo musiałyby ich śledzić przez cały dzień, a to jeszcze mniej prawdopodobne, z pewnością od razu zwróciłyby ich uwagę na tych opustoszałych drogach. Jack ustawicznie zerkał we wsteczne lusterko.

A jednak. Kitty zachowywała czujność.

Amelie wyjęła z uszu słuchawki.

– Muszę do toalety.

– Zaraz będziemy u ciebie w domu – stwierdził Jack.

Amelie rozejrzała się dokoła.

– Minie wieczność, zanim przyjdzie nasza kolej. Naprawdę muszę.

– Wydaje mi się, że tu nie ma toalet – odparła Kitty.

Amelie zdecydowanym ruchem otworzyła drzwi samochodu.

– Sprawdzę.

Kitty natychmiast ruszyła za nią.

– Pójdę z tobą.

Jack zaklął.

– Do jasnej cholery, odwiozę was najpierw do domu...

Amelie już go jednak nie słuchała, ruszyła w kierunku niewielkiego sklepiku, w którym można było zapłacić za paliwo oraz kupić napoje, słodyczne i zafoliowane sandwicze. Kitty szła tuż za nią.

Okazało się, że istotnie nie było tam toalety dla klientów, lecz wyłącznie dla personelu. Kobieta za kasą wręczyła Amelie klucz i pozwoliła z niej skorzystać.

– Wyjątkowo. Tylko cicho. Bo wszyscy się rzucą.

Obok przestrzeni sklepowej znajdował się niewielki korytarz zastawiony paletami

z napojami i czerwonymi butlami z propanem. Amelie skierowała się ku drzwiom z napisem *Staff only* i zniknęła za nimi. Kitty oparła się o jedyny wolny fragment ściany i czekała. W odróżnieniu od Jacka rozumiała, dlaczego Amelie uparła się, by skorzystać z mało atrakcyjnej toalety, zamiast odczekać kilka minut, nim dotrą do domu. Miało to związek ze swobodą i ruchem, zbyt długo jej tego brakowało. A także z poczuciem normalności, powrotem do znajomego życia. Nie można jej było tego zabronić, wręcz przeciwnie, należało na to pozwolić. Nawet jeśli oznaczało to dodatkową dawkę stresu.

„Jack nie jest złym policjantem – pomyślała Kitty – ale wykazuje potwornie mało empatii”.

Czekała. W sąsiednim pomieszczeniu ludzie tłoczyli się przy kasie. Wewnątrz panował ziąb. Kitty ponownie rozmarzyła się o gorącej kąpieli. Zastanawiała się, co sobie przyrządzi na kolację. Jakiś obfity, kaloryczny posiłek. Zapiekanek z makaronem. I serem. Po takim dniu będzie w sam raz.

Wciąż czekała. Jack pewnie już stał przy dystrybutorze, lecz z tego miejsca nie mogła go dojrzeć.

Co Amelie tak długo tam robiła?

Kitty precyzyjnie przycisnęła się między składowanymi towarami i zapukała do drzwi.

– Amelie? Wszystko w porządku?

Nikt nie odpowiedział. Zapukała ponownie, tym razem mocniej.

– Amelie? Wszystko dobrze?

Cisza. Kitty szarpnęła za klamkę, daremnie.

– Amelie!

Nic.

Kitty pobiegła do kasy.

– Ma pani drugi klucz do toalety?! – zawołała.

Kasjerka odwróciła się do niej z ponurą miną.

– Nie. Prosiłam, żeby zachowywać się cicho.

Sklep był pełen ludzi. Wszyscy gapili się na Kitty.

– Cholera – mruknęła. Pobiegła z powrotem, ponownie szarpnęła za klamkę, i tym razem bez skutku. Wybiegła na zewnątrz, machnęła w stronę Jacka, który właśnie zakręcał korek wlewu paliwa. – Jack! Szybko!

Po chwili był przy niej.

– Jest w toalecie. Nie odpowiada. Nie otwiera.

Jack próbował szarpać za klamkę. Tymczasem wszyscy obecni zauważyli, że coś się stało, tłoczyli się w wąskim przejściu. Kasjerka energicznie przepychała się przez tłum.

– Co tu się dzieje? Co pan wyczynia z drzwiami? Niech pan posłucha, jeśli coś pan uszkodzi, to ja...

Jack machnął jej przed nosem legitymacją.

– Policja. Może pani otworzyć te drzwi?

– Nie. Już mówiłam pańskiej koleżance. Jest tylko jeden klucz i ma go ta dziewczyna. To była tylko dobra wola z mojej strony, żeby...

– Czy w toalecie jest okno? – przerwał jej.

– Tak, wychodzi na podwórko na tyłach. Ale czemu...?

Jack minął ją, wybiegł na zewnątrz. Kitty stanęła przy drzwiach.

– Na razie nikt nie opuszcza tego pomieszczenia!

Niektórzy zaczęli mruczeć. Po innych było widać, że wcale nie potrzebowali żadnego wezwania – i tak nie przepuściliby takiej przygody.

Jack wrócił, rozmawiał przez komórkę. Kitty dosłyszała, że wzywa posiłki.

– Okno otwarte na oścież, wewnątrz, o ile mogłem dojrzeć, jest puste – szepnął. – Z tyłu dziedziniec otoczony wysokim drewnianym parkanem. Do pokonania. Za nim przejście między domami do najbliższej uliczki.

– Czemu miałyby wyjść przez okno i uciec?

– Inna kwestia: czy ktoś mógł ją w ten sposób porwać? – Jack wyglądał na dezorientowanego i wstrząśniętego. Sytuacja wymykała się wszelkiej logice. Kto mógłby wiedzieć, że Amelie skorzysta z tej toalety? Kto zdołałby ją namówić do wdrapania się przez okno? Kto mógłby wejść przez okno do środka i zmusić ją do wyjścia na zewnątrz, nie alarmując przy tym Kitty, stojącej ledwie dwa metry za drzwiami? Nóż przyłożony do gardła? Amelie pewnie by się nie broniła, nie krzyczała.

Jak to się mogło stać? Jak to się mogło stać? Jak to się mogło stać?

Pytanie to kołatało się w głowie Kitty bez końca. Czy ktoś ich śledził? Widział Amelie idącą do toalety? Podszedł od zewnątrz do okna?

„Zbyt długo czekałam” – pomyślała. Rozmarzyła się o kąpieli w pianie, o kolacji. Za dużo czasu upłynęło, nim do niej dotarło, że Amelie zniknęła jej z oczu. W rozstrzygających chwilach oddawała się marzeniom.

Jack znów wyszedł na zewnątrz. Kitty zaczęła, aż przybyło dwóch umundurowanych policjantów. Jeden z nich zaczął spisywać personalia obecnych na

miejscu klientów, podczas gdy drugi przy wtórze gniewnego zrzęczenia kasjerki wyważył drzwi toalety. Niewielkie pomieszczenie, jak już wcześniej stwierdził Jack, było puste. Kitty błyskawicznie się rozejrzała, niczego jednak nie dotykając. Brakowało jakichkolwiek śladów walki. Niczego nie znalazła, ani torebki Amelie, ani jej telefonu czy słuchawek. Choć okno było niewielkie, dorosła osoba mogła się przez nie przecisnąć, a tym bardziej niska, drobna Amelie. Musiałaby stanąć na sedesie, żeby go dosięgnąć, a znalazłszy się na zewnątrz, zeskoczyć – lecz i to nie stanowiło żadnego problemu. Jako że Amelie nie mogła zwyczajnie rozpląnąć się w powietrzu, musiała wyjść przez to okno, z własnej woli albo pod przymusem, podczas gdy Kitty stała za drzwiami i roztrząsała w myślach przepis na zapiekankę z makaronem, brokułami i serem.

Jęknęła cicho. Komisarz Hale ją ukatrupi. Może wybić sobie z głowy jakąkolwiek perspektywę awansu. Nie wspominając o tym, że martwił ją los Amelie. Co jej się przytrafiło?

Obowiązki związane z zabezpieczeniem prawdopodobnego miejsca zbrodni przekazała swoim kolegom, po czym wyszła na zewnątrz. Skręciła za rogiem w Coldyhill Lane. Minęła herbaciarnię i dwa biura, nim dotarła do przejścia, gdzie zastała Jacka.

– Naprzeciwko mieści się supermarket Proudfoot – oznajmił. – A na parkingu aż się roi od samochodów. Jeśli ktoś ją porwał, mógł błyskawicznie rozpląnąć się w tłumie i dotrzeć do samochodu.

– Mężczyzna siłą prowadzący nastolatkę przez ulicę rzuca się przecież w oczy! – stwierdziła błagalnym tonem Kitty.

– Jeśli przystawi się komuś broń pod zebro, nikt tego nie zauważy. A to czyni nad wyraz uległym – odparł Jack. W poświęcie ulicznych latarni jego twarz wyglądała blado. Kitty wiedziała, że martwił się o Amelie. Lecz także o siebie. Nie wolno im było jechać na stację benzynową, a przynajmniej powinni byli zawrócić, widząc to nieprzebrane mrowie ludzi. Nie wolno im było pozwolić Amelie iść do toalety. Kitty powinna była *uprzednio* sprawdzić, czy jest tam okno. Powinna była jej zabronić zamykania drzwi na klucz. I znacznie wcześniej winna była zauważyć, że coś jest nie tak.

– Jeśli uciekła – odezwał się Jack – w takim razie... dlaczego? Czemu miałyby to robić?

– Musimy sprawdzić, czy nie ma jej w domu.

Oboje umilkli na chwilę. Oznaczało to ponowne poinformowanie rodziców Amelie, że ich córka zniknęła.

– Wystarczyło parę minut i byłaby z nami w domu – mruknął Jack.

To nie miało sensu.

A więc prawdopodobnie istniał porywacz. W jakikolwiek sposób udał mu się ten numer, Amelie wpadła w ręce człowieka, dla którego stanowiła śmiertelne zagrożenie.

2

Caleb Hale zastanawiał się, czy ta historia mogła potoczyć się jeszcze gorzej. Nie dość że on i jego ludzie od wielu miesięcy dreptali w miejscu, szukając osławionego *mordercy z wrzosowisk*, to jeszcze Amelie ponownie zaginęła, i to pod okiem wyznaczonych do jej ochrony funkcjonariuszy.

Miejsce zdarzenia, toaleta na stacji benzynowej, nie dostarczyło żadnych wskazówek na temat jego przebiegu. Czy Amelie z własnej woli wdrapała się przez okno? Czy może ktoś ją do tego przymusił? Ów *ktos* musiałby wiedzieć, że dziewczyna o tej właśnie porze znajdzie się w tym właśnie miejscu. Blady jak płótno posterunkowy O'Donnell zaklinał się, że nikt ich nie śledził. Podążali pustymi drogami przez wrzosowiska, nieustannie sprawdzając teren przed sobą i za plecami, na długich odcinkach nie wyminął ich żaden samochód, nie spotkali żywego ducha. Kitty Wentworth potwierdziła jego słowa.

– To niemożliwe – stwierdziła. – To po prostu niemożliwe.

Dowiedziawszy się o mrowiu ludzi na stacji benzynowej, Caleb wpadł w furję.

– Dlaczego poszliście tam z nią? – ryczał. – Czemu, do cholery, nie mogliście zaczekać z tankowaniem, nim odwieziecie ją do domu i zostanieie zwolnieni przez następną zmianę?

– Nie widzieliśmy żadnego ryzyka – broniła się Kitty, podczas gdy Jack O'Donnell zaciskał zęby. Widać było, że chciałby coś wykrzyknąć, nie zamierza jednak całkiem zniszczyć sobie kariery. – Ze stuprocentową pewnością nikt za nami nie jechał. A że sprawca przez przypadek przebywał na tej stacji... Nie można było tego przewidzieć. Ja...

– Ale właśnie takie sytuacje musicie przewidywać, do cholery! To problem, z którym zmagamy się od tygodni. Ten typ prawdopodobnie prowadzi całkiem zwyczajne życie w Scarborough i wszędzie może napotkać Amelie, w każdej chwili, na deptaku, w porcie, u dentysty albo na pieprzonej stacji benzynowej. Na tym właśnie polega cały koszmar – tak jego, jak i nasz. I oczywiście, że mógł się tam przypadkiem znaleźć! Życie składa się ze zwariowanych, potwornych, niewiarygodnych przypadków. Fakt, że

zastaliście tam tłum ludzi, mnóstwo samochodów, mało przejrzystą sytuację, powinien być was skłonić do tego, by w *żadnym razie nie pozwolić Amelie wysiąść z samochodu*.

– Musiała do toalety...

– Należało ją zawieźć do domu. To przecież tylko kilka przecznic dalej.

Nic więcej nie powiedzieli. Dla własnego dobra. Caleb był tak wściekły, że każde kolejne słowo doprowadziłoby do awantury.

Następnie sierżant Stewart udał się do rodziców Amelie, Caleb zaś z dwoma funkcjonariuszami pojechał do Alexa Barnes'a. Owszem, zdawał sobie sprawę, że wiele przemawiało przeciwko współsprawstwu Barnes'a, przede wszystkim fakt, że Amelie go nie zidentyfikowała. A jednak wciąż miał co do niego niedobre *przeczuć*.

Alex nie otworzył, gdy zadzwonili do drzwi, do środka wpuściła ich mieszkająca na tym samym piętrze sąsiadka.

– Nie ma go w domu – wyjaśniła. – Widziałam, jak kilka godzin temu wyjechał.

– Wyjechał? – zapytał Caleb. – Z tego, co wiem, pan Barnes nie ma samochodu.

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Ma, od zeszłego piątku. Parkuje zaraz naprzeciwko, przy Nicholas Cliff, tuż pod moim nosem, by tak powiedzieć. Wciąż go tam widuję przy samochodzie.

– Może pożyczony?

– Nie mam pojęcia. Jakiś rozklekotany maluch, wydaje mi się, że renault. Jeśli go kupił, to na pewno używany. I to bardzo. Mimo wszystko zadziwiające, skąd nagle wziął na to pieniądze.

Caleb myślał podobnie. Po głowie chodziło mu jeszcze jedno: skoro Alex Barnes, nieważne skąd, ma własny samochód, w takim razie mógł się znaleźć na stacji benzynowej. To oczywiście niewiarygodny przypadek. W życiu widział już jednak rzeczy najdziwniejsze, nie mógł tego wykluczyć. Po prostu nie można było tego wykluczyć.

– Był dziś sam, kiedy go pani widziała? – upewnił się.

– Tak. Właściwie to zawsze jest sam. Od kiedy tu mieszka. Co nie trwa jednak długo.

Pożegnali się. Wyglądało na to, że Barnes rzeczywiście przebywa poza domem, co mogło oznaczać wszystko – albo nic. Caleb polecił obu policjantom, by sprawdzili, czy Barnes w bliższej bądź dalszej okolicy wynajął samochód, a do tego ustalili, czy został ostatnio wpisany do rejestru właścicieli pojazdów. W obu przypadkach należało określić rodzaj samochodu oraz jego numery.

Następnie udał się do Deborah i Jasona Goldsbych.

Jeśli z początku istniała mglista nadzieja, że Amelie wdrapała się przez okno i wróciła do rodziców, wkrótce okazała się ona płonna. Dziewczyna nie pojawiła się w domu. Funkcjonariusze sprawdzili wszystkie ewentualne drogi powrotu, nigdzie jednak nie znaleźli żadnych śladów. Deborah i Jason siedzieli jak zakłęci w pokoju dziennym i nie potrafili uwierzyć, że spotkało ich to po raz drugi: ich córka zaginęła. Koszmar się urzeczywistnił. Policja nie zdołała jej uchronić. Zniknęła bez śladu.

– Dorwał ją, prawda? – Pytanie Jasona, zadane na widok wchodzącego Caleba Hale’a, przypominało w tonie raczej stwierdzenie. – Porwał ją facet, który już raz ją uprowadził. Chce ją unieszkodliwić jako świadka.

Caleb Hale uniósł ramiona w uspokajającym geście.

– Tego nie wiemy. Wiele temu przeczy. Moi ludzie zapewniają, że nikt ich przez cały dzień nie śledził. Sprawca *nie mógł* wiedzieć, że Amelie znajdzie się w tamtej chwili na stacji benzynowej. Posterunkowy O’Donell spontanicznie postanowił tam pojechać. *Nikt* o tym nie wiedział.

Jason przetarł twarz dłonią. Naraz znacznie się postarzał.

– Mógł się tam pojawić przypadkiem.

– Uważam, że nie powinniśmy nadużywać pojęcia przypadku – oznajmił Caleb, choć od wielu godzin myślał podobnie. Że to niepojęty przypadek, dokładnie taki, jakiego się obawiali, myśląc o przyszłości Amelie, gdy będzie musiała powrócić do normalnego życia. Że *on*, człowiek, który ją ogłuszył, porwał i przetrzymywał w zamknięciu, którego twarzy pewnie do końca życia nie zapomni, niespodziewanie ją odnalazł. Gdzieś, w jakiejś sytuacji, w jakimś miejscu, w którymś momencie. I że zdecydował postawić wszystko na jedną kartę. Raz na zawsze zniweczyć to ogromne niebezpieczeństwo, jakie stanowiła dlań dziewczyna. A to oznaczało: pozbyć się Amelie.

– Ale to możliwe – upierał się Jason.

Caleb ponownie uniknął odpowiedzi.

– Możliwe i realne. Raz jeszcze rozmawiałem z sierżant Helen Bennett. Przez ostatnie tygodnie bardzo się zbliżyła do Amelie, jak nikt inny. Jej zdaniem stan psychiczny państwa córki był naprawdę kiepski. Roztrzęsiona, zamknięta w sobie, zajęta tym wszystkim, co kotłowało się w jej wnętrzu, o czym nie chciała rozmawiać. Posterunkowa Wentworth, która podczas dzisiejszej wycieczki przez cały czas siedziała obok niej, mówi nawet o depresji. Możliwe zatem, że Amelie wyszła przez okno i po prostu uciekła.

Po raz pierwszy odezwała się Deborah.

– Ale dokąd? – Jej głos zabrzmiał szorstko.

– Tego nie wiem. Chciała jednak wyrwać się z tej sytuacji. Od wielu tygodni nie prowadzi normalnego życia i zadreżcza się minionymi wydarzeniami. Zarazem czuje, że my wszyscy nerwowo wyczekujemy chwili, aż sobie przypomni i nam o wszystkim opowie. Pewnie także presja z naszej strony stała się dla niej nie do zniesienia.

– Nie miała dokąd pójść – odezwał się Jason. – Nie ma takiego miejsca... żadnego miejsca...

– Mamy listę nazwisk i adresów wszystkich jej przyjaciół i znajomych, zestawioną po jej pierwszym zaginięciu. Zaczęliśmy się z nimi ponownie kontaktować. Może państwu przyjdzie coś jeszcze do głowy. Jakaś osoba? Jakieś miejsce?

Jason desperacko potrząsnął głową.

– Wszystko wtedy powiedzieliśmy. Podaliśmy każde nazwisko.

– Mimo to może komuś coś się jeszcze przypomni.

Zapadła cisza. Deborah ukryła twarz w dłoniach.

– Drugi raz tego nie zniosę – szepnęła. – Drugi raz tego nie zniosę. Drugi raz tego nie zniosę. – Kiwała się w przód i w tył. – Drugi raz tego nie zniosę.

Jason położył jej dłoń na ramieniu. Zaczęła gorzko szlochać.

Caleb przygryzł wargi. Znow był świadkiem rozpaczki tych ludzi...

Mimo to musiał działać. Zadawać pytania. Od zniknięcia Amelie upłynęły dwie i pół godziny. Czas umykał.

– Byliśmy u Alexa Barnesy – oznajmił. – Nie zastaliśmy go w domu.

Jason spojrzał na niego zaskoczony.

– Nadal uznaje pan Barnesę za podejrzanego?

– Uważam go za człowieka uwikłanego w tę historię – odparł Caleb. – Porozmawiamy również z panem Chaplandem. Nie możemy pominąć nikogo, kto w jakikolwiek sposób brał w tym udział.

– Rozumiem – przyznał Jason. – Wie pan, że czuję głęboką antypatię do Alexa Barnesy, a jednak... czy jest porywaczem...?

– W takich ocenach można się grubo pomylić – przyznał Caleb, myśląc o tym, ile to już razy sam się pomylił w *takich ocenach*. – Jak już wspomniałem – kontynuował – nie zastaliśmy Alexa Barnesy w domu. Jego sąsiadka natomiast powiedziała nam, że od kilku dni jeździ własnym samochodem. Właśnie sprawdzamy, czy jest jego właścicielem, czy może go tylko wypożyczył. W obu przypadkach to bardzo dziwne,

skąd nagle wziął na to pieniądze.

Jason zawahał się na ułamek sekundy, uznał jednak, że nie pora na zabawy w chowanego.

– W zeszłym tygodniu dostał od nas trzydzieści tysięcy funtów. Zamierzał niezwłocznie kupić sobie używany samochód.

– *Trzydzieści tysięcy funtów?* – Caleb aż oniemiał ze zdziwienia. – Toż to mnóstwo pieniędzy.

– Wiem – przyznał Jason – to prawda.

– Dlaczego dali mu państwo taką sumę?

Deborah odsłoniła twarz. Miała ogromne, wybałuszone oczy.

– Taką podał cenę.

– Jaką cenę? Za co?

Jason zaczerpnął tchu, po czym opowiedział o wydarzeniach tamtego wieczoru, kiedy wyłączono prąd.

Caleb musiał nad sobą zapanować. Wiedział, że tamtego wieczoru Alex Barnes był u Goldsbych, lecz o jego bezczelnych żądaniach Jason i Deborah nie wspomnieli słowem. To dlatego Caleb wyszedł z założenia, że Barnes wciąż pojawiał się w domu Amelie w charakterze typowego naciągacza.

– To było coś w rodzaju... ostatecznej transakcji – wyjaśnił Jason. – Obiecał nam, że nigdy więcej się u nas nie pojawi, że wreszcie zejdzie nam z oczu... Mieliśmy wtedy nieprzespaną noc, komisarzu, może nam pan wierzyć. Nasza sytuacja finansowa nie jest bynajmniej różowa. Ale wtedy...

– Chcieliśmy się go ostatecznie pozbyć – wtrąciła Deborah. – Ten człowiek bądź co bądź uratował naszą córkę. Czuliśmy, że powinniśmy mu coś dać, by nie wyjść na skąpców i niewdzięczników.

– Tak dłużej być nie mogło – odezwał się Jason. – Wciąż do nas zachodził, wciąż czegoś chciał... to uregulowania czynszu za mieszkanie, to podwózki samochodem... Deborah kupiła mu nawet nowe ubranie... Tego typu sprawom nie było końca. Pomyśleliśmy, że jeśli damy mu tak dużą sumę, okażemy mu wdzięczność, choć życia Amelie nie sposób oczywiście przeliczyć na pieniądze... Wie pan, co mam na myśli. Żywiliśmy nadzieję, że potem ten człowiek odejdzie w przeszłość. Że wszystko odejdzie w przeszłość.

– Rozumiem – zapewnił Caleb. – Ale powinienem był o tym wiedzieć. Powinni byli państwo mnie o tym poinformować.

– Nie chcieliśmy ryzykować, że spróbuje nam pan to wyperswadować – wyjaśnił Jason. – Uznaliśmy, że to dobre rozwiązanie.

– Rozumiem – powtórzył Caleb. Zaczął gorączkowo rozmyślać. Oto niecały tydzień wcześniej Alex składa Goldsbym propozycję, by podarowali mu sumę trzydziestu tysięcy funtów, która tym samym zakończy ich znajomość. Państwo Goldsby przystają na to, wręczają mu pieniądze. Barnes, zgodnie z zapowiedzią, od razu kupuje sobie samochód. Niedługo potem na stacji benzynowej w pobliżu rodzinnego domu znika Amelie. – To wszystko ma ze sobą związek – mruknął – wszystko się zgadza.

Nienaturalnie wybałuszone oczy Deborah rozszerzyły się jeszcze bardziej.

– Czy to by coś zmieniło? Gdybyśmy mu nie dali tych pieniędzy?

Jason przeanalizował tok myślowy Caleba.

– Amelie porwano na stacji benzynowej. Barnes kupił ostatnio samochód. Oto związek, jaki pan dostrzega.

– O Boże – szepnęła Deborah.

Caleb uniósł dłonie w uspokajającym geście. Był wściekły, że państwo Goldsby działali bez jego wiedzy, a jednak atakowanie tych zrozpaczonych ludzi nie miało większego sensu.

– Nie wiemy, czy w ogóle została porwana. I czy Barnes maczał w tym palce. Może gdzieś wyjechał i w ogóle nie ma z tym nic wspólnego.

– Pan jednak uważa, że *ma* z tym coś wspólnego – odparł Jason.

– Nie mogę tego wykluczyć – przyznał Caleb. To prawda. Prócz faktu, że nie mógł tego wykluczyć, nie miał jednak zbyt wiele do zaoferowania, choć usilnie poszukiwał rozstrzygającego dowodu na to, że Alex Barnes tkwi w tym po uszy i z całą pewnością trafi za to za kratki.

Miał samochód. We właściwym momencie znalazł się we właściwym miejscu. Mógł obserwować dom Goldsbych. Mógł zauważyć, że dwoje policjantów odjeżdża stamtąd razem z Amelie.

Czy mógł podążać za nimi przez cały dzień, a kuty na cztery nogi Jack O'Donell oraz nad wyraz bystra i zdolna Kitty Wentworth niczego nie zauważyli?

Trudno było to sobie wyobrazić, choć oczywiście nie sposób tego wykluczyć.

– I co teraz będzie? – zapytała Deborah.

– Sprawdzimy okolicę. Proszę pozostać w domu, na wypadek gdyby Amelie wróciła. Ustalimy dane samochodu Alexa Barnes, rozpoczniemy poszukiwania. Mamy wszystkie osoby, które w tym czasie przebywały na stacji benzynowej, sprawdzamy je. –

„W ramach obowiązującego prawa”, dodał w myślach. Miał niewielką swobodę działania, lecz nie chciał teraz dyskutować na ten temat z rodzicami Amelie.

– Złożę też wizytę Davidowi Chaplandowi – oznajmił.

– Czemu akurat jemu? – zapytał Jason.

– On także był tamtego wieczoru w zatoce – odparł Caleb. I znów dodał w myślach: „A jego wyjaśnienia nadal mnie nie przekonują”.

Także i to nie było jednak przeznaczone dla obcych uszu.

3

David Chapland był akurat zajęty gotowaniem, gdy Caleb Hale zadzwonił do drzwi domu przy Sea Cliff Road, niedaleko od swego własnego mieszkania. Caleb objechał najpierw całą ulicę, aż do parkingu nad morzem. Oczywiście Chapland mógł tamtego wieczoru wracać z portu drogą biegnącą wzdłuż morskiego brzegu, a potem wspiąć się stromą, wysypaną żwirem ścieżką, przez co siłą rzeczy minąłby miejsce, w którym Barnes usiłował wyciągnąć Amelie z wody. Mimo to powrót dobrze oświetloną ulicą okazałby się znacznie szybszy.

– Lubi morze i dlatego nocami wędruje tamtędy w deszcz i niepogodę – mruknął Caleb. To było możliwe, gdyż praktycznie nie ma takiego wariactwa, na które człowiek by nie wpadł. A jednak to bardzo... nietypowe.

Chapland miał na sobie dżinsy i T-shirt, paradował boso. Z mieszkania dochodził zapach smakowitych potraw. Caleb zjadł jedynie śniadanie. Był potwornie głodny, lecz nie pora o tym myśleć. Zaginęła dziewczyna.

Podsunał Chaplandowi pod nos legitymację.

– Nadkomisarz Caleb Hale. Już się spotkaliśmy.

Chapland skinął głową.

– Tak. Pamiętam. Z powodu tej dziewczyny, którą pomogłem wyciągnąć z wody.

– Czy mógłbym wejść na chwilę? – zapytał Caleb.

– Proszę! – Chapland cofnął się o krok. – Czy ma pan coś przeciwko, byśmy usiedli w kuchni? Przygotowuję akurat kilka rzeczy i...

– Naturalnie, żaden problem. – Caleb ruszył za Chaplandem po schodach, wszedł do jasno rozświetlonej, ciepłej kuchni. Na dużym stole pośrodku paliły się świece, wosk kapał na drewniany blat, obok stały półmisek z mandarynkami, kilka kubków po kawie

oraz napoczęte ciasto. Na kuchence gotowały się pysznie pachnące potrawy. W oknie wisiała gwiazda świetlna. Widać było, że życie Davida Chaplanda toczy się głównie w tym pomieszczeniu. Tu siedział i czytał gazety, na małym telewizorze ustawionym na kredensie oglądał mecze futbolu, gotował i przyjmował gości. Sama kuchnia współtworzyła jego sympatyczny wizerunek. Mimo wszystko Calebowi to nie zaimponowało. Poznał zbyt wielu ludzi całkiem odmiennych od uroczego wizerunku, jaki pokazywali światu.

Obok kuchenki na kredensie stała odkorkowana butelka białego wina. Jego woń Caleb poczuł już w progu mieszkania, teraz zlokalizował jej źródło. Natychmiast się usztywnił.

Nie myśl o tym. Skup się na czymś innym!

Nie tak brzmiała rada jego terapeuty z kliniki odwykowej. Wręcz przeciwnie.

– Zasada jest niestety, że najsilniej myślimy o rzeczach, o których usilnie staramy się nie myśleć – wyjaśnił. – Skupiamy się na nich właśnie dlatego, że próbujemy ich uniknąć. Jeśli odczuwa pan reakcję na alkohol, proszę ją do siebie dopuścić. Proszę ją zwyczajnie przyjąć. Demon straci swoją siłę, jeśli nie napotka oporu. Pozbawi go pan, by tak rzec, całej frajdy.

Caleb zaakceptował to wyjaśnienie, nie potrafił jednak przekuć go w czyn. Terapeuta miał ogromną wiedzę o ludziach uzależnionych, lecz sam nigdy do ich grona nie należał. Jedynie z teorii wiedział, jak wygląda reakcja na woń alkoholu, Caleb zaś miał praktyczne doświadczenie w tej materii. Dziwnym trafem jego nogi stawały się najpierw gorące, skóra zaczynała swędzieć. Jednocześnie jego głowę napełniało lekkie uczucie przypominające zawroty, z tym że świat nie zaczynał wirować mu przed oczami. Jakby głowa stawała się nieważka, a wszelkie obrazy i dźwięki krążyły wokół jego ciała. Dłonie zaczynały mu lekko drżeć. A potem fala potu zalewała całą twarz. To Calebowi najbardziej dokuczało. Wszystkie pozostałe niedogodności dotyczyły wyłącznie jego, nikt inny ich nie zauważał. Nawet dłonie zawsze mógł gdzieś schować. Kropli potu natomiast nie sposób było ukryć przed ludźmi. Ci zaś z jego otoczenia, którzy o tym wiedzieli, prawdopodobnie dopowiadali sobie resztę.

Nie potrafił tego zaakceptować, pewnie nigdy nie zdoła. Odruchowo się przed tym bronił. Nie miał pojęcia, jak mógłby tego uniknąć.

Chapland wyjął z szafki kieliszek i sięgnął po butelkę.

– Może wina?

Caleb wykonał ruch obronny, jego zdaniem zbyt nerwowy i gwałtowny.

– Nie, dziękuję. Jestem w pracy.

– Szkoda. Wspaniałe wino. Z południa Francji.

– A jednak nie. – Pot natychmiast zalał mu twarz, gorący i wilgotny. Jednocześnie w mgnieniu oka zaschło mu w gardle, stało się ono szorstką jamą wypełnioną drętwym językiem. Caleb usiłował przełknąć ślinę i zarazem walczył z przemożną pokusą przetarcia twarzy chusteczką. Obawiał się jednak, że tylko zwróci tym uwagę na swój stan. Dałoby się wówczas zauważyć, że mocno drżą mu także dłonie. Koniec końców jego rozmówca domyśliłby się wszystkiego.

Chapland nalał sobie kieliszek i stanął przy kuchence, zamieszał sos pomidorowy.

– Proszę usiąść, komisarzu. O co chodzi?

Caleb nie ruszył się z miejsca. Gdyby usiadł, znalazłby się bliżej otwartej butelki, a to spotęgowałoby tylko wszelkie symptomy.

– Chodzi o Amelie Goldsby – oznajmił. – Zniknęła.

Bacznie obserwował twarz Chaplanda. Dostrzegł na niej zdumienie. Mężczyzna sprawiał wrażenie oszołomionego tą wiadomością, lecz nie jak ktoś, kogo przyłapano na gorącym uczynku.

– Zniknęła? Ponownie?

– Przypuszczamy, że znów została porwana. Przez sprawcę, dla którego stanowiła ogromne zagrożenie. Jest bowiem osobą, która mogła go rozpoznać, a tym samym zidentyfikować.

– Rozumiem – odparł Chapland. Pociągnął spory łyk wina. – To straszne. Kiedy to się stało? Nie przydzielono jej ochrony?

– Owszem. Mimo to splot nieszczęśliwych okoliczności doprowadził w publicznym i zatłoczonym miejscu do chwili nieuwagi. Niejasna pozostaje kwestia, jakim sposobem ktoś mógł się dowiedzieć, że akurat tam będzie przebywać. Musimy jednak założyć, że ktoś o tym wiedział.

– Dobry Boże – westchnął Chapland. Przeczesał dłonią włosy. – Biedna dziewczyna. Biedni ci rodzice!

– Panie Chapland, muszę pana zapytać: gdzie przebywał pan dzisiaj późnym popołudniem między pół do piątej a pół do szóstej?

Na twarzy Chaplanda odmalowało się zdumienie, które chwilę potem ustąpiło miejsca świadomości, że nadal zalicza się do grona podejrzanych, choć do tej pory nie znalazł się w centrum uwagi.

– Byłem tutaj – odparł. – W mieszkaniu.

– Już o pół do piątej? Ma pan biuro w porcie. Kiedy pan z niego wyszedł?

– O pół do czwartej. To dość wcześnie, wiem, lecz zimą niewielki u mnie ruch. Poza tym często pracuję też w domu, większość spraw i tak załatwiam przez internet.

– Pojechał pan prosto do domu?

– Zrobiłem jeszcze zakupy. Na kolację. – Wskazał ręką na kuchenkę. – A potem prosto do domu.

– Czy ktoś to może potwierdzić?

Chapland zawahał się przez moment.

– Na zakupach byłem sam. I sam wróciłem do domu.

– A potem? Czy ktoś może potwierdzić, że od pół do piątej był pan w mieszkaniu?

– Tak – rozległ się jakiś głos za plecami Caleba. – Ja mogę to potwierdzić, bo także tu byłam.

Caleb się odwrócił. Zaczął łapać powietrze.

Przed nim stała Kate Linville.

Caleb był zaskoczony nie tylko jej widokiem, lecz także *strojem*. Kate miała mokre włosy, gołe nogi i bose stopy, za całe odzienie służył jej granatowy szlafrok, o wiele za duży, przypuszczalnie należący do Davida Chaplanda. Wydawało się, że właśnie wyszła spod prysznicza.

„Czemu, do diabła, bierze prysznic w mieszkaniu Chaplanda? – zastanawiał się mozolnie Caleb. – A do tego jeszcze nosi jego szlafrok?”

– Kate? – zapytał, jakby zaraz miało się okazać, że to jednak nie ona, a jedynie osoba niewiarygodnie podobna do znanej mu Kate Linville.

– Tak – odparła.

Caleb spoglądał to na nią, to na Chaplanda.

– Co pani tu porabia?

– Ach, to wy się znacie? – zapytał zdumiony Chapland.

– Nadkomisarz Hale prowadził dochodzenie w sprawie śmierci mojego ojca – wyjaśniła Kate. – Stąd mieliśmy już ze sobą do czynienia.

– Ach tak. – Chapland zdawał się nie dostrzegać napięcia, jakie nagle między nimi zapanowało. – Kate, wyobraź sobie, ta dziewczyna znowu zaginęła. Amelie Goldsby.

– Co takiego? – Kate obrzuciła Caleba przerażonym spojrzeniem. – Miała przecież osobistą ochronę!

– Nie mamy stuprocentowej pewności, czy została porwana – wyjaśnił Caleb. – Tak czy inaczej... zaginęła. Na stacji benzynowej, gdzie skorzystała z toalety. Pod koniec wycieczki w towarzystwie swoich ochroniarzy.

– To niepojęte! – powiedziała Kate.

– Tak – przyznał Caleb. Jego umysł działał na tyle przytomnie, by przytoczyć w skrócie wszystkie fakty, a jednak wciąż nie potrafił pojąć zastanej sytuacji. Powoli zaczynał rozumieć. Kate – *Kate?* – widocznie miała romans z Davidem Chaplandem. Kate i mężczyzna – samo w sobie było to zupełnie absurdalne stwierdzenie. Kate nie miała żadnych romansów. Żadnych miłostek. Żadnych związków. Tak po prostu. Była to dla niej prawdziwa tragedia. Nigdy, przenigdy by nie uwierzył, że to się może zmienić.

Jeszcze bardziej zaskakujące było to, że – nie sposób inaczej tego wyrazić – najwyraźniej poszła do łóżka z mężczyzną należącym do grona podejrzanych w sprawie porwania i być może także morderstwa, którą on, Caleb, prowadził.

To absolutnie... zdumiewające.

Podobnie odbierał obecną sytuację w kuchni. Zupełnie zadziwiające.

– Uważa pan, że ktoś zaatakował Amelie w toalecie i jakimś sposobem zdołał ją uprowadzić? – zapytała Kate.

Jasne, przecież jest śledczą. Od razu wypytuje o wszelkie fakty.

– To nie była publiczna toaleta – wyjaśnił Caleb – lecz wyłącznie dla personelu stacji. Amelie poprosiła o klucz, wyjątkowo pozwolono jej skorzystać. Posterunkowa Wentworth czekała przed drzwiami. Było tam jednak okno. Umieszczone niezbyt wysoko i dość duże, by człowiek mógł się przez nie przecisnąć. Było otwarte.

– Posterunkowa Wentworth uprzednio tego nie sprawdziła?

– Nie.

– Gdzie wychodzi to okno?

– Na podwórko z kilkoma wymagającymi naprawy samochodami. W tym czasie nie przebywały tam żadne osoby. Plac otoczony jest jednak przez sąsiednie domy. Moi ludzie przepytują mieszkańców, ale jak dotąd nie znalazł się nikt, kto by cokolwiek zauważył. Było już zresztą dość ciemno.

– Ale plac z pewnością był oświetlony – odparła Kate – a broniąca się dziewczyna, którą ktoś usiłuje przemocą uprowadzić, rzuca się przecież w oczy.

– Jeśli rzeczywiście się broniła. Jeżeli sprawca groził jej bronią, poszła z nim posłuszna jak owieczka – stwierdził Caleb.

– Jak można się wydostać z tego podwórka? – zapytała Kate.

David zerknął na nią z uśmiechem, po czym rzekł do Caleba:

– Dziennikarka specjalizująca się w sprawach kryminalnych, od razu można poznać, prawda?

Caleb spojrział zaskoczony na Kate, jej twarz całkiem znieruchomiała. Nic nie powiedział, lecz naraz domyślił się wszystkiego: oto, skąd wzięła się ta jej znajomość z Chaplandem. Kate znów węszyła w nie swojej sprawie. Przynajmniej na tyle ostrożnie, by nie wyjawic, że jest policjantką. Potrzebne informacje starała się zdobyć pod pozorem pracy dziennikarskiej. Wdała się w romans z jednym ze świadków, a teraz nie potrafiła się wyplątać z kłamstwa na temat swojej tożsamości.

„Brawo, Kate – pomyślał Caleb. – Chapland się ucieszy, kiedy odkryje prawdę”.

Z drugiej strony jej życie prywatne nie powinno go w ogóle obchodzić. Obchodził go jednak fakt, że mieszała się w sprawy pozostające wyłącznie w jego gestii. Nie była to jednak pora na taką rozmowę. Przyjdzie jeszcze czas.

Zauważył, że wciąż nie odpowiedział na jej pytanie.

– Podwórce jest otoczone drewnianym parkanem. Nie tak łatwo go pokonać, choć nie jest to niewykonalne. Ucieczka od strony stacji benzynowej była praktycznie niemożliwa, gdyż stał tam posterunkowy O'Donell i tankował samochód. Oczywiście by to zauważył.

To prawda. Choć Caleb w napadzie furii oskarżył swoich podwładnych o zupełny brak kompetencji, doskonale wiedział, że oboje byli dobrze wyszkoleni i niegłupi.

– Jest tam przejście w boczną uliczkę – kontynuował. – To tam mógł zaparkować. Albo na parkingu przed dużym supermarketem naprzeciwko. O tej porze panował tam okropny rozgardiasz. Obawiam się, że nikt niczego by nie zauważył.

– Rozumiem – odparła Kate. Caleb dostrzegł, że w jej głowie aż kotłuje się od myśli.

– Mam nadzieję, że szybko odnajdzie pan dziewczynę – odezwał się Chapland. – Aż trudno sobie wyobrazić, co właśnie przeżywa. Żałuję, ale nie potrafię panu pomóc. Byłem tu razem z Kate.

– To prawda – przyznała Kate. Woda kapiała z jej mokrych włosów i wsiąkała w materiał szlafroka.

„Wygląda nieco inaczej – uznał Caleb. – Jest bardziej... łagodna. Odprężona”.

W jednej kwestii miał pewność: sierżant Kate Linville nie kłamałaby w obronie tego mężczyzny, nawet gdyby była w nim zakochana po uszy. Nie w takiej sprawie jak ta. Skoro twierdzi, że z nim była, z pewnością to prawda. Lepszego alibi niż słowo

funkcjonariuszki Scotland Yardu David Chapland nie mógłby sobie wymarzyć.

Rozległ się dźwięk komórki Caleba. Na wyświetlaczu ukazało się nazwisko sierżanta Stewarta.

Był zdenerwowany.

– Sir, wiemy, że Alex Barnes kupił sobie samochód. W ubiegły piątek zgłosił to w wydziale komunikacji. Mamy numery i markę. To renault. On sam nadal nie pojawił się w swoim mieszkaniu.

– Rozpocząć pościg – polecił Caleb.

Kate obrzuciła go krótkim spojrzeniem, odpowiedział jej wzrokiem, bez słowa. Wiedział, że domyśliła się, o kogo chodzi. I dostrzegł, że ma wątpliwości.

Nieważne. To jego dochodzenie. On jest odpowiedzialny. I on dorwie Barnesesa.

Musi go jeszcze tylko znaleźć.

Wtorek, czternasty listopada

Marzła. Okropnie marzła. I była potwornie głodna.

Mandy próbowała mocniej naciągnąć koc, owinęła się nim niby larwa w kokonie. Nie mogła poruszyć prawym ramieniem, gdyż było przytwierdzone łańcuchem do ściany. To dlatego nie zdołała podciągnąć koca do samej szyi. Wciąż wystawała spod niego ręka, a przez szparę wnikał chłód i przeszywał jej ciało. Poza tym ramię zdrętwiało, odpłynęła z niego krew, straciła czucie w palcach. Drugie ramię, to z oparzeniem, sprawiało ból, rozogniona rana piekła. Jedynie ta część jej ciała nie marzła, nie było to jednak przyjemne. Pulsowanie pod skórą świadczyło o tym, że pojawił się stan zapalny. Nie miała już materiałów opatrunkowych, w tubce z żelem chłodzącym zostały ledwie resztki. Powinna niezwłocznie posmarować nim ranę i owinąć ramię choćby użytym opatrunkiem. Jeszcze brakowało, by doszło do zakażenia krwi.

Pląkała przez cały dzień i całą noc, aż zabrakło jej łez. I sił. Nie miała już nawet ochoty się wyprostować, odsunąć nieco koc i zająć się oparzeniem.

„Musisz to zrobić – podszeptował jej wewnętrzny głos – musisz!”

Jęcząc, przysunęła się do ściany. W oknie naprzeciwko nie było okiennic, mogła więc dostrzec fragment nieba i stąd wiedziała, kiedy nastaje dzień, a kiedy zapada noc. Właśnie teraz poranny mrok ustępował bladej poświacie pochmurnego dnia. Mandy obserwowała, jak kontury przedmiotów w pomieszczeniu coraz wyraźniej wyłaniają się ze spowijającej je dotąd ciemności. Nie dostrzegła jednak niczego nowego, znała to wnętrze na pamięć. Kamienna, wyłożona płytkami posadzka. Kilka starych dywanów. Zakratowane okno, z którego luszczyla się biała farba. Za załomem zaczynał się korytarz, na końcu którego znajdowały się drzwi. Druga część korytarza prowadziła w przeciwnym kierunku. Pod oknem ustawiono naprzeciw siebie dwa krzesła, przy ścianie zaś niewysoki regał z kilkoma dość podniszczonymi książkami. Mandy nie mogła dosięgnąć regału, wątpiła jednak, by miała ochotę poczytać. Były tam głównie romanse, i tak ich nie lubiła. Te wszystkie brednie o pięknych niewiastach i bohaterских mężczyznach. Jakże oderwane od rzeczywistości – nie tylko od tej obecnej. Wcale jej to nie pociągało. W książkach, choć i tak niewiele czytała, zawsze próbowała odnaleźć jakiegokolwiek odniesienia do własnego życia.

Nic więcej. Tylko kilka niezbędnych rzeczy tuż przed nią: wiadro z wodą do mycia,

które stało teraz puste, bo wodę wypięła. Drugie wiadro. Plastikowa butelka, uprzednio pełna wody, teraz także pusta. Puste opakowanie po sandwiczu. Tubka z żelem.

To wszystko. Nic więcej. Poza śmiesznym grzejnikiem w kącie, który już parę dni temu zakończył pracę. Pewnie zbiornik propanu był pusty. Mandy nieco się uspokoiła, przynajmniej nie dojdzie do wybuchu, po którym wszystko wokół stanie w płomieniach. Gdyby miała wybierać, wolałaby zamarznąć na śmierć albo umrzeć wskutek zakażenia krwi niż spłonąć żywcem. Tego bała się najbardziej.

Nie chciała oczywiście umierać. A już na pewno nie powolną śmiercią w męczarniach.

Koc zsunął jej się z ramion. Mandy zamarła na chwilę, usiłowała przywyknąć do większego chłodu. Nie miało to jednak większego znaczenia. Była przemarznięta do szpiku kości. Ten cholerny wełniany koc i tak nie na wiele się zdał.

Odsunęła się nieco od ściany, na ile pozwalał łańcuch, i sięgnęła po tubkę z żelem. Powoli, mozolnie odwinęła sklejony opatrunek na zranionym ramieniu. Poczowała ból, poza tym nie było to wcale łatwe z powodu unieruchomionej ręki. Dlaczego nie pozwolono jej poruszać się swobodnie po całym domu? Zakratowane okno, zamknięte drzwi – i tak nie zdołałaby uciec. A zwrócenie krzykiem uwagi kogokolwiek pozostawało mrzonką. Mimo nocnych ciemności panujących tamtego późnego wieczoru zaraz po przyjeździe przekonała się, że ten dom stoi samotnie gdzieś pośrodku pustkowia. Wokół rozciągał się opustoszały płaskowyż, a po wschodniej stronie morze, którego brzeg przypuszczalnie tworzyły stromo opadające klify. Być może wije się tu gdzieś ścieżka – praktycznie całe angielskie wybrzeże jest nimi usiane. Mało jednak prawdopodobne, by ktoś tędy przechodził o tej porze roku. Dziwne, że w ogóle wzniesiono w tym miejscu dom. Może było to niegdyś schronisko dla wędrowców, gdzie mogli odpocząć oraz kupić coś do jedzenia i picia. Porzucono je z powodu nierentowności. Co znów świadczyło o liczbie błądzących po okolicy ludzi. Bliskiej zeru.

Ramię kiepsko wyglądało. Mandy zrozumiała, dlaczego zdjęcie opatrunku powodowało tak potworny ból. Rana ropiała, a ropa zeschła się z materiałem opatrunkowym. Wokół miejsca oparzenia, które wyglądało teraz jak rana po ukąszeniu, skóra była zaczerwieniona, błyszcząca i opuchnięta.

– To się dobrze nie skończy – mruknęła Mandy.

Posmarowała ranę żelem, choć właściwie powinna zastosować maść antybiotykową, a nie jedynie żel chłodzący. Kiedy straciła kontrolę nad tym zranieniem? Miała poważne oparzenie, lecz sprawa nie wyglądałaby tak kiepsko, gdyby choć *raz* poszła do

lekarza i została porządnie opatrzona, zamiast całymi tygodniami włóczyć się po ulicach i sypiać w obskurnych miejscach, jedynie sporadycznie zajmując się własnym ramieniem. Najlepszy okazał się pobyt u tego cholernego Saundersa. Facet okropnie działał jej na nerwy, lecz zatrzymała się w prawdziwym mieszkaniu, gdzie mogła się umyć, on zaś kilka razy dziennie zmieniał jej opatrunek i smarował ranę kojącymi maściami. Gdyby tylko nie zadzwonił na policję... Nieważne, co by się potem stało, czy siedziałaby teraz w domu, w poprawczaku czy u rodziny zastępczej, wszędzie, wszędzie byłoby lepiej niż tu, gdzie się znalazła.

– Mamusiu – szepnęła. – Mamusiu, chcę do ciebie.

Nigdy jeszcze nie przyszła jej do głowy podobna myśl, nigdy jej nie poczuła, a już na pewno jej nie wymówiła. Patsy Allard tak rzadko była *mamusią*, że Mandy nie potrafiła sobie przypomnieć sytuacji, w której zatęskniłaby za jej opieką i wsparciem. Patsy nie lubiła go okazywać, nie miało więc sensu tego od niej wymagać. Teraz jednak, w tak poważnej sytuacji... Patsy z pewnością by jej pomogła. Oczywiście. Nieważne, kim była i jaka bywała, żadnej ze swych córek nie pozostawiłaby własnemu losowi.

Mandy na powrót owinęła ramię opatrunkiem, z trudem radząc sobie jedną ręką, na domiar złego przykutą łańcuchem do ściany. Straciła przy tym mnóstwo sił, po każdej nieudanej próbie musiała zaczynać od początku. Opatrunek był już brudny, a do tego oklejony włóknami wełnianego koca. Mandy miała nadzieję, że nie przyniesie więcej szkody niż pożytku.

W końcu jako tako go przytwierdziła i osunęła się wyczerpana. Z każdym dniem, z każdą godziną coraz bardziej opadała z sił. Nic nie jadła ani nie piła od ponad trzydziestu sześciu godzin, ostatni posiłek składał się z papkowatego sandwicza. Pragnienie znacznie bardziej dawało się we znaki. By je ugasić, wypiłaby deszczówkę z każdej kałuży. Jak długo człowiek może przeżyć bez wody? Mandy dokładnie tego nie wiedziała, lecz obawiała się, że niezbyt długo. Pożywienie stanowiło mniejszy problem, choć czuła potworny głód. Nie budził w niej jednak aż tak strasznej paniki jak dokuczliwe pragnienie.

Sięgnęła po pustą plastikową butelkę, przystawiła do spękanych, wyschniętych ust, usiłowała ją dosłownie wyjąć, a jednak nie popłynęła z niej ani kropla. Sfrustrowana chciała nią cisnąć wściekle w kąt, lecz w ostatniej chwili się powstrzymała i dokładnie przyjrzała butelce.

Powróciła myślą do poprzedniego pytania: dlaczego została przykuta do ściany? Skoro i tak nie zdołałaby uciec z tego więzienia?

Może ta myśl była z gruntu fałszywa. Bo odpowiedź brzmiała po prostu tak: została

przykuta, *ponieważ* w przeciwnym razie być może zdołałaby uciec. Dom wbrew pozorom nie był aż tak bezpieczną kryjówką.

A to oznaczało jedno: musi uwolnić rękę, a następnie znaleźć sposób ucieczki.

Przed laty czytała książkę Stephena Kinga. Pewna kobieta znalazła się w zasadzie w podobnej sytuacji. W domu na odludziu przykuto ją kajdankami, co prawda nie do ściany, lecz do łóżka. Nie została porwana, we własnym wakacyjnym domu spędzała z mężem namiętny weekend. Między innymi uprawiali seks w kajdankach – Mandy uznała to za perwersję – kobieta niechętnie się na to zgodziła. W trakcie stosunku mąż dostał zawału i opadł martwy na łóżko, ona zaś znalazła się w beznadziejnym położeniu. A do tego jeszcze półnaga.

Rzeczywiście, pomyślała Mandy, istnieją gorsze scenariusze niż historia, którą sama właśnie przeżywała.

W każdym razie kobieta zdołała sięgnąć do szklanki z wodą i ją rozbić, a następnie kawałkiem szkła dosłownie *oskórowała* sobie nadgarstki i dzięki zwilżeniu ich krwią uwolniła przynajmniej jedną dłoń z kajdanek. Mandy nie znała zakończenia, niemniej kobieta w ten właśnie sposób zdołała się po części oswobodzić. W jej przypadku w zupełności by to wystarczyło: musiała uwolnić tylko jedną rękę.

W zasięgu wzroku nie było żadnego szklanego przedmiotu, miała jednak plastikową butelkę, a z plastiku można uzyskać dość ostre kawałki. Niełatwy to sposób, wręcz przeciwnie: niezwykle bolesny, potworny, a przy tym musiała uważać, by przypadkiem nie przeciąć sobie tętnicy. Trzeba też będzie szybko opuścić dom, by się nie wykrwawić, a drzwi są przecież zamknięte. Nie miała jednak nic do stracenia. Wewnętrzny głos podszeptował jej, że i tak w najbliższym czasie nikt się tu nie zjawi, nie przyniesie jej nic do jedzenia ani do picia. Umrze przywiązana do tej przeklętej ściany – albo jakimś sposobem się uwolni. Trzeciej możliwości nie było.

Obejrzała kajdanki. Miała wąskie nadgarstki i dłonie, a jednak mimo licznych prób nie zdołała jak dotąd zdjąć metalowej obręczy. Choć niewiele zabrakło, może tylko milimetr. Z wykorzystaniem krwi, mogło jej się udać.

Zaczęła szarpać zębami plastikową butelkę.

„No dalej – powtarzała sobie – póki masz jeszcze siłę!”

Środa, piętnasty listopada

I

Kate stała w kuchni Davida otulona w jego ciepły wełniany sweter, który włożyła, by nie zmarznąć podczas parzenia kawy. Był wczesny poranek, za oknem wciąż panował mrok. Kuchnia wychodziła na ogród oraz sąsiednie domy stojące przy biegnącej powyżej ulicy. W dwóch czy trzech oknach Kate zauważyła światło. Poza tym wszyscy jeszcze spali.

Do kuchni weszła Messy, otarła się o bosc nogi Kate, cicho miauknęła. Kate zabierała ją z sobą, kiedy odwiedzała Davida, a ponieważ spędzała u niego praktycznie każdy wieczór i każdą noc, nie chciała zostawiać kotki samej. Nasypała jej do miski nieco karmy i przyglądała się, jak zabiera się do jedzenia.

„Co za wspaniałe uczucie – pomyślała, niemal oszołomiona, gdyż słowo *niesamowite* zamiast *wspaniałe* lepiej by tu pasowało. – Jeszcze niedawno byłam zupełnie sama. A teraz w moim życiu pojawił się mężczyzna – i kot”.

Uniosła ramiona, zanurzyła nos w miękkiej wełnie swetra. Pachniał Davidem. Jego żelem pod prysznic, dezodorantem, wodą po goleniu. I jego skórą. Pomyślała, że najchętniej w ogóle nie zdejmowałaby tego swetra.

I że to prawdziwy cud.

Stała oto w jego mieszkaniu i zamierzała właśnie zaparzyć kawę, którą wypije w łóżku razem z ukochanym mężczyzną. Z którym spędziła całą noc. A także poprzednie.

To jej się właśnie przydarzyło. Jej, Kate Linville, która jeszcze nigdy nie zdołała zdobyć serca żadnego mężczyzny czy choćby tylko go oczarować. Teraz stała boso w kuchni, a jej życie wyglądało zupełnie inaczej niż jeszcze przed tygodniem. Ona sama była kimś innym. Świat za oknem toczył się swoim zwyczajnym trybem, lecz jej własny świat zupełnie stanął na głowie.

Messy miauknęła. Kate dosypała jeszcze trochę karmy. Była taka szczęśliwa, że chciała uszczęśliwić każdego. Nawet małego kota, który chętnie zjadłby nieco obfitsze śniadanie.

„Miałaś rację, tatku – pomyślała. – Kiedyś to nadchodzi. Któregoś dnia spotyka nas cud. W zupełnie nieoczekiwanej chwili. Kiedy się tego ani trochę nie spodziewamy. Gdy tak naprawdę daliśmy już za wygraną”.

Oczywiście, że przejmował ją także lęk. Niekiedy to wszystko wydawało jej się po prostu zbyt doskonałe. Jak dobrze się rozumieli. W jak podobny sposób odczuwali i myśleli. Jak w pełni do siebie przylgnęli. Jak nieskomplikowana była ich historia.

Oddała mu się bez reszty. Ciałem i duszą. Ze szczerością osoby, która zawsze postępowała ostrożnie, nieufnie, jakby wydrażona głodem życia. W mrocznych chwilach zwątpienia dostrzegała przepaść, nad którą zawisły jej uczucia, i dostawała zawrotów głowy.

Ciążyła jej tylko jedna myśl: David wciąż nie znał jej prawdziwej tożsamości.

Z jakiegoś powodu z trudem przychodziło jej wyznać mu szczerą prawdę, choć wielokrotnie nadarzała się po temu sposobność.

A przy okazji: już dawno chciałam ci wyznać, że nie jestem żadną dziennikarką. Jestem sierżantem Metropolitan Police. Zamierzałam działać incognito w sprawie zaginionych dziewcząt, a ty należałeś do grona tych, którym chciałam się bliżej przyjrzeć...

Ze sto razy dziennie powtarzała sobie, że to nic złego. Mogła mu wyjaśnić, że nie wolno jej było wystąpić w charakterze policjantki, gdyż to dochodzenie nie wchodziło w zakres jej kompetencji, a kompetencje ze zrozumiałych względów stanowiły drażliwy temat. Oczywiście mógłby zapytać, dlaczego uznała go za podejrzanego, na co mogłaby odpowiedzieć, że *podejrzany* nie jest tu odpowiednim słowem. Był po prostu częścią tej historii. A policjant sprawdza każdy jej fragment. Bez żadnych uprzedzeń.

Dlaczego więc mu tego nie powiedziała? Zdawała sobie sprawę, że z każdym mijającym dniem będzie to coraz trudniejsze. Aż kiedyś on nie bez racji uniesie się gniewem, że tak długo ukrywała przed nim prawdę, uzna, że wodziła go za nos, będzie się zastanawiał, jakim rodzajem zaufania go obdarzyła... Choć doskonale o tym wiedziała, za każdym razem wycofywała się – i dobrze rozumiała, dlaczego: to był lęk. To przeszywający ją potworny lęk przed tym, że coś może się między nimi zmienić. Że może się pojawić błysk gniewu, cień niezrozumienia... Wiedziała, że mikroskopijne rysy z czasem mogą się powiększać. Nazbyt często okazywały się początkiem końca.

Oblała się zimnym potem, gdy dwa dni wcześniej w mieszkaniu pojawił się Caleb. Wystarczyło, żeby zamiast *Kate* zwrócił się do niej per *pani sierżant*, jak to zazwyczaj robił w obecności osób trzecich, i już znalazłaby się w tarapatkach. Wszystko tylko by się skomplikowało, gdyby David na domiar złego dowiedział się od kogoś obcego, że kobieta, z którą wdał się w romans, nie była kimś, za kogo się podawała.

Zresztą w każdej chwili mógł się posłużyć wyszukiwarką. Kate wstrzymywała oddech na samą myśl, że zacznie szperać w internecie. W sieci krążyło przecież dość relacji na temat morderstwa jej ojca, niemal w każdej z nich podkreślano rolę jego córki, *sierżant Kate Linville ze Scotland Yardu*.

Nawet gdyby zdołała tego uniknąć, gdyby David nie był z rodzaju tych, którzy nazwisko każdej poznanej osoby od razu wstukują w wyszukiwarkę – jak miałyby to dłużej trwać? Pod koniec tygodnia musi przecież wracać do Londynu, rzecz właściwie nie do pomyślenia, gdyż już dzisiaj nie potrafiła wyobrazić sobie życia bez Davida. Propozycja Caleba, by przeniósł się do wydziału śledczego w Scarborough, zyskała w obliczu zmian, jakie zaszły w jej życiu osobistym, całkiem nowe znaczenie. Kate potraktowała ją poważnie, lecz jak dotąd nie mogła porozmawiać na ten temat z Davidem, człowiekiem, którego kwestia ta przede wszystkim dotyczyła, ponieważ nie znał jej prawdziwej profesji.

„Muszę mu powiedzieć – przemknęło jej przez myśl – i to jak najprędzej. Miałam więcej szczęścia niż rozumu, że sam tego nie odkrył, lecz z każdym dniem ryzyko jest coraz większe...”

– Gdzie ty się podziewasz? – zapytał David. Kate aż drgnęła, odwróciła się. David stał w progu w bokserkach i T-shircie, ze zmierzwionymi włosami, mrużąc oczy od kuchennego światła. Uśmiechał się. – Czy nie wspomniałaś o kawie, kiedy wieki temu wstawiałaś z naszego ciepłego łóżka?

– Zamyśliłam się – odpowiedziała mu z uśmiechem.

Bacznie zmierzył ją wzrokiem.

– Wyglądasz na... przygnębioną. Co z tobą?

Kate zaczerpnęła głęboko tchu. Znowu pojawiła się szansa. Nie wypuści jej z rąk, nie tym razem. Nie minęło jeszcze zbyt wiele czasu. Wciąż mogła mieć nadzieję, że ją zrozumie.

– David, muszę ci o czymś powiedzieć – zaczęła, lecz w tej samej chwili zabręczała jej komórka, którą poprzedniego wieczoru zostawiła na kuchennym stole.

– O czym? – zapytał David.

Telefon dzwonił bezlitośnie. Kate myślała, że oszaleje. Nagle rozwiała się gdzieś jej odwaga, która na kilka sekund, przynajmniej do pewnego stopnia, ją napęłniła.

– Ach, nic ważnego – powiedziała spieszenie, po czym sięgnęła po telefon i odebrała. Dzwonił Colin. Głęboko urażony, bo nie odpisała na kilka jego wiadomości na WhatsAppie.

– Co się dzieje? – zapytał szorstko, wcale nie przepraszając, że dzwoni o tak wczesnej porze. – Nie dostajesz moich wiadomości? Zrobiłem coś złego?

Po raz drugi w ciągu ostatniej minuty Kate zaczerpnęła tchu. To nieprawda, że wdała się w romans z Colinem, niemniej natrafili na siebie za pośrednictwem portalu randkowego i wypadało go poinformować, że jej profil osobisty uległ zmianie. Najwyraźniej był nią zainteresowany, byłoby nie na miejscu trzymać go dłużej w niepewności.

– Colin, posłuchaj, muszę ci coś powiedzieć – zaczęła.

Po raz drugi w ciągu ostatniej minuty.

„Co za zwariowany poranek – pomyślała. – Co za zwariowane życie”.

2

Podniszczone domy wzdłuż Queen's Parade przy Zatoce Północnej, których mieszkańcy w zamian za spektakularny bez wątpienia widok na morze musieli znosić nieustanną wilgoć przenikającą mury ich mieszkań, w ten szary, pochmurny dzień wyglądały jeszcze bardziej ponuro niż tamtego wieczoru, kiedy Kate przybyła tu po raz pierwszy. Minął właśnie tydzień, lecz miała wrażenie, jakby upłynął co najmniej rok. Zbyt wiele się w jej życiu zmieniło.

Powolne, postępujące zaniedbanie rzucało się w oczy dopiero w świetle dnia. Liczne pustostany bez zasłon w oknach i bez mebli we wnętrzu. Łuszczący się tynk na fasadach. Niewielkie ogródki pomiędzy ulicą a wejściem do domu, pozbawione roślin, drzew i krzewów, pewnie dlatego, że nikt ich nie pielęgnował. Jedynie przed domem zamieszkanym przez Ryana widniało kilka bezlistnych roślin, które być może wiosną i latem pokryją się bujnym listowiem. Kate miała nadzieję, że może w kwietniu wystrzeli z ziemi parę narcyzów. Tych kilka roślin nie zatrze jednak wrażenia wszechobecnego upadku.

Kiedy wypili w łóżku kawę, a Kate opowiedziała o Colinie, David poszedł do biura. Chciał oczywiście wiedzieć, kto dzwonił o tak wczesnej porze, choć gdy wdała się w rozmowę z nieznanym mu człowiekiem, taktownie wyszedł z kuchni. Kate opisała swoją znajomość z Colinem, choć przemilczała fakt, że poznali się za pośrednictwem uk.parship.com. Przyznała niejasno, że spotkała go w trakcie jakiegoś dochodzenia. David nie musiał wiedzieć, jak rozpaczliwie poszukiwała mężczyzny, zanim go poznała.

Jednocześnie słyszała kołatający się w głowie szept: „Znowu kłamiesz! Niedobrze. Za dużo oszukujesz”.

David z pewnością nigdy nie spotka Colina – który notabene w trakcie rozmowy rozłączył się urażony. Przynajmniej z tej strony nie groziło jej żadne niebezpieczeństwo.

Słuchając opowieści, David widocznie zapomniał o tym, że kiedy zadzwonił telefon, zamierzała wyznać mu coś bardzo ważnego. Tym samym Kate znów uniknęła bolesnego tematu. Co w niczym nie zmieniało faktu, że problem nie zniknął.

W południe pójdzie do biura Davida, zamierzali zjeść razem niewielki posiłek w okolicach portu. Na kolację zaprosił ją do Giannis, najlepszej włoskiej restauracji w mieście.

„Wtedy mu powiem – postanowiła Kate. – Przy lampce czerwonego wina i blasku świec. Na pewno!”

Do tego czasu zamierzała ustalić pewne fakty. Bezczynność jej nie służyła. Poza tym była przekonana, że Caleb Hale popełnia błąd, nie uwzględniając w swoim dochodzeniu sprawy Hannah Caswell. Kate przeczuwała, że tam właśnie kryje się początek tej zagmatwanej historii. Przyszła jej do głowy pewna myśl i dlatego zamierzała raz jeszcze pomówić z Ryanem Caswellem.

Dolne drzwi wejściowe były otwarte, Kate bez trudu weszła po schodach i stanęła przed drzwiami jego mieszkania. Łuszczący się lakier, a do tego wszechobecny zapach wilgoci i pleśni. Z zewnątrz docierał wrzask mew.

Ryan Caswell otworzył po drugim dzwonku. Spojrzał na Kate zaskoczony, lecz po chwili chyba ją rozpoznał.

– Pani jest tą dziennikarką?

– Kate Linville, zgadza się. Miałby pan dla mnie chwilkę?

Ryan uśmiechnął się smutno. Może sprawiał wrażenie szorstkiego i zgorzkniałego, lecz czasem widać po nim było przede wszystkim przepełniający go ból, kryjący się za jego odstręczającym sposobem bycia. Ryana Caswella trawiła potworna samotność.

– Czasu mam pod dostatkiem. Ale nie zawsze mam ochotę na rozmowę.

Mimo to wpuścił ją do niewielkiego pokoju dziennego. Za oknem rozciągał się widok na morze. Równie szare tego dnia jak niebo.

– W czym mogę pani pomóc?

– Pracuje pan nadal w swoim dawnym zawodzie? – zapytała Kate, nie ze względu na dochodzenie, raczej z czystej ciekawości.

Nie był już młodzieniaszkiem, lecz wydawał jej się zbyt młody na emeryta.

Potrząsnął głową.

– Wcześniej byłem dozorcą w różnych miejscach... Potem przez prawie piętnaście lat pracowałem w firmie sprzątającej. Ale odkąd dopadła mnie artroza... Mam trudności z poruszaniem się. Jestem na wcześniejszej emeryturze, mam też nieco pieniędzy ze sprzedaży domu w Staintondale. Dobrze ulokowanych. Niewiele posiadam, ale jakoś daję sobie radę.

„I w ten sposób kompletnie pogrążasz się w samotności” – dodała w myślach Kate. Nie powiedziała tego jednak na głos. W końcu ta sprawa nie powinna jej obchodzić.

Tym razem nie zaproponował, by usiadła – być może chcąc zasygnalizować, że nie ma ochoty na dłuższą rozmowę. Stali więc naprzeciw siebie przed oknem, przez które hulał wiatr.

– Mam jeszcze jedno pytanie – odezwała się Kate – dotyczące tamtego wieczoru i dnia, kiedy zaginęła Hannah.

Jego wargi lekko drgnęły.

– Tak?

– Była u swojej babci w Kingston-upon-Hull. Czy to pańska matka, czy pańskiej żony?

– To moja matka.

– Nadal żyje?

– Tak.

– Czy wówczas ją także przesłuchano? Mam na myśli policję.

– Tak. Nie zeznała jednak nic ważnego. Potwierdziła, że Hannah wyszła z jej mieszkania około piątej, by zdążyć na pociąg do Scarborough.

– I potem już jej nie widziała?

– Nie – odparł Ryan. Zawahał się przez chwilę, po czym dodał: – Tamtego wieczoru podejrzewałem najpierw moją matkę, że zatrzymała Hannah u siebie. Tak się jednak nie stało.

– Dlaczego pan tak pomyślał?

– Hannah tygodniami błagała, bym pozwolił jej spędzić u babci cały weekend. Najchętniej od piątkowego popołudnia do niedzielного wieczoru. Co oczywiście nie wchodziło w rachubę.

– A to dlaczego? – wyrwało się Kate. Szybko jednak dodała: – Przepraszam, jeśli to

pytanie...

– Owszem – wszedł jej w słowo Ryan – to pytanie jest nie na miejscu.

– Proszę wybaczyć. Ja tylko... Nieważne. A zatem podejrzewał pan własną matkę o to, że zatrzymała Hannah u siebie na weekend?

– Tak mogło być. Nie znaczy to, że zrobiła wcześniej coś podobnego... Ale mieszka sama i wizyta wnuczki ją ucieszyła. Dla mnie byłoby to najlepsze rozwiązanie. Lepsze niż... zniknięcie Hannah, rozumie pani? Przez pewien czas uchwyciłem się nadziei, że została w Hull, bo wszystkie inne scenariusze... były znacznie gorsze.

– Potem jednak dowiedział się pan, że wróciła do Scarborough z Kevinem Bentem.

Wargi Ryana przybrały kształt twardej, wąskiej kreski.

– Tak. I wtedy wszystko stało się jasne.

Na ten temat z pewnością próżno by z nim dyskutować. Dla niego Kevin Bent był bez wątpienia mordercą.

– Sądzi pan, że mogłabym pomówić z pańską matką? – zapytała Kate.

Sprawił wrażenie zaskoczonego.

– Niby po co?

– Ot, dla uzupełnienia obrazu. Dnia, w którym zniknęła pańska córka.

– Może pani spróbować. Matka przebywa obecnie w zakładzie opiekuńczym w Hull. Zazwyczaj wszystko jej się płacze, ale miewa przebłyski. Jeśli się pani poszczęści...

– Mogłabym spróbować. Podałby mi pan adres placówki?

Podszedł do szafki, wyjął z przegródki kartkę i wręczył ją Kate.

– Proszę. Tu jest wszystko.

Trescott Hall, dom opieki dla seniorów, Kingston-upon-Hull, przeczytała Kate. A dalej dokładny adres, numer telefonu, adres e-mail oraz strony internetowej.

– Dziękuję, panie Caswell – powiedziała, chowając kartkę w torebce. – Mam nadzieję, że już nie będę pana niepokoić.

– W porządku – mruknął. Mimo swojej samotności wcale nie pragnął kontaktu z ludźmi. Odprowadził Kate do drzwi, po czym zamknął je bez słowa pożegnania. Kate znalazła się na klatce schodowej.

„Trudny, mało sympatyczny człowiek – pomyślała. – Może nie jest zły, ale roztacza wokół siebie taką aurę, że aż chce się uciekać”.

Kevin zeznał, że ojciec traktował Hannah władczo, wręcz zaborczo. Kate doskonale mogła to sobie wyobrazić. Znów przemknęło jej przez myśl, że dziewczyna skorzystała

z okazji i po prostu uciekła. To jednak nie było w jej stylu. Była dziecinna i nieśmiała. Poza tym stwierdzono próby nawiązania połączenia zarówno na komórkę, jak i telefon stacjonarny w domu w Staintondale. Tamtego wieczoru wielokrotnie usiłowała skontaktować się z ojcem. Czy tak postępuje dziewczyna zdecydowana od niego uciec?

Kate przypomniała sobie, że Hannah cieszyła się ze spotkania z Kevinem tak bardzo, że niezwłocznie zadzwoniła do przyjaciółki, by jej o tym opowiedzieć. Kevin nie do końca poważnie traktował własną propozycję, że zabierze ją na otwarcie pubu, a jednak Hannah bez wątpienia zareagowała euforycznie. Czy ktoś ucieka z domu, będąc w tak radosnym nastroju?

„Z tą przyjaciółką także powinnam porozmawiać” – pomyślała Kate.

Przemogła się i ponownie zadzwoniła do drzwi Ryana Caswella. Człapiące kroki, wreszcie jej otworzono.

– Czy nie mówiła pani, że nie będzie mnie już więcej nachodzić? – zapytał szorstko.

Uśmiechnęła się, on jednak nie zmienił wyrazu twarzy.

– Byłby pan tak miły i podał mi jeszcze adres najlepszej przyjaciółki Hannah? Dziewczyny, której tamtego wieczoru opowiedziała o swoim spotkaniu z Kevinem Bentem?

– Nazywa się Sheila Lewis. Resztę proszę sobie sprawdzić w książce telefonicznej – oznajmił, po czym zamknął drzwi.

3

Wczesnym wieczorem sierżant Robert Stewart otrzymał wiadomość, że patrol policji z Manchesteru zauważył poszukiwany samochód i ruszył w ślad za nim. Według relacji funkcjonariuszy pojazd wraz z pasażerami zatrzymał się w bocznej uliczce Ringway Road w pobliżu lotniska.

– Pasażerowie? – zapytał Stewart. – Ilu?

– Mężczyzna i kobieta – doprecyzował kolega z Manchesteru.

– Kobieta? Czy może bardzo młoda dziewczyna?

– Tego nie mogliśmy ustalić z tak dużej odległości.

Przy tejże ulicy, dość blisko Car Rental Village, na terenie której liczne firmy zajmujące się wynajmem samochodów i świadczące usługi dla podróżnych miały swoje biura oraz tabor, mieścił się przydrożny motel. To tutaj zatrzymał się kierowca

poszukiwanego pojazdu, przypuszczalnie Alex Barnes, oraz towarzysząca mu kobieta.

– Są teraz razem w pokoju? – upewniał się Stewart.

– Tak. Stoimy po drugiej stronie ulicy. Samochód zaparkowano na podjeździe.

– Okay. Czekać na dalsze instrukcje. I nie spuszczać pojazdu z oka.

Stewart niezwłocznie porozumiał się z Calebem, który nawiązał kontakt z kolegami z GMP, Greater Manchester Police.

– Mężczyzna jest niebezpieczny – oznajmił. – Możliwe, że jest z nim czternastoletnia dziewczyna. Porwał ją i może bezwzględnie wykorzystać jako tarczę. – Mówiąc to, Caleb zastanawiał się, dlaczego Alex Barnes razem z Amelie Goldsby jeździ po okolicy samochodem, wiedząc, że szuka go policja. Absurdalnie duże ryzyko.

– Czy jest uzbrojony? – zapytał komisarz z Manchesteru.

– Nie wiemy. Lecz nie można tego wykluczyć.

Kolega westchnął.

– Znam to miejsce. Akcja jest ryzykowna. Małe pokoiki, dość zawiły labirynt pomieszczeń, dalej kuchnia i oczywiście łazienka, przez zasłonięte okna trudno ustalić, gdzie wewnątrz przebywają osoby. Jeśli siłą przetrzymuje czternastolatkę, a do tego jest uzbrojony... – Nie dokończył. Było wyraźnie widać, że rozgrywające się na podległym mu terenie zdarzenia traktuje równie entuzjastycznie jak ból zęba.

Caleb rozważał wszelkie możliwości. Przy założeniu, że to rzeczywiście Amelie, co z nią robił w pokoju? Mogła się znaleźć w sytuacji, w której niezwłocznie i szybko należało ją uwolnić. Mogło jednak dojść do wymiany ognia, co tylko naraziłoby ją na jeszcze większe niebezpieczeństwo. Lepiej poczekać, aż oboje wyjdą na zewnątrz, co może nastąpić dopiero nazajutrz o poranku. A wtedy policja przeprowadzi błyskawiczną akcję na ulicy.

A jeśli do tego czasu ją zamorduje? Teraz trochę się jeszcze z nią zabawi, a potem porzuci jej zwłoki w łóżku i ucieknie?

Tymczasem policja będzie czekać w gotowości po drugiej stronie ulicy. Na myśl o tym Caleb oblał się potem.

Jak niebezpieczny był Barnes? Czy to on skazał Saskię Morris na śmierć głodową? Caleb pamiętał, co sobie wówczas uświadomił: brutalny, lecz nadzwyczaj pasywny sposób uśmiercania. Przeczył wyobrażeniu zabójcy, który mógłby udusić, zakłuć albo zastrzelić Amelie w łóżku.

Z drugiej strony Barnes może poczuć się zapędzony w kozi róg. Musi pozbyć się Amelie, w ten czy inny sposób.

Dlaczego w ogóle ją przetrzymuje?

– Ciężka sprawa – przerwał milczenie kolega z Manchesteru. Nie ułatwiał Calebowi podjęcia decyzji.

– Może pan posłać do środka uzbrojony oddział? – zapytał Caleb.

Policja z Manchesteru miała na swoim koncie sporo sukcesów dzięki nowo utworzonej jednostce Specialist Operation Team.

– Mogę. Ale...

Caleb zyskał nagle pewność.

– Wchodźcie. Dziewczyna jest w niebezpieczeństwie. Musimy wkroczyć. Teraz.

– Okay – odparł kolega. I choć nie powiedział tego na głos, Caleb jeszcze nigdy nie słyszał donośniejszego *Na pańską odpowiedzialność*.

Sierżant Stewart, stojący przez cały czas przy biurku, skinął głową.

– Wkraczamy? – zapytał.

Caleb najchętniej zapytałby go, czy uważa tę decyzję za słuszną, lecz się powstrzymał. Działał w przypiływie instynktownej pewności, a jednak chwilę później uczucie to znów się rozwiało. To właśnie wciąż utrudniało mu życie. Utrata niezachwianej, niezłomnej pewności, co powinien robić, a czego mu robić nie wolno.

Miał nadzieję, że nie popełnia właśnie poważnego błędu. Za który zapłaci życiem czternastoletnia dziewczyna.

– Natychmiast ruszamy do Manchesteru – oznajmił. – Chcę być na miejscu.

– Jasne – odparł Stewart. – Wezmę tylko płaszcz.

Wyszedł z biura. Caleb się ucieszył.

W szufladzie wciąż trzymał butelkę.

Potrzebował teraz sporego łyku.

4

Kate ledwie raz czy dwa w życiu była w Giannis. Bardzo się ucieszyła, gdyż nikt jej tam nie znał i nie musiała się obawiać niemiłych niespodzianek. Nikt nie zagadnie Davida, kim naprawdę jest towarzysząca mu osoba. Tego wieczoru sama mu to powie.

Później. Miała nadzieję, że nie będzie za późno.

Kamienny budynek przy Victoria Road zdobiły łańcuchy światełek. Wewnątrz

płonęły świece. Kate i David usiedli na piętrze, każde z kieliszkiem prosecco. Wokół unosił się zapach pysznego makaronu. Przy sąsiednim stoliku zebrała się wesółą grupą kobiet, które wymieniały się upominkami. David zerknął w ich stronę, po czym zwrócił się do Kate.

– Co właściwie porabiasz w święta? Wiem, że jeszcze sporo czasu, ale...

Przełknęła.

– A co ty porabiasz w Boże Narodzenie? – odpowiedziała pytaniem.

Roześmiał się.

– Byłem pierwszy.

– Boże Narodzenie zawsze spędzałam z ojcem – wyznała Kate. – Od jego śmierci... sama.

– Ja także jestem zazwyczaj sam w święta. Wyjątkiem był okres, kiedy pozostawałem w stałym związku.

– Czy jest ci ciężko? Spędzać Boże Narodzenie w samotności?

Wzruszył ramionami.

– Zwykle pracuję. Coś sobie gotuję. Idę na spacer nad morze. Jest okay.

– W Londynie nie mogę niestety spacerować nad morzem – odparła Kate.

Bawił się swoim kieliszkiem.

– A gdybyś przyjechała tu na święta?

Nie chciała wyjść na natręta.

– No cóż, prawdopodobnie do tego czasu nie uda mi się sprzedać domu, więc mogłabym tam...

– Nie do twojego pustego domu. Do mnie!

I tak przez większość dni mieszkała u niego, mimo to święta wydały jej się nagle sprawą problematyczną. Ten czas przepełniony nadmiarem uczuć i oczekiwań...

– Tak. Możemy to rozważyć.

Upił łyk, uśmiechnął się. Lubiała ciepło jego uśmiechu. *Lubiła?* Uwielbiała. Kochała tego mężczyznę. Za to, co zrobił z jej życiem. Z nią. I co obiecywał na przyszłość.

„Uważaj – ostrzegł ją wewnętrzny głos. – Zachowaj ostrożność!”

– David, ja... – zaczęła, gotowa mu powiedzieć, kim naprawdę jest i dlaczego tak długo ukrywała przed nim prawdę.

W tej samej chwili odezwał się David.

– Odniosłem wczoraj wrażenie, że dobrze znasz tego komisarza. Jesteście przyjaciółmi?

– To za dużo powiedziane. Ale znamy się całkiem dobrze. Śledztwo w sprawie śmierci mojego ojca było... no cóż, dla mnie to było bardzo emocjonalne przeżycie, a on... dobrze się zachował. Dlatego go lubię.

– Musi być doskonałym źródłem informacji do twojego artykułu. Najwięcej wie o tej sprawie. O aktualnej sytuacji.

Kate się roześmiała.

– Ale nie o wszystkim mi mówi. Tego mu... nie wolno.

Niezupełnie tak było. Mówił jej całkiem sporo. Ponieważ była jego koleżanką, a nie żadną dziennikarką. Kate nagle straciła rozeznanie, jak miałyby z tego wybrnąć.

– Ale z pewnością próbowałaś wyciągnąć od niego informacje, prawda? Czy ten Alex Barnes nadal jest głównym podejrzanym?

– Tego dokładnie nie wiem.

– Zdziwiło mnie, że niedawno do mnie przyszedł. Poczułem się... jak podejrzany.

– To było zwyczajne przesłuchanie wszystkich, którzy odegrali w tej historii jakąś rolę. Tak się robi w trakcie dochodzenia. Wciąż wszystkich przesłuchują, w nadziei, że pojawi się jakaś wskazówka pozwalająca ruszyć sprawę do przodu.

– Świetnie się orientujesz w pracy policyjnej. Widać, że już długo...

„Teraz – pomyślała Kate – teraz albo nigdy”.

– David, ja...

– Ale wiesz co – przerwał jej. – Cieszę się, że o sprawach kryminalnych jedynie piszesz. Że nie pracujesz w policji.

Kate aż zmroziło.

– Ale... dlaczego? To znaczy... – Usiłowała zachować swobodę, lecz podejrzewała, że ani trochę jej to nie wychodzi. – Co masz przeciwko policji?

Łyknął z kieliszka, zamyślił się.

– Sam nie wiem... Pewnie to trochę niedojrzałe. Dla mnie zawsze pozostaną wrogiem. Podczas demonstracji i tego typu spraw... Zawsze byliśmy po dwóch stronach barykady.

Starła się, by jej głos zabrzmiał bez troski.

– Miałaś do czynienia z policją? Chodziłeś na demonstracje?

Roześmiał się.

– Byłem wtedy młodszy. Ale owszem, na demonstracje chodziłem.

Doskonale wiedziała, że to właściwy moment, by przyłączyć się do tego radosnego nastroju i wyjaśnić, że o dziwo, od kilku dni jest zakochany w policjantce i musi przyznać, że to wcale nie takie straszne, jak sobie dotąd wyobrażał. Przeczuwała, że sytuację może uratować spora dawka humoru i ironii, problem jednak w tym, że poczucie humoru nie było jej mocną stroną. Podobnie zresztą jak ironia. Była na to zbyt poważna, zbyt nieśmiała, zbyt ostrożna. A w tej konkretnej sprawie także zbyt bojaźliwa. Omal nie zamarła ze strachu.

Jak miałybyśmy żyć, jeśli on teraz zerwie nasz związek?

„Przecież i tak będziesz musiała mu powiedzieć. Nie możesz planować z nim wspólnej przyszłości, ukrywając przed nim charakter swojego zawodu. Zachowujesz się jak małe dziecko, które zamknąwszy oczy, sądzi, że nikt go nie zobaczy”.

Mimo to nie potrafiła się przemóc, by oczy otworzyć i zrobić decydujący krok.

– A potem jeszcze ta sprawa z moim prawem jazdy – ciągnął David. – To mnie wówczas bardzo dotknęło. Bez samochodu... miesiącami... człowiek jest jak bez nogi.

Kate obawiała się, że jej słowa zabrzmiały jak napomnienia guwernantki:

– No cóż, rzeczywiście wypiełeś, siadłeś za kierownicą, stwarzałeś niebezpieczeństwo dla innych ludzi...

– Wiem. Jasne. To była głupota z mojej strony. Funkcjonariusze mieli rację. A jednak nie poprawiło to moich relacji z policją... – Wyciągnął rękę nad stołem, chwycił jej dłoń. – Masz strasznie zimne dłonie, Kate. Marzniesz?

Wnętrze było raczej przegrzane. Kate przesywały jednak dreszcze. Od wewnątrz.

– Sama nie wiem. Może to lekkie przeziębienie.

– Porozmawiajmy o czymś przyjemnym – zaproponował David. – Jak ci minęło popołudnie? Byłaś u tej kobiety... Jak się nazywa?

Porozmawiajmy o czymś przyjemnym. Nie o czymś tak niemiłym jak policjanci...

– Sheila – odparła. – Sheila Lewis.

– Właśnie. Przyjaciółka tej zaginionej dziewczyny.

– Hannah Caswell. Tak. Sheila była ostatnią osobą, która z nią rozmawiała. Przez telefon. – Kate rzeczywiście odszukała ją w książce telefonicznej. Sheila nadal mieszkała z rodzicami, w wieku szesnastu lat rzuciła jednak szkołę i przyuczała się do zawodu fryzjerki. Pracowała w salonie przy deptaku, tego dnia została jednak w domu, kurując się z uporczywego kataru. Mieszkała niedaleko dworca.

Była przykładem tego, z czym Kate wciąż miała do czynienia przez wszystkie lata

pracy zawodowej: ze stanem utrzymującego się rozdrażnienia, z urazem dotykającym ludzi, którzy w jakiś sposób zetknęli się ze zbrodnią i nigdy nie potrafili się otrząsnąć po tym zaburzeniu normalności – lub osiągnęli to jedynie z ogromnym trudem i przez długi czas. Sheila siedziała z Kate w pokoju dziennym, miała zmierzwione włosy, zmiętą chusteczkę w dłoni i grube pantofle na stopach. Jej matka podała im herbatę, po czym zwróciła się do Kate:

– Totalnie ją zdołował. Ojciec Hannah... po jej zaginięciu. Zarzucił Sheili, że po ostatniej rozmowie telefonicznej nic nie zrobiła – nie powiadomiła ani nas, ani jego, nie zadzwoniła na policję. I co tam jeszcze. Wciąż ją obwiniał, tak natarczywie, że w końcu uzyskaliśmy sądowy zakaz kontaktu z naszą córką. Do dziś nie wolno mu z Sheilą rozmawiać ani do niej dzwonić, nie wolno mu się nawet do niej zbliżać.

Także Kevin Bent uzyskał podobną decyzję sądu. Swoje oskarżenia i insynuacje Ryan Caswell musiał zachować dla siebie.

Opowiedziała Davidowi o spotkaniu, uradowana, że mogła zmienić temat, lecz z tępym uczuciem ucisku w żołądku.

– Problem w tym, że Sheila rzeczywiście czuje się winna. Bo zachowała wówczas milczenie. Ale przecież nie mogła wiedzieć, że nadciąga niebezpieczeństwo. W Kevinie Bencie nie widziała popędliwego psychopaty, za jakiego uważa go Ryan Caswell. Poza tym Hannah bezpiecznie i w dobrym nastroju dotarła na dworzec w Scarborough. Bent pojechał dalej. Sheila nie miała najmniejszego powodu, by wszcząć alarm.

Jak się okazało, po rozmowie z Hannah Sheilę zadręczały wyrzuty sumienia.

– Byłam taka zazdrosna – przyznała, po czym zalała się łzami. – Bo umówiła się z Kevinem Bentem. Chciał ją zabrać na otwarcie pubu. Dobry Boże, Kevin Bent! Jak on świetnie wygląda, nie uważa pani?

Kate, owszem, uznała Kevina za sympatycznego i bez wątpienia atrakcyjnego mężczyznę. Choć niezupełnie w jej typie. Był zbyt młody, niedojrzały.

– Jest przystojny – odparła.

– Każda dziewczyna dałaby wszystko, żeby się z nim umówić na randkę – oznajmiła Sheila. – A Hannah rzeczywiście to zrobiła! To znaczy... Hannah! Była jeszcze taka dziecinna. Kiedy skończyłyśmy rozmawiać, pomyślałam... pomyślałam, że... – Sheila zaniósła się szlochem.

– Co pani pomyślała? – zapytała Kate.

– Pomyślałam, że może coś jej w tym przeszkodzi – wyznała Sheila, zalewając się łzami. – Rozumie pani? Miałam nadzieję, że z jakiegoś powodu do tego nie dojdzie.

I rzeczywiście tak się stało. Ale ja przecież nie chciałam... nie chciałam... żeby coś jej się przytrafiło! Naprawdę! Nie myślałam w ten sposób.

– Oczywiście, że nie – pocieszała ją Kate. – To całkiem normalne, że człowiek czuje czasem zazdrość. A jednak nie to było przyczyną tej nieszczęsnej historii!

Od tej chwili Sheila nie przestawała płakać. Rozmowę wciąż przerywały jej spazmy.

– Czy pozyskałaś jakieś nowe informacje? – zapytał David. Podano tymczasem potrawy. Kate zmuszała się, by przełknąć choćby parę kęsów. Jej żołądek odmówił posłuszeństwa. Towarzyszyło jej uczucie, że popełniła potworny błąd, a zarazem ogromny strach przed jego naprawieniem.

Musiała mocno się starać, by skupić uwagę na rozmowie z Davidem.

– No cóż, kilka informacji na temat Hannah – odparła. – Właściwie tylko uzupełniły znany mi już obraz. Sheila wyklucza możliwość, by Hannah uciekła z domu. Choć mieszkanie z ojcem, który krótko ją trzymał, stało się dla niej prawdziwym utrapieniem. Mimo to była zbyt nieśmiała, by poważić się na taki krok. Wszystko to pokrywa się z moimi wcześniejszymi informacjami.

David w zamyśleniu skinął głową.

– Tak naprawdę... to niedobrze. To znaczy, tym samym niknie wszelka nadzieja, że ona wciąż żyje, prawda? Bo w takim razie musiała zostać porwana, a po tak długim czasie...

– Tak. Mam podobne obawy. Nie można liczyć na jakiś pozytywny zwrot. Zresztą Sheila nie podziela zdania Ryana Caswella, że to sprawka Kevina Benta. Sama nie zna go bliżej, ale uważa, że nie wygląda na kogoś, kto mógłby zrobić coś takiego.

– Jestem tego samego zdania – przyznał David, a kiedy Kate zerknęła na niego zaskoczona, dodał: – W ostatnich latach często przesiadywałem w jego pubie w porcie. Obsługuje gości, podczas gdy jego brat pracuje głównie w kuchni. Uważam Kevina Benta za sympatycznego i uprzejmego człowieka... – Kate otworzyła usta, lecz on wykonał ręką obronny gest. – Wiem. Nawet bardzo mili ludzie potrafią robić okropne rzeczy. Ale Kevin Bent? Facet jest naprawdę przystojny i ma w sobie mnóstwo uroku. Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby musiał się uciekać do porwania. Wystarczy, że przytknie palcami, a każda dziewczyna pójdzie z nim z własnej woli!

– Istnieje kilka możliwych scenariuszy – zauważyła Kate. – Na przykład taki, że kiedy zawrócił, Hannah mogła z własnej woli ponownie wsiąść do jego samochodu. Mogła nawet z własnej woli uprawiać z nim seks. Ale potem sobie uświadomił, że ona ma dopiero czternaście lat i że czekają go poważne kłopoty, jeśli Hannah pochwali się

przed całym światem swoimi przeżyciami. Również i to może być wystarczającym powodem, by kogoś uciszyć. W każdym razie... nie sędzę, by był kryminalistą. By mógł się dopuścić czego podobnego.

David spojrział na nią, zaczął rozważać jej słowa.

– Tak – przyznał w końcu – otóż to. Tego właśnie nie mogę zrozumieć. Ktoś nie chce zrobić nic złego. Coś się jednak wydarza... cokolwiek... romans dorosłego mężczyzny z czternastolatką. To oczywiście naganne, ale ten facet nie jest jeszcze zbrodniarzem. A jednak prawo i porządek, a także społeczeństwo zapędzają go w kozi róg, czuje się tak bardzo przyparty do muru, że... robi rzeczy, których normalnie nigdy by nie zrobił. I rzeczywiście staje się przestępcą. Zaszczuty przez prawo oraz tych, którzy czuwają nad jego przestrzeganiem.

– Sędzę, że w tej kwestii akurat bardzo się różnimy – odparła Kate. Odsunęła talerz. – Nie dam rady już nic zjeść.

– Prawie nic nie tknęłaś!

– Przykro mi. To nie wina jedzenia. Po prostu nie mogę.

Spojrział na nią zatroskanym wzrokiem.

– Miejmy nadzieję, że się nie zaraziłaś. Mam na myśli Sheilę i jej katar.

– Tak szybko to chyba nie działa – uznała Kate. – Byłam u niej ledwie parę godzin temu.

– Wracamy do domu – postanowił David. – Położysz się do łóżka. Zaparzę ci herbaty i ogrzeję stopy. Wiesz, co sobie myślę? Że grzebanie w tej historii ci nie służy. Za bardzo współczujesz jej uczestnikom. Nie potrafisz zachować wewnętrznego dystansu. Uważam, że dobrze to o tobie świadczy, ale na dobre wcale ci nie wychodzi.

Kate zastanawiała się, czy ma rację. To prawda, ta sprawa boleśnie ją dotknęła. Ale w tej chwili to David zajmował jej myśli. Ich związek. To, co w nim zaczynało zgrzytać, i to, co do tego doprowadziło.

Nie chciała go stracić. Nie chciała na zawsze utracić chwili, kiedy mężczyzna uśmiecha się do niej w blasku świec i obiecuje, że zaparzy jej herbaty i ogrzeje stopy. Już prawie nie pamiętała tego uczucia, jak to jest, kiedy ktoś się o nią troszczył. Ostatnio zaznała go w dzieciństwie przy matce, później też czasem od ojca. Uczucie to było cudowne. Niczym powrót do domu. Do siebie, do życia. To było najważniejsze, poczucie, że wszystko jest w porządku. Życie. Ludzie. Ona sama. Patrzyła na siebie oczami Davida i po raz pierwszy, od kiedy dorosła, była pogodzona sama z sobą.

– Tak, chodźmy – powiedziała. – Może po prostu potrzebuję nieco snu. Jutro

wszystko będzie wyglądać inaczej.

To nie była prawda, doskonale o tym wiedziała. W tej jednak chwili rzeczywiście marzyła tylko o śnie. I chwili zapomnienia.

Czwartek, szesnasty listopada

1

Było dziesięć minut po północy, lecz dla Caleba Hale'a równie dobrze mógłby to być sam środek dnia. Był zupełnie przytomny. Adrenalina musiała w nim buzować. Siedział w niewielkim pokoju motelowym, w którym kilka godzin wcześniej koledzy z uzbrojonej jednostki Greater Manchester Police obezwładnili Alexa Barnes'a i uwolnili Amelie Goldsby.

Właściwie niezupełnie tak: Alex Barnes nie miał broni, nie stawiał też oporu, więc wcale nie musiał zostać *obezwładniony*. Niezwłocznie się poddał, przerażony i zszokowany, gdy do pokoju niespodziewanie wtargnęli uzbrojeni, ubrani na czarno ludzie.

Jak się okazało, również słowo *uwolnienie* Amelie Goldsby nie do końca odpowiadało prawdzie. Leżała w łóżku obok Alexa, pogrążona w błogim śnie, a kiedy policjanci wdarli się do pokoju, z krzykiem uchwyciła się jego ramienia. Nic dziwnego, dało się to wyjaśnić szokiem i przerażeniem, lecz kiedy umieszczono ją w bezpiecznym miejscu, to znaczy: oddzielono od Barnes'a, nie przestawała za nim wołać, aż w końcu wybuchnęła płaczem.

– Chcę do niego – szlochała. – Proszę, zabierzcie mnie do niego!

Siedziała teraz obok Caleba w pokoiku oddanym im do dyspozycji przez wstrząśniętego właściciela motelu. Gdy policjanci wyciągnęli ją z łóżka Barnes'a, była naga, spieszenie zarzucono jej tylko koc na ramiona. Tymczasem zdążyła się ubrać. Drobna, blada i wychudła, skuliła się w masywnym fotelu, wtuliła w sweter, dygotała na całym ciele. Caleb podkręcił ogrzewanie w pokoju na maksimum, sam zdjął marynarkę, gdyż poczuł gorąco, jakby się smażył w południowym słońcu. Amelie sprawiała wrażenie, jakby nic to nie pomogło, wciąż nie przestawała dygotać. Prawdopodobnie była w szoku. Obejrzał ją lekarz i podał jakiś środek na uspokojenie. Chyba mało skuteczny.

– Twoi rodzice już tu jadą – oznajmił Caleb. – A także sierżant Helen Bennett. Z Helen często rozmawiałaś. Może chcesz poczekać, aż wszyscy się tu zjawią, zanim opowiesz, co... co się tu wydarzyło.

Jak dotąd Amelie przez cały czas milczała, teraz uniosła głowę i spojrzała na Caleba.

– Nie. Nie chcę rozmawiać z rodzicami.

– Dlaczego?

Wydawało się, że zaraz dosłownie zagrzebie się pod swetrem.

– Nie chcę ich widzieć.

– Zjawią się tu lada chwila. Będą chcieli cię zobaczyć.

Znów zalała się łzami.

– Nie – szlochała. – Proszę, nie!

Caleb się pochylił.

– Amelie, co zaszło między... tobą i Alexem Barnesem?

– Chcę do niego.

– On cię porwał. Na stacji benzynowej.

– Wcale nie.

– Jak to?

– Zadzwoiłam do niego. Kiedy wyszłam przez okno i uciekłam przez parkan.

– Zadzwoiłaś wtedy do Alexa Barnesesa?

– Tak.

– I co potem?

– Przyjechał i mnie stamtąd zabrał.

Przez cały czas, odkąd Amelie wymówiła imię Alexa, w głowie Caleba kiełkowało podejrzenie, mało przyjemna myśl, przed którą się wzbraniał, która jednak z każdą chwilą przybierała coraz wyraźniejszy kształt, wywracając do góry nogami wszystko, dosłownie wszystko, całe jego dochodzenie i wszelkie dotychczasowe wnioski.

– Ty i Alex Barnes... – zaczął ostrożnie, z wahaniem. – Znacie się nie od dnia, w którym wyciągnął cię z wody? Wy... znacie się o wiele dłużej?

Nie odpowiedziała, a jedynie nieznacznie skinęła głową.

– Już od dawna łączy was... romans?

Ponownie skinęła, po czym znów spojrzała na Caleba.

– Tak. Ja go kocham.

– On ma trzydzieści jeden lat. A ty ledwie czternaście! – powiedział Caleb i zaraz ugryzł się w język. Jakby to miało dla Amelie jakieś znaczenie. Jakby choć w części mogła zrozumieć, co miał na myśli.

– Ja go kocham – powtórzyła.

– Okay – odparł Caleb. – Okay.

Zamyślił się. Alex Barnes był gnojkiem, który sypiał z czternastolatką i przy okazji wpędził dziewczynę w mentalne uzależnienie. Lecz najwyraźniej nie był porywaczem ani mordercą. A przede wszystkim: powoli stawało się jasne, że przypadek Amelie Goldsby nie ma żadnego związku ze sprawą Saskii Morris.

– Nigdy cię nie porwano, prawda? Nawet w październiku?

Znów wymowne skinienie głową.

Westchnął. Cholera. Jasna cholera.

– Nie chcę widzieć moich rodziców – powtórzyła Amelie cichym głosem.

– Będziesz musiała ich zobaczyć – odparł Caleb. Spostrzegł, że jego słowa zabrzmiały szorstko, nie potrafił jednak stłumić w sobie złości. Siedząca przed nim dziewczyna nie czuła się najlepiej, owszem, miała dopiero czternaście lat, lecz mimo wszystko... Uczestniczyła w perfidnej grze. Nie tylko całymi tygodniami okłamywała rodziców i policję, zadbała też o to, żeby funkcjonariusze poszukujący mordercy Saskii Morris podążali fałszywym tropem.

– Portret pamięciowy sprawcy to była czysta fantazja?

Skinienie.

– Narobiliście niezłego bigosu – stwierdził – ty i twój przyjaciel. On doigrał się nawet bardziej, bo uprawiał seks z dziewczyną, która nie ukończyła szesnastu lat. Czeka ją poważniejsze kłopoty, niż się wam obojgu wydaje.

W jej oczach rozbłysł strach.

– Czy Alex trafi do więzienia?

Caleb skinął głową.

– Możesz być tego pewna.

I całe szczęście. W tej chwili nikogo tak bardzo nie pragnął wsadzić za kratki, jak właśnie Alexa Barnes.

– Od kiedy go znasz? – zapytał.

Dostrzegł, że przez chwilę się zastanawia, czy w ogóle mu odpowiedzieć, potem jednak pewnie pomyślała, że współpraca poprawi jej sytuację.

– Od prawie roku. Poznałam go w styczniu.

– Gdzie?

– Pracowałam w Sea Life Sanctuary. W weekendy. On także podjął tam wtedy pracę.

Tak się poznaliśmy.

– A od kiedy macie romans?

– Od lutego.

Caleb westchnął. Alex Barnes długo się nie zastanawiał.

Z korytarza dobiegły odgłosy kroków oraz rozmowy, chwilę potem otworzyły się drzwi. Do pokoju weszli Deborah i Jason, za nimi Helen, która wyglądała tak, jakby właśnie wyciągnięto ją z łóżka. Miała na sobie zielone spodnie i żółty sweter, oba kolory boleśnie się gryzły. Pewnie ubierała się po ciemku. Była nieuczesana, włosy sterczały jej we wszystkie strony.

Deborah i Jason z kolei prawdopodobnie w ogóle się nie kładli. Po ponownym zniknięciu córki z pewnością nie było mowy o śnie. Sprawiali wrażenie niewyspanych, byli bladzi, niemal zszarziali na twarzach. Caleb zastanawiał się, czy ta równie wstrząśnięta co wyrachowana nastolatka siedząca w fotelu przed nim zdaje sobie choć trochę sprawę, co zgotowała własnym rodzicom.

– Amelie! – krzyknęła Deborah. Podbiegła do córki, chciała wziąć ją w ramiona, lecz Amelie jeszcze bardziej skuliła się w fotelu i wykonała obronny gest, który powstrzymał matkę. Deborah wlepiła wzrok w Amelie, po czym, szukając pomocy, spojrzała na Caleba. – Czy wszystko w porządku?

– Pani córka żyje i jest zdrowa – odparł Caleb. – Ale to chyba wszystko, o czym można powiedzieć, że jest w jako takim porządku.

Jason rozglądał się gniewnie, jakby spodziewał się, że w którymś kącie pokoju znajdzie Alexa Barnes'a.

– To był Barnes, prawda? Porwał ją. I tutaj się z nią ukrył? W tym hotelu? Co z nią...

– To Barnes, ale nie było tak, jak pan sądzi – przerwał mu Caleb.

– Czyżby?

– Amelie powinna opowiedzieć nam całą historię – oznajmił. – Chcą państwo wezwać adwokata?

Odpowiedziały mu zdumione spojrzenia.

– Adwokata? – zapytała Deborah takim tonem, jakby nie rozumiała tego słowa.

– Państwa córka wpadła w poważne tarapaty – odparł Caleb – dlatego mam obowiązek zwrócić państwu uwagę, że...

– Nie potrzebujemy żadnego adwokata – wszedł mu w słowo Jason. – Chcę wiedzieć, co się tu dzieje. Natychmiast. Co tu się, do cholery, wydarzyło?

Zważywszy na rozwój wydarzeń, Alex Barnes zarzucił nieco swoje bezczelne, prowokująco luzackie maniere. Tego ranka, siedząc naprzeciw Caleba Hale'a w komisariacie w Scarborough, wydawał się zmizerniały i zamknięty w sobie. Zrozumiał, że nic go już nie uratuje.

– To ona tego chciała – powtórzył po raz enty. – Amelie. Już dawno zamierzałem zakończyć tę historię. Ale ona zwyczajnie nie chciała się odczepić. Była opętana myślą o naszym związku. Próbowałem zerwać z nią kontakt, ale ona uparcie za mną łąziła. Nieważne, ile razy jej tłumaczyłem, że musimy to przerwać, nie przestawała zasypywać mnie wiadomościami na WhatsAppie i niepokoić telefonami. Wciąż wystawała przed drzwiami mojego mieszkania, szlochała, groziła samobójstwem, jeśli jej nie wpuszczę. Co miałem...

– Niechże pan przestanie – przerwał mu Caleb. Podejmowane przez Alexa próby zrządzenia na Amelie odpowiedzialności za przebieg wydarzeń budziły w nim odrazę. – Kiedy wczoraj wieczorem w motelu w pobliżu lotniska Manchester Police przyłapała pana w łóżku z *czternastoletnią* Amelie Goldsby, nie sprawiał pan wrażenia bezbronnej ofiary wplątanej w niezręczną sytuację. Niechże więc nie próbuje pan teraz zachowywać się tak, jakby przytrafiło się panu coś, nad czym nie miał pan żadnej kontroli.

– W pewnej mierze rzeczywiście nie sposób było nad tym zapanować – odparł natychmiast Alex. – Amelie zadzwoniła do mnie, kiedy na tej stacji benzynowej wydostała się przez okno w toalecie. Odchodziła od zmysłów, wpadła w histerię. Co miałem robić? Od razu do niej pojechałem i dosłownie zgarnąłem ją z ulicy. Ja...

– Co miał pan robić? – wszedł mu w słowo Caleb. – Powinien pan być niezwłocznie zgłosić się razem z nią na policję. Zamiast wszczynać chaotyczne i bezcelowe poszukiwania i pogarszać tylko sytuację. Poza tym nigdy, *przenigdy* nie powinien się pan z nią zadawać. Kiedy w lutym rozpoczął pan współżycie z Amelie Goldsby, dziewczyna miała trzynaście lat. W lipcu skończyła czternaście. Już za samo to trafi pan, panie Barnes, na co najmniej dwa lata do więzienia!

Alex sprawiał wrażenie, jakby lada chwila miał się rozplakać.

– Nie wiedziałem o tym. Twierdziła, że ma szesnaście lat. Powinien pan ją wówczas zobaczyć, jak się malowała, jaka była... Naprawdę wyglądała na szesnastolatkę! Dopiero w jej urodziny w lipcu dowiedziałem się, że ma czternaście lat. Natychmiast postanowiłem z nią zerwać, ale... ona nie chciała zostawić mnie w spokoju!

– Biedaczek – odparł Caleb.

Alex wziął głęboki oddech.

– Odchodziła od zmysłów. Ciągle groziła, że się zabije, jeśli przestanę się z nią spotykać. Bałem się, że naprawdę coś sobie zrobi.

– A wtedy bohatercko się pan poświęcił – i nadal z nią sypiał. Rzeczywiście miłosierny z pana człowiek.

Alex zacisnął wargi i nie odpowiedział.

Caleb znał już całą historię. Amelie opowiedziała o wszystkim jeszcze w nocy, w obecności skonsternowanych rodziców. Po ponownym zaginięciu córki Deborah i Jason sądzili, że nic gorszego ich już nie spotka. A tu masz!

– Czternastego października Amelie zadzwoniła do pana – oznajmił Caleb. – Wysiadła z samochodu matki na parkingu przed Tesco i przeszła kawałek Burniston Road.

– Tak, to jedno z jej typowych zagrań. *Chcę uciec z domu, chcę do ciebie, proszę, przyjedź natychmiast, bo się zabiję...* Powiedziałem jej: dobrze, przyjedź do mnie. Wszedłem jej nawet naprzeciw. Cleveland Way. Spotkaliśmy się w połowie drogi między Zatoką Północną a Południową. Wpadła w histerię, bo nie chciała jechać na wycieczkę klasową. I nie zamierzała dłużej mieszkać z rodzicami, chciała zamieszkać u mnie.

– I wtedy zabrał ją pan do swojego mieszkania.

– Tak. Nie mogłem jej w tym stanie zostawić na ulicy.

– I nie zdołał jej pan przekonać do powrotu do domu?

– Nie. Bez szans. Nie chciała tego.

– Dlaczego nie zadzwonił pan do jej rodziców? Musiał pan zdawać sobie sprawę, przez co przechodzą!

Alex wzruszył bezradnie ramionami, mruknął coś niezrozumiale pod nosem.

Caleb się nachylił.

– Powiem panu, czemu nie powiadomił pan jej rodziców. Zaczął się pan martwić o własny tyłek, panie Barnes. Wdał się pan w romans z tą młodziutką dziewczyną, co jest czynem karalnym, i nie mógł się pan małej pozbyć. Amelie Goldsby naprawdę się w panu zakochała, a do tego popadła moim zdaniem w psychiczne i seksualne uzależnienie. Odesłanie jej do domu oznaczało, że być może opowiedziałaby o wszystkim swoim rodzicom. Pewnie nawet tym panu groziła. Wmanewrował się pan w całkiem zagmatwaną sytuację, panie Barnes. Wierzę pańskim zapewnieniom, że chciał pan to zakończyć, ale Amelie nie dopuszczała takiej myśli. A jednak zamiast

próbować ograniczać jakoś szkody i dobrowolnie zgłosić się na policję, uznał pan, że skoro sytuacja tak czy owak przybrała dla pana katastrofalny obrót, mógłby pan przynajmniej zarobić jeszcze trochę pieniędzy.

– Wcale nie – zaprzeczył natychmiast Alex. – Amelie to uknuła.

– Niby co?

– W dniu, w którym uciekła... znaleziono zwłoki tej dziewczyny. Saskii Morris. Wszędzie mówiono o *mordercy z wrzosowisk*. I Amelie od razu pomyślała, że jej rodzice z miejsca zaczną podejrzewać, że sama padła ofiarą tego mordercy. Tak też się stało. We wszystkich gazetach pisano, że pojawiło się takie przypuszczenie. Także ze strony policji.

– Dla pana zrobiło się jednak chyba zbyt grząsko – podsunął Caleb.

Alex przytaknął.

– Pomyślałem... Boże! Gdzieś tam krąży facet, zamordował dziewczynę, a u mnie ukrywa się druga, uznana za zaginioną. Nie wiedziałem... Nie mogła mieszkać u mnie bez końca. Jej zdjęcie pojawiło się we wszystkich gazetach. Nie mogła wychodzić z mieszkania. Kiedy rozlegał się dzwonek do drzwi, wpadałem w panikę. Kompletnie nie wiedziałem, co począć.

– Amelie musiała wrócić do domu. Nikt nie mógł się dowiedzieć, co naprawdę się wydarzyło. A zgarnąć przy okazji trochę forsy – czemu nie? Wpadł pan na ten niesamowity pomysł rzekomej akcji ratunkowej. Ucieczka przed porywaczem w podejrzanym samochodzie. Pościg. Amelie ratuje się skokiem do wody, pan przypadkiem tamtędy przechodzi i wyciąga ją na brzeg. Zostaje pan uznany za bohatera, rodzice Amelie są panu winni dozgonną wdzięczność. Co zresztą zreszcie pan wykorzystał, kasując niezłe dotacje, a w końcu całkiem pokaźną sumkę.

Alex milczał.

– Zupełnie nie zważał pan na to, że podsuwa policji fałszywy trop – ciągnął Caleb. – Policji, która pod presją opinii publicznej szukała brutalnego mordercy młodej Saskii Morris. Funkcjonariusze zostali wprowadzeni w błąd zmyślnym opisem przebiegu zdarzeń, zmyślnym opisem sprawcy, zmyślnym opisem ucieczki. Samochód, podejrzany gość, w którego aucie ukryła się Amelie... to wszystko zostało zmyślane od A do Z. Wiek porywacza, jego sposób działania, odległości, jakie pokonał – wszystkie ważne punkty naszego dochodzenia były wyssane z palca. Panie Barnes, czy ma pan pojęcie, w *jak wielkie* popadł pan tarapaty?

– To nie był wyłącznie mój plan. Ja...

– Niech pan przestanie. Niechże pan przestanie zrzucać winę za wszystko, co się wydarzyło, na barki tej niedojrzałej czternastolatki. Jest pan dorosłym człowiekiem. Musiał pan być świadom konsekwencji własnego postępowania!

Alex spuścił wzrok.

– Samochód, który pan wtedy pożyczył, by pomóc koledze w przeprowadzce...

Alex się ożywił.

– To akurat prawda. Już wiele tygodni wcześniej obiecałem mu pomoc. I tak zrobiłem. Ja...

Caleb machnął ręką.

– Niech będzie. Mamy świadków, którzy widzieli, jak taszczy pan pudła. A jednak wykorzystał pan ten samochód, by pojechać na wrzosowiska i podrzucić tam w trawie w pobliżu parkingu należącą do Amelie torebkę z jej dokumentami i kosmetyczką. Bardzo podobny scenariusz jak w przypadku Saskii Morris, gdy tuż po uprowadzeniu znaleźliśmy jej rzeczy. Trąbiono o tym we wszystkich gazetach, miał pan więc praktycznie gotową instrukcję, jak najlepiej postąpić. Celowo podsuwał pan fałszywe tropy.

Alex znów nie odpowiedział.

– Komórki Amelie pozbył się pan oczywiście w inny sposób. Zakładam, że jeszcze czternastego października wyrzucił ją pan do morza. Albo do jakiegoś bajora. Tak, by jej nie namierzono. A także dlatego, że spora liczba wiadomości, jakie wymieniliście z Amelie *przed* rzekomym porwaniem, nigdy nie powinna była wpaść w ręce policji. Z tego samego powodu wrzucił pan do morza własny telefon, po czym zeznał, że wypadł panu z kieszeni podczas ratowania Amelie. Ma pan zresztą szczęście, że nigdy nie pisaliście do siebie e-maili, na komputerze Amelie żadnych nie znaleziono. Prawdopodobnie sam pan ją przed tym ostrzegł, gdyż obawiał się pan, że rodzice mogą sprawdzić jej komputer, kiedy pójdzie do szkoły.

Milczenie.

– Chciałbym jeszcze usłyszeć z pańskich ust, w jaki sposób zdołał pan nakłonić Amelie do współpracy – kontynuował Caleb. – Abstrahując od faktu, że dziewczyna pana słucha i pewnie zrobi wszystko, co jej pan powie: w tym przypadku plan zakładał jednak, że Amelie ostatecznie wróci do domu. A tego w żadnym razie nie chciała. Jak pan tego dokonał?

Alex milczał, widać było, że myśli kłębią mu się w głowie.

– Chciałbym rozmawiać z adwokatem – powiedział w końcu.

Caleb skinął głową.

– Niegłupia myśl, zważywszy na pańską sytuację. Mimo to zapewniam, że żaden adwokat na świecie nie wyciągnie pana z tego bagna.

Alex obrzucił go nienawistnym spojrzeniem, nic jednak nie odpowiedział.

– Wiem – ciągnął Caleb – że karmił pan Amelie czczymi obietnicami, by nakłonić ją do współpracy. Zgodnie z tym, co powiedziała wczoraj swoim rodzicom, zakładała, że ucieknie pan razem z nią, jeśli tylko będzie pan miał dość pieniędzy, by sfinansować podróż i przetrwać pierwszy okres wyrzeczeń w jakimś miejscu poza granicami Wielkiej Brytanii. Amelie wspominała o greckich wyspach. Uprawa oliwek, proste życie w promieniach słońca, nad morzem. Istne bzdury, którymi napchał jej pan głowę. Prawdopodobnie nigdy pan nie miał takiego zamiaru, Amelie już dawno stała się dla pana ciężarem, ale należało ją najpierw uciszyć. Stąd ów numer z ratowaniem jej z morskich odmętów. Amelie wróciła do domu, a pan zabrał się do wyłudzenia od jej rodziców jak największej sumy pieniędzy. Co zresztą okazało się znacznie trudniejsze, niż się pan spodziewał. Piękny duży dom w świetnej lokalizacji... Zakładam, że był pan przekonany o stabilnej sytuacji finansowej rodziny. W rzeczywistości, kupując dom, Goldsby przeliczyli się z możliwościami, o czym nie wiedziała nawet Amelie, gdyż rodzice nie chcieli jej tym zamartwiać. To dlatego traktowano pana wprawdzie z ogromną wdzięcznością, a Deborah Goldsby starała się pomóc panu w znalezieniu pracy – choć praca to ostatnia rzecz, jakiej pan pragnął – niemniej oczekiwany strumień pieniędzy wcale nie popłynął. Aż wysunął pan w końcu dość bezczelne żądanie, domagając się wypłaty konkretnej sumy. Był pan już wówczas niemile widzianym natrętem, dlatego doktor Goldsby postanowił raz jeszcze powiększyć swój dług kredytowy, z powodu którego i tak cierpiał już nieprzespane noce, i wynagrodzić pana finansowo za uratowanie córki. Trzydzieści tysięcy funtów. Całkiem niezły kapitał na start.

– Chcę adwokata.

– Dostanie go pan, bez obaw. – Caleb bawił się długopisem. Rozboliła go głowa. Sprawa całkowicie wymknęła mu się z rąk. Całymi tygodniami dawał się wodzić za nos facetowi siedzącemu po drugiej stronie stołu... A w sprawie Saskii Morris został z pustymi rękoma. Za chłodną, pełną sarkazmu pozą, z jaką dawał Alexowi Barnesowi do zrozumienia, że tkwi w tarapatach aż po same uszy i może być pewny, że na długie lata trafi za kratki, kryła się czysta rozpacz. Świadomość, że czas i siły, zaangażowanie, pieniądze, po prostu wszystko poszło na marne. Obarczą go odpowiedzialnością. Będzie musiał wyjaśnić, jak mogło do tego dojść. Nie groziło mu wprawdzie więzienie,

lecz mnóstwo nieprzyjemności. Wiedział, że nie ma absolutnie żadnego powodu, by czuć się lepiej niż ta siedząca naprzeciw niego miernota. – Trudność polegała na tym – kontynuował, starając się nad sobą zapanować – że Amelie zaczynała się niepokoić. Siedziała w domu i z każdym dniem była coraz bardziej przygnębiona, rozpaczliwie wyczekując chwili, kiedy nawiąże pan z nią kontakt i razem uciekniecie. Dla pana była niczym mała tykająca bomba. A przecież dopisywało panu szczęście: zdaniem naszej policyjnej psycholożki skok do morza oraz fakt, że rzeczywiście nie mógł pan samodzielnie wyciągnąć Amelie z wody, wywołały u niej prawdziwą traumę. Plan zakładał, że niezwłocznie wybawi pan Amelie z tego niefortunnego położenia, to się jednak nie udało, a przez boleśnie długi czas znikąd nie nadchodziła pomoc. Nie mógł pan już dłużej utrzymać Amelie, dziewczynę ogarnął śmiertelny strach. Pozwoliło jej to później uwiarygodnić swoje zachowanie, kiedy bez końca mówiła o tamtych wydarzeniach. Nikt nie wątpił w autentyczność jej historii.

– Cóż – odezwał się Alex. Odzyskał nieco pewności siebie. Z początku czuł się kompletnie przybity. Tymczasem przekonał się, że Hale wcale nie czuje się lepiej. – Pański błąd, komisarzu.

Caleb mocniej uchwycił długopis. „Zachowaj spokój” – napomniął się.

– Amelie powoli traciła nerwy i marniała z tęsknoty za panem – ciągnął. – To dlatego uciekła wtedy na stacji benzynowej i zadzwoniła do pana. Zasłyszała więcej, niż ktokolwiek przypuszczał, stąd właśnie wiedziała, że rodzice wypłacili panu sporą sumę pieniędzy. Chciała wreszcie z panem uciec. Niestety, już dawno postanowił pan jej z sobą nie zabierać. Dlaczego mimo to ponownie zgarnął ją pan z ulicy?

Alex milczał.

– Powiem panu dlaczego. Wiedział pan, że jeśli Amelie zniknie, policja natychmiast wyruszy na poszukiwania, a pan jako pierwszy znajdzie się na celowniku. Pojechał pan po nią, żeby przekonać ją do powrotu do domu, żeby nadal na pana czekała, by panu zaufała. Ot, brednie służące wyłącznie załagodzeniu sytuacji – tyle że to już nie zadziało. Amelie nie zamierzała dłużej czekać, wzbraniała się wracać do rodziców. Przyłgnęła do pana bezlitośnie. Zrozumiał pan, że policja niedługo zapuka do pańskich drzwi, a pan znajdzie się w niekorzystnym położeniu, jeśli funkcjonariusze zastaną Amelie Goldsby wewnątrz albo na progu pańskiego mieszkania.

– Przyssała się jak kleszcz – odparł Alex. Słowo *kleszcz* wprost z siebie wypluł. – Jak przeklęty kleszcz!

– A więc uciekł pan razem z nią. Idiotyczny pomysł, to w ogóle nie mogło się udać. Oczywiście natychmiast ustaliliśmy, że tymczasem nabył pan samochód, znaleźmy

rzecz jasna jego numery. Pozostało kwestią czasu, kiedy w końcu pan wpadnie.

Alex nie odpowiedział.

– Z drugiej strony – dodał Caleb – cóż panu pozostało? To była ostatnia szansa, by dobrowolnie zgłosić się na policję i wszystko wyjawić, ale zabrakło panu odwagi. Zdecydował się pan zatem na ucieczkę. Z dziewczyną, chcąc nie chcąc, na karku. Jakie miał pan wobec niej zamiary? Któregoś dnia zwyczajnie się jej pozbyć?

– Nie jestem mordercą – odparł Alex.

Caleb skinął głową.

– Mógł pan ją puścić. Wówczas, tamtego burzowego wieczoru, kiedy zrozpaczona wisiała ucepiona nabrzeżnego muru wśród szalejących odmętów. Igrał pan z tą myślą, prawda? Niewielkie ryzyko, że morze wyrzuci ją gdzieś żywą na brzeg; prawdopodobieństwo było znikome. To rozwiązałyby wszystkie problemy.

– Powiedziałem, że nie jestem mordercą – odparł ostrym tonem Alex. – Nie potrafiłbym tego zrobić. Tak, do cholery, chętnie puściłbym jej rękę, z ochotą zakończyłbym całą tę historię. Amelie Goldsby zaczynała się zmieniać w mój osobisty koszmar, ale nie potrafiłbym jej uśmiercić. Nigdy. Nieważne, co pan sobie o mnie myśli, nawet się nad tym nie zastanawiałem. Pragnąłem, by poszła do diabła, ale nigdy bym jej nie zabił. Nikogo. Po prostu nie potrafię.

Caleb obserwował go zastygły w bezruchu. Uważał Alexa za notorycznego kłamcę i oszusta, w tej jednak kwestii mu wierzył. Alex nie był zbrodniarzem. Był leniem, cwaniakiem, obłudnikiem myślącym wyłącznie o własnej korzyści, człowiekiem pozbawionym skrupułów, gdy w grę wchodziły uczucia innych osób, wyrachowanym i podstępny – ale nie był mordercą. Nie sposób go było posądzać choćby tylko o uszkodzenie ciała.

– Przynajmniej to – dodał Alex – powinno przemawiać na moją korzyść, prawda? Przed sądem...

Caleb się podniósł.

– Panie Barnes, nasze społeczeństwo uznaje to za dość oczywiste, że morderstw się *nie* popełnia. Stąd też rzadko kiedy poczytuje się człowiekowi za zaletę, jeśli mordercą *nie jest*. Może pan mówić o szczęściu, że nie jestem pańskim sędzią, w mojej sentencji wyroku uwzględniłbym maksymalny wymiar kary, jaką prawo w tym przypadku przewiduje. Ale i tak nie może pan liczyć na zbyt dużą łaskawość i wyrozumiałość. Należę do tych, którzy będą zeznawać przeciwko panu, i nie zostawię na panu suchej nitki, może pan być tego pewny.

Także Alex podniósł się z miejsca. Spojrzał na Caleba z pogardą.

– Jest pan wściekły. I sfrustrowany. Ileż czasu i pieniędzy pan zmarnował! Chciał pan znaleźć mordercę Saskii Morris i uczeplił się pan mnie, niewłaściwej osoby. Na kilka tygodni przydzielił pan Amelie ochronę osobistą, zupełnie niepotrzebnie. Aż się zaśmiewałem, widząc tę dwójkę pajaców siedzących beczynn timerze przed domem Goldsbych, gdy tymczasem nikt, absolutnie nikt nie nastawał na życie Amelie. To było takie absurdalne. A najlepsze, że do prawdziwego mordercy nie zbliżył się pan ani o krok. Pewnie w błogim spokoju rozgląda się za kolejną ofiarą. Może już ją nawet porwał. Miał wystarczająco dużo czasu. Wspaniale, *komisarzu* Hale! Doskonale się pan spisał. Na pańskim miejscu wychyliłbym kieliszek. Słyszałem, że w pańskim przypadku potrafi działać istne cuda. Może przy okazji przyjdzie panu do głowy, jak się uporać z tą sprawą!

3

Trescott Hall, zakład opiekuńczy dla seniorów, na pierwszy rzut oka wyglądał jak wzniesiona z ciemnego kamienia wielkopańska rezydencja z epoki Tudorów. W szybach licznych wysokich okien łukowych odbijały się bladożółte promienie jesiennego słońca. Rozległy kompleks wznosił się na obrzeżach Hull, skąd roztaczał się widok na dość monotony, pagórkowaty krajobraz w głębi lądu. Od morza dzielił go spory kawałek drogi, podobnie jak od pulsującego życiem centrum miasta. Ludzie przyjeżdżali tu spędzić swoje ostatnie lata, może ostatnie miesiące. Kate nie zazdrościła im widoku z okien na tę wymarłą okolicę.

Być może to wina pory roku. Ogołoconych drzew i targanych wiatrem krzewów, na których tylko gdzieniegdzie wisiało kilka pojedynczych pożółkłych liści.

Kate zostawiła samochód na parkingu przed wejściem. Przy bliższym spojrzeniu zauważyła, że budynek był w gorszym stanie, niż się z początku wydawało. Rysy na murze. Wilgotne plamy pod oknami. Odłamany fragment rynny. Zachodnią ścianę aż po dach porastał bluszcz, wdzierając się pomiędzy cegły, widocznie nikt go nie przycinał.

Przy ogromnych, ciężkich, dębowych drzwiach znajdował się dzwonek. Kate nacisnęła guzik, czekała. Po minucie rozległo się brzęczenie. Kate pchnęła drzwi i weszła do holu.

Pierwsze wrażenie: mrok. Chłód. Zapach antyseptycznego sprayu.

„Obym nigdy nie znalazła się na starość w takim miejscu” – modliła się do niebios.

Z któregoś z korytarzy rozchodzących się gwieździcie z mrocznego holu podeszła do niej młoda kobieta.

– Tak? – zapytała zdyszana.

Kate postanowiła, że podczas odwiedzin nie będzie grać roli dziennikarki, wydało jej się bowiem wątpliwe, by dopuszczono ją wówczas do starszej, być może schorowanej i po części pozbawionej świadomości kobiety. Tym razem uczyni to, co zakazane: poda się za kogoś, kim jest naprawdę.

Wyjęła legitymację.

– Sierżant Kate Linville. Metropolitan Police.

Jej zdaniem podjęła znikome ryzyko. Policja odłożyła sprawę Hannah Caswell do akt, a jeśli nawet Caleb Hale do nich zajrzy, prawdopodobnie nie zwróci uwagi na ponowne przesłuchanie starej pani Caswell.

Podanie nazwy prominentnego londyńskiego urzędu jak zwykle odniosło spodziewany skutek. Młoda kobieta otworzyła szeroko oczy.

– Och! – Spojrzała na Kate z respektem.

– Chciałabym porozmawiać z panią Caswell.

– Z panią Caswell... Wie pani, nie jest z nią dobrze. Nie mogę też powiedzieć, czy...

– Mamy tylko dwa, trzy pytania. Nie więcej.

– Z powodu... tej dawnej sprawy? Jej wnuczki?

– Wie pani o tym?

– Tak. Pani Caswell zawitała do nas rok po tych wydarzeniach. Rok po zaginięciu dziewczyny. O niczym innym nie mówiła, dzień i noc. Strasznie ją to przybiło. Przedtem mieszkała sama w Hull, była całkiem sprawna, jak na swój wiek. Ale ta historia tak ją wyczerpała, że w krótkim czasie zmieniła się w niedołączną, schorowaną kobietę, której nie można było zostawić bez opieki. Przywiózł ją tu jej syn.

– Często ją odwiedza?

Kobieta pogardliwie wykrzywiła twarz.

– W ciągu trzech lat zjawił się tu jeden jedyny raz.

– Postaram się nie denerwować niepotrzebnie pani Caswell – obiecała Kate. – Ale krótka rozmowa z nią jest bardzo istotna.

Młoda kobieta zastanawiała się przez chwilę. Kate poczuła ulgę, że nie podała się za dziennikarkę. Nigdy by jej wówczas nie wpuszczono.

– W porządku – odparła w końcu. – Ale naprawdę proszę uważać. Pani Caswell jest czasem bardzo zagubiona, a jeśli się ją nadmiernie męczy, zaczyna płakać.

– Bez obaw. Postaram się jej nie irytować. – W rzeczywistości Kate nie miała pewności. Musi przecież opowiedzieć o Hannah, a to nie jest temat, na który jej babka zareaguje obojętnie.

Ruszyła za młodą kobietą przez długie, mroczne korytarze, sprawiające wrażenie wymarłych. Z prawej i lewej strony mijały liczne drzwi.

Młoda kobieta przystanąła przy jednym z nich, zapukała i weszła, nie czekając na jakąkolwiek reakcję.

– Pani Caswell – oznajmiła – ma pani gościa!

– Tak mi zimno – powtórzyła po raz kolejny Leonore Caswell. Siedziała skulona w swoim fotelu przy oknie, nogi okryła jednym wełnianym kocem, na ramiona zarzuciła drugi. Mimo to nie przestawała marznąć. Zastali ją dygoczącą z zimna, opiekunka poczuła się niezręcznie. Niezwłocznie przyniosła dwa koce, lecz kobieta była chyba zbyt wyziębiona. Nadal miała sine usta.

Również Kate poczuła chłód. Wyraźnie oszczędzano na ogrzewaniu. Być może trudno było ogrzać ten ogromny stary budynek o niezwykle wysokich pomieszczeniach lub w ogóle nie dało się tego zrobić. W pokoju, w którym przebywała Leonore Caswell, stały łóżko, szafa na ubrania, stół i dwa krzesła. Kamiennej posadzki nie przykrywał żaden dywan, na ścianach brakowało obrazów. Kate tak właśnie wyobrażała sobie mnisią celę w jakimś klasztorze słynącym z surowej reguły. Okno wychodziło na wewnętrzny dziedziniec. Znów tylko mury i okna. Leonore Caswell przesiadywała w tym pokoju samotnie dzień za dniem, godzina za godziną, i wpatrywała się w dziedziniec. Jeśli nie było się szalonym, oszaleć można było właśnie tutaj. Kate pomyślała ze złością, że Ryan Caswell rzeczywiście jest podłym człowiekiem. Bez wątplenia mógł zapewnić matce lepsze warunki, może nie w droższym i bardziej luksusowym miejscu, ale przynajmniej... żywszym. I cieplejszym. Starsi ludzie nie powinni tak marznąć. Skoro jednak odwiedził Leonore jeden jedyny raz w ciągu trzech lat, nie zdążył się o tym przekonać. Zaopiekowano się nią jako tako. Więcej go pewnie nie obchodziło.

Trudno było nawiązać rozmowę z Leonore Caswell. Starsza kobieta zdawała się żyć w innym świecie. Na słowo *policja* w ogóle nie zareagowała. Wciąż tylko powtarzała, że jest jej zimno. Opiekunka wyszła, obiecując, że przyniesie gorącej herbaty. Kate miała nadzieję, że tymczasem o wszystko wypyta. Przysunęła sobie krzesło i usiadła

naprzeciw pani Caswell. Nie zdjęła płaszcza.

– Pani Caswell... Chodzi o Hannah. Pani wnuczkę. Pamięta ją pani?

Leonore uniosła wzrok.

– Hannah?

– Pani wnuczka.

– Hannah to moja wnuczka.

– Tak, wiem. Ona... nie było jej tu przez długi czas, prawda?

– Nie było jej.

– Tęskni pani za nią, prawda?

Leonore odwróciła się, znów wyjrzała przez okno na dziedziniec. Kate obawiała się, że na wspomnienie o Hannah wybuchnie płaczem, ale było jeszcze gorzej: kobieta niezupełnie rozumiała, o co chodzi.

Musi wyrażać się dobitniej.

– Wie pani, że Hannah zaginęła? Przed czterema laty?

– Hannah zaginęła.

– Tak. Dawno temu. Ostatnio była u pani. W pani mieszkaniu w Hull. Wtedy jeszcze tu pani nie przebywała.

– Hannah zaginęła.

Kobieta mówiła powoli i nieco przewlekle. Kate domyśliła się, że to skutek podawanych jej leków. Pewnie silne antydepresanty oraz środki uspokajające. Odwiedziny tutaj na niewiele się zdadzą. Leonore Caswell była zbyt zamroczona, prawdopodobnie też odgradziła się solidnym murem.

Spróbowała przypomnieć jej inne nazwisko.

– Byłam u Ryana. Pani syna.

– To dobry chłopak – odparła Leonore.

Kate była odmiennego zdania, zachowała to jednak dla siebie.

– Jakim był ojcem? Dla Hannah? Pamięta pani?

Wyraz jej oczu zdawał się świadczyć o tym, że Leonore nieco bardziej się ożywiła i oprzytomniała. Prawdopodobnie potrzebowała czasu. Nic dziwnego w przypadku kogoś, kto dniami, tygodniami, miesiącami powoli gasł w swoim fotelu, nie słysząc nic prócz *dzień dobry* i *dobry wieczór*.

– Ryan bardzo kochał Hannah.

– Słyszałam, że dawał jej mało swobody.

– On ją kochał.

– Pani Caswell, czy pani zdaniem to możliwe, by Hannah uciekła z domu? Bo czuła się... więziona?

Leonore rozważała w głowie tę myśl.

– Nie – odparła po chwili. – Hannah nie uciekła.

– Jak pani sądzi, co się stało?

– Tego nie wiem.

– Ale z pewnością się pani nad tym zastanawiała. Widziała pani Hannah tamtego dnia. Jaka była?

– Uprzejma. Jak zawsze. Bardzo uprzejma.

– Bała się? Ojca?

Leonore potrząsnęła głową.

– Nie.

– A kogoś innego?

– Nie.

– Zna pani Kevina Benta?

Leonore zmarszczyła czoło. Z pewnością słyszała to nazwisko w związku ze sprawą zaginięcia swojej wnuczki, ale nie potrafiła go z nikim powiązać.

– Ja... nie wiem...

– Czy Hannah wspomniała pani wówczas o czymś szczególnym? Albo o kimś? O przyjacielu? Albo przyjaciółce?

– Nie.

Kate się zamyśliła. W ten sposób nie zdobędzie żadnych nowych informacji. Albo żadnych takowych nie było, albo w tym traumatycznym okresie Leonore zbyt wiele z nich wyrugowała z pamięci.

– Ryan nie jest złym człowiekiem – powiedziała niespodziewanie. – Nigdy nie zrobił nic złego.

– Dlaczego miałby zrobić coś złego? – zapytała Kate. – Czy ktoś tak twierdzi?

Wzrok starszej kobiety rozpląnął się w dali.

– Chamberfield – odparła.

– Chamberfield? Czy to nazwisko? Nazwa jakiejś instytucji?

– On nie był zły.

Kate wyjęła z torebki notes i długopis, zapisała tę nazwę. *Chamberfield*. Wyraz ten coś jej przypominał, już go kiedyś słyszała. Wygrzebała telefon, by go wygooglować, stwierdziła jednak, że nie ma zasięgu.

– Kim albo czym jest Chamberfield, pani Caswell?

– On tam był.

– Kto? Ryan?

– Ryan był w Chamberfield.

– Kiedy? Kiedy tam był?

Rozmyty wzrok Leonore znów nabrał wyrazistości.

– To było dawno temu. Dawno. Zanim jeszcze urodziła się Hannah.

– Okay. Co tam robił?

– Nie był zły.

– Z pewnością. Ale co tam robił?

Leonore westchnęła, lecz nie odpowiedziała.

– Pani Caswell! Pamięta pani? Co Ryan porabiał w Chamberfield? Dlaczego się tam znalazł?

Bez odpowiedzi.

– Czym jest Chamberfield?

Leonore milczała. Jej oczy, które na krótko rozbłysły jasnością i życiem, na powrót zgasły. Odpływała. Dokądś, w świat, gdzie lęki i cierpienia życia nie mogły jej dosięgnąć.

Otworzyły się drzwi, zjawiała się w nich młoda kobieta, która powitała Kate przy wejściu. Niosła tacę z dwoma kubkami, z których unosił się zapach owocowej herbaty. Do tego talerz z kruchymi herbatnikami.

– Na wzmocnienie – oznajmiła młoda kobieta z uśmiechem na twarzy.

Kate z wdzięcznością objęła palcami gorący kubek. Ciepło przeniknęło do jej dłoni. Leonore nie tknęła herbaty, nawet nie zauważyła stojącego przed nią kubka. Patrzyła przez okno, przebywała w jakimś miejscu w oddali.

– Wie pani może, co to jest *Chamberfield*? – zapytała Kate. – Pani Caswell wspomniała właśnie, że przebywał tam jej syn, ale nie mam pojęcia, o co mogło...

– Chamberfield? – powtórzyła kobieta. – Wielkie nieba! Ryan Caswell tam był?

– Najwyraźniej. Co to?

– Szpital dla umysłowo chorych. Oślawiona placówka dla *obłąkanych*.

Kate wzdrygnęła się, słysząc to całkiem niepospolite słowo, które jej rozmówczyni wymówiła jednak tonem niemal... nienawistnym. Ona także przypomniała sobie, że słyszała je raz czy dwa w takim właśnie kontekście. Klinika psychiatryczna dla ciężkich przypadków.

– W pobliżu Newcastle – powiedziała. – Pamiętam. No jasne. Chamberfield.

– Przebywają tam pacjenci z poważnymi zaburzeniami – oznajmiła młoda kobieta. Widać było, że za takimi ludźmi nie przepada. Prawdopodobnie się ich bała. – Jeśli pan Caswell tam przebywał... mój Boże!

– Nie wiemy, z jakiego powodu – uspokajała Kate. – Przyczyną mogła być także ciężka depresja albo próba samobójcza... A przez to nie stanowi zagrożenia dla innych. – W rzeczywistości myśli kotłowały jej się w głowie. Musi się koniecznie dowiedzieć, dlaczego Caswell przebywał w klinice psychiatrycznej. Widocznie był nie tylko szorstkim dziwakiem, czasem nawet nie do zniesienia – był chory. Chory psychicznie.

Córka tego psychicznie chorego człowieka zaginęła bez śladu, jej ojciec nie ma na ten czas alibi. Dziwił nieco fakt, że Caleb Hale w trakcie ówczesnego dochodzenia nie natrafił na ten punkt biografii Caswella. Czy powiedziałby jej o tym? Przynajmniej skupiłby wówczas większą uwagę na osobie Caswella. A może dowiedziawszy się o tej historii, sprawdził ją, lecz okazała się mało istotna.

Nie był zły, zapewniała wielokrotnie Leonore. A więc coś się jednak wydarzyło. Coś, przez co został tam skierowany. Coś złego. Co skłoniło jego matkę, by go bronić i w rozmowie z obcą osobą zapewniać, że mimo wszystko jest dobrym człowiekiem.

Najchętniej od razu zadzwoniłaby do Caleba i zapytała, czy o tym wiedział i na jakie ewentualnie ślady natrafił, miała jednak świadomość, że tego jej robić nie wolno. Pewnie by się wściekł. Dość, że w poniedziałkowy wieczór odkrył, iż podając się za dziennikarkę, kontaktowała się z ludźmi zamieszkanymi w sprawie zaginięcia Amelie Goldsby. Tylko czekała, aż zadzwoni i zasypie ją wyrzutami. Lepiej nie wyjawiać, czym się teraz zajmuje.

Lubiła Caleba. Nie chciała utracić jego przyjaźni.

Musi pojechać do Chamberfield. Wiedziała, że rozmowy z lekarzami bywają trudne, nawet dla funkcjonariuszy Scotland Yardu. Mimo to spróbuje rozwikłać tajemnicę Ryana Caswella. Od początku jej myśli krążyły wokół niego. Może przecucie jej nie zawiodło.

Zerknęła na zegarek, odstawiła kubek z herbatą i gwałtownie wstała. Musiała wracać do domu, o czwartej zjawi się pośrednik z klientami. Do Chamberfield uda się nazajutrz.

Pożegnała się z Leonore Caswell, która nawet nie zareagowała, po czym długimi korytarzami ruszyła w towarzystwie młodej opiekunki do wyjścia. Kiedy znalazła się na zewnątrz, odetchnęła głęboko, z ulgą. Panująca w tym budynku atmosfera była zbyt deprymująca. Wciąż rozmyślała o tym, jak bardzo Leonore dygotała z zimna. Zastanawiała się, jak będzie wyglądać jej własna starość. Zdecydowanie stłumiła w sobie te myśli. Jeśli teraz pod przemożnym wpływem wrażeń wyniesionych z Trescott Hall zacznie roztrząsać ten temat, spędzi resztę dnia w depresyjnym nastroju.

Przejechała kawałek drogi w kierunku miasta, zatrzymała się na parkingu i sprawdziła komórkę. Na WhatsAppie pojawiła się wiadomość od Davida.

Nie mogę się doczekać wieczoru z tobą!

Uśmiechnęła się. Przepelnił ją strumień szczęścia.

Druga wiadomość pochodziła od Colina, dołączył do niej selfie, na którym wyglądał na rozgniewanego.

Nie rozumiem, dlaczego zerwałaś ze mną kontakt. Mówisz, że pojawił się drugi mężczyzna. Dziwne, skąd tak szybko go wytrzasnęłaś. Czyżbyś przez cały czas prowadziła podwójną grę, sprawdzając, kto ostatecznie bardziej ci się spodoba? Może ma więcej pieniędzy ode mnie. Kobiety strasznie wariują na punkcie forsy. Nieźle zarabiam, ale pewnie wmówiłaś sobie, że możesz znaleźć kogoś lepszego. Nie cierpię sposobu, w jaki kobiety traktują facetów. Jest wam obojętne, czy ktoś jest miły i dobrze wam życzy, dla was liczą się tylko pieniądze i świetny zawód. Co też ten twój nowy znajomek porabia? To niebywała podłość z twojej strony, by...

Kate skasowała wiadomość. Ciągnęła się bez końca, a ona nie miała ochoty dłużej tego czytać. Colin mógł okazać się kłopotliwy, postanowiła jednak nie dać się zastraszyć. Ten facet miał nie po kolei w głowie, nigdy nie dała mu choćby krzty nadziei, że kiedyś będą parą. Skoro inaczej interpretował jej uprzejme odpowiedzi, jego wina, nie jej.

Wystukała odpowiedź dla Davida.

Mam jeszcze spotkanie z pośrednikiem. Potem przyjadę do ciebie. Tak bardzo się cieszę!

Na końcu dodała czerwone serce, uśmiechnęła się. To cudowne być zakochanym, a do tego nieco zwariowanym, kiczowatym i wylewnym.

Zwłaszcza że nigdy wcześniej się takim nie było.

Prawy nadgarstek był jedną wielką otwartą raną, krwawiącą i bolesną. Mandy ponad czterdzieści osiem godzin wcześniej zaczęła go nacinać ostrym fragmentem plastikowej butelki. Niełatwo ją było połamać, ba, zadziwiająco trudno. Mandy przypuszczała, że ma to związek z jej narastającym fizycznym osłabieniem. Dręczyły ją potworny głód i dojmujące pragnienie, czasem dygotała na całym ciele.

Z początku zabrała się do tego chyba bez przekonania. Tak bolesne samookaleczenie wymagało szczególnej determinacji, zwłaszcza że czuła się wyczerpana i chora. Zasypiała ze zmęczenia, budziła się wycieńczona i zziębnięta. I wciąż znajdowała się w tym samym żalonym położeniu, z którego uciekała na kilka godzin w bezładne, a mimo to jakże pożądane senne marzenia. Rzeczywistość za każdym razem na nowo ją przerażała. Poparzone ramię pulsowało. Nie patrzyła już na tę ranę, jej widok mroził krew w żyłach i demotywowował. Po prostu musiała się stąd wydostać. Nic innego się nie liczyło.

Za oknem zapadał zmrok. Mandy przespała połowę dnia. Kiedy zerwała się ze snu, znów poczuła zimno, ból, głód i pragnienie. Nadal była przykuta do ściany. Musi się pospieszyć, bo kiedy nastaną ciemności, nie będzie widziała, co robi.

Obdarty ze skóry nadgarstek i część dłoni wyglądały potwornie, mimo to ponownie chwyciła za kawałek plastiku i kontynuowała samookaleczenie. Podczas snu z rany sączyła się krew, teraz zakrzepła w brązową skorupę, tworząc przeciwieństwo tego, co chciała osiągnąć. Stanowiła przeszkodę.

Kiedy ciepła krew ponownie popłynęła, roztarła ją po powierzchni dłoni i znów spróbowała wyrwać się z obręczy kajdanek. Poczula tak przeszywający ból, że łzy spłynęły jej po twarzy, zacisnęła jednak zęby. Musi się stąd wydostać, teraz, po prostu musi. Czują, że jeszcze jedna noc i zabraknie jej sił, podda się losowi i umrze przytwierdzona do ściany. Uświadomiła sobie, że ma gorączkę. Ramię zostało zainfekowane, prędzej czy później podobnie stanie się z nadgarstkiem. Choćby z powodu gorączki popadnie wkrótce w stan, w którym sama nie będzie wiedziała, czego właściwie chce.

Ostatnim bolesnym szarpnięciem oswobodziła dłoń z obręczy.

Była wolna.

Przez kilka minut Mandy wpatrywała się w bladym świetle popołudnia we własną dłoń, która, zakrwawiona i obdarta ze skóry, zdawała się do niej nie należeć.

Następnie powoli się podniosła, stanęła na chwiejnych nogach obok posłania, na

którym leżąc, siedząc, kucając, spędziła pięć lub sześć, lub siedem dni, albo jeszcze więcej, sama dokładnie nie wiedziała. Krew ledwo krążyła w jej ciele, przez kilka sekund ściany wirowały wokół niej, nogi dygotały, wydawało się, że się pod nią załamia. Z wolna jej stan się ustabilizował. Jakie to szczęście być młodym. Mandy domyślała się, że starszy człowiek już dawno by umarł albo nie byłby w stanie nic zdziałać. Podeszła do okna i wyrzała na zewnątrz. Pręty krat, już je widziała. Za nimi dokładnie to, czego się obawiała: kompletne pustkowie. Płaskowyż, po którym hulał wiatr. Przyginana do ziemi bladożółta trawa. Gdzieś w oddali stykały się z sobą niebo i ziemia, zza ławic chmur wylaniała się ostatnia poświata dnia. A więc zachód. Odkrycie to na nic się jednak zdało. Żadnego domu, żadnej chaty, zupełnie nic. Nigdzie żywego ducha. Oprócz niej.

Podeszła do drzwi, szarpnęła. Ani drgnęły. Zastanawiała się, czy zamek da się otworzyć za pomocą kawałka plastiku. Pewnie nie, lecz może znajdzie gdzieś jakieś lepsze narzędzie.

Drugi korytarz prowadził do dwóch innych pomieszczeń. Mandy próbowała naciskać różne włączniki, nic to jednak nie dało. Brak prądu. Ta przeklęta chata została przed laty opuszczona przez Bóg wie kogo, od tego czasu nic tu nie działało. Z pewnością odcięto też dopływ wody, w przeciwnym razie nie trzeba by jej za każdym razem przynosić. W niewielkim pomieszczeniu, które musiało służyć za kuchnię, Mandy przekręciła kurek.

Nic.

Rozejrzała się wokół. Kilka szafek wiszących na ścianach, poniżej zlew, kuchenka. Pojedyncze krzesło. Ustawione jedna na drugiej skrzynki po napojach. Mandy podnosiła jedną po drugiej, dokładnie sprawdzała butelki. Wszystkie były puste. Pozostałe w nich krople już dawno wyparowały.

Otwierała po kolei wszystkie szuflady, lecz nie znalazła w nich nic prócz kilku plastikowych zakrętek do butelek, gumek, słomek do picia oraz zwiniętej girlandy świetlnej z drobnymi kolorowymi żarówkami.

– Co to za przeklęty dom? – zapytała Mandy na głos.

Gdy wyrzała przez kuchenne okno, zobaczyła morze. Ciemne, drobne korony piany unoszące się na falach. Musi znajdować się wysoko ponad zatoką. Utwierdziła się w przekonaniu, że pierwotnie musiało to być schronisko dla wędrowców. Można tu było przysiąść, napawać się widokiem, kupić coś do jedzenia i picia. Latem ludzie całymi chmarami wędrują po tych cholernych nadbrzeżnych ścieżkach. Teraz jednak nastąpiła jesień. Coraz wcześniej zapadał zmierzch. Niewielka szansa na spotkanie

turystów.

Zastanawiała się, czy powinna spróbować wybić kuchenne okno, ciskając w nie skrzynką po napojach. Ono także było zakratowane, a to oznaczało, że nie wydostanie się przez nie na zewnątrz, mogłaby jednak krzykiem zwrócić na siebie uwagę jakiegoś piechura, który o tej porze roku zablądził w te strony. Pomysł ten jednak zarzuciła. Wewnątrz panował nieznośny ziąb. Jeśli rozbije szybę w oknie, prawdopodobnie zamarznie. Tym bardziej że nie było drzwi, które mogłaby zamknąć przed napierającym do wnętrza wiatrem. Do najbliższego poranka i tak nikt nie będzie tędy przechodził. A za dnia ponownie rozważy sens rozbicia szyby.

W drugim pomieszczeniu mieściła się toaleta, umywalka i niewielka plastikowa kabina prysznicowa. Przez wąskie okno przy samym suficie do środka wpadało niewiele światła. Tutaj także nie było drzwi, choć w ścianie tkwiły zawiasy. Dlaczego drzwi zdjęto? Żeby zachować kontrolę. Nikt nie mógł się tu zamknąć i zabarykadować.

– Jakie to chore – mruknęła Mandy.

W ostatnich promieniach zmierzchającego dnia przetrząsnęła zdesperowana niewielką łazienkę w poszukiwaniu wody. Z kranów przy umywalce nie popłynęła ani kropla, podobnie z prysznicą. We wszystkich kątach pleśniała się pleśń. Widok był tak odrażający, że Mandy szybko zatrzęsła drzwi kabiny i upewniła się, że są szczelnie zamknięte. Jakby pleśń mogła stamtąd wypełznąć i ją połknąć.

– O Boże – mruknęła – o Boże.

Ostatnia nadzieja to spłuczka toalety. Napęlnia się automatycznie po ostatnim użyciu. W tej cholernej chacie zakręcono dopływ wody, lecz być może zbiornik zdążył się przedtem wypełnić wodą. Zapaskudzony, nie zachęcał, by z niego skorzystać, lecz Mandy trawiło tak potworne pragnienie, że zdołała się przemóc. Był jednak pusty. Pusty i wyschnięty.

– Niech to szlag – rzuciła. Dobrze czasem pogadać ze sobą. Człowiek nie czuje się wtedy taki samotny.

Jeśli się dobrze zastanowić, spłuczka była jednak *przedostatnią* nadzieją. Pozostała jeszcze sama toaleta. Najbardziej koszmarna ze wszystkich możliwości, a jednak lepsze to niż skonać z pragnienia. Uniosła klapę.

Nic. Ani kropli wody.

Pewnie wszystko wyparowało.

– Albo ktoś inny wszystko wypił – powiedziała do siebie Mandy. W łazience nie było lustro, lecz nie wątpiła, że ujrzałaby w nim, jak bardzo właśnie pobladła.

Bądź co bądź nie była jedyną, którą tu więziono. Kiedy to sobie uświadomiła, nie potrafiła pojąć, dlaczego wcześniej na to nie wpadła.

Co się stało z pozostałymi?

5

– No więc, *tym* ludziom naprawdę nie sposób cokolwiek zarzucić – oznajmił pośrednik nieruchomości z lekkim zniecierpliwieniem w głosie, zauważył bowiem u Kate cień niezdecydowania. – Oni naprawdę zakochali się w pani domu!

Kate skinęła głową. To prawda. Dwie kobiety, które razem adoptowały trzyletnią dziewczynkę z Rosji, były w trakcie drugiej procedury adopcyjnej i szukały domu z ogrodem. Były nim zachwycone, dom wydał im się uroczy, rozkład pokoi doskonały, a ogród wspinały. Zaczęły już nawet planować, gdzie posadzą warzywa, rozważały miejsce, w którym powinna zawisnąć huśtawka. Bez wątplenia dom rodzinny Linville'ów przeszedłby w godne ręce.

– Czy najpóźniej w poniedziałek da mi pani znać, czy sprzeda im dom? – indagował pośrednik. – Skoro chce to pani przez weekend przemyśleć.

– Odezwę się – obiecała Kate. Pożegnała się, po czym weszła do kuchni, oparła się o drzwi i wyjrzała do ogrodu. Dostrzegła tylko jego zarys. Mrok szybko zapadał.

Będzie musiała omówić to z Davidem, a tego właśnie najbardziej się obawiała. Jakby chciała go zmusić do podjęcia spiesznej i pochopnej decyzji – z myślą o sobie, o ich związku, o przyszłości. Nie mogła jednak zignorować trudności, jakie wynikną ze sprzedaży domu, ani ich sama rozwiązać. Jeśli pozbędzie się domu, nie będzie mogła dłużej mieszkać w Scarborough. A co, jeśli rzeczywiście postanowi ubiegać się o pracę w miejscowej policji? Mogła rzecz jasna kupić lub wynająć inne lokum, to jednak wydało jej się absurdalnym posunięciem, zważywszy że dom już ma i z ciężkim sercem się go pozbywa. Jeśliby związek z Davidem miał potrwać dłużej, sensownie byłoby dom zatrzymać i postarać się w pracy o przeniesienie na północ. W tej sprawie musi jednak z nim pomówić. I w końcu wyjawić mu całą prawdę o swoim zawodzie. Niekończące się wyczekiwanie w pustym domu stawało się kosztowną przyjemnością. Nie mogła sobie dłużej na to pozwolić.

Westchnęła. Towarzyszyło jej przy tym nieprzyjemne uczucie, które desperacko usiłowała w sobie stłumić, ów wewnętrzny znak zapytania przejmujący ją lękiem, choć pojawiał się tylko na chwilę. Irytujące pytanie brzmiało: *Dlaczego David nie podejmuje*

tego tematu? Wiedział, że zamierzała sprzedać dom. Wiedział, że tego popołudnia miała ponowne spotkanie z nabywcami. Wiedział, że w każdej chwili może dojść do transakcji, a wtedy Kate straci swoją przystań w Scarborough. Że tak czy inaczej będzie musiała wracać do Londynu. Co on sobie myślał? Że będą się spotykać w weekendy, u niej w Londynie albo u niego w Scarborough? Wiązałoby się to za każdym razem z długą i uciążliwą podróżą. Z drugiej strony wiele par prowadzi takie właśnie życie i przynosi im ono satysfakcję. Kate pomyślała jednak, że David powinien przynajmniej o to *zagadnąć*. Tymczasem zachowywał się tak, jakby problem nie istniał, jakby ich życie miało trwać bez końca w obecnym kształcie. Odniosła wrażenie, że nie miał ochoty mierzyć się z trudnościami i zostawił ją z nimi sam na sam.

Bo nie chciał ponieść konsekwencji? Bo nie traktował tego związku równie poważnie jak ona? Albo może po prostu był innym typem człowieka? Bardziej luzackim, beztroskim, kimś, kto zakłada, że problemy same się rozwiążą, wystarczy je odpowiednio długo ignorować.

A jednak nie zawsze rozwiązują się same, przypomniał jej wewnętrzny głos. David także musiał o tym wiedzieć. Winien uznać to za nader istotne i nie zachowywać się tak, jakby go to nie dotyczyło.

Na chwilę przyłożyła rozgorączkowane czoło do chłodnej szyby prowadzących na taras drzwi. Jeszcze dziś wieczorem będzie musiała poruszyć ten temat. Na samą myśl o tym przeszły ją ciarki.

Wzdrygnęła się, gdy nagle zadzwonił dzwonek do drzwi. Zerknęła na zegarek: dochodziła piąta. Któż to może być?

Podeszła do drzwi, otworzyła.

W progu stał Caleb Hale.

– Witaj, Kate. Mogę ci zająć chwilę?

Nie miała zbytnej ochoty na rozmowę, gdyż oczywiście będzie jej robił wyrzuty. Bez przekonania cofnęła się o krok.

– Właściwie to zaraz wychodzę...

– Dziesięć minut – poprosił Caleb.

Wprowadziła go do pustego pokoju dziennego i wskazała ręką na jedno z dwóch krzeseł kempingowych stojących przed kominkiem.

– Proszę. Niestety nic więcej nie mogę zaproponować.

Przystanął i rozejrzał się dokoła.

– A więc naprawdę sprzedaje pani dom.

– Oczywiście – odparła Kate, choć w obliczu zmian w jej życiu prywatnym nie było to wcale tak oczywiste. – Właśnie miałam wizytę kolejnych nabywców. Najprawdopodobniej im właśnie oddam dom.

Skinął powoli głową.

– A już przypuszczałem, że ma pani nagły powód, by przynajmniej jedną nogą pozostać w Scarborough.

– Na pozostanie tu jedną nogą pusty dom jest za drogi – odparła Kate. – Na to nie mogę sobie niestety pozwolić.

Ponownie skinął głową.

– Davida Chaplanda nie poznała pani oczywiście przypadkowo – powiedział po chwili. – I nie bez powodu przekonała go pani, że jest dziennikarką.

Nie odpowiedziała.

– Nie może pani tego zostawić, prawda? – zapytał Caleb.

Znów nic nie odpowiedziała. Poczula się zmęczona. Zdeprymowana. Nie chciała podejmować rozmowy o przekraczaniu kompetencji. Nie miała ochoty niczego wyjaśniać ani się usprawiedliwiać. Miała na głowie mnóstwo innych spraw.

– No cóż – odezwał się Caleb – przynajmniej mogę pani przekazać dobrą wiadomość: jeśli miała pani jeszcze jakieś podejrzenia albo obawy, że David Chapland mógłby być w jakiś sposób wplątany w sprawę Amelie Goldsby, może pani spać spokojnie. W zasadzie nie ma już sprawy Amelie Goldsby.

Choć była zmęczona, zdołał przykuć jej uwagę.

– Czyżby?

– Przynajmniej nie w tej formie, o jakiej dotychczas myśleliśmy. To się zmieniło minionej nocy.

– Czy Amelie się odnalazła?

– Tak.

– Dzięki Bogu! – wyznała żarliwie Kate.

Caleb wreszcie usiadł na krześle.

– Ma pani może coś do picia? Mam na myśli coś *porządnego*.

– Caleb, nie wiem, czy to...

– Ma pani czy nie?

Weszła do kuchni, wróciła z butelką whisky oraz dwoma papierowymi kubkami, naląła i usiadła naprzeciw Caleba. Ten opróżnił swój kubek jednym haustem.

Następnie opowiedział o Amelie Goldsby. I o Alexie Barnesie. O wyciągnięciu jej z morza. I wszystkim innym.

Kate kompletnie osłupiała.

– To niemożliwe. Nic nie było prawdą. Nic z tego nie było prawdą! Dobry Boże. Biedni rodzice.

– Nikt by nie pomyślał, że może ich spotkać coś straszniejszego – przyznał Caleb. – Potwornie to nimi wstrząsnęło. Strach, zmartwienia, rozpacz... a wszystko to zgotowała im własna córka. Bez mrugnięcia powieką.

– Była zakochana – odparła Kate. – Pewnie do szaleństwa.

– Barnes to facet pozbawiony wszelkich skrupułów. Niepojęte, jak mógł jeszcze potem wyciągnąć od nich pieniądze. Pomijając to, cała ta sprawa go przerosła. Już dawno chciał się od Amelie uwolnić, lecz ona, nie zdając sobie pewnie z tego sprawy, miała go w garści. Nie mógł jej ot tak, zwyczajnie zostawić, ryzyko, że zrozpaczona wszystko komuś wyjawia, okazało się po prostu zbyt wielkie. Nie panując nad sytuacją, popadał w coraz większe tarapaty. Trafi na jakiś czas do więzienia.

– Amelie pewnie też nie wyjdzie z tego obronną ręką – dodała Kate.

– Owszem. Już samo utrudnianie pracy policji... Nieprawdziwa historia jej uprowadzenia, zmyślony portret pamięciowy rzekomego porywacza... Całymi tygodniami przyjmowaliśmy całkiem fałszywe założenia, podążaliśmy błędnym tropem... – Zamilkł na chwilę. – To *ja* podążałem niewłaściwym tropem – dodał znużony. – To *ja* nie zauważyłem, że była to jedynie gra. Ja za to odpowiadam.

– Nikt się nie domyślił, że Amelie plecie bzdurne historie – odparła Kate – nawet psycholożka, która codziennie z nią rozmawiała. Proszę nie robić sobie z tego powodu wyrzutów.

– Widocznie Amelie rzeczywiście popadła w głęboką traumę, kiedy zawisła nad wodą, a Alex Barnes nie mógł jej wyciągnąć na brzeg – stwierdził Caleb. – Nie zaplanowali aż tak dramatycznego przebiegu wydarzeń, sprawy przybrały zły obrót i Amelie zdjął śmiertelny strach. To dlatego podczas rozmów z psycholożką sprawiała tak przejmujące wrażenie. Ta część jej historii nie była zmyślona. Nie potrafiła przezwyciężyć koszmaru, jaki przeżyła we wzburzonym morzu. Była absolutnie wiarygodna, gdyż opowiadała o swoich autentycznych przeżyciach i lękach. Tym sposobem doskonale mogła ukryć resztę historii. Przypuszczam, że gdyby dokładniej opowiedziała nam o uprowadzeniu, prędzej natrafilibyśmy na sprzeczności i nedorzeczności. Tak daleko jednak nie dotarliśmy.

– Szczwana z niej dziewczyna – odparła Kate.

– Można tak powiedzieć – przyznał Caleb. Kate dostrzegła jego tęskny wzrok skierowany na butelkę whisky, lecz udała, że tego nie widzi. Czasem Caleba trzeba było chronić przed nim samym.

– Znaleźliśmy się w punkcie wyjścia – stwierdził Caleb. – Nie wiemy, kto zamordował Saskię Morris. Na dobrą sprawę nie sposób mówić o seryjnym zabójcy. A w tej sytuacji musimy założyć, że porwanie i zamordowanie Saskii Morris nie było przypadkowe, a więc nie została uprowadzona przez jakiegoś typa polującego na młode dziewczęta, bo znalazła się w niewłaściwej chwili w niewłaściwym miejscu. Musimy ponownie prześwietlić jej najbliższe otoczenie. – Umilkł na chwilę, po czym dodał ponuro: – Co zresztą już wówczas zrobiliśmy, tuż po jej zniknięciu. Bez rezultatu.

– Jest jeszcze Hannah Caswell – przypomniała ostrożnie Kate. – I być może inne.

– Mandy Allard?

– Kim jest Mandy Allard?

– Dziewczyna uznana za zaginioną. Ale to zupełnie inny przypadek. Uciekła z domu po tym, jak zaatakowała ją własna matka. Przez chwilę ją namierzaliśmy, ale ostatnio nic nie wskazywało na to, że ma jakiś związek ze sprawą Saskii Morris. Wygląda na to, że świadomie gdzieś się zaszyła i nie chce wracać do domu. Co zrozumiałe, zważywszy na jej sytuację rodzinną.

– Z jakiegoś jednak powodu zainteresował się pan tą sprawą. Dlaczego?

Potrząsnął głową.

– To już się wyjaśniło. Naprawdę. Poza tym... To nie jest pani sprawa, Kate. Jak dotąd nie poczyniłem jakichś ogromnych postępów, lecz mimo wszystko to moje śledztwo.

– Wiem – zapewniła Kate. Krótkotrwały impuls, by opowiedzieć mu o pobycie Ryana Caswella w klinice psychiatrycznej, naraz przygasł. Nie był w stosownym nastroju do takiej rozmowy, jeszcze by się zezłościł.

„Sama to zbadam, a potem... zawsze zdążę go o wszystkim poinformować” – postanowiła w myślach.

Caleb zrozumiał, że nie dostanie więcej whisky, wstał.

– Cóż, chciałem pani tylko powiedzieć, jak zakończyła się sprawa Amelie Goldsby – oznajmił. – Może odwiedzi pani jej rodziców? Myślę, że przyda im się słowo pociechy.

Kate odprowadziła go do drzwi.

– Tak zrobię – obiecała. – I naprawdę, Caleb, proszę się tak nie zadrećcać. Nikt się nie spodziewał, że Amelie urządzi nam takie przedstawienie. I w jednym miał pan

absolutną rację: nie ufał pan Alexowi Barnesowi. Nigdy nie uznał go pan za szlachetnego wybawcę, lecz przez cały czas sądził, że ma jakieś grzeszki na sumieniu. I miał pan rację. Instynkt pana nie zawiódł.

– Miło to słyszeć, Kate. Spróbuję się tego trzymać.

Odprowadziła go wzrokiem do samochodu. Stąpał ciężkim krokiem, jakby dźwigał na barkach niewidzialny ciężar. Kate domyślała się jaki: to nierozwikłana sprawa Saskii Morris. Oraz fakt, że będzie musiał się tłumaczyć przed przełożonymi. Ze straconego czasu i poniesionych kosztów. Znalazł się w sytuacji nie do pozazdroszczenia.

Zamknęła drzwi i weszła do kuchni. Z leżącego na parapecie bloczku wyrwała kartkę papieru i zanotowała nazwisko.

Mandy Allard.

Wciąż je odczytywała. W myślach.

To nieprawda, że mi jej nie żal. Mandy. Przeciwnie. Sporo o niej myślę, o tym, jak się czuje. Przykuta do ściany... głodna... spragniona... zmarznięta...

Biedne dziewczę.

Dręczy mnie poczucie winy, ale kiedy się nad tym zastanawiam, muszę przyznać, że Mandy sama jest sobie winna. Nie musiała mnie odrzucać tak szorstko i obraźliwie. Kiedy tylko pomyślę, jak wulgarnie mnie zwymyślała... Ja oferuję jej cudowną, bezpieczną przyszłość, a ona tak mi się za to odwdzięcza. Nie powinna się dziwić, że odchodzę i nie chcę mieć z nią do czynienia. Mam w sobie wiele zrozumienia i cierpliwości, ale jestem tylko człowiekiem. Nie pozwolę się tak traktować.

Oczywiście, wybrała trudną ścieżkę. Czasem się zastanawiam, czy nie można by jej skrócić. Nie mam sadystycznych skłonności. Nie uważam, by powolne umieranie z głodu i pragnienia było przyjemne. Lecz co mam zrobić? Nie zdołam jej zabić siekierą. Nie potrafię.

Chociaż... prawdopodobnie jest już osłabiona... absolutnie bezbronna... Pewnie nie będzie stawiać oporu. To by ułatwiło sprawę. Być może.

Idę do kuchni, rozglądam się. Patrzę na zestaw noży obok piekarnika. Noże są duże i ostre. Nietrudno by było to zakończyć. Błyskawiczne cięcie w szyję – i po wszystkim.

Wychodzę z kuchni, a jednak w pokoju dziennym zawracam. Pomysł z nożem to kretynizm, przesadny i teatralny. To nie dla mnie. Patrzę na moje dłonie. Rozglądam się po kuchni, znów wracam do pokoju dziennego, szukam czegoś odpowiedniego. By zabić człowieka. Stopniowo myśl ta się we mnie utwierdza. Może Mandy szczególnie mnie rozzłościła. Obrzuciła mnie tak okropnymi wyzwiskami, głęboko zraniła swoimi złośliwymi, negatywnymi uwagami. Wyobrażam sobie, jak jadę do tego domu. Jak otwieram drzwi. Mandy się podnosi, z nadzieją. Pewnie od dawna myśli wyłącznie o jedzeniu, a przede wszystkim o wodzie do picia. Pomyśli, że ją ode mnie dostanie. Skulona pod ścianą, z ręką przykuta łańcuchem, patrzy na mnie pełna nadziei, oczekiwania. Może po raz pierwszy ujrzę w jej oczach coś w rodzaju... wdzięczności. Może wreszcie będzie szczęśliwa na mój widok.

Ta myśl mnie ożywia. To dobre uczucie, bardzo dobre.

Ale ja wcale jej nie wybaczę. Zrozumie to, kiedy do niej podejde. Ujrzy to w moich oczach.

Będzie krzyczeć. Błagać. Zaklinać. Przylgnie do ściany. Będzie szarpać za łańcuch.

Jest bezbronna. Całkiem bezbronna.

Aż w końcu wyświadczę jej tę łaskę. Pewnie tego nie rozumie, nie potrafi tego docenić, ale

tak właśnie jest. I dlatego nie muszę czuć żadnych wyrzutów.

To dobry uczynek, miłosierny.

Patrzę przez okno. Zapada zmrok. A tam nie ma światła, nie ma prądu.

Zaczekam do jutra.

Piwnica. Może do niej zejdę po wizycie u Mandy.

Piątek, siedemnasty listopada

1

Uśmiech nie zniknął z jej twarzy ani na chwilę, miała wrażenie, że każdy, kto ją napotka, pomyśli, że zwariowała. Czterdziestodwuletnia kobieta, która pewnego pochmurnego dnia podążała po coraz bardziej opustoszałych drogach w kierunku północnym, nieustannie uśmiechała się od ucha do ucha. Nie mogła jednak przestać. Kiedy tylko powracała myślą do minionego wieczoru i nocy – a robiła to praktycznie bez przerwy – uśmiech na jej twarzy tylko się pogłębiał.

Przeżyła cudowną, namiętą i ekscytującą noc, przede wszystkim jednak to wieczór rozwiął wszelkie dręczące ją obawy i troski. Wyznała to, co leżało jej na sercu – prawie wszystko. Nadal nie wyjawiała prawdziwego charakteru swojego zawodu. To była drobna kropla goryczy, lecz nie chciała przesadzić. Powiedziała mu jednak, że pojawili się klienci poważnie zainteresowani kupnem domu i będzie musiała powziąć decyzję.

– To mili ludzie. Zapłacą cenę, jakiej się spodziewałam. Mam się zdecydować do poniedziałku.

David spojrział na nią zdumiony.

– Brzmi nieźle. Czemu zatem się wahasz?

Zdobyła się na odwagę.

– Ze względu na nas. Nasz związek. Mieszkam i pracuję w Londynie. Nie będę już miała gdzie się zatrzymać.

– Zamieszkaż u mnie, to chyba jasne.

– David, to nie takie proste. Nawet nie wiemy...

Dotknął nad stołem jej dłoni.

– Sprzedaj dom, Kate. Odwagi! Wszystko się ułoży.

Następnie obszedł stół i wziął ją w ramiona. Pocałował. Poprowadził do sypialni. Nic więcej nie mówili. Ale wszystko właściwie zostało powiedziane.

„Postaram się o pracę w wydziale śledczym w Scarborough – pomyślała. – Będę współpracować z Calebem”.

Mimowolnie uśmiechnęła się na myśl, że wówczas zniknie wreszcie ostatni

niefortunny temat ich rozmów – jej skłonność do mieszania się w jego dochodzenia. Oficjalnie zostaliby kolegami, wspólnie prowadziliby śledztwa. Również i ta myśl napęliła ją błogim poczuciem szczęścia. Nowy początek. Pod każdym względem. Nowa praca, nowy związek...

– Któż by pomyślał, Kate – powiedziała, ze zdumieniem obserwując we wstecznym lusterku swoją rozpromienioną twarz. – Szczerze mówiąc, nigdy nie sądziłaś, że to możliwe!

Myśl o nowej pracy przywróciła ją do rzeczywistości. Obserwowała okolicę. Minęła już Newcastle, jechała drogą lokalną. Rzadko napotykała inne pojazdy. Wokół roztaczał się jałowy, monotony krajobraz.

Co tu właściwie robiła? Szukała informacji na temat Ryana Caswella i kliniki, w której przebywał, a tym samym wtrącała się do sprawy prowadzonej przez Caleba, która nie powinna jej w ogóle obchodzić. Zaczęła się zastanawiać, czy to stosowne, zważywszy, że zamierza ubiegać się u niego o posadę. Może lepiej będzie się wycofać. Sprawa Amelie Goldsby się wyjaśniła. Przypadek Hannah Caswell być może nigdy nie zostanie rozwikłany, minęło już tyle lat. Morderca Saskii Morris wciąż pozostawał na wolności, lecz Caleb i jego ludzie dołożą wszelkich starań, by go złapać. Kate wcale nie była im do tego potrzebna.

Miała dość własnych spraw na głowie, którymi koniecznie musiała się zająć. Może powinna zostawić to dochodzenie ludziom, którzy byli za nie odpowiedzialni.

Wypatrywała miejsca, w którym powinna skręcić. Zobaczyła tablicę. *Chamberfield Clinic, three miles.*

Zawahała się. Była prawie na miejscu. Pokonała taki szmat drogi...

Okay. Pojedzie tam. Wypyta o Ryana Caswella. I tyle. Potem się wycofa.

Chamberfield, choć podobnie jak Trescott Hall, dom opieki dla starszych ludzi, położone w odosobnieniu, sprawiało jednak całkiem odmienne wrażenie. Co prawda niezupełnie nowoczesne, nie było jednak tak nadszarpnięte zębem czasu. Budynek, pozbawiony wymyślnych zdobień, prosty i praktyczny, pochodził zapewne z lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Nieco ponury w swym charakterze podporządkowanym wyłącznie funkcjonalności, lecz zadbane i czyste, o świeżo otynkowanych ścianach zewnętrznych i dużych oknach, które z pewnością wpuszczały do wnętrza sporo światła i były szczelniejsze od wypaczonych okien w Trescott Hall. Przed gmachem mieścił się duży, wyasfaltowany parking, na którym stało kilka samochodów. Z tyłu budynku Kate dostrzegła park, którego część była wydzielona wysokim na kilka metrów parkanem. Do Chamberfield trafiali ciężko chorzy pacjenci,

mieścił się tam również oddział dla skazanych stanowiących zagrożenie dla bezpieczeństwa publicznego. Zastanawiała się, czy Ryan Caswell przebywał w tej odizolowanej części kliniki, z trudem jednak mogła to sobie wyobrazić. Caleb Hale z pewnością by się o tym dowiedział w trakcie dochodzenia prowadzonego w sprawie Hannah, wiadomość ta przypuszczalnie przedostałaby się też do mediów, które dokładnie by ją prześwieciły. Ryan najprawdopodobniej nie trafił tu z sądowego wyroku. Co wcale nie oznaczało, że nie wykazywał ciężkich zaburzeń psychicznych.

Zaparkowała, wysiadła z samochodu. Przeszywający wiatr natychmiast zmroził wszystkie jej członki, zmarznięta mocniej naciągnęła płaszcz. Zabrzęczała jej komórka, zerknęła na ekran, w nadziei, że David przesłał jej wiadomość. Okazało się, że to Colin znowu odezwał się na WhatsAppie.

Uważasz za stosowne, by nie odpowiadać? To bardzo wygodne rozwiązanie, zwyczajnie zamilknąć, po wszystkim, co między nami...

Westchnęła i skasowała wiadomość. Miała dość tych jego tyrad wściekłości.

– Między nami nic nie było, do jasnej cholery – powiedziała na głos.

Przeszła przez parking, zamierzała otworzyć duże przeszklone drzwi wejściowe do budynku, stwierdziła jednak, że trzeba najpierw zadzwonić.

Po minucie rozległ się w głośniku głos mężczyzny.

– Tak?

– Sierżant Kate Linville, Metropolitan Police. – Jej jedyna szansa. Wiedziała, że innym sposobem nie zdoła otworzyć tych drzwi. I nikt nie udzieli jej jakichkolwiek informacji.

– Metropolitan Police? Scotland Yard?

– Tak. Może pan otworzyć?

– O co chodzi?

– Proszę otworzyć drzwi.

Po kilku sekundach zabrzączał mechanizm zamka. Kate weszła do holu. Lata siedemdziesiąte, bez wątpienia. Drewniana boazeria na suficie i ścianach. Duże, kuliste, pomarańczowe lampy. Zielone linoleum na podłodze. Przynajmniej wewnątrz było ciepło. Pachniało środkami dezynfekującymi i jakimś sprayem. Lawenda, jeśli dobrze rozpoznała. Dziwna mieszanka, lecz całkiem przyjemna. Odnosiło się wrażenie czystości i świeżości, a to pasowało do takiego miejsca.

Podszedł do niej starszy mężczyzna, wyglądał na bardzo zmęczonego, jakby udręczonego przez zmartwienia, których rozwiązania dawno już poniechał. Głęboko

naznaczyły rysy jego twarzy. *Dr Stephen Alscott* widniało na wywieszce w klapie marynarki. Lekarz. Może było się skazanym na chroniczne przygnębienie, jeśli przez całe życie miało się do czynienia z chorymi psychicznie.

– Sierżant Linville?

Pokazała legitymację, ledwo rzucił na nią okiem.

– Jestem doktor Alscott. W czym mogę pomóc?

Chyba nie zamierzał zaprosić jej do gabinetu lub innego miejsca, gdzie mogliby usiąść. Stali naprzeciw siebie w opustoszałym holu. Prawdopodobnie nie miał czasu.

– Chodzi o pańskiego dawnego pacjenta – oznajmiła Kate. – Ryana Caswella.

Doktor Alscott lekko potrząsnął głową.

– Nie możemy ujawniać żadnych informacji o naszych pacjentach. Obowiązuje nas tajemnica lekarska.

– Być może grozi nam niebezpieczeństwo.

– Mimo wszystko. Bez nakazu sądowego... a nawet wtedy...

Nie zajmując się oficjalnie tą sprawą, Kate nigdy nie zdobyłaby sądowego nakazu.

– Nie chcę znać szczegółów. Na temat terapii i tak dalej. Chciałabym tylko wiedzieć, dlaczego tu przebywał. I jak długo.

Alscott wyglądał na znużonego.

– Także i o tym właściwie nie wolno mi mówić...

– Doktorze Alscott, chodzi o dziewczynę, którą porwano i zamordowano. To naprawdę ważne, by wiedzieć, z jakiego powodu trafił tu Ryan Caswell.

Alscott zamyślił się, po czym zmarszczył czoło.

– Ryan Caswell... Nie był naszym pacjentem. Ależ oczywiście, z początku nie mogłem skojarzyć tego nazwiska. Ryan Caswell był tu zatrudniony jako dozorca.

– Ach – odparła zdumiona Kate. W ogóle nie pomyślała o tym, że Ryan mógł tu pracować, a nie przebywać jako pacjent.

– W każdym razie było to dawno temu – ciągnął Alscott. – Jakies dwadzieścia lat.

Kate się zamyśliła. *Nie zrobił nic złego*, powtarzała matka Ryana w związku z jego pobytem w klinice. Czyżby chciała wyjaśnić, że jej syn nie trafił tam z powodu jakiegoś uchybienia, lecz podjął pracę? Czy może coś jednak było na rzeczy...? Jakies podejrzenie... cokolwiek.

– Dlaczego stąd odszedł? – zapytała Kate.

Alscott zastanawiał się przez chwilę.

– Zaczęłam tu pracować, gdy on został już zwolniony. Coś się wydarzyło... miało to związek z jakąś pacjentką...

Kate poczuła przyspieszone bicie serca. Wiedziała, że Ryan Caswell kryje w sobie jakąś dziwną tajemnicę, coś niepokojącego. Pod płaszczkiem szorstkiego, nieprzychylnego sposobu bycia. Czy miał romans z którąś z pacjentek? Bardzo młodą pacjentką? Tylko nieznacznie starszą od Hannah w chwili jej zaginięcia? Od Saskii? Czy Ryan Caswell miał skłonność do bardzo młodych dziewcząt?

– Zapytam doktora Manneringa – zaproponował nagle Alscott. – Pracuje tu od wieków. Z pewnością będzie wiedział więcej.

Wyszedł z holu, wrócił po kilku minutach razem z innym mężczyzną, jeszcze starszym, lecz wyglądającym na mniej wyczerpanego i przybitego. Mężczyzna ów mocno uściśnął dłoń Kate.

– Pani ze Scotland Yardu, jak twierdzi mój kolega? Jestem doktor Mannering, opoka tej kliniki. W czym mogę pani pomóc?

– Chodzi o Ryana Caswella – wyjaśnił Alscott. – Szuka go policja i...

– Nie szukamy go – poprawiła Kate. – Ma stałe miejsce zamieszkania, tam też przebywa. Chodzi jedynie o sprawdzenie pewnych kwestii. Związanych z jego pobytom w tej klinice.

– Dziwne to nagłe zainteresowanie ze wszystkich stron – odparł Mannering. – Caswellem i tą jego historią. Przez całe dziesięciolecie nic... a tu nagle dwie wizyty w przeciągu kilku dni.

Kate zmarszczyła czoło. Dwie wizyty? Czyżby Caleb tu był? Albo ktoś z jego ludzi?

– Kto jeszcze wypytywał w tej sprawie?

– Krewny pacjentki, z powodu której Caswell wtedy wyleciał – wyjaśnił Mannering. – Stosunkowo młody mężczyzna.

– Wypytywał o Ryana Caswella?

– Właściwie to pytał głównie o nią. O pacjentkę, jego daleką kuzynkę. O jej chorobę. Wykazywał nieco inne zainteresowanie niż pani. Oczywiście nie przekazaliśmy mu żadnych informacji.

Kate usiłowała uporządkować nowiny zasłyszane w ciągu ostatnich minut. Wszystko wyglądało na bardziej skomplikowane, niż się spodziewała, czuła jednak, że jest coraz bliżej rozwiązania zagadki. Że znalazła koniec nitki prowadzącej do kłębka. Albo przynajmniej że nitka znalazła się w zasięgu jej ręki.

– Caswell musiał odejść z powodu pacjentki? Domyślam się, że wdał się z nią

w romans?

– Zgadza się. To oczywiście nie miało prawa się zdarzyć. Bardzo młoda kobieta, siedemnastoletnia. Typ maniakalno-depresyjny. Coś takiego jest nie do pomyślenia, to absolutnie wykluczone. Żeby ktoś z personelu romansował z pacjentką. Kiedy to odkryliśmy, Caswell musiał natychmiast pakować manatki. Odstąpiliśmy od złożenia doniesienia o przestępstwie, żeby nie niszczyć mu życia. Ale niezwłocznie stracił pracę.

– Rozumiem. Kim była ta pacjentka?

– Nie mogę ujawnić jej nazwiska.

– Mówi pan, że miała siedemnaście lat? Czy leczą się tu także młodociani?

– Tak naprawdę nie jesteśmy kliniką psychiatryczną dla młodzieży – wyjaśnił Mannering – ale czasem zdarzają się wyjątki. Ta pacjentka miała swojego terapeutę, który ubiegał się u nas o pracę i został zatrudniony, to on ją tu przywiózł.

– Jak długo tu przebywała?

– Dwa lata.

– Czy dobrowolnie wdała się w romans z Caswellem? Czy może on ją do tego przymusił?

Mannering się zawahał.

– Ona tego chciała. Ale była zbyt chora, brała też zbyt dużo leków, by można mówić o świadomej decyzji. W swoim ówczesnym stanie nie potrafiła właściwie ocenić wagi spraw.

Kate była coraz mocniej przekonana, że zbliża się do rozwikłania zagadki, musi tylko wyciągnąć właściwe wnioski i poprawnie ustalić powiązania, a wtedy dotrze do prawdy. Wciąż jednak miała przed sobą gąszcz niejasności. Nieprzenikniony.

– Ten terapeuta, który przywiózł tu pacjentkę i pewnie też się nią zajmował... Czy mogę z nim pomówić?

– Odszedł już na emeryturę – wyjaśnił Mannering. – Ale mogę podać pani jego nazwisko i adres. Wydaje mi się, że nadal mieszka w Newcastle.

– Byłoby miło z pana strony, dziękuję. Co się tyczy Ryana Caswella... – Zrobiła pauzę, zastanawiając się nad właściwym doborem słów.

Obaj mężczyźni patrzyli na nią wyczekująco. A może ze zniecierpliwieniem? Mieli ważniejsze zajęcia niż wystawanie tu razem z nią.

– Nie był więc pańskim pacjentem. A zatem w jego przypadku nie obowiązuje pana tajemnica lekarska.

– Zgadza się – przyznał Alscott.

– Jakie wrażenie wywarł na panach Caswell? Abstrahując od tej historii z pacjentką. Czy stwarzał jeszcze jakieś problemy?

Mannering i Alscott się zamyślili.

– Szczerze mówiąc – odezwał się Mannering – niewielki mieliśmy z nim kontakt. Dość mamy obowiązków z pacjentami. A on był... no cóż, był dozorcą. Mogę natomiast powiedzieć, że okazał się godny zaufania. Troszczył się o wszelkie sprawy, szkody od razu naprawiał, wszystko było w najlepszym porządku. Dobrze wykonywał swoją pracę.

– I niczym nie zwrócił na siebie uwagi? Jakies inne historie z kobietami? Albo bardzo młodymi dziewczętami?

– Z bardzo młodymi dziewczętami? – zapytał poirytowany Mannering.

– Owszem. Czy to możliwe, że miał skłonność do nastolatek?

– Nawet jeśli to prawda, niczego nie zauważyliśmy – odparł Mannering. – Nie znaliśmy jego życia prywatnego. Nic nas nie obchodziło.

– Wie pan może, czy był z kimś w stałym związku?

Mannering wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Nigdy nie pokazywał się tu z kobietą. O żadnej też nie wspominał. Może i sprawiał wrażenie nieco... dziwaczego. Z całą pewnością samotnego. Nie opowiadał o sobie. Zresztą i tak nikt go nie pytał. Po prostu nie wiem. Ryan Caswell, jakkolwiek to zabrzmie, wdarł się do naszej świadomości dopiero wtedy, gdy zdarzyła się ta sprawa z pacjentką.

– Jak to się wydało?

– Opowiedziała o tym swojemu terapeutce.

Kate skinęła głową. A zatem terapeuta.

– Czy mogę poznać jego nazwisko? I adres?

Niecałą godzinę później Kate siedziała naprzeciw doktora Bena Russella. Na szczęście był w domu, nadal mieszkał pod adresem podanym jej w Chamberfield. Niewysoki, szczupły mężczyzna o żywym, baczym spojrzeniu. Wyglądał na inteligentnego i wykształconego. Kate poczuła się niemal speszona. Miała wrażenie, że ledwo na nią spojrział, od razu domyślił się, jakie problemy ją trawią. Choć może tylko to sobie wmawiała, gdyż wiedziała, że zawodowo zajmował się wnikaniem w głąb psychiki człowieka i analizowaniem jego stanów.

– Tak, tak, dobrze pamiętam tę sprawę – oznajmił. Usiadł naprzeciw Kate w niewielkim pokoju dziennym, którego ściany aż po sam sufit zapełniały regały z książkami. zaproponował, że zaparzy herbatę, z wdzięcznością się zgodziła. Musiała zaparkować w pewnej odległości, przeszła spory kawałek w chłodzie i czuła, że niemal przemarzła na kość. W kubku z gorącą wodą pływała torebka z herbatą rumiankową. Napój niekoniecznie o jej ulubionym smaku, ale przynajmniej ciepły.

Także tu wylegitymowała się jako śledcza, od razu ją wpuszczono.

– Tak, pamiętam – powtórzył Russell – nawet bardzo dobrze. To był istny dramat dla całego Chamberfield. Nic dziwnego, to oczywiste. Caswell natychmiast został zwolniony.

– Czy Caswell bardzo zabiegał o tę kobietę?

Doktor Russell się zamyślił.

– Wydaje mi się, że strasznie się w niej zadurzył. Wreszcie jakaś kobieta go nie odrzuciła. Zwyczajnie nie mógł przepuścić takiej okazji.

– Miał problemy z kobietami?

– Nie wiem, czy można to tak nazwać. Ale z pewnością nie był człowiekiem, do którego kobiety lgnęły. Zbyt opryskliwy, milkliwy, zamknięty w sobie. Nieszczerólnie atrakcyjny.

– Czy w okresie, kiedy zaczęła się ta sprawa z pacjentką, w jego życiu była jakaś kobieta?

Russell potrząsnął głową.

– Nie. Z całą pewnością nie. Pewnego razu, wychodząc z kliniki późnym wieczorem, spotkałem Caswella, naprawiał właśnie lampy w holu wejściowym. Pozwoliłem sobie na żartobliwą uwagę z rodzaju: pewnie nie ma ochoty wracać do domu, co na to jego żona? Spojrzał na mnie markotnie i odparł, że nikt na niego nie czeka. Nieważne, kiedy wróci do domu, jeśli w ogóle wróci, i tak nikt tego nie zauważy. To było... – Zawahał się.

– Tak? – zapytała Kate.

– To była bardzo przygnębiająca odpowiedź na zabawne przecież pytanie – przyznał Russell. – Pobrzmiewało w niej rozgoryczenie. Uraza. Rozczarowanie. Nie odniosłem wrażenia, by ten człowiek lubił samotność. Po prostu nie miał szczęścia do kobiet, i to z własnej winy. Mimo to nie potrafił tego zmienić. Rzadko kiedy udaje nam się zmienić sposób postępowania. Jeśli w ogóle.

Kate skinęła głową. Jej nie musiał tego tłumaczyć.

– Gdy w końcu z kimś się związał, nie przemienił się od razu w czarusa – ciągnął

Russell. – Ale nieco się ożywił. Pewnie wreszcie ujrzał przed sobą jakąś perspektywę na przyszłość. Wszyscy lekarze z kliniki uznali jego zachowanie za oburzające, ja natomiast czułem raczej politowanie. Niemal coś w rodzaju... zrozumienia. Nie był pozbawionym skrupułów człowiekiem, który wykorzystał bezradność psychicznie chorej kobiety. Naprawdę tęsknił za miłością. Choć nie sądzę, by kiedykolwiek był zdolny do trwałego związku. Potem straciłem oboje z oczu.

– Oboje?

– Tak. On, jak już mówiłem, został zwolniony, ona zaś jakieś cztery tygodnie później opuściła klinikę i zamieszkała u niego.

– Mogła to zrobić? Opuścić klinikę?

– Cztery tygodnie później skończyła osiemnaście lat. Stała się pełnoletnia. Do kliniki nie została skierowana przymusowo. Miała usposobienie maniakalno-depresyjne i za moją radą dobrowolnie się tam zgłosiła. Oczywiście mogła w każdej chwili odejść.

– I zamieszkała u niego? – zapytała Kate. W jej głowie myśli nabierały kształtu, tworzyły obrazy, powiązania.

– Tak. O ile mi wiadomo, mniej więcej w tym samym czasie wynieśli się z tej okolicy i zaczęli nowe życie. Nigdy więcej się do mnie nie zgłosiła.

– Czy to możliwe, że go poślubiła?

– Tego nie wiem. Ale to możliwe, owszem.

Zaczęła grzebać w odmętach pamięci. Przeczytane artykuły prasowe na temat Hannah Caswell, zebrane informacje, przeprowadzone rozmowy. Imię...

– Linda – powiedziała. – Miała na imię Linda?

Wydawał się zaskoczony, lecz przytaknął.

– Tak.

– W takim razie wyszła za niego za mąż – odparła Kate. Gorączkowo coś rozważała. – Doktorze Russell, czy słyszał pan może o sprawie zaginięcia czternastoletniej dziewczyny ze Scarborough? Hannah Caswell. Zniknęła bez śladu pewnego wieczoru przed czterema laty. Nigdy jej nie odnaleziono.

Russell się zamyslił.

– Coś sobie przypominam. Tak. Zgadza się! – Spojrzał na Kate szeroko rozwartymi oczami. – Ależ oczywiście. Nazywała się Caswell. Czy to...?

– Tak, to córka Ryana i Lindy Caswellów.

– Wielkie nieba!

– Linda odeszła od rodziny, kiedy Hannah miała cztery lata. Podobno ulotniła się po kryjomu, porzucając męża z małym dzieckiem. Hannah została z ojcem. Mając czternaście lat, zniknęła.

– To bardzo dziwne – przyznał Russell wstrząśnięty.

– Owszem – przytaknęła Kate. – Opisał pan Caswella jako dziwaka. Rozgoryczonego, rozczarowanego. Czy uznałby go pan za człowieka z zaburzeniami?

– Co ma pani na myśli, mówiąc o „zaburzeniach”? Wszyscy, jeśli odpowiednio na to spojrzeć, mamy jakieś zaburzenia.

– No tak. Ale istnieją różne ich rodzaje. Jedne utrudniają nam codzienne życie. Inne zagrażają ludziom, którzy muszą z nami przebywać. Albo nawet sprawiają, że stajemy się niebezpieczni.

– Chce pani wiedzieć, czy Caswell cierpiał na zaburzenia, które czyniły go niebezpiecznym? – domyślił się Russell. – Wie pani, nie zajmowałem się intensywnie jego przypadkiem. Sądzę, że ten człowiek z całą pewnością miał i nadal ma ogromne trudności z samym sobą. Nie umie nawiązać kontaktu nie tylko z kobietami, lecz ogólnie z innymi osobami. Zwyczajnie nie potrafi obchodzić się z innymi. Jego opryskliwy sposób bycia ludzi odstręcza. W głębi serca tęskni jednak za przyjaźnią, poczuciem wspólnoty, ciepłem. Oto cała jego tragedia. Ale czy to czyni go niebezpiecznym? Tego nie wiem.

– Jego dawni sąsiedzi twierdzą, że Linda nie potrafiła z nim dłużej wytrzymać. Z powodu cech, które właśnie pan opisał.

– Mogę to sobie wyobrazić. Nigdy bym nie pomyślał, że Ryan mógłby być dla niej odpowiednim partnerem. Przytłaczał ją, zamiast ją psychicznie podbudowywać.

– Czy to do Lindy podobne, by zostawiła swoje czteroletnie dziecko?

– Hm. Czy tak postępuje którakolwiek kobieta?

– To pan jest psychologiem – odparła Kate.

– Linda z trudem radziła sobie z własną chorobą psychiczną. Przypuszczam, że zajmowanie się sobą oraz małym dzieckiem byłoby dla niej zbyt dużym obciążeniem. Pozostawienie córki stało się aktem rozsądku i poczucia odpowiedzialności.

– Pozostawienie jej pod opieką *takiego* ojca?

– Nie był przecież potworem.

– Ale czy to dobre dla dziecka?

Spojrzał na nią.

– Do czego pani zmierza?

– Usiłuję tylko wyrobić sobie o nim zdanie – odparła Kate. Wstała. – Dziękuję za poświęcony mi czas, doktorze. Zostawię panu moją wizytówkę, na wypadek gdyby coś jeszcze pan sobie przypomniał.

– W porządku, dziękuję – powiedział, biorąc wizytówkę.

Pozegnali się w drzwiach. Po chwili Kate znalazła się w wąskiej uliczce na starówce Newcastle, po której hulał wiatr. Niemal nie zwróciła na to uwagi. Zrobiło jej się ciepło. Ze zdenerwowania. I dlatego, że jeszcze mocniej niż w trakcie wizyty w klinice ogarnęło ją przeczucie, że jest bliska rozwikłania zagadki.

Takiej, która burzy krew.

Dlaczego nikt na to nie wpadł? Linda Caswell zniknęła. Nagle, bez powodu. Podobnie jak Hannah. Wszyscy zadowolili się wersją o porzuceniu niekochanego męża. I wszyscy okazali zrozumienie.

Jeśliby jednak odłożyć na bok ów niesprawdzony motyw, co pozostanie? Jedynie fakt, że Linda Caswell zniknęła. Bez śladu.

Kate wciąż powracała myślą do Hannah. Z niezachwianym przekonaniem, że należy wrócić do początku, by rozwikłać kłębek.

Ale to nie Hannah była początkiem.

Była nim Linda.

Dwa dni wcześniej w Chamberfield pojawił się jakiś młody człowiek i wypytywał o Lindę. Musi tam wrócić, czym z pewnością zirytuje obu lekarzy.

Musi poznać nazwisko tego mężczyzny. I musi się dowiedzieć, dlaczego interesował się Lindą Caswell.

Ryan Caswell prawdopodobnie był nie tylko człowiekiem małomównym, zamkniętym w sobie, smutnym i niemiłym.

Być może był nie tylko rozczarowanym życiem mężczyzną, który zaszył się we własnej samotności w oczekiwaniu na śmierć.

Prawdopodobnie już wówczas nie był spokojnym, godnym zaufania dozorcą. Linda mogła być pierwszą kobietą w życiu Ryana, która się z nim związała, i dlatego mógł stracić głowę, gdy chciała od niego odejść. Być może zrobiłby wówczas wszystko, byleby tylko do tego nie dopuścić.

Mógł ponownie stracić głowę, kiedy Hannah, już jako nastolatka, chciała podążać własnymi ścieżkami. Mógł działać dalej. Usiłując odnaleźć jedyną kobietę, która do niego należała.

Czas wracać do Chamberfield.

– Chcę do niego – powiedziała Amelie. Tego dnia powtórzyła te trzy słowa już po raz setny. Albo tysięczny. Deborah nie liczyła. Nieważne, i tak rozumiała przekaz.

Chcę. Do. Niego.

Innymi słowy: Nie chcę zostać z wami.

– Nie możesz do niego wrócić – oznajmił Jason ostrym tonem. – Alex Barnes siedzi w areszcie śledczym. A stamtąd trafi na wiele lat do więzienia. Zapomnij o nim, Amelie!

– Jason! – napomniwała go szeptem Deborah. Próby nawiązania rozmowy z Amelie niewiele przyniosły. Wyrozumiałość i empatia też zresztą na nic się zdały. Amelie pozostawała nieprzystępna.

– Niby czemu mielibyśmy ją mamicić? – zapytał poirytowany Jason. – Ten Barnes tak naprawdę nigdy się nią nie przejmował. Była dla niego środkiem prowadzącym do celu. Z początku zwyczajnie się nią zabawiał, później usiłował dobrać się za jej pośrednictwem do naszych pieniędzy. Ona zaś w obu przypadkach dzielnie go wspierała.

– Chcę do niego – powtórzyła Amelie.

Deborah, jęknąwszy, skryła twarz w dłoniach. Ile jeszcze może trwać ten koszmar? Myślała, że już nie spotka ją w życiu nic gorszego niż przerażenie wypełniające owe godziny i dni, kiedy Amelie zaginęła i sądzono, że zarówno za pierwszym, jak i za drugim razem wpadła w ręce mordercy. Amelie się odnalazła, siedziała teraz przed nią, była bezpieczna – a mimo to sytuacja wydawała się jeszcze potworniejsza. Własna córka stała się jej zupełnie obca. Targana namiętnością do mężczyzny, który wykorzystał ją w każdy możliwy sposób. Z którym wspólnie wystąpiła przeciwko własnym rodzicom – bez żadnych skrupułów, bez żadnych uczuć.

Tak, to właśnie budziło w niej zgrozę – brak prawdziwych uczuć. Pustka, jaką dostrzegła w jej oczach. Nic się w nich nie kryło. Mroczne spojrzenie. Nieobecne.

Jej córka sprawiała wrażenie odmienionej. Niedostępnej.

– Amelie – odezwała się – proszę, spróbuj nas zrozumieć. Alex Barnes nie jest dla ciebie dobry. To, co zrobił...

– Co oboje zrobiliście – wszedł jej w słowo Jason. Stał oparty o ścianę. Był zbyt wściekły, by usiąść. Zbyt poirytowany, by zachować milczenie.

Deborah w pewnym sensie mu zazdrościła. Przynajmniej potrafił się złościć. To mu

pomagało. Ona zaś czuła wyłącznie potworną rozpacz. Przerazenie. Bezradność. Całą kaskadę okropnych uczuć, które ostatecznie stapały się w jedną myśl: To koniec naszej rodziny. Już nigdy nie powróci to, co nas z sobą łączyło. Kim dla siebie byliśmy.

Jakim sposobem Amelie zdołała się tak od niej oddalić? Miesiącami miała burzliwy romans z dorosłym mężczyzną, a ona, jej matka, niczego nie zauważyła. Była całkowicie zależna emocjonalnie od tego człowieka, tymczasem Deborah sądziła, że dziwne, nieprzychylnie zachowanie dziewczyny to zwyczajne problemy okresu dojrzewania. Amelie kryła w sobie niezdrową nienawiść do rodziców, a Deborah wmówiła sobie, że to zupełnie normalne i kiedyś przeminie.

– Czy nawet przez chwilę nie pomyślałaś o tym, co nam robisz? – zapytała. – Kiedy zaginęłaś, kiedy myśleliśmy, że zostałaś porwana. Musiałaś przecież wiedzieć, jakie piekło nam zgotujesz!

Amelie spojrzała na nią bez wyrazu.

– Chcę do niego.

– Wybij to sobie z głowy – powiedział Jason.

Zebrali się w pokoju dziennym. Helen Bennett poradziła im, by w miarę możliwości nie zostawiali Amelie samej.

– Musi wyrwać się ze świata, w którym się zaszyla – powiedziała im. – Świata, w którym wiedzie szczęśliwe życie z Alexem Barnesem i jest w pewnym sensie dorosłą kobietą. To będzie trudne. Jak na terapii odwykowej.

„Ty także niczego nie zauważyłaś – pomyślała Deborah i przez sekundę poczuła coś w rodzaju złości. – Ależ z ciebie wspaniała pani psycholog. Codziennie z nią rozmawiałaś, całymi tygodniami, i *nic* nie załapałaś z tego, *co się naprawdę działo*”.

Amelie uda się do kliniki. Placówka psychiatryczna dla młodzieży. Zazwyczaj całymi miesiącami czeka się w kolejce, lecz jakimś sposobem Helen – trzeba jej to oddać – zdołała znaleźć miejsce dla Amelie. Dziewczyna będzie też musiała odpowiadać przed sędzią dla nieletnich, należało jednak oczekiwać, że orzeknie dokładnie to samo: pobyt w klinice, w której przez całą dobę będzie pod opieką psychologa.

– To okropne – wyznała Deborah Jasonowi. – Nasze dziecko w psychiatryku! To... nie do pomyślenia!

– Ciesz się, że są takie miejsca – odparował Jason. – Nie poradzilibyśmy sobie, gdyby zostawiono nas samych z tym problemem.

Deborah dobrze o tym wiedziała. Amelie o mile świetlnie odsunęła się od nich, od rodziny, od zwyczajnego życia. Trudno było sobie wyobrazić, by mogła powrócić do

szkoły i znów wieść normalne życie, jakby nic się nie stało. By mogła wrócić na łono rodziny i znów być hołubionym dzieckiem Deborah. To przeminęło. Mogliby mówić o szczęściu, gdyby zdołali zebrać jakieś odpryski dawnego życia i ułożyć je w nowy obraz rodziny, który zadowoliłby poniekąd ich wszystkich.

– Zajmę się obiadem – zaproponowała Deborah. Nie mogą przecież siedzieć tak bez końca i czekać, aż nastanie wieczór, wiedząc, że kolejny dzień będzie równie okropny. – Co chciałabyś zjeść, Amelie?

Amelie wzruszyła ramionami. Wyglądała potwornie. Wychudła, blada. Podkrążone oczy. Włosy nastroszone i nieumyte.

– Makaron z serem? – zapytała Deborah. – Przecież to lubisz.

– Wszystko jedno – odparła Amelie.

– Ale...

– Dajże spokój – wtrącił się Jason. – Jej to zupełnie obojętne, zrozum wreszcie. Nie nalegaj. Zostaw ją.

– Chciałam tylko...

– Tak, chciałaś tylko, jak zawsze. Zawsze chciałaś, żeby było spokojnie. Żeby Amelie jadła to, co lubi. I miała różową tapetę w pokoju. I żeby ładnie wyglądała, i żebyśmy mieli ładny dom. I żeby twój mąż miał zawód budzący uznanie w oczach innych ludzi... I nikt nie mógł tu zachowywać się głośno albo się kłócić, albo nie mieć na coś ochoty, albo się wkurzyć. Nigdy nie zauważyłaś, że...

– Co takiego? – zapytała Deborah, kiedy na chwilę przerwał. Spozrzegła, że jej głos zabrzmiał skrzekliwie. – Czego nie zauważyłam?

– Ach, nieważne.

– Co?

– Kupowałaś Amelie te idiotyczne czekoladowe jajka z twarzączkami Barbie na zewnątrz i przyborami Barbie w środku. Malowała się i miała, o czym już dziś wiemy, zupełnie inne zainteresowania, ale ty chciałaś zatrzymać tę małą dziewczynkę, która chodzi z tobą na zakupy, popija kakao w kawiarni przy deptaku, a w Dzień Matki podaje ci śniadanie do łóżka. Byłaś całkiem ślepa, nie spostrzegłaś, że ona oddala się od ciebie, z każdym dniem coraz bardziej.

– Ty też tego nie zauważyłaś! – odparła Deborah. Łzy napłynęły jej do oczu, łzy konsternacji. A więc również i *on*. On także był przeciwko niej.

– Całymi dniami jestem poza domem. A ty całymi dniami tu siedzisz!

Zalala się łzami. Oczywiście, to musiało nadejść. Wzajemne oskarżenia. Kto ponosił

odpowiedzialność za to, że ich życie zamieniło się w koszmar? A to nie koniec. Wobec tego, co przyniosą kolejne lata. Wciąż będzie powracać pytanie, kto kiedy jakie popełnił błędy.

– Przykro mi – powiedział dotknięty Jason.

– W porządku – odparła, wycierając oczy.

Nic oczywiście nie było w porządku.

– Chcę do niego – odezwała się Amelie.

Deborah wygrzebała chusteczkę, opróżniła nos.

– Jedno chciałabym wiedzieć – zwróciła się do córki. – Tamtej soboty, kiedy zaparkowałyśmy przed Tesco, kiedy poszłam na zakupy, wróciłam, a ty zniknęłaś, kiedy zaczął się ten okropny koszmar – co przeważało? Co było tym punktem zwrotnym? Dlaczego uciekłaś, nieważne, na jakie skazując nas piekło?

Amelie znów tylko wzruszyła ramionami. Nieczułe spojrzenie.

– Dlaczego?! – wrzasnęła Deborah. To nie złość kazała jej krzyczeć, jeszcze nie złość. Lecz rozpacz. Tak potworna, iż czuła, że już nigdy przez resztę swoich dni, już nigdy jej się nie pozbędzie. – *Dlaczego?*

Amelie odwróciła się do niej. Spojrzenie nadal miała wyzute z wszelkich uczuć.

– Nie chciałam jechać na tę klasową wycieczkę – odparła. – Przecież wam mówiłam.

Znów wyjrzała przez okno, utkwiała wzrok w oddali.

– Chcę do niego.

3

Zaciek na suficie w nocy uchronił Mandy przed śmiercią. W każdym razie tak właśnie sądziła. Być może nie umarłaby od razu, ale straciłaby przytomność. Albo z braku sił nie mogłaby się podnieść, a wtedy skuliłaby się pod kocem i już by nie wstała. Zauważyła go w ostatnim blasku gasnącego dnia. W dawnej kuchni. Może to nie zaciek, może tylko jakiś rodzaj nieszczelności. Nieważne. Plama wilgoci. Nad oknem.

Przysunęła krzesło, wspięła się na nie, stanęła na chwiejnych nogach, ze strachem myśląc tylko o tym, by nie stracić równowagi. Upadek to ostatnia rzecz, jakiej teraz potrzebowała, złamana ta czy inna kość. I tak była u kresu sił. Ramię z oparzeliną piekielnie bolało, a prawa dłoń i nadgarstek wyglądały tak, że... że przez ostrożność wolała nie patrzeć. Jedna wielka rana, do tego cuchnąca. Należało ją czym prędzej

owinąć, lecz Mandy nie miała ani strzępu materiału. Kiedy jej stan się pogorszy, zamierzała zdjąć podkoszulek i podrzeć go na paski, zwlekała jednak, gdyż potwornie marzła i nie chciała się pozbywać żadnej części ubrania. Prawdopodobnie była to kwestia proporcji: w którymś momencie ból ręki okaże się gorszy niż dotkliwie zimno, a wtedy zdecyduje się na ten krok.

Kuchnia była niska, stojąc na stołku, Mandy zdołała sięgnąć pod sam sufit. Rozchyliła popękane, spierzchnięte, wysuszone usta i zaczęła zlizywać wilgoć z tynku. Miała dziwny posmak wapna, ale *to była woda*. Za oknem nie padało, prawdopodobnie więc wilgoć skraplała się na dachu, gdyż dom – choć to zdumiewające, zważywszy na panujący wewnątrz ziąb – oddawał jednak nieco ciepła. Być może dlatego, że przez kilka dni ogrzewano go propanem. Skroplona woda wsiąkała do wnętrza. Mandy lizała, lizała bez końca. Jeszcze nigdy nic nie smakowało jej tak wyśmienicie. Jeszcze nigdy nie poczuła tak wielkiej ulgi. Jeszcze nigdy nie doznała takiego uczucia: oto powoli zaczęła odzyskiwać coraz bardziej nadwątlone siły witalne.

To naprawdę niezwykle: odrobina wody, którą zlizwała z kuchennego sufitu, rzeczywiście ją wzmocniła. Poczowała się lepiej. Odzyskała jasność umysłu. Pozbyła się wrażenia, że lada chwila zaśnie na wieki.

W końcu zeszła z krzesła i skierowała modły do Boga, by zesłał jej więcej kropli wody. Wiedziała, że ta cholerna, niewielka, wilgotna plama na suficie przesądzi o tym, czy dostanie szansę na przeżycie.

Przez całą noc regularnie wstawiała i owinięta kocem człapała w ciemnościach do kuchni, by wdrapać się na krzesło po odrobinę wilgoci. Czowała, że trawi ją gorączka, lecz poniekąd trzymała ją w szachu. Temperatura nie spadała, ale też nie wzrosła. Mimo to Mandy nie miała złudzeń: musi jak najszybciej się stąd wydostać. Woda rozbudziła w niej życiową energię, ale to oczywiście nie wystarczało. Gonila resztką sił, wkrótce organizm odmówi posłuszeństwa. Była zbyt poważnie ranna. I nazbyt wygłodzona.

Kolejne przedpołudnie spędziła na systematycznym poszukiwaniu sposobu ucieczki. Drzwi wejściowe, okna, ściany, podłoga, sufit. Czy jest tu piwnica? Czy są jakieś poluzowane listwy? Rozchwiane zawiasy? Czy któryś z prętów krat obluzował się w ramie? Jednocześnie szukała narzędzi. Nie wiedziała dokładnie, co naprawdę może jej się przydać, lecz miała nadzieję, że się przekona, kiedy weźmie je do ręki. Nic jednak nie znalazła. Absolutnie nic. Ani żadnego narzędzia, ani miejsca, które dałoby się wykorzystać do zrobienia wyłomu. Była jak zamurowana. Odkryła dziwne brązowe ślady obok drzwi, w kilku miejscach zdrapano ze ściany tapetę. Mogło to świadczyć o tym, że już kiedyś ktoś usiłował się stąd wydostać. To pewnie on wypił całą wodę ze

spłuczki toalety.

Nie chciała o tym myśleć. To było zbyt przerażające.

Wciąż wyglądała przez okno, sondując wzrokiem otoczenie. Postanowiła niezwłocznie wybić szybę z pomocą kuchennego krzesła i wołać o pomoc, jeśliby dostrzegła na zewnątrz jakiegoś człowieka. Za oknem nie było jednak żywego ducha.

W kieszeni dżinsów znalazła pudełko zapalek, które kupiła, gdy nocowała w ogrodowej altanie i podgrzewała konserwy na kuchence turystycznej. Ile czasu upłynęło od tamtej pory? Cała wieczność. Patrzyła na zapalki, lecz nie wiedziała, jak mogłaby je wykorzystać. Podłożyć ogień pod drzwiami? Płomienie wnikałyby do środka, nie na zewnątrz. Groźba samospalenia żywcem była nazbyt wielka.

W południe Mandy była bliska płaczu, gdyż powoli zaczynała rozumieć, że nie ma drogi ucieczki. Sytuacja stawała się beznadziejna. Przeszukała każdy centymetr kwadratowy wnętrza, uludą byłoby wierzyć, że znajdzie coś w ciągu najbliższych godzin. To po prostu niemożliwe.

– Pomyśl – mówiła do siebie – rusz głową. Już ci się wydawało, że wkrótce umrzesz z pragnienia, a znalazłaś wodę. Na pewno coś wymyślisz.

Wiedziała jednak, że znajdując wodę, miała ogromne szczęście i że tego rodzaju zrządzenia losu nie zdarzają się często. Poza tym przecież szukała już wszędzie. Według wszelkiego prawdopodobieństwa *nie mogła* znaleźć nic przydatnego.

– Ja umrę – powiedziała. Słowa te dziwnie zabrzmiały. Tak spokojnie. Rzeczowo. Wsłuchiwała się w ich echo. Czy wypowiedziała je z taką obojętnością, gdyż zwyczajnie nie wierzyła, że rzeczywiście może do tego dojść? Czy była zbyt osłabiona, by się tym przejąć? Zbierało jej się na płacz, lecz i tego nie potrafiła. Pewnie jej organizm był zbyt odwodniony, by wytwarzać łzy.

Ponownie wspięła się na krzesło i zlizwała parę kropli z sufitu, nie poczuła jednak wzmocnienia, jak poprzedniego dnia. Zwyczajnie jej to nie wystarczało. Tylko trochę zwilżyła język i wargi, nic więcej. Wczoraj jej organizm doznał prawdopodobnie iluzji i dzięki temu wykrzesał w sobie resztki sił. Dziś nie dał się już oszukać.

Zeszła z krzesła, wróciła do pokoju, owinęła się kocem. Jej ręka już nie pachniała, *cuchnęła*. Z niemałym trudem zdjęła kurtkę i sweter, w końcu podkoszulek. Tak przy tym osłabła, że musiała odczekać kilka minut, nim ponownie włożyła sweter i kurtkę. Dygotała z zimna. Tymczasem wewnątrz czuła fale gorąca, miała rozpaloną twarz. Gorączka zaczęła rosnać.

Miała zamiar podrzeć podkoszulek na równe pasy i owinąć nimi zarówno poparzone

ramię, jak i okaleczony nadgarstek i dłoń. Stwierdziła jednak, że nie ma dość sił. Owinęła więc jedynie rękę, tworząc niezgrabny, gruby, niedbale związany opatrunek. Pewnie i tak na niewiele się zda. Pewnie i tak wszystko to na nic.

Skuliła się. Poddała się gorączce, która przeszywała ją falami dreszczy i powoli wypełniała ciepłem całe ciało. Poczwała wdzięczność, gdyż ziać jakby osłabł. Rany pulsowały w rytm mocnych i szybkich uderzeń jej serca, ale nie sprawiały już ogromnego bólu.

Może umieranie wcale nie jest takie straszne. Zaśnie. Przepłynie na drugą stronę.

Uśmiechnęła się.

Usłyszała warkot samochodu.

Mimo gorączki, mimo potwornego osłabienia Mandy momentalnie się rozbudziła. Usiadła, zastanawiając się, czy to nie urojenie. Nie, znów to usłyszała. Pod dom zajechał samochód. Znała odgłos silnika. To nie ktoś przypadkowy, po kim mogłaby spodziewać się pomocy.

Jej umysł funkcjonował zadziwiająco sprawnie. Przed godziną czy dwiema, a może wcale nie aż tak dawno temu – zupełnie straciła poczucie czasu – usiłowała ożywić w sobie ostatnie, niemal całkiem wyschnięte źródło pozytywnych myśli. O tym, że zupełnie nieoczekiwanie nadarzą się okazje, szanse, sposobności. Wbrew przewidywaniom. Realne i obiecujące.

Okay. Jeszcze minuta, dwie i otworzą się drzwi. Miała ogromną przewagę: nie była już unieruchomiona przy ścianie, mogła się swobodnie poruszać. Dzięki temu zyskała przewagę zaskoczenia.

Błyskawicznie wygrzebała się spod koca. Przepełniona adrenaliną, prawdopodobnie *ostatkiem* sił udrapowała posłanie na podłodze tak, by się zdawało, że nadal tam leży. Oczywiście było widać, że jej ramię nie wystaje spod koca i nie jest przytwierdzone łańcuchem do ściany, lecz mimo wszystko zyska pewnie kilka sekund przewagi. Nie potrzebowała więcej, jeśli wszystko pójdzie jak należy.

Przemknęła do kuchni. W mgnieniu oka ukuła nowy plan, gdyż *takiej* możliwości w ogóle nie brała pod uwagę, choć roztrząsała mnóstwo innych.

Nieprzewidziany. Jak większość istotnych momentów zwrotnych w życiu.

Ze stosu skrzyń wyjęła jedną butelkę i rozbiła ją o zlew. Doskonale.

Miała w ręku ostrą broń. Była w stanie poderżnąć drugiemu człowiekowi gardło, jeśli tylko zajdzie taka konieczność.

I była zdeterminowana. Bardziej niż kiedykolwiek, w jakiegokolwiek sytuacji w swoim

życiu. Ponieważ była to jej jedyna szansa.

Czekała niczym zwierzę przyczajone na swoją zdobycz.

Bezgłośnie. Przytomnie. W napięciu. Gotowa do skoku.

Usłyszała brzęk przekręcanego w drzwiach klucza.

4

Kate zaparkowała przed pozbawionym dekoracji domem przy Victoria Road, wyjęła komórkę i zadzwoniła do Davida. Nie odebrał, zostawiła mu więc wiadomość w poczcie głosowej: To ja, Kate. Dochodzi druga, jestem już w Scarborough, mam tu jeszcze jedną rozmowę. Potem wracam do domu i zabiorę Messy, przyjedziemy do ciebie, okay? Wsłuchiwała się w echo własnych słów, tych magicznych: *Przyjedziemy do ciebie...*

Uśmiechnęła się, uniosła głowę, przyjrzała się własnemu odbiciu w lusterku wstecznym. Uznała, że jej oczy sprawiają wrażenie większych, promienieją. Wyglądała ładniej. Nigdy nie będzie piękną, lecz wewnętrzny blask łagodził jej rysy, rozluźniał je, ożywiał. Zatraciła wyraz głębokiej powściągliwości, tak dla niej charakterystyczny, który nakazywał innym ludziom zachować wobec niej dystans. Teraz sprawiała wrażenie osoby otwartej i pełnej ciepła.

Raz jeszcze się do siebie uśmiechnęła – nigdy wcześniej tego nie robiła. Już zamierzała wysiąść, gdy zabrzączał jej telefon. Wiadomość na WhatsAppie. Natychmiast zerknęła na ekran, sądziła bowiem, że to David zareagował na jej telefon. Wiadomość pochodziła jednak od Colina. Westchnęła.

Nie pozwolę się tak traktować, Kate. Nie chcesz już mieć ze mną do czynienia? Dobrze, okay. Ale powinnaś mieć odwagę mi to powiedzieć, zamiast milcząco się wycofywać. Tak się nie postępuje z innymi ludźmi. Jestem w drodze do Scarborough, dotrę na miejsce późnym popołudniem. Zdobyłem twój adres. Musimy porozmawiać. Proszę, nie unikaj mnie. Mam prawo wiedzieć, dlaczego ze mną zerwałaś.

– Już ci to, do cholery, mówiłam! – zawołała na głos. Opowiedziała mu w końcu o Davidzie. W ostrożnych słowach, by go nie zranić, choć uznała, że jego pretensje są zupełnie bezpodstawne.

A on teraz oznajmia, że późnym popołudniem zjawi się przed jej domem. Prawdopodobnie już jej nie zastanie. Wybiera się do Davida, ale nie chce z tego powodu spieszyć się jak szalona. Nie powinien jej tak zadręczać. Może byłoby dobrze, gdyby postawiła go w obliczu faktów dokonanych. Raz na zawsze wyjaśniła, że nie

życzy sobie więcej kontaktu z nim. Żadnych długich wyjaśnień. Jedynie kilka zdań, które mu uświadomią, że nie chce go więcej znać.

„Co za natręt” – pomyślała.

Wysiadła i zamknęła samochód. Zmierzyła wzrokiem fasadę domu. Lata pięćdziesiąte ubiegłego wieku, prosta, dość marna. Szary tynk. Łuszczące się ramy okien. Poza tym solidna.

„Trochę przypomina mnie – przemknęło jej przez myśl, lecz po chwili się poprawiła: – z czasów, zanim poznałam Davida”.

Adres wyszukała w książce telefonicznej, po tym jak nieco poirytowany doktor Mannering podał jej nazwisko mężczyzny, który wypytywał w klinice o Lindę Caswell. Nie był stuprocentowo pewny, wydawało mu się jednak, że człowiek ten wspomniał, iż mieszka w Scarborough. Okazało się to prawdą. Ujrzawszy Kate, Mannering westchnął przesadnie. Przywykła do tego. Śledczy czasem działają ludzom na nerwy.

– Brendan Saunders? – zapytała, uprzejmie się uśmiechając. Znow była Kate, dziennikarką. Nie umiałyby wyjaśnić dlaczego, to instynkt podszeptał jej, by tym razem wybrać ten akurat wariant swojej tożsamości. Na wspomnienie o policji pewnie zachowałyby powściągliwość. Zrozumiała to w chwili, gdy otworzył jej drzwi swojego mieszkania. Dopiero w tym momencie ostatecznie zdecydowała, kim jest z zawodu.

– Tak? – odparł Saunders. Sprawiał wrażenie zdenerwowanego, nieufnego. Niespokojnego. Jakby rzadko kiedy ktoś pukał do jego drzwi. Był nawet trochę przerażony.

– Kate Linville. Jestem dziennikarką.

– Tak? – zapytał ponownie. Lewa powieka mu drżała.

– Chciałabym z panem porozmawiać.

Nie zamierzał zaprosić jej do środka.

– Tak? – powtórzył po raz trzeci.

Może jednak należało się wspomóc powagą Scotland Yardu, lecz na to było już za późno. Gdyby teraz zmieniła swoją tożsamość, doznałby pewnie wstrząsu i nie wymówiłby nawet ponownego „Tak?”.

– Panie Saunders, informację o panu otrzymałam od doktora Manneringa. Jest lekarzem w klinice Chamberfield. W pobliżu Newcastle.

– Tak?

Czyżby nie znał żadnych innych słów?

– Byłam tam, gdyż piszę artykuł na temat zaginionych dziewcząt. Ściślej mówiąc, o całej serii porwań, do jakich doszło w Scarborough. Saskia Morris. Hannah Caswell. Linda Caswell.

Widać było, że z trudem zebrał się w sobie. Sam chyba doszedł do wniosku, że nie może wiecznie tylko stać i wciąż powtarzać „Tak?”.

– Jak... ech, jak mnie pani znalazła?

– Byłam w Chamberfield. Zbierałam informacje o Ryanie i Lindzie Caswellach. Dowiedziałam się przy okazji, że był pan tam kilka dni temu i także wypytywał o Lindę Caswell. Chciał pan poznać wszystkie symptomy jej choroby. Oczywiście nie udzielono panu żadnych informacji, lekarzom nie wolno tego robić.

– Niestety.

Kate znów się uśmiechnęła.

– Panie Saunders, mogłabym wejść na chwilkę? Mam kilka pytań, szczególnie na temat Ryana Caswella.

Zawahał się. Wyraźnie nie miał ochoty na dłuższą rozmowę, nie przyszła mu jednak do głowy żadna sensowna wymówka. Niechętnie cofnął się o krok.

– Okay. Jestem jednak zajęty...

– To tylko chwilka. Czym się pan zajmuje?

– Jestem pisarzem.

Kate nigdy nie słyszała jego nazwiska ani nie widziała go na żadnej okładce.

– To ciekawe. Co pan pisze?

– Pracuję nad wielką powieścią. Na temat brexitu.

– To bez wątpienia aktualny temat.

Zaprosił ją do pokoju dziennego, spieszenie uprzątnął z fotela stos gazet.

– Proszę usiąść.

Sam przysiadł naprzeciw na małym stołku. Był jeszcze bardziej podenerwowany niż na początku, spięty i bardzo niespokojny. Nieustannie splatał palce dłoni. Kate uznała, że zachowuje się nieco dziwnie. A może po prostu był pogrążony w swojej pracy i nie spodziewał się żadnych wizyt. O pisarzach mawia się czasem, że to ludzie skomplikowani.

– Tak, no więc, jak mogę pani pomóc? – zapytał. Wydawało się, że zdołał się wreszcie nieco opanować.

– Jak już wspomniałam, piszę artykuł na temat tej historii – wyjaśniła Kate –

interesuje mnie absolutnie każda informacja. Chciałam powrócić do samego początku, do pierwszej zaginionej dziewczyny. Hannah Caswell. Potem jednak odkryłam, że wiele lat wcześniej zniknęła także jej matka. Linda Caswell. Bez śladu. Z dnia na dzień.

– Odeszła od rodziny.

– To wersja oficjalna, owszem. Ale czy na pewno? Czy kiedykolwiek dała jakiś znak życia?

Wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Nie, nie sędzę.

– Jak blisko jest pan z nią spokrewniony?

Zamyślił się.

– To nie jest bliskie pokrewieństwo. Kuzynka piątego stopnia czy coś takiego. Jej osoba zaciekała mnie z powodu depresji.

– Linda Caswell miała naturę maniakalno-depresyjną – poddała Kate. – Czemu to pana tak zainteresowało?

– Sam mam depresję.

– Rozumiem. Przykro mi, panie Saunders. Wie pan, potrafię sobie wyobrazić, że kobieta porzuca własną rodzinę, a nawet małe dziecko. Jeśli jest w małżeństwie nieszczęśliwa, czuje się chora i przytłoczona i wie, że tak naprawdę nie będzie w stanie zaopiekować się dzieckiem. Ale że nigdy nie będzie chciała nawiązać z nim ponownego kontaktu? A potem jej córka znika. Według opinii ojca i licznych mediów staje się ofiarą seksualnej przemocy. Prawdopodobnie zostaje zamordowana. Piszą o tym wszystkie gazety. A przynajmniej wiele z nich. I nawet wtedy matka nie pojawia się na scenie?

– Chyba wyjechała za granicę. Daleko stąd.

– Wiem. Mówiło się o Australii, ma tam krewnych. Ale przecież Australia nie leży na innej planecie. Nawet stamtąd mogłaby choć *raz* zainteresować się losem córki.

– Do czego pani zmierza? – zapytał Saunders.

– Zastanawiam się, czy Linda Caswell w ogóle żyje.

Spojrzał na nią, mrużąc oczy.

– Jak to?

– Ściśle mówiąc – doprecyzowała Kate – zastanawiam się, czy kiedykolwiek odeszła. Czy to prawdziwa historia.

– Jaka historia?

– Nieszczęśliwe małżeństwo... Pewnego dnia Linda ma dość, pakuje swoje rzeczy i odchodzi. Zostawia męża i dziecko, zupełnie znika ze sceny.

– Takie rzeczy się zdarzają – odparł Saunders.

– Wiem. Wiem również, że małżeństwo Caswellów rzeczywiście nie należało do szczęśliwych. Słyszałam to od wielu osób, które znały ich osobiście. Ryan Caswell i ten jego wiecznie zły humor, to zdziwienie, ta jego niezdolność do nawiązania kontaktu z innymi ludźmi... Z całą pewnością nie był odpowiednim partnerem dla bardzo młodej kobiety zmagającej się z problemami psychicznymi. Przypuszczam, że nie mogła w tej kwestii liczyć na jego zrozumienie. Wręcz przeciwnie. Nikogo to właściwie nie zdziwiło, że go rzuciła.

– Uważam podobnie – przyznał Saunders. – To znaczy, właściwie nie ma się czemu dziwić.

– Zna pan Ryana Caswella?

– Przelotnie.

– Tylko przelotnie? Był mężem pańskiej kuzynki.

– Kuzynki piątego stopnia – poprawił Saunders. – Jesteśmy daleko spokrewnieni. Nie wiem nawet, czy *kuzynka* to właściwe określenie. Poznałem Ryana Caswella na rodzinnym spotkaniu, ale tylko się z nim przywitałem. Oprócz „dzień dobry” nie zamieniliśmy ani słowa.

– Jakie wywarł na panu wrażenie?

– Wydał mi się niesympatyczny. Niemiły. Nieco... szurnięty.

– Szurnięty?

– No cóż, w tym sensie, że nie potrafił się porozumieć z innymi ludźmi. Przypominał mi poniekąd autystę. I ta jego wiecznie markotna mina... ten jego niepoahamowany zły humor... Zastanawiam się, jak Linda mogła wpaść na pomysł, by za niego wyjść. Młoda, śliczna jak obrazek Linda! Żeby poślubić tego znacznie starszego, zdziwaczałego typu. Niepojęte!

– I do jakich wniosków pan doszedł? Jak pan sądzi, dlaczego to zrobiła?

Saunders potrząsnął głową.

– Trudno powiedzieć. Poznała go w Chamberfield. Może była w totalnym dołku. Klinika psychiatryczna... Miała szesnaście lat, kiedy tam przybyła. W tym wieku dziewczęta bawią się, wychodzą na miasto, spotykają się z przyjaciółmi, malują się i kupują modne ciuchy... Nie przesiadują w psychiatrykach i nie łykają całymi garściami antydepresantów. Może dostrzegła w Caswellu swoją szansę. Podporę.

Wkrótce potem opuściła klinikę, by z nim zamieszkać. Sądzę, że miała nadzieję, że dzięki niemu rozwiąże swoje problemy. On jednak okazał się zupełnie niewłaściwą po temu osobą.

– Wie pan, jak to się stało, że uciekła?

– Nie było mnie przy tym.

– W kręgu rodziny pewnie się o tym mówiło. Do pana też to z pewnością dotarło, nawet jeśli jest pan jedynie dalekim krewnym.

Westchnął. Kate dostrzegła, że zaczął się pocić. Nie cierpiał tej rozmowy.

– Z tego, co słyszałem – odezwał się – Ryan Caswell wrócił któregoś dnia do domu i nie zastał w nim żony. Mała Hannah siedziała przed telewizorem w pokoju dziennym. Do odtwarzacza włożono płytę DVD, ustawiono pętlę, by film w kółko się powtarzał. Hannah miała wokół siebie wszystkie swoje pluszaki, butelkę z herbatą i mnóstwo czekoladowych herbatników. Ani śladu Lindy. Brakowało torby podróżnej oraz większości jej ubrań w szafie. Ryan wywnioskował, że uciekła. Więcej o niej nie słyszał.

– Nikt nie rozważał zbrodni?

– Zbrodni?

– Mąż wraca do domu, jego żona znika z powierzchni ziemi. Mogło przecież dojść do jakiejś zbrodni.

– Ale zniknęły także jej rzeczy. Nic też nie wskazywało na to, że w domu doszło do walki. A Hannah... miała dopiero cztery lata, ale mimo to byłaby w stanie powiedzieć, gdyby zauważyła coś dziwnego. Nie, nie sądzę, by ktoś wziął taką możliwość pod uwagę.

– A... co z Ryanem? – zapytała ostrożnie Kate. – Czy ktoś z rodziny wysunął jakieś przypuszczenie w stosunku do niego? Albo choćby wyraził tego rodzaju myśl?

– Jakiego rodzaju?

– Czyżby nikt nie podejrzewał, że Ryan Caswell mógł mieć coś wspólnego ze zniknięciem swojej żony?

Brendan Saunders obrzucił ją przenikliwym spojrzeniem. Wciąż splatał palce dłoni, sprawiał wrażenie zdenerwowanego, lecz teraz także bardzo czujnego.

– Czy natrafiła pani na coś, co...?

– Rozważam wszystkie możliwe scenariusze. Wydaje mi się to dość dziwne. Żona znika bez śladu. Wiele lat później to samo spotyka jej córkę. To bardzo nietypowe.

– Czemu mnie pani o to wypytuje? Dlaczego akurat mnie? Tylko dlatego, że kilka dni temu byłem w klinice i pytałem o daleką krewną?

– Dlaczego pan o nią pytał, panie Saunders? Po tylu latach? Czemu właśnie teraz?

– Już pani tłumaczyłem. Z powodu mojej depresji. Chciałem wiedzieć, czy to możliwe, że jest to w naszej rodzinie choroba genetyczna.

– Na ten temat może pan zaleźć stos materiałów w internecie. Nie musiał pan w tym celu odwiedzać lekarzy Lindy. I dlaczego akurat teraz?

– Bo *teraz* źle się czuję. Nigdy nie czułem się dobrze, ale właśnie teraz czuję się bardzo kiepsko. Nie daję sobie rady z własnym życiem. Pisanie książki mi nie idzie. Mam bloka. Odczuwam ból. Duchowy.

– Rozumiem, panie Saunders. Ale do czego mieliby się przydać lekarze pańskiej kuzynki? W tamtym czasie nawet nie byli jej lekarzami. W jaki sposób mogliby panu pomóc?

– Podali mi adres. Jej ówczesnego terapeuty.

– Doktora Russella – wtrąciła Kate.

– U niego też już pani była? Wybrałem się do niego, ale nie zastałem go w domu.

– Nie prowadzi już praktyki. Nie zdołałby panu pomóc w pańskich dolegliwościach. Zwyczajnie nie rozumiem, czego się pan spodziewał. No dobrze, być może informacji, że depresja jest w pańskiej rodzinie uwarunkowana genetycznie. I co dalej? Samo to wcale by panu nie pomogło.

– Przynajmniej wiedziałbym, że to kwestia genetyczna. Problem leży wówczas nie w tym, że zrobiłem coś niewłaściwego. Albo żyję nie tak, jak należy, i wciąż podejmuję złe decyzje. To kwestia genów i nie ma *nic wspólnego z moimi błędami*.

Kate się zamyśliła. Zaczynała rozumieć motywy Brendana Saundersa. Mężczyzna ten obwiniał się za swój nieustanny smutek, stany kryzysowe, melancholię, pewnie całymi godzinami i dniami roztrząsał własne błędy. Być może świadomość, że ma do czynienia z wrodzoną chorobą, przyniosłaby mu ulgę. Chorobą, od której nie było ucieczki, nieważne, jak ułożyłby sobie życie.

Irytował ją jednak moment podjętych przezeń działań. Po udręczonej, pokrytej zmarszczkami twarzy widać było, że zmagał się z depresją od wielu lat. A nie dopiero w ostatnim czasie, i to z powodu pisarskiej blokady. Mimo to dopiero teraz udał się do Chamberfield.

Przypadek. A może wcale nie.

Niestety, nie zdołała wyciągnąć od doktora Manneringa informacji, jak przebiegła jego rozmowa z Brendanem Saundersem.

– Najlepiej niech pani porozmawia z nim samym – powiedział. Nic więcej Kate się

nie dowiedziała.

Coś jej w osobie Brendana Saundersa przeszkadzało. Jego nerwowość. Nadmierna potliwość. Sposób, w jaki ani przez sekundę nie dawał spokoju własnym dłoniom. Może brał lekarstwa o takich właśnie skutkach ubocznych. Mimo wszystko. Od pierwszej chwili rozbudził w niej jakieś przecucie. Dał o sobie znać ów instynkt, który posiadają niektórzy śledczy, a który z biegiem lat wskutek nabywanych doświadczeń staje się coraz bardziej czułym, wrażliwym instrumentem. A jednak nie potrafiła go jeszcze ubrać w pewien myślowy konstrukt, wciąż pozostawał mglistym doznaniem. Mimo to wyraźnym, niezachwianym.

Saunders skrywał w sobie jakiś problem. Nie wiedziała tylko jaki i czy ma on znaczenie dla jej sprawy.

Wstała, Saunders także natychmiast się podniósł. Czyżby z ulgą, że nareszcie sobie pójdzie?

– A zatem – odezwała się – muszę szukać dalej. Nie spocznę, póki nie rozwiklam wszystkich kwestii. Linda. Hannah. Pozostałe dziewczęta.

Odchrząknął. Widocznie powziął decyzję.

– Pojechałem do Chamberfield nie tylko z powodu mojej depresji.

Kate, odwrócona już w stronę drzwi, przystanąła.

– Nie tylko?

– Nie. Chciałem... byłem tam z tego samego powodu, dla którego pani zadaje te wszystkie pytania. Z powodu mężczyzny, którego poślubiła Linda. Z powodu Ryana Caswella.

– Ale przecież wypytywał pan o Lindę. – Wiedziała. Przeczuwała. Saunders nie pojechał tam głównie ze względu na swoją chorobę.

– Tak. Lecz chciałem się przede wszystkim dowiedzieć, za jak bardzo prawdopodobny lekarze uznają fakt, że zwyczajnie odeszła. Zostawiając własne dziecko przed telewizorem. Chciałem wiedzieć, czy pojawiły się symptomy, które by to uwiarygodniły. Niestety, nie udzielono mi żadnych informacji. Tajemnica lekarska. Podano mi tylko nazwisko i adres tego emerytowanego lekarza. Ale, jak już mówiłem, nie zastałem go w domu.

Kate poczuła mocniejsze bicie serca. Coś się tu kryło. Coś namacalnego.

– Dlaczego? Miał pan jakieś podejrzenia w stosunku do Ryana Caswella?

Skinął głową. Splatał palce tak intensywnie, że Kate obawiała się, iż je sobie połamie.

– Tak.

– Dlaczego teraz?

Nie patrzył w jej stronę.

– Miałem je zawsze. Najpóźniej od czasu tej historii z Hannah. Ale nie było nic... Rozumie pani... nie potrafiłem wysnuć właściwych wniosków. To było jedynie przeczucie. Że to nie w stylu Lindy. I że to z Caswellem jest coś nie tak.

– Co dokładnie ma pan na myśli, mówiąc: *Coś z nim jest nie tak?*

– To dziwny człowiek. Zobaczyłem go ponownie kilka tygodni temu na mieście. Z oddali, on mnie nie zauważył. Wyraz jego twarzy... złowrogi... wobec Boga i całego świata. Przypomniałem sobie wówczas słowa Lindy z okresu, gdy jeszcze była jego żoną...

– Co mówiła?

– O jego skłonności do kontrolowania wszystkiego. Nie mogła zrobić kroku, nie musząc się przed nim tłumaczyć. Nieustannie chciał wiedzieć, co zamierza, dokąd idzie, kiedy wróci. Sceny, jakie jej robił, kiedy się spóźniła. Traktował ją jak małe, niedojrzałe dziecko. Wciąż jej wytykał chorobę psychiczną, twierdząc, że musi go słuchać, bo przecież jest chora. Miała wrażenie, że jest tresowanym zwierzęciem.

– Ale to jeszcze nie dowodzi, że uciekła?

– Oczywiście, że nie. Dlatego zawsze miałem wątpliwości. Potem jednak zniknęła Hannah. Następnie Saskia Morris. A potem Mandy Allard.

Mandy Allard.

Kate zamarła. Mandy Allard. Nazwisko to podał jej Caleb. Nie pojawiło się w mediach. Skąd Saunders je znał?

W porę uświadomiła sobie, że sama nie powinna tego wiedzieć.

– Mandy Allard? – zapytała zaskoczona. – O niej jeszcze nie słyszałam. Czyżby ona także zaginęła?

Skinął głową.

On nie powinien tego wiedzieć.

– I myśli pan, że to sprawka Ryana Caswella? Jak i poprzednie?

Zamyślony długo się w nią wpatrywał. Rozważał opcje, oceniał ryzyko.

– Ja wiem – oznajmił. A po chwili dodał: – Wiem, gdzie jest Mandy Allard.

Siedział za kierownicą. Mimo że jechali samochodem Kate. Uparł się.

– Chcę prowadzić. Będzie prościej, niż gdybym musiał panią pokierować. To skomplikowana trasa.

Dostrzegła zupełnie inne oblicze Brendana Saundersa. Odmienne od pogrążonego w depresji, nerwowego mężczyzny, który się poci, dygocze i splata palce, aż przejmuje strach o jego stawy. W jego naturze kryła się jakaś determinacja. Upór, z jakim dążył do wyznaczonego celu. Miał plan. Kate odniosła wrażenie, że człowiek ten wie, że nie ma nic do stracenia. I bezwzględnie podąża wytyczoną ścieżką.

– Nie mam samochodu. Musimy wziąć pani auto. Ale ja poprowadzę. – Mówiąc to, oblał się potem.

– Panie Saunders, moim samochodem zawsze jeżdżę sama.

– Możemy nie jechać. Pani wybór.

Wiedziała, że to istne szaleństwo. Wsiąść z nim do samochodu, a do tego pozwolić mu prowadzić. Pojechać w miejsce, o którym nie miała zielonego pojęcia. Coś z tym mężczyzną było nie w porządku. Nawet jeśli za wszystkim stał Ryan Caswell, Brendan Saunders był kimś więcej niż tylko nieufnym krewnym, który odkrył jego machinacje.

Wiedział, gdzie przebywa Mandy Allard? *I nie zgłosił tego policji?*

Próbowała działać.

– Panie Saunders, jeśli wie pan coś na temat Ryana Caswella, co potwierdzałoby, że jest wielokrotnym porywaczem i mordercą, a do tego wie pan, gdzie obecnie przebywa najmłodsza ofiara, i jeśli ta ofiara jeszcze żyje, musimy powiadomić policję. Natychmiast! – Sięgnęła po telefon.

Palce jego dłoni zatrzęszczały.

– Jeśli zadzwoni pani na policję, nic nie powiem. Absolutnie nic.

Spojrzała na niego, usiłowała go ocenić. Nie był typem człowieka, który długo wytrzyma policyjne przesłuchanie. Był mięczakiem. Ale *chorym*. Może się załamać, zeznać coś, co okaże się nieprawdą. Będzie krzyczał. Starał się zyskać na czasie.

– Mandy Allard nie zostało wiele czasu – powiedział, jakby czytał jej w myślach. – Jeśli w ogóle zdążymy.

– Jeśli grozi jej niebezpieczeństwo, musimy wezwać na miejsce policję i karetkę!

Nerwowym gestem otarł pot z czoła.

– Albo pojedę tam z panią, albo nie powiem ani słowa.

– Panie Saunders, właśnie popełnia pan przestępstwo. Naprawdę, to nie jest

właściwy sposób postępowania.

Trzask!

Kate zastanawiała się, czy nie podsunąć mu pod nos swojej legitymacji służbowej. Być może to skłoniłoby go do ustępstw. Ryzyko było jednak duże. Mógłby zamilknąć. A zwłoka kosztowałaby Mandy Allard życie.

To wszystko mogłoby też okazać się jednym wielkim blefem.

Zakłęta bezgłośnie. Nie miała szans na powiadomienie kogokolwiek. Przynajmniej nie teraz. Może nieco później. Bądź co bądź miała niewielką przewagę, gdyż to on prowadził pojazd. Miała wolne ręce, mogła się poruszać. A w torebce trzymała komórkę.

Być może popełniła ogromny błąd. Ba, na pewno, przynajmniej w oczach jej kolegów, przełożonego. W oczach Caleba. Naruszyła niemal wszystkie przepisy, które jej wpajano.

Zdecydowała postawić wszystko na jedną kartę.

– Okay. Jedziemy. *Pan* prowadzi. Zawiezie mnie pan do Mandy Allard? – Oto i reporterka wietrząca świetny temat. Pomoże uratować dziewczynę, za co otrzyma wyłączność na tę historię.

Wziął od niej kluczyki. Szedł tuż za nią po schodach, wyszli z budynku, ruszyli do samochodu. Bez szans na wysłanie choćby wiadomości.

Jechali już od ponad dwóch godzin. Ponury dzień, wiatr wiejący ze wschodu, znad ółowianoszarego Morza Północnego. Monotonny krajobraz. Pustkowie.

Saunders pewnie prowadził pojazd. Nie był już tak zdenerwowany jak na początku. Odzyskał panowanie nad sytuacją.

„Ja tymczasem tak łatwo ją oddałam” – pomyślała z niesmakiem Kate. Patrzyła z pozoru obojętnym wzrokiem przez okno, lecz w jej głowie aż się kotłowało od myśli. Co mogła zrobić? Co się za tym wszystkim kryło?

Jaką rolę odgrywał Saunders?

– Znam Mandy Allard – rzekł niespodziewanie. – Dlatego... – Nie dokończył, lecz Kate domyśliła się reszty: Dlatego chciał jej pomóc.

– Zna ją pan?

– Tak. Mieszkała u mnie przez pewien czas. Nie było z nią najlepiej. Jej rodzona matka rzuciła w nią czajnikiem z wrzątkiem i oparzyła jej ramię. To dlatego uciekła z domu.

Czynna napaść ze strony matki – stwierdził Caleb. – *Mandy Allard nie pasuje do*

pozostałych.

Widocznie jednak pasowała. Jasne też było i to: Brendan Saunders rzeczywiście zna Mandy. Zna zbyt wiele szczegółów.

– Po ucieczce z domu... przyszła do pana? – zapytała Kate.

Skinął głową niemalże z dumą.

– Zabrałem ją z ulicy. Była w żalonym stanie. Ramię wymagało pilnej opieki medycznej. Była bez dachu nad głową, wycieńczona, zaniedbana, głodna.

– I zwyczajnie z panem poszła? Z zupełnie obcym człowiekiem?

– Nie miała wyboru. Nie wytrzymałaby ani dnia dłużej na ulicy.

I co się stało potem?

– Co się potem stało? – zapytała.

Wykrzywił twarz w pogardliwym grymasie.

– Była u mnie przez tydzień. Miała wszystko. Oddałem jej własne łóżko, sam spałem na sofie. Kupiłem lekarstwa na oparzenia. Gotowałem dla niej. I z nią rozmawiałem. Całymi godzinami. O jej rodzinie, dlaczego nie mogła z nią dłużej wytrzymać, o jej planach na przyszłość... tego typu sprawy. Słuchałem jej bez końca.

W jego głosie pobrzmiwał żal. Okazywanie wdzięczności widocznie nie było mocną stroną Mandy Allard.

– Rozumiem – odparła Kate. Słuchała w skupieniu, jednocześnie usiłowała zachować orientację w terenie. Minęli właśnie Newcastle i zdążali na północ.

– Daleko jeszcze? – zapytała.

– Kawalek.

– Zawiózł pan tam Mandy Allard prosto ze swojego mieszkania?

Znów pogardliwy grymas na twarzy.

– Nie. Uciekła.

– Uciekła?

– Uciekła? – małpował ją. – Nie wie pani, co znaczy ten wyraz? Uciekła. U-cie-kła!

Wzbierała w nim irytacja.

– Jasne, rozumiem – uspokajała Kate. – Ale dlaczego to zrobiła? Skoro był pan taki troskliwy i uczynny?

W rzeczywistości aż za dobrze rozumiała, czemu Mandy Allard wołała uciec. Aż dziw bierze, że wytrzymała z nim cały tydzień. Ten Saunders był niespełna rozumu. Mandy z pewnością to wyczuła. Potrzebowała jednak czasu, by odzyskać siły.

– Zakładam, że źle zinterpretowała moją rozmowę telefoniczną – wyjaśnił Saunders. – Sądziła, że dzwonię na policję.

„Co niezwłocznie powinienesz być zrobić – pomyślała Kate – zamiast ukrywać u siebie przez tydzień czternastoletnią uciekinierkę i zanudzać ją swoją gadaniną”.

– A z kim pan w rzeczywistości rozmawiał?

Saunders odwrócił głowę w jej stronę.

– To nie pani sprawa!

– Przepraszam. Głupie pytanie.

– Istotnie – mruknął.

Kate czuła się coraz bardziej nieswojo. Niepostrzeżenie zerknęła na zegarek. Dochodziła czwarta. Chyba wpadła w niemałe tarapaty. Oto razem z podejrzanym mężczyzną podróżowała coraz dalej na północ Anglii, przez wyludnione okolice, by... no właśnie, po co? W najlepszym wypadku: by uwolnić młodą uciekinierkę.

Czy jednak Saunders rzeczywiście miał zamiar puścić wolno Mandy? Nie było to w jego interesie, skoro sam tkwił w tej sprawie po uszy. W jakiś sposób *musiał* być uwikłany w sprawę zniknięcia Mandy, w przeciwnym bowiem razie nie wiedziałby, gdzie dziewczyna przebywa. Jeśli rzeczywiście to wiedział. Jeśli nie zastawił pułapki, w którą właśnie wpadła Kate.

Przeszedł ją dreszcz. Z każdym przebytym kilometrem pogarszała się jej sytuacja. Przez chwilę myślała nawet, czy nie otworzyć drzwi i po prostu nie wyskoczyć z samochodu, znajdowali się jednak na A1, po części autostradzie, po części drodze szybkiego ruchu. Taki skok pewnie okazałby się śmiertelny.

W myślach raz jeszcze przeanalizowała rozmowę, którą odbyli u niego w mieszkaniu. Tymczasem przybrała zupełnie inną tonację. Jakby Brendan Saunders zmienił nagle strategię albo dopiero ją obmyślił. Mówił o swojej depresji, o tym, jak z nim kiepsko. Że w Chamberfield chciał się dowiedzieć, czy jego depresja jest uwarunkowana genetycznie i tym samym może czuć się usprawiedliwiony, prowadząc nierozsądne życie. Przypomniała sobie, że go rozumiała. Wiedziała, co miał na myśli.

A potem niespodziewanie zmienił front. Kiedy opowiedziała mu o swoich podejrzeniach wobec Ryana Caswella. Naraz oznajmił, że jest podobnego zdania. Nie pojechał do kliniki po to, by zrozumieć własny stan psychiczny, ale by się dowiedzieć, jak bardzo prawdopodobny jest fakt, że Linda rzeczywiście porzuciła własne dziecko i zniknęła na zawsze. Wziął całkowicie stronę Kate, zaczął podążać tym samym tropem. A do tego wyciągnął z rękawa asa, Mandy Allard. Wtedy ona ochoczo się

zgodziła wyruszyć razem z nim w nieznane. Nie powiadomiwszy nikogo. Co zresztą okazało się niemożliwe do wykonania. Mimo to nie powinna była na to przystać.

Cicho jęknęła, na chwilę przywarła gorącą twarzą do chłodnej szyby. Nie miała pojęcia, jak to wszystko się skończy. Być może Caswell w ogóle nie ma z tą sprawą nic wspólnego. Być może chodzi tu o Saundersa. Być może siedzi właśnie w samochodzie razem z mordercą z wrzosowisk. Uznał, że stanowi dlań zagrożenie. Uparta, zdeterminowana dziennikarka, która mogła go wpędzić w kłopoty. Bo odkryła, że w klinice Chamberfield wypytywał o Lindę Caswell.

„To wariactwo – pomyślała Kate. – Przecież i tak nic z tym nie mogłabym zrobić”.

Gdyby trzymał się pierwotnej wersji, według której martwił go stan własnego zdrowia, uwierzyłaby mu, gdyż wydało jej się to przekonujące. Może jednak po prostu nie chciał podejmować ryzyka.

Był kuzynem Lindy Caswell. Jeśli to w ogóle prawda. Jego opinia o despotycznym zachowaniu Ryana Caswella w stosunku do własnej żony pokrywała się z relacją Kevina Benta o tym, jak Ryan traktował Hannah. Saunders miał więc chyba wgląd w stosunki panujące w rodzinie Caswellów. Jeśli rzeczywiście był jej kuzynem, Linda dobrowolnie by z nim odeszła. A po latach także Hannah.

Ale Saskia Morris? Mandy Allard?

– Kiedy Mandy od pana uciekła, co się potem stało? – zapytała głosem, w którym, ku jej własnemu zdziwieniu, pobrzmiwało raczej zaciekawienie niż strach, choć serce podchodziło jej do gardła.

Spojrzał na nią.

– Popadła w tarapaty. I to prawdziwe!

– Bo spotkała Ryana Caswella?

– Bo jest głupia. Po prostu głupia.

Zjechali z A1, podążali opustoszałymi drogami lokalnymi. Kate zapragnęła, by w końcu dotarli do jakiegoś miasta. Albo wioski. Sygnalizacja świetlna zmusiłaby Saundersa do zatrzymania się, napotkaliby jakieś domostwa, ludzi. Mogłaby wtedy uciec. Prawdopodobnie jednak przekroczyli granicę z Northumberland. Kate nigdy tu jeszcze nie była, lecz słyszała entuzjastyczne opinie. Opustoszałe okolice. Wyludnione. Można było bez końca wędrować, nie napotykając po drodze żywego ducha.

Do diabła, nie powinnam była dać się w to wplątać!

Może Mandy Allard już dawno nie żyje. Posłużył się tym argumentem jedynie jako środkiem nacisku. Poskutkowało.

Chciał się jej pozbyć.

Czy powinna wreszcie ujawnić swoją prawdziwą tożsamość? Podsunąć mu pod nos policyjną legitymację? Być może zdołałaby go tym wystraszyć. Wytrącić z równowagi.

A może wezbrałaby w nim jedynie determinacja. Ten atut, jeśli rzeczywiście był to atut, zachowa na później.

Kiedy ktoś zacznie się niepokoić jej nieobecnością? Pewnie tylko David, może od godziny piątej, najpóźniej od pół do siódmej, siódmej. Nie miał jednak pojęcia, gdzie się podziewała. Będzie dzwonił do niej na komórkę. Mało prawdopodobne, by Saunders pozwolił jej odebrać. Jeśli w ogóle zdoła się do niej dodzwonić.

Była głupia. Taka głupia.

Jak Mandy. Tak właśnie powiedział Brendan. *Jest głupia. Po prostu głupia.*

Co z Colinem? Pewnie już stoi przed jej drzwiami. Albo dotrze tam w ciągu najbliższej godziny. Stwierdzi, że nie ma jej w domu albo nie otwiera. Co wtedy? Nie będzie wiedział, co począć. Podobnie jak ona.

„Wymyśl coś, Kate – nakazała sobie – i zachowaj zimną krew”.

– Jesteśmy w Northumberland, prawda? – zapytała.

Muszę wiedzieć, gdzie się znajdujemy!

– Tak – potwierdził krótko.

– Panie Saunders, dziś wieczorem mam ważne spotkanie. To znaczy... Może mi pan powiedzieć, kiedy mniej więcej dotrzemy na miejsce? Muszę oszacować, ile zajmie mi droga powrotna.

Liczyła się z cyniczną odpowiedzią w rodzaju: *Dla pani nie ma stamtąd powrotu!* Zamiast tego, choć z autentyczną niechęcią, odparł:

– Za dwadzieścia minut powinniśmy być na miejscu.

Torebkę wcisnęła na siedzenie między siebie a drzwi. W zwolnionym tempie, możliwie niezauważalnie wsunęła do niej rękę. Po omacku szukała telefonu. Musiała zachować ostrożność, nie mogła zabrzęczeć kluczami ani monetami.

Komórka. Jej palce zacisnęły się na obudowie telefonu. Zamyśliła się. Żeby go odblokować, musiałaby zerknąć do torebki, nie zdoła zrobić tego na ślepo.

Pociągnęła nosem.

– Mogę wziąć chusteczkę? – zapytała uniżenie, przeczuwając, że nie zgodzi się, by pogrzebała w torebce.

Saunders skinął głową.

– Okay.

Położyła torebkę na kolanach, zajrzała do wnętrza, zaczęła szukać. Tą samą ręką, którą trzymała komórkę, zdołała wstukać kod blokady. Dzięki Bogu. Nie pomyliła się. Ekran się rozjaśnił.

– Co tak długo? – zapytał ostrym tonem Saunders. Zerknął w jej stronę, musiał jednak patrzeć przed siebie, gdyż droga była wąska i kręta. – Ma pani tę cholerną chusteczkę czy nie?

– Sama nie wiem. Byłam pewna, że... – Grzebała dalej. Włączyła WhatsApp.

– Dość – odparł poirytowany Saunders. Dłonie zacisnął na kierownicy, jakby chciał ją połamać. – Wystarczy. Proszę odłożyć torebkę. Będzie pani dalej pociągać nosem!

„Koniec maskarady” – pomyślała Kate. Jak dotąd przypominali współników. Saunders chciał rozwikłać zagadkę. Kate chciała rozwikłać zagadkę. Saunders już dawno wzbudzał podejrzenia, lecz przynajmniej zachował pozory, jakby sam nie był uwikłany w tę mroczną historię. Teraz zrzucił maskę. Bez ogródek poddał Kate presji.

– Okay. – Odłożyła torebkę na bok. Wolałaby umieścić ją między sobą i Saundersem, zamiast wciskać ją obok drzwi, lecz byłoby to zbyt ryzykowne, gdyż mógłby wówczas zauważyć, że nadal trzyma w niej dłoń. Ostrożnie zerknęła w bok, dziękując Bogu, że Saunders znów musiał patrzeć na drogę. Ekran był włączony. Uruchomiła jeden ze swoich czatów na WhatsAppie, nie mogła jednak rozpoznać który. W najlepszym razie czat z Calebem Hale'em albo z którymś z kolegów z Londynu. Może z Davidem. On także jakoś zareaguje. Pewnie natychmiast zgłosi się na policję.

Nacisnęła strzałkę oznaczającą nagrywanie wiadomości głosowej. Przytrzymała ją, patrzyła jednak przed siebie. Miała nadzieję, że ich głosy będą wystarczająco donośne, a szum silnika wszystkiego nie zagłuszy. To dlatego wolałaby położyć torebkę bliżej Saundersa, lecz nie miała innego wyjścia.

– Northumberland – powiedziała głośno. – Nigdy tu jeszcze nie byłam. Rzeczywiście pusto tu, tak jak mówią. Jesteśmy blisko wybrzeża?

– Jedziemy praktycznie wzdłuż wybrzeża. Do morza jest stąd niecałe pół mili.

– Wspaniale. Piękna okolica.

– Zbyt jałowa. Zbyt zimna. W ogóle uważam Anglię za zbyt zimną. Gdybym tylko mógł, zamieszkałbym na południu.

– Dlaczego pan tego nie robi? Będąc pisarzem, może pan mieszkać wszędzie.

– Zobaczymy – mruknął. Temat ten uznał chyba za nazbyt osobisty.

Musiała przekazać możliwie jak najwięcej informacji.

– Zna pan komisarza Caleba Hale’a? To on prowadzi śledztwo w sprawie tych zaginionych dziewcząt. – Ktokolwiek to usłyszy, nawet jeśli nie będzie to sam Caleb, powinien się domyślić, kogo należy niezwłocznie powiadomić.

Brendan Saunders wydał z siebie dźwięk pogardy.

– Czy go znam?! Tego dupka?!

– Miał pan z nim do czynienia?

– Zaczął mnie podejrzewać. Nic mi jednak nie udowodnił.

Kate przełknęła. Caleb miał tego typu na celowniku.

„Nie analizuj. No dalej”.

– Sądzi pan, że możemy po prostu zabrać z sobą Mandy Allard? To znaczy, myśli pan, że będzie chciała wrócić do swojej rodziny? – Nazwisko *Mandy Allard* wymówiła wyraźnie i dobitnie, lecz zaraz tego pożałowała. Saunders nie był głupcem.

– Czemu pani tak krzyczy? Nie jestem głuchy.

– Przepraszam. – Musi zachować większą ostrożność. – Myślałam, że ze względu na Mandy...

– Zrozumiałem. Nie mam pojęcia. Jej rodzina to dno. Kompletne dno. To dlatego sądziłem, że... – Nie dokończył.

– Tak? – podchwyciła Kate.

– Sądziłem, że doskonale się nada – odparł Saunders.

– Do czego?

Nie odpowiedział. Patrzył nieruchomo przed siebie.

Kate modliła się, by komórka nadal nagrywała ich rozmowę. Dwa tygodnie wcześniej Colin przesłał jej wieczorem wiadomość głosową trwającą prawie piętnaście długich minut. Wiedziała, że może mieć sporą długość, lecz nie miała pojęcia, ile wynosił limit. Jeśli jej kciuk nieopatrznie się nie ześlizgnął, nadal znajdowali się w trybie nagrywania.

Zrozumiała, że Brendan Saunders nie pozwoli jej odejść razem z Mandy. Jeśli Mandy w ogóle jeszcze żyje. Już dawno się zdradził. *Sądziłem, że doskonale się nada.* Tkwił w tej historii po uszy i musiał wiedzieć, że Kate potrafi wyciągać właściwe wnioski.

Nie mógł pozwolić, by odeszła i powiadomiła policję.

Pewnie nigdy nie miał takiego zamiaru.

Kate miała powody, by uznać się za idiotkę, nie mogła jednak niepotrzebnie tracić sił. Tym bardziej że doskonale wiedziała, iż ma niewielkie pole manewru. Saunders prawdopodobnie więził Mandy Allard, dziewczyna być może wciąż żyje, on zaś

zamknie się jak ostryga, jeśli Kate nie będzie z nim współpracować.

Głośno westchnęła.

– Zaraz będziemy na miejscu – stwierdził Brendan.

Pokonali jeszcze niewielki odcinek wąskiej drogi lokalnej – od pół godziny nikogo na niej nie spotkali – nim Brendan włączył nagle kierunkowskaz i zwolnił. Skręcili w drogę szutrową. Po prawej i lewej ciągnęły się łąki i cierniste zarośla, na których gdzieś wisiły ostatnie owoce dzikiej róży. Ich czerwień jaśniała wśród szarzyzny dnia niczym żywe pozdrowienie świata zapadającego właśnie w zimowy sen.

Na początku drogi widniała wyblakła tablica. Kate miała ledwie kilka sekund na odczytanie słabo widocznych wydrapanych liter.

Seagulls Cliff. Jeśli dobrze dostrzegła. Przynajmniej słowa te miały jakiś sens.

– Seagulls Cliff – powiedziała głośno. Znów *za* głośno, nieważne, byleby tylko nazwa ta była dobrze słyszalna. I dotarła do odbiorcy wiadomości, kimkolwiek był. – Seagulls Cliff w Northumberland. Nigdy nie słyszałam.

– Boże, niechże pani tak nie krzyczy! – zbeształ ją Brendan.

– Przepraszam. To z podekscytowania. Zwariowana historia. Zaginiona dziewczyna, a my zaraz ją uwolnimy! – Zastanawiała się, czy Saunders kupi tę jej niebywałą naiwność, nic jednak nie odpowiedział. Ostrożnie prowadził samochód po wyboistej drodze.

Kate zaryzykowała rzut oka do wnętrza torebki. Ekran telefonu zgasł, nie oznaczało to jednak, że nagranie się zakończyło, urządzenie oszczędzało w ten sposób energię. Poruszyła palcem, ekran znów się rozjaśnił. Nagranie trwało nadal. Licząc na to, że nie straciła zasięgu, wysłała wiadomość.

Proszę, proszę, proszę. Ktokolwiek otrzyma tę wiadomość, niech ją natychmiast odsłucha. I zrozumie. I zrobi, co trzeba!

Szutrowa droga wiła się przez niewielki zagajnik złożony po części z uschniętych drzew iglastych, aż w końcu doprowadziła ich na płaskowyż. Kate dostrzegła morze. Rozległy, wspaniały, opustoszały krajobraz. Pośrodku stał szary dom o zwietrzałych murach, z porośniętym mchem dachem, obok resztki rozpadającego się ogrodzenia, które przed laty zapewne otaczało coś w rodzaju ogrodu, lecz uległo pod naporem surowej aury. Za domem mieściła się chyba jakaś szopa. Ogród był zdziczały, zapuszczony, porośnięty chwastami i dziko pleniącą się trawą. Nikt tu nigdy nie zaglądał. Wędrowcy idący ścieżką wzdłuż morskiego brzegu nie widzieli domu stojącego na płaskowyżu.

„Doskonała kryjówka” – pomyślała Kate.
Przełknęła. Zaszło jej w ustach.
– Jesteśmy na miejscu – oznajmił Brendan.

6

Colin Blair po raz trzeci nacisnął dzwonek i usłyszał jego głuchy dźwięk wewnątrz domu. I znów nikt nie zareagował. Żadnych kroków, nic. Cofnął się, spojrzął na fasadę. Wszędzie panowała ciemność. Dochodziło pół do piątej, zapadał zmrok. Gdyby ktoś był w domu, musiałyby się palić światła.

Adres był poprawny, nazwisko *Linville* widniało na tabliczce na ogrodowym murku przed wejściem.

Obszedł dom dookoła, wszedł do niewielkiego ogrodu, który latem musiał być istnym rajem, pełen drzew, roślin i długich rzędów krzewów różanych, teraz bezlistnych i mrocznych. Także na tyłach domu nigdzie nie zauważył blasku światła. Na ulicy i podjeździe nie znalazł też samochodu Kate.

Nie było jej w domu. A przecież napisał, że przyjedzie. Mała niebieska ikonka potwierdzała, że wiadomość została odczytana.

To nie fair z jej strony. Bardzo nie fair.

Podszedł do kuchennych drzwi, przywarł głową do szyby, zajrzał do środka. Dostrzegł kontury mebli. Zlew, kuchenka. Lodówka. Kilka wiszących szafek. Wystraszył się, gdy nagle pojawił się jakiś cień i podszedł prosto do drzwi. Rozpoznał czarnego kota. Messy. Na jednym ze spotkań Kate pokazała mu kilka jej zdjęć. Messy stanęła na tylnych łapach, wyprężyła się, oparła przednimi łapami o szybę, miauknęła. Bez wątpienia czuła się samotna.

Czy Kate była u swego kochanka? Czy zostawiłaby wówczas kota samego w ciemnym domu?

Colin zaczął się zastanawiać. Myśl o tajemniczym mężczyźnie, który pojawił się w życiu Kate, boleśnie go ukłuła. Nie miał jednak pewności, czy Kate zwyczajnie go nie nabiera. To człowiek znikąd, a Kate nie jest przecież typem kobiety, za którą mężczyźni uganiają się jak szaleni. Zagadują, gdyż koniecznie muszą ją poznać. Przy dłuższej znajomości pewnie poznają zalety jej charakteru i uznają je za interesujące. Była bardzo mądra, potrafiła czasem – rzadko – błysnąć dowcipem, emanowała

wiarygodnością i przewidywalnością. Cechy te sygnalizowały mężczyźnie, że znalazł w niej osobę, która zawsze będzie stać u jego boku.

Lecz poza tym... Naprawdę nie była atrakcyjna, pomijając świetną figurę. Reszta... Przez ostatnie dwa tygodnie, wypełnione telefonami i mailami z jego strony, Colin często się zastanawiał, dlaczego ugania się za kobietą, która wizualnie ledwie mu się podoba. Coś go w niej zafascynowało. Prawdopodobnie jej zawód.

Sierżant Scotland Yardu. Jeszcze nigdy nie spotkał kobiety wykonującej bardziej interesującą pracę.

Być może, jak sądził, wymyśliła sobie tego mężczyznę, by się od niego, Colina, w mniej czy bardziej elegancki sposób uwolnić. Choć zwyczajnie nie potrafił zrozumieć dlaczego. Była samotna. Żałośnie samotna. Wcale tak nie powiedziała. Ale było to po niej widać. To się wyczuwało. Kobieta jej pokroju nie szuka pomocy na Parshipie, jeśli rzeczywiście nie czuje się przyparta do muru. Randki z mężczyznami były dla niej utrapieniem – i to dało się wyczuć. Była zdesperowana, w przeciwnym razie by tego nie robiła.

I wtem wygrywa los na loterii. Poznaje kogoś takiego jak on, po czym... się ulatnia. Dosłownie i w przenośni. Wyrusza do Yorkshire, by zająć się sprzedażą domu – pośrednik nieruchomości mógłby się przecież obejść bez jej pomocy – i nawiązuje romans, najprawdopodobniej zmyślony. Dlaczego tak postępuje?

„Strach przed nadmierną bliskością” – pomyślał Colin. Od dziesięcioleci żyła samotnie. Może wystraszyła ją nagle myśli, że będzie musiała dzielić z kimś życie.

Wtedy jednak, do diabła, nie powinno się korzystać z Parshipu i robić innym nadziei.

Ponownie obszedł dom, wrócił do samochodu i zaczął rozmyślać. Przebył długą drogę, stał w korku, był zmęczony. Nie miał ochoty wracać od razu do Londynu. Jeśli Kate się nie zjawi, będzie musiał poszukać sobie jakiegoś hotelu. O tej porze roku pewnie niewiele z nich było w ogóle otwartych.

Może zaczeka jeszcze trochę. Jeśli ów kochanek nie istnieje – a Colin był tego niemal pewien – Kate musi się kiedyś pojawić. Westchnął.

Kiedy obchodził dom, zostawił komórkę w samochodzie na siedzeniu pasażera. Sięgnął po nią mimowolnie i zerknął, czy nie pojawiło się coś nowego.

Natychmiast się wyprostował, przelknął sucho i wlepił wzrok w ekran telefonu. Wiadomość na WhatsAppie. Od Kate.

Otworzył ją. Wiadomość głosowa. Przez chwilę poczuł strach: może ostrym tonem,

w jednoznacznych słowach da mu jasno do zrozumienia, że ma wreszcie zniknąć z jej życia. Niemal bał się ją odsłuchać. W końcu jednak nacisnął strzałkę.

Usłyszał... szum silnika. Tak, to samochód. Wiadomość nagrana w poruszającym się pojeździe. Kate zapewne podczas jazdy używała zestawu głośnomówiącego.

Usłyszał jej głos. Nieco głuchy. Ledwie mógł ją zrozumieć, choć przycisnął telefon do ucha.

– Northumberland... pusto tu...

Przewiął do początku, lecz szum był zbyt głośny, komórka zaś... no cóż, pewnie znajdowała się w zbyt dużej odległości. W schowku? Albo w torebce Kate? Co to za idiotyczna sytuacja?

Ku ogromnemu zdziwieniu Colin usłyszał też drugi głos. Głos mężczyzny. Bez wątpienia.

– Jedziemy... wzdłuż wybrzeża... – I znów niezrozumiały przekaz.

Czy to ten typ, którego podobno poderwała? Czyżby istniał naprawdę?

Dosłyszał słowo „Włochy”. Wypowiedział je mężczyzna. A potem jeszcze strzęp zdania Kate: „Będąc pisarzem...”.

Mamrotanie, niezrozumiałe. Następnie głos Kate, dość głośny: „Komisarza Caleba Hale’a...”.

Mężczyzna: „...podejrzywał mnie...”.

Kate znów się odezwała, i tym razem bardzo głośno. Wymówiła imię i nazwisko. „Mandy Allard”.

„...krzyczy...”, Colin wyłowił głos mężczyzny. A po serii niezrozumiałych słów jeszcze: „doskonale”.

„Seagulls Cliff, Northumberland”, powiedziała następnie Kate. Prawie krzyczała.

Potem odezwał się mężczyzna. Colin zrozumiał tylko: „...nie tak...”. Pewnie prosił Kate, by nie mówiła tak głośno. Nagranie się urwało. Wysłano je o godzinie szesnastej dwadzieścia trzy. Mniej więcej przed dziesięcioma minutami.

Colin gapił się w ekran telefonu. Co to, u licha, ma znaczyć?

Ponownie odsłuchał nagranie, zrozumiał jednak niewiele ponad to, co wyłapał za pierwszym razem, tu i ówdzie jakieś „i”, którego uprzednio nie dosłyszał, a także słowo „rodzina”.

Dziwne, absolutnie dziwne.

To nie miało sensu. Czyżby Kate nieopatrznie nagrała rozmowę i ją wysłała? By to

jednak zrobić, trzeba przez cały czas trzymać wciśniętą ikonkę. A potem nagranie wysłać. Colin wiedział z własnego doświadczenia, że czasem można niechcący zadzwonić do kogoś, bo telefon zostaje przyciśnięty i następuje automatyczne wybranie zapisanego w pamięci numeru. Ale żeby przez nieuwagę wysłać wiadomość głosową na WhatsAppie? O takim przypadku nigdy jeszcze nie słyszał.

Włączył czat z Kate i wystukał odpowiedź. *Cześć Kate, dziwna wiadomość. Rozumiem tylko fragmenty. Co się dzieje? Gdzie jesteś? W Northumberland?? Stoję przed twoimi drzwiami w Scarborough!*

Wsiadł, zrobił sobie selfie przed domem Kate, załączył do wiadomości, wsiadł z powrotem do samochodu, wysłał. Przez kilka minut obserwował ikonkę. Wiadomość dostarczona, lecz nie odczytana.

Zamyślił się. *Zakładając, że świadomie przesłała mu tę wiadomość, co chciała przez to osiągnąć? Dać mu w brutalny sposób do zrozumienia, że rzeczywiście istnieje w jej życiu inny mężczyzna? Z którym siedzi właśnie w samochodzie, jadąc na romantyczny weekend pośród dziczy i pustkowiec Northumberland? Czy chciała się go wreszcie pozbyć, wytykając mu możliwie najwyraźniej: *Mam innego faceta! Zostaw mnie w spokoju!?**

Czemu w takim razie nie mówiła prosto do aparatu? Podobnie jej kochanek? Czemu ryzykowała, że nie zostanie wyraźnie zrozumiana, trzymając telefon zbyt daleko od ust?

Bo ten gość miał o tym nie wiedzieć? Miał nie wiedzieć o istnieniu Colina? Niby czemu? Skoro i tak chciała z nim zerwać.

W każdym razie... to nie było w stylu Kate. Coś tu nie pasowało. Działo się tu coś dziwnego.

Ponownie zerknął na ekran. Wciąż nie odczytała wiadomości. Może straciła zasięg. W tamtej okolicy to całkiem prawdopodobne.

Jedno nazwisko wymówiła szczególnie głośno i wyraźnie: *komisarz Caleb Hale*.

Jej kolega? Scotland Yard?

Colin zmarszczył czoło. Już kiedyś słyszał to nazwisko. A może przeczytał?

Naraz sobie przypomniał. Morderstwo ojca Kate. Także i ta sprawa zafascynowała Colina. Nigdy jeszcze nie rozmawiał z człowiekiem, w którego rodzinie ktoś został *zamordowany*. Wiele by dał, by poznać każdy szczegół tego przypadku, jednakże Kate niechętnie o tym mówiła, nie umknęło to jego uwadze. Na własną rękę wszczął poszukiwania w internecie i znalazł sporo relacji prasowych na ten temat. Wciąż przewijało się w nich jedno nazwisko – prowadzącego śledztwo nadkomisarza Caleba

Hale'a. Pamiętał je doskonale. Tak właśnie się nazywał. Musiał więc pracować w tutejszym wydziale kryminalnym, w Scarborough.

Colin ponownie odsłuchał nagranie, lecz nic więcej z niego nie wyłowił. Wysłanej przez niego wiadomości Kate nadal nie odczytała.

A co, jeśli to wołanie o pomoc?

Wygugłował nazwisko *Mandy Allard*. Nie znalazł nic znaczącego. Kim, u licha, była ta Mandy? Kate nigdy o niej nie wspominała. Od dobrych dwóch tygodni nie mieli jednak z sobą kontaktu. Może to jej tutejsza znajoma.

Kate była więc w drodze do Northumberland, podróżowała samochodem w towarzystwie jakiegoś mężczyzny. Znajdowała się w miejscu zwanym „Seagulls Cliff”, jeśli Colin poprawnie je zidentyfikował. Może to jakaś wioska, może też budynek, hotel, zagroda. W rozmowie, z której Colin, jak ocenił, zrozumiał co dziesiąte słowo, padły dwa nazwiska: zupełnie mu nieznannej Mandy Allard oraz wysokiego rangą funkcjonariusza policji ze Scarborough, którego Kate prawdopodobnie dobrze знаła, gdyż prowadził śledztwo w sprawie morderstwa jej ojca.

To nie miało sensu. A przynajmniej nie uprawniało do potraktowania owych strzępów zdań jako *wołania o pomoc*. Wołania... no właśnie, o co? By pójść na policję? Do komisarza Hale'a, którego nazwisko Kate tak głośno i wyraźnie wymieniła, że dało się je wyłowić nawet z tak zawilego, niejasnego słownego gwaru?

Uświadomił sobie, że niektóre słowa niemal wykrzyczała. Ponownie je odsłuchał: *komisarz Caleb Hale, Mandy Allard, Seagulls Cliff, Northumberland*.

Jakby chciała przekazać informację o swoim położeniu, którą koniecznie należało odebrać. Podała nazwisko policjanta. Co to miało wspólnego z Mandy Allard, pozostawało zagadką.

Nie mogła wysłać tej wiadomości przez pomyłkę. Widocznie musiała ukryć komórkę, ryzykując, że nagranie nie zostanie w pełni zrozumiane.

Bo siedzący obok niej w samochodzie mężczyzna nie mógł się dowiedzieć, że nagrywa rozmowę? I ją wysyła?

Kate rzeczywiście poznała jakiegoś faceta i zakochała się w nim. Czyżby... trafiła na przestępcę?

Colin był podekscytowany. Prawdopodobnie znalazła się w niebezpiecznym położeniu. I wzywała jego, Colina, na pomoc. Okazałby się żalonym durniem, gdyby nie zareagował. Wręcz przeciwnie: mógł stać się bohaterem dnia, jeśli teraz zrobi, co trzeba. Kate nigdy mu tego nie zapomni.

Jeśli jednak rzeczywiście podróżowała z niewinnym kochankiem... wówczas Colin wyjdzie na urażonego, wystawionego do wiatru zazdrośnika. Który wymyślił sobie tę wielce podejrzaną historię.

Jak powinien postąpić? Rzadko kiedy czuł się tak rozdarty.

W końcu powziął decyzję. Wyszukał w internecie numer centrali wydziału kryminalnego w Scarborough. Wystukując go, poczuł przyspieszone bicie serca. Każe się połączyć z nadkomisarzem Hale'em. Nie chciał się ośmieszyć. Może powiedzieć, że wydało mu się to bardzo dziwne.

7

Dopiero przy bliższym spojrzeniu Kate zauważyła samochód. Własny pozostawili poza obrębem działki. Za rozpadającym się parkanem, w pewnej odległości od domu, znajdowało się miejsce do parkowania, pierwotnie nawet wyasfaltowane, teraz jednak niemal w całości zarośnięte dziko pleniącymi się jeżynami. Asfalt był popękany, z szerokich szczelin wyrastały długie żółte źdźbła trawy i cierniste łodygi. Tu właśnie stał zaparkowany samochód. Duży, granatowy.

Brendan stanął jak wryty.

– Dobry Boże!

– Ryan Caswell? – zapytała Kate. – Czy to samochód Caswella?

Brendan nie odpowiedział.

– Chodźmy. Musimy... – Nie dokończył, pobiegł do drzwi wejściowych. Kate próbowała wykorzystać moment nieuwagi i sięgnąć do torebki po telefon, jednak Brendan zdawał się mieć oczy z tyłu głowy albo też przewidział jej ruch, gdyż odwrócił się gwałtownie i wyrwał Kate torebkę. Tak szybko, że zupełnie ją zaskoczył, nie miała nawet czasu pomyśleć o obronie. – Żadnych rozmów przez telefon!

– Wcale nie chciałam telefonować – zaprzeczyła Kate. – I proszę natychmiast oddać mi torebkę!

On jednak ruszył przed siebie. Kate deptała mu po piętach. Nic jej nie pozostało, mogła jedynie się modlić, by jej wołanie o pomoc dotarło i zostało zrozumiane.

Drzwi do domu były uchylone. Brendan otworzył je i wszedł do środka.

Wewnątrz panował półmrok, gdyż na dworze już zmierzchało. Krótki korytarz, ledwie kilka kroków dalej mieścił się większy pokój. Przez zakratowane okno wsączała

się do wnętrza ostatnia poświata dnia. W jej blasku oczom Kate ukazał się zaskakujący widok.

Dwie kobiety. Obie siedziały w kucki na podłodze. Jedna dokładnie naprzeciw okna. Bardzo młoda dziewczyna, czternasto-, może piętnastoletnia. Mandy Allard? Wyglądała okropnie, zmierzwiłone włosy, ogromne, gorączkowo połyskujące oczy, pośliznęła cera. Wychudła, o zapadniętych policzkach. Sprawiała wrażenie na wpół martwej, wydawało się, że goni resztką sił. Widać było, że w każdej chwili może się osunąć na podłogę. Przypominała ciężko ranne zwierzę zapędzone w pułapkę, które wciąż się broni, choć nie ma szans, a porażka jest tylko kwestią czasu. Trzymała coś w lewej dłoni przed sobą, niczym broń. Kate poznała dopiero przy powtórnym spojrzeniu. Rozbita butelka. O ostrych krawędziach. Przedmiot niebezpieczny nawet w rękach na wpół przytomnej.

Naprzeciw niej przykucnęła druga kobieta, wyraźnie od niej starsza, a jednak młodsza od Kate. Była w zdecydowanie lepszym stanie fizycznym niż dziewczyna, choć trzymała się za rękę, którą owinęła szalem. Jakby zmagająca się z bólem. Odwróciła głowę. Twarz miała zakrwawioną.

W pomieszczeniu cuchnęło. Ekskrementami. Krwią. Potem. Gorączką.

– Na litość boską! – krzyknęła przerażona Kate.

Brendan pobladł jak kreda.

– Linda! Linda, dobry Boże, co tu się stało?

Kate była skonsternowana.

– Linda Caswell?

– Ona ma kluczyki – oznajmiła Linda Caswell. Mówiła dziwnie monotonnym, nieco urywanym głosem. – Kluczyki do samochodu. Nie mogę się stąd wydostać.

– Czemu tu przyjechałaś? – zapytał Brendan. Stał pośrodku pokoju z torebką Kate w rękę; sprawiał wrażenie wyraźnie przybitego tą dziwną sytuacją.

– Chciałam to zakończyć – wyznała Linda. – Szybciej. Bo zawsze mówiłeś, że to okropne, pozostawić je tu same sobie.

– Ale nie miałem przecież na myśli... O Boże, Linda. – Brendan był bliski płaczu.

– Musimy natychmiast wezwać lekarza – odezwała się Kate.

Linda spojrzała w jej stronę.

– Kim pani jest? – Zerknęła na Brendana. – Kim ona jest?

– Dziennikarką – wyjaśnił Brendan. – Pisze o zaginionych dziewczętach. I cholernie

dużo o nas wie. Dziś w południe pojawiła się u mnie. Pomyślałem, że...

– Najlepiej zrobisz, jeśli się jej pozbędziesz – dokończyła Linda. Powoli zebrała się w sobie, stanęła na chwiejnych nogach. Jej twarz wyglądała przerażająco. Głęboka rana biegła skośnie od lewej skroni przez policzek, miała też na wprost przecięte usta. – Była przecież przywiązana... Mandy... Uwolniła się. Zaatakowała mnie z ukrycia. Butelką.

– Pizda. – Mandy prychnęła niczym dzikie zwierzę. – Cholerna pizda.

– Kluczyki wypadły mi z ręki – wyjaśniła Linda. Kate zrozumiała, dlaczego mówi w tak dziwny sposób. Miała rozcięte wargi, a jej usta wypełniały się krwią, którą wciąż wypluwała. Obok niej na podłodze widniała już spora kałuża. Prawdopodobnie miała też okaleczony język. – Ona na nich siedzi. Nie pozwala mi ich zabrać.

Kate domyśliła się, że obie kobiety przypuszczalnie już od wielu godzin siedziały naprzeciw siebie w tym okropnym pomieszczeniu. Każda wyczekiwała chwili, kiedy druga opadnie z sił. Na nieszczęście wedle wszelkiego prawdopodobieństwa pierwsza ulegnie Mandy. Była u kresu wytrzymałości.

– Mamy samochód – wyjaśnił Brendan. – Jej – dodał, wskazując na Kate.

– Zamierzasz ją tu zostawić? – zapytała Linda.

– Co niby mamy zrobić? Była bliska odkrycia prawdy. Musiałem ją zabrać.

– Bzdura, pewnie niczego by nie odkryła. – Linda uniosła dłoń i rękawem wełnianego zimowego płaszcza starła krew z twarzy. Nitki materiału przykleiły się do rany, przez co wyglądała jeszcze bardziej groteskowo. Szal, którym owinęła dłoń, był przesiąknięty krwią. Mandy musiała jak oszalała machać na oślep odłamana sztykłą butelki – i była w tym bardzo skuteczna.

– Nieprawda, ona sporo wie – odparł Brendan. Sprawiał wrażenie, jakby zaraz miał się rozplakać. – Linda, proszę, chciałem koniecznie zrobić to, co należy...

– Już dobrze. Skoro tu jest... Nic nie poradzimy. Powinniśmy stąd uciekać.

Kate jeszcze nie wiedziała, jak ocenić Lindę Caswell, a jednak zrozumiała jedno: to tutaj umierały dziewczęta. Przypuszczalnie Hannah Caswell, a na pewno Saskia Morris. Zagłodzona, według raportu z obdukcji. Zwyczajnie zostawili ją własnemu losowi na tym kompletnym pustkowiu, daleko do jakiegokolwiek domostwa. Prosty to sposób zabijania, wystarczy zamknąć za sobą drzwi i odjechać. I wrócić po upływie kilku tygodni, kiedy jest już po wszystkim. Pewnie to Brendan pozbywał się ciał.

Ale dlaczego? Po co to wszystko?

Dowie się tego później. Teraz musi spróbować przeszkodzić obojgu w opuszczeniu domu – choć domyślała się, że to nie może się udać. Muszą się jej pozbyć, gdyż

stanowiła dla nich poważne zagrożenie. Nie mogą jej po prostu puścić wolno.

Zastanawiała się przez chwilę, czy właśnie *teraz* nie powinna ujawnić swojej prawdziwej profesji, zarzuciła jednak tę myśl. Być może zrobiłoby to wrażenie na Brendanie, lecz z całą pewnością nie na Lindzie Caswell. Cokolwiek ich z sobą łączyło, hierarchia w ich związku była oczywista już na pierwszy rzut oka. To Linda nadawała ton. Brendan był jej całkowicie podporządkowany, zabiegał o jej względy. A Lindę niełatwo było zastraszyć. Także dlatego, że była chora. Kate dostrzegła to w jej oczach. Linda Caswell była chora psychicznie. Nawet gdyby nie wiedziała, że ta kobieta przez długi czas przebywała w klinice psychiatrycznej, byłaby się tego domyśliła.

Gdyby Linda się dowiedziała, że ma przed sobą policjantkę, mogłoby ją to rozjuszyć. Jak dotąd widziała w Kate naiwną dziennikarkę, która nie stanowiłaby jakiegokolwiek zagrożenia, gdyby Brendan nie zareagował z nadmierną gorliwością. Inaczej oceniłaby ją jako policjantkę. By ją unieszkodliwić, być może sięgnęłaby po bardziej drastyczne środki niż tylko pozostawienie jej tutaj w zamknięciu. Dawało to przecież jakąś szansę na ucieczkę. Choć szansa ta, jak przypuszczała Kate, była raczej znikoma.

„Miejmy nadzieję, że nie przeszukają mojej torebki – pomyślała – bo mogą tam znaleźć legitymację służbową”.

– Zostawiając nas tutaj, popełnia pani przestępstwo – wyjaśniła. – Dobrze pani o tym wie. Dziewczyna pilnie potrzebuje pomocy lekarza. Niezwłocznie.

– Co pani powie? – odparła niewzruszona Linda. – *Dziewczyna* wie, czemu ją tu zostawiam. To nie moja wina.

– Zostawić to nie to samo co uwięzić – zauważyła Kate.

Linda wzruszyła ramionami. Chyba nie miała najmniejszych wyrzutów sumienia.

– Brendan, idziemy – postanowiła.

– Proszę mi oddać torebkę – zażądała Kate.

Linda potrząsnęła głową.

– Zapomnij. Nic tu nie zostawimy. Brendan, poszukaj telefonu tej pani. Wyłącz go i wyrzuć do morza. Chcę mieć pewność, że nikt nas nie namierzy.

Brendan posłusznie zaczął przeszukiwać torebkę. Kate wstrzymała oddech. Na szczęście przeoczył legitymację. Uniósł w górę komórkę.

– Mam!

Cała nadzieja w tym, że nie wpadną na pomysł, by sprawdzić jej e-maile i wiadomości na WhatsAppie. Widocznie Linda była zanadto zmęczona.

– Wyłącz.

Brendan wyłączył telefon. Zaraz pobiegł na skraj urwiska i biorąc spory zamach, wyrzucił aparat do morza. Bez szans, by ktokolwiek zdołał go odnaleźć. Pozostawała jedynie nadzieja, że ktoś odczytał wysłaną wiadomość i wyciągnął właściwe wnioski.

Linda ponownie splunęła krwią na podłogę. Następnie razem z Brendanem zaczęli się wycofywać krok po kroku, ani na sekundę nie spuszczać z oczu przeciwniczek. Kate wiedziała, że nie ma sensu ryzykować ataku. Może poradziłyby sobie z ranną Lindą. Ale Brendanowi z pewnością nie dałaby rady.

Drzwi się zatrzasnęły. Usłyszała brzęk wielokrotnie przekręcanego klucza.

– O Boże – odezwała się Mandy. Nie potrafiła już dłużej usiedzieć prosto, powoli osunęła się na podłogę. Rozbita butelka, którą tak mocno ścisnęła w dłoni, wypadła jej z ręki i potoczyła się po posadzce. – O Boże, już po nas. To koniec.

Kate przykucnęła obok niej, oparła jej głowę na swoich kolanach.

– Nie bój się, Mandy. Ty jesteś Mandy Allard, prawda? Nie bój się, wydostaniemy się stąd.

Mandy słabo potrząsnęła głową.

– Szukałam wszędzie. Wszędzie. Nie ma stąd drogi ucieczki. Żadnej.

– Jesteś silną i dzielną dziewczyną, Mandy. Pomysł z butelką był genialny.

– Na nic się nie przydał.

– A potem nie oddałaś kluczyków do samochodu. Poradziłybyś sobie, Mandy. Gdyby ten Brendan Saunders nie zjawił się razem ze mną.

– Miło z pani strony. Ale nie dałabym rady. Za bardzo jestem ranna. – Uniosła prawą rękę.

Z pewnością chodziło jej o nadgarstek i dłoń. Niewiele więcej dało się rozpoznać. Kawałek surowego, zakrwawionego mięsa. Kate aż się wzdrygnęła.

– Co się stało?

Mandy ruchem głowy wskazała na ścianę. Kate dostrzegła przytwierdzony do niej pierścień z łańcuchem i kajdankami.

– Przywiązała mnie. Zdołałam uwolnić rękę. Zdarłam sobie skórę, wtedy się udało.

Kate stłumiła w sobie odruch wymiotny. Dłoń, albo raczej to, co z niej zostało, wyglądała okropnie, jej zapach świadczył o poważnej infekcji. Jeszcze bardziej przerażająca od tego widoku była świadomość, przez co ta dziewczyna przeszła. Z jaką odwagą walczyła, z jaką determinacją i bezwzględnością wobec samej siebie! To nie mogło pójść na marne. Nie zostało im jednak wiele czasu. Cud, że nie doszło jeszcze do zakażenia krwi – lecz wkrótce pewnie tak się stanie.

– Ja tutaj umrę – wyznała cicho Mandy. Mówienie wyraźne nadwerężyło jej siły. – Ramię także kiepsko wygląda. Oparzenie. Jestem potwornie głodna, chce mi się pić. A stąd nie ma ucieczki. To koniec.

Za oknem Kate usłyszała warkot silnika jej samochodu. Pewnie Brendan pozbył się telefonu. A teraz razem ruszają w drogę.

– Mandy, posłuchaj, nie możesz teraz dać za wygraną. Wydostaniemy się stąd. Nie jestem dziennikarką, jak sądzi Brendan Saunders. Jestem policjantką. Rozumiesz?

Mandy zamrugała białymi, niemal przezroczystymi powiekami.

– Super. Ale i tak nie damy rady.

– Ależ damy! Udało mi się wysłać wezwanie o pomoc. Przyjdą tu i nas uwolnią.

– Nikt tu nie trafi.

– Dokładnie opisałam to miejsce. – To nawet nie było zwykłe koloryzowanie. Podobnie jak i całe *wezwanie o pomoc*. W tej jednak chwili liczyło się tylko jedno: musiała rozbudzić w Mandy wolę życia, wykrzesać z niej resztki sił, by przetrwała najbliższe godziny – a uda się to jedynie wówczas, jeśli tchnie w nią nadzieję. – Zaufaj mi, proszę. Wydostaniemy się stąd.

– Ta Linda Caswell – wyjaśniła Mandy – ma nierówno pod sufitem. Boże, zupełnie jej odbiło. Nigdy nie powinnam była wsiadać do jej samochodu. Ale... – Nie dokończyła, lecz Kate domyśliła się reszty. Linda Caswell była kobietą, a to ułatwiało jej sprawę. Z Hannah – czy to naprawdę możliwe? Z własną córką? Z Saskią, z Mandy. Kate powróciła myślą do niedawnego wieczoru, kiedy w Staintondale poszukiwała domu Ryana Caswella i zabrała z przystanku obcą kobietę. Zdziwiło ją wówczas, jak ochoczo tamta wsiadła do samochodu zupełnie przecież nieznaney sobie osoby. A to dlatego – tłumaczyła sobie Kate – że była kobietą. Niektóre lęki oraz stosowne środki ostrożności kobiety niejako podświadomie wiążą z mężczyznami. Nie z innymi kobietami.

– Wydostaniemy się stąd – powtórzyła.

Tymczasem w pokoju zapadł mrok, można było dostrzec jedynie niewyraźne kontury. Zrobiło się zimno. Kate przyciągnęła wełniany koc leżący obok na podłogę, okryła nim siebie i Mandy. Niewiele to pomogło. Mandy pewnie nie czuła chłodu. Dygotała w powodu gorączki.

Ktokolwiek otrzymał wiadomość, musi szybko zareagować. Niezwłocznie.

– Proszę – szepnęła bezgłośnie Kate. – Proszę.

Nikt jej nie słyszał.

– Cholera! Seagulls Cliff to chyba najczęstsze określenie domów, hoteli, pensjonatów, restauracji, pubów albo po prostu dróg biegnących blisko wybrzeża w całej Anglii – wyjaśnił poirytowany sierżant Robert Stewart. – Northumberland nie jest tu wyjątkiem. Sprawdziłem tę nazwę w wyszukiwarce. Na litość boską!

Nadkomisarz Caleb Hale ciężko oparł ramiona o blat biurka.

– Musimy ponownie przeanalizować informacje. *Co chce nam powiedzieć?*

– Technicy wciąż pracują nad tym, by oczyścić nagranie z szumów – odparł Stewart. – Mam nadzieję, że szybko się uwiną.

Caleb wlepił wzrok w kartkę papieru, na której wynotował sobie najważniejsze słowa.

– Wybrzeże i pustkowie – mruknął – to nas daleko nie zaprowadzi, bo każda miejscowość zwana Seagulls Cliff może leżeć nad morzem.

Czytał dalej:

– Włochy. Hm. Nie mam w tej chwili zielonego pojęcia, co by to miało znaczyć.

– Kate Linville prawdopodobnie mówiła też rzeczy całkiem nieistotne – uznał Stewart. – Jeśli nasze przypuszczenia są słuszne, jeśli padła ofiarą niebezpiecznego człowieka, który bezpośrednio jej zagraża, swój przekaz musiała opakować w niewinnie brzmiące słowa.

– Pisarz... – ciągnął Caleb. Zmarszczył czoło. – Albo rozmawiają o literaturze, albo...

Słowo *pisarz* obudziło w nim jakąś niejasną myśl.

Zastanawiał się oczywiście, czy nie podążają fałszywym tropem. Od kiedy pojawił się u niego zupełnie mu nieznany Colin Blair z Londynu i odtworzył mu ledwie zrozumiałą wiadomość głosową z czatu z Kate Linville, w jego głowie zapaliło się czerwone światełko, potem jednak pomyślał, że zareagował chyba zbyt gwałtownie. Podobnego zdania był również pan Blair, który najwyraźniej bał się, że się zwyczajnie ośmieszy.

– Co pana łączy z sierżantem Linville? – zapytał go.

Blair lekko się zarumienił.

– Przyjaźnimy się. No cóż, przyjaźniliśmy się... Najwyraźniej znalazła sobie innego. Ale może to właśnie on jej teraz zagraża?

Kate Linville z obecnym kochankiem oraz podążający ich śladem eks... Ktoś, kto choćby tylko w zarysach znał nieistniejące życie uczuciowe Kate, uznałby to za bardziej

niż dziwne.

Z podejrzeniem, którego nie podzielał, lecz które musiał wykluczyć, Caleb zwrócił się telefonicznie do Davida Chaplanda. David wciąż przebywał w swoim biurze i zareagował ogromnym zdumieniem.

– W Northumberland? Nie, nie jestem z Kate w Northumberland. Co ona tam robi?

– Miałem nadzieję, że pan mi to powie – odparł Caleb. – Podróżuje z kimś samochodem. Domyśla się pan, kto to może być?

W słuchawce można było wręcz usłyszeć intensywne rozmyślenia Davida.

– Wciąż bada tę historię, którą zamierza opisać – oznajmił. – Ale nie opowiada mi o tym. Postępuje bardzo profesjonalnie, przyzna pan. Uważa, że sprawę należy najpierw gruntownie wyjaśnić, zanim się o niej napisze.

Owszem, była profesjonalistką, bez wątplenia, Caleb to wiedział. I cenił. Z rozmowy wyciągnął dwa wnioski: przyjaciel Kate nadal sądził, że jest dziennikarką. Natomiast słowa o tym, że Kate bada tę historię, należało tłumaczyć: prowadzi własne dochodzenie. Poniekąd jako tajna agentka Scotland Yardu.

Caleb zaklął. *Tego* akurat w niej nie cenił – skłonności do mieszania się w jego śledztwa.

– Czy wspominała może o swoich planach na dziś? – zapytał. Nie miał złudzeń. Nawet mężczyźnie, z którym akurat się związała, nic albo zgoła niewiele wyjawi na temat aktualnego stanu dochodzenia – właśnie dlatego, że jest stuprocentową profesjonalistką.

– Dziś rano oznajmiła tylko, że musi jechać do Newcastle. A tak, tuż przed drugą zostawiła mi jeszcze wiadomość w poczcie głosowej. Akurat prowadziłem inną rozmowę, dlatego nie mogłem odebrać. Powiedziała, że wróci do Scarborough, ma tylko jeszcze jedno spotkanie, potem wstąpi do domu i zabierze kota. A następnie przyjedzie do mnie.

– Czy kiedykolwiek wymówiła w jakimś kontekście nazwę Seagulls Cliff?

– Nie. Nigdy.

– Kiedy nagrywała wiadomość dla pana, krzyczała, będąc w samochodzie?

– Nie. Samochód się nie poruszał.

– Jakież odgłosy w tle?

– Nie, nie przypominam sobie...

– Przyślę do pana funkcjonariusza. Byłby pan gotów oddać nam swój telefon, byśmy mogli przeanalizować tę wiadomość?

David nie był tym zachwycony, ale się zgodził.

– Co się dzieje? Czy Kate grozi niebezpieczeństwo?

– Tego nie wiemy. Czy oddzwonił pan do niej po odsłuchaniu wiadomości?

– Nie. Wszystko, że tak powiem, było dla mnie jasne. Wiedziałem, że zobaczymy się dziś wieczorem. Co się stało?

– Prawdopodobnie nic. Proszę się nie martwić, panie Chapland. Ktoś zjawi się u pana po komórkę. – Na tym Caleb zakończył rozmowę.

– Newcastle – rzekł do Roberta Stewarta.

– Czego tam szuka?

– Odkryła jakiś trop na północy. Newcastle, Northumberland...

Umilkli na chwilę zamyśleni, lecz na wspomnienie o *Newcastle* żadnemu z nich nic nie przyszło do głowy.

Caleb uczeplił się za to słowa *pisarz*. Wiedział, że coś jest na rzeczy. Nie tak dawno temu...

– No jasne – powiedział. – Już wiem, kiedy miałem do czynienia z jakimś pisarzem. To ten Brendan Saunders. Tak właśnie mówił. Że jest pisarzem.

Stewart wlepił weń wzrok.

– To on na tydzień udzielił schronienia Mandy Allard. Nim pędem uciekła z jego mieszkania.

– Tak, tyle że podejrzenia wobec niego się nie potwierdziły. Mimo to... Mandy Allard... Kate także zna jej imię. Wymówiła moje nazwisko, wspomniała o Mandy Allard, a do tego o *pisarzu*... Do licha, w co też ona się wplątała?

– Ten typ, z którym siedzi w samochodzie, mówi: *podejrzewał mnie...!* – wykrzyknął Stewart. – Idę o zakład, że to Saunders! Jego właśnie podejrzewaliśmy. Jedzie razem z Brendanem Saundersem do miejscowości Seagulls Cliff w Northumberland. I wysłała tę dziwną wiadomość. Niewątpliwie znalazła się w tarapatach.

– Dlaczego nie wysłała wiadomości do mnie? Tylko do tego dziwnego Blaira, z którym już dawno zerwała?

– Bo pewnie zupełnie nad tym nie panowała. Wygląda na to, że telefon trzymała w torebce. Saunders nie mógł się dowiedzieć, że nagrywa rozmowę. Musiała to zrobić mniej lub bardziej na wycucie. Prawdopodobnie ucieszyła się, że w ogóle zdołała włączyć czat. Musiała wysłać wiadomość, zapewne nawet nie wiedząc do kogo, mogła mieć tylko nadzieję, że jakimś sposobem trafi do nas.

Caleb ruszył do drzwi, w biegu zarzucił płaszcz.

– Jedziemy do Saundersa. Natychmiast.

– Jest prawdopodobnie w Northumberland – zauważył Stewart.

– Nieważne. Może któryś z sąsiadów coś wie. Saunders jest naszą jedyną wskazówką. I niech ktoś się zajmie Seagulls Cliff. Musimy ustalić miejscowości, jakie wchodzi w rachubę. Nic innego nam nie pozostało.

Stewart przewrócił oczami. Znalezienie igły w stogu siana wydawało się prostsze. Skinął na stojącą obok Helen.

– Okay – odparła uniżenie. – Seagulls Cliff.

Stewart ruszył za szefem.

Jedziemy przez mrok. Brendan siedzi za kierownicą. Obserwuję go z profilu, widzę jego zaciśnięte usta. Wie, że nie pochwalam tego, co zrobił, i jest tym kompletnie sfrustrowany. Biedny Brendan. Zawsze chce mi dogodzić, a potem siedzi i gapi się na mnie jak pies oczekujący pochwały.

Lecz nie zawsze na pochwałę zasługuje. Czasem robi nedorzeczne głupstwa.

Na przykład dzisiaj. Dobrze, że przyjechał do Seagulls Cliff i wybawił mnie z kłopotów. Ale czy musiał zabrać z sobą tę dziennikarkę? Bo wpadła na nasz trop? Nic nie wiedziała, zupełnie nic. Nic, co pozwalałoby wyciągnąć właściwe wnioski.

Idiota. I pomyśleć, że jest ze mną spokrewniony. Co prawda dziesiąta woda po kisielu, ale zawsze... Przykre!

Jedyny plus: mamy samochód. Zastanawiałam się przez chwilę, czy razem z Brendanem nie powinniśmy spróbować odebrać Mandy kluczyków do mojego auta, ale nawet dla nas dwojga byłoby to niepotrzebne ryzyko, póki trzymała w dłoni tę butelkę. Ostrą jak brzytwa. Okropnie mnie zraniła, Brendanowi pewnie też by się dostało. Nawet nie próbuję sobie wyobrazić, jak wygląda moja twarz, przerażenie w oczach Brendana mówiło wszystko. Mogłabym otworzyć lusterko przed siedzeniem i obejrzeć tę niespodziankę, ale potrzebuję nieco czasu. Może zrobię to w domu, w cieple i zamknięciu łazienki. Będę mogła ostrożnie zmyć krew i skropić ranę jodyną. Zostanie mi blizna, to jasne. Najbardziej martwię się o wargi. Wciąż krwawią, jeśli dobrze się nie zrosną, już na zawsze zostanę z krzywymi ustami.

Z samochodowej apteczki wyjęłam duże kompresy, przyciskam je do twarzy. Wciąż muszę je zmieniać, gdyż nasiąkają krwią, mam jednak wrażenie, że robię to coraz rzadziej, a to oznaczałoby, że krwawienie powoli ustępuje.

Nigdy jej tego nie wybaczę, tej bestii Mandy Allard.

– Powinnaś pójść do lekarza – powiedział Brendan. Jest blady jak płótno, widzę to nawet w kiepskiej poświacie, jaką dają reflektory naszego samochodu. Za oknem zapadł już zmrok. Mam nadzieję, że niedługo dotrzemy do A1, po której będzie można jechać szybciej. Na razie wlecemy się po wąskich, krętych drogach lokalnych.

– I co niby powiem lekarzowi? Że ktoś mnie napadł? Wtedy powiadomi policję, będą chcieli wiedzieć kiedy, gdzie i jak... W naszej sytuacji? Zapomnij.

– Ale ranę powinno się jednak opatrzyć...

– Co ty powiesz! – zachnęłam się. Jeśli czegoś u Brendana nie znoszę, to właśnie tego wiecznego biadolenia. Będzie lamentował bez końca, przez niemal trzy godziny jazdy, co to niby się stanie z moją raną, nie proponując żadnego rozwiązania. Bo żadnego nie ma. Sama muszę się wyleczyć. To jasne jak słońce i nie ma co strzepić sobie języka.

I tak powinnam posłać Brendana do diabła, przecież to jemu zawdzięczam Mandy Allard. To on ją porwał tamtego dnia, kiedy miał tylko odebrać z warsztatu mój samochód, ale w drodze powrotnej zobaczył na poboczu to zaniedbane stworzenie i zabrał je z sobą. Mieszkała u niego przez dobry tydzień, wtedy do mnie zadzwonił, mówiąc, że ją znalazł. Doskonałą dziewczynę. Tę właściwą. Jakby dla mnie stworzoną. Niestety, tak głupio zaczął rozmowę, że usłyszawszy ją, Mandy czym prędzej dała drapaka. Pewnie pomyślała, że dzwoni na policję albo do opieki społecznej, albo że pracuje dla przemysłu pornograficznego czy coś w tym rodzaju. Policji zeznał później, że dzwonił jakoby do matki, a ona zawsze go kryje.

Mandy w każdym razie uciekła.

To czysty przypadek, że wiele dni później dostrzegłam ją na ulicy. Dziwnym trafem od razu się domyśliłam, że jest opisywaną przez Brendana dziewczyną. Wygląd się zgadzał, poza tym... emanowała czymś... sama nie wiem. W każdym razie nie miałam żadnych wątpliwości. Było też całkiem prawdopodobne, że wciąż przebywa w okolicy, uciekła przecież z domu i wedle słów Brendana za nic w świecie nie chciała tam wrócić. Kiedy zauważyłam, że jest ranna w lewe ramię, nabrałam pewności. To musi być ona.

Szczerze mówiąc, gdyby nie entuzjastyczny opis Brendana, nigdy nie wzięłabym jej pod uwagę. Zbyt zaniedbana. Zapuszczona. Za mało w niej z Hannah.

Tak. O wiele za mało w niej z Hannah.

Brendan uznał jednak, że się nada, bo nie miała dachu nad głową, a przez to nie będzie nieustannie biadolić i płakać. I zadręczać mnie błaganiem, by puścić ją do domu. Akurat! Do rodziny wprawdzie wracać nie chciała, ale nie chciała też zostać u mnie. W odróżnieniu od Hannah i Saskii nie płakała i nie jęczała. Była za to agresywna, rozjuszona, brutalna. Jak pochwycone w sidła dzikie zwierzę, z każdym dniem coraz groźniejsze. Już pierwszego wieczoru, kiedy zasnęła wyczerpana, przywiązałam ją łańcuchem do ściany, przezornie, z instynktownej ostrożności. Metalowy pierścień przymocowany do ściany nie zirytował jej, prawdopodobnie była zbyt zmęczona, by się nad tym zastanawiać. Założyłam łańcuch, unieruchomiłam jej przegub. I wtedy się obudziła. Od tej chwili rozpętało się prawdziwe piekło. Myślałam, że kiedyś wreszcie się uspokoi i będę ją mogła uwolnić. Do tego jednak nie doszło. Było coraz gorzej.

– Dlaczego dziś do niej pojechałaś? – pyta Brendan. W jego głosie pobrzmiwa cichy,

marudny wyrzut. Czemu do niej pojechałam, czemu nic mu nie powiedziałam, czemu go nie wtajemniczyłam, czemu traktuję go jak niewolnika?

– Przecież ci mówiłam. Chciałam to zakończyć. – Widzę, jak przetyka. Właśnie usiłuje sobie wyobrazić, jak owo „zakończenie” miałoby wyglądać.

Nie wiem już, czy to rzeczywiście akt łaski i miłosierdzia pogałał mnie dziś do Seagulls Cliff. Czy naprawdę chciałam Mandy zabić, uwolnić? Zabrałam szal, którym teraz opatrzyłam sobie rękę, wyobrażałam sobie, jak to będzie owinać go wokół jej szyi i... Ale czy naprawdę bym to zrobiła? Trudno powiedzieć. Może po prostu ciągnęło mnie do niej, może chciałam ją jeszcze raz zobaczyć. Wiedziałam, że jest bardzo osłabiona i może uda mi się z nią spokojnie porozmawiać. W przypadku pozostałych nie czułam takiej potrzeby, w którymś momencie były dla mnie skończone, nieistotne. Nudne. Nedorzeczne.

Ale nie Mandy. Zafascynowała mnie. Fascynuje mnie nawet teraz, kiedy siedzę z zakrwawioną twarzą i zużywam mnóstwo opatrunków, bo tak poważnie mnie zraniła. Dłoni też się dostało, ale nie tak jak twarzy. Powinnam Mandy znienawidzić, i w jakiś sposób jej nienawidzę, lecz w istocie wciąż fascynuje mnie jej dzikość i nieugiętość. O tych skomplikowanych i sprzecznych odczuciach z Brendanem jednak nie rozmawiam, byłby zmieszany i nic by nie zrozumiał.

– Ciesz się, że tam dzisiaj byłam – mówię – w przeciwnym razie zaatakowałaby ciebie i tę dziennikarkę. I chodziłbyś teraz ze szramą na pół twarzy.

Jestem przekonana, że Mandy rzuciłaby się nawet na nich dwoje. Na troje albo nawet czworo, jeśli tylko by musiała.

Po prostu zastanawiałam się o sekundę za długo, nim do mnie dotarło to, co przed sobą ujrzałam. Zimne, cuchnące pomieszczenie. Koc pofałdowany, byłam przekonana, że Mandy pod nim leży. Logiczne, zważywszy na ziąb, nie wystawał nawet czubek jej nosa... Coś mnie jednak zaniepokoiło, coś się nie zgadzało, lecz nie wiedziałam co. W chwili, gdy zauważyłam, że łańcuch zwisa swobodnie na ścianie, nie przytrzymując ręki Mandy, kątem oka dostrzegłam ruch, nim jednak się odchyliłam, coś uderzyło mnie w twarz, poczułam przeszywający, ostry, kłujący, potworny ból, wrzasnęłam, poczułam krew, ujrzałam krew, posmakowałam krwi, przełknęłam krew. Kolejny równie silny ból w ręce, kluczyki do samochodu, które ścisnęłam w dłoni, padły na posadzkę i potoczyły się po niej. Pomyślałam wtedy, że tak właśnie jest, gdy dopada cię lampart albo inny drapieżny kot i wpija kły i pazury w twoje ciało. Gdy wreszcie zdołałam się odwrócić, zobaczyłam Mandy, wychudły, poźółkły na twarzy szkielet z jakąś bronią w dłoni.

Skąd ją wzięła, skąd ją ma, zastanawiałam się panicznie, jakby to miało w tamtej chwili jakieś znaczenie. W obronnym geście zasłoniłam twarz ramieniem, drugą, poranioną ręką

wymachiwałam w stronę atakującej mnie furiatki. Sądzę, że nie miałabym szans, jeszcze minuta, dwie i Mandy podciąłaby mi gardło – rozbitą butelką, jak później zauważyłam. Na szczęście była zbyt osłabiona. Od wielu dni nic nie jadła ani nie piła, sama była poważnie ranna. Nagle się zatoczyła, usiłowała ustać na chwiejnych nogach, a jednak kolana się pod nią ugięły, upadła. Poturlała się jeszcze kawałek po posadzce, gdyż zobaczyła, że zbliżam się do niej w moich ciężkich zimowych butach. Znalazła się tuż obok kluczyków do samochodu, błyskawicznie po nie sięgnęła i schowała pod sobą. Potem nieco się wyprostowała, wyciągnęła przed siebie trzymaną w dłoni butelkę i wyszczerzyła zęby.

Miała mnie w garści. Dzięki kluczykom. Klucz do domu tkwił w drzwiach, mogłabym uciec, zamknąć je i ostatecznie pozostawić ją własnemu losowi. Ale bez samochodu nie wydostałabym się z tego pustkowia, sama, a do tego z krwawiącą raną.

I tak siedziałyśmy w kucki naprzeciw siebie, mijały godziny, a każda z nas czekała, aż druga padnie z wyczerpania. Wiedziałam, że będzie to Mandy. W przeciwieństwie do niej byłam syta. Dobrze odżywiona. Ona zaś u kresu sił.

I wtedy pojawił się Brendan. Z tą kobietą. Dziennikarką. Co za kretyn, w sam środek tej groteskowej sytuacji sprowadza jeszcze prasę. Oczywiście nie spodziewał się tego. Nie powiedziałam mu, że wybieram się do Northumberland. Myślał, że zastanie tam jedynie na wpół żywą, bezbronną Mandy. Tak czy siak, pomylił się. Nawet na wpół martwa Mandy jest niebezpieczna.

– Zamierzałeś zamknąć tę dziennikarkę razem z Mandy i zostawić obie na łasce losu – stwierdziłam, próbując zrozumieć, co ten idiota sobie ubzdurał.

Skinął głową.

– Musiałem to zrobić, Linda. Ona była bliska odkrycia prawdy. Sądziła jednak, że cała ta historia to sprawka Ryana, a ty stałaś się jego pierwszą ofiarą.

Ciekawa myśl.

– Byłoby całkiem do rzeczy pozostawić ją w tym przekonaniu – odparłam. – Ryana pewnie czekałyby kłopoty, ale właściwie czemu nie? Zasłużył sobie. Swoim sposobem traktowania ludzi.

– Była też w Chamberfield – dodał Brendan. – Bałem się...

Chamberfield. Nie cierpię tego słowa. Ta okropna klinika. Lekarze. Ci szaleńcy.

– Okay – odpowiadam – a jednak nie sądzę, by dotarła do prawdy, ta... jak się nazywa?

– Kate Linville.

– Ta Kate Linville. Ale cóż, jest, jak jest. Obie tam zdechną, a wtedy wrócisz i pozbędziesz się ciała. To wszystko.

Ponownie skinął głową, oddany jak zawsze. Pozbył się Hannah i Saskii. Pozbędzie się Mandy i Kate. Dom znów będzie wolny.

Zerka na mnie z ukosa.

– To musi się skończyć, Linda. Tak dłużej być nie może.

Ach, co też on powie.

– Sam namówiłeś mnie na Mandy – przypomniałam.

– Niezupełnie – bronił się słabo. – Pomyślałem, że się nada.

Westchnęłam. Brendan i ten jego sposób myślenia.

Kiedy dotarliśmy do autostrady, krwawienie na twarzy ustało. Całe szczęście, kończyły się opatrunki, którymi tamowałam krew. Wreszcie nie muszę niczego przyciskać do twarzy. Dopada mnie znużenie, chce mi się ziewać, lecz nie mogę szeroko otworzyć ust. Wargi nabrzmiały, boję się, że znów zaczną krwawić, tłumię więc odruch ziewania. By się czymś zająć, otwieram torebkę Kate Linville, którą wciąż trzymam na kolanach, zaczynam grzebać w niej zdrową ręką. Ledwie poznaję wyciągane pojedynczo przedmioty. Klucze. Szminka. Portfel. Otwieram go, widzę kartę bankomatową tkwiącą w jednej z przegródek. Mrużę oczy, by przeczytać widniejące na niej informacje.

Kate Linville. A więc podała Brendanowi prawdziwe nazwisko.

Jak dotąd prawie nie zwracałam na nią uwagi, to zrozumiałe, miałam co innego na głowie. Przywołując jej postać w pamięci, myślę, że sprawiała dość niepozorne wrażenie. Ot, szara myszka. Nie potrafię jej opisać, prawdopodobnie nie potrafiłabym nawet wówczas, gdybyśmy się spotkały w innych okolicznościach. Nie ma w sobie nic, co dałoby się zapamiętać. Sądzę, że zalicza się do kobiet zdradzonych przez życie. Których nikt nie dostrzega. Którymi żaden facet się nie interesuje. Które prowadzą samotne życie i samotnie umierają. No cóż, w przypadku tej Kate nie jest to prawdą. Umrze razem z Mandy.

Zawartość jej torebki odpowiada charakterowi takich osób. Nic, co inne kobiety, ja na przykład, zawsze z sobą noszą. Żadnej szminki – z wyjątkiem tego bezbarwnego ochronnego balsamu, żadnej puderniczki, kredki do oczu czy tuszu do rzęs. Nic, czym w ciągu dnia mogłaby się nieco uatrakcyjnić. Dwa tampony, niemal jedyny dowód na to, że w jej przypadku chodzi o kobietę.

Znajduję coś jeszcze. Rodzaj czarnego skórzanego etui. Wyjmuję je, otwieram. Po lewej stronie identyfikator. Z napisem: Metropolitan Police. Poniżej: Police Officer. Niżej: numer legitymacji. Dalej zdjęcie kobiety, którą właśnie poznałam w Seagulls Cliff. Kate Linville, czytam, sierżant śledcza.

Co proszę?

Gapię się, wciąż od nowa je odczytuję, jakby litery mogły ulec zmianie pod wpływem intensywnego spojrzenia. Metropolitan Police? To przecież Scotland Yard. Ta kobieta, z niejasnych powodów przywleczona przez Brendana do chaty, nie jest żadną dziennikarką uganiającą się za jakimś gorącym tematem. Jest funkcjonariuszką Scotland Yardu. Policjantką w najważniejszym wydziale policyjnym w kraju. A to oznacza, że na mój ślad nie wpadł przypadkiem jakiś tam pismak. Śledztwo w mojej sprawie prowadzi Scotland Yard. Scotland Yard wypytywał o mnie w Chamberfield. Scotland Yard odwiedził Brendana. Scotland Yard podąża może nieco fałszywym tropem, kierując swe podejrzenia na Ryana, niemniej jeśli o Kate dziennikarce myślałam: Świetnie, ktoś podejrzewa Ryana, to o Kate policjantce myślę sobie: Do cholery, ależ są blisko. Ci ludzie ze Scotland Yardu są szczwani. Świetnie wyszkoleni. Bardzo doświadczeni.

Ona ma kolegów. Sierżant Kate Linville z pewnością nie prowadzi śledztwa na własną rękę. Ci ludzie doskonale wiedzą, nad czym właśnie pracuje, co zamierza, jaki będzie jej następny krok. Być może nawet poinformowała kogoś o wyjeździe do Northumberland. Brendan jest wystarczającym idiotą, by niczego nie zauważyć. Niech to szlag, wyrzuciliśmy jej telefon. Z początku wydało mi się to słuszne. Ale może dzięki e-mailom i esemesom można by ustalić, ile dokładnie wie i komu swą wiedzę przekazała.

– Kurwa – mówię na głos.

Brendan aż się wzdryga.

– Co jest?

Macham mu przed nosem legitymacją, choć oczywiście nic nie może w ten sposób odczytać.

– Dziennikarka? Tak? To ci powiedziała?

– Tak. Co...?

– Sierżant śledcza Kate Linville. Scotland Yard. Sprowadziłeś cholerną funkcjonariuszkę Scotland Yardu, oto, co zrobisz. Aż takiej głupoty nawet po tobie się nie spodziewałam. O Boże, to prawdziwa katastrofa!

Brendan pobladł jak płótno, jeszcze mocniej niż dotąd.

– Ale mówiła...

– Tak, mówiła! Pewnie nawet nie poprosiłeś, by się wylegitymowała, zanim wdałeś się z nią w wyczerpującą rozmowę, a potem przyprowadziłeś z sobą do domu? – Szczerze mówiąc, sama też pewnie bym nie zażądała okazania legitymacji, pewnie też bym uwierzyła w tę historię z dziennikarką. Bo nawet w najczarniejszych snach nie rozważałam takiego scenariusza. Ale nieważne, nie mam ochoty być fair wobec Brendana. Nienawidzę go. Nie

cierpię jego głupoty.

Chowam legitymację z powrotem do torebki. Zastanawiam się. Gorączkowo, spieszenie. Znużenie gdzieś się rozwiało.

– Zawracaj – mówię. – Zawracaj na najbliższym zjeździe.

– Ale czemu...?

– Bo sytuacja uległa zmianie. Ta kobieta jest policjantką. Być może powiadomiła swoich kolegów, kto i gdzie ją zawiózł.

– Nie, ona nie...

– Możesz to wykluczyć?! – wrzeszczę. – Możesz to na sto procent wykluczyć?

Milczy. Nie może.

– Nie możemy czekać, aż za kilka dni same umrą. Pewnie wcześniej wkroczy do tej choleralnej chaty oddział specjalny. A ona nas zna. Nasze nazwiska. To zbyt ryzykowne. Mojego nazwiska być może nie zdążyła podać dalej. Musimy zawrócić. Jak najszybciej.

Brendan wygląda jak upiór. Blady, niemal przezroczysty.

– Ale co mamy...?

– Musimy je zabić – mówię. – Obie. Zanim policja je odnajdzie. Musimy zabić Mandy, a przede wszystkim tę Kate Linville. Zawracaj, do jasnej cholery, zawracaj, i gaz do dechy!

9

Sierżant Robert Stewart miał złe przeczucia wobec planów swojego szefa, nie łudził się jednak, że zdołałby go od nich odwieść. Na kilkukrotny dźwięk dzwonka do drzwi w mieszkaniu Brendana Saundersa nikt nie zareagował, w oknach nie paliło się żadne światło. Caleb zdecydował się wówczas zapukać do sąsiadki, która swego czasu zgłosiła się na policję, dzięki czemu przynajmniej weszli ze Stewartem do środka. Podsunął jej pod nos legitymację i zapytał, czy ktoś ma klucz do mieszkania Saundersa. Na szczęście od razu trafili pod właściwy adres, gdyż okazało się, że podczas jego nieobecności starsza kobieta podlewa kwiaty i stąd posiadała zapasowy klucz.

– Byłoby miło, gdyby go nam pani przekazała – oznajmił uprzejmie Caleb. Staruszka natychmiast wyraziła zgodę.

– Sir – odezwał się zaniepokojony Stewart, gdy Caleb otworzył drzwi do obcego mieszkania i włączył światło w przedpokoju – nie powinniśmy tego robić!

– Kate być może znalazła się w poważnym niebezpieczeństwie. Zanim zdobędziemy

nakaz rewizji, może już być za późno – odparował Caleb. – Musimy sprawnie i dokładnie się rozejrzeć. Poszukać czegoś, co da nam jakąś wskazówkę na temat miejsca o nazwie Seagulls Cliff.

– Mieszkanie zostało już dokładnie przeszukane przez naszych ludzi.

– Ale oni rozglądali się za czymś innym. Szukali śladów zaginionych dziewczyn, przede wszystkim Amelie Goldsby, o której sądziliśmy, że była jedną z nich. Nikt nie zwracał uwagi na jakieś *Seagulls Cliff*. Do roboty!

„Przysporzy nam tylko kłopotów” – pomyślał z niepokojem Robert. Oto zwyczajnie weszli do obcego mieszkania, wątpliwe, by mogli się później powołać na *groźbę zbliżającego się niebezpieczeństwa*, zważywszy na fragmentaryczną wiadomość pozostawioną przez Kate, którą Caleb zinterpretował jako wezwanie pomocy – choć mogła oznaczać coś zupełnie innego.

Nic to jednak nie dało. Caleb był tu szefem. I być może miał rację.

Mieszkanie Brendana Saudersa było niewielkie, skosy dachu dodatkowo je zmniejszały. Urządzono je niepraktycznie, mieściło za dużo zbyt dużych mebli, zyskiwało jednak dzięki licznym ładnym roślinom doniczkowym ustawionym w oknach, na regałach i kuchennych blatach. Saunders musiał być oddanym miłośnikiem kwiatów. I lubił literaturę. Mieszkanie było pełne książek, piętrzyły się wszędzie, nawet na podłodze, nierzadko utrudniając poruszanie się po mieszkaniu.

„I jak tu cokolwiek znajdziemy?” – pomyślał zniechęcony Robert.

Szukali wszędzie. Wysuwali szuflady, otwierali drzwi szafek, kartkowali stare kalendarze, podnosili doniczki z kwiatami, przesuwali stosy książek, zaglądali pod komody i szafy. Caleb uruchomił leżący na biurku laptop, ale tak jak się tego obawiał, był zabezpieczony hasłem. Bez szans.

Spojrzeni po sobie bezradni.

– Musi być jakaś wskazówka – mruknął Caleb.

– Niekoniecznie – zaoponował Robert. – Nawet nie wiadomo, czy Seagulls Cliff to rzeczywiście jakieś ważne miejsce. Może to tylko drogowskaz, który sierżant Linville ujrzała przypadkiem przy drodze i odczytała na głos, ale czy to naprawdę cel jej podróży... kto to wie?

– To jedyna rzecz, jaką mamy – odparł Caleb – więc dalej, do roboty!

Kontynuowali poszukiwania. Caleb kilkakrotnie zadzwonił też do biura. Kolejna analiza nagrania nie przyniosła żadnych nowych szczegółów, także udostępnienie telefonu przez Davida Chaplanda na niewiele się zdało. Helen sprawdzała rozmaite

miejsca o nazwie Seagulls Cliff w Northumberland, wychodząc z założenia, że o godzinie drugiej Kate wciąż jeszcze przebywała w Scarborough, wiadomość zaś wysłała z Northumberland tuż przed pół do piątej. Przyjmując, że w drogę wyruszyła pomiędzy drugą a pół do trzeciej, można było zakreślić obszar, w obrębie którego leżała poszukiwana miejscowość. Przy założeniu, że podała jej nazwę na krótko przed dotarciem na miejsce. A takiej pewności nie mieli.

Jakąś godzinę po wejściu do mieszkania Robert Stewart natrafił wreszcie na coś interesującego. Kartkował właśnie rozmaite książki umieszczone na półce zawieszanej nad łóżkiem. Tomy pokrywała gruba warstwa kurzu, co oznaczało, że Saunders od dawna do nich nie zaglądał. Robert dał już za wygraną, gdy nagle z jednej z książek wypadła zakładka. Schylił się po nią, podniósł ją.

Jakiś prospekt.

Seagulls Cliff.

– Szefie! – zawołał. Pobiegł do kuchni, gdzie Caleb wyjmował właśnie z regału książki kucharskie, by sprawdzić, czy coś się za nimi nie kryje. – Mam coś. To nie może być przypadek!

Caleb wlepił wzrok w prospekt.

– Nie. To nie przypadek. Mamy to. – Zaczął go przeglądać, połówki na brzegach kartki świadczyły o tym, że od dawna leżał schowany w książce w sypialni. Na okładce widniała wypisana czerwonymi zamaszystymi literami nazwa *Seagulls Cliff*, poniżej nazwisko, na widok którego w głowie Caleba zapaliły się wszystkie lampki alarmowe: Joseph Maidows.

– To mężczyzna, którego samochód Saunders odebrał wówczas z warsztatu. Do jasnej cholery! Nie powinniśmy byli spuszczać go z oczu. Nie zastaliśmy go wtedy w domu, ale nasi ludzie... – Nie dokończył. Uwolnił wówczas Saundersa od podejrzeń i dlatego nie przejął się również losem Maidowsa.

„Błąd – przemknęło mu przez myśl – fałszywy trop daleko nie prowadzi”.

A byli tak blisko.

W środku prospektu ujrzał stylizowany rysunek nadmorskiego krajobrazu. *England's Coastpath*, głosił podpis, pod nim widniał rysunek chaty i lista produktów, które można było w niej dostać: rozmaite napoje, sałatki, fish'n'chips, burgery.

Na odwrocie umieszczono szkic mapy, zaznaczono linię brzegową – prawdopodobnie Northumberland – oraz miejscowość Alnwick. Lokal był usytuowany nieco dalej na południe.

- Jakaś knajpka – powiedział podekscytowany Robert.
 - Sądzę raczej, że rodzaj budki na skraju nadmorskiej ścieżki – odparł Caleb. – Ten świstek jest stary jak świat. Czy ta budka nadal funkcjonuje?
 - W każdym razie Maidows jest chyba jej właścicielem. Albo przynajmniej zarządcą.
 - Już raczej nie – stwierdził Caleb – gdyż mieszka tu, w Scarborough. A to za daleko. – Zamyślił się. – Powiadomię kolegów z Northumberland – oznajmił. – Muszą natychmiast wysłać tam ludzi.
 - Co im powiemy? Czego mają szukać?
 - Może tam przebywać Mandy Allard. Kate Linville. Brendan Saunders. Joseph Maidows. Może doszło do uwięzienia zakładników. Będą musieli wysłać uzbrojony oddział.
 - Sir... może też być całkiem inaczej. Pan to wie.
 - Być może. Ale nie będę ryzykował. Przede wszystkim ze względu na bezpieczeństwo Kate.
 - Rozumiem. Ale...
 - A teraz jedziemy do domu Maidowsa. I tym razem wejdziemy do środka.
- Robert westchnął. Wyglądało na to, że jego szef już po raz drugi w ciągu kilku godzin bezprawnie wtargnie do obcego mieszkania.

10

Mandy prawie nie reagowała. Rozpalona gorączką zrzucała z siebie nawet koc, którym Kate cierpliwie ją nakrywała. Miała opuszczone powieki, od czasu do czasu mruzczała niezrozumiałe słowa. Kate nie potrafiła jej pomóc, nie miała ani kropli wody, żadnego opatrunku, żadnego środka do dezynfekcji. Dziewczyna była u kresu sił. Jeśli wkrótce nie nadejdzie pomoc, nie przeżyje.

Noc już dawno zapadła, oczy Kate zdążyły przywyknąć do ciemności, dzięki czemu mogła dostrzec ciemne kontury otoczenia. Raz jeszcze dokładnie obejrzała wnętrze chaty w poszukiwaniu drogi ucieczki, choć przeczuwała, że żadnej nie znajdzie. Mandy poświęciła na to niezliczone godziny przy znacznie lepszym świetle, a skoro nic nie odkryła, najprawdopodobniej nie sposób się było stąd wydostać. Kate nie usiedziałyby jednak beczynnie na miejscu, nie wiedząc, czy w ogóle warto czekać, aż nadejdzie pomoc.

W końcu na powrót przysiadła obok Mandy, po raz setny przykryła ją kocem, oparła się o ścianę, mocno opasując tułów ramionami. Dobrze, że miała przynajmniej ciepły płaszcz i wysokie buty. Mimo to czuła się jak jedna wielka bryła lodu. Głód i pragnienie jeszcze jej nie dokuczały, z czasem jednak staną się problemem. Zgodnie z przewidywaniami nie znalazła sposobu na wydostanie się na zewnątrz. Linda się o to postarała.

Linda Caswell. Nie była ofiarą, była sprawcą. Dokądkolwiek wyjechała po opuszczeniu rodziny, wróciła. Jakim sposobem zdołała zamieszkać w Anglii zupełnie nierozpoznana? Musiała być gdzieś zameldowana. Kate wyszła z założenia, że po zniknięciu Hannah policja rutynowo podejmowała próby nawiązania kontaktu z jej matką. Okazały się jednak bezowocne, co dla Kate stanowiło prawdziwą zagadkę. Linda najwyraźniej nie prowadziła skrytego życia w tej samotnej chacie – co zresztą przez wszystkie owe lata nie byłoby możliwe, zważywszy na brak wody i elektryczności. I pieniędzy. W jakiś sposób musiała je zdobyć. Jeździła dużym samochodem. Oczywiście mogła się gdzieś nielegalnie zatrudnić jako gosposia albo sprzątaczką, nie zdołałaby jednak wynająć mieszkania bez wiedzy kogoś z urzędów. Możliwe, że zatrudniający ją nielegalnie ludzie pozwalali jej mieszkać u siebie bez meldunku. Czy pożyczyliby jej także duży, drogi samochód?

A może mieszkała u Brendana Saundersa, z którym, prócz dalekiego pokrewieństwa, łączyła ją osobliwa więź?

To ona porwała Hannah, Kate nie miała co do tego wątpliwości. Być może powodem było zrozumiałe z początku pragnienie matki, by odzyskać swoje dziecko. Uzyskanie zasądzonego prawa do opieki wydało jej się z pewnością bezcelowym przedsięwzięciem – z uwagi na długi pobyt w klinice psychiatrycznej. Musiała śledzić Hannah, być może od wielu dni lub nawet tygodni. Uderzyła tamtego deszczowego listopadowego wieczoru przed budynkiem dworca w Scarborough. Hannah, pamiętając postać matki jak przez mgłę, lecz z pewnością znając ją z fotografii, bez wahania wsiadła do samochodu. Była zapewne zdumiona, zaskoczona, lecz nie przeczuwała nic złego. Mając tak trudnego, nieprzystępnego ojca, może nawet tęskniła za matką. Może jej widok ją ucieszył. Nie budząc w niej żadnego lęku.

Kiedy jednak przywieziono ją tutaj, w końcu zrozumiała, że Linda nie miała zamiaru pozwolić jej odejść. Nieważne, jak złe stosunki łączyły ją z Ryanem, był jej ojcem, u niego miała swój dom. Była całkiem zwyczajną uczennicą, miała przyjaciół, swoją codzienność. Chciała wrócić do dotychczasowego życia, a stała się więźniem. Prawdopodobnie coraz mocniej wyczuwała, że ma do czynienia z chorą psychicznie

osobą. Jakże musiała być zrozpaczona, jak bezradna. Wstrząśnięta, przerażona, załęczniona. Kate rozejrzała się po mrocznym, pustym pomieszczeniu. Miała wrażenie, jakby mogła wchłonąć całe cierpienie wypełniające te mury.

A potem?

Hannah nigdy nie odnaleziono, lecz Kate wyszła z założenia, że nie żyje, że podobnie jak Saskia Morris zmarła z głodu i pragnienia. W końcu Linda przestała się pojawiać w chacie. Przynosić jedzenie i wodę, skazując Hannah na samotną śmierć w męczarniach. Bo nie chciała współpracować? Bo nie była córką, o jakiej Linda zawsze marzyła?

Kate powróciła myślą do rozmowy z lekarzami z kliniki Chamberfield. W swoich opisach stanu zdrowia Lindy byli powściągliwi ze względu na obowiązującą ich tajemnicę lekarską. Skłonności maniakalno-depresyjne. Być może nawet coś więcej. Może Linda w sposób iście chorobliwy pragnęła kontaktu z oddanym sobie człowiekiem. Właśnie z powodu spotęgowanego depresją osamotnienia. Reagowała gwałtownie, miewała napady paniki. Być może to nią, a nie Ryanem, kierowała z początku znacznie potężniejsza siła sprawcza. Z pewnością on także pragnął związku z drugim człowiekiem – lecz w tradycyjnych granicach. Podobnie jak samotny człowiek pragnie kontaktu z partnerem.

„Odwróciła się od Hannah i zwyczajnie pozwoliła jej umrzeć – uświadomiła sobie Kate – gdyż nie potrafiła znieść jej łez i błagań, by puścić ją wolno. Sprzeciw Hannah wobec jej miłości i niezgoda na powrót do wspólnego życia musiały ją niezmiernie upokorzyć, zranić i wywołać ogromną frustrację. A mistrzynią w radzeniu sobie z frustracjami nie jest”.

Zasmakowała w tym. Zapragnęła córki. Sądzi też, że to się jej należy, gdyż bądź co bądź wydała na świat dziewczynkę, zyskując tym samym prawo do bycia jej matką i zamieszkania razem z nią. Porywa Saskię Morris. I znów doznaje rozczarowania, przeżywa podobny dramat jak w przypadku Hannah. To oczywiste, że Saskia chce wrócić do rodziny. Błaga równie rozpaczliwie jak Hannah. Nie wykazuje najmniejszej gotowości do uznania Lindy za matkę. Wydając tym na siebie wyrok śmierci. Linda ponownie się odwraca. W radykalny sposób.

Kate zerknęła na śpiącą, ciężko oddychającą Mandy. Uprawdając ją, Linda złamała dotychczasowy schemat. Hannah była nadmiernie hołubioną, nieśmiałą dziewczynką. Podobnie Saskia. Linda w końcu dostrzegła w tym problem. Stąd właśnie Mandy Allard. Zupełne ich przeciwieństwo. Uciekła z domu, włóczyła się po ulicach, zdecydowana nie wracać. Oczywiście to także nie zadziałało. Ponieważ akurat Mandy

Allard nie pozwoliła się dobrowolnie uwięzić. I przeobrazić w wymarzoną córkę.

Linda nie da za wygraną, Kate nie miała złudzeń. Była klasycznym seryjnym mordercą. Socjopatką niezdolną do zadzierzgnięcia prawdziwej więzi, lecz właśnie przez to coraz bardziej zdeterminowaną, by ułożyć sobie życie w jakimś związku. Kate ujrzała to w jej oczach, ów wyraz, a właściwie wszelki jego brak. Śledziła i aresztowała już takich ludzi. Stworzenia pozbawione empatii. Zupełnie niezdolne do akceptacji uczuć innych, dostrzeżenia czegoś więcej niż czubek własnego nosa. Niezdolne do nawiązania rozmowy. Z Lindą Caswell nie sposób porozmawiać, nie sposób jej przekonać. W ogóle nie powinna przebywać poza kliniką, lecz przepisy na to nie zezwalają. Musiało się coś wydarzyć, nim wreszcie zrozumiano powagę sytuacji. W tym przypadku zmarły dwie dziewczynki. Mandy i Kate także umrą, jeśli nie zdarzy się cud.

„Będą mnie szukać – pocieszała się Kate. – David pewnie już dawno wszczął alarm, bo się u niego nie zjawiłam. Pojedzie do mnie do domu. Zauważy, że nikogo tam nie ma. Zrozumie, że coś się stało”.

A potem?

Może dotarła do niego wiadomość wysłana przez WhatsApp. Do kogoś musiała przecież dotrzeć. Chyba że znalazła się poza zasięgiem. A wówczas wiadomość gdzieś utknęła i nikt jej nie otrzymał. I tak była niezrozumiała – akustycznie i pod względem treści.

Kate ukryła głowę w dłoniach, wlepiła wzrok w podłogę. Stłumiła w sobie jęk. Znalazła się w tragicznym położeniu. Z każdą mijającą minutą coraz wyraźniej to sobie uświadamiała. Fakt, że Linda i Brendan nie zabili ich od razu, lecz pozostawili własnemu losowi, rozbudził w niej nadzieję, że zdołają się uwolnić albo zostaną uwolnione. Powoli zaczynała jednak rozumieć, że takiej szansy nie mają. Bo i kto zdołałby odnaleźć to przeklęte miejsce?

Usłyszała szmer, uniosła głowę. Dźwięk dochodził z zewnątrz. Noc była wietrzna, czasem rozbrzmiewał wrzask mew, poza tym jednak wokół panowała cisza. Wyraźnie coś usłyszała... samochód. Nadjeżdżał samochód.

Kate zerwała się na równe nogi. Samochód nie przejeżdżał tędy przypadkiem, a już na pewno nie późnym wieczorem.

„David – pomyślała przez chwilę. – David otrzymał jej wiadomość, zrozumiał przekaz i w cudowny sposób zdołał odnaleźć ten dom na odludziu”. David, jej bohater i wybawca. Potem jednak rozpoznała odgłos silnika, jego cichy, urywany warkot był jej aż za dobrze znany. Pod dom zajechał jej własny samochód.

A to oznaczało, że zabójcy zawrócili.

Już tu są.

11

Caleb opisał kolegom z Northumberland lokalizację domu z dokładnością, na jaką pozwalał szkic zamieszczony w ulotce. Funkcjonariusz przy telefonie nie był zachwycony myślą, że razem ze swoimi ludźmi będzie musiał objechać w nieprzeniknionej ciemności niegościnnie i niezamieszkaną pas nabrzeża w poszukiwaniu chaty nazywanej „Seagulls Cliff”, w której wraz z ofiarami przypuszczalnie przebywa zdolny do wszystkiego porywacz – Brendan Saunders.

– Funkcjonariuszce Metropolitan Police najprawdopodobniej grozi śmiertelne niebezpieczeństwo – warknął Caleb, wyczuwając jego wahanie. – To chyba oczywiste, że zrobimy wszystko, by ją ratować!

– Nie mam pojęcia, gdzie ów Seagulls Cliff może się znajdować – odparł zdenerwowany kolega. – Rozpytam wśród ludzi, może ktoś wie. Mówi pan, że to jakaś chata stojąca przy biegnącej wybrzeżem ścieżce?

Caleb tak właśnie ją opisał.

– Zgadza się. I proszę się pospieszyć! – Na tym zakończył rozmowę. Tymczasem Stewart zdobył adres Josepha Maidowsa.

– A więc w drogę – oznajmił Caleb. – I miejmy nadzieję, że zastaniemy go w domu. Zyskalibyśmy wreszcie dokładny opis miejsca, w którym stoi ta cholerna chata.

– Pod warunkiem, że będzie współpracował – zauważył Robert.

– Będzie – mruknął Caleb.

Joseph Maidows mieszkał w ładnym wolno stojącym domu przy Zatoce Północnej, jak na ironię całkiem niedaleko od rodzinnego domu Goldsbych. Caleb i Robert jeszcze tam nie byli, to ich ludzie usiłowali swego czasu porozmawiać z Maidowsem i wrócili, nic nie wskórawszy. W domu nie paliło się żadne światło, nikt też nie zareagował na dźwięk dzwonka do drzwi. Przez niewielkie boczne okienko Caleb zajrzał do garażu. Był pusty.

– Nie ma go w domu, sir – stwierdził niechętnie Stewart.

Caleb podszedł do sąsiedniego domu, zadzwonił. Otworzył mu młody mężczyzna sprawiający wrażenie zestresowanego. Z wnętrza dochodził wrzask dzieci.

– Tak?

Caleb pokazał mu legitymację.

– Nadkomisarz Caleb Hale, wydział śledczy Scarborough. Musimy koniecznie pomówić z panem Maidowsem. Pańskim sąsiadem.

Młodzieniec wlepił w niego wzrok.

– Z panem Maidowsem?

– Tak. Mieszka w domu obok?

– Zgadza się. Ale to chyba bezcelowe, komisarzu. Pan Maidows już od dawna... cierpi na zupełną demencję. Chyba nawet nie wie, jak się nazywa. To osoba wymagająca opieki.

– I nadal mieszka u siebie?

– Troszczy się o niego żona.

– Ale nikogo tam chyba nie ma. Czyżby żona zostawiła go wieczorem samego i wyszła?

Mężczyzna westchnął.

– Wie pan, sam tego nie pojmuję. Często widzę, jak wyjeżdża, i zastanawiam się, jak ona traktuje tego biednego Maidowsa. Czy faszeruje go lekami? Z drugiej strony, może on już od dawna nie potrafi się poruszać o własnych siłach, tego nie wiem. Mimo wszystko człowieka w takim stanie nie powinno się zostawiać na długie godziny samego.

– Ma pan z nią kontakt?

– Prawie żadnego. Jest bardzo dziwna. Zazwyczaj nawet się nie przywita, gdy się ją spotka na ulicy. Jest znacznie młodsza od pana Maidowsa. Wprowadzili się tu pięć lat temu. W tamtym czasie Maidows tracił już chyba pamięć, sprawiał czasem wrażenie zdeorientowanego. Moja żona chciała ich kiedyś zaprosić, ale w skrzynce znaleźliśmy tylko kartkę z mało uprzejmie sformułowaną odmową bez podania przyczyny. Wtedy daliśmy sobie spokój. Stało się jasne, że ta młoda kobieta nie życzy sobie żadnego kontaktu.

– Kiedy po raz ostatni widział pan Maidowsa?

Mężczyzna się zamyślił.

– Jakieś pół roku temu. Tak, latem. Wyszła z nim wtedy na spacer, ulicą, tam i z powrotem. Sprawiał wrażenie, jakby nic nie pojmował z tego, co się wokół niego dzieje. Czy potem wychodzili jeszcze razem, tego nie wiem. W każdym razie ja ich nie widziałem.

– Wie pan może, czy pan Maidows prowadził dawniej jakiś lokal dla turystów? Na północy, w Northumberland?

– Nie mam pojęcia. Ale oboje stamtąd pochodzą. Wspomniała o tym, gdy moja żona zagadnęła ją na samym początku. Tam właśnie mieszkali. Nic więcej jednak nie powiedziała.

„Bingo – pomyślał Caleb – jesteśmy na właściwym tropie”.

– Nie ma pan przypadkiem klucza do domu Maidowsów? – zapytał.

Mężczyzna z żalem potrząsnął głową.

– Nie. Nie sądzę, by ona *komukolwiek* oddała klucz. Chcieli być sami.

– W porządku. Dziękuję. – Caleb odwrócił się na pięcie. Mężczyzna zamknął drzwi. Na szczęście nie chciał wiedzieć, jak ta historia dalej się potoczy.

– Musimy wejść do środka – oznajmił Caleb. Znów spojrzał na fasadę ciemnego, uśpionego domu. – Nieważne, w jaki sposób.

– Nie wejdziemy, sir. To i tak na nic. Nawet jeśli Joseph Maidows jest w środku, cierpi na demencję, sam pan słyszał. Nie opisze nam drogi do chaty, pewnie nawet nie wie o jej istnieniu.

– Być może. Mimo to... – Caleb potrząsnął głową. – Mam przeczucie, że powinniśmy wejść. Niezwłocznie.

– Nie...

Caleb nie słuchał dłużej, wkroczył do ogrodu, obszedł dom dookoła. Robert szedł za nim, klnąc pod nosem.

Na taras prowadziły przeszklone drzwi, wydawały się niezabezpieczone. Caleb zdjął marynarkę, owinął nią prawą rękę, rozbił jedną z kwadratowych szyb, z jakich składały się drzwi, sięgnął dłonią do środka i przekręcił klucz. Drzwi się otwały.

– Tak nie można – powiedział Stewart, a jednak wszedł za szefem do mrocznego wnętrza.

Caleb zapalił światło. Wyglądało na to, że znaleźli się w jadalni. Długi stół, krzesła, ciężki kredens z ciemnego drewna. Masywne meble. Pomieszczenie sprawiało wrażenie rzadko używanego. Poszli dalej, znaleźli się w przedpokoju. Panował w nim potworny bałagan. Mnóstwo butów ułożonych rzędami pod ścianą, do tego krzesła, na których piętrzyły się stosy kurtek, płaszczy, czapek i szalików. Wobec braku garderoby ubrania składowano na krzesłach.

– Mało tu przytulnie – zauważył Stewart.

– Idziemy na górę – postanowił Caleb. – Tam pewnie mieszczą się sypialnie, może

znajdziemy w nich Josepha Maidowsa.

Nie znaleźli. Istotnie, na piętrze mieściły się trzy sypialnie, jedna z nich była zupełnie pusta, pozbawiona jakichkolwiek mebli. W obu pozostałych stały łóżka, lecz używano chyba tylko jednego, gdyż było zasłane, a pościel pomięta. Ubrania – niewątpliwie należące do kobiety – porozrzucano po całym pokoju. Łóżko w drugiej sypialni przykrywał jedynie materac, brakowało poduszek i pledów. Caleb uchylił drzwi szafy.

– Tu są męskie ubrania – oznajmił. – Pana Maidowsa. Ale gdzie on się podziewa? Wydaje się, że tu nie sypia.

– Może żona umieściła go tymczasem w domu opieki – odparł Stewart. – Nie należy ona do osób, które takie sprawy wyjawiają sąsiadom. To jednak by wyjaśniało, dlaczego nikt go nie widuje, ona zaś nie przesiaduje stale w domu.

– Hm – mruknął Caleb. – Ale czemu w szafie wiszą wszystkie jego ubrania? Bielizna, swetry, spodnie?

– Bo w domu opieki nosi tylko szlafrok? – poddał Stewart. – Poza tym nie wiadomo, czy to wszystkie jego ubrania.

Caleb zmarszczył czoło.

– Czy dom posiada piwnicę? Jeśli tak, chcę tam zajrzeć.

– Sir, nie wolno nam.

Ale Caleb schodził już na parter. Stewart znów zaklął. Tym razem wcale nie tak cicho.

Z zagraconego przedpokoju drzwi prowadziły do kuchni, pokoju dziennego oraz jadalni. Za ostatnimi, które Caleb uchylił, panowały mrok i chłód. Kiedy nacisnął kontakt, zapaliła się żarówka wisząca u sufitu, oświetlająca kamienne stopnie wiodących w dół schodów. Cuchnęło stęchlizną, z domieszką czegoś okropniejszego...

– Dziwna woń – zauważył sierżant Stewart – jakby... rozkładu...

„W takich piwnicach – pomyślał Caleb – mogą oczywiście leżeć martwe szczury i myszy”. A jednak towarzyszące mu przez cały czas złe przeczucia jeszcze się spotęgowały. Koniecznie muszą tam zejść i dokładnie się rozejrzeć.

Ruszyli po stromych stopniach. Z każdym krokiem uderzał w nich coraz silniejszy odór. Caleb i Robert Stewart nie zamienili ze sobą ani słowa. Obaj pozostawali w napiętym skupieniu.

Zajrzeli do dwóch pomieszczeń, których drzwi były otwarte, włączyli światło. W jednym z nich znajdowały się pralka, suszarka oraz wypełniony po brzegi kosz na

bieliznę. W drugim pomieszczeniu wzdłuż murowanej ściany stał drewniany regał z licznymi opakowaniami płatków kukurydzianych, kilkoma konserwami, paroma butelkami z różnymi sokami owocowymi. Jeśli to była spiżarnia Maidowsów, nie odżywiali się za dobrze.

Istniało jeszcze jedno pomieszczenie, jego drzwi były zamknięte. Odór stał się tak intensywny, że trudno było wytrzymać. W zamku tkwił klucz. Caleb przekręcił go, otworzył drzwi. Woń rozkładu przyprawiła obu mężczyzn o zawroty głowy.

– Mój Boże – jęknął Stewart, odruchowo zasłaniając dłonią usta i nos. Caleb zapalił światło.

Także i to pomieszczenie było pozbawione okien, wymurowane z surowych kamieni. Kamienna posadzka, kamienne ściany, kamienny sufit. Istny loch.

Pośrodku stało łóżko, na nim leżało ciało. Caleb i Stewart podeszli ostrożnie, zauważyli, że ciało, częściowo nakryte kocem, znajduje się w stanie zaawansowanego rozkładu. Ręce i nogi tego człowieka – albo raczej tego, co z niego zostało – były przywiązane powrozami do ramy łóżka.

Caleb odwrócił się do swego kolegi. Oddychał płytko.

– Wydaje mi się, że to jest pan Maidows.

– Pomóż mi – mówię do Brendana, kiedy docieramy na miejsce i wysiadamy. Gapi się na mnie szeroko wybałuszonymi oczami.

– Co chcesz zrobić? – pyta. Obleciał go strach, mogę go wręcz poczuć. Tak składnie to sobie obmyślił, sądził, że sprawy same się rozwiążą, jak zawsze. Ale czasem tak się nie dzieje. Na przykład wtedy, gdy jest się na tyle stukniętym, by do kryjówki, w której przebywa ofiara porwania, przywlec funkcjonariuszkę Scotland Yardu.

– W szopie stoi kilka kanistrów z benzyną – wyjaśniam. – Przynieś je. I rozejrzyj się za jakimś drągiem albo siekierą, czymkolwiek. Wybijemy jedno okno, albo najlepiej oba. Wlejemy do środka benzynę i podpalimy chatę.

Patrzy przerażony.

– Z dwiema kobietami w środku?

– Nie, oczywiście, że bez nich! – besztam go. Jak można być takim idiotą?! – Jaki to miałoby sens, gdybyśmy najpierw je wypuścili? – pytam.

Wygląda na to, że sytuacja Brendana przerosła, ale nigdy jeszcze otwarcie mi się nie sprzeciwił. Sądzi, że jeśli tylko się dostosuje, jeśli będzie się zachowywał dostatecznie służalczo i zrobi wszystko, co tylko powiem, pewnego dnia odwzajemni jego uczucia. A przecież ja nigdy nie kochałam ani nawet nie lubiłam ludzi, którzy mi się podporządkowują. Ja ich wykorzystuję, ale nimi gardzę. Brendan nie jest głupcem, pewnie wyczuwa moją pogardę, ale nie potrafi zmienić swojego zachowania. Jest zbyt mocno zakochany, zbyt beznadziejnie uwikłany we własną tęsknotę za prawdziwym i trwałym związkiem ze mną. Dlatego uczyni wszystko. A zrobił już tak wiele.

Obchodzi dom, kieruje się ku szopie, oświetla sobie drogę latarką w telefonie. Słyszę, jak grzebie, szuka, potyka się o przedmioty. Wewnątrz panuje kompletny chaos, w szopie składowano przez lata wszystko, z czym nie wiedziano, co począć. Wiem, że trzymano tam również zapas benzyny. Przeznaczonej do silnika żaglówki Josepha. Nie potrzebował jej, gdyż i tak przestał żeglować. Bo zapomniał, jak to się robi.

Brendan wraca z dwoma kanistrami, stawia mi je u stóp, odwraca się na pięcie, znów znika w szopie. Szuka teraz łomu albo czegoś podobnego. Z kieszeni płaszcza wyciągam papierosa i zapalniczkę, zamierzam parę razy się zaciągnąć dla odprężenia, muszę jednak zrezygnować, bo moje wargi są zbyt nabrzmięte i boję się, że znów zaczną krwawić. Patrząc na chatę spowitą w ciemności i ciszy. Nie dobiega z niej żaden odgłos. Mandy pewnie straciła

już przytomność, lecz idę o zakład, że Kate Linville nadal czuwa. Usłyszała warkot silnika, rozpoznała własny samochód. Wie, że wróciliśmy nie po to, by ją uwolnić albo miło pogawędzić. Wie, że sytuacja jest poważna. Pewnie się spodziewa, że lada chwila wejdziemy do środka, jest na to przygotowana. Czy policjanci ze Scotland Yardu noszą broń palną? Nikt z nas jej nie przeszukał. Sądzę jednak, że nie ma przy sobie broni, w przeciwnym razie już wcześniej by jej użyła i tak łatwo by się nie poddała. Ta Linville to szara myszka, ma potwornie niskie poczucie własnej wartości, ale jest bardziej waleczna i zaradna, niż to sobie uświadamia. Wyczuwam to u innych ludzi. Z pewnością by się broniła.

Z pewnością teraz by się broniła, lecz nie wyświadczę jej tej przysługi i nie podejmę takiego ryzyka. Załatwimy to z zewnątrz.

Brendan wraca z żelaznym prętem w dłoni. Zawsze mówiłam, że jest użyteczny.

Biorę od niego pręt.

– Wybiję oba okna. Rozejrzyj się, czy nie znajdziesz jakichś resztek materiału. Wlejemy benzynę przez okno, nasączymy nią tkaninę, zapaloną wrzucimy do środka. – Ostatnią czynność powierzę jemu. Nie mam ochoty sama się podpalić.

– Linda... – zaklina mnie.

– Rób, co mówię – odpowiadam oschle i obchodzę dom, by w pierwszej kolejności wybić okno kuchenne. Jest zakratowane, nie muszę się martwić, że jakimś sposobem uwięzione zdołają przez nie uciec. Znalazły się w pułapce.

Szkło jest dość grube. Muszę uderzyć kilka razy, mam tylko jedną zdrową rękę. Dwukrotnie trafiam niecelnie w pręt kraty. Wreszcie trzask szkła. Tak głośny, że zaczynam się denerwować. Pewnie słysząc go było daleko stąd. Przypominam sobie jednak, że jak okiem sięgnąć nikogo tu nie ma.

– Będzie dobrze – mruczę do siebie – będzie dobrze.

Brendan staje za moimi plecami. Z kanistrem i jakimś strzępem tkaniny. W tej samej chwili dostrzegam ruch wewnątrz chaty. Poznaję zarys postaci, wiem, że to Kate Linville. Odłamki szkła chrzęszczą pod jej stopami, pełno ich na posadzce. Sięgam po jeden z kanistrów, odkręcam go, robię zamach i wlewam zawartość do wnętrza. Kate odskakuje. Pewnie zrozumiała, co zamierzam.

Unosi rękę.

– Widzi pani, co tu mam? – pyta.

Oczywiście, że nie widzę, jest zbyt ciemno.

– Niby co?

Macha czymś przed sobą.

– W jaki sposób chce się pani pozbyć swojego samochodu? – pyta.

Zamieram.

Samochód. Niech to szlag.

Stoi zaparkowany w bezpiecznej odległości. Zamknięty, z zaciągniętym hamulcem ręcznym. A do tego jeszcze trudny do pokonania teren... Nie zdołamy przepchnąć go na skraj urwiska, by spadł do morza, nie mówiąc o tym, że pewnie i tak nie wpadłby do wody, lecz pozostałby na ścieżce u stóp klifu. Samochodu nie da się cisnąć tak daleko jak komórki. Ślady zaprowadzą policję prosto do Josepha. A tym samym do mnie.

– Proszę oddać mi kluczyki – domagam się. Ale ona nie jest głupia. Nie robi tego.

– Jestem sierżantem śledczym Metropolitan Police – oznajmia. – Legitymację znajdzie pani w torebce. Moi ludzie wiedzą o dochodzeniu. Niedługo się tu zjawią.

– Wiem, kim pani jest – odpowiadam. W mojej głowie aż się kotłuje od myśli. Słowa o jej kolegach mogą być prawdą – albo i nie. Prawdopodobieństwo, że nie zmyśla, jest wysokie. Z tego, co wiem z książek i filmów, policjanci w trakcie dochodzenia nie zrobią ani kroku bez uzgodnienia go z przełożonymi albo niezwłocznego ich powiadomienia.

– Jeśli nas pani teraz zabije, będzie pani miała dwa morderstwa więcej na sumieniu. Proszę mi wierzyć, to ma wpływ na wymiar kary.

„Odkręcić tablice rejestracyjne” – przychodzi mi na myśl, lecz chwilę później uświadamiam sobie, że to w niczym nie pomoże. Nie zdołamy usunąć numeru identyfikacyjnego pojazdu. Nie mam pojęcia, gdzie się znajduje, a nawet gdybyśmy się dostali do miejsca, w którym go umieszczono, tłukąc na przykład szyby, potrzebowalibyśmy godzin do jego zatarcia – a tyle czasu raczej nie mamy.

Pojechać do Scarborough i wrócić z zapasowymi kluczykami, choć w tej chwili nawet nie wiem, gdzie ich szukać... Prawie trzy godziny tam, trzy godziny z powrotem, potrwa to co najmniej sześć godzin, nie licząc czasu na poszukiwania.

– Proszę natychmiast oddać mi kluczyki – mówię ponownie.

Nawet nie odpowiada.

Moglibyśmy podpalić auto, ale czy to coś da? Widziałam spalone wraki samochodów, w telewizji, na zdjęciach. Zostaje cholernie dużo blachy i metalu. I ten przeklęty VIN da się chyba mimo wszystko odczytać.

Mogłabym wyć z wściekłości. Samochód stał się cholernym problemem. Jasne, także chata zaprowadzi ich do Josepha, lecz od lat jest nieczynna, niezamieszkana, każdy mógłby ją wykorzystać dla dowolnych celów. Ale samochód...

Pojazd jest zarejestrowany na Josepha. Sąsiedzi znają mnie jako jego żonę. Uważają mnie

za panią Maidows, nic nie wiedzą o Lindzie Caswell. Oczywiście nie jestem żoną Josepha, niby jak, przecież nie rozwiodłam się z Ryanem.

W każdym razie nie mogę wrócić do domu. Nie dostałabym też pieniędzy Josepha. Brendan także musi uciekać, dla pewności, ona zna jego nazwisko, mogła je nawet przekazać dalej. Musimy wyjechać z kraju. Ja jako osoba bez tożsamości.

Samochodem policjantki, którą najpierw zabijemy.

Kręci mi się w głowie od przemykających spiesznie myśli, z których wszystkie, bez względu na ich kierunek, zdają się zmierzać ku katastrofie.

Cofam się nieco, staję obok Brendana czekającego w pewnej odległości.

– To nic nie da – mówię – musisz wejść do środka i zabrać jej kluczyki. Nie możemy zostawić tu mojego samochodu.

Brendan spogląda na mnie skonsternowany.

– Co? Przecież ona może być uzbrojona!

– Bzdura. Gdyby miała pistolet, już dawno by go użyła. Nie ma przy sobie broni.

– Ma tę butelkę...

Co za cholerny matoł.

– Butelka może przydała się Mandy, bo mnie zupełnie zaskoczyła. Nie byłam przygotowana. Ale ty jesteś. Przecież dasz radę kobiecie i zabierzesz jej te przeklęte kluczyki!

– Są dwie.

– Mandy ledwo żyje. Jest tylko ta mała, chuda Kate Linville. Jej się boisz?

Zdaje się niezdecydowany. Problem w tym, że nie mamy czasu. Nie mogę mu teraz tłumaczyć przez godzinę, nim wreszcie poczuje w sobie dość animuszu, by zająć się kobietą sięgającą mu ledwie do ramion i pewnie ważącą połowę z tego co on.

– Wchodzę do środka – oznajmiam.

– Jesteś ranna – ostrzega. Roześmiałabym się, gdybym mogła dość szeroko otworzyć obolałe, napięte usta. Jestem ranna? No jasne. Ale ktoś z nas musi tam wejść, wygląda na to, że on tego nie zrobi.

Kate doskonale wiedziała, że przynajmniej jedno z nich wejdzie do środka. Potrzebowali kluczyków do samochodu, gdyż nie chcieli zostawić policji jednoznacznej

wskazówki, kim są sprawcy. Linda Caswell nie należała do kobiet, które łatwo dają za wygraną. Chciała odzyskać kluczyki. Były szansą na wyjście bez szwanku z tego szaleństwa.

Usłyszała, jak otwierają się drzwi. Ostrożne stąpanie.

Stała w dawnej kuchni, zamarła bez ruchu. Miała wrażenie, że weszła tylko jedna osoba. Lekkim krokiem. To chyba nie był potężny Brendan Saunders. To Linda odważyła się wejść do wnętrza chaty. Kate nie wiedziała, co lepsze. Brendan był wyższy i silniejszy, za to mniej zdecydowany i nieskory do przemocy. Linda natomiast drobna i wątła, lecz zdecydowana na wszystko.

Stąpanie ustało. Linda musiała przystanąć w sąsiednim pomieszczeniu, pewnie przeszukiwała je przy świetle latarki. Upewniała się, czy Mandy nadal leży w kącie, czy może gdzieś się na nią zaciąła.

Mandy rzeczywiście leżała przykryta kocem, wystawała jej tylko głowa, włosy mierzwiły się na posadzce. Wyglądała raczej na martwą niż żywą, Kate o tym wiedziała. Tak niestety było w istocie. Nie stanowiła żadnego zagrożenia.

Znów słyhać kroki. Coraz bliżej. Bardzo powolne.

– Kate Linville? – rozległ się głos Lindy.

Kate nie odpowiedziała.

– Zakładam, że nadal jest pani w kuchni – powiedziała Linda. – Przyjdę tam do pani. Chcę odzyskać kluczyki.

Kate wciąż milczała.

W przedpokoju dostrzegła promień światła. Błądził po posadzce, ścianach, suficie. Linda poruszała się w ostrożnym napięciu drapieżnego kota, który wie, że wszędzie wokół może się zaciąć śmiertelne niebezpieczeństwo.

Promień światła dotarł do drzwi. Z mroku wyłoniła się postać. Linda Caswell.

Lampka w telefonie, który trzymała w sprawnej dłoni, oświetlała kontur jej twarzy. Wydatne kości policzkowe wyglądały w tej grze światła i cieni jeszcze ostrzej, oczy zdawały się dużo większe. Krwawa szrama ciągnąca się przez połowę twarzy od skroni aż do ust przydawała jej groteskowego wyrazu. Wciąż jednak była piękną kobietą, Kate musiała to przyznać, mimo nabrzmiałych warg i licznych śladów zakrzepłej krwi. Nie była kimś, kto potrzebuje jakiegokolwiek ochrony – prócz tej przed samą sobą. W mężczyznach budziła jednak instynkt opiekuńczy, który potem wykorzystywała dla własnych celów. Gdy oni nadal wierzyli, że troszczą się o kruchą istotę, już dawno stali się ofiarami manipulacji i instrumentalizacji.

– Kluczyki – odezwała się Linda.

Kate potrząsnęła głową.

– Czemu miałabym to zrobić?

– Bo i tak je odzyskamy. Brendan i ja. Ale to będzie dla pani bolesne.

– Jakoś nie widzę tu Brendana.

– Kiedy mu powiem, przyjdzie.

– Linda, on nie przyjdzie. Zaczyna rozumieć, że wasza sytuacja staje się coraz trudniejsza. Już od dawna powątpiewa w całą tę historię. Był w Chamberfield i wypytywał o pani chorobę. Wiedziała pani o tym?

Linda zamrugnęła zaskoczona, Kate zrozumiała wówczas, że nie miała o tym pojęcia.

– Bzdura.

– Proszę go zapytać. Tak właśnie na niego natrafiłam. Bo podał tam swoje nazwisko. Idę o zakład, że próbował zdobyć informacje, które pozwoliłyby mu panią powstrzymać. Przerwać to absolutne szaleństwo.

– Nie jestem szalona – oznajmiła Linda. Strużka krwi spłynęła jej z kącika ust po podbródku. Rany znów się otworzyły. – A Brendan niczego nie usiłuje powstrzymać. W przeciwnym razie nie przywiózłby tu pani.

– Wpadł w panikę, bo sądził, że jestem bliska odkrycia prawdy. Moim zdaniem jest jednak zdesperowany z powodu tego, co się tu dzieje.

– To nie pani sprawa.

– Zabiła pani własne dziecko. Hannah.

– Nie zabiłam jej.

– Pozwoliła pani, by w męczarniach umarła z głodu i pragnienia. To czyste szaleństwo, Linda.

– Ona mnie nie chciała.

– Nie chciała być tu zamknięta, na tym pustkowiu. Wyrwana z dotychczasowego życia. Zmuszona do okazywania uczuć wobec całkiem obcej kobiety. Ten pomysł to jedno wielkie szaleństwo, Linda. Nie może pani zmuszać ludzi, by panią kochali. Nikt z nas tego nie może. Nawet samego siebie nie można przymusić do pokochania innego człowieka. Podąża pani za isticie groteskową ideą, Brendan od dawna o tym wie. Chciałby, żeby pani przestała, zanim umrą kolejne osoby.

– Kluczyki – warknęła Linda.

– Nie oddam ich dobrowolnie. Będzie pani musiała mi je odebrać.

Linda zrobiła krok do przodu. Kate dostrzegła, jak chore są jej oczy, jak martwe i puste. Sama cofnęła się o krok. Pod jej stopami zachrzęściło szkło rozbitej szyby. W pomieszczeniu cuchnęło benzyną, którą Linda wlała przez okno.

Linda nagle doskoczyła i frontalnie zaatakowała Kate. Sprawną dłonią uderzyła ją w twarz, zadając jednocześnie cios kolanem w brzuch. Zaskoczona Kate aż krzyknęła z bólu. Skuliła się, Linda wykorzystwała sytuację i uderzyła ją ramieniem w kark. Kate, jęknąwszy, padła na posadzkę. Linda natychmiast rzuciła się na nią, usiłując chwycić jej dłoń, w której ścisnęła kluczyki. Choć Kate przez chwilę myślała, że zemdleje z bólu, była na tyle przytomna, by wiedzieć, że musi walczyć o kluczyki do utraty tchu. Kiedy Linda je zdobędzie, los jej i Mandy będzie przesądzony. Linda nie zostawi ich przy życiu, zbyt dużo wiedziały. Widocznie nikt też nie odebrał alarmującej wiadomości albo nie wiedział, co z nią począć, w każdym razie nic nie wskazywało na to, by nadciągała pomoc. Przynajmniej na czas.

Podczas ataku Linda wypuściła z rąk swój telefon, zgasło światło małej latarki. W pomieszczeniu zapadły kompletne ciemności.

Kate poczuła wpijające się jej w plecy odłamki szkła oraz zapach rozlanej po posadzce benzyny, tym bardziej przenikliwy, że jej głowa opadła w jedną z dużych kałuż. Nad nią pochylała się Linda, dysząc i usiłując ją unieszkodliwić. Biła ją po twarzy, kopała na oślep nogami. Kate nigdy by nie przypuszczała, że dysponuje aż taką siłą fizyczną. Nie zdołała zapanować nad sytuacją, choć była przeszkolona w rozmaitych technikach obrony. Cios w żołądek okazał się zbyt mocny. Zmagając się z nudnościami, czuła się jak sparaliżowana. Resztkami sił starała się nie wypuścić z rąk kluczyków. Nic więcej nie była w stanie zrobić.

– Brendan! Brendan! Pomóż mi! – krzyknęła nagle Linda.

Jeśli pojawi się Brendan, Kate będzie zgubiona. Bez trudu odbierze jej kluczyki. Z dwójką przeciwników sobie nie poradzi, z pewnością nie w takim stanie.

– Brendan! – wrzasnęła Linda.

Kate dostrzegła, że w drzwiach za jej plecami pojawiła się postać. Widziała jedynie jej szary cień. Brendan. Wahał się, jak zawsze. A jednak nie potrafił się Lindzie sprzeciwić. Kate ostatkiem sił spróbowała przewrócić się na brzuch i przycisnąć Lindę do ziemi, nie udało się. Nie mogła swobodnie oddychać, co jeszcze bardziej ją osłabiało. Także z powodu benzyny. Jej woń była odurzająca jak narkotyk.

„Pokonają mnie – pomyślała – to już koniec. Zwyciężyli”.

Umrze w tym domu nad morzem. Akurat teraz, gdy jej życie zmierzało ku lepszemu.

Przeszył ją strach. I smutek.

Wtedy rozbłysła zapalka, w migotliwym świetle nikłego płomienia Kate dostrzegła, że to nie Brendan pojawił się w drzwiach.

To była Mandy. Wcale się nie wahała, po prostu była potwornie osłabiona.

Rozpalona gorączką, ledwie mogła ustać na nogach. To determinacja rozbudziła w niej resztki energii, jakie jeszcze drzemały w jej ciele.

– Nie! – ryknęła Kate, nie wiedząc, skąd wziął się u niej tak donośny głos. – Zgaś ogień! Na litość boską, zgaś ogień!

Linda odwróciła głowę. Kate wykorzystała ten moment i podjęła ostatnią próbę. Wyprostowała się gwałtownie i uderzyła Lindę pięścią w twarz. Linda krzyknęła i przewróciła się na bok, po czym poturlała się po zalanej benzyną posadzce.

– Zgaś ogień! – wrzasnęła Kate.

Skąd Mandy wzięła zapalkę? Jeśli jej nie zgasi, wszyscy spłoną tu żywcem.

– Na litość boską, Mandy, zgaś ją!

Mandy osunęła się na kolana. Osłabiona trzęsła się jak osika, zdołała jednak cisnąć płonąca zapalkę w kałużę benzyny. Buchnął potężny płomień, rozjaśniając kuchnię oraz postać leżącą bez ruchu na posadzce.

– Zdychaj, jędz! – warknęła Mandy ochryłym głosem. Prawdopodobnie chciała te słowa wykrzyknąć, lecz zabrakło jej sił.

Kate zebrała się w sobie, nie zważając na ból żołądka, stanęła na nogach, chwyciła Mandy za rękę i dźwignęła ją w górę.

– Uciekaj! – krzyknęła i pchnęła ją w stronę korytarza. – No już!

Mandy zatoczyła się w kierunku drzwi wyjściowych. Linda usiłowała się podnieść, lecz benzyna dostała jej się do ust i oczu. Była oszołomiona i zdezorientowana. Płomienie w szaleńczym tempie rozprzestrzeniały się po pomieszczeniu, jeszcze kilka sekund, a dopadną także i ją.

Kate zapanowała nad instynktem, który podszeptował, by jak najszybciej uciekać. Była policjantką. Nawet przestępcy nie mogła zostawić bez pomocy, wydając na pastwę płomieni. Dosięgnęła do Lindy, usiłowała ją podnieść.

– Niech pani wstaje, Linda, niech pani wstaje!

Linda miała zakrwawioną twarz. Wyprostowała się, stanęła chwiejnie na nogach. Nie ruszyła jednak do wyjścia, lecz próbowała wycofać się w głąb pomieszczenia. Kate żelaznym uściskiem trzymała ją za ramię, jednakże tamta wciąż miała zadziwiająco dużo siły i determinacji.

– Chodźmy, musimy stąd wyjść!

– Nie! – krzyknęła Linda.

– Chodźmy! – Kate nie zamierzała puścić chorej kobiety, lecz sytuacja stawała się coraz bardziej dramatyczna, jeszcze chwila, a nie pozostanie jej nic innego, jak tylko ratować własne życie.

– Nie! – Linda rozpaczliwie usiłowała się uwolnić z uścisku Kate. Wyglądała groteskowo, miała zakrwawioną twarz, zmierzwione włosy, wybałuszone oczy. Zrozumiała, że to już koniec, wołała raczej zginąć w płomieniach niż spędzić resztę życia w więzieniu albo w psychiatryku. Kate zdołała szarpnąć ją w kierunku drzwi. Rzut oka przez ramię upewnił ją, że przynajmniej Mandy zniknęła, miała nadzieję, że wydostała się bezpiecznie na zewnątrz. Nie wierzyła, że grozi jej tam niebezpieczeństwo ze strony Brendana Saundersa. Widząc płonący dom, Brendan będzie stał bezradny, ze spuszczonej rękami, bez sił, by w jakikolwiek sposób zareagować.

Płomień wystrzelił nagle w górę, Linda odruchowo zrobiła krok do przodu. Kate zdołała ją zmusić do wyjścia z kuchni w stronę korytarza. Wszechobecny dym uniemożliwiał orientację, Kate miała nadzieję, że zmierzają we właściwym kierunku. Żar stawał się nie do zniesienia. Palily ją płuca, każdy oddech sprawiał ból. Gwałtownie kasłała, przelękając przy tym jedynie dym, zmagając się z oddechem.

Wychodź, wychodź, wychodź, tłukło jej się po głowie.

Linda zawisała tymczasem na jej ramionach niby obumarły ciężar, poruszała jedynie nogami, choć raczej zupełnie nieświadomie. Rzęziła. Kate miała wrażenie, że zaraz upadnie, jakimś sposobem posuwała się jednak naprzód. Poczła powiew świeżego chłodnego powietrza, wolnego od dymu i żaru. Musi tam dotrzeć, to jedyny ratunek. Linda wyslizgnęła jej się z rąk, osunęła się na ziemię. Kate schyliła się, chwyciła ją pod ramiona i zaczęła wlec po posadzce, idąc do tyłu. Dym gryzł w oczy, które obficie łzawiły, nic już nie widziała, prawie nie mogła oddychać, lada chwila padnie wycieńczona. Wtedy poczuła silniejszy powiew zimnego powietrza. Wydostała się na zewnątrz, ciągnąc za sobą Lindę. Łapała oddech. Nocna wilgoć niczym cudowny welon studziła jej rozgrzaną, palącą skórę na twarzy. Upadła, puściła Lindę, skuliła się w trawie, kaszląc i sapiąc.

Wreszcie uniosła głowę i ujrzała łunę rozświetlającą noc pomarańczowoczerwonym blaskiem. Dostrzegła Mandy siedzącą na ziemi, apatycznie opartą o pień drzewa, z zamkniętymi oczami. Brendan stał bez ruchu, nie pojmując, co się stało.

Linda otworzyła oczy, spojrzała na Kate.

– Chcę umrzeć – wymamrotała.

Sobota, osiemnasty listopada

Do domu dotarła wczesnym rankiem. Jeden ze współpracowników Caleba, którego nie znała, odwiózł ją do Scarborough. Wszystkie wydarzenia owej nocy od chwili pojawienia się ognia zamazywały jej się w głowie, nierzeczywiste, pogmatwane. Nie potrafiła zapanować nad kotłującymi się obrazami zdarzeń, gdyż brakowało jej sił i całymi godzinami kasłała aż do całkowitego wyczerpania. Siedzieli w trawie, patrzyli na płomienie, gdy nagle pojawili się policja, sanitariusze, strażacy. Linda i Mandy zostały zabrane przez karetki pogotowia, Brendan Saunders zniknął w policyjnym radiowozie. Kate usiadła na twardej tylnej kanapie niewielkiego busa, ktoś okrył jej ramiona ciepłym kocem, zbadał ją lekarz, mruczając jakieś słowa, z których zrozumiała jedynie strzępy. Dostała gorącej herbaty z miodem, lecz wciąż dławiła się z powodu kaszlu. Usłyszała określenie *lekkie zatrucie dymem*, miała nadzieję, że zdoła uniknąć wizyty w szpitalu. Chciała wrócić do domu. I do Davida.

W końcu jakby znikąd pojawił się Caleb i poinformował, że to niejaki Colin Blair przekazał mu tę dziwną wiadomość. Kate pomyślała: „No tak, Colin. Jasne, że to do niego trafiła wiadomość. Jest na samej górze listy moich czatów, przecież ciągle do mnie pisze”.

– Co pani tu, do cholery, robi? – zapytał Caleb, choć z łatwością wyczuła, że ulga, jakiej doznał, przewyższała jego gniew.

– Linda Caswell – odparła. – To ona porwała dziewczynki i je zabiła.

Caleb spojrzał na nią osłupiały.

– Linda Caswell? Matka Hannah?

– Chciała odzyskać córkę – wyjaśniła Kate. – A kiedy z Hannah się nie udało, spróbowała z Saskią. A potem z Mandy. Nic dobrego z tego oczywiście nie wyszło. Bo nie mogło.

– Jest pani w stanie złożyć zeznania? – zapytał Caleb.

Skinęła głową, lecz nawet zaprotokołowane zeznanie rozmyło się teraz wśród wrażeń i uczuć owej nocy, tworząc nieczytelny obraz. Kate domyślała się, że mówiła składnie, gdyż nikt nie okazał zdziwienia. Widocznie opowiedziała o wszystkim w sposób logiczny i uporządkowany, a kiedy skończyła, rzekła:

– Proszę, chcę wrócić do domu.

– Musi pani udać się do szpitala i przejść gruntowne badania – odparł Caleb. – Ma pani lekkie zatrucie dymem oraz poważną oparzelinę na ramieniu.

Rany w ogóle nie zauważyła. Spojrzała na ramię, które ktoś opatrzył, pewnie jeden z lekarzy.

– Nic mi nie jest – oznajmiła – chcę do domu.

Uznano w końcu, że nic nie zdoła jej powstrzymać. Caleb nie mógł jeszcze opuścić miejsca zdarzenia, odwiózł ją jeden z jego ludzi, gdyż lekarz kategorycznie zabronił jej samej prowadzić. Ktoś nazajutrz odstawi jej samochód pod dom. Do Scarborough dotarli około czwartej nad ranem. Po drodze Kate wysłała z telefonu funkcjonariusza wiadomość do Davida, wyjaśniła mu, że nie ma swojej komórki, ale czuje się dobrze, wraca do Scarborough i przyjedzie do niego najszybciej, jak się da. Pewnie zamartwiał się na śmierć.

W kąciку serca żywiła nadzieję, że będzie na nią czekał przed domem, lecz ulica była pusta i cicha, budynki z prawej i lewej stały uśpione.

– Czy mogę panią zostawić samą? – zapytał zatroskany funkcjonariusz.

Kate skinęła głową.

– Tak. Wszystko dobrze. – Kaszel ustąpił, za to rana po oparzeniu zaczynała doskwierać. I wciąż odczuwała ból żołądka. Nieważne. Czowała się potwornie wyczerpana, a zarazem rozbudzona. Z wdzięcznością pomyślała o chwili, gdy pojawił się Caleb, przejął kontrolę nad sytuacją i w końcu uwolnił ją od napięcia, trosk, narastającej paniki i rozpacz. Zrobiła swoje, uratowała Mandy, Lindę i samą siebie z płonącego domu, postarała się, by razem z Mandy nie umarły tam z głodu i pragnienia, zwabiła do domu Lindę, dzięki czemu nie musiały wraz z Mandy bezradnie czekać, aż spłoną żywcem. Caleb mógł się teraz zająć Lindą i Brendanem Saundersem. I całą resztą.

Odzyskała swoją torebkę, mogła otworzyć drzwi. Natychmiast pojawiła się przed nią Messy, miaucząc cicho i żałośnie. Kate schyliła się, wzięła ją na ręce.

– Biedaczka. Tak długo byłaś sama. I nikt ci nie dał nic do jedzenia.

Zapaliła wszystkie światła, weszła do kuchni, zostawiła Messy, napełniła jedną miskę karmą, a do drugiej naląa świeżego mleka. Messy radośnie zabrała się do jedzenia. Kate nie czuła głodu, wielkimi łapczywymi haustami wypila jednak pół butelki wody mineralnej. Kaszel rzeczywiście ustępował, już się tak nie dławiła.

– Co teraz? – zapytała na głos.

Najchętniej od razu pojechałaby do Davida, usiadłaby z nim przy dużym stole w kuchni, napiła się herbaty i o wszystkim mu opowiedziała – o sobie, o wydarzeniach minionych dni, a przede wszystkim ostatniej nocy. Nie miała jednak samochodu, a nawet telefonu, by wezwać taksówkę. O tej porze nie mogła zapukać do sąsiadki i poprosić ją, czy może zatelefonować. Nie miała wyjścia, musiała poczekać do przedpołudnia.

Długo stała pod prysznicem, nie żałowała wody, opatrunek na ramieniu owinęła torbą foliową. Zmyła z twarzy i włosów benzynę oraz woń dymu. Ubranie najchętniej od razu wrzuciłaby do pralki, gdyby ją jeszcze miała w tym pustym domu. Odłożyła je razem z resztą brudnych rzeczy, by przy najbliższej okazji oddać do pralni. Następnie wpelzła razem z Messy do śpiwora i usiłowała zasnąć, lecz po niecałej godzinie dała za wygraną. Zbyt mocno waliło jej serce, adrenalina wciąż buzowała w jej żyłach. O pół do szóstej wstała, zaparzyła herbaty, zrobiła sobie tost. Spojrzała przez kuchenne okno w mrok, zobaczyła jednak wyłącznie własne odbicie: oto samotna kobieta siedząca bladym światem na krzeselku kempingowym w pustej kuchni z dużym kubkiem herbaty w dłoni.

– Nie jestem sama – powiedziała do siebie. – Jeszcze parę godzin i pojedę do Davida.

Dlaczego lęk powrócił z tak wielką siłą? Uczucie osamotnienia? Czemu znów ogarnęło ją to dokuczliwe zwątpienie – w siebie, w Davida, w ich związek?

„Powinien tu być – podszeptował jej wewnętrzny głos. – Wysłałaś do niego esemesa z informacją, że jesteś w drodze do Scarborough. Wie, że już dawno powinnaś tu dotrzeć”.

Może nie przeczytał wiadomości. Wysłałaś ją w samym środku nocy.

Czemu jednak on najspokojniej w świecie sobie śpi, kiedy ty nie zjawiasz się na umówionym spotkaniu i znikasz, jakbyś zapadła się pod ziemię?

Może wcale nie śpi *najspokojniej w świecie*. Może drzemie po wyczerpującym wieczorze spędzonym na poszukiwaniach. W twojej poczcie głosowej pewnie zostawił setki rozpaczliwych wiadomości.

Palcami wskazującymi rozmasowała sobie skronie, usiłując przegnać dręczące ją myśli. Na nic się zdadzą zgadywanki i rozmyślania, po prostu nie wiedziała, co się z Davidem dzieje. Pewnie się zezłościł, gdy bez słowa wyjaśnienia nie pojawiła się na spotkaniu.

„Wszystko mu opowiem – postanowiła – i wszystko znów się ułoży”.

Starła się myśleć o czymś innym. Rozwikłała sprawę. Sprawcę ujęto. Nie czuła

jednak radości z tego powodu. Dziewczynki spotkał zbyt okrutny los. Linda Caswell przez tyle lat bez przeszkód oddawała się własnemu szaleństwu. Brendan Saunders był jej tak bezgranicznie oddany, że ją w tym wspierał. Tyle bezsensownego, potwornego cierpienia. I to z cierpienia zrodzonego. Jakże zagubiona musiała być Linda. Pewnie już jako nastolatka rozpaczliwie szukała ludzi, których mogłaby się uchwycić, którzy okazaliby jej wsparcie, byliby gotowi uznać, że do niej należą. Tym jednak sposobem, co naturalne i zarazem tragiczne, wyłącznie ich od siebie odstręczała. Jej jedyną szansą okazał się Ryan Caswell, ów mało towarzyski dziwak. U jego boku Linda usychała. Córka Hannah musiała jej się wydać ratunkiem, jednakże Hannah oczywiście wyczuła, że ma do czynienia z osobą chorą psychicznie. Nie wspominając o tym, że nikt zamknięty w tej chacie na dalekiej północy nie chciałby tam wegetować wyłącznie po to, by służyć Lindzie Caswell za kotwicę dla jej samotności. Ta kobieta powinna przebywać w psychiatryku. I nigdy go nie opuszczać.

Kate zaparzyła sobie drugi kubek herbaty, zastanawiając się z niepokojem, jakie znaczenie dla jej stosunków z Calebem będzie miał fakt, że już po raz drugi samodzielnie rozwikłała sprawę, którą on się zajmował, podążając fałszywym tropem. Czy propozycja pracy w jego wydziale wciąż jest aktualna? Czy może ma jej już serdecznie dość i nie może doczekać się chwili, gdy Kate ostatecznie wróci do Londynu i na zawsze zniknie mu z oczu?

Także i te pytania pozostały na razie bez odpowiedzi.

Wzięła Messy na kolana, pogłaskała ją. Ciche, miękkie pomruki kota ukoili kołatanie jej serca. Siedziała i patrzyła przez okno, mrok z wolna przemieniał się w antracytowo-szary świt, bezlistne drzewa i krzewy, zniszczony ogrodowy płot, szopa, w której przechowywano ogrodowe meble, zarzucały swą niewidzialność, przeobrażając się w jakże znajome obrazy.

Nie chciała być nadgorliwa, dopiero tuż przed dziesiątą pojawiła się przed domem Davida. Nie zabrała z sobą Messy, nie chcąc wywołać wrażenia, jakby zamierzała spędzić u niego cały weekend. Po kota zawsze może wrócić później. Taksówkę zamówiła z telefonu sąsiadki, żmudnie odpierając wścibskie pytania: Czemu nie ma samochodu? I komórki? I co jej się stało w rękę? Sąsiadka puściła ją dopiero wtedy, gdy Kate solennie jej przyrzekła wpaść później na kawę i o wszystkim dokładnie opowiedzieć.

Stała przed drzwiami mieszkania Davida, nacisnęła dzwonek, nikt jednak nie zareagował. Nigdzie też nie zauważyła jego samochodu. Sobotnie przedpołudnie,

pewnie robi zakupy na weekend. Kate starała się stłumić w sobie uczucie strachu i irytacji. Najzwyczajniej w świecie pojechał na zakupy, jakby nic się nie stało. Musiał przecież przeczytać jej wiadomość, musiał wiedzieć, że wróciła. Mimo to nie pojawił się u niej w Scalby w chwili jej powrotu. A może jest tam właśnie teraz, może rozminęli się w drodze?

„Późno – pomyślała z niepokojem. – Jeśli jest teraz u mnie, późno wybrał się w podróż”.

Zamyśliła się. Było zimno, nie miała samochodu, w którym mogłaby poczekać. Ani telefonu, by ponownie wezwać taksówkę i wrócić do domu.

Wiedziała, że David chowa klucz do mieszkania pod zbiornikiem na deszczówkę obok drzwi wejściowych, bez obaw powiedział jej o tym. Wyraźna zgoda na wejście do mieszkania podczas jego nieobecności co prawda nie padła; powinien jej raczej wręczyć własny klucz. Znała go jednak na tyle dobrze, by wiedzieć, że fakt, iż nie poruszył tego tematu ani nie przedsięwziął żadnych konkretnych kroków, wcale nie oznaczał, że ma coś przeciwko temu, by weszła do jego mieszkania. Nie przychodziło mu na myśl, by wyjaśniać tego rodzaju problemy, ponieważ problemów w tym żadnych nie dostrzegał. I był zaskoczony, dowiadując się potem, że Kate bez końca się tym zadręcza.

„Wejdę do środka – pomyślała – bo nabawię się okropnego przeziębienia. Zrozumie”.

Klucz rzeczywiście leżał w zagłębieniu pod zbiornikiem. Kate otworzyła drzwi i weszła po stromych stopniach na górę. Otuliły ją ciepło i znajoma atmosfera, odetchnęła głęboko. Jak dobrze.

Powiesiła płaszcz w garderobie, weszła do kuchni. Na stole stał opróżniony w połowie kubek z wystygłą już kawą, obok leżał napoczęty chleb tostowy i nóż z resztkami marmolady. Kate posprzątała co nieco, zauważyła przy tym, że jej napięcie mija. Dobrze się tu czuła. Spędziła w tym mieszkaniu sporo czasu z Davidem, razem gotowali i jedli, rozmawiali, śmiali się, pili wino, zapalali świece, sypiali ze sobą, znów siadali w kuchni i sączyli wino, trzymając się za ręce.

– Po prostu zamieszkaż u mnie – odpowiedział, kiedy go zapytała, gdzie ma się podziąć po sprzedaży domu.

„Mówił poważnie – pomyślała. – Oczywiście, że mówił poważnie”.

Mimo to czuła niepokój. Wewnętrzny. Bo nie zastała go w domu. Bo nie było go w pierwszych godzinach poranka.

To inny typ człowieka. Jest bardziej niechlujny, we wszystkim. Taki już jest.

Postanowiła napić się wódki, by odzyskać nieco spokoju. Pora była nietypowa, miała jednak wrażenie, że musi się w jakiś sposób odprężyć, bo inaczej zwariuje. Ta jedna noc wystarczyła. I jeszcze ten samotny przyjazd do domu. Ktoś powinien być przy niej, wziąć ją w ramiona, zapytać, co się stało. Wysłuchać jej, pocieszyć.

„Skończ wreszcie z tym użalaniem się” – nakazała sobie, gdyż wiedziała, że nie wydostanie się z tej spirali, jeśli w nią zbyt głęboko wpadnie.

Weszła do pokoju dziennego, gdzie David trzymał w szafce zapasy alkoholu. Dżin, whisky, rum, różne nalewki owocowe. Wyciągnęła karton z napisem „Macallan”, szkocka whisky. Otworzyła, wyjęła butelkę.

„Brawo, Kate – drwiła z siebie w myślach – whisky o dziesiątej, z samego rana. Dobrze ci idzie”.

Na podłogę wypadła jakaś kartka. Schyliła się, podniosła ją. Wydrukowana fotografia z koślawym podpisem: *Na pamiątkę naszej wspaniałej wyprawy do Szkocji, sierpień 2014.*

Zdjęcie ukazywało dwóch mężczyzn, obaj w T-shirtach i trzydniowym zarostem. Stali na brzegu rzeki, w tle piętrzyły się porośnięte trawą wzgórza. Zapewne Szkocja. Obaj wesoło się uśmiechali.

Kate skonsternowana wpatrywała się w zdjęcie. Jednym z mężczyzn był David.

Drugim zaś Alex Barnes.

Od razu go rozpoznała, miała przecież w pamięci zdjęcia zamieszczane w gazetach. A jednak rozum podpowiadał jej, że to niemożliwe. David i Alex się nie znali, do ich pierwszego spotkania doszło tamtej sztormowej nocy nad morzem, gdy razem wyciągali z wody dziewczynę. Nigdy przedtem ani potem się nie widzieli. To niemożliwe, by trzy lata wcześniej odbyli wspólną wyprawę do Szkocji.

Wzbraniała się przed uznaniem prawdy, lecz powoli zaczynała rozumieć, że istnieje tylko jedno wyjaśnienie. Przerazenie zmroziło całe jej ciało, poczuła mdłości.

Jedynym możliwym wyjaśnieniem brzmiało: David ją okłamał. Nie tylko znał Alexa Barnes, był z nim nawet zaprzyjaźniony. Tamtego wieczoru nie szedł plażą przypadkiem, bo sprawdziwszy stan swoich łodzi, wybrał najbardziej absurdalną i uciążliwą drogę powrotną do domu. Przyszedł tam dlatego, że Alex do niego zadzwonił i poprosił o pomoc. Od samego początku w ten czy inny sposób był uwikłany w sprawę. W zagmatwaną, zakłamaną sprawę rzekomego porwania Amelie Goldsby.

– To niemożliwe – szepnęła do siebie – to po prostu niemożliwe.

Pod wpływem pierwszego impulsu chciała włożyć butelkę whisky i kartkę z powrotem do kartonu i zapomnieć o tym, co zobaczyła, wiedziała jednak, że to jej się

nie uda. Nie sposób puścić tego w niepamięć. Nie sposób trwać w związku z Davidem, pogłębiać go, mając nieustannie świadomość, że dzieli ich niewiarygodne kłamstwo. Musi go o to zapytać. To absurd, niemniej jakiś nikły, pełen nadziei wewnętrzny głos nakazywał jej uchwycić się myśli, że David będzie miał jakieś wyjaśnienie. Przekonujące wyjaśnienie, które rozwieje wszelkie wątpliwości co do jego osoby.

„Bądź co bądź ja także go okłamałam – przemknęło jej przez myśl – podałam nieprawdziwy zawód. Oboje byliśmy wobec siebie niezupełnie szczerzy”.

Myśl o jej zawodzie ponownie ją przerażyła. Była policjantką. Właśnie odkryła, że David Chapland złożył przed policją fałszywe zeznanie. Wiedziała, że nie może zachować tego w tajemnicy, nieważne, co David powie na swoją obronę. Nawet jeśli przekona ją do swoich racji, będzie musiała wyjawic fakty. Jeśli tego nie zrobi, one zaś wyjdą na jaw, straci pracę.

Jęknęła cicho. Jeśli zadzwoni teraz do Caleba Hale'a i powie mu o wszystkim, będzie to oznaczało koniec jej związku z Davidem.

Była tak przerażona, tak bezradna, tak desperacko analizowała, co powinna zrobić, że nie dosłyszała odgłosów nadjeżdżającego samochodu. Nagle dotarło do niej, że na dole ktoś właśnie wsuwa klucz do zamka w drzwiach. Dało się słyszeć stąpanie po schodach.

David.

Chciała go uprzedzić, by się nie wystraszył, widząc nagle w swoim mieszkaniu drugiego człowieka, nie mogła jednak dobrać z siebie głosu. Nawet nie zdołała się poruszyć. Stała w pokoju dziennym obok otwartej szafki pełnej butelek i trzymała w dłoni kartkę, wciąż się zastanawiając, co począć.

Ujrzał ją z przedpokoju, aż drgnął, lecz szybko się opanował.

– Kate! Jesteś nareszcie. Co się wczoraj stało? – Wszedł do pokoju, chciał do niej podejść, lecz coś w jej postawie go powstrzymało.

– Jesteś ranna w rękę – powiedział.

Skinęła głową.

– Tak.

– Dlaczego nawet się nie odezwałaś? – zapytał.

– Wysłałam ci esemesa.

Wzruszył z ubolewaniem ramionami.

– Nie mam komórki. Komisarz Hale wczoraj mi ją zabrał. Chcieli sprawdzić twoje ostatnie nagranie pozostawione w poczcie głosowej. Co się stało? Wyglądasz... –

Zamilkł.

Kate domyśliła się, że zamierzał powiedzieć: Wyglądasz okropnie – bo tak właśnie się czuła. Niewyspana, blada, zmęczona. Wiedziała, że oczy wciąż ma mocno zaczerwienione od gryzącego dymu wypełniającego chatę.

– Wyglądasz na zmęczoną – powiedział w końcu.

Nie dostał jej esemesa. Jeszcze kilka minut temu byłaby to dla niej pocieszająca wiadomość, gdyż wyjaśniałaby, czemu się u niej nie pojawił: nie miał najmniejszego pojęcia, co się właściwie stało ani gdzie się podziewała.

Tymczasem jednak sprawy się skomplikowały. Kate zapragnęła, by ta drobna opieszałość z jego strony stała się jedyną dzielącą ich przeszkodą.

– Byłem na zakupach – ciągnął. – Mam przygotować coś do jedzenia? A potem mi opowiesz...

– David – przerwała mu. – Mamy problem.

Spojrzał na nią.

– Jaki?

Pomachała kartką.

– Taki.

Sięgnął po zdjęcie, dokładnie je obejrzał, tak dokładnie, jakby zamierzał nauczyć się go na pamięć.

– Skąd to masz?

– Przykro mi. Wcale nie szperałam. Chciałam tylko napić się whisky. Kartka ze zdjęciem wypadła z kartonu. – Zawahała się. – Mężczyzna obok ciebie – powiedziała po chwili – to Alex Barnes.

David odłożył kartkę na stół i skinął głową.

– Tak. Na to wygląda.

– Spędziliście razem urlop w Szkocji? Trzy lata temu?

– Poznaliśmy się w Szkocji. Zorganizowałem rejs żaglówką przez Kanał Kaledoński i nim dowodziłem. Alex był jednym z uczestników, znów miał pracę, zarobił trochę grosza i zdecydował się wziąć udział w wyprawie. O dziwo, on także pochodzi ze Scarborough, ale nigdy wcześniej się nie spotkaliśmy.

– Zdaje się, że był zachwycony. Podarował ci butelkę whisky.

– Tak. Od innych też dostałem prezenty. To normalne.

– Nie o to chodzi. David – spojrzała na niego, domyślając się, jak rozpaczliwa

desperacja czai się w jej oczach – twierdziłeś, że go nie znasz. Że nigdy wcześniej go nie spotkałeś. Zanim tamtego wieczoru... pomogłeś mu wyciągnąć na brzeg Amelie Goldsby. Zeznałeś policji...

– Tak, wiem. I co z tego? – przerwał jej, zniecierpliwiony.

– Mnie także przedstawiłeś tę wersję.

– Czy to takie ważne? Nie chciałem się stresować. Ani przed policją, ani przed tobą.

– Czy tamtego wieczoru Alex po ciebie zadzwonił? Bo nie mógł wyciągnąć Amelie z wody?

David nie odpowiedział.

Zrozumiała.

– Nie. Równie dobrze mógłby od razu zadzwonić na policję. Nic by to nie zmieniło, że stałby się wybawcą. Od samego początku byłeś z nimi w tym miejscu umówiony. Gdyby tej sztormowej nocy pojawiły się jakieś problemy. Amelie nie mogła doznać żadnych obrażeń. Lepiej, żeby od razu dwóch silnych mężczyzn stało w pogotowiu, prawda?

David wciąż nie odpowiadał.

– Domyślam się – ciągnęła Kate – że ty i Alex jesteście dobrymi przyjaciółmi. Od tamtej wyprawy żeglarskiej do Szkocji. Wtajemniczył cię. We wszystko. Od samego początku. Wiedziałeś o jego romansie z trzynastoletnią uczennicą. O tym, że do niego uciekła. I pewnie miałeś swój udział w planie pozyskania pieniędzy.

David wykrzywił twarz.

– Wtajemniczony! Brzmi to tak, jakbym był uwikłany w jakąś konspirację. Kiedy się dowiedziałem, że ma romans z tą Amelie, od razu mu powiedziałem, że zwariował. Z uczennicą! Pomyślałem, że żartuje. Zresztą, rzeczywiście sądził, że jest starsza, latem dowiedział się jednak prawdy i... no cóż, zrobiło mi się go żal. Uczepiła się go jak rzep psiego ogona. Nie mógł się jej pozbyć.

– Biedaczek – mruknęła Kate.

David spojrział na nią dziwnie chłodnym wzrokiem.

– Tak, możesz wierzyć lub nie, on naprawdę znalazł się w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Chciał zakończyć tę historię, lecz kiedy tylko jej o tym napomknął, kompletnie bzikowała. Groziła, że się zabije, wpadała w histerię... Było jasne, że jej rodzice coś zauważą i pójdą na policję... Alex trafiłby do więzienia. Był naprawdę zrozpaczony.

– I wtedy pomyślał, że ta sfigowana historia z porwaniem rozwiąże wszystkie

problemy?

– Uciekła i spotkała się z nim, nie sposób jej było nakłonić do powrotu do domu. Alex wymyślił więc plan z porwaniem i ratunkiem... Przekonał Amelie do współpracy, obiecując jej, że zaczną razem nowe życie gdzieś za granicą, jeśli dostanie pieniądze od jej rodziców.

– Pewnie jednak nigdy nie miał zamiaru wyjeżdżać z nią za granicę?

– Chciał wyjechać sam. Wiedział, że będzie musiał opuścić kraj, gdyż cała ta sprawa wyjdzie kiedyś na jaw.

W głowie Kate aż kłębiło się od myśli.

– A ty o tym szaleństwie wiedziałaś?

– Kiedy przeczytałem w gazecie, że Amelie zaginęła, zadzwoniłem do Alexa, powiedział mi, że jest u niego. Zapytałem go, czy oszalał, odpowiedział, że musi wymyślić, jak wybrnąć z tej sytuacji. Co miałem zrobić? Pójść na policję i wsypać przyjaciela? Trzymałem gębę na kłódkę, w nadziei, że zdoła wyjść z tego bez szwanku.

– Niestety, nie tylko trzymałeś buzię na kłódkę – odparła Kate. – Stałeś się częścią tej historii.

– Ale nie przyłożyłem ręki do tego planu. Tamtego wieczoru Alex zadzwonił do mnie, zanim pojawił się w pizzerii, w której pracował jako kelner. Wyjawiał mi swoje zamiary i poprosił, bym o umówionej godzinie *przypadkiem* przechodził brzegiem morza. Dokładnie opisał mi to miejsce. Ważne, zaznaczył, bym się nie przyznawał, że jestem jego przyjacielem; musimy zachowywać się tak, jakbyśmy się nie znali. Poszedłem tam więc między jedenastą a dwunastą, w deszczu i nawałnicy. Spóźniłem się, bo byłem niezdecydowany i czułem wewnętrzny opór. Amelie wisiła już jakiś czas na nabrzeżu. Sytuacja stawała się niebezpieczna. Alexowi zależało jednak na mojej obecności, głównie dlatego, żeby ktoś mógł wiarygodnie opisać tę scenę funkcjonariuszom policji. Przeczynał, że nie będą mu ufać. Wyciągnęliśmy Amelie na brzeg. Zadzwoniłem na policję, zachowywałem się tak, jakbym Alexa nie znał, jakbym przechodził tamtędy przypadkiem, gdyż tylko tak moje zeznanie miało swoją wagę. Nawet Amelie nie dowiedziała się, że się znamy. Później Alex wyjawiał mi swój plan. To wszystko.

– To wszystko? David, jak mogłeś się na coś takiego zgodzić? Wplątać się w tę... historię? Oddać się w ręce takiego człowieka jak Alex Barnes? Mimo waszej przyjaźni... to przecież czyste szaleństwo!

Milczał. Nie spojrzał na nią, patrzył przez okno.

W głowie Kate zakiełkowało w tej ciszy podejrzenie. Jedyne możliwe wyjaśnienie.

– Zaoferował ci pieniądze? Część sumy, którą miał dostać od rodziców Amelie. Zgadza się? On cię kupił.

David westchnął.

– Moje interesy wcale nie idą dobrze. Brexit tego nie poprawi. Anglia odłącza się od kontynentu, a dla ludzi takich jak ja, których interesy są uzależnione od możliwie ścisłego powiązania wszystkich krajów europejskich, sytuacja stanie się nadzwyczaj trudna. Nie mam pojęcia, jak długo jeszcze zdołam się utrzymać.

– I pomyślałeś...

– Chciał mi dać dziesięć tysięcy funtów. Dzięki temu złapałbym oddech. Tak.

– O Boże – odparła Kate. – Jak mogłeś to zrobić?!

W jego oczach znów ujrzała chłód, który przez cały czas ją mroził.

– Ta historia zostanie między nami, prawda? Liczę na to. I tak wszystkiemu zaprzeczę.

– Można dowieść, że znałeś Alexa Barnes – przypomniała mu Kate. – Z pewnością są dokumenty potwierdzające jego udział w wyprawie żeglarskiej.

Jego spojrzenie stało się jeszcze bardziej lodowate.

– Popatrz – powiedział powoli. – Przed tobą trzeba się mieć na baczności. Posłuchaj, Kate, nie masz pojęcia, jak muszę walczyć o przetrwanie. Jesteś dziennikarką, najwyraźniej wziętą, dla ciebie zawsze znajdą się zlecenia. Ale kiedy czasy stają się trudne, ludzie przestają oddawać się tak luksusowym hobby jak żeglarstwo i... ach, do cholery. Ja po prostu prowadzę zupełnie inne życie. Scarborough to nie Londyn. Rozejrzyj się. Miasto podupadło. Niewiele pieniędzy tu trafia.

Nadal w to wierzył. Że jest dziennikarką. Przez cały czas Kate obawiała się, że zacznie szperać w internecie i w końcu odkryje jej oszustwo. Teraz uzmysłowiła sobie, jakie to dziwne, że tego *nie* zrobił. Opowiedziała mu o morderstwie swego ojca, lecz nawet ta sprawa nie zainteresowała go na tyle, by poszukać w internecie bliższych szczegółów. Ponieważ było mu to obojętne. Jej wczorajszym zniknięciem także niezbyt się przejął. Ona zapadła się pod ziemię, u niego zjawiała się policja, poprosiła o udostępnienie komórki, gdyż chciała sprawdzić jej ostatnią wiadomość. To wszystko powinno było wzbudzić u niego podejrzenia, że przytrafiło jej się coś poważnego. Powinien był zgłosić się na policję. Sprawdzić jej dom. Wypytać sąsiadkę.

On tymczasem spokojnie robił zakupy na weekend. Jak by postąpił, gdyby tego ranka nie zjawiała się w jego mieszkaniu? Ugotowałby sobie coś smacznego i korzystał z dnia odpoczynku?

Nie chciała zadać kolejnego pytania. Wyczuwała jego chłód. Jego złość, że o wszystkim wiedziała. Przede wszystkim jednak jego obojętność, kryjącą się za chwilowymi emocjami. Wyczuwała ją już od dłuższego czasu. Stąd jej narastający lęk. Jej niepokój.

Stała nad przepaścią. Jeśli zrobi krok naprzód, runie w dół. Jeśli jednak tego nie zrobi, przepaść wcale nie zniknie. Fragmenty jej duszy i tak już opadały w otchłań.

– Twój stosunek do mnie – powiedziała powoli, a lęk niemal odbierał jej dech – nasz związek... był prawdziwy czy...?

W milczeniu zmierzył ją wzrokiem. Od stóp do głów. Kate wiedziała, że ma zaczerwienione oczy. Że jest blada. Zmęczona i wyczerpana. Że jest od niego kilka lat starsza, a tego ranka zapewne wygląda na *wiele* lat starszą.

Uśmiechnął się. Złowrogo. Nigdy wcześniej tego nie zauważyła, teraz jednak zrozumiała, że bywał miły i wyrozumiały, lecz potrafił też być całkiem inny. Naznaczył go jakiś nieprzyjemny rys. To go skłoniło do współudziału w sprawie Alexa Barnes'a. By zagarnąć część pieniędzy rodziców Amelie.

„Dlaczego nigdy tego nie zauważyłam?” – zastanawiała się speszona.

– Spójrz na siebie – powiedział.

W jej uszach krew zaczęła ogłuszająco tętnić.

– Chciałeś...

– Informacji – oznajmił ze spokojem. – Byłaś taka zaciekle w ich poszukiwaniu, Alex zaś przez cały czas bał się, co się dalej wydarzy... Ja oczywiście także, bo w idiotyczny sposób dałem się w to wciągnąć... Pomyślałem sobie, u twego boku pozostanę w grze. A potem okazało się jeszcze, że jesteś zaprzyjaźniona z tym komisarzem. Nie odpuszczaj, powiedziałem sobie.

Poczuła, że rysy jej twarzy skostniały, a serce rozpadło się na kawałki.

– Ale... czy nie wystarczyłoby... – Mówienie przychodziło jej z trudem. Przyszłość, wszystko, o czym marzyła i co sobie wyobrażała, zatoneło w morzu bólu i poniżenia. – Czy dla... twoich celów... nie wystarczyłaby... zwykła znajomość ze mną? Dlaczego musiałeś zachowywać się tak, jakbyś...

– Bo tak było zabawniej – odparł brutalnie.

Leżała na dnie otchłani, wszystko w niej skruszało.

– Chodziło ci po prostu o informacje i zabawę?

Ponownie zmierzył ją wzrokiem. Z pogardą. Lekceważeniem.

– W sypialni było przecież ciemno – odparł.

Stali naprzeciw siebie w milczeniu. Tych ledwie parę minut ciszy dłużyło się w nieskończoność. Kate miała wrażenie, że podobnie musi się czuć umierający. Wygaszenie wszelkiego życia. Wszelkich sił. Jakby ktoś powalił ją na ziemię, a ona wiedziała, że już nigdy się nie podniesie.

Próbowała czytać w jego twarzy. Zauważyła rys przypominający niewyraźną skruchę. Obszedł się z nią bardziej obcesowo, niż zamierzał. Zapędzony w kozi róg, przyłapany, zmuszony do złożenia wyjaśnień, znalazł się nagle w sytuacji współnika. Bronił się instynktownie niczym osaczone zwierzę, w normalnych okolicznościach nie użyłby tak mocnych słów. To jednak niczego nie zmieniało: dla niego był to romans służący przede wszystkim jednemu celowi – pozyskaniu informacji o tym, czy ze strony śledczych grozi mu jakieś niebezpieczeństwo. Może niektóre chwile spędzone z Kate sprawiły mu przyjemność. A może wcale nie. Nie obeszło go jej zniknięcie. Wcale też nie przejął się losem jej domu. I jej pracy w Londynie. Nie planował ich wspólnej przyszłości, to dlatego wszystko, o czym rozmyślała Kate, czym się zadreęczała, było mu zupełnie obojętne.

Od kiedy Alex został ujęty, pewnie chciał to zakończyć, stąd ów narastający w niej przez ostatnie dni bolesny wewnętrzny niepokój.

Mimo ogłuszenia, jakie odczuwała, przynajmniej tę jedną kwestię potrafiła należycie ocenić: To koniec. Dla niej.

Dla niego to się nigdy nie zaczęło.

W którymś momencie przerwał milczenie.

– Kate... nie chciałem tak powiedzieć... Ale nie możesz przecież... Naprawdę sądziłaś...?

Każde pojedyncze słowo było jak cios wymierzony w twarz. A cóż innego, do cholery, miała sobie myśleć? Że on jest atrakcyjnym mężczyzną, a ona wręcz przeciwnie, i stąd nie mógł mieć wobec niej poważnych zamiarów, co powinna była zrozumieć, gdyby nie była tak ślepo zakochana i nie popadła w te nedorzeczne urojenia? A co on sobie myślał? Czyżby sądził, iż zdawała sobie sprawę, że on nie traktuje tego poważnie i że uznał ją za niewartą rozmowy? A mimo to ochoczo poszła z nim do łóżka i za wspaniały uznała seks z mężczyzną, który potrafił ją znieść wyłącznie po ciemku? Że o sprzedaży domu i znaczeniu tego faktu dla nich obojga mówiła tylko dlatego, że nic innego nie przychodziło jej akurat do głowy?

Doskonale wiedział, jak bardzo się zaangażowała, i nawet jeśli nie miał oporów w potraktowaniu jej jako źródła informacji oraz seksualnej przygody, nim trafi mu się

coś lepszego, resztką przyzwoitości nakazywałyaby powściągliwość.

Czego jednak mogła się spodziewać po człowieku, który zaprzyjaźnił się z Alexem Barnesem i wspierał go w kryminalnych machinacjach?

– Odwieźć cię do domu? – zapytał nieswojo, gdy wciąż milczała. – Nie masz samochodu. W każdym razie nigdzie go nie widziałem.

Chciał się jej jak najszybciej pozbyć. Chciał raz na zawsze zakończyć historię z Kate, podobnie jak i tę niemiłą rozmowę w pokoju dziennym. Chciał schować fotografię z Alexem Barnesem z powrotem do kartonu i zapomnieć. Chciał zapomnieć o tym, że Kate poznała prawdę. Chciał zapomnieć o Kate. Taki właśnie był. Pomyślała, jakie to dziwne, że przez cały czas nie chciała tego przyznać: że był kimś, kto kłopoty życiowe od siebie odpycha, ruguje ze świadomości albo rzekomo rozwiązuje, bezlitośnie wykorzystując innych, których potem także porzuca. Wzbraniał się cokolwiek pogłębić, czy chodziło o związki międzyludzkie, czy o pracę, w której pojawiały się problemy, czy o doznania, jakie stają się udziałem każdego człowieka w trakcie jego życia, utrudniając mu wejrzenie w głąb duszy i zmierzenie się z własnymi niedoskonałościami.

Czuła się rozbita na tysiące kawałków, nie miała pojęcia, czy kiedykolwiek zdoła ponownie wypełnić swoje życie światłem. A jednak wciąż przytomna była owa druga Kate, jakże odmienna od tej odrzuconej, poniżonej, głęboko zranionej kobiety. Od tej niepozornej osoby, do której stojący przed nią bezduszny mężczyzna odnosił się z tak niebywałą wyższością.

Ona wciąż istniała. Albo przynajmniej jej resztką.

Zadziwiająco, ale zdołała się poruszyć. Sięgnęła do torebki, wyciągnęła legitymację służbową i podsunęła ją Davidowi pod nos.

– Sierżant śledcza Kate Linville, Metropolitan Police. Davidzie Chapland, jest pan tymczasowo aresztowany. Pod zarzutem współudziału w przestępstwie oraz złożenia fałszywych zeznań.

Skonsternowany gapił się na legitymację.

– Co takiego?

– Ma pan prawo wezwać adwokata.

– Jesteś... kim?

Nadal pozwalała mu patrzeć na legitymację. Dostrzegła, jak w jego rysach odmalowało się zrozumienie, po czym przemieniło się w jawne przerażenie.

– Ty... nie jesteś dziennikarką?

Schowwała legitymację.

– Nie.

– Dobry Boże! – David coraz lepiej pojmował, w jak fatalnym położeniu się znalazł, wyjawiając wszystko policjantce. – Kate... porozmawiajmy...

Podeszła do telefonu stacjonarnego, podniosła słuchawkę i wybrała numer policji. David nawet nie próbował jej w tym przeszkodzić. Stał pośrodku pokoju i patrzył przed siebie, kompletnie wytrącony z równowagi.

Kate wezwała patrol policyjny na Sea Cliff Road. Kiedy odłożyła słuchawkę, podeszła do okna i wyjrzała na cichą ulicę.

– Kate! – zaklinał David. – Ja wcale tak nie myślałem. Byłem... posłuchaj, nie możesz... po wszystkim, co było...

Nie odpowiedziała mu ani słowem.

Wtorek, dwudziesty pierwszy listopada

Caleb Hale zastanawiał się, czy Kate otworzy mu drzwi. Wyobrażał sobie, jak kiepsko się miewa, wiedział, że zamyka się w sobie, kiedy poczuje się smutna i zraniona. Po tym wszystkim, co się wydarzyło... z pewnością odczuwała znacznie więcej niż *smutek* i *ból*. Mógł się tylko domyślać, ile sobie obiecywała po wspólnej przyszłości z Davidem Chaplandem. Chciała się cieszyć nowym życiem, a tymczasem ono legło w gruzach.

Jej samochód, przywieziony w weekend przez jednego z funkcjonariuszy z zespołu Caleba z Northumberland do Scarborough, stał zaparkowany przed domem. A więc przynajmniej nie wyruszyła w pośpiechu do Londynu.

Zadzwoił do drzwi. Odczekał. Zadzwoił ponownie. W końcu usłyszał odgłos kroków. Drzwi się otwały. Ujrzał przed sobą Kate.

Wyglądała na zmęczoną, lecz nie przypominała kogoś, kto kona z rozpacz. Właściwie wyglądała tak jak zawsze, może była trochę bardziej wyczerpana. W jej oczach Caleb dostrzegł jednak nowy wyraz. Nie miała nic więcej do stracenia. Uczucie to być może ją wzmocni.

Spojrzeni na siebie, w końcu Caleb odezwał się cicho:

– Tak bardzo mi przykro, Kate. Chciałbym... całkiem innego zakończenia tej historii.

– Wejdzie pan? – zapytała Kate. Na jej twarzy malował się wyraz niezłomności i siły. Nie zechce rozmawiać o swojej osobistej porażce. Nie z nim. Zapewne z nikim.

Wszedł za nią do pustego pokoju dziennego, w którym stały dwa krzesła kempingowe. Elektryczny kominek był włączony i wypełniał pokój błogim ciepłem.

– Właśnie zaparzyłam herbatę – odezwała się Kate. – Proszę usiąść. – Zniknęła w kuchni.

Caleb stał w miejscu. Pogłaskał Messy, która nagle pojawiła się znikąd i otarła się o jego nogi.

„Został jej tylko kot” – pomyślał.

Nie wiedział, co dokładnie zaszło między Kate a Davidem, lecz fakt, że wydała go w ręce policji, wpłynął rzecz jasna destrukcyjnie na ich związek. Kate musiała mieć tego świadomość, a mimo to podjęła decyzję, bez względu na to, z jakim trudem przyszło jej to uczynić. Caleb poczuł dla niej ogromny szacunek. Czuł go właściwie

zawsze.

Wróciła z tacą z filiżankami, mlekiem i cukrem, postawiła ją na podłodze.

Ten pusty dom...

– Jakies nowiny o pani lokatorach? – zagadnął Caleb.

Potrząsnęła głową.

– Ani śladu. Nie mam złudzeń, że kiedykolwiek się odnajdą. A jeśli nawet, i tak nie będą mieli pieniędzy, by mi zapłacić za wyrządzone szkody.

– Nadal chce pani sprzedać dom?

– Potrzebuję trochę czasu – odparła. – Przedłużyłam urlop do początku przyszłego tygodnia. Do tej pory zostanę tutaj. Muszę się zastanowić nad moją przyszłością.

– Jeszcze jeden tydzień sama w tych pustych pokojach?

– Na to wygląda.

– Co z pani... przyjacielem? Colinem Blairem?

Uśmiechnęła się smutno.

– Uważa, że uratował mi życie.

– To przecież nieprawda. Sama poradziła sobie pani z tym koszmarem w Northumberland.

– Tak, ale dobrze, że wkrótce potem zjawiała się policja. On zaś postąpił tak, jak należało. Zrozumiał wagę mojej wiadomości, powiadomił pana... Jestem mu wdzięczna. Ale odesłałam go do Londynu. Nie chcę go tu. W ogóle nie chcę mieć z nim nic wspólnego.

– Rozumiem – przyznał Caleb.

Napili się herbaty.

– Chciałbym przekazać pani kilka najnowszych ustaleń – odezwał się Caleb. – Choć to pani rozwikłała tę sprawę.

Jakiś czas temu Kate uprzejmie by zaprzeczyła. Teraz nic jednak nie odpowiedziała, spojrzała tylko na niego uważnie.

– Tak?

– Według naszych informacji w roku dwa tysiące trzecim Linda Caswell rzeczywiście opuściła Anglię, jednakże wbrew przypuszczeniom jej męża nie wyjechała do Australii, lecz przez kilka lat tułała się po kontynencie, głównie po Hiszpanii i Włoszech. Pracowała w rozmaitych ośrodkach wypoczynkowych w gastronomii, ledwie wiążąc koniec z końcem. Nigdzie nie była zameldowana. W dwa tysiące ósmym roku

w pewnym hiszpańskim porcie poznała Josepha Maidowsa. Zaczekał tam swoją żaglówkę. Wdali się w romans. Maidows zabrał następnie Lindę do Anglii. Wiemy, jakie to proste. Liczne małe angielskie żaglówki przepływające każdego dnia kanał często nie są kontrolowane, jeśli wracają do swoich macierzystych portów. Nikt nie zauważył, że Linda Caswell powróciła do Anglii. Według oficjalnej wersji zostawiła swoją rodzinę w roku dwa tysiące trzecim i przypuszczalnie zaszła się u krewnych w Australii. Taką informację uzyskaliśmy w trakcie dochodzenia w sprawie zaginięcia Hannah. Nikt tego nie kwestionował. Linda po prostu zniknęła. Bez względu na to, jakie scenariusze kreśliliśmy, matka Hannah w żadnym z nich się nie pojawiła.

– To zrozumiałe. Zbyt długo była nieobecna.

– Nie przyszło nam do głowy, by sprawdzić, gdzie i w jakich okolicznościach Ryan Caswell poznał swoją żonę. Być może stalibyśmy się bardziej podejrzliwi, gdybyśmy się dowiedzieli, że Linda przebywała w psychiatryku... Jednakże wówczas w Chamberfield nie wniesiono oskarżenia przeciwko Ryanowi, stąd historia jego romansu z pacjentką oraz wyrzucenia go z pracy nie została odnotowana w aktach. Po prostu nic o tym nie wiedzieliśmy. Faktem pozostaje jednak, że tej sprawy nie drążyliśmy.

– To zrozumiałe. Któż by pomyślał, że kryje się za tym rodzona matka?

– To wcale nie taki rzadki przypadek, w toku spraw rozwodowych jedno z rodziców czasem uprowadza swoje dziecko – przyznał Caleb.

Kate potrząsnęła głową.

– Ale tło jest zupełnie inne. Rozwód, walka o prawo do opieki... Linda Caswell zniknęła i ani przez moment nie walczyła o córkę. Los Hannah wydawał jej się całkiem obojętny. W przeciwnym razie z pewnością mogłaby ją z sobą zabrać. Nie sposób było założyć, że kiedyś zechce ją odzyskać.

– Tak czy owak, w końcu przeniosła się razem z Maidowsem do Northumberland – ciągnął Caleb. – Prowadzili tam tę budkę, Seagulls Cliff, w pobliżu nadmorskiego szlaku. Maidows, znacznie od Lindy starszy, otrzymywał dodatkowo emeryturę, był niegdyś inżynierem w stoczni. Stan jego zdrowia się pogarszał. Demencja. W końcu zamknęli Seagulls Cliff i wynajęli dom w Scarborough. Mogę jedynie przypuszczać, że stało się tak za namową Lindy. Chciała zamieszkać blisko Hannah.

– Dlaczego tak nagle?

– Zakładam, że miało to związek z postępującym obłąkaniem Maidowsa. Linda jest osobą całkowicie zależną – od partnera, od człowieka oddanego jej w stu procentach. Maidows co prawda wciąż do niej należał, lecz nie był już dla niej oparciem. Wręcz przeciwnie, to on w coraz większym stopniu był od niej uzależniony, nie było też jasne,

jak długo jeszcze pożyje. Potrzebowała kogoś nowego. Przypomniała sobie wówczas o Hannah.

– Seagulls Cliff przekształciła w kryjówkę?

Caleb skinął głową.

– Chata należała do jej partnera. Odcięto prąd i wodę, Linda nie chciała zwracać na siebie uwagi. Rachunki za prąd i wodę, przelewy... to byłoby zbyt ryzykowne. Odludne miejsce doskonale się nadawało. Po zatrzymaniu Linda przyznała, że całymi tygodniami obserwowała Hannah. Tamtego listopadowego wieczoru w Hull chciała ją zagadnąć i zabrać ze sobą, lecz właśnie wtedy pojawił się Kevin Bent. Śledziła oboje aż do samego Scarborough. Przed dworcem wreszcie nadarzyła się okazja. Zaproponowała Hannah, że odwiezie ją do domu. Hannah rozpoznała matkę, widziała ją na zdjęciach. Zakładam, że była kompletnie zaskoczona. Niemniej bez wahania wsiadła do samochodu.

Kate się wzdrygnęła, ściągnęła ramiona.

– Biedna dziewczyna. Co musiała przeżywać, kiedy zrozumiała, że nagle stała się więźniem. I że wpadła w ręce osoby psychicznie chorej.

– Przypuszczam, że przy każdej okazji błagała Lindę, by pozwoliła jej wrócić do domu. Nieważne, jak uciążliwe było jej życie z ojcem – w tym więzieniu na odludziu musiało wydać jej się rajem. Nieustannymi prośbami i łzami w tragiczny sposób przypieczętowała swój los.

– Linda odwróciła się od niej...

– Linda Caswell nie potrafi znieść odrzucenia. Sądzę, że coraz rzadziej pojawiała się w chacie. W końcu przestała przychodzić. Hannah umarła w męczarniach z głodu i pragnienia.

– A potem...

– A potem na scenę wkroczył Brendan Saunders. Na polecenie Lindy pozbył się ciała. Zakopał je. Wskazał nam miejsce, na pustkowiu, w pobliżu chaty. Nasz zespół przystąpił właśnie do ekshumacji.

– A Saskia Morris...?

– Porzucił ją na wrzosowiskach, przy szlaku, w zaroślach. Twierdzi, że zrobił tak z myślą o jej rodzicach. Chciał, by odnaleziono zwłoki Saskii. Aby jej rodzice nie żyli bez końca w niepewności.

– Jak mógł stać się współsprawcą?

– Jest dalekim kuzynem Lindy. Od młodości beznadziejnie w niej zakochanym.

Całkowicie jej posłusznym. Mimo to w końcu się przeraził. W Chamberfield wypytywał o jej chorobę. Miał nadzieję, że zdoła ją powstrzymać.

- Widocznie nawet on nie mógł stać się osobą, której tak desperacko szukała.
- Był zbyt słaby. Dla Lindy stał się ledwie wykonawcą jej poleceń. Nikim więcej.
- Mandy Allard...

– Dziewczynę podsunął Lindzie Brendan. Sądził, że z uciekinierką, która za żadne skarby nie chciała wracać do domu, może się udać. Zadzwoił do Lindy, kiedy Mandy wciąż przebywała w jego mieszkaniu, ona jednak uznała, że dzwoni na policję – i czym prędzej uciekła. Linda w końcu ją odnalazła. Wiadomo było, że będzie się włóczył po okolicy.

- Jakże chora musi być Linda – mruknęła Kate.

Caleb przytaknął.

– Bardziej chora i niebezpieczna, niż sądzili jej lekarze. Być może z biegiem lat jej stan wciąż się pogarszał. W końcu uczepiła się myśli, że jej córka mogłaby stać się kimś, kogo tak usilnie poszukiwała. Kiedy to nie zadziało, porwała kolejną dziewczynę. Odczekała jakiś czas, pewnie potrzebowała chwili, by porzucić nadzieje pokładane w rodzonej córce i przywyknąć do myśli o obcej dziewczynie. Ów odstęp czasu kazał mi wątpić w związek łączący oba te przypadki. Także i tu wykazała pani większą przenikliwość, Kate.

Nie odpowiedziała. Tak, w tej kwestii nabrała pewności. Intuicja. Choć mogło być całkiem odwrotnie.

– Potem jednak sprawy nabrały rozpędu – podjął Caleb. – Linda była wręcz opętana myślą o znalezieniu kogoś w zastępstwie Hannah. Ach, i... – Umilkł.

- Tak? – zapytała Kate.

– Josepha Maidowsa znaleźliśmy w piwnicy jego domu. Przywiązanego do łóżka. Zmarł z głodu i pragnienia. Stał się zbyt uciążliwy, pozbyła się go w ten sam sposób co dziewcząt.

- Przerazające – szepnęła Kate.

– Sąsiedzi co prawda zauważyli, że od pół roku się nie pokazywał, lecz uznali, że ze względu na stan zdrowia nie może wychodzić z domu. Linda nie utrzymywała kontaktów z otoczeniem, nikt więc o nic nie wypytywał. Zresztą powszechnie sądzono, że jest żoną Maidowsa. *Linda Caswell* całkowicie zniknęła. Jej partner zmarł przetrzymywany w piwnicy, jednakże jego emerytura nadal wpływała na konto, a ona bez trudu mogła podejmować pieniądze. Korzystać z jego samochodu, mieszkać w jego

domu. I trwać w swoim obłądnie. Nie sposób było odkryć jej machinacji. – Uśmiechnął się. – No chyba że pojawi się superfunkcjonariuszka Scotland Yardu i weźmie sprawy w swoje ręce!

Zmierzyła go wzrokiem. Wyglądał na rozluźnionego, domyślała się jednak, że wcale taki nie jest. Uznał się za nieudacznika, kogoś, kto bezradnie dreptał w miejscu i nie potrafił spojrzeć na sprawy z właściwej strony.

– Caleb... – odezwała się, lecz on machnął ręką.

– Już dobrze. Jest pani lepsza. Potrafię to przyznać. Naprawdę.

Zanim zdołała cokolwiek powiedzieć, podjął na nowo:

– I jak, będzie się pani starać o pracę w moim wydziale? Potrzebuję kogoś takiego jak pani.

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Po prostu jeszcze nie wiem. Gdzie będę mieszkać. Co dalej. Jestem... – Umilkła. Jej głos zaczął drżeć, usiłowała zapanować nad sobą.

„Kiepsko z nią – przemknęło mu przez myśl – strasznie kiepsko”.

– Jeszcze jakieś cztery tygodnie do świąt – powiedział i zaraz chciał się ugryźć w język. Jak można być tak nieczułym? Za późno, stało się. – Ma pani już jakieś plany?

– Jeśli nie sprzedam domu, może przyjadę tu na święta. Zobaczymy.

– Szczerze mówiąc, pomyśl, by Boże Narodzenie spędziła pani sama w tym pustym domu, uważam za deprymujący – odparł. – Czemu nie przyjdzie pani do mnie? W świąteczny poranek. Moglibyśmy... pójść na spacer, zjeść śniadanie, rozpakować prezenty. Porozmawiać. I co tam jeszcze.

– Nie musi się pan nade mną litować, Caleb – odparła cichym głosem.

– Wcale się nad panią nie lituję. Ja także nie mam ochoty siedzieć sam. To zawsze kończy się u mnie... no cóż, przecież pani wie.

Wiedziała. Nim nastanie południe, wypije tyle, że nie zdoła ustać na nogach.

– Zastanowię się – powiedziała. – Mamy jeszcze czas. W każdym razie dziękuję.

Odstawił filiżankę, wstał.

– Muszę już iść. Mamy jeszcze sporo pracy.

– Jak się czuje Mandy? – zapytała Kate, odprowadzając go do drzwi.

– Nadal przebywa w szpitalu. Ale ma się dobrze, zważywszy na okoliczności. Odwiedziła ją opiekunka z opieki społecznej. Trzeba będzie zdecydować, czy wróci do domu, czy zamieszka u rodziny zastępczej.

– Biedna dziewczyna – przyznała Kate.

– Jest silna – odparł Caleb.

Po chwili dodał cicho:

– Tak jak pani. Proszę o tym nie zapominać. Jest pani mądra, zdecydowana, silna. Tylko sama pani musi w to wreszcie uwierzyć.

Sobota, dwudziesty piąty listopada

Deborah miała nadzieję, że tego dnia nie spotka na plaży nikogo. W sobotnie przedpołudnie ludzie mają inne sprawy na głowie niż spacerowanie brzegiem morza. Powietrze było przesycone nieprzyjemną mżawką. Piasek stał się mokry i ciężki. Chmury zawisły nisko nad taflą wody, morze przybrało barwę antracytowej szarości, sprawiało wrażenie, jakby zastygło w bezruchu.

Oto dzień, do którego upodobniła się dusza Deborah.

Z oddali dostrzegła samotną postać, dopiero z bliska poznała, że to policjantka. Kate Linville. Otulona szarym zimowym płaszczem wyglądała na jeszcze drobniejszą. Deborah zauważyła jednak, że... wychudła. W ciągu kilku dni straciła na wadze, a przecież już wcześniej nie należała do otyłych. Miała zapadłe policzki, wymizerowaną twarz, ogromne oczy.

„Wygląda potwornie smutno” – pomyślała Deborah.

Było za późno, by ją ominąć. Przystanęła. Kate także ją rozpoznała, zamarła.

– Witaj, Deborah – odezwała się.

– Kate! Pani wciąż tutaj?

– No tak, dom...

– Ach tak...

Tyle się wydarzyło, całe światy legły w gruzach, a jednak nie wiedziały, o czym miałyby rozmawiać. Deborah uświadomiła sobie, że wygląda podobnie jak Kate. Także ona straciła na wadze, a na jej twarzy malował się ból.

Dwie smutne kobiety stojące naprzeciw siebie nad morzem, w deszczu.

– Jak się pani miewa? – zapytała w końcu Kate.

Deborah zamierzała odpowiedzieć odruchowym „dobrze”, pomyślała jednak, że pytanie Kate było chyba szczere, dlatego powinna równie szczerze odpowiedzieć.

– Nieszczególnie. Pani... pewnie wie...

– Wiem – odparła Kate.

Deborah zacisnęła dłonie trzymane w kieszeniach płaszcza.

– Po raz pierwszy w życiu nie czuję żadnej więzi z bliskim mi człowiekiem.

Z rodzoną córką. Nie potrafię jej zrozumieć. Dogadać się z nią. Całkiem się przede mną zamknęła. Jakby wszystko, co nas kiedykolwiek łączyło, zostało przerwane.

– Ona potrzebuje pomocy.

– Przebywa w klinice psychiatrycznej dla młodzieży. Na czas nieokreślony. Wielokrotnie ją odwiedzałam, ale nie udało mi się nawiązać z nią rozmowy. Nie odpowiada. Od czasu do czasu powtarza tylko, że chce wrócić do tego Alexa Barnes.

– Barnes przebywa w areszcie – odparła Kate – i na pewien czas trafi za kratki.

– Czasem odnoszę wrażenie, że Amelie obarcza mnie za to odpowiedzialnością – wyznała Deborah, czując napływające do oczu łzy. – Traktuje mnie tak, jakbym zniszczyła jej życiowe szczęście. U boku tego mężczyzny. Jakby szczęście tam na nią czekało. On chciał się jej pozbyć, już od dawna, wielokrotnie zapewniał o tym w trakcie przesłuchania. Ale do niej to nie dociera.

– Ona nie chce przyjąć tego do wiadomości – stwierdziła Kate. – Prawda jest dla niej zbyt bolesna.

– Kiedyś wreszcie musi się z nią zmierzyć. Musi wziąć odpowiedzialność za swoje postępowanie.

– Lekarze jej pomogą. Na pewno.

– Tak – przytaknęła Deborah bez przekonania, po czym dodała: – Wyjeżdżamy ze Scarborough. Z początkiem nowego roku. Jason złożył już podanie o pracę w klinice w Londynie. I drugie w Liverpoolu. Jest mi obojętne, dokąd się udamy. Byle jak najdalej stąd.

– Zbyt wiele się wydarzyło.

– A do tego prasa wszystko jeszcze podgrzała... Mam wrażenie, że wszyscy się na mnie gapią. Jesteśmy tą zepsutą rodziną ze stukniętą córką... Niektóre złowrogie spojrzenia to jedynie wytwór mojej wyobraźni, ale prawie straciłam ochotę, by wychodzić z domu. Robię to wyłącznie przy brzydkiej pogodzie, jak dzisiaj.

– Może nowy początek faktycznie jest najlepszym rozwiązaniem – przyznała Kate. Stały naprzeciw siebie w siąpiącym deszczu, niezdecydowane.

– Miłego dnia – powiedziała w końcu Kate, zamierzając odejść.

Deborah zawahała się przez chwilę.

– Kate... jeśli przyjedzie tu pani na święta... Nie wiem, jakie ma pani plany, ale może spędzi je pani razem z nami? Z Jasonem i ze mną?

Kate się zamyśliła. Deborah dostrzegła w jej oczach kielkującą myśl: Litość? O Boże, tylko żadnej litości!

– Bardzo by nas to ucieszyło – dodała czym prędzej. – To nasze pierwsze święta bez Amelie... Tak nam obojgu smutno, jesteśmy przygnębieni, tęsknimy za towarzystwem, ale nie chcielibyśmy przebywać z ludźmi, którzy nie rozumieją, przez co przeszliśmy. Są tylko żądni sensacji i od razu czują się lepiej, widząc, jak z nami kiepsko... Pani była z nami od samego początku... pani nas rozumie... naszą sytuację.

– Zastanowię się – obiecała Kate. – Dziękuję. Napiszę do pani e-mail. Zostało jeszcze trochę czasu.

Każda ruszyła w swoją stronę.

„Jaka ona samotna – pomyślała Deborah. – Zarazem jaka wolna”.

Uniosła głowę.

Łzy na jej twarzy mieszały się z kroplami deszczu.

„Już dwa zaproszenia na święta” – pomyślała Kate. Próbowwała odnaleźć w sobie poczucie ulgi i wdzięczności, bezskutecznie. Chciała spędzić Boże Narodzenie razem z Davidem, a tego nie sposób czymkolwiek zastąpić. Znikąd pociechy. Nic prócz uczucia potwornej straty.

Całą drogę powrotną z plaży aż do Scalby przeszła na piechotę. Zajęło jej to niemal godzinę, lecz nie czuła z tego powodu złości. Lepiej spacerować niż siedzieć w domu, zadręczać się, rozmyślać o Davidzie. Wszystko, tylko nie to.

Skręciła w uliczkę, z daleka zobaczyła swój dom. Zaparkował przed nim jakiś samochód.

„O nie” – pomyślała.

Kiedy podeszła bliżej, wysiadł z niego Colin, zrobił parę kroków w jej kierunku.

– Witaj, Kate – powiedział niepewnym głosem.

Westchnęła, nawet nie starała się ukryć braku entuzjazmu.

– Miałeś już dawno wrócić do Londynu – oznajmiła na powitanie.

Colin skinął głową.

– Tak. Ale potem... no cóż, pomyślałem... Weekend... ja... – Zaczerpnął tchu. – Nie chciałem być sam – dokończył.

Choć pogrążona w głębokim bólu, Kate zrozumiała wyjątkowość tej chwili. Oto Colin przyznał się do własnej słabości. Tak zawsze chełpliwy i despotyczny, w normalnych okolicznościach pewnie by się zaklinał, że do Scarborough wrócił ze względu na Kate. By jej pomóc po wszystkim, przez co przeszła w dalekim Northumberland. Pozowałby na dobrotliwego anioła.

Tymczasem pozwolił, by Kate zajrzała w głąb jego duszy. W tej właśnie chwili zrozumiała, jak bardzo był samotny, mimo całej swojej wyniosłości. Sądziła dotąd, że doskonale sobie radzi z samym sobą oraz z własnym życiem, teraz zrozumiała jednak, że w rzeczywistości jest samotnym, nieszczęśliwym człowiekiem. Usiłował to sobie zrekompensować w sposób, który wedle wszelkiego prawdopodobieństwa sprawi, że już na zawsze samotny pozostanie, gdyż za jego głośną i chełpliwą afektacją trudno było dostrzec rzeczywistą postać. Ona jednak istniała. Kate nie potrafiła sobie wyobrazić, by kiedykolwiek, choćby w niewielkim stopniu, zdołała obdarzyć go uczuciami, jakie żywiła dla Davida, brakowało po temu owej niezbędnej, decydującej iskry. Być może jednak da się z nim spędzić nieco czasu. Porozmawiać. Zaprzyjaźnić się.

– Wejdźmy najpierw do środka – powiedziała.

Domyślała się, że będzie to dla niej trzecia już opcja na święta. Sytuacja powoli się komplikowała. Można by ją uznać za potwierdzenie jakże chętnie przytaczanej mądrości o życiu, które toczy się dalej. Kate nie cierpiała tej sentencji, nazbyt jej zdaniem wyświechtanej i bezmyślnie powtarzanej. Ot, zgrabnie brzmiące zdanie, używane zazwyczaj po to, by niepocieszonym odmówić prawa do trwania w ich smutku.

A jednak Colin, Caleb i Deborah byli niczym kroki. Drobne, niezdecydowane. Istny symbol frazesu o toczącym się dalej życiu. Ono nie stoi w miejscu. Nawet wówczas, gdy sądzimy, że jesteśmy zmrożeni w pustce bez nadziei.

Otworzyła drzwi.

Powitała ją Messy.

Życie.

Spis treści

Karta redakcyjna

Listopad 2013 roku

CZĘŚĆ PIERWSZA

Piątek, trzynasty października 2017 roku

Sobota, czternasty października

Niedziela, piętnasty października

Poniedziałek, szesnasty października

Sobota, dwudziesty pierwszy października

Niedziela, dwudziesty drugi października

Poniedziałek, dwudziesty trzeci października

Poniedziałek, trzydziesty października

Środa, pierwszy listopada

Piątek, trzeci listopada

CZĘŚĆ DRUGA

Poniedziałek, szósty listopada

Wtorek, siódmy listopada

Środa, ósmy listopada

Czwartek, dziewiąty listopada

Piątek, dziesiąty listopada

Poniedziałek, trzynasty listopada

Wtorek, czternasty listopada

Środa, piętnasty listopada

Czwartek, szesnasty listopada

Piątek, siedemnasty listopada

Sobota, osiemnasty listopada

Wtorek, dwudziesty pierwszy listopada

Sobota, dwudziesty piąty listopada